

Krańcowo II

Redakcja: Monika Szymankiewicz
Korekta: Monika Szymankiewicz
Grafika na okładce: Jarosław Domański, Marcin Siuda
Okładka – model autobusu: Jan Golec



Opracowanie graficzne i projekt okładki: Marcin Siuda • LeGrafik.pl

© Jarosław Domański, 2023
© Marcin Siuda, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-964000-1-7

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, ul. Mikołaja Ciurlionisa 4

prawolubni

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w Internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

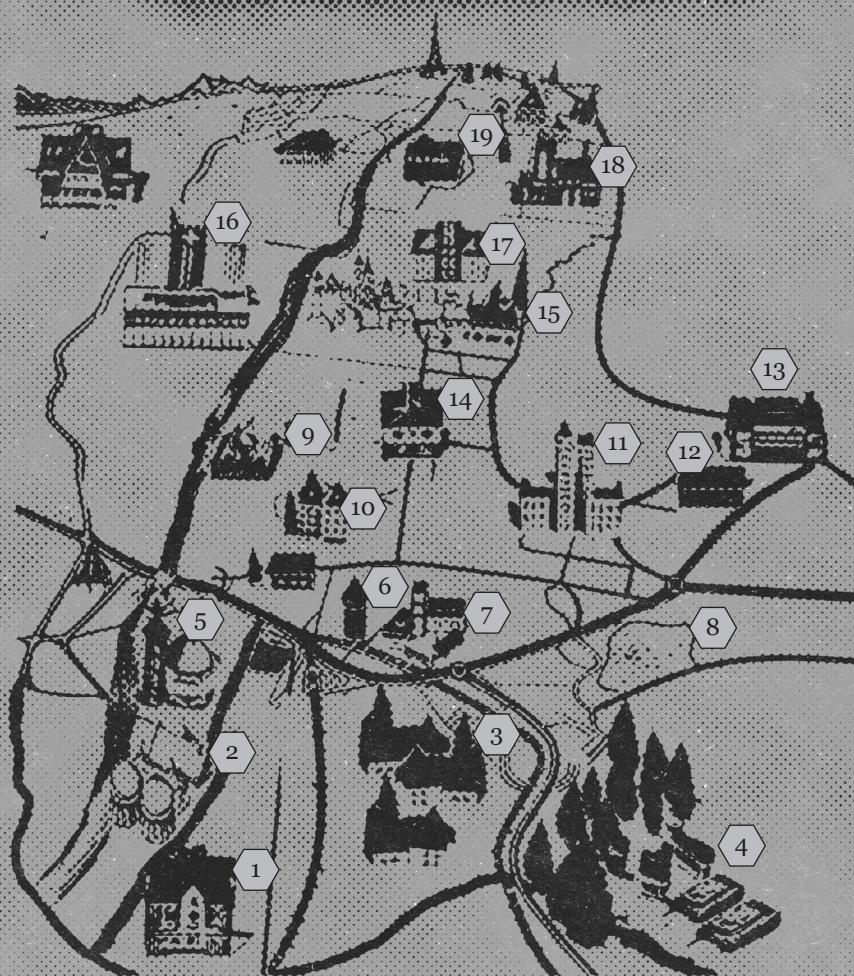
Jarosław Domański

Krańcowo II

Dla moich ukochanych rodziców, którzy zawsze byli moją ostoją, oraz dla dziadków, którzy zainspirowali mnie swoją mądrością i doświadczeniem, dla mojej drogiej siostry, która po latach okazała się moją najlepszą przyjaciółką i najważniejsze – dla mojej najwspanialszej żony – Wasza bezgraniczna miłość i wsparcie stanowiły fundament mojego życia. Dziękuję Wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Ta książka jest hołdem dla Was. Pragnę, abyście zawsze wiedzieli, że jesteście najważniejszymi bohaterami mojego życia.

KRAŃCOWO



- | | | |
|----------------------------|----------------------|---------------------------|
| 1. Szkoła przy Lesie Ludzi | 8. Świetlista Polana | 14. Stara Faktoria Siwego |
| 2. Zakłady Chemiczne | 9. Cmentarz | 15. Centrum |
| 3. Osiedle Zatorze | Nowoprzybyłych | 16. Szpital w Krańcowie |
| 4. Baza Wojskowa | 10. Kryjówka Kubry | 17. H-Market |
| 5. Kościół Kanibali | 11. Sojusz Bloków | 18. Stara Cegielnia |
| 6. Wieża Defektu | 12. Ikar | 19. Osiedle Korczaka |
| 7. Wspólnota | 13. Pas Śmierci | |

Spis treści

Ręka Olbrzyma	7
Strażnik autobusu	15
Cień ręki	33
Konsekwencje.....	53
Niewinna przysługa.....	79
Kod Weterana.....	101
Nocne spotkanie.....	131
Powinność autobusu	157
Człowiek z zasadami.....	181
W Błysku.....	205
Czerwona bandanka	225
Tajemnice Strefy Głodu.....	247
Podstęp	269
Pojedynek	287
Krwawymi śladami.....	303
Najtrudniejsze decyzje	313
Dwóch to za dużo	329
Rozłam.....	351
Początek końca	369
Pierwotna Wola	383
Epilog.....	409
Podziękowania.....	414



Prolog

REKA OLBRZYMA

Prolog

Ręka Olbrzyma

Krańcowo było miastem rozległym i nawet w świadomości mieszkańców Starego Świata nigdy nie stanowiło spójnej całości.

Od strony wschodniej przecinała je szeroka linia kolejowa, przez którą przedostać się można było jedynie nielicznymi i wiecznie zamkniętymi przejazdami. Oddzielone przez torowisko osiedle zwykle się potocznie nazywać „Zatorzem” i choć było urzędowo częścią miasta, brak możliwości swobodnego przejazdu do centrum zrodził wśród jego rezydentów poczucie swoistej autonomii.

W Starym Świecie mieszkaniac osiedla za torami zapytany, gdzie mieszka, nigdy nie odpowiedział — w Krańcowie, lecz pchany jakimś wewnętrznym przymusem stwierdzał pewnie — na Zatorzu. Przez tę specyficzną manierę, pośród osób odwiedzających Krańcowo bardzo często pojawiała się przekonanie, że Zatorze to jakieś sąsiednie miasteczko po drugiej stronie nasypu kolejowego.

Od strony zachodniej przez Krańcowo przepływała rzeka „Wiślinka”. Odcinała ona od centrum kolejny kawałek miasta oraz jeden z jego najważniejszych obiektów — szpital powiatowy. Dzięki dwóm szerokim mostom przedostanie się na drugi brzeg nigdy nie stanowiło większego problemu. Mieszkańcy tej części miasta nie czuli więc tak silnego podziału, jak miało to miejsce w wypadku Zatorza. Niemniej, okolica ta również nosiła swoją potoczną nazwę — Zarzecze.

W Nowym Świecie sytuacja zupełnie się zmieniła. Przez długi czas dwie pseudodzielnice pozostawały niedostępne dla Weteranów, którzy zajmowali największą centralną część miasta. W końcu jednak, jakiemuś bezimiennemu eksploratorowi udało się odkryć sposób na oszukanie błędu czekającego przy linii kolejowej i wytyczyć szlak na Zatorze.

Zarzecze zaś wciąż pozostawało odcięte. Mosty, które niegdyś łączyły je z miastem, zapadły się z niewiadomego powodu, a płynąca pod nimi rzeka praktycznie zmieniła się w kwas. To skutecznie udaremniało każdą próbę przedostania się na drugi brzeg.

W umysłach Weteranów ten niedostępny teren urósł do rangi wielkiego, tajemniczego skarbu. Pośród żyjących w Nowym Świecie, krążyły opowieści o nietkniętych do tej pory sklepach czy szpitalu pełnym wyposażenia

medycznego. To wszystko miało czekać na śmiałka, który znajdzie sposób by przedostać się na tamtą stronę. Choć historie o nietkniętych domach można by jeszcze uznać za prawdopodobne, to o terenie Zarzecza krążyły też bardziej wydumane opowieści. Niektórzy Weterani twierdzili, że widywali na brzegu po drugiej stronie jakieś tajemnicze postacie. Miały one rzekomo krążyć nocami przy korycie rzeki i znikać, gdy tylko ktoś próbował nawiązać z nimi kontakt. Oczywiście wielu przyznawało potem, że mogli to być po prostu Nie-wykształceni, którzy dostali się na Zarzecze, gdy mosty były jeszcze całe. Byli jednak i tacy, którzy upierali się, że musieli to być ludzie. Z tej historii prawdopodobnie wypłynęła kolejna legenda — za terenem Szpitala miało się rzekomo znajdować wyjście z Krańcowa i sposób na powrót do Starego Świata.

Chociaż niewielu ludzi w to wierzyło, znalazło się kilku wariatów, którzy uznali to za prawdopodobne i zadręczali tą teorią każdego, kto chciał ich wysłuchać. Rzekomym potwierdzeniem tej hipotezy miały być zapadnięte mosty. Obydwie potężne betonowe konstrukcje zawałyły się w tym samym czasie i na podobnej wysokości, zupełnie jakby ktoś wysadził je celowo. Co bardziej racjonalni Weterani twierdzili jednak, że to po prostu wpływ kwasu w rzece, który przez długi czas podgryzał zanurzone w nim filary.

Ci najbardziej niedorzeczni z ocalałych w Krańcowie, wysnuwali nawet wnioski, że całe miasto musi być jednym wielkim eksperymentem. Po stronie Zarzecza miała rzekomo znajdować się baza naukowców, z której badacze obserwowali wszystko, z dala od niebezpieczeństw. Niestety dla nich większość Weteranów słysząc podobne historie, pukała się po prostu w czoło. Żadnych naukowców nikt bowiem w mieście nigdy nie widział, a obserwowanie wszystkiego przez koryto rzeki, na pewno nie było wymierną metodą badawczą...

Niemniej krążące wszędzie historie, zarówno te prawdopodobne, jak i te całkiem wyssane z palca, podsycaly wyobraźnię ludzi. Co jakiś czas znajdowała się więc kolejna grupa próbująca swych sił w przedostaniu się do Zarzecza. W tym właśnie celu, w stronę jednego z zawalonych mostów, zmierzał oddział Armii Daniela dowodzony przez „Olbrzyma” Maciejewskiego.

Maciejewski był ponad dwumetrowym potworem z brodą gęstą jak futro, cieszącym się złą sławą nie tylko pośród Krańcowskich Weteranów, ale również wśród innych członków Armii. Na swoich rękach miał nie tylko krew wrogów Daniela, ale podobno i własnych towarzyszy, którzy ośmielili się w jakikolwiek sposób wejść mu w drogę.

Nie było więc niczym dziwnym, że zmierzający z nim banderowcy (najniższa struktura Armii Daniela) mieli całkiem nietęgę miny. Ich podróż dodatkowo uprzykrzał fakt, że nieśli ze sobą ogromną metalową kładkę.

Kilkumetrowa konstrukcja zrobiona z prętów zbrojeniowych oraz blachy połączonej ze sobą nitami i stalowymi linami, musiała ważyć naprawdę dużo. Dźwigający ją ludzie wylewali z siebie siódme poty.

— Dobra jesteśmy! — ryknął Maciejewski, rozsiadając się jednocześnie na betonowej ławce i leniwie obserwując wystający fragment mostu. — Jeśli ten jajogłowy w Gorgorze dobrze to policzył, to kładka powinna zaprzeć się głęboko na obydwu kawałkach mostu. Do roboty!!! — wrzasnął raz jeszcze i sięgnął do kieszeni kurtki po papierosa.

— Jak my niby mamy to przerzucić? Ta kładka waży z dwieście kilo... — syknął jeden z banderowców.

Olbrzym przypalił sobie fajkę i zaciągnął się dymem, zerkając jednocześnie na mężczyznę, jakby chciał go zgnieść samym spojrzeniem. — Dostajesz zreć, to rusz czasem dekle. Ustawcie ją sztorcem i jeb na tamtą stronę — warknął pogardliwie, po czym wrócił do palenia.

Zrezygnowani banderowcy świadomi, że nie dostaną od swojego dowódcy bardziej precyzyjnych poleceń, zaczęli powoli podnosić kładkę. Konstrukcja trzeszczała i wyginała się, a mężczyźni pod nią walczyli ze wszystkich sił, by w końcu ustawić stalowy szkielet do pionu.

— Tylko jej nie zwalcie na dół, bo macie moje słowo zanurkujecie po nią! — ryknął Maciejewski, przyglądając się wysiłkom banderowców.

W końcu jednak mężczyźni nie wytrzymali i wypuścili stalowy pomost z rąk. Kładka uderzyła ukosem we fragment mostu po drugiej stronie i wygięła się niebezpiecznie na środku. Niemniej utrzymała się, zawisając między dwoma brzegami. Po chwili napięcia banderowcy odetchnęli z ulgą, a Maciejewski krzyknął: — UDAŁO SIĘ!!

Wyraźnie zadowolony Olbrzym zbliżył się do granicy mostu. — Musimy sprawdzić, czy da radę przejść.

Obracając się w stronę swoich podkomendnych, Maciejewski wybrał najchudsze chłopaczka i wskazał na niego ogromnym palcem. — TY! NA DRUGĄ STRONĘ! — ryknął.

— Ale dlaczego! — pisała przerażony chłopak, patrząc niepewnie w stronę trzeszczącej kładki.

— BO CI KAZAŁEM!!! Możesz albo przejść kładką albo wplaw. Mnie tam obojętnie... — fuknął groźnie Maciejewski, uderzając o siebie swoimi wielkimi rękoma.

Chłopak spojrzał jeszcze z nadzieją w stronę swoich towarzyszy, ale ci opuścili głowy, szczęśliwi w duchu, że to nie na nich padł wątpliwy zaszczyt testowania konstrukcji. Zrezygnowany chłopak wspiął się na kładkę, a ta zaskrzypiała groźnie. Zsuwając się powoli centymetr po centymetrze zbliżył się do miejsca załamania. Wtedy też, konstrukcja zadrgała niebezpiecznie.

— TRZYMAĆ TO!!! — rozkazał Maciejewski, a grupa banderowców chwyciła za stalowy pomost. — IDŹ DALEJ!!! — rozkazał.

Chłopak zatrzymał się, zaparł nogami na zgięciu blachy i spróbował chwycić się drugiej połowy kładki. Gdy tylko jego ciężar zatrzymał się na środ-

ku, cała konstrukcja się po prostu złożyła. Pomost runął z pluskiem do rzeki, zabierając ze sobą przymusowego ochotnika.

Maciejewski ze skrzywioną miną zbliżył się do krawędzi. W dole metalowy pomost rozkładał się już z bulgotem, zżerany przez kwas w rzece. — Już jej nie odzyskamy — westchnął głosem pełnym rezygnacji, sięgając równocześnie po kolejnego papierosa.

Fakt, że Olbrzym zupełnie zlekceważył śmierć banderowca nie spotkała się z aprobatą jego kompanów. Mężczyźni popatrzyli złowieszczo, jakby sami mieli ochotę wepchnąć swojego dowódcę do rzeki.

— Na co się gapicie? — syknął Maciejewski. — Może któryś z was chce się spróbować? A może wszyscy naraz? Strasznie mnie ręce swędzą po tej porażce, którą odjebalistcie — warknął, zaciskając swoje ogromne pięści.

Widząc to, banderowcy choć wyraźnie wściekli, opuścili głowy. Olbrzym szczyił się tym, że udało mu się niegdyś pokonać grupę uzbrojonych Weteranów. Tak więc, oni zmęczeni drogą i z gołymi rękami byli po prostu bez szans.

— Tak myślałem — zakpił Maciejewski. — Wypieprzać do Strefy Głodu! Rzygać mi się chce, jak na was patrzę! Nie mam zamiaru wracać tą samą drogą co...

W tym momencie, obcy głos przerwał jego wrzaski.

— Chyba jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, o kim opowieści byłyby tak prawdziwe.

Zajęci tym, co działo się na kładce, żołnierze Daniela nie zauważyli trójki Weteranów, która podkrađła się w międzyczasie od strony miasta. Na ich czele stał wysoki mężczyzna o brązowych przyczesanych włosach i dość gogusiowatym wyrazie twarzy. Maciejewski wysunął się na przód, mierząc przybysza i jego kompanów wzrokiem. — Nie pomyliło ci się coś, lalusiu? Wypieprzaj stąd, zanim rozsmaruję cię na asfalcie! — zagroził marszcząc czoło.

Banderowcy stojący za nim, byli jednak zdecydowanie mniej pewni siebie. Wszyscy trzej Weterani mieli w rękach broń. Maciejewski, który jako jedyny z gromady nosił pistolet, nie wyjął go nawet z kabury przy kurtce.

— Mówią na mnie Wilk. Nie wiem, czy o mnie słyszałeś... — próbował przedstawić się Weteran stojący na przodzie, ale Olbrzym przerwał mu natychmiast.

— Zaraz to na ciebie będą mówili trup — stwierdził groźnie, po chwili zmieniając jednak ton. — Ale dla ścisłości, wiem kim jesteś. Popieprzonym fagasem, który ma się za szeryfa tego miasta.

— Ładnie to ująłeś — odparł Wilk, uśmiechając się prowokująco. — Więc jako popieprzony fagas... to znaczy szeryf, mam obowiązek tępować takie gnidy jak ty. Walka o przetrwanie to jedno, ale ty nawet jak na standardy Daniela, jesteś zwykłą szujką Maciejewski.

— O, i jeszcze historia z morałem — zakpił Olbrzym. — Nienawidzę dwóch rzeczy: tchórzliwych banderowców i zadufanych w sobie Weteranów.

Niestety tych idiotów muszę znosić — stwierdził, zerkając na grupę za nim. — Natomiast z tobą zaraz zrobię porządek. BRAC ICH!!! — rozkazał w stronę swojego oddziału, ale mężczyźni nawet nie drgnęli.

— Ujmę to tak... — stwierdził Wilk — ...choć służycie w banderze, to do nikogo z was jeszcze osobiście nic nie mam. Więc możecie odejść. Dzisiaj karę poniesie tylko on! — krzyknął na koniec, wskazując ostentacyjnie palcem na Maciejewskiego.

— Ujmę to tak... — zakpił Olbrzym, naśladując ton Wilka. — ...bez względu na to czy mi pomożecie czy nie, przeżyję to. A gdy tylko kurwa wrócę do Strefy Głodu, urwę osobiście łeb każdemu, kto teraz zdezerteruje.

Banderowcy spoglądali przerażeni to na Wilka to na Maciejewskiego. W pewnym momencie, prawie wszyscy rzucili się do ucieczki, mijając przybyłych Weteranów szerokim łukiem. Olbrzym syknął, złapał ostatniego ze swoich kompanów, który nie zdążył podjąć jeszcze decyzji i zasłonił się nim jak tarczą.

— Zostaw go!!! — zawołał Wilk, ale już po chwili jego głos utonął w tajemniczym szumie, który wypełnił okolice.

Narastający dookoła gwizd wygłuszył prawie wszystkie dźwięki. Nagle Maciejewski poderwał swoją żywą tarczę do góry. W tym samym momencie banderowiec zeszytniał w jego rękach z ogromną dziurą w klatce piersiowej. Nim którykolwiek z Weteranów zdążył podnieść broń, Olbrzym cisnął w nich trupem i rzucił się do ucieczki.

Mimo swojej ogromnej postury, poruszał się niesamowicie szybko. Maciejewski w ciągu kilku sekund zbiegł z resztek mostu i przeskakując przez bariery uliczne, wpadł na teren małej kawiarni. Mijając poprzewracane stoliki i porzewiałe maszyny do lodów, wbiegł do ciemnej mroźni.

Nim jego oczy przyzwyczaiły się do panującej w pomieszczeniu ciemności, Maciejewski usłyszał dobiegające z zewnątrz odgłosy biegu. Jeden z Weteranów wpadł nagle do środka z bronią w pogotowiu, ale nim zdążył oddać strzał, Olbrzym wyskoczył z cienia i rąbnął go swoją ogromną pięścią. Po tym niewyobrażalnie potężnym ciosie, mężczyzna zaczął osuwać się na podłogę. Maciejewski zdążył przechwycić jego opadającą głowę w locie i z impetem rąbnął nią o ścianę. Z dłoni martwego już Weterana wyciągnął karabin, który w jego olbrzymich rękach wyglądał jak dziecinna zabawka.

Wtedy też usłyszał wołanie Wilka. — NIE! POCZEKAJ NA MNIE!!!

Było już jednak za późno, bo w tym momencie drugi z Weteranów wbiegł do chłodni. Maciejewski dostrzegłszy jego sylwetkę, pociągnął serią z biodra. W krótkim rozbłysku zobaczył, jak mężczyzna osuwa się na podłogę trzymając się za brzuch.

Olbrzym zaczął cofać się w głąb pomieszczenia, ciągle obserwując wejście, ale Wilk nie kwapił się by wejść do środka. Gdy był już przy ścianie, poczuł jak jego łokieć uderza o klamkę. Okazało się, że chłodnia miała drzwi dla

dostawców prowadzące na tył budynku. Maciejewski bez zastanowienia wyważył je barkiem i wybiegł na zewnątrz.

Z wąskiej uliczki pełnej kublów na śmieci przeszedł na jedną z bocznych dróg, prowadzących obok Krańcowskiego Muzeum Techniki Wojskowej. Mijając poczerńiały płot, za którym stały skorupy czołgów i armaty przeciwpancerne, Maciejewski nadział się niespodziewanie na kolejną postać.

Blond włosy kobieta, wysoka prawie jak on, sama zamarła ściskając w rękach karabin snajperski.

— SZARA! — ryknął Maciejewski, ale po chwili na jego niedźwiedziej twarzy zagościła prawdziwa konsternacja.

Kobieta zmarszczyła czoło i wykonała gest w języku migowym, a Maciejewski spojrzał na nią pogardliwie. — Przestań wymachiwać łapami i tak nigdy nie rozumiałem twojego pieprzenia.

Blond włosy zrobiła zaciętą minę i wskazała na Maciejewskiego, jednocześnie przeciągając sobie kciukiem po szyi.

— Naprawdę musi Cię dobrze bolcować! Bez cholerne mrugnięcia jesteś gotowa ukatrupić własnego brata — zakpił Olbrzym.

Twarz kobiety skamieniała. Wyciągnęła jednocześnie dwa palce wskazujące, zetknęła ich końce, a potem powoli rozdzieliła.

Olbrzym spojrzał na to niepewnie. — Tak masz rację! Ale teraz moim jedynym rodzeństwem jest Daniel. To już nie jest nasz dom! Tu nie masz taryfy ulgowej!

Olbrzym wrzasnął i niczym rozpędzony pociąg ruszył w stronę Szarej. Kobieta spróbowała unieść karabin, ale Maciejewski wparował w nią odpychając lufę na bok. Nie musiał nawet wyprowadzać ciosu, bo różnica w ich posturze była tak duża, że Szara runęła na ziemię trącona wyłącznie barkiem.

Nim kobieta zdążyła choćby drgnąć, Olbrzym pochylił się nad nią ściskając jej szyję niczym imadło.

— Daniel zwycięży... — warknął Maciejewski. — A ja będę trwał przy nim! I ani ty, ani twój pies nic na to nie poradzicie.

Szara na początku spojrzała na niego przerażona, ale po chwili na jej twarzy pojawił się kpiący uśmiech. Spoglądając w oczy Maciejewskiego, mruknęła wyzywająco, a dłoń mężczyzny zeszytniała.

Szyja dziewczyny zrobiła się przeraźliwie zimna, zupełnie jakby Olbrzym ścisnął w tym momencie ogromna bryłę lodu. Nie mogąc dłużej wytrzymać, puścił Szarą i odskoczył do tyłu. Niespodziewanie kobieta zniknęła, a na jej miejscu pojawił się Wilk.

Zszokowany Maciejewski zamarł przez chwilę, a leżący na ziemi mężczyzna przeturlał się na bok i poderwał na równe nogi.

— Jak? CO? — Olbrzym pokręcił wściekle głową. — Błąd... — wysapał orientując się, czego był właśnie świadkiem.

Wilk wyciągnął nóż i bez zawahania ruszył w stronę Maciejewskiego, ale Olbrzym bez trudu sparował jego atak. Po Krańcowie chodzą pogłoski, że w Starym Świecie należał on do koła boksterskiego. Wilk przekonał się o tym boleśnie, gdy po nieudanym zamachu, Maciejewski wyprowadził w kontrze potężnego sierpa, od którego runął półprzytomny na ziemię.

Olbrzym zbliżył się do ślaniającego się Wilka i kopniakiem wytrącił mu nóż z ręki. W tym samym momencie powietrze po raz długi wypełnił tajemniczy szum.

Maciejewski rozejrzał się przestraszony, ale nim zdążył zareagować, jego jeansowa kurtka rozdarła się na barku, a z ramienia trysnęła krew. Szara była gdzieś w pobliżu i miała go na muszce. Ranny mężczyzna zignorował Wilka i wbiegł za pobliskie ogrodzenie. Trzymając głowę nisko, pędził bez namysłu, ile sił w nogach, aż dotarł do zejścia nad rzekę.

Zsuwając się w dół po leszowej ścieżce, wpadł na łąkę pełną wyschniętych i przypalonych krzaków. Mimo bólu i krwi leżącej się z ramienia, nie zatrzymywał się nawet przez chwilę. — Pieprzona snajperka... pieprzone błędy... gdyby nie to... ja ich wszystkich... — sapał wściekle, łapiąc przy tym powietrze jak ryba.

Kilka minut biegu później, padł wykończony na ziemię. Leżąc w trawie sięgnął po pistolet i położył go obok siebie. — Niech tylko przyjdą... koniec zabawy... — wysapał.

Czekał tak co najmniej kwadrans, uciskając krwawiącą ranę. Nikt jednak się nie pojawił. Czyżby Wilk odpuścił? Może nie był w stanie pozbierać się po jego ciosie?

Olbrzym zadowolony ze swojej ucieczki, miał się już kierować do Strefy Głodu, gdy nagle zobaczył coś, od czego nawet jemu włosy stanęły dęba. Po drugiej stronie rzeki stała postać. Mężczyzna przypominający Weterana obserwował go przez lornetkę.

— To niemożliwe... — syknął Maciejewski, patrząc jak przybysz obraca się powoli i znika między budynkami.



Rozdział I

Strażnik autobusu

Dziki obudził się, czując pulsujący ból głowy. Powoli i najdelikatniej jak tylko potrafił, pochylił się na swojej pryczy. Przez zasłony dostrzegł cienie przeskakujące za niedokładnie domkniętym oknem autobusu.

Pamiętał, że jeszcze chwilę wcześniej coś mu się śniło, ale przez rozsadzające go od środka mdłości, nie był w stanie zebrać myśli. Cokolwiek zdążyło uroić się w jego podświadomości, przepadło bezpowrotnie.

Od kiedy Kuba zdecydował, że Dziki może już przejąć funkcję strażnika Autobusu, nie przypominał sobie, żeby którąkolwiek noc przespał spokojnie. Ale to dni, które następowały zaraz po Błysku, były dla niego tymi najgorszymi. Unosząc głowę centymetry nad poduszką, zastanawiał się, czy ból jaki odczuwał zelzał już na tyle by mógł się podnieść.

Z zawieszenia wyrwał go dźwięk kroków dochodzący od strony schodów. Odruchowo spojrzął w ich stronę, obserwując jak na piętro autobusu wchodzi drobna, szczupła dziewczyna o czerwonych krótkich włosach. — Hej Dziki, jak się czujesz? — spytała, zerkając na niego troskliwie.

— Do dupy Oli. Świadomy Błask jest naprawdę wykańczający — odpowiedział szczerze, rozcierając piekące oczy.

Wyraźnie zmartwiona dziewczyna zaczęła krążyć między rozłożonymi na piętrze gratami. Po chwili poszukiwań wyciągnęła z podróżnej lodówki puszkę coli i siadając na brzegu pryczy, podała ją Dziakiemu. — Może nie powinienś tego robić za każdym razem — stwierdziła, głaszcząc go po zbolącej głowie. — Janek pokazywał mi już jak prowadzić autobus. Gdybyś jeszcze podszkolił mnie w poruszaniu się podczas Błysku, mogłabym cię czasem zastąpić...

Dziki słysząc tę propozycję pomyślał, że fajnie byłoby móc raz na jakiś czas odchorować Błask jak należy. Wiedział jednak, że Kubie na pewno by się ten pomysł nie spodobał. Poprzedni strażnik Autobusu — Primo — zginął w gruncie rzeczy przez to, że nie zachował przytomności w trakcie trwania Błysku. Podejmując się opieki nad Autobusem, obiecał między innymi, że nie odpuszcí nawet jednego razu. Bez względu na to, jak uciążliwe by to dla niego nie było.

— Jestem waszym strażnikiem, Oli. Jakby nie było, to mój obowiązek... — odpowiedział w końcu, biorąc łyk z puszkki.

Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną z jego odpowiedzi. Dziki znał ją już na tyle dobrze, by stwierdzić, że za chwilę czeka go wysłuchanie całej litanii argumentów. Nie mając w ogóle na to siły, spytał o jedyną rzecz, która mogła w tym momencie odwrócić jej uwagę — Kuba się odezwał? Mamy jakiś Nowoprzybyłych?

Skoro autobus był w ruchu znaczyło to, że Janek był już całkiem przytomny. Od Błysku musiały więc minąć co najmniej dwie godziny.

Dziewczyna zmarszczyła czoło i z żalem odparła: — Może nikt się nie pojawił... albo Kuba jeszcze ich nie ocenił.

Dziki wiedział dobrze, że Oli bardzo chciała pomagać wszystkim wypadającym na cmentarzu. Ich lider był jednak w tym względzie o wiele ostrożniejszy i bardzo selektywnie wybierał ludzi, których dopuszczał do Autobusu. Oboje bardzo często spierali się w tej kwestii, ale Dziki nigdy w ich kłótniach nie uczestniczył, pozostając ich biernym obserwatorem. Chociaż w duchu zgadzał się z Kubą i wiedział, że nie każdy zasłużył na to, by wyciągnąć do niego pomocną dłoń, to nigdy nie odważyłby się powiedzieć tego na głos przy Oli.

Kończąc jednym haustem colę, poczuł jak szum w jego głowie powoli ustaje (albo już po prostu się do niego przyzwyczajał). — Chodźmy do radia. Może się jeszcze odezwie — stwierdził, zbierając swoje podręczne rzeczy z pryczy.

Dziewczyna ruszyła przed nim, zbiegając raźnie po schodach. Dziki, nie czując w sobie podobnej werwy, zwał się po prostu na dół.

Z tego, co zauważył, większość mieszkańców zdążyła już dojść do siebie po Błysku i w całym autobusie panował zwyczajowy harmider.

Edek razem z Bocianem grali w karty, przekrzykując się na temat zasad makao. Chłopaki znali się jeszcze ze Starego Świata, chociaż to dopiero w nowym skumplowali się na dobre. Mimo dość lichych postur i młodego wieku, Dziki uważał ich obu za bardzo zaangażowanych w życie Autobusu. Sam często wspomagał się nimi, gdy musieli uzupełnić zapasy jakimś nieplanowanym szabrem.

Siedzenie przed nimi zajmowała Weronika. Dziewczyna jak zawsze siedziała ze słuchawkami w uszach i twarzą skrytą pod burzą kręconych, brązowych włosów. Dziki czuł, że nie radzi ona sobie zbyt dobrze z Nowym Światem, a muzyka była jej sposobem na odcięcie się od rzeczywistości, która ją po prostu przerastała.

Weronika przez większość czasu była bardzo wycofana, ale gdy kątem oka dostrzegła Dzikiego, obróciła się i obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem.

Kawałek dalej, swoje miejsce zajmował Krystian, na którego z jakiegoś powodu wszyscy w autobusie wołali Kryspin. Dziki miał jednak dla niego własną ksywę — Widmo. Chłopak miał bowiem niezwykle wręcz talent do pozostawiania niezauważalnym. Nie sposób już było zliczyć, ile razy wszyscy w autobusie „dostawali zawału”, przekonani, że odjechali pozostawiając kom-

pana na którymś postoju. Sam Primo wprowadził zasadę, że Krystian musiał meldować mu się przed każdym odjazdem.

Siedzenie po przeciwnej stronie Widma należało do Greena. Mężczyzna w Starym Świecie chciał zostać lekarzem, niestety nastanie Nowego Świata przekreśliło jego marzenia. Niemniej chłopak przynajmniej starał się nadrobić braki wiedzy i wziął sobie za punkt honoru zapewnienie opieki medycznej mieszkańcom autobusu. Nawet teraz, gdy wszyscy ledwo otrzeźwiali po ostatnim Błysku, Green zaczytywał się w podręczniku do chirurgii.

W rzędzie dalej siedziały dwie nastolatki — Laura i Beata. Wszyscy wołali na nie „papużki” ze względu na to, że prawie nigdy się ze sobą nie rozstawaly. Dziewczyny były najmłodszymi osobami w autobusie, a może nawet i w całym Krańcowie. Sam Kuba twierdził, że praktycznie otarły się o granice wieku dla pojawiających się ludzi. Dziki zastanawiał się czasem, czy w ich wypadku było to szczęście, czy pech.

Miejsce przed dziewczynkami zajęte było przez dość pokaźnych rozmiarów gościa o imieniu Mariusz, choć wszyscy w autobusie wołali na niego „Smalec”. Smalec był osobą, która podobnie jak Dziki mogła uchodzić za dziecko szczęścia, bo ze swoimi umiejętnościami i gabarytami, nie przetrwałby sam nawet chwili. Znalazł się jednak w Nowym Świecie dokładnie w momencie, gdy powstawał Autobus do Wolności, i tak prawem zasiedzenia (czy też, jak to mówiła Oli — przyrośnięcia do siedzenia), został z nimi do tej pory.

Ze wszystkich mieszkańców autobusu to on irytował Dzikiego najbardziej. Zajmował najwięcej miejsca, zjadał najwięcej z zapasów, a robił najmniej ze wszystkich. Nie mówiąc już o tym, że był parszywym tchórzem, który nigdy nie wyściubił nosa by pomóc w obronie ich małej społeczności.

Tuż przed nim siedział jego bliski kumpel — „Klucz”. W odróżnieniu od Smalca, pełnił on jedną z najważniejszych funkcji w Autobusie, był bowiem ich mechanikiem. To on konserwował i naprawiał na bieżąco autobus, dzięki czemu mogli kontynuować swoją niekończącą się drogę. W opinii Dzikiego, był naprawdę w porządku, dlatego nie potrafił zrozumieć, jakim cudem kumpłował się on z tą tłustą zakalą.

Ostatnim pasażerem była druga zmora Dzikiego, nastoletni chłopak o ksywie „Korek”. Dziki był przekonany, że pseudonim wziął się od tego, że każdy marzył po prostu o wsadzeniu mu korka w gębę. Chłopaczek mógłby uchodzić za męską wersję Oli, bo podobnie jak ona był strasznie ekspresywny i nie potrafił usiedzieć w miejscu. W odróżnieniu jednak od dziewczyny, w ogóle nie wyczuwał granicy tego, kiedy należy siedzieć cicho. Najgorsze było to, że Korek miał obsesję na punkcie Dzikiego. Przez większość czasu nie odstępował go na krok, przy tym zadawał mu ciągle mnóstwo pytań i znacznie utrudniał skupienie się na obowiązkach strażnika.

Korek widząc go, natychmiast poderwał się z miejsca. Dziki udał, że tego nie zauważył i ruszył pośpiesznie w stronę Janka — kierowcy autobusu.

Oli, która na przód pojazdu dotarła jako pierwsza, usiadła już na schodku przy drzwiach. Teraz bawiąc się CB-radiem, próbowała odnaleźć jakikolwiek komunikat.

Dziki zamiast na niej, skupił się na mężczyźnie siedzącym za kółkiem.

— W eterze cisza? — spytał.

— Parę komunikatów z Armii Daniela, ale za diabła nie rozumiem ich belkotu. Grupa Dyzia nadała ostrzeżenie, że przy drugim przejeździe zaczął się kręcić Delimer. A oprócz tego, chyba wszyscy szukają miejsca, żeby przetrwać przemarsze... — odparł Janek.

— Czyli z Kubą dalej nie ma kontaktu...?

Janek skinął głową, nie odrywając wzorku od drogi.

— Witaj, dowódcu! — zawołał nagle głos za plecami Dzikiego, wywołując u niego nieprzyjemny skurcz żołądka.

— Cześć, Korek. Prosiłem cię, nie mów na mnie dowódcu...

— Jasne, szefie — odpowiedział natychmiast nie zbity z tropu chłopak, sięgając pośpiesznie do kieszeni, z której wyciągnął energetyk. — Proszę, szefie. Ostatni w autobusie! Z moich prywatnych zapasów! — zapiał dumnie, wręczając Dzikiemu puszkę.

Janek obrócił się, zerkając na niego ukradkiem. — Korek, wszystko w autobusie jest wspólne. Jakie ty masz prywatne zapasy? — spytał zirytowany.

— No bo ja wziąłem dla Dzikiego na przechowanie... — tłumaczył się chłopak, ścisząc głos z każdym kolejnym słowem.

Chociaż Korek był irytujący, to Dzikiemu zawsze robiło się go szkoda, gdy wpakował się w jakąś kabałę. Ostentacyjnie otworzył więc puszkę i wyduszając zawartość, uśmiechnął się do młodzika. — Tego mi było naprawdę trzeba. Wielkie dzięki! — zawołał chcąc poprawić mu humor.

Słyszając aprobatę z jego strony, Korek momentalnie odzyskał animusz i wyprostował się dumnie. — Ciężko było w czasie Błysku, dowódcu? — spytał natychmiast, a oczy zaświeciły mu się z podniecenia. Zamiast Dzikiego, odpowiedział mu jednak Janek. — Chyba czuleś! Cholera jasna, daj Dzikiemu spokój! Jak chcesz stać obok mojego fotela, to zamknij papę!

Kierowca autobusu reagował na Korka wyjątkowo alergicznie. Oli twierdziła, że to dlatego, że zanim pojawił się Dziki, to właśnie jego „adorował” chłopaczek, zadręczając swoją osobą.

Po ostrych słowach Janka, Korek usiadł w końcu na siedzeniu. Mimo to łapczywie zerkał w stronę Dzikiego i radia, którym bawiła się Oli.

W tym czasie Dziki zamyślił się, spoglądając w okno.

Zawsze po Błysku kręcili się określonymi drogami w pobliżu cmentarza.

Gdyby Kuba zdecydował się podesłać im kogoś, musieli być możliwie na tyle

blisko, by go szybko odebrać. Autobus mijał właśnie starą pizzerię „Margaritha”, który to lokal skryty był w pawilonie między blokami. Stąd mieli tylko kawałek, zarówno do kryjówki ich lidera, jak i miejsca, gdzie pojawiali się Nowoprzybyli.

Janek zatrzymał na chwilę autobus, ale nie zgasił silnika. — Zrobimy chyba postój, skoro już wstałeś. Prawda? — spytał z wyraźną nadzieją w głosie.

Dziki przytaknął, rozglądając się przez szybę. — Dobra, idę na dach. A ty zdrzemnij się chwilę. Jeżeli nie było żadnych ludzi, to przemarsze będą obfite. Pewnie czeka nas noc jazdy...

Janek słysząc to, jęknął cicho. Natychmiast sięgnął do schowka pod sufitem, wyciągnął z niego swoją poduszkę i bez ceregieli rozłożył się na kierownicy. Dziki wyszedł z autobusu, a zaraz za nim wybiegli Green i Bocian. Obaj ściskając rolki papieru, pośpiesznie ruszyli w krzaki. — Tylko się nie oddalać! — zawołał za nimi, po czym wszedł po drabinie na dach.

Gdy tylko znalazł się na szczycie, omiótł wzrokiem pustą okolicę. Otaczające ich bloki były wyniszczone już w Starym Świecie. Teraz z powybijanymi szybami i wyrwanymi drzwiami przywodziły na myśl miasto duchów.

Dziki zastanawiał się kiedyś, po co Weterani wybijają okna w przeszkuszonych domach. Teraz wiedział, że zaznaczali w ten sposób budynki, które już wyszabrowali i jednocześnie ułatwiali sobie odkrywanie miejsc po „Resecie”.

Reset — był jednym z ewenementów nowego świata, którego Dziki do tej pory nie potrafił zrozumieć. Polegało to na tym, że budynek bądź miejsce wracało do swojego stanu, w jakim zastał je pierwszy Błysk. Chociaż Dziki umiał go przetrwać bez utraty przytomności, to nigdy nie widział, jak wygląda odnawianie się jakiegoś miejsca. Kuba twierdził co prawda, że nie jest to żaden „spektakularny” widok, ale ciekawość i tak zżerała go, gdy o tym myślał.

Słyszając, że ktoś wspina się po drabinie, Dziki poczuł, że za chwilę może zostać osaczony przez Korka. Sięgnął więc po lornetkę i zaczął rozglądać się po okolicy, licząc, że uda mu się odwlec nieuniknione.

— Jak sytuacja dowódc... znaczy szefie — spytał natychmiast chłopak i po chwili też sięgnął po lornetkę, którą nosił przewieszoną na szyi.

— Od strony cmentarza na razie spokój — stwierdził Dziki. — Korek, przyda mi się dodatkowa para oczu. Obserwuj okolicę od strony południowej — polecił, wskazując ręką kierunek.

Dziki wiedział, że jedynym sposobem na powstrzymanie Korka od mówienia jest danie mu czegoś do roboty. Im bardziej zadanie wydawało się ważne, tym chłopak dłużej pozostawał cicho. Stanie na straży razem z Dzikim musiało usatysfakcjonować go na tyle, że zamilkł natychmiast i nie odezwał się też przez następne dziesięć minut.

Oczywiście Korek nie musiał wiedzieć, że od strony południowej znajdowała się „Strefa Głodu” i było naprawdę mało prawdopodobne, że cokolwiek stamtąd przyjdzie. Dziki nie czuł jednak potrzeby uświadamiania go.

Stali tak przez kilka minut, obserwując okolicę cmentarza, gdy nagle z autobusu dobiegło wołanie Oli. — DZIKI! KUBA NADAJE! CHODŹ SZYBKO!

Słyszając to, Dziki dobiegł do drabiny. Łapiąc za poręcz, ześlizgnął się na dół. Korek spróbował zrobić to samo, ale w odróżnieniu od Dzikiego, nie nosił rękawiczek. Zawisł więc w połowie, a cichy jęk potwierdził, że poparzył sobie dłonie.

Dziki wbiegł do autobusu, nasłuchując komunikatu, a Korek wpadł chwilę po nim wpatrując się w swoją czerwoną dłoń.

Z trzeszczącego radiowego odbiornika dobiegał właśnie zniekształcony głos ich lidera. „1 do 2, 3 do 2, 2 z 5, 0. Suma 237”

— Mamy do odebrania dwie osoby z przystanku koło sądu! — wykrzyczał podniecony chłopak.

Największą zaletą Korka wybijającą się pośród wielu irytujących cech, było to, że znał na pamięć cały kod Kuby. Dziki do tej pory miał problemy z rozszyfrowaniem niektórych wiadomości bez zaglądania do zeszytu. Wiedział co prawda, że cyfry 2 i 3 oznaczały autobus i Kubę oraz że piąta cyfra wypowiedziana w kolejności, to liczba osób do zabrania. Nadal jednak nie pamiętał, która cyfra to który przystanek. Nie potrafił też sam rozpoznawać sum kontrolnych, czyli krótkich kodów potwierdzających, że wiadomość była rzeczywiście nadana przez ich lidera.

— Znowu ruszamy do akcji, szefie! Autobus do Wolności spełni swoją powinność! — zapiał, wyraźnie zadowolony Korek i już po chwili przykleił twarz do przedniej szyby, jakby z zakrętu mieli właśnie wyskoczyć Nowoprzybyli.

Janek, który schował swoją poduszkę z powrotem do schowka nad fotelem, miał minę znacznie bardziej naburmuszoną. — Jak ich nie upchniemy we Wspólnocie, to znowu szykuje się boski tydzień...

— Jak Dziki z nami jeździł, to też tak płakałeś? — zawołała natychmiast Oli, patrząc w stronę kierowcy z wyrzutem.

— To nie ty będziesz zarywać noce! — oburzył się Janek. — Dwóch dodatkowych kolesi, to cała gromada Niewykształconych więcej.

Dziki powstrzymał się, by nie jęczeć przy Oli, ale ich kierowca miał sporo racji. Powszechnie znanym prawem było, że ludzie wabili Niewykształconych. Co prawda, pojedynczy człowiek, czy nawet para, nie przyciągała ich jakoś szczególnie mocno, gdy jednak w jakimś miejscu przebywało więcej niż troje ludzi, zaczynały się problemy. Ten tajemniczy magnetyzm był jedną z największych bolączek każdej dużej grupy. Dodatkowo po Błysku zawsze na ulicach pojawiało się więcej Niewykształconych. Potwory wabione raz za razem przez różne gromady ludzi, krążyły w chaotycznym marszu i w tym okresie znacznie łatwiej było przypadkowo nadziać się na jednego z nich. Dlatego pierwsze siedem dni po Bysku, nazywane potocznie „Tygodniem Przemarszu”, uchodziło za najbardziej niebezpieczny okres.

— Damy radę. Jak szczęście nam dopisze, to potwory rozejdą się zaraz do Wspólnoty i Strefy Głodu. Może nawet żadnego Niewykształconego nie spotkamy... — skłamała na pocieszenie Dziki, a Korek natychmiast podchwycił jego narrację.

— Dowódca ma rację! Niepotrzebnie się przejmujesz! Zresztą celem naszej grupy jest...

Chłopak urwał w pół zdania, widząc miażdżące spojrzenia Janka.

— KOREK, ZAMKNIJ SIĘ! Chcę się skupić na drodze! — warknął kierowca i przekreślił kluczyk w stacyjce.

Skarcony chłopak zmarszczył czoło i wbił smutny wzrok w podłogę.

— Bocian z Greenem już wrócili? — spytał Dziki, nim ruszyli.

— Tak! — odpowiedziała mu Oli.

— A Krystian?

— Tu jestem, Dziki... — odezwał się cichy głos na wysokości jego biodra.

Dziki słysząc go, prawie podskoczył. Okazało się, że chłopak rozłożył się na siedzeniu tuż obok nich i niezauważony przysłuchiwał całej rozmowie. — *Jak?! Po prostu jak?! Jakim cudem go nie widziałem!!!* — spytał się retorycznie w myślach, ale nie był to pierwszy raz, gdy spotkała go niespodzianka tego typu.

W międzyczasie Janek zaczął rozpędzać autobus, a mina Korka zdradzała, że panująca wokół niego cisza nie potrwa już długo. Dziki przeczuwał, że ich kierowcy może szykować się ciężka noc, więc nie chciał go narażać na kolejne nerwy. Skinął więc na chłopaka nim ten zdążył się odezwać i zabrał go ze sobą na tył autobusu, gdzie zajęli ostatni najszerzy rząd siedzeń.

Nie minęła chwila, gdy dołączyła do nich Oli, której humor, po wiadomości od Kuby, ewidentnie się poprawił. Wciskając się między nich, obdarzyła Dzikiego szerokim uśmiechem i mrugnęła w stronę Korka.

Dziki często zastanawiał się skąd u dziewczyny bierze się takie zaangażowanie w obcych ludzi. O ile sam odczuwał niemałą satysfakcję, gdy udało mu się pomóc Nowoprzybyłemu, to z żadnym z nich nie próbował się łączyć tak, jak robiła to ona. Było to dla niego całkiem bez sensu. Zasady ustalone przez Kubę były jasne — o ile Nowoprzybyłego nie udało się wcisnąć do jakiejś grupy, przechodził siedmiodniowe szkolenie, po którym musiał radzić sobie sam. Budowanie głębszych relacji z takimi ludźmi sprawiało tylko, że ciężiej było potem wypchnąć ich na pożarcie światu. Zwykle poza Dzikim, który zajmował się szkoleniem, i Oli z jej własną misją, nikt w Autobusie nie zwracał szczególnej uwagi na Nowoprzybyłych.

— Szykujesz się już pewnie na powitanie, co? — spytał Dziki zaczepnie, widząc jak dziewczyna przebiera nogami nie mogąc usiedzieć w miejscu.

— Tobie moje przywitanie nie przeszkadzało... — odgryzła się natychmiast Oli.

— Do tej pory uważam, że była to najmiłsza rzecz, jaka mnie tutaj spotkała. Pamiętaj tylko, że nie każdy na takie coś zasługuje... — stwierdził szarpany rozterkami, które musiały kiedyś dręczyć Prima.

Choć Kuba bez wątpienia robił wszystko, by nie przysyłać im niebezpiecznych ludzi, to przecież nie każdy miał wyrok wypisany na twarzy. Sam Dziki poznał historię o jednym z Nowoprzybyłych, który groził Oli i próbował siłą przejąć autobus.

Dziewczyna, widząc jego nadąsaną minę, kopnęła go zaczepnie w nogę.

— Jak taki jesteś zazdrosny, to mogę cię przytulić in blanco — stwierdziła, opierając głowę o jego ramię.

— Nie próbuj niczego więcej, Oli! — wtrącił się nagle Korek. — Serce naszego lidera należy tylko do jednej kobiety, liderki Defektu — Dix! Jeśli spróbujesz nadepnąć jej na odcisk... — chłopak przerwał jednak momentalnie, widząc morderczy wzrok dziewczyny, która już po chwili wypowiedziała jedna z najczęściej słyszanych w autobusie fraz.

— KOREK, ZAMKNIJ SIĘ!

Dziki pokręcił głową, widząc, że chłopak znowu posmutniał. — Korek, wiesz co? Idź na górę i zobacz, jak stoimy z zapasami. W najgorszym wypadku, będziemy mieli dwie dodatkowe osoby do wykarmienia. Możliwe, że będzie trzeba uzupełnić nasze zapasy...

Chłopak momentalnie rozpromienił się. — Tak jest, szefie, natychmiast ruszam — zawołał, po czym poderwał się z miejsca i pobiegł schodami na górę.

Na stopnie wpadł przy tym z takim rozmachem, że potrącił Edka, który przeklął, rozsypując wszystkie karty z ręki.

— Nie przypominam sobie, żeby był taki, gdy pierwszy raz z wami jeździłem — stwierdził Dziki, podczas gdy wściekły Edek i Bocian wyciągali karty spod fotela. Oli zrobiła nadąsaną minę. — Bo Primo go zastraszał. Ciągłe groził, że wyrzuci go z Autobusu — westchnęła z wyrzutem.

— Myślę, że nigdy by tego nie zrobił... — odparł Dziki.

Choć znał poprzedniego strażnika dość krótko, zdążył się przekonać, że pomimo bardzo surowej powierzchowności i opryskliwego charakteru, głęboko cenił sobie ludzi w Autobusie.

— Też tak sądzę — odpowiedziała w końcu Oli — ale Korek się go straszenie bał... Ty jesteś dla niego miły i nigdy nie powiedziałeś mu tego, co wszyscy. Dlatego tak do ciebie lgnie.

Dziki spojrzał z zaciekawioną na dziewczynę.

— Czego mu niby nie powiedziałem?

— Zamknij się, Korek... — odpowiedziała, odwracając się w stronę okna. — Chyba dojeżdżamy.

Z oddali wylaniał się powoli budynek sądu. Niezbyt okazały piętrowy gmach, ginął między sąsiadującymi z nim blokami i sklepami. Gdyby

nie napis nad wejściem, trudno byłoby zgadnąć, że znajdował się tam kiedyś budynek Temidy.

Gdy podjechali bliżej, Dziki dostrzegł, że Nowy Świat zdążył już odciąsnąć na nim swoje piętno. W oknach nie oszczędzono ani jednej szyby, frontowe drzwi leżały na schodach, a po parkingu wały się akta wyrzucone z archiwum. — *Ktoś musiał mieć niezłą zabawę, demolując to miejsce* — pomyślał.

— Stoją tam — zawołała nagle Oli, wyrwując go z rozważań nad sensem przeszukiwania tego miejsca.

Dziki wstał i zerknął w stronę przystanku. Dwóch młodych chłopaków stało z dość niepewnymi minami, obserwując okolicę. W ich rękach dostrzegł siekiery — prezent, który bez wątpienia dostali od Kuby. Siekiera była prymitywnym, ale jak na krańcowskie standardy, skutecznym środkiem obrony. Przez bardzo długi czas on sam włóczył się z podobną.

Oli, która odkleiła się od szyby, chodziła już cała, szykując się do swojego „powitania”.

— Idę — powiedziała w końcu, gdy Janek zatrzymał autobus.

Dziki powiódł wzrokiem za dziewczyną, która popędziła, by uściskać Nowoprzybyłych. Poczuł jednocześnie coś dziwnego. Wspomnienie jego pierwszego dnia w Nowym Świecie powróciło do niego tak wyraźne, jak chyba nigdy wcześniej. Ile rzeczy zmieniło się od tamtej pory? Jak bardzo on sam się zmienił? Od momentu, gdy jako Nowoprzybyły opuszczał autobus pełen obaw. Gdy razem z Mikiem walczyli o jego przyjęcie do Wspólnoty... Wspólnoty, z której wyrzucono go, bo dał się dotknąć Delimerowi. Wróciły przeżyte o podróży z Dix, o uczuciu jakie zrodziło się między nimi... Patowej sytuacji, jaka nastąpiła, gdy dał się uratować od śmierci jej najgorszemu wrogowi — Pierwшему. Zastanawiał się, ile po tym wszystkim zostało z oryginalnego „Dzikiego” — wesołego chłopaka pracującego w miejscowej fabryce, lubiącego gry komputerowe i niemającego znaleźć sobie dziewczyny. Potrząsnął głową, odganiając myśli. Wspomnienia Starego Świata wciąż były w niego jakąś dziwną goryczą. — *Ty nie masz takich rozterek...* — stwierdził, myśląc o Pierwszym, dla którego Nowy Świat był jak spełnienie marzeń.

Z rozmyślań wyrwał go widok Oli, prowadzącej dwóch złękionych chłopaków.

— To jest Dziki, nasz strażnik. Przewodzi Autobusem pod nieobecność Kuby — przedstawiła go z lekkim ukłonem.

— Witajcie — powiedział w ich stronę. — Usiądźcie tutaj. Musimy coś omówić — dodał, wskazując im miejsca obok siebie.

W międzyczasie Oli zajęła fotel przed nimi i natychmiast wychyliła się przez oparcie, by przysłuchać się rozmowie.

Dziki przyjrzał się z kolei zajmującym miejsca młodzieńcom. Nie mogli mieć więcej niż dwadzieścia lat. Jeden był wysoki i dość dobrze zbudowa-

ny, drugi wzrostu Dzikiego, puciołowaty. Niższy miał zabandażowane ramię, a obaj byli poobijani jak po szkolnej bójce.

— Spotkanie z Niewykształconym?

Wyższy chłopak skinął niepewnie głową, a niższemu lży nabiegły do oczu.

— Rozumiem. Więc jak już usłyszeliście od Oli, jestem Dzik i dbam tutaj o bezpieczeństwo. A na was jak wołają?

Przybysze milczeli dłuższą chwilę. W końcu ten wyższy wydukał pod nosem Marek, a drugi wyszeptał Sebastian. Dzik poczuł dziwną konsternację, jak zawsze, kiedy słyszał normalne imiona. Większość ludzi, z którymi spotykał się w Nowym Świecie, używała ksywek i pseudonimów. Tylko Kuba i kilku nielicznych Weteranów używało swoich imion ze Starego Świata.

— No dobrze, posłuchajcie mnie — zawołał, skupiając na sobie wzrok Nowoprzybyłych. — Podobnie jak wy przeżywałem tutaj swój pierwszy dzień. Wiem, jaki macie mętlik w głowie i zastanawiacie się pewnie, co teraz z wami będzie. Na wasze szczęście trafiliście tutaj w dość dobrym okresie. W okolicach dawnego dworca uformowała się całkiem silna Wspólnota. Mają mury chroniące przed potworami, zapasy, opiekę medyczną i tak dalej. W pierwszej kolejności spróbujemy was tam ulokować — wyjaśnił. — Jeżeli by się jednak nie udało, sam spróbuję nauczyć was jak tutaj przetrwać. Siekiery i plecaki schowajcie do schowków, a zanim dojedziemy do Wspólnoty, postarajcie się odpocząć.

Dzik wstał z miejsca, dając Nowoprzybyłym trochę przestrzeni i ruszył w stronę kierowcy. Po drodze dostrzegł Korka, który zbiegał po schodach. — Wszystko policzyłem szefie. Zapasów mamy na 14 kolejnych dni dla nas samych. Przy dwóch dodatkowych osobach można liczyć 9. Jakby został jeden to...

— Bardzo dobrze, Korek — wtrącił Dzik, nim chłopak zdążył się rozgadać. — Teraz idź na tył i dyskretnie przypilnuj naszych gości. Nie znam ich i wiesz o co chodzi...

Oczywiście Dzik nie wierzył w jakiegokolwiek złe zamiary dwojga przestraszonych Nowoprzybyłych. Nowe zadanie zlecone jego „pomocnikowi” miało jedynie zapewnić mu chwilę spokoju.

Widząc, że Korek ruszył posłusznie „szpiegować” ich gości, znacznie spokojniejszy podszedł do Janka. Kierowca toczył właśnie autobus wzdłuż starej szkoły Dzikiego i ewidentnie zmierzał w stronę stacji.

— No dobra, to zaczniemy od Wspólnoty, ale jedź powoli. Chcę, żeby mieli chwilę na otrząśnięcie się...

Janek skinął głową i zwolnił tak, że autobus bez trudu dałoby radę wyprzedzić na piechotę.

— Mam nadzieję, że trafimy na twojego kumpla, Mike’a. Z nim jest zawsze większa szansa na upchnięcie ich we Wspólnocie...

Dzik nie odpowiedział.

Jego nie tyle kumpel, co przyjaciel Mike, był strażnikiem bram Wspólnoty i rzeczywiście miał pewien wpływ na to, kto zostanie przyjęty. Z drugiej strony, oddał on już Autobusowi kilka przysług w tym zakresie, mocno nacągając przy tym „użyteczność Nowoprzybyłych”. Dzik obawiał się, że dalsze próby tego typu mogą ściągnąć na niego kłopoty.

Autobus toczył się dalej, mijając najpierw park przy szkole muzycznej, a potem wjechał na rondo, z którego skręcało się już w okolice dworca.

W międzyczasie na przód autobusu przeszła Oli, która była wyraźnie czymś rozbawiona.

— Co się stało Korkowi? — spytała, krztusząc się ze śmiechu.

— A co on zrobił? — dopytał natychmiast zaniepokojony Dzik.

— Co dziesięć sekund spogląda na naszych gości z miną „mam was na oku”, a za każdym razem, gdy się odezwą, udaje, że szuka czegoś w pustej półce nad ich głowami — wyjaśniła, zerkając na Dzikiego podejrzliwie.

— Po prostu sprawdza, czy nic nie kombinują... — odparł jej natychmiast wysuwając język.

Dziewczyna westchnęła, ale gdy tylko zobaczyła, gdzie dojechali, uśmiech ponownie pojawił się na jej twarzy.

— Więc Wspólnota. Postarasz się znaleźć im miejsce? Zrobisz wszystko? Prawda? — spytała z nadzieją w głosie.

Dzik czując, że dziewczyna znowu poruszyła jego sumienie, zapomniał już, że miał oszczędzać Mike’a. — Tak, Oli, obiecuję...

Ich pojazd wtoczył się powoli w okolice dworca. Z oddali widać już było mur zrobiony z obitych grubą blachą autobusów, połączonych nieskładnie z okolicznymi budynkami. Gdy zbliżyli się do bramy, Dzik dostrzegł, że zniknęło obozowisko, które pod Wspólnotą tworzyli zwykle Weterani i inni wędrowcy niechący płacić za nocleg wewnątrz.

Nie było to szczególnie zaskakujące. Po Błysku znacznie bezpieczniej było zadekować się w jakimś budynku i czekać, aż przemarsze Niewykształconych ustają.

Janek zaparkował w końcu autobus, a Dzik ruszył na tył po Nowoprzybyłych, spotykając wcześniej Korka, który skinął na niego porozumiewawczo z komicznie poważną miną.

— Dobra, jesteśmy na miejscu. Jeżeli będziecie mieć szczęście, to tutaj będzie wasz nowy dom. Zabierzcie, co wasze i chodźcie — ponaglił opieszale gości.

Gdy wyszli na plac przed Wspólnotą, kilku strażników stojących na szczycie muru przyjrzało im się ze znudzeniem. Przed samym wejściem znajdował się duży półotwarty namiot, w którym uzyskiwało się pozwolenia na wejście. Dzik zacisnął nerwowo kciuki z nadzieją, że trafi na Mike’a. Na szczęście, tuż po przekroczeniu progu dostrzegł ciemnowłosego chłopaka o potężnej muskulaturze siedzącego przy biurku.

— Hej, stary — zawołał z wejścia, a Mike oderwał głowę od papierów, którym się przyglądał.

— DZIKI! — uradowany mężczyzna wstał i podszedł do niego. Po wymianie krótkiego uścisku, usiadł z powrotem przy biurku, rozkładając się non-szalancko na krzesło. — Nie widzieliśmy się od ostatniego Błysku... Tak ciężko ci do mnie zajrzeć? — spytał z lekkim wyrzutem.

— Kuba nie chce, żebyśmy zbyt często odwiedzali Wspólnotę — wytłumaczył się, siadając po drugiej stronie biurka.

— A co on? Jakąś awersję ma do nas? — spytał skonsternowany Mike drapiąc się po brodzie.

— Wiesz, że do tej pory nie wiadomo, kto odpowiada za wydarzenia w przedszkolu. Do środka musiał wnieść ich człowiek...

Słyszając to, Mike zrobił zaciętą minę. — Przecież tego nie zrobił nikt ze Wspólnoty, ludzie mogą być dupkami, ale to nie Armia Daniela. Tu nikogo nie bawi rzucanie innych Niewykształconym na rzeź — stwierdził dobitnie.

— Wiem Mike, i Kuba też to wie, ale ktoś zadał sobie sporo trudu, żeby uderzyć w Autobus. A teraz we Wspólnocie kręci się sporo przypadkowych osób. Może nasz potencjalny psychol kryje się wśród nich? — wytłumaczył jeszcze raz Dziki.

— No, może coś w tym jest. Zapomniałem o tym pogadać z Wilkiem. Jak następnym razem odwiedzi Wspólnotę, to mu o tym wspomnę. Może coś „powęszy”...

— Mike obrócił się nagle dostrzegając stojących u wejścia do namiotu Nowoprzybyłych. — Oni są z tobą?

Dziki skinął głową z błagalną miną. — Tak, wyrzuciło ich dzisiaj. Pomyślałem, że może dasz radę ich upchnąć...

Mike słysząc go, zmarszczył czoło. Wyglądał teraz na mocno zawiedzionego. — Nie spodoba ci się to, co usłyszysz — stwierdził, a Dziki przekreślił z zainteresowaniem głowę. — Wspólnota powoli osiąga limit pojemności. Nie rozdają wejściówek tak hojnie, jak kiedyś. Jeżeli nie potrafią nic szczególnego, to małe szanse, że tu zostaną...

— Nie możesz na to wpłynąć? — spytał jeszcze raz z nadzieją, ale Mike pokręcił głową. — Nie mogę już rozdawać wejściówek stałych. Teraz zajmuję się tylko chwilówkami dla handlujących. Od nadawania miejsca we Wspólnocie jest inny gość...

— A możesz go ściągnąć? Przecież spróbowanie nic nie kosztuje, a dajemy tym chłopakom szansę — spytał Dziki, ciągle myśląc o obietnicy złożonej Oli.

Mike nie wyglądał na szczególnie chętnego, by zrobić cokolwiek w tej sprawie. W końcu jednak błagalny wzrok Dzkiego musiał ruszyć jego sumienie, bo zirytowany podniósł się z krzesła.

— Dobra niech ci będzie, ale obydwaj nie będziemy tym zachwyceni — wycodził przez zęby i z marsową miną ruszył przez wejście, znikając po chwili za murami.

Dwaj Nowoprzybyli wkroczyli niepewnie do wnętrza namiotu. — Co teraz będzie? — spytał Sebastian, patrząc z lękiem na uzbrojonych ludzi krążących po murach.

— Przyjdzie pewnie ktoś, kto oceni, czy możecie zostać. Sam nie wiem. Ostatnim razem odbywało się to trochę inaczej...

Przez dłuższy czas nikt się jednak nie pojawiał. Dziki zerknął nerwowo w stronę autobusu. Nie chciał trafić na moment ataku Niewykształconych, koczując pod murami. Na ulicy prowadzącej do Wspólnoty byli trochę jak w pułapce.

Po kilku przeciągających się minutach, pojawił się w końcu Mike. Wściekły jak osa runął na swoje na miejsce. Tuż za nim do namiotu weszła postać, na której widok Dziki poczuł ogromny kamień w dole brzucha. Urzędnikiem okazał się nie kto inny jak „Ostry” — Weteran, który był członkiem Wspólnoty w momencie pojawienia się Dzkiego. Od samego początku mężczyźni palali do siebie ogromną niechęcią. Ostry ciągle uważał, że Dziki nie zasłużył na miejsce we Wspólnocie i dostał je tylko ze względu na przyjaźń z Mikiem.

— Proszę, proszę, proszę. No kogo to moje oczy widzą. Nowa żywa legenda Krańcowa — zakpił mężczyzna, spoglądając z nienawiścią w stronę Dzkiego. — Niesamowite, że taka osobistość znajduje jeszcze czas na odwiedzenie Wspólnoty...

— Witaj — odpowiedział Dziki, starając się hamować ze wszystkich sił.

Mike obrzucił Ostrego chłodnym spojrzeniem. — Tylko zachowuj się profesjonalnie — wycodził przez zęby.

— Oczywiście, Mike, podobnie jak ty nie będę brał pod uwagę układów czy wewnętrznych urazów — zakpił ponownie Ostry, po czym spojrzął na biurko. — Wiesz nogi mnie trochę bolą... Czy mógłbyś?

Mike wyglądał, jakby marzył o przestawieniu Ostremu facjaty. Wziął jednak głęboki oddech i tłumiąc nerwy, stanął obok Dzkiego, ustępując mężczyźnie miejsca.

— O, dziękuję ci... — skwitował sztucznie Ostry i rozciągnął się na krzesło. — No to Nowoprzybyli, zapraszam.

Dziki skinieniem głowy zachęcił chłopaków by podeszli do biurka, a Ostry przyglądał się im prowokująco, z radością przeciągając całą sprawę. Mike zacisnął nerwowo pięści, ale nie odezwał się nawet słowem.

— Bardzo przeciętne warunki fizyczne... zwłaszcza ten niższy — stwierdził w końcu Ostry, spoglądając przy okazji na Dzkiego, by zobaczyć jego reakcje. — Ile macie lat? — spytał skupiając się ponownie na Nowoprzybyłych.

— Siedemnaście — odpowiedział Marek.

— Dziewiętnaście — wyszeptał za nim Sebastian.

— Ooo — zawył Ostry, kręcąc głową — ...to niedobrze. Wiecie, to znaczy, że raczej nie skończyliście żadnej szkoły, która mogłaby nam się przydać. Jakiejś medycznej albo technicznej — stwierdził głosem pełnym udawanego współczucia. Jednocześnie ponownie zerknął w stronę Dzikiego. Może miał nadzieję, że ten nie wytrzyma i wtrąci się w całą sytuację, dając mu pretekst do natychmiastowego skreślenia chłopaków. — No dobrze, spytam profilaktycznie. Czy któryś z was zna się na: medycynie, mechanice, elektryce? Kończył kursy pielęgniarstwa? Tokarstwa? Jest utytułowanym mistrzem jakiejś sztuki walki?

Nowoprzybyli raz za razem kręcili głowami, a uśmiech Ostrego robił się coraz pełniejszy.

— Czy któryś z was uczestniczył w grupach rekonstrukcyjnych, klubach ASG albo miał podstawowe przeszkolenie w jakieś jednostce militarnej?

— Ja byłem w wojsku! — zawołał niespodziewanie starszy z chłopaków, a Ostry spojrzał na niego z politowaniem.

— Doprawdy... Mike pozwolisz swojego AK-acza?

Nie czekając na odpowiedź, Ostry praktycznie zdjął Mike'owi broń z ramienia i położył ją na biurku. — Rozbierz go i złóż... — rozkazał starszemu chłopakowi.

Sebastian patrzył się przez chwilę na broń i w końcu podniósł ją z blatu. Ostry oparł rękę na swoim pistolecie, zerkając złowieszczo w stronę Dzikiego. Może liczył na to, że chłopak spróbuje czegoś głupiego? Ten, przyglądał się przez chwilę karabinowi, po czym z rezygnacją na twarzy odłożył go na miejsce, szepcząc przy tym coś, co brzmiało jak — „zapomniałem”.

— No tak, tak, zdarza się zapomnieć czegoś, czego uczą cię w wojsku od samego początku — zakpił Ostry. — W takim układzie, ostatnie pytanie — dodał po chwili. — Czy któryś z was wie o jakimś miejscu, gdzie znajduje się broń lub duże zapasy amunicji?

Chłopcy popatrzyli na siebie, Marek wybąkał coś o komisariacie, na co Ostry ledwo powstrzymał się od śmiechu.

— No to chyba koniec. Przykro mi moi mili, Wspólnota nie ma żadnego powodu, by przyjąć was w swe szeregi. Musicie próbować szczęścia sami. No, ale taki zacny Weteran jak Dzikie będzie doskonałym mentorem. Nauczy was jak przetrwać w tym bałaganie. Powodzenia!

Ostry wstał i miał już zamiar iść w stronę wejścia, ale Dzikie zawołał za nim.

— Naprawdę tak chcesz to rozegrać, skąszes dwóch chłopaków na śmierć, bo masz do mnie żal...

Ostry wrócił się i stanął naprzeciw niego. — Dzikie, wiesz jaki jest twój problem? Taki, że uważasz się za cholerny pępek świata. Masz jakieś dziwne wyobrażenie, że wszystko rozbija się o ciebie. Naprawdę wydają ci się, że gdyby tych dwóch umiało cokolwiek przydatnego, to odmówiłbym im wstę-

pu, bo cię nie lubię? Prawda jest taka, że oni nic nie potrafią i nic nie mają. Wspólnota gościła już dostatecznie dużo bezużytecznych ludzi...

Dzikie nie mogąc dłużej utrzymać nerwów na wodzy, złapał go za kurtkę i warknął: — Na przykład ciebie?

Ostry chyba tylko na to czekał, bo od razu złapał za pistolet, który wisiał mu przy pasie. Ale nim zdążył wyszarpać go z kabury, Mike ścisnął go za kark, rycząc wściekle. — NO, SPRÓBUJ TYLKO!!!

Mężczyzna, przeginając się z bólu podniósł ręce w geście poddania. W tym momencie Dzikie puścił jego kurtkę, a Ostry natychmiast wyswobodził się z uścisku Mike'a. Stając momentalnie na skraju namiotu, spojrzał z wyższością na pozostałych.

— Zapamiętaj sobie, Dzikie! Póki ja oceniam ludzi, żaden balast nie przekroczy więcej progu Wspólnoty! Więc może oszczędź nam prawa trzech i nie targaj tu więcej tego grata — wycedził wściekły i odwracając się na pięcie, ruszył w stronę bramy.

Dzikie opuścił zrezygnowany głowę, a Mike zamarł, śląc mordercze spojrzenia w plecy Ostrego.

— *Czyli koniec...* — pomyślał Dzikie. — *Możemy już zapomnieć o tym, że załatwimy tu komuś miejsce.*

Oczywiście nawet z pomocą Mike'a nie każdemu udało się zapewnić schronienie za murami Wspólnoty. Niemniej od kiedy Dzikie został strażnikiem zostawili już tutaj masę osób. Teraz przez samą zawiść ze strony Ostrego, nie było na to najmniejszych szans.

Dzikie miał już zamiar podziękować przyjacielowi za pomoc i zabrać Nowoprzybyłych do autobusu, gdy Mike zawołał do Ostrego.

— A „prawo zaproszenia”?!

Ostry zatrzymał się nie odwracając nawet w ich stronę. — I jak to sobie wyobrażasz? Że będę latał po Wspólnocie, dopytując czy ktoś z „prawem zaproszenia” nie chce sobie przyjąć jednego z nich? Chyba śnisz, Mike!

Ten rzucił kolejne wściekle spojrzenie na Ostrego, po czym zwrócił się do chłopaczków. — Wasze pełne imiona i nazwiska. Już!

— Marek Kuszewski. Sebastian Lankiewicz — odpowiedzieli Nowoprzybyli.

Mike podbiegł do muru i machnął do jednego ze strażników, w którym Dzikie rozpoznał Danielewskiego. Gdy ten nachylił się, pośpiesznie wyszeptał mu coś do ucha. Danielewski kiwnął głową i prostując się, zawołał w stronę Wspólnoty.

— MAREK KUSZEWSKI I SEBASTIAN LANKIEWICZ CZEKAJĄ POD MURAMI! JAK JEST TU KTOŚ Z ICH RODZINY ALBO PRZYJACIÓŁ, NIECH WYJDZIE!

— Co ty do cholery robisz? — krzyknął w stronę strażnika Ostry, po czym ruszył wściekle na Mike'a. — I myślisz, że ktoś wyjdzie? Że coś na tym ugrasz? — zawołał oburzony wciskając mu palec w mostek.

Mike nie odpowiedział, tylko stanął sztywno, zerkając z nadzieją w stronę bramy. Dziki zrozumiał, że jeszcze nie wszystko było stracone. Nie wiedział dokładnie na czym polega „prawo zaproszenia”, ale domyślał się z samej nazwy, że byli ludzie mający możliwość zapraszania do Wspólnoty poza oficjalną drogą. Sam spojrzał w stronę bramy licząc, że jest jeszcze jakieś światelko w tym tunelu między autobusami.

— *No dalej... dalej... niech ktoś w końcu wyjdzie...* — powtarzał w myślach zaciskając z nerwów pięści.

Z każdą chwilą Mike pochmurniał coraz bardziej, a na twarzy Ostrego pojawiał się wyraz triumfu.

— No, to byłoby chyba na tyle... — stwierdził w końcu Ostry, gdy nagle Danielewski zawołał z muru.

— Ktoś idzie!

Dziki poczuł jakby wielki kamień, który miał w brzuchu, zmienił się niespodziewanie w balonik. Przez bramę przeszedł mężczyzna, około trzydziestki w czerwonej flanelowej koszuli.

Widząc go, Mike odetchnął z ulgą. — Mamy szczęście... — szepnął Dziukiemu do ucha. — To Borys, główny elektryk. On ma „prawo zaproszenia”!

Mężczyzna zbliżył się do nich, a jego oczy rozszerzyły się. — Marek? Marek! — zawołał w stronę jednego z Nowoprzybyłych i podbiegł uściskać go — tyle czasu...

Zszokowany Marek stał przez chwilę sztywno, ale już po chwili musiał rozpoznać mężczyznę i ścisnął go równie mocno.

Ostry widząc to, spojrzał z nienawiścią w stronę Mike'a. — Cholera by was... — syknął, a mężczyźni zbliżyli się do niego.

— Dobrze, że tu jesteś Ostry! Chcę dołączyć Marka do Wspólnoty — stwierdził pewnie Borys.

— Możesz to zrobić tylko raz. Jesteś pewien, że chcesz zaprosić właśnie jego — spytał Ostry z nadzieją, że jeszcze uda mu się zagrać na nosie Dziukiemu.

— To mój brat! Na kogo myślisz mam tu czekać — odpowiedział zirytowany mężczyzna.

— Dobrze... — westchnął Ostry. — Niech włazi, zaraz zajmę się papierologią. Borys skinął głową i razem z Markiem zbliżyli się do Dzikiego. — Dziękuję ci, że go tu przywieźliście — stwierdził wyciągając dłoń.

Mężczyzna wyglądał na naprawdę szczęśliwego, więc Dziki spróbował to wykorzystać.

— Jasne nie ma sprawy! Ale powiedz... Nie znasz może kogoś, kto mógłby wciągnąć tego drugiego chłopaka?

Borys spojrzał na Sebastiana i pokręcił głową. — Poza zwyczajową rekrutacją, każdy może zaprosić tylko jedną osobę. Niestety, ale każdy trzyma miejsce na wypadek, gdyby pojawił się ktoś naprawdę dla niego ważny...

— Rozumiem... — odpowiedział Dziki, ściskając teraz dłoń Markowi — dobrze, że chociaż tobie się udało.

Ostry skończył w międzyczasie wypisywać jakiś papier, który następnie podał chłopakowi. — Twoja przepustka. Dopóki strażnicy nie zapamiętają twojej gęby, noś ją cały czas przy sobie, bo wylądujesz za murami — stwierdził z wściekłą miną, po czym ruszył w stronę wejścia.

Mike odetchnął z ulgą, a Dziki obrócił się w jego stronę.

— Dzięki, Mike — powiedział, klepiąc go po plecach.

— Cholera by cię, Dziki... Znowu się przez ciebie podłożyłem. Wiesz to prawo niby obowiązuje, ale korzystanie z niego jest...obecnie niemile widziane. Co ci będę tłumaczył? Ja mam nieoficjalny przykaz by nie dopuszczać do takich sytuacji...

— Sorry, Mike, to się więcej nie powtórzy — westchnął Dziki.

Mike słysząc jego skrucę, odetchnął po raz drugi już nieco spokojniejszy.

— Teraz to już nieważne. Ostry potrzebował, żeby przytrzeć mu nosa. A co zrobisz z nim? — spytał, wskazując na drugiego z Nowoprzybyłych.

— Siedem dni z nami, a potem musi sobie poradzić — westchnął Dziki, zerkając w stronę Sebastiana, który stał jak w transie. — Muszę przez niego kupić trochę zapasów. Kto da dobrą cenę na paliwo?

— A dużo chcesz sprzedać i co bierzesz w zamian?

— Setkę za jakieś normalne żarcie.

— To idź do Siwego, ma spoko jedzenie i chyba ze trzy agregaty, więc paliwa na pewno potrzebuje...



Rozdział II

Cień ręki

Po wejściu do Wspólnoty, Dzikiego zaskoczyła pustka bijąca z jej wnętrza. Cały dawny parking przed budynkiem dworca, zwykle zatłoczony był Weteranami handlującymi tym, co udało im się wyszabrować na mieście. Teraz plac był prawie całkiem opustoszały. Jedynym miejscem, w którym dało się dostrzec jakiegokolwiek ruchu, był budynek baru. Z jego wnętrza dochodziły dość głośne rozmowy, a na w półotwartych drzwiach co chwila przemykała jakaś postać.

Dziki zobaczył też niewielką grupę ludzi przy zbiorniku na wodę, ustawionym na skraju placu. Minawszy wyczekujących niecierpliwie na swój przydział mieszkańców, ruszył w głąb Wspólnoty. Po kilku minutach marszu doszedł niemal do muru po drugiej stronie.

Tam też natrafił na pierwszy punkt handlowy mający siedzibę w dawnej hurtowni okien. Nowy właściciel zamalował oryginalny szyld własnym hasłem:

„Faktoria Sępa – Kupuj bez odrazy”

Dziki uśmiechnął się pod nosem, rozumiejąc doskonale przesłanie tego sloganu. Właściciel konkurencyjnego punktu handlowego — Siwy, był ordynarnym homoseksualistą słynącym ze skłonności do obrzydliwych i prowokujących zachowań. Z drugiej strony, pocieszająca była myśl, że „swoich klientów nigdy nie ruszał”.

Mijając placówkę Sępa, Dzikiego skierował się do dawnej jadalni, w której Siwy urządził swój sklep. To miejsce musiało pasować idealnie do jego specyficznego gustu. Budynek stylizowany na starą karczmę, miał przepastny ogródek piwny z drewnianymi stolikami, eleganckie białe altanki i małą fontannę. Ta zaś tryskała jakąś różową, przypominającą płyn chłodniczy cieczą. Najwidoczniej nawet ktoś tak bogaty jak Siwy, nie mógł sobie pozwolić na rozrzutność, jeśli chodziło o wodę.

Przechodząc przez ogródek, Dzikiego dostrzegł pamiątkę, którą właściciel zachował sobie ze swojej starej placówki handlowej. Ogromny szyld „Bajkolandia” wisiał tuż nad wejściem, witając przybyłych petentów. Przyglądając mu się z pewną nostalgią, zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. W przepastnym pomieszczeniu służącym dawniej za główną salę jadalną, dostrzegł dwie postacie siedzące razem przy stole.

Pierwszą z nich była kobieta, na którą mówili Zjawa. Dziki wiedział jedynie, że była Weteranką pracującą dla Siwego i że pojawiła się niedługo po Dix. Nigdy jednak nie miał okazji z nią porozmawiać. Nikt też nie wiedział szczególnie dużo na jej temat.

Zjawa mogła uchodzić za postać dość ekstrawagancką. Miała bowiem niebieskie włosy, ufarbowane pod kolor noszonego przez nią morskiego maskowania. Choć wyglądało to ciekawie, za nic nie mogło służyć jako praktyczny kamuflaż. Dziki zastanawiał się nawet, czy nie miało to działać jak czerwone kombinezony Defektu. Może kobiecie chodziło o to, by wszyscy już z daleka wiedzieli, że to właśnie ona...

Drugą osobą siedzącą przy stole był Maniek, dawny członek strażników Wspólnoty. Przez długi czas Dziki uważał go za swojego dobrego kompana. Niestety, po tym jak został dotknięty przez Delimera, Maniek niemal doprowadził do jego linczu. Niedługo potem został on wykluczony z szeregów strażników i finalnie trafił do Siwego. Nowa praca bez wątpienia mocno mu się przysłużyła. Swoją wyświechtaną i znoszoną mundur wojskowy, zamienił na elegancki, zielonkawy kombinezon oddziałów specjalnych. Miał też kamizelkę kuloodporną, znacznie grubsza niż ta Dzikiego, a na stole obok niego leżał pistolet maszynowy MP5.

Zjawa i Maniek zabijali czas, grając w warcaby. Dziewczyna była ewidentnie znudzona rozgrywką, bo popychała czerwone krążki bez śladu zaangażowania. Maniek znacznie bardziej wciągnął się w grę, przez co nie zauważył nawet Dzikiego, któremu Zjawa przyglądała się niemal od wejścia.

— Kurwa, znowu... — zaklął pod nosem, widząc jak dziewczyna obraca damkę.

— Masz gościa — ziewnęła najemniczka i odeszła od stołu, rozprostowując się.

Maniek obrócił się i skamieniał, gdy tylko dostrzegł Dzikiego. Mężczyźni przyglądali się sobie przez chwilę. Dla obydwu sytuacja była dość kłopotliwa. W końcu to Dziki postanowił przerwać niezręczną ciszę.

— Hej, Maniek — zawołał wciąż stojąc w progu.

— Cześć, stary... — odpowiedział mężczyzna, spoglądając na niego niepewnie. — Dobrze cię widzieć całego...

Dziki wziął głęboki oddech, tłumiąc w sobie żal. Nie przyszedł tutaj rozdrapywać starych ran. Miał biznes do Siwego, a do tego trochę mu się spieszyło. Autobus stał pod bramą już od pół godziny, a Niewykształceni mogli nadejść w każdej chwili.

— Jest Sze? Chcę trochę pohandlować.

— Tak, jasne. Jest na górze... Tylko musisz zostawić broń. Znasz zasady — odpowiedział Maniek, wyciągając niepewnie rękę.

Mężczyzna bał się nawet spojrzeć Dzikiemu w oczy. Wyrzuty sumienia musiały dręczyć go naprawdę mocno. Dziki bez nerwów oddał mu

swoją broń i ruszył powoli schodami na górę. Gdy był już w połowie drogi, Maniek zawołał za nim.

— Słuchaj, jeżeli chodzi o to wtedy... we Wspólnocie to...

Dziki przerwał mu momentalnie, nie dając szansy na wytłumaczenie.

— Maniek, to co wtedy zrobiłeś, zaważyło na moim losie. Kto wie, może gdybyś nie narobił takiego rabanu, dał mi to wszystko wtedy wyjaśnić na spokojnie... może dalej byłbym członkiem Wspólnoty. Ale inaczej zdecydowałeś. Naprawdę potrafisz zrozumieć, co tobą kierowało. Ktoś w czasie mojej ucieczki przed Delimerem nauczył mnie, jak ważne jest rozumieć postępowanie innych. Nie chowam urazy i nie szukam zemsty, ale jeśli chcesz wybaczenia, to jeszcze trochę za wcześnie — wyrzucił z siebie i ruszył na górę.

Maniek nie zatrzymywał go więcej.

Na piętrze baru znajdowały się w Starym Świecie pokoje do wynajęcia. Dziki nigdy tutaj nie był, ale miał wrażenie, że Siwy niewiele zmienił z oryginalnego wystroju. Dość długim korytarzem szło się wzdłuż wejść do poszczególnych pomieszczeń. Na drewnianych drzwiach wydrapane były pseudonimy zajmujących je osób. Był tam między innymi pokój Zjawy i Mańka, a kawałek dalej budzące grozę pomieszczenie dla „piesków”.

Ostatni pokój znajdujący się u szczytu korytarza, należał do Siwego. Jako jedyny miał drzwi przyozdobione jednorożcem z różowym szalikiem na szyi. Dziki zapukał, przygotowując się w duchu, na to, co go czeka.

— Zapraszam — odezwał się przesłodzony głos za drzwiami.

Dziki wszedł do gabinetu Siwego. Właściciel Faktorii leżał na rzymskiej leżance, spoglądając ze znużeniem na ogromny płaski telewizor. Widząc gościa, poderwał się jednak momentalnie, rozrzucając przy tym miskę cukierków i swoim przesłodzonym głosem zawołał. — O... Mój... Jejciu... Dzi... ku... sek... — przesylabizował i już po chwili wtulał się w Dzikiego. — Brutalu, tak długo kazałeś mi czekać. Zapomniałeś już o kochanym Siwym... — zawołał z wyrzutem.

— Przepraszam cię, Siwy, ale miałem sporo na głowie. Nie mówiąc już o tym, że ze Wspólnotą nie mam najlepszych wspomnień — skłamał zgrabnie Dziki.

Wiedział dobrze, że nawet gdyby miał niesamowicie dużo wolnego czasu, to i tak nie odwiedziłby Siwego bez potrzeby.

— Och, no tak, masz teraz dużo obowiązków jako strażnik tych nieboraczków w autobusie. Mimo wszystko cieszę się, że wyrasta z ciebie prawdziwy weteranek — zawołał. — A właśnie, czekaj! W końcu muszę ci kogoś oficjalnie przedstawić. Ostatnim razem nie mieliśmy dość czasu. ZJAWA! — krzyknął właściciel Faktorii, a jego głos obył się echem po korytarzu.

Po jakiejś sekundzie cały pokój rozświetliło. Dziki złapał się odruchowo futryny wystraszony, że właśnie pojawił się Błysk. Tylko, że było na to zdecydowanie za wcześnie. Przecież jeden Błysk dopiero co się skończył. Po chwili

zrozumiał, co mogło być przyczyną tego dziwnego rozświecenia. Pośrodku pokoju pojawiła się Zjawa, która na pewno nie wbiegła tutaj przez drzwi.

Na jej widok Siwy wybuchnął niespodziewanie, porzucając na chwilę swój przesłodzony ton. — **DZIEWCZYNO, DO CHOLERY! PRZEZ TWÓJ LEKCEWAŻĄCY STOSUNEK DO BŁĘDÓW WSZYSCY SKOŃCZYMY, CHORUJĄC NA DEFEKT!**

Weteranka nieszczególnie przejęła się reprimendą, bo pokręciła jedynie głową z irytacją, wznosząc oczy.

— Przepraszam cię za ten wybuch, Dzikusku — zaczął Siwy już swoim normalnym głosem. — Zjawa to moja najlepsza najemniczka, ale jednocześnie jest strasznie... nierozważna. Zjawo, zawołałem cię, bo chciałem ci przedstawić...

— Kolejnego klienta, do którego robisz maślane oczy? — wtrąciła dziewczyna.

Dziki pomyślał, że było to naprawdę zuchwałe z jej strony. Wszyscy pracownicy Siwego traktowali go z szacunkiem, nawet jeżeli brzydzili się nim za plecami. Zjawa musiała mieć tu jednak specjalne przywileje, bo Siwy ścisnął tylko przez chwilę usta i kontynuował swoim zwyczajowym słodkim tonem.

— Nie, moja droga. Chciałem ci przedstawić pogromcę Delimera, o którym wszyscy we Wspólnocie tak rozprawiają — zripostował Siwy i z wyraźną satysfakcją przyglądał się, jak na twarzy Zjawy pojawiło się zainteresowanie. — No, mój drogi. Opowiedz o tym, proszę. Wiesz, że po Krańcowie krąży tyle różnych wersji. Chcemy oboje usłyszeć prawdę, prosto od ciebie.

Siwy ponownie rozłożył się na leżance, oczekując rozpoczęcia historii. Zjawa zaś oparła się w drzwiach, nie odrywając wzroku od Dzikiego.

Ten ledwo powstrzymał się, by nie okazać irytacji. Niemniej przewidywał, że Siwy nie odpuści mu opowieści jak pokonał Delimera. Nic natomiast nie zmuszało go, żeby powiedzieć chociaż słowo prawdy. Miał zamiar skrócić historię do minimum, bo ciągle dręczyła go myśl o autobusie pod murami. Na szczęście, przewidując taki obrót spraw, przygotował sobie po drodze odczepną historię, pozbawioną większości szczegółów i ważniejszych wydarzeń.

Opowiedział jedynie o tym, że spotkał Pierwszego, bo o tym na pewno wszyscy już wiedzieli. Wspomniął, że ten pomagał mu się ukrywać, a potem skłamał, że pomógł walczyć z potworem, którego w końcu wspólnie pokonali. Zupełnie pominął fakt przejścia przez Strefę Zamarcia i tego, co spotkało go po drugiej stronie. O tym wiedzieli tylko Dix, Krzak i Mike oraz oczywiście sam Pierwszy.

Siwy i Zjawa wysłuchali jego wydumanej opowieści z wyraźnym zainteresowaniem. Pod koniec historii dziewczyna spytała. — Jakim cudem odnalazłeś Pierwszego? Ja próbowałam go znaleźć przez bardzo długi czas i nic.

— To nie tak, że ja go znalazłem — sprostował tym razem szczerze Dzik. — To on zaoferował mi pomoc. Myślę, że jeżeli Pierwszy nie chce być znaleziony, to nikt go nie znajdzie. Patrz przykład Defektu i Dix ścigających go od lat.

Zjawa popatrzyła na niego badawczo.

— A domyślasz się, gdzie go teraz szukać?

Dziki czując, że na tę historię poświęcił już za dużo czasu, nie bardzo miał ochotę dzielić się swoimi domysłami i prowokować przez to kolejne pytania.

— Jeżeli słyszeliście o tym, co stało się przy „Lesie Ludzi”, a podejrzewam, że ta historia również tu dotarła, to sama się pewnie domyślasz, że on może już nie chcieć się ze mną spotkać. To oznacza, że i ja go już więcej nie znajdę.

— No, szkoda — skomentował wyraźnie zawiedziony Siwy. — Pierwszy byłby niezłym rarytasem w mojej kolekcji najemników...

— Siwy, przepraszam, ale czas mnie nagli — wtrącił Dziki, licząc, że w końcu uda mu się przejść do głównego celu wizyty. — Zanim wrócę do Autobusu, zastanawiałem się, czy nie chciałbyś kupić trochę ropy?

Widząc, że właściciel Faktorii uśmiecha się słysząc jego pytanie, odetchnął z ulgą.

— Dzikusku, spadłeś mi z nieba. Jeszcze parę dni i musiałbym siedzieć tu przy świeczkach. Ile masz na sprzedaż i co chcesz w zamian? — spytał zerkając na niego zalotnie, na widok czego Zjawa wywróciła oczami.

— Sto litrów, a interesuje mnie głównie żywność i woda.

Siwy słysząc to, pokiwał zadowolony głową.

— Świetnie się składa, bo niedawno miałem ogromną dostawę z miasta: puszki z długoterminową żywnością, słoiki z przetworami i soki w butelkach. Wody niestety nie mam na zbyciu...

— Soki więc muszą wystarczyć — stwierdził Dzik.

Siwy pośpiesznie przeliczył coś na palcach. — Dam ci dobrą cenę! Jak dla starego przyjaciela. Więc może tak, 30 puszek konserw, 20 słoików z mięsem i 50 litrów soku. Pasuje?

Dziki przytaknął, chociaż prawda była taka, że nie orientował się jeszcze dobrze w Wspólnotowych cenach. Mimo iż mógł przez to dać się naciągnąć, to nie przejmował się tym szczególnie. Miał już spore doświadczenie w zbieraniu paliwa i jego stan mógł uzupełnić o wiele sprawniej, niż nadrabiać braki w żywności.

— No to cudnie — zapiał Siwy, klaszcząc w ręce. — Zjawo, dopilnuj proszę wymiany.

— Jasne... — westchnęła dziewczyna znudzonym głosem i skinieniem głowy dała Dzikiemu znak, że wracają na dół.

Zeszli na pusty parter. Maniek musiał pójść do siebie, ale broń Dzikiego leżała ułożona na stole. Zabrał więc swój pistolet i kbks, po czym ruszył za Zjawą na zewnątrz. Jak się okazało, Faktoria miała swój magazyn w przepastnym garażu, stojącym na tyłach budynku.

— Poczekaj chwilę. Muszę załatwić kogoś, kto przeleje paliwo — nakażała dziewczyna.

Po chwili, Dzikiego oślepił przerażający błysk, jakby ktoś strzelił mu flesem prosto w twarz. W tym samym momencie Zjawa zniknęła, zostawiając go samego. Pojawiła się ponownie po kilku minutach, tym razem już idąc normalnie od strony baru. W drodze powrotnej przyprowadziła ze sobą wózek sklepowy.

— Możesz się zapakować w to — powiedziała, otwierając drzwi do magazynu.

Dziki wszedł do środka i zaczął wkładać do koszyka kartony z konserwami. W międzyczasie spróbował zagadnąć do dziewczyny, której umiejętności naprawdę go zaintrygowały. — Tak się zastanawiam, czemu pracujesz akurat dla Siwego? Osoba taka jak ty poradziłaby sobie wszędzie. Założę się też, że każdy chciałby mieć ciebie u siebie...

Zjawa popatrzyła na niego wyraźnie zdziwiona. — Miałabym porzucić bezpieczne życie we Wspólnocie, żeby się włączyć z jakimiś pajacami na zewnątrz? Jeszcze nie upadłam na głowę. A pracuję dla Siwego, bo może mi zapewnić luksusy, jakich nie da nikt inny. Gorąca woda, mięciutkie łóżko, prąd. Poza tym, nie będąc w kręgu jego zainteresowań płciowych, nie jestem przy najmniej ciągle nagabywana — stwierdziła dobitnie.

Dziki przytaknął, bo argumenty dziewczyny były jasne. Teraz jednak, gdy udało mu się wciągnąć ją w rozmowę, postanowił spytać o to, co nurtowało go najbardziej.

— Musisz doskonale znać się na błędach i używać ich zgodnie z Pierwotną Wolą, skoro jeszcze nie złapałaś defektu... — zaczął spokojnym, wyluzowanym tonem, jakby chciał poprowadzić rozmowę o pogodzie.

Dziewczyna popatrzyła na niego zszokowana. — Nawet jeśli, to nie jest twój interes — wypaliła i obróciła się w stronę budynku baru. Dała tym jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalsze rozmowy.

Dziki westchnął zrezygnowany. Po raz kolejny uciekła mu okazja dowiedzenia się czegoś więcej o błędach. Zauważył już, że ludzie z nich korzystający mają jakąś obsesję na punkcie utrzymywania całej swojej wiedzy w tajemnicy. Nawet Kuba, na którego polecenie Dziki strzegł Autobusu, nie był w ich temacie zbyt wylewny. Na ogół zbijał wszystkie zadawane mu pytania głupimi wymówkami. Dlatego miał cichą nadzieję, że udając przed Zjawą kogoś znającego się na rzeczy, wyciągnie od niej jakąś ciekawostkę. Niestety, prawda wyglądała tak, że nawet nie wiedział czym była „Pierwotna Wola”. Usłyszał po prostu to sformułowanie z ust Pierwszego.

Po kilku minutach Dziki spakował umówione zapasy do wózka, zapelniając go sporo ponad wysokość kratki. Choć jedzenie wydawało się świeże i dobrej jakości, to z jednego powodu był niezbyt zadowolony. Nie udało mu się kupić wody. Z doświadczenia wiedział, że słodzone soki wychodziły błyskawicznie.

Nie marudząc już jednak ani chwili, wypchnął zapasy na ulicę i w towarzystwie Zjawy ruszył do głównej bramy Wspólnoty. Mijani przez nich ludzie

z łapczywością przyglądali się zawartości wózka. Na szczęście towarzystwo najemniczek Siwego sprawiło, że nikt nie odważył się choćby zbliżyć, a co dopiero spróbować czegoś głupiego.

Po przekroczeniu szpary w murze, Dziki dostrzegł, że dwóch ludzi Siwego rozłożyło już pompę i duży mauzer na kołkach. Mężczyźni wyglądali na zniecierpliwionych i zapewne chcieli już wcześniej rozpocząć pompowanie, ale Janek postanowił poczekać z otwarciem baków na Dzikiego.

— Sprzedajemy? — spytał, gdy tylko zobaczył go pchającego wózek z zapasami.

— Taaa. Kupiłem trochę żywności, bo przez ten tydzień będziemy mieli dodatkowego gościa...

Kierowca zbierał już powietrze, by soczyście przekląć, ale powstrzymał się, bo Oli pojawiła się tuż za ich plecami.

— Szkoda, że Sebkowi się nie udało... — stwierdziła wyraźnie zmartwiona, stając obok Dzikiego.

Ten poklepał ją na pocieszenie po ramieniu.

— Nauczę go wszystkiego, co potrzebne. Oli powiedz Kryspinowi i Boćkowi, żeby zanieśli zakupy na górę.

W czasie, gdy gromada z autobusu zaczęła znosić zapasy, a ludzie Siwego rozpoczęli pompowanie, od strony muru zbliżył się Mike. Najwidoczniej w dzień po Błysku, nie było zbyt wielu chętnych do odwiedzin we Wspólnocie i miał trochę czasu na pogaduszki.

— Ładne zaopatrzenie! — stwierdził, przeglądając zawartość wózka. — Mnie by to starczyło na miesiąc...

Dziki pomyślał w tym momencie, że dobrze byłoby podziękować w jakiś sposób przyjacielowi za pomoc. — Poczekał chwilę, Mike! Będę miał coś dla ciebie!

Mówiąc to, popędził w stronę autobusu i gdy tylko wbiegł na piętro, zaczął przetrząsać zapasy. Po chwili wyciągnął ze skrzynki dwie duże butelki whisky, które znalazł niegdyś schowane na stacji benzynowej. Sam nie miał z nich żadnego pożytku, bo jako strażnik Autobusu nie mógł pozwolić sobie na pijaństwo i utratę czujności. Z kolei dla jego przyjaciela mogły one być doskonałym sposobem na umilenie sobie przykrych chwil. Zbiegając pośpiesznie na dół, przeleciał właściwie przez autobus i gdy tylko znalazł się obok Mike'a, wręczył mu z ukłonem obie butelki. Mężczyzna spojrzał na nie, jakby dostał co najmniej magazynkę amunicji.

— STARY! Dzięki! — zapiał radośnie.

Dziki odsunął się na chwilę, by zobaczyć, jak idzie ludziom Siwego. Ogromny zbiornik był już pełny w jednej czwartej, więc powoli zbliżali się do końca.

Wzrok Dzikiego skupił się na chwilę na górującej w oddali Wieży Ciśnień. Wtedy poczuł w żołądku jakiś nieprzyjemny ścisk i szepnął w stronę Mike'a. — Widujesz Dix?

Mike, który z lubością ciągle przyglądał się butelkom, odpowiedział dopiero po chwili.

— Czasami... Parę razy była tu pohandlować.

Dziki, czując drżenie serca spytał niepewnie: — A rozmawiałaś z nią?

— Tak, ale w ogóle nie pytała o ciebie... — odpowiedział Mike, ale po chwili zaśmiał się. — Cholera oczywiście, że pytała. Wypytuje o ciebie za każdym razem, gdy tylko jest we Wspólnocie. Tylko ja nie wiem, co mam jej mówić, skoro prawie mnie nie odwiedzasz — podsumował z wyrzutem.

— Wiem, stary — westchnął Dziki. — Miałem sporo na głowie, ale jak tęsknisz to mam miejsce w autobusie specjalnie dla ciebie — dodał na koniec.

Dziki myślał, że Mike potraktuje to jako żart albo zaczepkę, ale jego przyjaciel powiedział coś naprawdę nieoczekiwanego. — Wiesz, że czasami myślę, żeby stąd odejść? Mnie się coraz mniej ta „Wspólnota” podoba. Gdyby nie Krzak, to miejsce byłoby już lepszą wersją Strefy Głodu. I tak szczerze, to chyba jestem tu jeszcze ze względu na niego — stwierdził smutno, ale w końcu pokręcił głową jakby chciał wyrzucić z niej złe myśli i natychmiast zmienił temat.

— A ty jak sobie radzisz z tym wszystkim? Nie żałujesz, że odszedłeś?

Dziki nie odpowiedział od razu, ale nie miał powodu by ukrywać przed Mikiem prawdy. — Ciągle zastanawiam się nad decyzjami jakie podjąłem, ale w Autobusie czuje się naprawdę dobrze. Jakbym po raz pierwszy od dłuższego czasu nie martwił się tylko o przetrwanie, ale robił przy okazji to, co należy. Ten cel jakoś mnie napędza — odpowiedział, w końcu znacznie cklwiej niż miał zamiar na początku.

Mike słysząc to, skinął głową i popatrzył w stronę mauzera. Ludzie Siwego przelali już umówioną ilość paliwa do zbiornika i odczepiali właśnie pompę.

— To chyba wszystko — stwierdziła Zjawa. Na koniec pożegnała Dzikiego słowami: — Powodzenia na szlaku — po czym ruszyła do Wspólnoty.

Oczy Mike’a natychmiast powędrowały za odchodzącą dziewczyną, a Dziki nie musiał być szczególnie spostrzegawczy by zauważyć, że przyjaciel skrętnie ocenia jej „walory”.

— A jak tam twój romans z Zuzią? — zapytał z przekąsem.

Mike obrócił się z grobową miną. — Wiesz, że chyba miałeś rację? Ona flirtowała ze mną tylko dlatego, że zostawiałem w barze połowę kasy, jaką zarobiłem...

Dziki, który od początku wyczuł intencje dziewczyny, zaśmiał się pod nosem.

— Pewne rzeczy się nie zmieniły — stwierdził, klepiąc przyjaciela po ramieniu. — Będziemy się związać, Mike...

— No, rozumiem — westchnął mężczyzna wyraźnie pochmurniejac. — W takim układzie, trzymaj się Dzikiego. I zaglądaj, jak będziesz w pobliżu, do ciężkiej cholery!

— Obiecuję — odpowiedział Dziki, przyrzekając sobie w duchu, że kiedy tylko będzie to możliwe, odwiedzi Mike’a już bez żadnej ukrytej intencji.

Po skończonym pożegnaniu Dziki wszedł do autobusu i omiół wzrokiem siedzenia, upewniając się, że wszyscy są na swoich miejscach. Na szczęście tym razem udało mu się wypatrzyć Kryspina bez większych problemów, bo ten przechodził przez środek pojazdu z laptopem pod pachą. Znacznie spokojniejszy, zajął więc miejsce obok kierowcy.

— Dobra Janek, jedziemy.

Kierowca odpalił silnik, a jego mina wyraźnie skwaśniała, gdy spojrzał na kontrolkę paliwa. — Sporo oddałeś.

— Wiemy, gdzie znaleźć paliwo i zdobywanie go wychodzi nam sprawnie. Szukanie jedzenia w dużych ilościach, to inna bajka — wytłumaczył się Dziki.

Autobus nieśpiesznie wytoczył się z terenu Wspólnoty i ruszył drogą, mijając przy okazji Wieżę Defektu. Stojący na straży Defektowiec w czerwonym kombinezonie machnął im ręką, gdy przejeżdżali.

Dziki pomyślał natychmiast o Dix. Bardzo chciał zobaczyć ją ponownie i przez chwilę korciło go, by namówić Janka na mały przystanek. Szybko wybił sobie jednak ten pomysł z głowy. Pod Wspólnotą stali zdecydowanie za długo, a musieli jeszcze znaleźć na dziś jakieś miejsce, gdzie nie napatoczy się na nich banda potworów. — *Następnym razem...* — obiecał sobie, czując jak z tęsknoty zaczyna go boleć w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu.

— Dokąd? — spytał w końcu Janek, gdy byli już na wysokości przejazdu kolejowego.

Wyrwany z rozmyślań o swojej najbliższej Dziki na pewno nie był gotów ułożyć jakiegos zawilego planu trasy. Wypalił więc bez zastanowienia pierwsze, co przyszło mu do głowy. — Może na świetlistą polanę...

Kierowca skinął bez protestu głową i wrzucił wyższy bieg, rozpędzając autobus.

Skręcili ulicą w prawo, mijając po drodze kolejne zniszczone bloki. Dziki przyglądał się przez chwilę graffiti na jednej ze ścian, zachęcającemu do wstąpienia w szeregi Armii. Przedstawiało ono dość pokraczny rysunek samego wodza, u którego stóp wypisane było dość dosadne stwierdzenie:

„Daniel — twoja ostatnia nadzieja. Kieruj się na H-Market”.

Nagle Janek rąbnął w hamulec. Zamyślony Dziki ledwo uniknął roztrzaskania głowy o szybę autobusu, odruchowo łapiąc się kokpitu. Z ust pasażerów popłynęły natychmiast jęki i przekleństwa. Smalec darł się jak oszalały, bo utknął gdzieś z tyłu, zlatując między fotele. Oli, która szła akurat w ich stronę, runęła kolanami o podłogę.

Dziki chciał już do niej podbiec, ale dziewczyna sama poderwała się do góry i rozmasowując obite miejsca, dokuśtykała na przód pojazdu. — Co się stało? — spytała zbolalym głosem.

Kierowca bez słowa wskazał na coś palcem przez szybę, a Dzikiego spoglądają we wskazanym kierunku, zamarł. Kilkaset metrów dalej, na środku ulicy stała jakaś banda. Chcąc się jej przyjrzeć, przyłożył lornetkę do oczu i wtedy poczuł mrozący uścisk w sercu.

Prawie natychmiast dostrzegł Kolejarzy, potwornie przemienionych Niewykształconych, o ciałach przeszytych elementami infrastruktury kolejowej. Słyszeli oni z tryskania zabójczym prądem. Oprócz tego, całą gromadę Potłuków, ale tym, co przeraziło go najbardziej, były dwa górujące nad wszystkim „Krańcowskie Dziady”.

Dzikiego nigdy wcześniej ich nie widział, ale wygląd potworów znał dobrze z opowieści. Prawie trzymetrowe olbrzymy przypominały drzewa, które rozrosły się w kształt człowieka, którym ktoś przyczepił długie, stalowe brody, wyglądające jak druty.

Niewykształceni wmieszani byli w walkę między sobą, co akurat nie było niczym niezwykłym. Kuba powiedział kiedyś Dzikiemu, że nie wszyscy Niewykształceni tolerują się nawzajem i często zdarza się, że dwa różne gatunki są wobec siebie agresywne.

Przeglądając się starciu przez lornetkę, dostrzegł jak jeden z Dziadów uniósł Kolejarkę, zupełnie jakby podnosił w górę małe dziecko. Specjalista momentalnie wystrzelił kanonadą iskier i wyładowań elektrycznych, które przeskoczyły między palcami Dziada. Ten upuścił Kolejarkę i wściekle kopnął go swoją ogromną, przypominającą pień stopą. Trafiony Specjalista wbił się w ogrodzenie pobliskiego zakładu stomatologicznego. Drugi z Dziadów nie radził sobie tak dobrze i już po chwili runął na ziemię otoczony przez grupę Potłuków, bezlitośnie okładających go swoimi ogromnymi, maczugowatymi głowami.

Mieszkańcy autobusu zbiegli się natychmiast na przód, żeby przyjrzeć się temu okrutnemu widowisku, ale Dzikiego wiedział, że nie mogą sobie pozwolić na zbyt długi postój. Jak tylko potwory skończyłyby walkę ze sobą, prawo trzech bez wątpienia spowodowałoby je do ataku na autobus.

— Wstecz, Janek! — zawołał Dzikiego. — Nie będziemy czekać aż skończą.

— Myślisz, że idą do Wspólnoty? — spytała przerażona Oli.

— Prawdopodobnie, muszę nadać ostrzeżenie — odparł jej Dzikiego i natychmiast złapał za radio. — Autobus wzywa Wspólnotę. Autobus do Wolności wzywa Wspólnotę! Odbiór!

Po chwili z głośnika odezwał się trzeszczący głos. — Tu Wspólnota, mówi Krzak. Co się dzieje, Dzikiego?

— Jakies dwa kilometry za skrzyżowaniem na Las Ludzi i przedszkole zmierza duża grupa Niewykształconych. Na pewno są tam Kolejarze i Potłuki. Oprócz tego, dwa Krańcowskie Dziady... Odbiór.

— DZIADY? JESTEŚ PEWIEN?! — zawołał Krzak.

— Tak, niestety jestem. Niewykształceni walczą ze sobą, ale już niedługo ruszą w dalszą drogę, bądźcie czujni! — odpowiedział natychmiast Dzikiego.

— Dzięki za ostrzeżenie! Muszę zebrać ludzi na murach! Uważajcie na siebie i bez odbioru!

Dzikiego wyłączył CB-radio, a Janek wrzucił wsteczny i zaczął oddalać się od gromady. Dopiero gdy znaleźli się z powrotem na wysokości skrzyżowania, wykręcił autobus i ruszył drogą biegnącą obok Wspólnoty. — Dalej jedziemy na polanę? — spytał niepewnie.

Dzikiego zamyślił się przez chwilę. Taka duża gromada oznaczała, że mimo pojawienia się Nowoprzybyłych, musiało też wyrzucić sporo Niewykształconych. Z drugiej strony, ewidentnie zmierzali oni w stronę Wspólnoty, wabieni ilością jej mieszkańców. Wciąż istniała szansa, że przemarsze rozejdą się po mieście i na polanie będzie teraz najbezpieczniej.

— Tak, jedziemy w stronę polany, ale pokręć się trochę w okolicy zjazdu. Ocenimy najpierw czy nic się tam nie szlaja.

Zdenerwowany Dzikiego przeszedł przez autobus, by zobaczyć, czy po tym gwałtownym hamowaniu z mieszkańcami wszystko było w porządku. Na szczęście, wyglądało na to, że poza siniakami i urażoną godnością Smalca, (Bocian z Edkiem musieli wycisnąć go pomiędzy siedzeń) nikomu nic poważnego się nie stało.

Jedyną osobą, o której stan Dzikiego się niepokoił był ich gość — Sebastian. Gdy zbliżył się do ostatniego rzędu siedzeń zobaczył, że chłopak cały poczerwieniał i dyszał ciężko, jakby przebiegł maraton.

Czyżby widok Niewykształconych, aż tak go przeraził? Siadając obok, spróbował go uspokoić. — Nie musisz się przejmować, tutaj nic ci nie grozi...

— Wiem, wiem... — odparł Sebastian, wciąż dysząc ciężko. — Miałem po prostu atak...

— Atak czego? — dopytał Dzikiego.

— Astmy. Jestem astmatykiem.

Wtedy też, w jego ręce Dzikiego dostrzegł mały, czerwony inhalator.

— To niebezpieczne?

— Jeśli nie będę miał inhalatora w czasie ataku, mogę się udusić — wyjaśnił nieco przestraszony chłopak.

W tym momencie Dzikiego nie mógł się powstrzymać i zaklął cicho pod nosem.

Kuba musiał się nie zorientować, że chłopak jest chory, inaczej na pewno by go nie przysłał. Choroby, zwłaszcza takie, które wymagały ciągłego przyjmowania leków, były tutaj wyrokiem śmierci. Garstka aptek znajdujących się na terenie Krańcowa, była szabrowana po każdym Resecie, a kupienie leków od handlarzy, kosztowało majątek. Na pewno każda z opcji wykraczała poza możliwości Nowoprzybyłego.

Zdenerwowany Dzikiego podniósł się i ruszył w stronę schodów. Chciał przemyśleć na spokojnie całą sytuację, ale jego zmarszczoną minę natych-

miast wypatrzyła Oli. Gdy obok niej przechodził, złapała go za rękę i praktycznie wciągnęła na siedzenie obok siebie.

— Co się dzieje? Strasznie spochmurniałeś? — spytała, wyraźnie zatroskana. — Ci Niewykształceni tak cię zmartwili.

— Ten Nowoprzybyły... — odparł Dzik — jest chory i do tego lekozależny...

W tym momencie mina Oli zrobiła się wręcz śmiertelnie poważna. Żyła tu dostatecznie długo, by wiedzieć, jaki los czeka tu kogoś takiego. — Musimy mu jakoś pomóc — wyszeptwała, spoglądając na podłogę. — Przecież nie zostawimy go tak. Może porozmawialibyśmy z Kubą, żeby zrobił wyjątek i dał mu miejsce w Autobusie?

Dzik słysząc tę propozycję, sam spuścił głowę. Wiedział dobrze, że ich lider nigdy się na to nie zgodzi. Chociaż nigdy nie przyznałby się do tego Oli, to jednym z najważniejszych zadań, jakie zostało mu powierzone wraz z obowiązkami strażnika, było niedopuszczenie, żeby dziewczyna pozostawiła Nowoprzybyłego w ich grupie. Kuba już i tak uważał, że Autobus zbyt mocno oddziałuje prawem trzech przy obecnej załodze. Gdyby do ich ekipy na stałe dołączył ktoś jeszcze, to istniało ryzyko, że nawet w najspokojniejszych miejscach Krańcowa, byłiby narażeni na ciągłe ataki.

— Kuba na to nie pozwoli... — wyszeptał nie patrząc nawet Oli w oczy. — Cholera, gdyby dostał się do Wspólnoty, pewnie byłby w stanie jakoś zdobyć te leki, ale poza większymi grupami...

— A Sojusz Bloków? — zaproponowała nagle dziewczyna, szukając na siłę jakiegoś sposobu.

— Kuba twierdzi, że nie ma nawet sensu do nich podjeżdżać. Podobno nie biorą nikogo, kto nie mieszkał w Starym Świecie na ich osiedlu. Nie jestem nawet pewien czy robią wyjątki dla jakichś znajomych... Ale może warto spytać? Może ma tam rodzinę?

Dzik podniósł się z fotela i ruszył w stronę Sebastiana, nie robiąc sobie większych nadziei. Stanąwszy obok, popatrzył na chłopaka znacznie surowiej niż miał w zamiarze.

— Powiedz, nie mieszkałeś czasem na osiedlu Czerwonkowskim?

Sebastian pokręcił niepewnie głową, a Dzik wypytywał go dalej.

— A nie znasz tam może kogoś? Nie masz tam rodziny?

Chłopak ponownie zaprzeczył, a Dzik opuścił głowę.

— Posłuchaj mnie... Jak często musisz przyjmować te leki?

— W czasie ataku to różnie... Wy chyba nie zabijacie chorych? — spytał, wyraźnie przestraszony chłopak.

Oli, która przyszła zaraz za Dzikim, usiadła obok Sebastiana i złapała go za rękę. — Nikt nie robi ci krzywdy, ale to ważne. Dzik musi wiedzieć, jak ma ci pomóc. Tu nic nie działa jak w Starym Świecie.

Chłopak skinął głową nieco spokojniejszy. Najwidoczniej dziewczyna budziła w nim dużo większe zaufanie. — Mam przeważnie dwa, trzy ataki dziennie. Użycie inhalatora przerywa je natychmiast — wyjaśnił.

— Dobra, a na jak długo starcza taki inhalator? — dopytywał Dzik.

— Nowy zawiera sto pięćdziesiąt dawek, mój jest chyba gdzieś w połowie — wyjaśnił chłopak.

W tym momencie Dzik pomyślał, że były pewne nadzieje. — To daje jakieś pięćdziesiąt dni dla nowego inhalatora — podsumował głośno. — To całkiem sporo, a w odróżnieniu od insuliny, nie musisz trzymać tego w chłodzie. Gdyby zdobyć kilka takich inhalatorów, miałbyś na długi czas spokój...

Z rozważań wyrwało Dzikiego drugie już dzisiaj gwałtowne hamowanie i krzyk Janka.

— DZIKI, CHODŹ SZYBKO!

Zawołany ruszył do przodu, przepychając się między mieszkańcami. Wszyscy bowiem wstali z siedzeń, żeby zobaczyć, co po raz kolejny wywołało takie zdenerwowanie u kierowcy.

Tuż obok Dzikiego niemal natychmiast pojawił się Korek, który po prostu kochał być w centrum wydarzeń. — Kolejni Niewykształceni, szefie? — spytał podniecony, podnosząc lornetkę do oczu.

Dzik zignorował go i dochodząc do początku piętrusa, wyrzwał przez szybę.

Ledwie parę metrów przed nimi zebrała się gromada, ale na pewno nie byli to Niewykształceni. Postacie ubrane były w militarne stroje, miały również wojskowe plecaki i broń. Z jakiegoś powodu wszyscy zgromadzili się pod ogromnym, starym drzewem rosnącym przy drodze.

— Weterani — wyszeptał Korek, a jego głos zdradzał, że osiąga szczyt podniecenia. — Ciekawe, co się stało?

Dzikiego również mocno to zainteresowało. Dał znać Jankowi, żeby otworzył drzwi i z bronią w pogotowiu wyszedł na zewnątrz. Korek i Oli wybiegli zaraz za nim, a po nich reszta mieszkańców skorzystała z okazji, żeby rozprostować nogi.

Korek natychmiast zrównał się z Dzikim, żeby podzielić się swoją teorią.

— Może upolowali razem jakiegoś Krańcowskiego Dziada? Albo jakiegoś innego potwora?

Dzik miał spore wątpliwości czy grupa Weteranów polowałaby razem dla zabawy na Niewykształconych. Po chwili zaś zrozumiał, co wywołało w nich takie poruszenie. Najpierw usłyszał pisk Oli, a potem śledząc jej spojrzenie, dostrzegł jakiegoś mężczyznę powieszzonego na drzewie, niczym na szubienicy.

Zaplakana Oli uciekła do autobusu, a Dzik podniósł lornetkę by przyjrzeć się zabitemu.

Bez wątpienia był on kiedyś Weteranem. Na wiszących luźno nogach miał wojskowe buty, a przez szyję, oprócz pętli, przewieszony karabin. Dzik

był w szoku i to nie ze względu na widok trupa, bo do takiego widoku zdążył już przywyknąć. Dziwiło go, że ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby wciągnąć mężczyznę na drzewo, a przy tym po prostu zignorował broń, najcenniejszą rzecz w Krańcowie. Kiedy dostrzegł, że oczy wisielca zasłonięte były czerwoną bandaną, nabral podejrzeń, czyją sprawką było to morderstwo.

Z tłumu zgromadzonych Weteranów wyłonił się niespodzianie Wiewiór. Dziki miał okazję poznać go kiedyś w trakcie sprzeczki z innym Weteranem, Persem. O dziwo, mężczyzna okazał się być naprawdę sympatyczny. Mijając zgromadzenie podszedł do nich, wyraźnie zdenerwowany.

— Cześć, busiarze — powitał ich, podając rękę Dzikimu, a potem Korkowi (chłopak wyglądał, jakby się miał z tego powodu posikać z radości). — Ładny cyrk, co? — spytał, odwracając się na chwilę w stronę drzewa.

W tym czasie męska część Autobusu, zaczęła zbliżać się do gromady Weteranów, by również przyjrzeć się ciału.

— Gdzie wy idziecie?! — zawołał za nimi Dziki, po czym zwrócił się do Wiewióra. — Wiesz, kim on był?

— Dominik Piechucki, ale wszyscy mówili na niego „Rogal”.

Dziki jeszcze raz przyjrzał się wisielcowi i swoim kompanom, którzy zignorowali jego wołanie.

— Co ja mówiłem! Zaraz odjeżdżamy! DO ŚRODKA! — krzyknął znacznie bardziej dosadnie i ponownie zwrócił się do Wiewióra. — Musiał się nieźle narazić Danielowi...

Wiewiór pokręcił głową. — To chyba coś gorszego. Widziałeś napis na drzewie?

Dziki, który do tej pory skupiony był na denacie, nie zwrócił nawet uwagi na to, co znajdowało się pod nim. Teraz, po słowach Wiewióra dostrzegł w końcu nakreślony białym sprayem tekst. „PRZYJDZIEMY PO WAS WSZYSTKICH. ŚMIERĆ WETERANOM”.

Pod groźbą odcisnięta była farbą ogromna ręka, wielkości sporego bochenka chleba.

Dziki przeciągnął dłonią po twarzy, przymykając na chwilę oczy. — Jakby ten świat sam w sobie nie był dostatecznie dużym problemem — mruknął pod nosem. — Ktoś w ogóle widział, co się stało? Jak duża grupa go zaatakowała?

Wiewiór skrzyżował ręce, spoglądając zamyślony na ciało. — Nic tak naprawdę nie wiadomo. Rogal był samotnikiem. Ktoś tam zauważył go, jak po Błysku zmierzał do swojej kryjówki. Potem ktoś znalazł ciało i nadał sygnał przez radio. Kilka osób się zleciało. To wszystko, co wiemy...

Dziki poczuł jakiś nieprzyjemny skurcz na myśl, że gdzieś w pobliżu może znajdować się oddział Armii. W międzyczasie któryś z Weteranów wspiął się na drzewo i odciął ciało. Szczątki Rogala z łoskotem upadły na ziemię. Kil-

koro Weteranów zaczęło natychmiast krzyczeć coś do siebie, ewidentnie wskazując na wyposażenie denata.

Widząc to Wiewiór, pokręcił ostentacyjnie głową. — Ech, facet jeszcze nie ostygł, a oni już się kłóć, kto co zabiera...

— Trzymaj się. My spadamy — stwierdził Dziki i odciągając Korka, ruszył w stronę autobusu. Wiewiór pożegnał ich, wznosząc dłoń, po czym wrócił do gromady stojącej pod drzewem.

— Co tam się stało? — spytał Janek, bo jako jeden z nielicznych nie pofatygował się na zewnątrz.

Mieszkańcy autobusu, którzy rozsiedli się na przednich siedzeniach, też wyczekiwali, żeby dowiedzieć się co usłyszał Dziki.

— Armia Daniela zabiła Weterana, przy okazji grożąc pozostałym — wyjaśnił w końcu.

Jego słowa wywołały momentalne poruszenie, a busiarze rozpoczęły między sobą gorączkową dyskusję. Bocian twierdził, że facet musiał po prostu mieć pecha i natrafić na jakąś banderę patrolującą w okolicy. Green, który oderwał się na chwilę od swojej książki, uważał, że zabił go jakiś inny Weteran, pozorując atak Armii. Wedle jego domysłów miał w ten sposób uniknąć problemów z Wilkiem. Smalec przytaknął jego słowom, dodając, że skoro Armia tyle czasu siedziała cicho, to dlaczego teraz mieliby zaatakować. Edek zdementował to twierdząc, że tylko debil zostawiłby w tym wypadku broń i to musiała być pokazówka Armii.

O dziwo, tylko Korek nie brał udziału w tej wymianie argumentów. Z jakiegoś powodu siedział cicho, wlepiając wzrok w Dzikiego. Gdy ten przez dłuższy czas nie włączał się do dyskusji, wrzasnął przekrzykując wszystkich. — A ty, co uważasz, szefie?!

Gromada w autobusie zamilkła, skupiając wzrok na Dzikim. Wiedział już, że po tym nie uniknie wyrażenia swojej opinii. Stał więc pomiędzy wszystkimi i zaczął tłumaczyć. — Mój przyjaciel Mike powiedział mi kiedyś, że celem Daniela od dawna było wyeliminowanie wszystkich większych grup w mieście. Jedyne, co powstrzymywało go przed tym, to prawo trzech i nieustanne ataki Niewykształconych. Gdy kilka miesięcy temu byłem w Strefie Głodu, o czym pewnie wszyscy już słyszeliście, Daniel próbował zaprosić mnie do swojej Armii. Z jakiegoś powodu ciągle gromadzi nowych żołnierzy, mimo że grupa którą ma, wystarczyłaby mu do obrony dobytku. Być może zgromadził dość ludzi, by rozpocząć w końcu realizację swojego celu...

Między busiarzami momentalnie zawrzało. Klucz wyjrzał przerażony przez okno, jakby zza następnego bloku miał właśnie wyskoczyć oddział Armii. Weronika pisnęła cicho, że to przecież niemożliwe. Smalec wspomniał coś o tym, że sam mógł zostać członkiem Armii i żałuje teraz, że tego nie zrobił. O dziwo, tylko Oli zachowała spokój i zwróciła się prosto do Dzikiego: — Myślisz, że Weterani tak po prostu na to pozwolą?

— Mam wątpliwości. Z tego, co wiem, już od dawna szykowali się na taką ewentualność. Poznam pewnie jakieś szczegóły, gdy spotkamy się znowu z Kubą — odpowiedział.

Mieszkańcy rozeszli się powoli, choć Dziki zauważył, że wielu z nich wracało na miejsce z naprawdę nietęgimi minami. Korek, który jako jedyny został przy nim, oczekiwał pewnie, że usłyszy teraz jakiś komentarz, tylko dla siebie. Ponownie jednak nie mogąc wytrzymać zbyt długo, pełen jakiejś dziwnej ekscytacji zawołał: — Myślisz szefie, że na pewno się zjednoczą? Czy może to raczej koniec Krańcowa, jakie znamy?

Na szczęście dla Dzikiego, słowa Korka dotarły do kierowcy autobusu, a ten ryknął wściekle: — ZA CHWILĘ TO MOŻE BYĆ TWÓJ KONIEC, KOREK! SIADAJ NA MIEJSCE! ODJEŻDZAMY!

— Dziki! — zawołał nagle Klucz, który wciąż wyglądał przez okno. — Ten debil, Kryspin dalej tam stoi!!!

* * *

Dziki nie mógł czasem uwierzyć jak nieodpowiedzialni byli ludzie, którymi się opiekował. Gdy zapytał Krystiana, czy ten nie słyszał rozkazu powrotu do autobusu, chłopak stwierdził, że słyszał go dobrze, ale chciał zobaczyć, czy Weterani pobiją się o broń. Z każdym takim numerem, coraz mniej dziwił się swojemu poprzednikowi, że traktował ich tak surowo. Czasem sam miał ochotę po prostu nakrzyczeć na nich, żeby doprowadzić ich do porządku.

Ale dziś, nie licząc Kryspina, nie musiał wcale musztrować swoich kompanów, bo Autobus po prostu zamarł. Wszyscy z nietęgimi minami rozesiedli się na swoich miejscach. Ciszę przerywał tylko odgłos silnika. Dziki nie mógł uwierzyć, jak bardzo na jego kompanów wpłynął strach przed Armią Daniela.

W tym momencie przypomniał sobie o Sebastianie. Był ciekaw, jak chłopak zareagował na tę nieprzyjemną sytuację. Przechodząc na tył autobusu zajął miejsce obok Nowoprzybyłego, który natychmiast spojrzał na niego z łękiem. — Dlaczego oni go zabili?

— Chcieli pokazać jak bardzo są silni. Postraszyć trochę Weteranów. Kto wie co jeszcze... — odpowiedział.

— To straszne — stwierdził Sebastian, patrząc przez okno na mijane po drodze drzewa. — Widziałem przy cmentarzu plakaty zapraszające do tej Armii. Myślałem, że oni pomagają Nowoprzybyłym, ale Kuba powiedział, że nie wolno mi tam iść.

Dziki odetchnął z ciężkim sercem. Czuł, że ich lider nie byłby zadowolony, gdyby usłyszał to, co za chwilę powie chłopakowi. — Nie będę cię okłamywał, Sebastian. W Armii ma źle tylko ten, kto nie spodoba się Danielowi. Wyładowałem tutaj z pewnym chłopakiem, na którym Kuba z góry położył krzyżyk. Teraz

ten chłopak zajmuje tam wysokie miejsce, podczas gdy ja przez bardzo długi czas walczyłem o przetrwanie i znalezienie sobie miejsca w tym świecie. Jazda z Autobusem nie każdemu się opłaca. Gdybyś został członkiem Armii, a z tego, co rozumiem, Daniel celuje w takich jak ty, miałbyś dużo większe szanse na przetrwanie...

— Myślisz, że powinienem spróbować tam iść? Ale ja nie chcę zabijać ludzi — westchnął Sebastian.

W tym momencie Dzikiemu zrobiło się go naprawdę żal.

— Ja też nie chciałem i dalej nie chcę. Ale czasem muszę, dla dobra własnego lub innych. Ten świat wyciągnął z nas wszystkich to, co najgorsze. A niektórzy ludzie okazali się być po prostu potworami gorszymi od Niewykształconych. Powstrzymywało ich tylko prawo i policja, których tu nie znajdziesz.

— Nie mam wielkich szans, co? — spytał nagle chłopak, siląc się na spokój, ale w kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

Dziki czuł, że sam ma problem z zachowaniem spokoju. — Naprawdę nie chcę cię okłamywać. Gdybyś był zdrowy, szanse miałbyś nawet sam. Teraz Niewykształconych nie kręci się tyle co kiedyś. Wspólnota i Armia ściągają takie ilości, że na mieście zostają tylko te potwory, które nie wędrują. Jednak przymus zdobywania leku zmusi cię do pójścia w wiele niebezpiecznych miejsc. — Dzikiemu głos uwiązł przez chwilę w gardle. Wyobraził sobie Sebastiana zmierzającego do apteki przy zakładach chemicznych. Tego samego miejsca, w którym Delimer naznaczył go wyrokiem śmierci. — Mimo wszystko spróbuję coś dla ciebie zrobić.

Dziki podniósł się i ruszył na przód autobusu. Do głowy przyszła mu właśnie pewna myśl. Wiedział, że było to czyste szaleństwo i że miało minimalne szanse na powodzenie, ale bardzo chciał pomóc Sebastianowi.

Skupiony jak przed walką, podszedł do radia i usiadł na stopniu, który zazwyczaj zajmowała Oli.

— Stało się coś? — spytał Janek, zerkając na niego.

— Nie, po prostu chcę czegoś spróbować — odpowiedział.

Dziki wziął głęboki oddech i czując, że serce wali mu jak przed spotkaniem z Niewykształconym, przycisnął guzik przy gruszcze.

— Do wszystkich Wolnych Weteranów! Mówi Dziki z Autobusu do Wolności. Po ostatnim Błysku gościmy u siebie Nowoprzybyłego, który nie znalazł miejsca we Wspólnocie. Chłopak jest naprawdę sympatyczny, ale ma ogromny problem, w którym ja pomóc mu nie mogę. Jest chory i raz na jakiś czas potrzebuje zdobyć pewne lekarstwo. Nie mogę narażać Autobusu na taką wyprawę, bo sami wiecie, że w tej grupie wabimy jak cholera. Może jednak gdzieś tam znajduje się para Weteranów albo samotnik, którzy mogliby zająć się nim przez jakiś czas, zanim nie nauczy się samemu dbać o siebie... Proszę was o pomoc, jak człowiek człowieka. Nie zapominajmy, że wszyscy byliśmy kiedyś Nowoprzybyłymi.

Dziki opuścił mikrofon, wypuszczając powietrze. Janek przyglądał mu się ze zdziwieniem. Oli, która słyszała to wszystko, wpadła na niego, wieszając mu się na szyi. Po krótkim całusie w policzek, wyszeptła: — Jestem z ciebie dumna.

Janek przystanął na chwilę, by spojrzeć na Dzikiego. — Nie wiem, czy ktokolwiek pomoże. Gdyby chłopak był zdrowy i krzepki, może jakiś znudzony samotnik doszukałby sobie pomagiera, ale ta choroba trochę go skreśla. — Humor miał mimo to nieco lepszy. Może w duchu liczył, że ktoś chłopaka zabierze i nie będzie musiał znosić dodatkowej osoby przez cały tydzień.

Dziki siedział, nasłuchując czy nadejdzie jakaś odpowiedź. Niestety przez kilka następnych minut towarzyszył im tylko szum. Oli, która po krótkim odruchu radości wcisnęła się na stopień obok niego, markotniała z każdą chwilą.

Janek pokręcił w końcu głową i ruszył dalej wyraźnie zawiedziony. Wtedy radio trzasnęło, sygnalizując, że ktoś nadaje. Nadzieje wszystkich ponownie odżyły, gdy z głośnika odezwał się głos.

— *HALO DZIKI! Tu Wolny Weteran... Lecz się na łeb lamusie...*

Wściekła Oli poderwała się i rąbnęła pięścią w radio, krzycząc: — SUKINSYN!

— OLI! Klucz dopiero je poprawiał! — warknął Janek.

Po chwili radio ponownie trzasnęło.

— *Hej Dziki, mówi Daniel. Pamiętasz? Dowódca Armii, najwyższy z braci. Wiele innych tytułów...*

Serce Dzikiego zamarło. Miał kiedyś okazję spotkać się z Danielem. Oczywiście, ten nie wiedział wtedy jeszcze, że Dziki był członkiem Wspólnoty i podkomendnym jego największego wroga — Krzaka.

— *...złe zrobiłeś, nie korzystając z mojego zaproszenia. No, ale po tym, czego się dowiedziałem. Cholera, Dix chowająca się w moim własnym bloku, i to w kiblu! No, zasłużyłeś na swój tytuł największego farciarza Krańcowo, ale każdy fart kiedyś się kończy. Nowoprzybyłego możesz mi podrzucić, kto wie! Może w Armii jest dla niego miejsce.*

Po wypowiedzi Daniela w radiu rozległa się wrzawa. — *TY SUKINSYNU! ZAPŁACISZ ZA TO, CO ZROBIŁEŚ ROGALOWI! WETERANI OBE-DRĄ CIĘ ŻYWCEM ZE SKÓRY! ŚMIERĆ PSOM ARMII, POWIADAM WAM ŚMIERĆ!*

Złorzeczeniom i wyzwiskom nie było końca. Dziki przyciszył radio, nie mając nastroju tego słuchać. Nawet jeżeli Daniel siedział jeszcze na kanale, to bezsensowne wyzwiska mogły jedynie utwierdzić go w tym, że wiadomość, którą przekazał Weteranom dotarła.

— Nikt cię nie może winić za to, że próbowałeś — stwierdziła Oli, opierając głowę na jego ramieniu.

Dziki westchnął cicho, gdy nagle spomiędzy wyzwisk wyłapał swoje imię. Pogłośnił więc radio, myśląc, że może Daniel ma do niego coś jeszcze.

— *DANIEL TY FIUCIE! DZIKI PRZEJDŹ ... ARMIA UTONIE WE KRWI ... SPALIĆ STREFĘ GŁODU... NA 12 PRZEJDŹ NA ... KIJ CI W JAJA, DANIEL ... DZIKI NA 12!*

Wychwytyjąc strzęp wiadomości, Dziki przełączył radio z kanału ogólnego na kanał 12.

— *Halo Dziki, jesteś?* — odezwał się spokojny głos po drugiej stronie.

— Tak, jestem — odpowiedział.

— *Z tej strony Wilk. Uważam, że to co robisz jest naprawdę wspaniałe. Ja i Szara postanowiliśmy pomóc twojemu gościowi. Mam teraz trochę kłopotów i nie mogę odebrać go od razu, ale umówmy się za cztery dni we Wspólnocie, zgoda?*

— Jasne, Wilku! — wykrzyczał uradowany Dziki. — Dzięki za wszystko.

— *Spokojnej drogi, Dziki...*

Na kanał musiał w tym momencie wejść ktoś jeszcze, bo przez głośnik odezwał się kolejny głos.

— *Za cztery dni możesz być już martwy...*

Głos rzucający groźbę wydał się Dzikiemu dziwnie znajomy. Nie wiedział tylko gdzie i kiedy go słyszał.



Rozdział III

Konsekwencje

Świetlista polana była miejscem, w którym Autobus do Wolności spędzał większość swojego postojowego czasu. Oddzielona z dwóch stron przez granice Krańcowa, z dala od skupisk budynków i symbolicznych miejsc, stanowiła jedną z najbezpieczniejszych stref w całym mieście.

Jej nazwa pochodziła od pewnego niezwykle błędu, który dawał o sobie znać każdej nocy. Mimo tego, że na krańcowskim niebie nigdy nie było widać księżyca, nie przeszkadzało to polanie pozostawać tak jasną, jakby była skąpana w blasku pełni.

Dziki poznał to miejsce już pierwszego dnia swojego pobytu w Krańcowie. To stąd Autobus do Wolności zabrał go na jego dziewiczą noc w Nowym Świecie. Chociaż tamtego pamiętnego dnia nie było mu dane spędzić jej spokojnie, liczył w duchu, że tym razem historia się nie powtórzy.

Wypełniając swoją rolę strażnika, jak zwykle rozłożył sobie punkt obserwacyjny na dachu autobusu i nasłuchiwał, czy żadne podejrzanego odgłosy nie dochodzą od strony miasta. W trakcie tego nużącego bądź co bądź zajęcia zabijał sobie czas, przeglądając notatnik, który dostał w prezencie od Kuby.

Choć zesztyt sam w sobie wyglądał niepozornie, ot zwyczajny notatnik kołowy z wymiętolonymi czarnymi okładkami, to według Dzikiego, był on jedną z najcenniejszych rzeczy, jaką dostał od swojego mentora. Zawierał on bowiem dokładne opisy Niewykształconych oraz wielu błędów znajdujących się w mieście. Były w nim też wskazówki oraz ewentualne sposoby, jak sobie z nimi poradzić.

Zatrzymując się na stronie opisującej Niewykształconego, określonego mianem „Łapki”, Dziki ziewnął, czując, że gdyby nie zorganizował sobie tej nocy zajęcia, ciężko byłoby mu utrzymać przytomność.

Przekraczając stronę z obrzydliwym rysunkiem dziwnego, pozbawionego nóg stwora, który przypominał wańkę-wstańkę, przeczytał pierwszy akapit tekstu.

„Łapka jest niewędrównym Niewykształconym, zamieszkującym opustoszałe domy w różnych częściach miasta. Najwięcej spotkać ich można w okolicach Zatorza i domów przy Krańcowskim Lesie.”

Dziki przerwał na chwilę, bo od strony miasta zaczęły właśnie dobiegać mrozące krew w żyłach odgłosy krzyków. Na szczęście, szybko okazały się one

tylko odległym echem. Upewniwszy się, że żaden potwór się nie zbliża, wrócił do czytania.

„Łapka żywi się wszystkim, co można określić jako żywe, w tym również innymi Niewykształconymi. Mechanizm jej polowania jest niespecjalnie skomplikowany, opiera się bowiem na naśladowaniu ludzkich głosów i wydawaniu wabiących dźwięków.

Inteligentniejsi przedstawiciele gatunku potrafią nawet wykrzykiwać prośby o pomoc, by zwiększyć szansę zwabienia ludzkiej ofiary do kryjówki. Nie potrafią one jednak mówić w dosłownym tego słowa znaczeniu i próba nawiązania z nimi jakiegokolwiek werbalnego kontaktu nie będzie skutkowała żadną, zbliżoną do logicznej odpowiedzi. Po skierowaniu pytania, Łapka może jedynie zwiększyć głośność i częstotliwość krzyków.”

Dziki ponownie przestał czytać i rozejrzał się po pustej okolicy. Gdy potwierdził, że nic nie zakłóca panującej ciszy, z powrotem skupił się na lekturze.

„W trakcie ataku Łapka wykorzystuje przede wszystkim swoją przewagę fizyczną i element zaskoczenia. Swoimi silnymi rękoma próbuje pochwycić wszystko, co znajdzie się w jej zasięgu, a następnie udusić i pożreć. Łapka nie jest jednak w stanie ścigać swoich ofiar. Jej pozbawiona nóg dolna część ciała jest niezwykle ciężka, co skutecznie utrudnia jej wszelkie próby szybkiego przemieszczania się.

Kręgosłup Łapki przypomina w zasadzie sprężynę, co w połączeniu z wyjątkowo silnym mięśniami grzbietu sprawia, że jest w stanie wystrzelić swoją górną część na odległość nawet 3 metrów. To w połączeniu z jej tendencją do zasiedlania niewielkich pokoi w domach, czyni z niej niezwykle skutecznego zabójcę.

Ciekawostką jest, że Łapka nie defekuje. Niemal całość pożartych przez siebie istot, wskutek jakiegoś nieznanego procesu, zmienia w produkty rozbudowujące jej własne ciało. Łapki rosną wraz z ilością przyjętego pokarmu. W momencie pojawienia się mają wagę i budowę ciała zbliżoną do ludzkiej, ale z czasem mogą osiągnąć rozmiar i ciężar małego samochodu.

Największa zabita w Krańcowie Łapka ważyła około tony, a swoim jestestwem zajmowała cały salon parterowego budynku...”

Dziki przerwał po raz kolejny, bo był pewien, że tym razem usłyszał w pobliżu jakiś szelest. Wyłączył latarkę, by być mniej widocznym i przyjrzał się okolicy od strony miasta. Po chwili z mroku wyłoniło się światło innej latarki.

Zamarł i cicho sięgnął po broń, ale nim zdążył wyciągnąć ją z kabury, nadchodząca postać dała mu sygnał. Dwa krótkie i trzy długie błyski były umówionym znakiem Kubę, zbliżającego się w nocy do autobusu. Dziki odetchnął z ulgą, ale przezornie odbezpieczył pistolet.

Po chwili usłyszał, jak ktoś wchodzi po drabinie i niemal natychmiast ujrzał brodatą twarz ich lidera.

— Hej, Kuba — wyszeptał Dziki, pomagając mu wejść na górę.

— Cześć — odparł mężczyzna, rozsiadając się na dachu. — Spokojna noc?

— Jak dotąd, tak. Pozwoliłem im nawet dzisiaj rozbić obóz — wyjaśnił Dziki. — Krążyliśmy trochę przed postojem i myślę, że większość Niewykształconych rozejdzie się po mieście.

Kuba kiwnął twierdząco głową. — Też tak sędzę. Od momentu rozrośnięcia się Wspólnoty, Niewykształceni prawie wcale tu nie zaglądają. Powiem ci, sam dostawałem cholery, jak ciągle musiałem spać na siedzeniu — wyznał z bólem, a potem przyjrzał się ich obozowisku.

Jego wzrok powędrował natychmiast do namiotu Oli, któremu przyglądał się przez dłuższą chwilę. W mroku nie było trudno go wypatrzyć, bo dziewczyna bała się ciemności i przez całą noc miała w środku zapaloną lampkę bądź latarkę.

— A właśnie! — wypalił nagle Kuba. — Mam coś dla ciebie... — mężczyzna pogrzebał chwilę w swoim plecaku, aż w końcu wyciągnął z niego kilka energetyków. — Mam nadzieję, że trochę umiła ci noc.

Na ten widok wymęczonemu Dzikemu aż zaświeciły się oczy. — ŁAŁ! Dzięki, mistrzu — zawołał i bez ceregieli chwycił za jedną z puszek.

Wyduśsiwszy zawartość praktycznie na raz, poczuł, że ta noc rzeczywiście właśnie stała się o wiele miłsza. Kuba zaśmiał się pod nosem na widok jego łapczywości, zerkając po chwili w stronę pogrążonego w mroku Krańcowia. Niemal natychmiast pogrążył się we własnych myślach i nie odzywał przez dłuższą chwilę.

Dziki wiedział, że Kuba zawsze zachowuje się w ten sposób, gdy ma do przekazania jakieś złe wieści. Dlatego zamiast czekać i narażać się na trwanie w niepewności, postanowił sam pociągnąć lidera za język. — Długo oceniałeś tych nowych. Były jakieś kłopoty?

— Wypadli we trzech. Musiałem poczekać, aż się rozdziela — wyjaśnił ciągle zamyślony Kuba. — Ten trzeci... Cóż, znałem go z widzenia w Krańcowie. Kawał mendy i bandziora. Na szczęście z tego, co wiem, jeździ już u Grabarza na plecach.

Dziki przytaknął niepewnie. — To chyba dobrze... Miasto jest dostatecznie pełne sukinsynów, by był nam potrzebny kolejny. Słyszałeś o Rogalu?

Kuba nie odpowiedział od razu, ciągle uparcie gapiąc się w stronę miasta, co utwierdziło Dzikiego w przekonaniu, że szykuje się do poruszenia jakiegoś ciężkiego tematu. — Tak, licha sprawa... — stwierdził w końcu bez przekonania. — Wszyscy spodziewali się, że Daniel wykona wreszcie jakiś ruch, ale każdy liczył, że to jeszcze nie będzie dzisiaj... Aż to stało się dzisiaj.

— Jesteś pewien, że to odgórny rozkaz? Ktoś w banderze mógł przecież działać na własną rękę? — spytał Dziki, nie kryjąc nawet, że wołałby tego rodzaju scenariusz.

Kuba zmarszczył czoło, a jego wzrok ponownie powędrował do namiotu Oli. — Dzisiaj powiesili jeszcze jednego samotnika, Michała „Kostka” Kościńskiego — wyrzucił z siebie, nie patrząc nawet na Dzikiego. — Potem Wiewiór

zgłosił przez radio, że jego grupa została ostrzelana przez jakiś duży i dobrze zorganizowany oddział. Na szczęście im akurat udało się uciec. W każdym razie, bandera zawsze kulała, jeśli chodziło o uzbrojenie, więc to nie mogli być oni. Z tego, co wiem, nikt poza banderowcami nie działa bez rozkazu Daniela. Co to oznacza, sam się pewnie domyślasz...

Dziki nie był zadowolony z tego, co usłyszał. Podróżowanie po mieście było dostatecznie niebezpieczne, bez oddziałów Armii włóczących się dookoła.

— Odebrałem twoją wiadomość radiową... — wtrącił Kuba głosem, który z jakiegoś powodu brzmiał jak skrywany wyrzut.

Dzikiego nieco to zaskoczyło. Przecież prosząc o pomoc dla Sebastiana, nie zrobił nic złego. — Nie miałem innego pomysłu co zrobić z tym chłopaczkiem, a nie chciałem zostawiać go na pewną śmierć — wyjaśnił skonsternowany.

— Rozumiem czemu tak postąpiłeś — stwierdził Kuba, chociaż brzmiało to zupełnie odwrotnie. — Uwierz mi, nie chciałem żebyś już na początku musiał podejmować tak moralnie trudne wybory. Gdybym wiedział, że chłopak jest chory, nie przysyłałbym go do ciebie. Niestety, tak się zaaferowałem tym trzecim kulfonem, że nie sprawdziłem go dokładnie. To moja wina...

Dziki był po tych słowach naprawdę zmieszany. Autobus do Wolności pomagał Nowoprzybyłym, tego nie można mu było odmówić. Niemniej nie każdy na tę pomoc mógł liczyć. Nawet w wypadku Dzikiego, Kuba dość długo zastanawiał się czy wprowadzić go do Nowego Świata. W trakcie ich pierwszej rozmowy jego lider sam przyznał, że pomaga tylko wybranym. Rozważając to czysto logicznie, było to jak najbardziej zrozumiałe. Głupotą było narażać się i marnować zasoby dla kogoś, kto i tak nie miał szansy przetrwać...

Ale łatwo oceniać z boku.

Dla Dzikiego było nie do pomyślenia, że mógłby stanąć nad nieprzytomnym człowiekiem i po prostu zadecydować, że ten musi radzić sobie w tym koszmarze sam. Tym bardziej, że to w wielu wypadkach równoznaczne było ze śmiercią. Szanował Kubę za to, że był w stanie podejmować takie decyzje, ale przerażało go, jak łatwo przychodziło mu odmawianie pomocy.

— Problem się rozwiązał, nie musisz się przejmować — stwierdził w końcu, nie chcąc dłużej zagłębiać się w tych rozważaniach. — Wilk obiecał się nim zająć... — zaczął tłumaczyć zadowolony, ale Kuba wszedł mu w słowo rzucając oschle.

— Dziki, nie ukrywam, że wolałbym, aby Autobus nie miał długów wobec Wilka.

— *Więc o to chodziło* — pomyślał zdziwiony i spytał natychmiast. — Dlaczego? Przecież Wilk jest w porządku.

— Tak, oczywiście. Jest bardziej niż w porządku — odparł pewnie Kuba już znacznie łagodniejszym tonem. — Ja nawet prywatnie bardzo go lubię. Ale jest tym typem człowieka, który nie potrafi siedzieć na uboczu i przez to cały

czas ściąga na siebie kłopoty. Dziki, muszę ci coś powiedzieć... — mówiąc to lider pochylił się nad nim tak, że niemal stykali się twarzami. Zupełnie jakby chciał podkreślić w ten sposób powagę sytuacji. — Chodzą po Krańcowie słuchy, że to Wilk sprowokował Daniela do ataku.

— Jak to? — dopytał natychmiast Dziki.

— Podobno razem z dwoma innymi Weteranami nasadzili się na jednego z jego ludzi — stwierdził Kuba, odsuwając się w końcu. — Nie będę ukrywał... — dodał już znacznie mniej dramatycznym tonem — ...przez to, że ja przewodzę Autobusowi, na pewno znajdujemy się na liście Daniela. Z oczywistych względów wolałbym, żebyśmy byli na jej końcu. Najmniej zauważalni i wyróżniający się, jak to tylko możliwe. Dlatego uważaj na Wilka! Ludzie, którzy mu pomagają, często źle kończą.

Kuba wstał, a Dziki miał już pewność, że to właśnie ta reprimenda była głównym celem jego wizyty. — Będę się zbierał, nie chcę ci dłużej dokładać do trzech. Nadal liczę, że noc będziesz miał spokojną. Do zobaczenia, Dziki.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. Kuba zszedł z dachu autobusu i zniknął gdzieś w ciemności, zostawiając Dzikiego z masą wewnętrznych rozterek.

* * *

Kilka kolejnych godzin Dziki spędził na wertowaniu notatnika. W okolicy godziny 4:00 poczuł, że przechodzi swój pierwszy nocny kryzys. Tekst w notatkach rozmyślał mu się już tak bardzo, że nie był w stanie dłużej czytać. Zrezygnowany, włączył na telefonie grę w „Klocki”.

O tej porze wciąż jeszcze było niezwykle ciemno. Chłód krańcowskiej nocy dawał mu się ostro we znaki, ale specjalnie nie zapiął kurtki. Nieprzyjemne uczucie przemarznięcia nieco go pobudzało.

Układając bezmyślnie linijki na ekranie, skupił się trochę nad tym, co powiedział mu wcześniej Kuba. Jeżeli po Krańcowie rzeczywiście krążył teraz oddział Armii, to jego rola jako strażnika stała się właśnie znacznie trudniejsza. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że nie poradziłby sobie z bandą, z którą nie radzili sobie Weterani.

No właśnie, ale „zwyczajni” Weterani. A co na przykład z Dix albo Pierwszym? Czy korzystając z błędów, daliby radę? Dlaczego Kuba tak skrywał ich tajemnice nawet przed Dzikim? Czy w tej sytuacji nie powinien zdradzić mu tego, co wiedział? Przecież korzystając z błędów, mógł znacznie lepiej bronić autobusu i jego mieszkańców...

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk zgniatanej trawy gdzieś w oddali. Zderzany podderwał się i spojrzał w stronę miasta. Kuba na pewno nie wracał z kolejną porcją rad, więc ten dźwięk musiało wydać coś niepożądanego.

Wyteżając wzrok, dostrzegł w odległej części polany dwa czerwone punkty, unoszące się wysoko w powietrzu. Dwie kropki kołysały się powoli, zbliżając nieubłaganie w stronę autobusu. W końcu, gdy zbliżyły się na tyle by wejść w działanie świetlistego błędu, Dziki dostrzegł ogromną ciemną sylwetkę Krańcowskiego Dziada.

Prawie trzymetrowy potwór o korowatej skórze zerkał w jego stronę oczami, w których jarzyły się jasne, czerwone źrenice. Po pierwszym szoku, Dziki chwycił za pistolet i wystrzelił w powietrze.

— ALARM! DO AUTOBUSU!!! SZYBKOO!!! — ryknął, podbiegając do krawędzi dachu.

Dziad, który z początku poruszał się bardzo powoli, jakby sprowokowany hukiem dał ogromny sus w ich stronę.

Mieszkańcy, którzy w panice wypadli ze swoich namiotów, zamiast chować się do pojazdu, stanęli przerażeni, zerkając w stronę Dzikiego.

— DO ŚRODKA! — ryknął do nich ponownie.

Dziad tymczasem nabierał prędkości. Jego kroki odrywały kawały ziemi i brzmiały jak ciężka lokomotywa przejeżdżająca po łączeniach torów. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Niewykształcony wbił się z impetem w bok autobusu. Jedna z dolnych szyb nie wytrzymała i roztrzaskała się w pył, a kilka kolejnych pokryło się pajęczynami.

Dziki zdążył zeskoczyć z dachu na sekundy przed uderzeniem, ale przy tej wysokości upadek na mokrą ziemię był dla niego naprawdę bolesny. Gdy zbierał się na równe nogi, usłyszał obok siebie wołanie Greena. — PRZEWRA-CA AUTOBUS! — Chłopak wskazał przerażony na piętrusa, który wychylił się niebezpiecznie w ich stronę.

Dziad zapał się ze wszystkich sił, ale pojazd musiał się okazać dla niego zbyt ciężki. W pewnym momencie, puścił go tak raptownie, jakby jego palce po prostu nie wytrzymały. Piętrusem przeraźliwie wstrząsnęło, ale po chwili chybotania wrócił do pionu.

Dziki miał teraz tylko sekundy na podjęcie decyzji. Jego kompani nie mogli wejść do pojazdu, gdy potwór był tak blisko i groził jego przewróceniem.

— JA GO ODCIĄGNĘ! JANEK, ODPALAJ AUTOBUS I ZWIEWAJ, JAK TYLKO ODBIEGNIEMY! — rozkazał i chciał już przebiec na drugą stronę piętrusa, ale Oli wypadła z gromady i zatrzymała go chwytając za rękę.

— NIE! Nie możesz...! — wykrzyczała, przerażona.

Dziki wyszarpał się natychmiast z jej uścisku. — KOREK, ZABIERZ JĄ DO ŚRODKA! — ryknął w stronę chłopaka i pędem okrążył auto wybiegając naprzeciwko Dziada.

Niewykształcony był tak wielki, że czubek jego głowy znajdował się w połowie piętra, a długimi rękoma sięgał bez problemu na dach pojazdu. Potwór klepał po nim, jakby ciągle szukał tam Dzikiego.

Ten, gdy tylko znalazł się po stronie potwora, ryknął głośno. — EJ, TY! — ale Niewykształcony zdawał się w ogóle go nie słyszeć.

Dziki wyciągnął więc pistolet i wystrzelił w jego plecy.

Dziad obrócił się błyskawicznie i pochylając spojrzał prosto w stronę, z której padł strzał. Otwierając swoje ogromne usta wydał dźwięk, który przywodził na myśl syrenę portową.

Dziki rzucił się do ucieczki, chcąc odciągnąć go jak najdalej. Niewykształcony obserwował go przez chwilę nim ruszył do ataku. Przerażające było to, że pomimo ogromnej postury, Dziad był niesamowicie zrywny. Błyskawicznie dogonił Dzikiego, po czym wykonał zamach swoją gałęziową ręką.

Dziki padł w ostatniej chwili na ziemię, o włos unikając pochwycenia. W tym samym czasie dobiegł do niego warkot silnika. Janek odpalił autobus i wyjeżdżał nim powoli w stronę drogi.

Przywabiony dźwiękiem bądź ruchem piętrusa, Niewykształcony obrócił się natychmiast w jego stronę, rozkładając przy tym swoje olbrzymie ręce.

— Zostaw ich... — sapnął Dziki.

Poderwał się obolały z ziemi, wycelował pistoletem w plecy potwora i wystrzelił po raz kolejny.

Trafienie nie wydawało się robić na Dziadzie większego wrażenia. Dziki czuł, że równie dobrze mógłby rzucać w niego kamieniami. Niemniej potwór ponownie skupił na nim swoją uwagę. Dziki zaczął uciekać jak najdalej od autobusu, żeby dać swoim towarzyszom więcej czasu na ucieczkę.

Jednak Niewykształcony nie ruszył za nim od razu. Rozglądał się przez chwilę, jakby rozważał, czy podążyć za autobusem, czy za człowiekiem, który do niego strzelał. Finalnie wybrał pościg za Dzikim i ponownie z niezwykłą szybkością skrócił dzielący ich dystans.

Przebiegając obok pozostawionych namiotów, Dziki dostrzegł swój kbks. Broń musiała zsunąć się z dachu, gdy potwór rąbnął w ich pojazd.

Łapiąc w locie za karabin, obrócił się, by wystrzelić, ale Dziad był już w tym momencie przy nim. Chwytając go oburącz, potwór poderwał go do góry właściwie bez wysiłku.

Dziki poczuł, jak Niewykształcony zgniata mu żołądek. Na szczęście dla niego zbyt długie i nachodzące na siebie palce Dziada, nie były w stanie ścisnąć go równomiernie. Po chwili szamotania, zdołał wyswobodzić jedną z rąk i wyjąć swój kbks.

Niewykształcony przyciągnął go do swojej twarzy, zupełnie jakby chciał mu się przyjrzeć albo w gorszym wypadku, nadgryźć. Dziki błyskawicznie oparł broń o nadgarstek potwora i biorąc na cel jego oko, wystrzelił.

Raniony Dziad ryknął wściekle, rzucając nim wprost na jeden z namiotów.

Dziki upadając, uderzył plecami w aluminiowe wsporniki. Łamiące się rurki pocięły mu mundur z taką samą łatwością, jak ramiona. Jedyne ka-

mizelka kuloodporna spełniła swoje zadanie i uchroniła jego korpus od przeżycia na wylot. Czując, jak po nadgarstkach zaczęła spływać mu ciepła krew, próbował się podnieść na drżących z bólu rękach.

W tym momencie Dziad przestał się rzucać. Zdrowym jeszcze okiem spojrzął prosto w stronę wygrzebującego się z resztek namiotu Dzikiego. Rycząc wściekle, zamachnął się swoją ogromną dłonią. Dziki próbował uchylić się przed ciosem, ale jeden z długich palców Niewykształconego dosięgnął go, trafiając w twarz. Ta, rozcięła się jak kartka papieru. Oczy i usta prawie natychmiast zalała mu krew, utrudniając widzenie i oddychanie.

Dziki spróbował prawie na ślepo uniknąć kolejnego ciosu, ale było już za późno. Dziad trafił go prosto w korpus. Siła uderzenia była tak duża, że prawie poderwała Dzikiego z ziemi. Trafiony, przetoczył się jakiś metr po suchej trawie, lądując finalnie plackiem na ziemi.

Niewykształcony zatrzymał się przez chwilę, spoglądając na leżącego bez ruchu Dzikiego. W końcu, pochylił się nad nim, zapewne by sprawdzić czy finalnie pozbawił go życia. Gdy tylko jego głowa zawisła tuż nad Dzikim, ten podniósł dłoń z pistoletem. — Ale ty jesteś głupi... — syknął i celując w zdrowe oko potwora, nacisnął spust.

Oślepiiony Dziad odskoczył od niego jak oparzony, trzymając się za twarz. Po chwili szamotaniny runął na ziemię i zaczął się tarzać po niej wściekle.

Dziki spróbował się podnieść, ale ból pleców był zbyt silny, do tego ciągle zalewająca mu oczy krew sprawiła, że sam tracił co chwila wzrok. Gdy próbował po omacku odczołgać się jak najdalej, pomiędzy kolejnymi jękami Dziada, usłyszał przebijający się ryk silnika. Janek i pozostali musieli po niego wracać. Już po chwili do jego uszu dobiegł pisk hamulców i pufanie otwieranych drzwi.

— Pomóżcie mu, szybko! — usłyszał gdzieś z oddali przerażone wołanie Oli.

— UWAŻAJCIE! DZIAD CIĄGLE ŻYJE! — krzyczał Janek do kogoś, kto wypadł z autobusu.

Dziki wytarł rękawem oczy i przez chwilę zobaczył, jak Niewykształcony krąży na czworakach, próbując wymacać go ręką na ziemi.

— Szybko... — syknął głos Bociana.

— Jestem tu, szefie! Spokojnie, już cię stąd zabieramy — usłyszał nad sobą Korka.

W tym momencie poczuł, że chłopak wchodzi mu pod ramię i ciągnie go do góry.

— Co z moimi oczami!? — zapytał przerażony.

Oprócz jednej wielkiej szkarłatnej plamy nie widział już teraz zupełnie nic, ale poczuł jak jego stopy uderzyły o stopnie piętrusa.

— Boże, Dziki, nic nie mów... — wyszeptała Oli, wybuchając obok niego płaczem. — Green, zrób COŚ!

— Zabierzcie go na górę! — zarządził mężczyzna.

Dziki poczuł jak autobusem szarpnęło do przodu. Janek musiał wyprowadzać ich z polany. W tym czasie Korek i chyba Bocian wciągali go na piętro. Walcząc przez chwilę z wąskim przejściem, wcisnęli go w końcu na górę i ułożyli na leżance.

— Niech ktoś pomoże mi to z niego zdjąć! — rozkazał Green.

— Wszystko będzie dobrze szefie. Zostań z nami... — wysapał nad nim Korek.

Dziki poczuł, że ktoś rozpina mu kamizelkę. Dopiero teraz zaczęła schodzić z niego adrenalina, a jej miejsce zastąpił niewyobrażalny ból. Czując, że nie jest w stanie dłużej wytrzymać, jęknął prostując lepiące się od własnej krwi ręce.

— Boże, jego ramię... — krzyknęła Oli, po raz kolejny zalewając się łzami.

Histeria dziewczyny tylko pogorszyła jego odczucia. Jak bardzo było z nim źle?

— KOREK, ZABIERZ JĄ NA DÓŁ! — rozkazał Green, wycierając Dzikimu twarz mokrym ręcznikiem.

— Trzymaj się, szefie, wszystko będzie dobrze... — zawołał chłopak, przekrzykując płaczącą Oli.

— KOREK, CO JA CI DO CHOLERY POWIEDZ...

Głos Greena utonął gdzieś w czaszce Dzikiego. Poczuł w tym momencie gwałtowny zawrót w głowie. Resztkami sił spróbował utrzymać przytomność, ale nie był już dłużej w stanie. Po chwili poczuł, jak odpływa.

* * *

Cztery dni po spotkaniu z Dziadem na świetlistej polanie, Dziki ciągle czuł się jak wrak. Zawroty głowy nieustannie dawały mu o sobie znać, a rany pod bandażami, zwłaszcza ta na twarzy, okropnie swędziały. Chociaż Green oczyszczał je dwa razy dziennie i regularnie zmieniał opatrunki, to finalnie i tak nie miał dobrych wieści.

— Robiłem, co mogłem, ale na pewno zostanie spora blizna...

Dziki skrzywił się. Odruchowo spojrzął na swoje odbicie w szybie, ale z bandażem na twarzy nie był w stanie dostrzec, jak bardzo oszpecił go potwór. — To może coś na pocieszenie? — zapytał z nadzieją.

Green zamyślił się dłuższą chwilę, zbierając resztki opatrunków do apteczki.

— No, dalej masz oczy... A no i na osiemdziesiąt procent nie ma zakażenia, bo już byś dawno gorączkował.

— Fajnie — jęknął Dziki, podnosząc się powoli z fotela.

Ból pleców przypomniawszy o sobie natychmiast, ale proszki, które łykał, tłumiliły go na tyle, że był już w stanie normalnie się poruszać. Idąc w kierunku schodów, zerknął jeszcze raz przez okno. Autobus zatrzymał się na osiedlu niedaleko stacji paliw, tej samej, z której zazwyczaj ciągnęli ropę.

Schodząc z piętra, zobaczył siedzącą na stopniach Oli, która zapewne przysłuchiwała się jego rozmowie z Greenem.

— I jak się czujesz? — spytała, patrząc na niego podpuchniętym oczami.
 — O, już dużo lepiej — skłamał — no i zawsze chciałem mieć bliznę. To dodaje męskości.

— Ale ty jesteś głupi, Dziki — westchnęła, podnosząc się, żeby go przytulić.
 W tym momencie ledwo powstrzymał się, by nie jęknąć, bo żebra też miał nadwyrężone. Gdy dziewczyna już go puściła, zszedł na dół, gdzie spostrzegł Edka, Bociana oraz Sebastiana grających razem w karty na tylnym siedzeniu.

Ponieważ ze względu na swój stan, nie bardzo mógł zajmować się ich gościem, Edek i Bocian na jego prośbę trzymali nad chłopakiem pieczę, tłumacząc mu to, co sami wiedzieli o Nowym Świecie.

— Jak tam, Nowy? — spytał, dosiadając się do nich.

— Chyba dobrze. To dzisiaj się rozstajemy, tak?

Głos Sebastiana wyraźnie grzązł mu w gardle. Słyszając to Edek, natychmiast spróbował go pocieszyć. — Nie musisz się martwić, Wilk to zarąbisty koleś.

— I nie będziecie podróżowali tylko we dwóch! Jest jeszcze Szara! Podobno to przemiła babka — dodał Bocian, podglądając jednocześnie karty w ręce Sebastiana.

Ten nie miał już najwidoczniej ochoty na grę, bo odłożył je na fotel. — Nie będę ukrywał, że trochę się boję. Wiecie, ja chyba dalej nie do końca jestem w stanie uświadomić sobie, co się ze mną dzieje...

Dziki spojrział jak oczy chłopaka zrobiły się całkiem puste. Widział ten stan już wiele razy u Nowoprzybyłych, których gościli. — To będzie do ciebie jeszcze długo wracało — stwierdził z goryczą. — Myśli o tym co zostawiłeś w Starym Świecie, wizje dawnych przyjaciół, rodziny, domu. Czasem wrażenie, że to wszystko, to tylko sen. Takie momenty będą ciągnąć cię w dół, ale musisz to przetrwać... Z czasem, to po prostu minie. Sam myślałem, że nie poukładał sobie tego wszystkiego, ale tak jest po prostu z każdym. Skupiasz się na przetrwaniu i nie myślisz o tym, co było. To jedyna droga...

Sebastian wsłuchując się w jego słowa, zachował takie skupienie, jakby siedział co najmniej w kościele. W końcu wzdychając, popatrzył na Dzikiego oczami, w których zamiast pustki pojawiła się niepewność. — Dobrze znasz tego Wilka?

— Spotkał się kilka razy... — odpowiedział szczerze. — Dużo więcej słyszałem o nim z opowieści, ale mój przyjaciel, któremu ufam jak nikomu innemu, uważa go za naprawdę równego. Wierzę, że włos ci przy nim z głowy nie spadnie...

W tym momencie w Dzikiego coś uderzyło. Wspomnienie jego rozmowy z Kubą, z tamtej felernej nocy i ostrzeżenia jakie ich lider dał mu na odchodne. — Uważaj na Wilka! Ludzie, którzy mu pomagają, często źle kończą. — *Czy nie pchał chłopaka w ręce śmierci?* — pomyślał.

— Nie — odpowiedział sobie natychmiast. Chłopak nie miałby szans samemu, a z Wilkiem, nawet jeżeli będzie narażony na różnego rodzaju niebezpieczeństwa, to przynajmniej nie będzie sam. Poza tym, Oli nie miała wąt-

pliwości i była naprawdę ucieszona, gdy dowiedziała się, że Wilk zajmie się Sebastianem. Gdyby Dziki robił w tym momencie coś niewłaściwego, na pewno dziewczyna nie zareagowałaby w ten sposób.

W międzyczasie Edek z Bocianem wysnuwali kolejne, coraz bardziej wydumane powody, dla których Sebastian powinien czuć się wyróżniony, że zajmie się nim ktoś taki, jak Wilk.

— Zobaczysz, nie minie dużo czasu jak staniesz się rozpoznawalny wśród Weteranów. Może niedługo będziemy mogli opowiadać, że Autobusem do Wolności jeździł zastępca Krańcowskiego Szeryfa — stwierdził pewnie Edek.

— No i pomyśl! — dodał Bocian. — We Wspólnocie musiałbyś tyrać jak wół. A z Wilkiem? Będziecie szabrować sklepy jak prawdziwi Weterani, handlować tym co znajdziecie, opychać się słodyczami...

Dziki słyszając to, ledwo powstrzymał się przed ironicznym uśmiechem. Wiedział dobrze, że chłopaki robią wszystko, żeby poprawić Sebastianowi humor, ale chyba nawet on nie był na tyle naiwny, żeby uwierzyć w życie usłane czekoladą poza ścianami autobusu. Tym bardziej, że już pierwszego dnia w Nowym Świecie widział ofiarę egzekucji oraz atak Krańcowskiego Dziada.

Gdy kolejne wydumane opowieści płynęły z usta autobusowych karciaży, Dzikiego zainteresowało coś zupełnie innego. Wyglądając przez okno zauważył, że stali już od kilkunastu minut. Zazwyczaj Janek nie zatrzymywał autobusu na dłużej, nie uzgadniając tego z nim wcześniej.

Zaciekawiony, wstał i ruszył na przód, mijając śpiącego Korka. Chłopak prowadził teraz nocami, bo przez rany Dzikiego, nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej. To sprawiło, że sam Dziki mógł dochodzić do siebie w spokoju, bo zmęczony chłopak nie miał dość sił, by go zadreć.

Dochodząc na przód pojazdu, Dziki dostrzegł w bocznym lusterku uniesioną maskę. — Co się dzieje? — zapytał zaniepokojony.

— Klucz robi szybki przegląd — odpowiedział mu Janek, leniwie rozciągając się na kierownicy. — Ostatnio miałem jakieś wrażenie, że silnik źle zapala po dłuższym postoju.

— Jak skończy, to ruszamy do Wspólnoty — zarządził Dziki, rozsiadając się na miejscu obok kierowcy. — Wilk może już na nas czekać.

Janek popatrzył na niego z niepewną miną. — Spoko, a jak się w ogóle trzymasz?

Dziki nie odpowiedział, jedynie rzucił mężczyźnie wymowne spojrzenie.

— No tak... — westchnął Janek. — Cudów nie ma... a raczej jedynym cudem było to, że to starcie przeżyłeś. Pewnie miną jeszcze ze dwa tygodnie, zanim wrócisz do sił...

Dziki nie bardzo chciał przyznać mu rację, ale wiedział, że ich kierowca trafił w punkt. — Najgorsze, że przez mój stan w ogóle nie obozujemy. Wszyscy są już umęczeni ciągłym siedzeniem w autobusie...

— Tego akurat nie przeskoczysz — wtrącił Janek. — I niech się raczej marudy cieszą, że utknęli w dwupłatowym turystyku, a nie zwykłym PKS-ie.

— Tobie chyba nieszczególnie to przeszkadza? — spytał retorycznie Dzik. — Zauważyłem, że ostatnio nawet nie rozbijasz namiotu, tylko śpisz w środku...

— Lubię nasz autobus — odparł Janek. — I lubię jeździć. To mnie po prostu odpręża, pozwala skupić się na czymś i nie myśleć o zjebanym świecie... Do tego, w środku jest ciepło, mój fotel jest najwygodniejszy ze wszystkich, mogę sobie włączyć muzykę z płyty. Doceniam to, co mam i cieszę się, że nie mam gorzej.

— Masz podejście godne pozazdroszczenia... — odparł Dzik i sam wykorzystał chwilę postoju, by przymknąć na chwilę oczy.

Po jakimś kwadransie Klucz skończył swoją robotę i wszedł do autobusu.

— O, Dzik, dobrze, że cię widzę! — powiedział, przecierając twarz ubrudzoną smarem ręką. — Jak będziesz widział się któreś nocy z Kubą, to powiedz mu, że potrzebuję tych części — dodał, wręczając Dziemu listę.

— Dużo tego — westchnął, przyglądając się zapelnionej kartce.

— Wiesz, robimy sporo kilometrów, a drugie tyle stoimy z włączonym silnikiem. I tak mieliśmy szczęście, że nasz piętus był całkiem nowy, gdy go zaanektowaliśmy. Powoli jednak wszystko się zużywa — wyjaśnił ich mechanik wycierając twarz ręcznikiem, który położył sobie wcześniej na pulpicie.

— Weź się umyj w misce, nie żałuj sobie wody — stwierdził Dzik, a Klucz podziękował mu skinieniem głowy i wszedł schodami na górę.

W międzyczasie Janek odpalił autobus. Dzik nie musiał być mechanikiem, żeby zauważyć, że tym razem silnik grzechotał dużo dłużej, nim w końcu zaskoczył. Pracował też coraz głośniej.

— To jedziemy — stwierdził kierowca, wrzucając pierwszy bieg.

Wyjechali powoli z małej osiedlowej uliczki, w której się ukrywali i lawirując między ciasnymi skrętami, wydostali się na główną drogę.

Dostrzegając z oddali kominy Krańcowskich Zakładów Chemicznych, Dzik wzdrygnął się mimowolnie. Całe to miejsce nie budziło w nim miłych wspomnień ani w Starym, ani w Nowym Świecie.

Po drodze do Wspólnoty minęli grupę Grabarzy, żywiących się zwłokami Niewykształconych, słynących z niesamowicie złowieszczonego wyglądu i równie tchórzliwego charakteru. Zebrana na chodniku gromada garbatych postaci z przerośniętymi kołcami na plecach, rozbiegła się przerażona, gdy tylko dostrzegła zbliżający się autobus.

— Dobrze, że przynajmniej oni nie sprawiają kłopotu — stwierdził Janek, obserwując jak Niewykształceni znikają za pobliskim budynkiem.

Dzik mu nie odpowiedział. Od wczoraj w głowie kołatała mu się pewna myśl i w końcu, po długiej walce sam ze sobą, postanowił oznajmić coś swoim towarzyszom z autobusu.

— Hej! Zbierzcie się na przodzie! Chce wam coś powiedzieć! — zawołał nieco zbyt piskliwie, stając wsparty między fotelami.

Zawsze, gdy miał przemawiać do swoich podopiecznych, miał wrażenie, że ton jego głosu robi się wyjątkowo głupi. Bez wątpienia, nie czuł się typem przywódcy, a o charyzmie swojego dawnego lidera Krzaka mógł niestety tylko pomarzyć. Nie pomagał mu wcale fakt, że większość mieszkańców zgromadziła się z niezbyt przyjaznymi minami. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Na ogół, wzywał ich do siebie, by oznajmić o jakichś przejściowych problemach bądź trudnościach. Tym razem jednak miał dla nich znacznie miłszą niespodziankę.

— Wszyscy mnie słyszą? — zapytał, rozglądając się po zgromadzonych.

Jego wzrok spoczął na Oli, która jako jedyna obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Jakby chciała w ten sposób powiedzieć „nie stresuj się!”.

Nabierając głęboko powietrza, zaczął swoją przemowę. Starał się, by jego głos brzmiał twardo, jak przystało na strażnika Autobusu. — Wiem, że ostatnie dni były dla was ciężkie. Moja niedyspozycja po walce z Dziadem sprawiła, że przez cztery dni jeździliśmy praktycznie bez przerwy. Rozumiem też, że wszyscy jesteście już umęczeni tą drogą i...

— Szeffie! Przestań! Nikt Cię nie obwinia. Walczyłeś dla nas z Dziadem i wszyscy... — wtrącił zaspany Korek, wybijając Dzikiego z rytmu, co sprawiło, że niemal natychmiast Dzik zapragnął użyć najczęściej padającej w ich społeczności frazy.

— Dziękuję ci, Korek, ale daj mi skończyć... Tak więc... Eee — kontynuował już mniej pewnie.

— Słuchajcie, jak już mówiłem, jesteśmy wszyscy zmęczeni, więc pomyślałem, że powinniśmy zużyć nasze „czarne zapasy” i wykupić sobie parę dni we Wspólnocie, żeby odsapnąć.

„Czarne zapasy,” o których wspominał, były zgromadzonymi przez Kubę papierosami, narkotykami i kolorowym alkoholem. Oczywiście, nie były one przeznaczone na ich użytek. Byłoby co najmniej szaleństwem odurzać się w takim miejscu, jak Nowy Świat, ale stanowiły one doskonałą walutę handlową. Ich lider zebrał je z myślą, by w tragicznej sytuacji wymienić je u któregoś z handlarzy na to, czego akurat najbardziej by potrzebowali. Dzik dowiedział się o nich w dniu, w którym został strażnikiem Autobusu. Kuba ostrzegł, że niektórzy mogą próbować go przekonać do „umilenia sobie dnia”, ale kategorycznie zakazał na to przystawać, jasno określając, do czego „czarne zapasy” mają zostać użyte.

Większość mieszkańców autobusu wiwatowała radośnie, tym razem to Oli zmarszczyła nieco czoło i spojrzała w stronę Dzikiego, wyraźnie nieprzekonana. — Dzik, „czarne zapasy” miały być na naprawdę awaryjną sytuację. Gdyby stało się coś wyjątkowo złego...

— Przestań Oli! — ryknął natychmiast Smalec, który aż trząsł się z radości na myśl o nocy w spokojnej Wspólnocie — i tak nie mamy z nich żadnego pożytku. Jeżdżą w tym autobusie od nie wiadomo jak dawna i zawalają tylko miejsce...

Oli, która została zakrzyczana przez pozostałych, zamilkła, chociaż ciągle patrzyła z nadzieją w stronę Dzikiego. Ten miał przez to wyraźnie mieszane uczucia. Myślał, że dziewczyna również ucieszy się z jego pomysłu, ale z jakiegoś powodu strasznie sposepniała.

Po półgodzinnej jeździe, w trakcie której wszystkim pasażerom ciężko było utrzymać emocje na wodzy, Autobus do Wolności wtoczył się w końcu pod bramy Wspólnoty.

Zgodnie z przewidywaniami Dzikiego, pod murem wciąż jeszcze nie rozbili się Weterani. Od Błysku minęły dopiero cztery dni, więc sporo Niewykształconych mogło się jeszcze kręcić po okolicy. Gdy zatrzymali się przed wjazdem, Dziki dostrzegł znudzonego Mike'a rozmawiającego z jednym ze strażników.

— Hej, stary! — zawołał, witając się z przyjacielem.

— Dziki! — odpowiedział radośnie Mike, natychmiast ściskając mu rękę. Mina jednak szybko mu zrzędła, gdy spojrzał na bandaż okalający jego głowę. — Co ty sobie zrobiłeś? — spytał, nie odrywając wzroku od opatrunku.

— Długo by opowiadać. W skrócie, to miałem niemiłe spotkanie z tu-tejszą fauną...

Mike pokręcił głową, wyraźnie zirytowany. — Musisz BARDZIEJ na siebie uważać. Cholera, najpierw Delimer, teraz to. Normalnie jakbyś przyciągał kłopoty — westchnął.

— Nie robię tego specjalnie, tatusiu... — zakpił Dziki, a Mike po jego żarcie odzyskał nieco humor i szybko zmienił temat.

— Dałeś mi dzisiaj okazję zarobić parę ładnych „Srebrnych” — powiedział, wyraźnie zadowolony.

Srebrne, o których wspominał Mike, były walutą Wspólnoty drukowaną na biletach kolejowych. Te znaleźć można było tylko w okolicy dworca, co znacznie utrudniało potencjalne fałszerstwo.

Dziki spojrzał pytająco na przyjaciela, zastanawiając się co właściwie zrobił. Ten wyjaśnił natychmiast. — Wiesz to twoje przemówienie w radiu: „Każdy z nas był Nowoprzybyłym”. Sentymentalne, ale jakże głębokie. W każdym razie, wszyscy robili zakłady czy trafi się ktoś, kto chłopaka ze sobą weźmie.

— To, ile postawiłeś? — spytał Dziki, zerkając z pobłażaniem na przyjaciela.

— Pięćdziesiątka, że ktoś go zabierze. Teraz zakładamy się o to, ile chłopak przeżyje pod opieką Wilka — zaśmiał się Mike.

Dziki poczuł przez to kolejne ukłucie w boku. Czyli Wilk naprawdę miał opinię kogoś, kto „przyciąga kłopoty”.

— Strasznie wam się nudzi w tej Wspólnocie... — zakpił w końcu, bo naprawdę nie podobało mu się, że ludzie zakładają się o czyjeś życie.

Mike zrobił sztucznie wzburzoną minę. — Nudzi? Chodź za mną... — stwierdził wyzywająco i zaprowadził go kilka metrów za róg muru.

Na wąskiej uliczce biegnącej tuż przy autobusach leżały dziesiątki ciał ułożonych w stosy. Dziki przyjrzał się uważniej i dostrzegł wśród nich różne dziwne rodzaje Niewykształconych. Przy jednym ze stosów, zobaczył ogromnego Grabarza, który wrzucił sobie kilka mniejszych truchel na swoje kolce i przygnieciony ich ciężarem odchodził, nieśpiesznie.

— To Obalek? — spytał Dziki, obserwując, jak Niewykształcony znika za jakimś niskim domkiem.

— Nie ma już Obalka — stwierdził smutno Mike. — Zdechł z przejedzenia.

— Widzę jednak, że nie było za wesoło. To wszystko przyszło po Błysku?

— Spora część, ale nawet jak Błysku nie ma przez dłuższy czas, to jakieś pojedyncze sztuki się napatoczą — stwierdził Mike, skinieniem głowy dając znak, by wrócili pod bramę. — Ale, co tak właściwie cię sprowadza? Czyżbyś postanowił dotrzymać obietnicy wypicia jednego ze starym kumplem? — zapytał, zerkając wyzywająco w stronę Dzikiego.

Ten po raz pierwszy mógł odpowiedzieć na to pytanie, dokładnie tak jak tego chciał. — A wiesz, że czemu nie? Chcemy kupić parę nocek we Wspólnocie.

— Cały Autobus? — spytał z niedowierzaniem Mike. — To od cholery kasy! Nie wiem, ile paliwa musielibyście przywieźć, ale raczej w baki wam tyle nie wchodzi...

— Mamy coś znacznie lepszego — stwierdził tajemniczo Dziki.

Gdy tylko wrócili pod bramę, kazał Edkowi i Bocianowi wyładować „czarne zapasy”. Po chwili na placu pojawiło się kilka skrzynek alkoholu i parę kartonów papierosów. Na ich widok, Mike'owi prawie odebrało mowę.

— Stary, to jest warte majątek — stwierdził w końcu, przeglądając butelki whisky.

— Nie widziałeś najlepszego — Dziki sięgnął do jednej ze skrzynek i wyciągnął kilka samarek sprasowanej marihuany.

— No, to na pewno starczy. Kogo Ci wezwać, Sępa czy Siwego? — spytał Mike.

— Siwego — odpowiedział Dziki. — Wole znane zło...

Mike mrugnął porozumiewawczo, by po chwili zniknąć za bramą. Dziki czekał przy skrzynkach. W międzyczasie podeszli do niego Smalec, Edek i Bocian. — I co, wpuszczają nas? — spytał ten pierwszy, drżącym z podniecenia głosem.

— Najpierw musi przyjść handlarz i kupić od nas zapasy — wyjaśnił Dziki. — Jak już będziemy mieli gotówkę w dłoni, zobaczę, ile czasu uda nam się kupić.

Odpowiadając chłopakom dostrzegł kątem oka Oli, która z ponurą miną spoglądała na plac przez okno autobusu. To było do niej tak niepodobne, że Dziki nie mógł po prostu tego zignorować. — Popilnujcie chwilę skrzynek, zaraz wrócę.

Zaniepokojony, wszedł do piętusa. Oli siedziała w towarzystwie Sebastiana. Dostrzegłszy go, uśmiechnęła się, ale od razu wyczuł, że nie robi tego do końca szczerze.

— Oli, co się dzieje? Mam wrażenie, że jesteś na mnie zła...

Dziewczyna westchnęła, ale po chwili spojrzała już na niego swoim ciepłym wzrokiem, przez co poczuł się zdecydowanie lepiej. — Nie jestem zła... — stwierdziła w końcu. — Po prostu nie do końca zgadzam się z tym, co zrobiłeś. Te zapasy miały inne przeznaczenie...

— Uważasz, że za szybko je oddałem? — spytał niepewnie. — Przecież od tyłu dni nie mieliśmy nawet chwili przerwy i to się jeszcze przeciągnie! Wciąż nie czuję się najlepiej...

Oli popatrzyła na niego pobłażliwie. — Rozumiem, Dziki. Uwierz mi, sama oddałabym wszystko, żeby się w końcu przebrać w spokoju, wyprać bieliznę, ogarnąć włosy, bo cała głowa mnie już swędzi... Ale to są tylko niewygody. To jeszcze bylibyśmy w stanie znieść. Myśląc o celu „czarnych zapasów”, raczej miałam na myśli moment, gdy życie kogoś z nas będzie zagrożone. Byłabym spokojniejsza, gdyby dalej jeździły na piętze, a nam nic by się nie stało nawet gdybyśmy krążyli jeszcze dwa tygodnie...

Dziki poczuł, że zaczyna robić mu się głupio. Oli podróżowała z Autobusem od samego początku i żyła w tym świecie dużo dłużej niż on, a co za tym idzie, miała też o wiele więcej doświadczenia. Chociaż teoretycznie to on był strażnikiem, to nie licząc spraw z Nowoprzybyłymi, Dziki radził się jej w wielu kwestiach. Czemu więc teraz tego nie zrobił? Może po prostu sam był już wykończony i potrzebował odpoczynku...

— Przepraszam... — westchnął zawstydzony. — Chyba naprawdę się pośpieszyłem. Może powinienem to teraz odwołać?

— Na to już chyba za późno... — westchnęła Oli, wyglądając przez okno na stojących na placu, rozradowanych członków Autobusu. — Ja nie miałabym serca odmówić im tego, na co tak się nastroili. Pozostaje nam mieć nadzieję, że albo zdobędziemy więcej takich zapasów, albo okazja na ich wykorzystanie nigdy nie nadejdzie.

— Ok... — westchnął Dziki, ale słowa dziewczyny nie poprawiły mu humoru.

Przez chwilę zapanowała cisza, którą przerwał w końcu Sebastian. — Niedługo się rozstajemy — stwierdził, opuszczając głowę.

— Pewnie tak — odpowiedział natychmiast Dziki, ciągle pogrążony w myślach o popełnionym błędzie.

— A jeżeli nie przyjdzie, ten Wilk, albo coś go zatrzyma? — spytał wyraźnie przestraszony chłopak.

— Myślę, że jednak przyjdzie, a gdyby się spóźniał, to poczekasz z nami we Wspólnocie — odpowiedział mu Dziki.

Słyszając to, Sebastian uśmiechnął się niepewnie. — Nie wiem, jak ja się za to wszystko odwdzięczę — powiedział, spoglądając w podłogę.

Dziki popatrzył na niego z lekkim zrezygnowaniem. Wątpił czy ktoś z jego problemami będzie kiedyś w stanie zrobić cokolwiek przydatnego dla ich społeczności, ale postanowił, że nie będzie go od razu skreślał. — Powiem ci to, co powiedział mi poprzedni strażnik, gdy sam byłem Nowoprzybyłym. My pomogliśmy tobie, a kiedy już znajdziesz tu sobie miejsce, może ty pomożesz nam.

Oli słyszając to, spojrzała na niego zadowolona i nawet uszczypnęła go zaczepnie w ramię. Dziki od razu poczuł się lepiej widząc, że nie jest już zła. W międzyczasie na plac przez Wspólnotą wszedł Mike w towarzystwie Siwego oraz Zjawy.

— Dobra, muszę dopiąć formalności... — westchnął i wyszedł z autobusu.

Gdy tylko pojawił się na placu, właściciel Faktorii od razu skupił na nim wzrok — Dzikusku, Mike powiedział mi, że masz coś, co koniecznie muszę zobaczyć. Przybyłem więc tak szybko, jak tylko mogłem... — przerwał jednak momentalnie, widząc opatrunka na twarzy Dzikiego. — Mój Boże, skarbie, co ci się stało...? — zapytał przejętym głosem, dotykając dłonią jego policzka.

Widząc to, stojąca z tyłu Zjawa udała, że wymiotuje.

— Problemy z Niewykształconymi — westchnął Dziki, ledwo powstrzymując się, by się nie wzdrygnąć przez tę niespodziewaną czułość ze strony właściciela Faktorii.

— Musisz bardziej na siebie uważać, bo sobie zniszczysz tę śliczną buźkę — westchnął Siwy, kręcąc głową, na co Zjawa zareagował kolejną pantomimą wymiotów.

Siwy zaniemówił przez chwilę, przyglądając się Dzikiemu. Gdy jednak dostrzegł stojące za jego plecami skrzynie, oczy mu się zaszkliły. — O... mój... jejciu — sylabizował Siwy jak zawsze, gdy coś mu się wyjątkowo podobało. — Dzikusku, toż to są skarby — powiedział, przyglądając się zawartości skrzynek.

Zadowolony Dziki nie mógł powstrzymać uśmiechu. Czuł, że to, co przyniósł, ma sporą wartość, teraz wystarczyło tylko dogadać cenę. Gdy właściciel Faktorii pochylił się nad jedną ze skrzynek oglądając jej zawartość, Dziki wyliczał już w pamięci, ilu dni pobytu powinien zażądać. Jego kalkulacje przerwało dopiero pojawienie się kolejnych postaci.

— To Sęp — szepnął w jego stronę Mike.

Nawet gdyby przyjaciel wstrzymał się z przedstawieniem nadchodzącego jegomościa, Dziki i tak domyśliłby się kim on jest. Choć bez wątplenia chłopak był od nich młodszy, to jego kaczkowaty chód, zgarbione plecy i długie łamiący się nos, nadawały mu wygląd w stu procentach pokrywający się z pseudonimem. Konkurent Siwego nie przybył na plac sam. Również zabrał ze sobą obstawę, w postaci aż trzech Weteranów.

W jednym z nich Dziki rozpoznał Roberta, swojego byłego kompana ze Wspólnoty. Był tam też Ostry, który na widok Dzikiego spróbował schować się za swojego szefa oraz trzeci najemnik, którego nie znał.

— A Ty, czego tu chcesz! — ryknął Siwy głosem tak srogim, że gdyby Dziki nie widział, jak wychodzi z jego ust, to nigdy nie uwierzyłby, że przeszedł przez jego gardło.

— Przyszedłem przebić twoją ofertę... — stwierdził Sęp, wyraźnie znużonym głosem.

Siwy przestał oglądać towar i zbliżył się do swojego konkurenta. Choć mężczyźni byli podobnego wzrostu, to przez swoją skrzywioną posturę Sęp wydawał się nieco niższy. Gdy tylko ich wzrok się spotkał, Dziki miał wrażenie, że przeskakują pomiędzy nimi iskry. Oczywiście przewidywał, że dwaj konkurenci nie będą za sobą przepadać, ale to było coś znacznie więcej. Między nimi biła jawna nienawiść.

— Kto pierwszy ten lepszy. Trzeba było przykuśtykać tu szybciej — wyszeptał jadowicie Siwy.

— Nikt cię nie pytał o zdanie, „pedale” — odwarknął natychmiast Sęp.

W tym momencie trzasnęło. Dziki był pewien, że Siwy spoliczkował konkurenta. Dopiero po sekundzie doszło do niego, co się stało. Zjawa niemal błyskawicznie „przeskoczyła” w stronę Sępa i przycisnęła mu pistolet do czoła.

— NIE BĘDZIESZ PRZY MNIE OBRAŻAŁ SIWEGO, SZMATO! — ryknęła, kładąc ostentacyjnie palec na spuście.

Ludzie Sępa zareagowali z opóźnieniem, ale gdy tylko wyrwali się z pierwszego szoku, natychmiast wzięli na cel Siwego i Zjawę.

Mike przeczuwał, że sytuacja może nie skończyć się dobrze. Wkroczył między zgromadzonych. — Posłuchajcie... Spokojnie! Wszyscy jesteśmy w jednej Wspólnocie — zawołał, stając na drodze mierzących do siebie ludzi. — Zjawo, chłopaki, odłóżcie broń. Myślę, że możemy się jakoś dogadać...

Zgromadzeni stali jeszcze przez chwilę, mierząc do siebie. W końcu dziewczyna opuściła broń i cofnęła się. To samo zrobili ludzie Sępa.

— No widzicie, nie trzeba nam tu przemocy. Przecież Dziki może sprzedać po trochu każdemu — stwierdził dyplomatycznie Mike.

— Nie będzie żadnego podziału — warknął Sęp, przerywając wywód Mike’a.

— Mam dla ciebie propozycję — wtrącił nagle Siwy — twój człowiek przeciw mojemu. Zwycięzca handluje z Dzikim — rzucił wyzywająco.

Sęp zmierzył go natychmiast krytycznym spojrzeniem.

— Zjawa używa błędów, nawet jak idzie się wysrać. Byłbym idiotą, gdybym się na to zgodził — odwarknął mężczyzna.

— W takim razie nie będzie ich używała. Czysty pojedynek na pięści — odpowiedział natychmiast Siwy, na co oczy Zjawy rozszerzyły się w szoku.

— Czy ty na łeb upadłeś?! — krzyknęła w stronę swojego szefa.

Siwy spojrzał na nią z politowaniem.

— Nie, moja droga. Najwyższy czas, byś udowodniła, że jesteś warta pieniędzy, które ci płacę. Masz pokonać najemnika Sępa, nie używając błędów.

— Będzie cię to drogo kosztować, Siwy — westchnęła z niechęcią, ale mimo to wysunęła się do przodu, przyjmując pseudobokerską postawę.

— W takim układzie, ja wybieram Ostrego — stwierdził Sęp, wskazując palcem na stojącego nieco z tyłu Weterana.

— Chwila! — wtrącił się zdziwiony Mike. — Ostry jest urzędnikiem... Dlaczego pracuje teraz dla ciebie?

— Wyrabia nadgodziny. Niech cię o to łeb nie boli, strażniczu bramy — odpowiedział pogardliwie Sęp.

Mike wyszeptał coś, co brzmiało jak „powiem Krzakowi”, ale handlarz w ogóle nie zwrócił na to uwagi. W tym czasie Ostry wysunął się niepewnie i stanął naprzeciwko Zjawy.

Dookoła zrobiło się nagle pełno ludzi. Zaciekawieni wrzawą strażnicy muru stłoczyli się tuż nad bramą, a mieszkańcy autobusu stanęli gromadą za Dzikim, wyraźnie zaskoczeni tym co się dzieje.

Nim tłum skończył się zbierać, Zjawa i Ostry podeszli do siebie. Chociaż dziewczyna prawie równała się wzrostem ze swoim przeciwnikiem, to była przy tym dużo szczuplejsza i na pewno słabsza fizycznie. Dziki nie miał pojęcia, jak Siwy chciał wygrać proponując pojedynek bez używania błędów. W tym wypadku, dużo rozsądniejszym wydawało się posłanie po Mańka i wystawienie do walki właśnie jego.

— Zaczynasz pipo? — syknęła w końcu Zjawa, w stronę Ostrego.

Ten, nie czekając, rąbnął ją prawym prostym. Dziewczyna cofnęła się kilka kroków z twarzą zalaną krwią. Strażnicy na murach zawyli boleśnie, a Mike wykrzywił się zatrwożony. Z ust Laury i Beaty, które stały tuż za Dzikim, popłynęły wyrazy oburzenia.

— Dlaczego w ogóle pozwalają na coś takiego! — zawołała ta pierwsza.

— Przecież to dziewczyna, ona nie ma z nim szans! — krzyknęła druga. — Niech ktoś to przerwie!

Kilku członków Autobusu przytaknęło, ale ani Siwy ani sama Zjawa nie mieli zamiaru rezygnować. Najemniczka wytarła wściekle krew nadgarstkiem, a z jej oczu błysnęła furia.

— MÓJ NOS! — ryknęła. — ZABIJĘ!

Jej błyskawiczny kontratak prawie sparaliżował Ostrego, który przyjął dwie potężne pięści na oba policzki. Otrząsnął się jednak momentalnie i hakiem, ponownie zmusił Zjawę do cofnięcia się. Nie czekając na odpowiedź, wymierzył jej kopa w brzuch, po którym dziewczyna się skuliła.

Strażnicy na murach zawyli pogardliwie, a stojące za Dzikim Laura i Beata ryknęły synchronicznie: — SKURWYSYN!

Chociaż Dzik nie był do końca pewien swojego stosunku do Zjawy, to w wypadku tego pojedynku, nie miał najmniejszej wątpliwości komu kibicuje. — Dalej dziewczyno, dasz radę — krzyknął w jej stronę. Członkowie Autobusu podchwycili to i chociaż w większości nie znali pewnie celu tego pojedynku, to wszyscy zaczęli skandować: — ZJAWA! ZJAWA! ZJAWA!

W tym czasie, Ostry zbliżył się do wciąż skulonej dziewczyny i chciał rąbnąć ją potężnym cepem od góry. Na szczęście, Zjawa tylko udawała otumanioną bólem i gdy tylko ręka najemnika wystrzeliła w powietrze, dziewczyna wykorzystała moment, w którym się odsłonił. Po szybkim zamachu trafiła go prosto w podbródek.

Ostry odchylił się do tyłu, a dziewczyna błyskawicznie chwyciła go pod kolanami i pociągnęła je, obalając mężczyznę na ziemię. Ostry spróbował się podnieść, ale Zjawa bez ceregieli wskoczyła na niego i przyciskając do ziemi, zaczęła go okładać pięściami po twarzy. Przez kilka pierwszych uderzeń Ostry próbował jeszcze kontrować ciosy, ale po chwili był już tylko w stanie osłaniać swoją głowę, przed kolejnymi uderzeniami.

Strażnicy na murach i członkowie Autobusu zawyli radośnie, gdy twarz Ostrego zaczęła powoli przypominać krwisty stek.

— Wystarczy! — krzyknął Mike, odciągając Zjawę do tyłu, bo dziewczyna ani myślała przerwać.

— OSZUSTWO! — ryknął natychmiast Sęp, celując palcem w Zjawę. — DZIWKĄ NA PEWNO CZEGOŚ UŻYŁA!

— Wszyscy obserwowaliśmy walkę. Trzeba było nie wystawiać tej pipy — wtrącił Dzik, czując ogromną satysfakcję, że może odpłacić się Ostremu.

Salwa śmiechu rozległa się wśród mieszkańców Autobusu i strażników na murach.

— Rozumiem — odpowiedział Sęp, przyglądając się krytycznie Dzikiemu. — Skoro wolisz handlować z homosem, to twoja sprawa, ale sporo sobie przegrałeś chłopczyku — warknął mężczyzna, odwracając się w stronę Ostrego. — A z tobą sobie jeszcze pogadam — wrzasnął, do prawie nieprzytomnego najemnika. — Podnieście go! — Rozkazał dwóm pozostałym ludziom i po chwili wszyscy zniknęli za bramą.

— Dobra robota, moja droga — stwierdził Siwy, klepiąc Zjawę po ramieniu.

— Pozwoliłam mu się uderzyć w twarz, nie wypłacisz się za to — wyszeptała dziewczyna, tak by zgromadzeni tego nie słyszeli.

To słowo „pozwoliłam” było dla Dzikiego potwierdzeniem tego, czego domyślał się od samego początku. — Oszukiwaliście? — spytał szeptem, patrząc to na Zjawę to na Siwego.

— Dzikusku, czy to ważne? Chyba nie chciałeś, żeby towar poszedł do niego. Liczy się to, że dobrzy ludzie wygrali — stwierdził Siwy. — Ale jeśli mam

być szczerzy, a ciebie skarbie okłamywać nie chcę... Widzisz, moja najemniczka słynie z doskonałej kontroli błędów. Chyba nawet Pierwszy nie mógłby się z nią pod tym względem równać — opisał dumnie właściciel Faktorii. — Przyjmijmy więc, że może hipotetycznie byłaby w stanie wzmacniać się na tyle, by nie wyglądało to podejrzanie...

Zdemaskowanie Zjawy umożliwiło Dziakiemu tylko jego doświadczenie. Oberwał już w tym świecie tyle razy, że doskonale zdawał sobie sprawę, jak reaguje się na różnego rodzaju rany. W normalnych warunkach, nigdy by nie uwierzył, że dziewczyna niebędąca zawodową bokserką, mogłaby przyjąć takie uderzenie w twarz i nie stracić przytomności.

— No dobrze, nie pozwólmy, żeby towar się kurzył — stwierdził w końcu Siwy. — Mike napomniął mi już, że chciałeś kupić dla swoich ludzi trochę czasu we Wspólnocie. Ponieważ dzięki tobie skarbie, miałem jeszcze okazję przytrzymać dzioba Sępowi... A co mi tam! Siwy sponzoruje pobyt Autobusu we Wspólnocie przez całe dziesięć dni!

Dziki zadowolony spojrzał na wyraźnie ucieszonych podopiecznych. Dziesięć dni to o wiele więcej niż się spodziewał. W tym czasie nie tylko jego ludzie zdążyli wypocząć za wszystkie czasy, ale może nawet on sam da radę dojść do siebie.

* * *

Po odebraniu od Siwego pieniędzy na pobyt, trzeba było jeszcze dopełnić wszystkich formalności. Na szczęście z pomocą członkom Autobusu przyszedł Mike, który zajmował się przepustkami tymczasowymi. Oczekując, aż przyjaciel Dzikiego wypełni papiery, gromada z autobusu ciągle rozprawiała o walce.

— Jak uderzył pierwszy to myślałem, że to będzie koniec — stwierdził Green. — Dziewczyna musiała nieraz się bić, że jej głowa to wytrzymała.

— To nie jest dziwne... — wtrąciła Oli. — Przecież to chyba jedyna kobieta o statusie Weterana. Musiała naprawdę sporo przejść w życiu...

— Ale pochwalić ją muszę za styl — dodał Smalec. — Ten rzut spod kolan. Ćwiczyłem coś podobnego, gdy chodziłem na samoobronę...

— Chyba łódówki! — zakpił natychmiast Bocian, a Edek ryknął śmiechem dodając: — Miałeś tam parówkowy pas?

Smalec zrobił się czerwony jak burak i nabierał już powietrza, by odgryźć się chłopakom, ale nim zdążył, Kryspin zszokował wszystkich swoim wyznaniem: — Dałbym się uderzyć w twarz, byleby tylko tak na mnie posiedziała...

W tym momencie Dzik podziękował opatrności, że autobusowe Widmo nie odzywało się zbyt często.

Po wypełnieniu papierów, Jankowi pozwolono wjechać autobusem do środka. Już za bramą Dzik zebrał podopiecznych i wydał im srebrne, które dostali od Siwego na wyżywienie.

— To ma wam starczyć na cały pobyt! — przestrzegł widząc ich rozradowane miny. — Nie wydawajcie na głupoty!

We wnętrzu murów zaczęli już pojawiać się Wolni Weterani, ale wciąż nie było ich tylu, ilu zazwyczaj gościło we Wspólnocie. Na środku dawnego parkingu rozbiło się zaledwie kilka osób handlując tym, co udało im się znaleźć w czasie ostatniego szabru.

Większość podopiecznych Dzikiego natychmiast ruszyła w stronę baru.

— Nie idziesz, szefie? — spytał Korek, zatrzymując się przy nim.

— Poczekam tu na Wilka. Może niedługo się pojawi — odpowiedział.

Korek miał pewnie ochotę zostać razem z Dzikim, ale pochwycony przez Klucza oraz Smalca został zaciągnięty właściwie siłą do baru. Janek, który jako jedyny został w autobusie, rozłożył sobie siedzenie kierowcy i ułożył się do snu.

Dziki zastanawiał się czy nie dołączyć do niego, ale wtedy dostrzegł Oli, która przyglądała się towarom jednego z Weteranów. Zaciekawiony tym, co mogło ją zainteresować, podszedł do handlarza. Weteran rozłożył na małym kocu produkty spożywcze, które w Nowym Świecie były prawdziwymi rarytasami. Paczkowana wędlna, mleko w butelkach, świeże owoce i warzywa. Dziki, który większość czasu spędzał na konserwach i peklowanych ogórkach, z tęsknotą spojrzął na małą siatkę z pomarańczami.

— Wszystko świeżutkie! Z dopiero resetowanego budynku. Smak jak w dniu Błysku — zachęcał ich, stojący przy towarach wąsaty mężczyzna.

— Dawno już nie jadłam owoców — westchnęła Oli, również patrząc na pomarańcze.

— Więc czemu ich nie kupić — stwierdził Dziki. — Ile za tę siatkę?

— 16 srebrnych — odpowiedział mężczyzna, spoglądając w stronę Dzikiego z zaciekawieniem. — Nie przyjechałeś czasem autobusem? — spytał niespodziewanie.

— No, tak jakby... — odpowiedział niepewnie Dziki, nie wiedząc do końca, o co może chodzić mężczyźnie.

— A nie jesteś przypadkiem tym Dzikim, który przez radio szukał opiekuna dla chorego chłopaka? — spytał ponownie handlarz.

— No tak, jestem — odpowiedział i poczuł jak policzki, czerwienią mu się ze wstydu. Weteran popatrzył na niego w jakiś dziwny sposób. Przez chwilę widać było, że coś rozważa. — Masz! — powiedział w końcu, wciskając mu w ręce pomarańcze. — Zasłużyłeś.

— O, naprawdę nie trzeba, ja... — zaczął Dziki, ale mężczyzna przerwał mu.

— Bierz, nie mogę ci pomóc inaczej, a uważam, że jesteś w porządku — stwierdził.

Dziki skinął w podzięcie głową, wręczając Oli siatkę owoców.

Po chwili obydwie rozłożyli się na schodach budynku dworca i zaczęli zjadać się słodkimi pomarańczami.

— Nigdy nie sądziłam, że coś takiego może sprawić człowiekowi tyle radości — powiedziała Oli, z uśmiechem obierając kolejne pomarańcze.

— Nowy Świat przewartościował wszystko — odparł Dziki, biorąc od dziewczyny obrany owoc — ...to, co kiedyś wydawało nam się zwyczajne, nabrało teraz statusu czegoś luksusowego.

Dziewczyna zrobiła smutną minę i zupełnie niespodziewanie spytała: — Teraz pewnie żałujesz?

— Czego? — dopytał, nie wiedząc nawet, o co może chodzić Oli.

Ta wlepiała wzrok w ziemię i wyszeptała po chwili: — Tego, że przystałeś do nas...

Dziki westchnął, odruchowo drapiąc się po obandażowanej twarzy. — Nie skłamię mówiąc, że wcale nie tęsknię za Wspólnotą. Brakuje mi czasem Mike'a, bo to mój przyjaciel i bardzo wiele mu zawdzięczam. Szanuje też Krzaka. Uważałem go za wspaniałego przywódcę. Nigdy jednak nie czułem się częścią Wspólnoty. Z Autobusem jest inaczej, naprawdę czuję się z wami jak z rodziną.

Oli uśmiechnęła się przez chwilę, ale zmarkotniała przy kolejnym pytaniu. — A Defekt? Tam nie chciałbyś wrócić?

Odpowiedź na to pytanie była dużo trudniejsza. Sam przed sobą musiał przyznać, że ciągle szargały nim wątpliwości. Cały czas tęsknił za Dix, chciał być przy niej ze wszystkich sił. Wiedział jednak, że przynajmniej na razie było to niemożliwe. Starał się po prostu nie myśleć ani o Defekcie, ani o wyborach, których musiał dokonać. Na jego szczęście, w Autobusie ciągle coś się działo i nie miał zbyt wiele czasu, by pogrążyć się w zadumie. Natomiast teraz, gdy Oli wyciągnęła to na wierzch, czuł, jak rodzi się w nim zwątpienie. Zapragnął znowu zobaczyć liderkę Defektu, pocałować ją, przytulić... Wiedział, że rozgrzebywanie tego sprawi mu mnóstwo bólu. Chcąc skończyć ten temat jak najszybciej, odpowiedział zgodnie z tym, co myślał, gdy opuszczał Defekt.

— Oli, wiesz dobrze, że byłem tam ze względu na to, co zaczęło łączyć mnie z Dix. Ale ona ma swoją misję, którą stawia ponad wszystko i wszystkich. To, w jakich okolicznościach moje drogi splotły się Pierwszym. Dług, który mam wobec niego... Wiesz dobrze, że nie mogłem brać w tym udziału.

— Bo jesteś dobrą osobą — wtrąciła niespodziewanie dziewczyna, kładąc mu rękę na kolanie. — Niewielu jest takich, jak ty.

Dziki poczuł, że się czerwieni. Nigdy nie lubił, gdy uważano go za kogoś wyjątkowego. Nie czuł się też kimś niezwykłym. Nim jednak zdążył zanegować, Oli spytała: — A jak już Dix dopadnie Pierwszego, zostawisz nas?

Dziki powstrzymał się, by nie westchnąć. — Nie wiem, Oli, naprawdę ciężko mi wybiegać tak daleko w przyszłość. Dix może nigdy nie dopaść Pierwszego. Mam nadzieję, że w końcu się podda. O wiele bardziej boję się, że któregoś dnia spotkają się ponownie i to ona przegra.

W tym momencie poczuł, że głos grzęźnie mu w gardle. Myśl o tym, jak może się skończyć spotkanie Dix i Pierwszego spędzała mu sen z powiek. Wyczuwał wzbierającą falę wizji i spekulacji. Poczuł więc niewyobrażalną ulgę, gdy zobaczył idącego od strony bramy Mike'a. Pozwoliło mu to przegnać rozmyślanie o przyszłości.



Rozdział IV

Niewinna przysługa

Oli, mimo zaproszenia, nie chciała towarzyszyć Mike'owi i Dzikiemu w drodze do baru. Dziewczyna postanowiła wykorzystać ich pierwszy dzień we Wspólnocie, żeby w końcu odwiedzić dawnych pasażerów autobusu. Wielu z nich znalazło bowiem swój nowy dom właśnie w tym miejscu.

Dziki, widząc, że Oli naprawdę ucieszyła się z tej możliwości, nie nalegał zbyt długo, by poszła razem z nimi. Cały czas miał w głowie, że przecież w trakcie ich pobytu będzie jeszcze mnóstwo okazji do wspólnej zabawy.

W zatłoczonym, ciemnym pomieszczeniu baru czuć było dym papierosów, przemieszany z odorem potu. Mieszkańcy Wspólnoty oraz Weterani odpoczywający w jej murach, pogrążeni byli w rozmowach. Dziki niemal od razu dostrzegł Autobusiarzy, którzy połączyli dwa stoliki i siedzieli razem przy blacie pełnym piwa. Humory dopisywały im jeszcze jak chyba nigdy. Oczywiście nie miał nic przeciwko temu, żeby jego towarzysze trochę sobie pofolgowali (w końcu sam zamierzał wypić z Mikiem), ale rozochociona kompania była wręcz wyjątkowo rozrzutna. Kelnerka ciągle donosiła im kolejne kufle, a oprócz tego paluszki, orzeszki i inne przekąski w ilościach wręcz hurtowych.

Z jakąś dziwną wewnętrzną irytacją stwierdził szeptem do Mike'a: — Jak dalej będą tacy rozrzutni, to resztę dni będziemy głodować we Wspólnocie.

Mike poklepał go pobłażliwie. — Mają pierwszą okazję od cholera wie kiedy, żeby się zabawić i nie myśleć o tym, co czeka ich na zewnątrz. Daj im spokój i nie bądź hipokrytą, bo sami o własnych siłach dziś stąd nie wyjdziemy.

Przyjaciel poprowadził Dzikiego do wolnego stolika w rogu pomieszczenia. Już po chwili pojawiła się przy nich Zuzia, jedna z kelnerek baru i obiekt dawnych westchnień Mike'a.

Dziewczyna słynęła ze skąpych strojów i wyjątkowo kokieterijnego zachowania wobec zamożnych klientów. Mike, który w Starym Świecie miał do czynienia wyłącznie z kobietami na ekranie komputera, dał się niegdyś w całości pochwyć w jej pułapkę.

— Hej, Majkuś? To, co zwykle? — spytała, praktycznie szeptając mu do ucha.

— Nie. Tym razem pół litra czystej i napój — odpowiedział Mike, wyjątkowo zimnym i opryskliwym głosem.

Dziewczyna nie zważając na jego ton, obdarzyła ich szerokim uśmiechem i ruszyła w stronę baru po zamówienie.

— To kiedy wasz związek złapał kryzys? — spytał ironicznie Dziki.

— Daj spokój, przystawiała się do każdego, kto tylko trzymał w garści trochę srebrnych — odparł zdenerwowany Mike, a Dziki nie mógł powstrzymać się od sarkastycznej odpowiedzi.

— Ona? Niemożliwe...

Mike zrobił zaciętą minę i spojrzał wymownie w jego stronę.

— Ty nie masz takich problemów, co? Pięć minut za murami i już wspólne pomarańczki z podopieczną z Autobusu. Założę się, że „wielki strażnik” jest obiektem niejednych westchnień.

Jego wzrok powędrował natychmiast do stolika Autobusiarzy, gdzie Laura i Beata — Autobusowe Papużki oraz Weronika zagadywane były przez Bociana i Edka.

— Jeżeli myślisz, że mam czas na takie rzeczy... to znaczy, że naprawdę nie domyślasz się jak wygląda życie za murami — odpowiedział zaczepnie Dziki.

Mike szykował się już do ciętej riposty, ale pojawiła się Zuzia z alkoholem i butelką soku. — Jakbyście potrzebowali czegoś jeszcze, to jestem tu dla was, chłopaki — stwierdziła, puszczając w ich stronę oczko.

Mike odprowadził ją nienawistnym wzrokiem do baru, szepcząc coś, co brzmiało jak „Nakarmię Grabarza trupem”, ale humor poprawił mu się natychmiast, gdy spojrzał na butelkę wódki. — No nareszcie! Wypijemy jak w Starym Świecie — zawołał, rozlewając alkohol.

Dziki złapał za kieliszek i podnosząc go, wzniosł pierwszy toast — za Stary Świat i nieocenioną radość, jaką nam dawał.

Mike uśmiechnął się i zawtórował — za Nowy Świat... Oby dał nam pożyć jeszcze trochę.

Dziki przechylił kieliszek i poczuł, jak dawno niepity alkohol w połączeniu ze środkami przeciwbólowymi, prawie natychmiast zaczyna szumieć mu w głowie. — W autobusie nie mógłbym sobie na to pozwolić. Na zewnątrz, zawsze coś nam zagraża...

— Myślisz, że ja tu mam lepiej — westchnął Mike. — Wspólnota wygląda dobrze, jak się ją odwiedza doraźnie. Mieszkanie tu, to już inna bajka.

— Niewykształceni? — dopytał Dziki, nalewając drugą kolejkę.

— Nie tylko. Ludzie... — odparł z przekąsem Mike. — Oni są nawet gorsi. Opowiem ci taką historię. Jakiś czas temu przyszedł tu zwykły mieszkaniec Krańcowo. Nie żaden Weteran, co wyżej sra niż dupę ma, tylko taki normalny koleś. Miał trochę fantów na sprzedaż, no to go wpuściłem. Prze-handlował co miał u Siwego i poszedł pić do naszego baru. Tam poprząkał

się z jakimś gościem i jeden z jego kumpli strzelił mu w plecy. Oczywiście, jak się zleciceli strażnicy, facet był już ograbiony z resztek dobytku. Jak sprawców w końcu zgarnęliśmy i chcieliśmy kulturalnie powiesić za jaja na murze, to się nagle okazało, że oni robią jakieś interesy z konglomeratem i chuja im można zrobić...

Dziki zmarszczył czoło, spoglądając znacząco na Mike'a. — Szkoda, że nie znałem tej historii zanim wykupiłem Autobusowi pobyt...

— Spokojnie. Temat ogarnęliśmy z Krzakiem poza „oficjalnymi” drogami. Teraz kilku ludzi w konglomeracie zastanawia się, gdzie są ich dostarczyciele... Ale powiem ci... nie tak to miało wyglądać. Nie taka miała być nasza Wspólnota...

Wywód Mike'a przerwało nagle poruszenie w barze. Kilku ludzi wstało zerkając z zaciekawieniem w stronę wejścia. Do pomieszczenia wszedł Wilk w towarzystwie Szarej, wywołując natychmiastowe ożywienie. Weterani zaczęli pozdrawiać go głośno, a Autobusiarze wskazywali Sebastianowi przybyłą parę tłumacząc coś gorączkowo.

Bystre oczy Szarej przebiegły po barze. Niemal z miejsca wypatrzyła ona Dzikiego i ciągnąc za rękę swojego kompana, poprowadziła go do ich stolika.

— Widzę, że obydwaj sporo ostatnio przeszliśmy — stwierdził Wilk na powitanie, a Szara pomachała im rażno, chociaż jej mina wydawała się mocno zmartwiona.

— Miałem trochę kłopotów z Niewykształconymi, a ciebie co tak urządziło? — spytał zszokowany Dziki.

Twarz mężczyzny wyglądała co najmniej, jakby służył w klubie sportowym za worek treningowy.

— Maciejewski... — odparł Wilk, a Szara spojrzała smutno w jego stronę. — No, ale mniejsza o to... Który to ten mój nowy podopieczny?

— Siedzi tam przy stoliku — odpowiedział Dziki, wskazując na Sebastiana.

— Wygląda na miłego dzieciaka. Myślę, że się dogadamy — podsumował Wilk. — A Autobus co dzisiaj świętuje? Widziałem, że wasz pojazd czeka sobie za murami — spytał, wyraźnie zainteresowany.

Dziki skrzywił się przewracając pustym już kieliszkiem w dłoni. — Mieliśmy ostatnio ciężki okres. Dlatego postanowiłem, że należy nam się trochę wytchnienia, od dobrodziejstw Nowego Świata.

Słyszac to Wilk uśmiechnął się delikatnie pod nosem. — Wiesz Dziki, to nawet się dobrze składa. Bo miałbym do ciebie drobną prośbę...

Dziki po prostu zeszytywniał, ledwo ukrywając zakłopotanie. Podejrzał co prawda, że będzie musiał się kiedyś odwzajemnić Wilkowi za pomoc Sebastianowi, niemniej w głowie miał terminy bardziej odległe, niż moment odbioru chłopaka ze Wspólnoty. W duchu miał tylko nadzieję, że nie usłyszy zaraz czegoś, o co Kuba mógłby mieć do niego pretensje.

— W czym mógłbym ci pomóc? — spytał niepewnym głosem.
 — Zastanawiałem się... — zaczął powoli Wilk obserwując jego reakcje.
 — Czy skoro twoi ludzie są bezpieczni tu za murami, to czy nie mógłbyś mnie gdzieś podrzucić?

— Autobusem? — dopytał Dziki, jakby nie do końca dotarło do niego, o co spytał mężczyzna.

— No, tak... — potwierdził nieco zmieszany Wilk. — Wyjaśnię ci, o co mi chodzi. Słyszałeś zapewne co dzieje się ostatnio w Krańcowie?

Dziki przytaknął, a Mike nadstawił uszu, odrywając się na chwilę od butelki, na której był skupiony.

Wilk schylił się i wyszeptał tak, by tylko siedzący przy stoliku mogli go usłyszeć. — Widzisz Dziki, mam w Strefie Głodu informatora. Niestety facet nie jest z tych, co robią coś dla idei, a za swoje usługi każe mi sporo płacić. Za dokładne informacje o ostatnich wydarzeniach zażądał ode mnie niebotycznej wręcz ilości fantów. Zebrało się tego prawie trzy podrózne torby. Mógłbym co prawda przenieść to z Szarą ręcznie, ale byłoby to trochę ryzykowne. Pomyslałem więc, że skoro masz wolny autobus, to mógłbyś podrzucić nas do umówionego punktu i ewentualnie odebrać.

Dziki nie odpowiedział od razu. Prośba Wilka stała w jawnej sprzeczności z zasadą neutralności Autobusu. Była najgorszą możliwą przysługą, o jaką mężczyzna mógł go poprosić. Zaczął nawet podejrzewać, że deklaracja przyjęcia Sebastiana, miała stworzyć okazje właśnie do tej prośby.

Wilk chyba wyczuł podświadomie, co chodzi Dzikiemu po głowie, bo nie pytany zaczął się tłumaczyć. — Dziki, niezależnie od tego czy się na to zgodzisz, czy nie, chłopak ma już u mnie zaklepane miejsce. Nie musisz się o to martwić. Uwierz mi, nie prosiłbym cię o tę przysługę, gdyby w autobusie wciąż byli twoi ludzie. Moje sumienie nie zgodziłoby się ich narazić...

Dziki wyprostował się, obracając nerwowo kieliszek w palcach. Rozumiał, że informacje które Wilk mógł zdobyć w Stefie Głodu, mogły przysłużyć się całej społeczności Weteranów i poniekąd również Autobusowi. Gdyby odpowiadał tylko za siebie, podjąłby się pomocy bez wahania. Ale nie odpowiadał tylko za siebie.

Teraz zastanawiał się czy były jakieś szanse, żeby ich ewentualny wyjazd nie wyszedł na jaw. Weteranów nie było obecnie zbyt dużo we Wspólnocie, a swoim podopiecznym mógł zawsze powiedzieć, że wyjeżdża by ogarnąć trochę zapasów. Gdyby nikt nie widział jak Wilk i Szara wsiadają do autobusu, nie byłoby powodu by ich podejrzewać.

— Dobra, niech będzie — stwierdził w końcu. — Ale postaramy się utrzymać to w tajemnicy. Kuba powiesiłby mnie na Wieży Ciśnień, gdyby się dowiedział, że tak jawnie angażuję Autobus w walkę z Danielem.

— To, co robię, robię również dla niego, jak i dla Autobusu — stwierdził nieco urażony Wilk. — To bardzo ważne, abyśmy dowiedzieli się, co planuje

Armia i jak daleko są w stanie się posunąć — dodał, ale po chwili zmienił nieco ton. — Oczywiście nie chce narażać cię na konflikt z twoim liderem, więc możemy pobawić się w tę małą konspirację. Ja i Szara wyjdziemy ze Wspólnoty pierwsi, a ty złapiesz nas po drodze.

— Kiedy chcesz wyruszyć? — spytał Dziki.

— Zaraz dobijemy ostatnich targów z Sępem i będziemy mieli właściwie wszystko, czego chciał informator — odparł Wilk.

Mike, który przez większość czasu przysłuchiwał się ich rozmowie w milczeniu, wtrącił nagle. — A nie szukacie jeszcze kogoś do pomocy? Chętnie ruszę się trochę za mury...

Rzucając tę propozycję ostentacyjnie odsunął od siebie butelkę.

— Jasne! — odparł wyraźnie ucieszony Wilk. — W grupie zawsze pewniej.

* * *

Dziki poinformował podopiecznych w barze, że musi na chwilę opuścić Wspólnotę. Nie wdrażał ich przy tym w żadne szczegóły. Na szczęście rozpici kompani nie byli szczególnie zainteresowani tym, gdzie wybiera się ich strażnik. Jedynym zagrożeniem byłby w tym momencie Korek, bo w normalnych okolicznościach zrobiłby on pewnie wszystko, żeby pojechać razem z Dzikim. Na szczęście Klucz i Smalec zdążyli doprowadzić go już do takiego stanu, że chłopak siedział jedynie sztywno przy stole i wodząc nieprzytomnie wzrokiem powtarzał: „Strasznie kręci mi się w głowie. Czy ja umieram? Powiedźcie, czy ja od tego umrę?”.

W międzyczasie Mike poprosił kilku swoich znajomych, żeby mieli oko na Autobusiarzy.

Dziki najbardziej bał się konfrontacji z Oli i Jankiem. Dziewczyna poznała go już na tyle dobrze, że zawsze wiedziała, gdy naciągał fakty, a znudzony kierowca mógł po prostu chcieć dołączyć do ich wyprawy.

Na szczęście Oli nie było akurat nigdzie w pobliżu autobusu, więc nie musiał się jej tłumaczyć. Jankowi powiedział z kolei, że reszta ekipy przepija i przejecha w tym momencie pieniądze w barze. Zagroził jednocześnie, że jak ten się nie pośpieszy, to nie zdąży skorzystać z niczego, bo pozostali zaraz roztrwonią wszystko co zarobili na wymianie. Zdenerwowany kierowca ruszył do baru nie dopytując nawet, dokąd Dziki się wybiera.

Gdy autobus wytoczył się w końcu ze Wspólnoty, niebo robiło się już całkiem ciemne. Dzikiego z jednej strony bardzo to cieszyło, bo nocą niewiele osób kręciło się po Krańcowie i była o wiele mniejsza szansa, że ktoś nakryje ich w trakcie wypadu. Z drugiej strony wiele typów Niewykształconych robiło się aktywnych po zmroku i podróżowanie stawało się przez to dużo bardziej niebezpieczne.

Dodatkowo ich sytuację pogarszał fakt, że Dziki miał raczej małe doświadczenie w prowadzeniu autobusu. Przez to często hamował zbyt gwałtownie.

nie, a to co rusz kończyło się popisowym uderzeniem klatki piersiowej Mike'a o kokpit pojazdu. — Kto cię w ogóle uczył tym jeździć? — spytał w końcu zirytowany, gdy po raz kolejny poprawiał się na fotelu.

Dziki nie odpowiedział, bo tak naprawdę nie miał zbyt wielu okazji do prowadzenia piętusa.

Na szczęście, mimo trudności udało im się w końcu odebrać Wilka oraz jego towarzyszkę spod dawnego muzeum kolejnictwa. Gotowi do dalszej drogi, ruszyli w kierunku Centrum.

Gdy tylko opuścili stosunkowo bezpieczne obrzeża miasta, Dziki poczuł, jak skóra cierpie mu na plecach. O centrum Krańcowo, przez które planowali się przebić do Strefy Głodu, krążyły na radiu Weteranów naprawdę przerażające opowieści. Jakby dla potwierdzenia tych pogłosek, nawet Kuba zaznaczył w swoim notatniku, by nigdy nie nocować w tamtej okolicy.

Zdenerwowanie Dzikiego szybko udzieliło się wszystkim w autobusie. Mike ścisnął mocno swój karabin, skupiony jakby znajdował się pod ostrzałem. Wilk praktycznie zeszytniał i oparty o kokpit obserwował drogę przed nimi. Szara stojąca przy drzwiach, wodziła nerwowo wzrokiem za każdym cieniem przemykającym z boku pojazdu.

Prawdziwy szok przeżyli, gdy otaczający ich stłumiony rumor potworów rozdarło nagle przeraźliwe wołanie o pomoc.

Przestraszony Dziki uderzył w hamulce, przez co wszyscy po raz kolejny polecili na przód pojazdu. — Przepraszam! Przepraszam! — zawołał natychmiast. — Jeszcze nie do końca czuję ten pedał...

Mike, który trzęsącymi rękoma podnosił karabin z ziemi, spytał nerwowo: — Co to, do cholery było? Łapka?

— Chyba... — wyszeptał Dziki. — Ale zabrzmiało tak, jakby krzyczała w autobusie... — dodał po chwili.

Nagle Szara uderzyła dłonią w szybę, żeby zwrócić ich uwagę i zaczęła nerwowo wskazywać na coś palcem. Wilk i Mike poświecili latarkami we wskazanym kierunku. Wtedy ich oczom ukazała się Łapka gigant. Potwór przesunął obok nich swoje cielsko wielkości komody, wykorzystując do tego masywne ręce.

— Jaka wielka! — zawołał zszokowany Mike. — Tylko co ona robi poza chałupą? Myślałem, że one są jak Gospodarze...

Wilk pokręcił głową. — Nie do końca. Jak długo nie mogą niczego przywabić, to próbują zmienić miejsce. O ile są jeszcze w stanie się podźwignąć...

Szara pokręciła głową i zaczęła nerwowo machać rękoma, jakby chciała ich ponaglić.

— Masz rację — potwierdził Wilk. — Raczej się tu nie zatrzymujmy...

Dziki skinął głową i ruszył dalej. Łapka zawołała jeszcze za nimi, a jej krzyk był wręcz nieludzko głośny.

— Cholera... — syknął Mike, grzebiąc sobie w uchu. — Trzeba było pojechać koło dawnej Bajkolandii. Trasa tam jest bezpieczniejsza.

— Dużo więcej ludzi się tam kręci i koczuje — odparł mu Dziki. — Pamiętaj, że nie bardzo chcemy się komuś teraz pokazywać.

Przez następne kilka minut nikt się nie odzywał i wszyscy pozostali skupieni na drodze. Na szczęście poza odległymi krzykami, ta wydawała się całkiem pusta. Dziki był już niemal pewien, że do Strefy Głodu dojadą finalnie bez większych problemów.

I wtedy, jak na przekór, światła autobusu odbiły się od dziwnych zielonych odbłasków na drodze. Dziki po raz kolejny dał zbyt ostro po hamulcach, przez co jego kompani wylądowali na ziemi.

— Co się dzieje?! — spytał zszokowany Wilk.

Szara rozmasowując sobie zaczerwienioną głowę, popatrzyła ze łzami w oczach w stronę Dzikiego.

Ten wyprostował rękę, wskazując przez przednią szybę. — Widzicie to?

Zielonkawę odbłaski świeciły w oddali, a to do czego były przyczepione zbliżało się nieubłagane w stronę autobusu.

Nagle oczy Szarej rozszerzyły się. Spoglądając na Wilka pstryknęła w dziwny sposób palcami. Był to najwidoczniej jakiś znany tylko im znak, bo mężczyzna pobladł natychmiast.

— TO SPALACZ! WSTECZ! — wrzasnął jak oparzony, łapiąc gwałtownie za ramię Dzikiego.

Ten spojrział natychmiast w boczne lusterko. Ulica była zbyt wąska, by ze swoimi nędznymi umiejętnościami dał radę wykręcić autobus. Wrzucił więc wsteczny chcąc odjechać kawałek tyłem, ale przez drżącą rękę, bieg nie wskoczył mu do końca. Nim zdążył poprawić swój błąd, Niewykształcony pojawił się w zasięgu światła.

Spalacz, jak nazwał go Wilk, nosił brązowy strażacki mundur z goglami ochronnymi, a jego skóra była czarna, jakby sam był wcześniej ofiarą spalania. Dostrzegając ludzi w piętusie, wzdrygnął się, a z jego ciała pofrunęły iskry, niczym z ogniska w wietrzny dzień.

— W TYŁ! W TYŁ! W TYŁ! — powtarzał Wilk szarpiąc cały czas ramię Dzikiego.

Ten wbił w końcu właściwy bieg. Problem był w tym, że autobusem ledwo był w stanie jeździć do przodu, a co dopiero na wstecznym. Gdy w końcu ruszył, piętusem zaczęło natychmiast wozić od jednej strony ulicy do drugiej. Dziki machał więc kierownicą jak szalony, próbując kontrować, ale i tak co rusz zahaczał latarnie albo wjeżdżał na chodnik.

Wilk, Szara i Mike objali się o fotele, ściskając wszystko co mogli, byle tylko utrzymać jakąś równowagę. Tymczasem Niewykształcony ciągle pędził za nimi.

W końcu Dzikemu udało się wyprostować autobus i drżącą nogą docisnąć pedał gazu. Piętrus rozpędzał się, a jego silnik zaczął wydawać z siebie potworny jazgot. — Błagam, tylko się teraz nie zepsuj... — prosił w myślach widząc, że wskazówka obrotów wjeżdża na czerwone pole.

Niewykształcony za szybko zaczął się w końcu oddalać, ale Dzik i tak zdołał zobaczyć, że w trakcie pościgu działo się z nim coś naprawdę dziwnego. Jego ciało wydawało się wręcz płonąć od środka, a pod płaszczem pojawiły się wyraźne jaśniejące plamy.

— Co on wyprawia?! — spytał przerażony.

— Nagrzewa się w trakcie walki! — odparł Wilk. — W ciągu minuty robi się tak gorący, że podpala wszystko dookoła...

Dziki w panice zaczął szukać jakiegoś miejsca, żeby odwrócić autobus. Jadąc normalnie uciekliby przed Spalaczem bez problemu. Niestety droga wciąż była zbyt wąska, a potwór zbyt blisko.

Nagle z ciemności coś wystrzeliło.

Łapka, którą wcześniej minęli, runęła prosto na Spalacza przysuwając go do ziemi. Dzik zobaczył, że środkowa część jej ciała rozciągnęła się jakby była z gumy, podczas gdy dół potwora ciągle znajdował się na chodniku, jego górna połowa sięgnęła aż do środka drogi.

— O cholera... — syknął Mike, a Wilk szarpnął Dzikiego.

— Teraz mamy szansę! Mijaj ich!

Dziki zatrzymał się i błyskawicznie zmienił bieg. W tym czasie Łapka zaczęła drzeć się wniebogłosy, puszczając swoją ofiarę. Spalacz okazał się tak gorący, że jej ciało przypaliło się od samego dotyku. Poparzona bestia spróbowała się wycofać, ale robiła to zbyt wolno, bo już po chwili skóra na jej głębie zaczęła się przypalać.

Tymczasem Spalacz zaczął się podnosić. Przez te kilka sekund, gdy leżał na drodze, zdołał stopić otaczający go asfalt i cały jego płaszcz ciągnął się, pokryty smołą. To na szczęście mocno go spowolniło.

Dziki nie miał zamiaru sprawdzać, czy zdoła się on w końcu wyswobodzić. Okrążając go szerokim łukiem wcisnął gaz do podłogi, ponownie nadwyrężając silnik autobusu. Nie minęła nawet minuta, jak Niewykształceni zniknęli w oddali.

— Co to w ogóle było? — spytał zszokowany, gdy byli w końcu bezpieczni.

Wilk nie odpowiedział od razu. Opadł najpierw na siedzenie, bo z nerwów zaczęły trząść mu się nogi. Szara przyklękła obok niego i oparła swoją głowę o jego kolano, chcąc pewnie nieco go uspokoić. — Spalacze... — odpowiedział w końcu mężczyzna, gdy doszedł do siebie — ...są ekstremalnie niebezpieczne...

— To zauważyłem. A da się to w ogóle zabić? — dopytywał dalej Dzik.

Tym razem na pytanie odpowiedział Mike: — W bezpośredniej walce nie, ale jest pewna sztuczka. Jak jeszcze nie zdąży się rozgrzać, możesz wziąć

go z zaskoczenia i strzelić mu w głowę z bliska. Tylko jak nie trafisz albo masz za słabą broń, skończysz jako popiół...

— Jest jeszcze jedna opcja... — wtrącił Wilk, tuląc się jedną ręką do Szarej. — Jak walczy się z nimi dość długo, to rozgrzewają się do takich temperatur, że w końcu ulegają samospaleniu... Tylko, że są cholernie szybkie i tu leży sedno sprawy.

Dziki pokręcił głową. — Jakby potworów, które już poznałem było mało...

Na szczęście po tej niechcianej przygodzie, reszta drogi minęła im już całkiem spokojnie. Gdy w oddali dostrzegli w końcu lunę ognisk znad Strefy Głodu, Wilk wyjawiał im dokładne miejsce spotkania.

— Umówiłem się z nim w starej pizzerii „Papa Pepo”. Jak dasz radę, ustaw się gdzieś w jej pobliżu. Po tej przeprawie ze Spalaczem, odeszła mi jakoś ochota na dłuższe piesze wycieczki...

Dziki zastanawiał się przez chwilę, gdzie mogliby się ulokować. W końcu przypomniał sobie o pewnej małej drodze, biegnącej niedaleko fast foodu. Było tam sporo wysokich budynków, zza których piętrus nie byłby zbyt widoczny, nawet w dzień. Tam też postanowił ich zabrać.

Jak tylko zaparkowali, Wilk przyjrzał się zebranym zapasom z nietęgą miną. — Słuchajcie, wiem, że nie do końca to było w umowie, ale może pomożecie mi to zataczać?

Mike słysząc to, zwrócił uwagę na pewien szczegół, o którym Dzik nawet w tym momencie nie pomyślał. — Wilku, nie chcę ci psuć planów, ale ja, Dzik, ty, Szara plus jeszcze informator. Ostro dokładamy do trzech. Może niech Dzik ubezpiecza nas z Szarą gdzieś z daleka, a my razem z torbami pójdziemy do pizzerii.

Wilk pokręcił jednak głową. — Spokojnie, jesteśmy tak blisko Strefy Głodu, że nawet w pięcioro niczego byśmy nie przyciągnęli. Poza tym, gdybyście poszli ze mną, Szara mogłaby nas ubezpieczać z dachu. Ona zdecydowanie lepiej radzi sobie na dużych odległościach.

Dziewczyna skinęła głową, demonstrując dumnie swój karabin z lunetą snajperską.

— No dobrze, ale Szara będzie sama. To na pewno bezpieczne? — wtrącił Dzik.

Szara i Wilk popatrzyli na siebie. Wyglądało na to, że oboje potrafią się porozumieć samym tylko spojrzeniem. Już po chwili kobieta przysunęła się do Dzikiego, kładąc mu z uśmiechem obie ręce na ramionach.

— Szara chciała ci powiedzieć, że nie musisz się o nią martwić — odpowiedział Wilk. — Błędy, którymi się posługuje, pozwalają jej doskonale się ukrywać. Smutna prawda, ale podróżując ze mną jest w dużo większym niebezpieczeństwie niż gdyby została sama.

Dziki przyjął to wyjaśnienie, po czym chwycił za torbę z zapasami. Oczywiście ten dodatkowy ciężar nie wpłynął najlepiej na jego rany. Kręgo-

ślup, żebra, a nawet głowa zaczęły go natychmiast boleć. Pocieszał się tylko, że do pizzerii nie było daleko.

— Naprawdę ogromne dzięki — stwierdził Wilk, łapiąc z Mikiem za pozostałe torby. — Oddajecie teraz ogromną przysługę naszej społeczności...

— *Lepiej, żeby nikt się o tej przysłudze nie dowiedział...* — pomyślał Dziki, otwierając drzwi autobusu.

Gdy tylko wyszli na zewnątrz, natychmiast naszedł go jakiś dziwny niepokój. Nawet ten niewielki odcinek drogi, który musieli pokonać teraz pieszo, mógł być najeżony Niewykszałconymi i różnego rodzaju innymi niebezpieczeństwami.

Wilk włączył natychmiast latarkę i świecą nią nisko po chodniku, zaczął prowadzić ich do miejsca spotkania. Na ich szczęście, tym razem oprócz wrzasków Gospodarzy dobiegających z pobliskich budynków, nie spotkało ich nic niepożądanego.

Budynek pizzerii znajdował się przy jednym ze skrzyżowań głównej ulicy. Gdyby w dzień wejść na jego dach, bez problemu można by podejrzec, co dzieje się w samej Strefie Głodu. Na myśl, jak blisko królestwa Daniela się znajdują, Dziki nie mógł opanować kołatania serca.

Gdy weszli po kamiennych schodach na półpiętro pizzerii, w wejściu powitał ich szyld przedstawiający karykaturalnego wąsatego Włocha. O dziwo, sam budynek wyglądał na nieszabrowany. Wilk, który szedł jako pierwszy, naciśnięciem na klamkę i otwierając drzwi, wpuścił ich do środka.

— Dobra, zostawcie torby. Niedługo powinien być.

Dziki odłożył z ulgą ładunek i rozejrzał się po wnętrzu. Miał okazję kilka razy jeść tutaj jeszcze przed Błyskiem i musiał przyznać, że lokal wyjątkowo dobrze oparł się zgubnemu działaniu Nowego Świata. Chociaż alkohol za ladą zniknął bez śladu, to reszta wyposażenia stała na swoich miejscach. Nic też nie było zdemolowane ani zniszczone.

Gasząc latarki, rozsiedli się przy jednym ze stolików, czekając na nadejście informatora.

— Kim jest w ogóle ten gość, który odważył się zdradzić Daniela? — rozległ się głos Mike'a w absolutnej ciemności.

— Mówią na niego Łajza, zresztą bardzo słusznie. W Starym Świecie był takim krańcowym cwaniaczkiem. Na moje szczęście, czy też nie, znam go właśnie sprzed Błysku — odpowiedział Wilk.

— Można mu ufać? — dopytał nieprzekonany Dziki.

Wilk westchnął wyraźnie zakłopotany. — W normalnych warunkach powiedziałbym, że absolutnie nie, ale z fartem dla nas, nie przepada on ani za Danielem, ani za jego rządami. Choć pewnie tylko ze względu na to, że nie udało mu się awansować nigdzie wyżej. Z tego, co wiem, próbował wielu sztuczek, żeby wkroczyć się do Gorgoru, ale Daniel go rozgryzł i dostał dożywotnią łatkę cherlaka. Podobno nawet w banderze nie jest mile widziany. Więc z zemsty szpieguje dla mnie.

— Cherlak raczej nie może wiedzieć zbyt dużo... — stwierdził Mike, ale Wilk zaprzeczył.

— Łajza ma wyjątkowy talent do zbierania informacji, a że na cherlaków nikt za bardzo nie zwraca uwagi, lepiej dla niego.

Dziki wciąż nie był do końca przekonany po tym, co usłyszał.

Następne kilka minut spędzili w milczeniu, przysłuchując się odgłosom z zewnątrz. W pewnym momencie ciszę przerwało wyraźne „pyknięcie” niewiadomego pochodzenia.

— Szara właśnie dała znać! Zaraz tu będzie — wyjaśnił Wilk.

Minutę później drzwi pizzerii otworzyły się, a do środka weszła jakaś postać.

Wszyscy trzej oświetili ją swoimi latarkami. Mężczyzna zasłonił oczy oslepiony światłem i syknął cicho: — Wyłączcie to cholerstwo! Nikt więcej nie musi wiedzieć, że tu jesteście — rzucił opryskliwe.

Gdy wszyscy wyłączyli latarki, przybysz po omacku wszedł do środka i dosiadł się do ich stolika. Dziki myślał przez chwilę, że będą rozmawiać po ciemku, ale postać wyciągnęła małą lampę rzucającą bardzo mdłe, czerwone światło. W lewo widocznej poświacie mógł w końcu przyjrzeć się tajemniczemu Łajzie.

Choć w pierwszej chwili wyglądał on jak typowy mieszkaniec Strefy Głodu, to po dłuższej chwili, Dziki dostrzegł sporo cech, które odróżniały go od pozostałych. Przede wszystkim był szczupły, ale nie zamorzony. Dziki wiedział doskonale, że ci, którzy nie zajmują w Armii Daniela wyższych pozycji, przez większość czasu chodzą głodni. Jego ubranie też nieco go wyróżniało, było trochę brudne, ale na pewno niezniszczone albo zużyte. Wyglądało raczej na sztucznie sfatygowane.

— Nie spodziewałem się, że będziesz miał towarzystwo — zaczął mężczyzna, spoglądając z wyrzutem na Wilka.

— Zażyczyłeś sobie tyle towaru, że za diabła nie dotaszczyłbym tego sam. Mam nadzieję, że twoje informacje są warte chociaż połowę tego, Łajzo.

Mężczyzna w ogóle nie przejął się gniewnym tonem Wilka i bez ceregieli poszedł sprawdzać zawartość toreb. — Dobra, powiedzmy, że jest ok — stwierdził, siadając po chwili z powrotem przy stole. — To czego chcesz?

— Nie rój głupa, doskonale wiesz po co przyszedłem! Co to za grupa, która atakuje Weteranów? Ilu ich jest? Jak są wyposażeni? Gadać wszystko, co wiesz! — warknął Wilk, zerkając pogardliwie na swojego rozmówcę.

Łajza uśmiechnął się i pochylił nad lampą tak, że widzieli teraz dokładnie jego oczy przeskakujące między nimi trzema. — Pamiętasz, jak sprzedałem ci informację, kiedy Maciejewski będzie próbował przedostać się na drugi brzeg? Czulem pismo nosem, że opłaci mi się to w znacznie szerszej perspektywie.

— DO RZECZY! — ryknął Wilk, uderzając pięścią w stół.

Na Łajzie nie zrobiło to jednak większego wrażenia. Spoglądając pogardliwie na rozmówcę, syknął złośliwie: — Co, boli cię dupa? Bo sam sprowo-

kowałeś to, co się teraz dzieje? Daniel dostał szalu, jak się dowiedział, że ktoś ośmielił się podnieść rękę na jedynego człowieka, którego ceni w banderze. Do tego przeszkodziłeś w tym ich całym „eksperymentem” i nieważne, że kładka utonąła bez twojej ingerencji...

— Jakby to był pierwszy raz — wtrącił Wilk, mimochodem tłumacząc się zebranych. — Ilu banderowców odstrzelili Weterani?!

Łajza, słysząc to, uśmiechnął się znacznie szerzej.

— Daniel ma w dupie banderę i to, co się z nią dzieje. Ale Maciejewski, to co innego. Choć teoretycznie sam jest częścią bandery, to pozostaje jego pupilkim. A dzięki TOBIE dostał spory awans.

Wilk opuścił głowę zrezygnowany. — Więc plotki są prawdziwe — westchnął.

— Dokładnie... — potwierdził Łajza — z polecenia Daniela, Olbrzym dostał pozwolenie na utworzenie małej, ale dobrze uzbrojonej grupy.

— Jak małej?! Konkret, Łajzo! — krzyknął Wilk, nie mogąc już dłużej opanować nerwów.

— Cholera, no nie wiem — prychnął Łajza, wyraźnie rozbawiony tą sytuacją. — Wiesz, te twoje torby są takie półpełne... Ja przygotowałem garść naprawdę dobrych informacji, a ty nie dorzuciłeś nawet kilku naboju.

— USTALALIŚMY CENĘ!!! — wrzasnął wyraźnie wściekły Wilk, podnosząc się z miejsca. — Jak ci nie pasuje, zabieram to wszystko. A ciebie Szara odstrzeli, jak tylko ruszysz dupę poza Strefę Głodu!

— No, naprawdę... — westchnął Łajza, ale chyba ta groźba nieco go ostudziła, bo zmienił swój ton. — Dobra, po starej znajomości powiem ci, co wiem, ale rzniesz mnie w kakao i to przy świadkach...

Informator rozłożył się na ławce i spoglądając w sufit powiedział: — Maciejewski wybrał sobie piętnaście osób.

— ILE? — wtrącił Wilk z niedowierzaniem, a Łajza spojrzał na niego poirytowany.

— Dokładnie tyle, ile słyszałeś i nie przerywaj mi, dobra? Więc głównie zaprosił jakichś tam wyróżniających się gości z bandery, aż dziwne, że miał jakichś chętnych. Oprócz tego, paru ludzi ze Strefy Głodu, ale nie takich zwykłych cherlaków, tylko cwaniaczków podobnych do mnie — dodał z uśmiechem. — Nie mają co prawda jakiegoś wybitnego doświadczenia, za to są jebitnie doposażeni. Jak już ich odkarmili, Daniel nie szczędził środków. Dostali jednakowe mundury w brązowym kolorze, kamizelki kuloodporne, ochraniacze, karabiny bojowe...

Wilk nie wytrzymał w tym momencie i wtrącił się ponownie. — Jak to karabiny? Piętnaście karabinów? Skąd miał na zbyciu aż tyle? Zabrał obrońcom marketu?

— Nie wiem! — odpowiedział zirytowany Łajza. Dziki miał wrażenie, że bardziej zdenerwowało go to, że sam nie mógł zdobyć tak cennej informacji,

niż to jak Wilk ponownie mu przerwał. Po chwili namysłu, stwierdził w końcu. — Znam wszystkie ważniejsze figury. Żadnego Obrońcy nie brakuje na patrolach i wszyscy noszą swoje uzbrojenie. Poza tym strażnicy spod Marketu noszą strzelby myśliwskie, a ten nowy oddział ma karabiny i to w większości nie AK.

— Pierwszy ma spore zapasy broni ukryte w Krańcowie — wtrącił Dziki.

— Może postanowił wrócić do Armii?

Łajza spojrzał na niego z politowaniem. — Mam szalas rozbity prawie pod samym Gorgorem, nikt w środku nie pierdnie, żebym nie czuł smrodu. Gdyby Pierwszy wrócił do Armii, wiedziałbym o tym jeszcze przed Danielem — stwierdził, dementując domysły Dzikiego.

— Dobra. Nieważne, mają broń i nic na to nie poradzimy. Co jeszcze wiesz? — spytał Wilk.

— Więc ten utworzony oddział nosi nazwę „Ręka Olbrzyma”. Bazę założyli tu, w Strefie Głodu. Oczyszczili sobie blok zaraz obok Gorgoru. Pogłoski mówią, że nie zatrzymują się nigdzie na mieście i po każdej akcji wracają prosto pod Market. Danielowi się nie śpieszy i nie chce strat we własnych ludziach, dlatego stosuje wojnę podjazdową. Znajdują Weterana czy dwóch, wieszają na drzewie i szybciotko do domciu... zanim ktokolwiek zdąży zorganizować jakiś kontratak. Podobno mają też informatora, który sprzedaje im miejsca pobytu Weteranów.

— Jakby tego nam jeszcze brakowało — westchnął Wilk. — A co ma zamiar zrobić dalej? Jakie są dalsze plany? Wiesz coś?

— Podobno za pomocą tego oddziału ma zamiar wyeliminować wszystkich Wolnych Weteranów, to pozwoli jego ludziom nabrać doświadczenia, zanim wezmą się za większe grupy, jak Defekt.

Dziki poczuł, że serce zabiło mu znacznie szybciej i jakiś dziwny skurcz przeszedł po plecach.

Wilk zamyślił się przez chwilę. — Dasz radę obserwować, kiedy wychodzą? Mogłbyś mi dawać sygnał przez radio? — spytał w końcu.

— Parę razy się pewnie uda — stwierdził Łajza — ale Daniel nie jest głupi i też prowadzi nasłuch. Zauważy, że zaraz po wyjściu oddziału w eterze zaczyna się ruch. Dlatego przyjmijmy, że ostrzegę cię dwa razy na naszym kanale. Ten sam kod co zawsze...

Słowa Łajzy utonęły w głośnym pyknięciu. Dziki spojrzał na bok i zobaczył, że zamiast Wilka przy stole siedzi z nimi Szara. Kobieta wyglądała na przerażoną, ale nim zdążył jej się przyjrzeć, ta zniknęła, a na jej miejsce powrócił Wilk. — Oddział Daniela biegnie w tę stronę, zaraz tu będą! — krzyknął podrywając się z miejsca.

Niemal natychmiast złapał też Łajzę za chabety. — WYDAŁEŚ NAS!?

— OSZALAŁEŚ, WILKU?! DANIEL NIENAWIDZI ZDRAJCÓW. WISIAŁBYM ZARAZ OBOK CIEBIE! — wytłumaczył się szczerze przestraszony mężczyzna.

Wilk rozejrzał się panicznie po siedzących. — Uciekajcie tyłem! Spróbuję ich odciągnąć.

W tym samym czasie na zewnątrz padły strzały. — SZYBKO! — krzyknął Wilk i wybiegł przez główne drzwi.

Mike razem z Dzikim poderwali się z miejsca. Łajza chwycił jedną z toreb i ruszył przed nimi. Wbiegli do kuchni, a potem do magazynku, który miał swoje wyjście na tył pizzerii.

Dziki zobaczył, jak informator Wilka wybiega na zewnątrz i zatrzasnął drzwi.

— CO ON DO CHOLERY WYRABIA — krzyknął Mike.

Rozpędzony runął na klamkę, ale drzwi nawet nie drgnęły.

— OTWIERAJ! — krzyknął Dziki, waląc w nie wściekle.

— Sorry chłopaki, potrzebuję czasu, by się ulotnić! Ale wy wyglądacie na takich, co lubią poświęcać się dla sprawy, więc macie okazję — odpowiedział mężczyzna złośliwym tonem, a po chwili usłyszeli, jak odbiega, zostawiając ich w pułapce.

— Skurwysyn! — wrzasnął Mike i biorąc rozbieg, wparował w drzwi. Niestety mimo potężnego uderzenia, te nawet nie drgnęły.

W tym samym czasie ktoś wbiegał już do środka pizzerii. Od strony kuchni słychać było kroki i przyspieszone oddechy.

Mike rozpędził się po raz kolejny i znowu wparował w drzwi. Po tym uderzeniu po drugiej stronie coś upadło. Mężczyzna wziął więc kolejny rozbieg i tym razem przebił się z hukiem na zewnątrz. Dziki wypadł zaraz za nim. Nie włączając latarek, zbiegli na skryte w mroku podwórze.

Mike dopadł na ślepo do bramy prowadzącej na drogę, ale ta musiała być zamknięta. Natychmiast wskoczył na ogrodzenie i po chwili był już po drugiej stronie. Dziki chciał zrobić dokładnie to samo, ale gdy spróbował się podciągnąć, jego plecy przeszył paraliżujący ból. Niezagojone rany po walce z Dziadem nie pozwalały mu przeskoczyć przez płot tak sprawnie, jak zrobiłby to normalnie.

— Co się dzieje? Dawaj! — pogonił go Mike.

Dziki ścisnął zęby i spróbował wciągnąć się po raz drugi, ale na ucieczkę było już za późno. Gdy w końcu przedostał się do Mike'a, oślepiło ich światło kilku latarek. Przy tylnym wyjściu z pizzerii stała gromada postaci. Jedna z nich błyskawicznie zbiegła na dół i nim zdążyli się zorientować, przeskoczyła bez wysiłku na ich stronę.

Dziki poczuł w tym momencie, jak przechodzi go zimny dreszcz. Między nimi stanął bowiem sam Daniel.

Mężczyzna nie zmienił się prawie wcale od kiedy spotkali się po raz pierwszy. Ciągłe nosił tę samą wojskową bluzę i wytarte jeansy, a dość jasne włosy miał przystrzyżone na krótko.

— Dobra, ja się tu zajmę resztą! Biegnijcie za tamtą dwójką! — krzyknął w stronę stojących przy wejściu.

Ci posłusznie zniknęli we wnętrzu budynku, pozostawiając ich w całkowitej ciemności. Po chwili Daniel włączył swoją latarkę i ustawił ją sztorcem na chodniku tak, że niemrawe światło oświetliło też Dzikiego i Mike'a.

— Czujesz to, Dziki? To napięcie? — spytał niespodziewanie. — Chłopie, ty to masz jaja ze stali. Po tym, co odwalileś, nie powinienes się zbliżać na kilometr do mojego królestwa... A ty, co robisz? Nie dość, że spotykam cię na moim podwórku, to jeszcze w towarzystwie mojego obecnego Arch Nemesis, Wilka...

Dziki przełknął nerwowo ślinę. Nie dość, że za chwilę prawdopodobnie sam zginie, to jeszcze do tego naraził właśnie cały Autobus. Ba! Jaki Autobus? Ich pojazd stał teraz ledwie parę metrów dalej! Co teraz zrobi jego załoga, gdy ich czas pobytu we Wspólnocie się skończy? — *Boże* — pomyślał Dziki. — *Kuba miał rację! Czemu ja go nie posłuchałem...*

Mike z kolei w ogóle nie wyglądał na przestraszonego. W momencie, gdy reszta grupy Daniela uciekła, zaczął go obserwować, jakby szukał okazji do ataku. Sam wódz zupełnie go jednak ignorował, krążąc dookoła latarki i wkręcając się coraz mocniej w swój monolog — ...ten świat jest niesamowicie pokręcony. Bo nigdy bym nie przypuszczał, że ten mały przestraszony chłopczyk, którego nawet chciałem przyjąć do swojej Armii, osiągnie tak wiele. Ucieczka w Noc Latarni, podróże z Pierwszym, walka z Delimerem, romans z Dix, a w końcu zostanie strażnikiem Autobusu... — Daniel zrobił nagle pauzę, zupełnie zmieniając ton. — No właśnie? A Kuba, to w ogóle wie, że tu jesteś? Obrażając go celowo, to on raczej nigdy nie był szczególnie wyrywny. Pewnie do tej pory sika po nocach, gdy mu się przyśni, że przypominam sobie o jego istnieniu...

Dziki pokręcił głową. — Autobus nie ma z tym nic wspólnego! To moja decyzja! Ja chciałem pomóc Wilkowi! Ja sam! — zawołał drżącym głosem.

— Rozumiem... — stwierdził Daniel, a jego głos zrobił się o wiele groźniejszy. — Czas więc, żebyś na własnej skórze odczuł pewną wiekiustą prawdę. Każdy czyn ma swoje konsekwencje. — Dziki zobaczył, że wódz chwycił za kaburę i wyciągnął z niej broń, ale zamiast wymierzyć w któregoś z nich, bez ceregieli rzucił ją na ziemię. — No Dziki, mam nadzieję, że pogromca Delimera zapewni mi trochę godziwej rozrywki...

Mike za plecami Daniela zrobił minę, jakby ktoś dał mu właśnie prezent gwiazdkowy. Dziki wiedział, że jego przyjaciel nie walczył nigdy z ludźmi posługującymi się błędami i bał się, że ten za chwilę zrobi coś głupiego. Niestety, nie musiał na to długo czekać.

Mike błyskawicznie uniósł swój karabin i wystrzelił. Niemal natychmiast coś w powietrzu huknęło, a okolice wypełniło jasne światło, prawie tak mocne, jak Błysk. Daniel zniknął. Po chwili pojawił się zaledwie krok od miejsca, w którym stał wcześniej. Kule wystrzelone przez Mike'a chybiły, wbijając się w asfalt. Nim Mike zdążył wystrzelić po raz kolejny, Daniel dopadł do niego unosząc dłonią lufę karabinu. Seria pocisków pofrunęła w powietrze.

Nie czekając, Dziki wyciągnął pistolet. Zorientował się już, że Daniel prawdopodobnie uniknie z pomocą błędu kuli wystrzelonej z oddali, dlatego spróbował czegoś innego. Tak szybko jak pozwalały mu rany, doskoczył do wodza i spróbował wypalić z przyłożenia, licząc, że w ten sposób oszuka błąd. Niestety, Daniel wciąż trzymając jedną ręką broń Mike'a, zdołał odepchnąć jego dłoni. Wystrzelona kula poleciała gdzieś w ciemność.

Nim Mike i Dziki zdążyli zareagować, Daniel błyskawicznie chwycił ich za nadgarstki, wykonując jednocześnie coś w rodzaju piruetu. Szarpnięci z niewyobrażalną siłą mężczyźni runęli na ziemię.

— Cholera, Dziki! — ryknął zirytowany Daniel. — Myślisz, że to jakaś zabawa? Walczysz ze mną o życie? Czy nie? Na wielki Gorgor, włóż w to trochę serca!

Dziki wiedział, że nie mają szans. Do tego ból spowodowany otwierającymi się ponownie ranami, po prostu go paraliżował. Mike jednak nie miał zamiaru się poddawać. Poderwał się natychmiast i wpadł bykiem prosto w Daniela, przesuwając go po ziemi kilka centymetrów.

Dowódca Armii popatrzył na niego z jakimś niezwykłym podziwem, ale po chwili uderzył go kolanem w klatkę piersiową i odepchnął na bok. Zaraz po tym, skupił się z powrotem na Dzikim. Ten podniósł się zboląły i drżącymi rękoma uniósł broń, co Daniel skwitował jedynie pogardliwym spojrzeniem.

— Naprawdę? To wszystko co możesz z siebie wykrzesać...?

Dziki spróbował wymierzyć, ale za każdym razem, gdy lufa pistoletu znalazła się naprzeciwko torsu Daniela, ten znikał w krótkim błysku i pojawiał się tuż obok.

Skupiony na Dzikim wódz nie zauważył, że Mike był ponownie gotów do ataku. Podbiegając do Daniela od tyłu, chwycił go i uniósł go do góry. Zapewne w zamiarze miał cisnąć nim o chodnik, ale nim zdążył, Daniel wyrwał się bez większego wysiłku, zręcznie lądując na drodze.

Mike wciąż nie miał zamiaru się poddawać. Wziął krótki zamach i jego lewa pięść musnęła Daniela w twarz, ale gdy spróbował poprawić prawą, ten przechwycił jego cios. Chwytając go następnie za przedramię, cisnął nim o bramę pizzerii, jakby był workiem gruzu. Półprzytomny Mike osunął się po metalowych profilach, ukazując pręty wgięte uderzeniem.

Dziki z desperacji zaczął strzelać na ślepo, aż wypłuł cały magazynek. Daniel, już bez większego zaangażowania, uniknął wszystkich kul. Po chwili, wyraźnie zirytowany, zbliżył się do niego i pojedynczym uderzeniem pięści zwałił go z nóg.

Dziki poczuł jak rana na jego głowie znowu się otwiera. Krew zalała mu usta i oczy, a pieczenie w trzewiach nie ustawało już nawet na chwilę.

Dowódca Armii popatrzył przez chwilę na obu ledwo żywych mężczyzn i zrezygnowany usiadł na chodniku.

Dziki wycierając krew, która zalewała mu oczy, spojrzał, jak mężczyzna grzebie w kieszeni. Przez chwilę myślał, że wyciągnie jakąś ukrytą broń, ale Daniel sięgnął po kokosowy baton.

— Powiedz, to Pierwszy walczył z Delimerem, a nie ty? — spytał zrezygnowany, oglądając opakowanie.

Dziki, który czuł, że nie ma nic do stracenia, postanowił zachować prawdę dla siebie.

— Tak. To on go pokonał. Ja mu tylko pomagałem — skłamał, opluwając się przy tym krwią.

Kątem oka dostrzegł, że Mike podnosi głowę i patrzy na niego. Po jego złęk-nionym spojrzeniu zrozumiał, że i on domyślił się, w jak beznadziejnej są sytuacji.

Daniel obserwował opakowanie jeszcze przez chwilę. — Cholera, mam przy sobie tylko jeden.

Dziki zobaczył, jak mężczyzna łamie baton w rękę i otwierając opakowanie, częstuje Mike'a. Ten zamarł, przyglądając się temu z niedowierzaniem. Dopiero gdy Daniel machnął kilka razy w jego stronę, wziął od niego kawałek.

Zaraz potem podniósł się i włożył część batona w rękę leżącego na ziemi Dzikiego. — Nie lubię jeść sam — stwierdził, siadając z powrotem na chodniku i biorąc ostatni kawałek do ust.

Mike obserwował Dzikiego pytająco, ale ten był w nie mniejszym szoku. Daniel był wyjątkowo ekscentryczną osobą, o czym przekonał się już przy ich pierwszym spotkaniu. Nie miał jednak pojęcia, co będzie z nimi dalej. W końcu nie wytrzymał i zapytał: — Zabijesz nas?

Daniel przeżuł baton i zmarszczył czoło, jakby coś rozważał. — Skoro już się dopominasz, to jedyną karą, jaką stosujemy w Armii, jest właśnie śmierć... — Dziki przełknął nerwowo ślinę, a Mike odruchowo wyszukał ręką karabin. Daniel siedział dalej na chodniku, nie zwracając na to uwagi. — Z drugiej strony, Pierwszy musiał mieć jakiś ważny powód, żeby ci pomóc, a ja nie wiem jaki. Z jego zdolnościami towarzyskimi, raczej wątpię, żebyście byli kumplami ze Starego Świata. A pomoc przypadkowej osobie... Chłopie, on ci nie pożyczył piąta na piwo, tylko walczył za ciebie z Delimerem... No, nie wiem...

Daniel podniósł się w końcu, otrzepując ręce z resztek batona. — No dobra, wstawajcie. Wygląda na to, że będziecie moimi pierwszymi jeńcami.

Mike popatrzył z niedowierzaniem, jak Daniel podnosi latarkę z ziemi i wychodzi do przodu. — Dziki, weź mój pistolet, nie chce mi się was rozbrajać, ani dźwigać tego żelastwa. Tylko nie próbujcie nic głupiego, bo jeszcze zmienię zdanie — stwierdził wyraźnie znudzony.

Mike spojrzał na Dzikiego porozumiewawczo, jakby liczył na to, że ponownie zaatakują. Ten jednak pokręcił głową i podnosząc się z ziemi, doczłapał posłusznie do leżącej broni. Czuł sam po sobie, że drugiej rundy z Danielem już by po prostu nie przeżył.

Zrezygowany Mike ustawił się za dowódcą Armii i po chwili we trójkę ruszyli w stronę głównej ulicy.

Dziki nasłuchiwał w międzyczasie odgłosów walki, które mogłyby świadczyć, że Wilk albo Szara są gdzieś w pobliżu, ale panowała cisza. Nawet Niewykształceni zdawali się zamilknąć. Przez chwilę Dzikiego ogarnęła niepokojąca myśl. — *Może Wilka też już złapano?*

Daniel kroczył przed nimi, podrzucając dla zabawy latarkę w dłoń, przez co światło co rusz strzelało im w oczy. Mike ciągle zerkał to na swoją broń, to na Dzikiego. Jakby czekał na przyzwolenie, by wykorzystać okazję. Po kilku minutach wyszli na główną drogę, gdzie przy starym sklepie z wędlinami czał się jakiś członek Armii.

Na widok Daniela mężczyzna wyprostował się natychmiast, a Dziki przyjrzał się mu uważnie. Żołnierz nosił na sobie mundur w brązowym kolorze i pasującą, nieco ciemniejszą, brązową kamizelkę. Na lewym ramieniu miał przewiazaną czerwoną wstążkę, charakterystyczny symbol Armii. To, co jednak najbardziej zwracało uwagę, to biała dłoń, którą mężczyzna miał odciśniętą na kamizelce, taką samą, jaką Dziki widział wcześniej na drzewie z wisielcem.

— Bracie! — zawołał żołnierz w stronę Daniela.

— Jak sytuacja? — spytał dowódca, przeciągając się leniwie.

— Olbrzym i kilku chłopaków ruszyło za Wilkiem w stronę rynku. Po kobiecie nie ma śladu.

— W stronę rynku mówisz? Może nawet się przejdę... A, byłbym zapominał, tych dwoje trzeba odeskortować do Gorgoru. Tylko zabierz im wcześniej broń.

Daniel westchnął i wsadzając ręce do kieszeni, ruszył powoli w głąb ciemnej ulicy.

Żołnierz natychmiast skupił na nich uwagę. — Oddajcie broń! — rozkazał.

Dziki miał przez chwilę gonitwę myśli, Daniel się oddalał, gdyby przeciągnąć to przez chwilę, może daliby radę uciec. Mike musiał myśleć o tym samym, bo i on kątem oka obserwował znikającą w mroku sylwetkę dowódcy Armii.

— NO, DALEJ! — ryknął żołnierz, podnosząc lufę swojego karabinu.

Dziki czuł, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Zaciśnął rękę na pistolecie, gdy nagle usłyszał za sobą głos Daniela. Wódz pojawił się za nim, jakby teleportował się na pokazie magii. — To chyba moje — stwierdził, wyciągając mu broń z ręki. — A i jeżeli chcecie liczyć na moją łaskawość, odradzam kombinowanie — podkreślił i ponownie zniknął w ciemności.

Zdenerwowany żołnierz zbliżył się do Mike'a, krzycząc. — No, dalej! Oddawaj broń!

Zrezygowany Mike upuścił w końcu karabin na ziemię, a Dziki wyrzucił swoją tetetkę.

— Teraz do przodu. Bez numerów! — rozkazał, zbierając ich rzeczy.

Obaj ruszyli chodnikiem w stronę Strefy Głodu. Z oddali widać było światła ognisk i lamp oświetlających plac przed H-Marketem. Dziki czuł narastające przerażenie. Jak długo ciekawość Daniela utrzyma ich przy życiu? Kiedy już dojdą do Strefy Głodu, ucieczka będzie niemożliwa. Przez chwilę przyszło mu do głowy, by spróbować zaatakować żołnierza. Czuł jednak, że ten nieprzerwanie mierzy mu w plecy. Pomysł umarł ostatecznie, gdy dostrzegł dwóch banderowców zbliżających się w ich stronę.

— Daniel Żyje! — krzyknęły na powitanie zbliżające się postacie.

Dziki przyjrzał im się. Byli zwykłymi pionkami w codziennych ubraniach. Jedyne co odróżniało ich od zwykłych ludzi ze Strefy Głodu, to czerwona opaska na ramieniu.

— Dokąd z nimi idziesz? — spytał jeden z przybyłych.

— Z polecenia Daniela, do Gorgoru... — odpowiedział pilnujący ich żołnierz.

— A na jaką cholere? — spytał natychmiast drugi.

— Daniel kazał, to prowadzę...

Banderowcy przyjrżeli im się uważnie, jakby chcieli wybadać, czego dowódca Armii może od nich chcieć.

— Przejdziemy się z tobą. Jeżeli jest tam Daniel i Maciejewski, to więcej ludzi nie potrzeba — stwierdził pierwszy z banderowców.

Jego słowa utonęły natychmiast w narastającym gwiździe. Dziki rozpoznał go momentalnie.

— PADNIJ! — krzyknął w stronę Mike'a.

Niestety nim sam zdążył rzucić się na ziemię, członek Ręki Olbrzyma pochwycił go i zasłonił się nim jak tarczą. W tym samym czasie jeden z banderowców runął na ziemię z dziurą w głowie.

— PODDAJCIE SIĘ ALBO SZARA WAS WYSTRZELA! — krzyknął Dziki, przebijając się przez gwizd.

— W TWOICH SNACH — ryknął banderowiec, podrywając z ziemi Mike, by również mieć jakąś osłonę. — ZOBACZYMY, CZY TA SUKA STRZELA TAK DOB...

Mężczyzna urwał w połowie zdania. Chociaż Dziki nie słyszał strzału, to z głowy banderowca trysnęła krew, a jego ciało osunęło się bezwładnie na ziemię. Widząc to, członek Ręki Olbrzyma rzucił broń na chodnik i uniósł ręce do góry.

Niemal natychmiast z ciemności wyłoniła się Szara. Kobieta musiała stać wcześniej zaledwie kilka metrów od nich. Z przestraszoną miną podbiegła do Dzikiego i oparła dłoń na jego klatce.

— Nic mi nie jest — wydyszał.

Szara kiwnęła głową, ale jej oczy wciąż błdziły w przerażeniu dookoła.

— Gdzie jest Wilk? — spytał Dziki skupiając na sobie jej uwagę.

Kobieta zrobiła ruch, rękami jakby kręciła kierownicą.

— W autobusie? — dopytał, a Szara kiwnęła głową.

— UWAGA! — krzyknął nagle Mike.

Żołnierz Daniela niespodziewanie poderwał się i wparował w kobietę, przewracając ją na ziemię. W jego ręku połyskiwał ogromny wojskowy nóż. Nie czekając, rzucił się na Dzikiego, tnąc w amoku powietrze. Ten spróbował zasłonić się rękoma i poczuł, jak ostrze przechodzi mu po palcach, prawie je odcinając. Odskokzył przerażony do tyłu, gdy nagle usłyszał strzał.

Mike zdołał podnieść pistolet z ziemi, ale w zdenerwowaniu trafił żołnierza w kamizelkę. Ten ryknął wściekle i ogromnym zamaszystym ruchem pchnął Dzikiego w brzuch.

— Zdechniesz tutaj weterańskie ścierwo! — syknął, przyciskając swoją twarz do twarzy Dzikiego.

Dziki doznał w tym momencie bólu, jakiego nigdy wcześniej nie uświadczył. Tkwiące w brzuchu ostrze rozrywało mu wnętrzności, odbierając wszelkie siły. Poczuł, jak osuwa się do tyłu. Mike odciągnął żołnierza i spróbował obalić go na ziemię, ale ten zręcznie wymykał się jego próbom.

W tym czasie Szara zdążyła się podnieść i próbowała wycelować w członka Armii, co wcale nie okazało się łatwe. Mike oraz żołnierz splegli się w uścisku i przesuwali się tak szybko, że nie była w stanie strzelić. W końcu przerzuciła broń przez ramię i chwyciła żołnierza, chcąc oderwać go od Mike'a. Ten zdołał jednak uwolnić jedną z dłoni i rąbnął kobietę w twarz, tak że ponownie upadła na ziemię. Mike ryknął. Ostatkiem sił chwycił mężczyznę za głowę, po czym uderzył go własnym czołem. Oszołomiony żołnierz cofnął się o krok, a Mike wymierzył mu kolejny cios, obalając go.

Szara poderwała się i natychmiast wzięła żołnierza na cel.

Mężczyzna widząc to, zatrzęsł się z bezsilnej wściekłości. Spoglądając z nienawiścią w stronę Szarej wydyszał wściekle: — POMSZCZĄ MNIE! WSZYSCY SKOŃCZYCIE NA...

Kobieta wystrzeliła, przerywając jego słowa i życie, po czym podbiegła do Dzikiego.

Dziki leżąc na ziemi, czuł, jakby miał zaraz odpłynąć. W uszach słyszał szum, a uciekająca przez ranę krew wyciągała ciepło na zewnątrz. Dopiero gdy kobieta pochyliła się nad nim, zauważył, że nóż ciągle tkwił w jego podbrzuszu.

— Nie wyciągaj go! — krzyknął Mike, podbiegając z drugiej strony. — Musimy jakoś zablokować krwawienie i zabrać go do Wspólnoty.

Szara sięgnęła do swojego plecaka i wyciągnęła z niego opatrunek. Mike rozdarł koszulę Dzikiego, by odsłonić ranę. Na widok czerwonej plamy rozlanej dookoła podbrzusza, Dziki utracił na chwilę świadomość, która jednak szybko powróciła wraz z agonijnym bólem, wywołanym opatrzywaniem rany przez Szarą. Z każdym drgnięciem, czuł jakby nóż rozcinał go w środku jeszcze bardziej.

Po chwili błysnęło. Wilk pojawił się na miejscu Szarej tak niespodziewanie, że Mike aż odskokzył. Nie wyglądał wiele lepiej od Dzikiego. Z jego ramienia lała się krew, a kamizelka nosiła ślady po kulach.

— Nie damy radę go nieść — warknął sam do siebie. — Musisz go stąd zabrać... Ja wiem, ale nie mamy wyjścia — syknął jakby do siebie, a po chwili spojrzał na Dzikiego. — Posłuchaj, Szara jest w autobusie i zamieni się z tobą na miejsca, ale musisz jej na to pozwolić. Trzymaj moją obrączkę.

Wilk wepchnął do ręki Dzikiego małe złote kółko. Gdy tylko jego dłonie zacisnęły się na przedmiocie, usłyszał w swojej głowie kobiecy delikatny głos.

— Spokojnie, Dziki, nie denerwuj się...

Kiwnął głową, czując, że i tak nie utrzyma już długo świadomości.

— Będę musiała stać się tobą, ty będziesz musiał stać się mną. Nie opieraj się, pozwól mi.

Dziki wątpił, aby miał w sobie dość siły, by opierać się czemukolwiek. Po chwili poczuł jak coś „wrywa go z niego samego”. Jego jaźń unosiła się nad ciałem, które teraz zdawało się być niewyobrażalnym ciężarem. Ból zniknął, jak i wszystkie zmysły. Jedyne co czuł, to że się unosi. Widział dachy budynków i Strefę Głodu. Obserwował Mike'a klęczącego nad nim samym. Poczuł, że nie chce tam wracać. Nagle zauważył, że coś się zbliża. Z oddali przybyła kobieta o srebrzystych włosach. Minęła go w milczeniu, by po chwili wpaść do jego ciała.

Nie wiedząc czemu, poczuł nagle straszny gniew. — TO MOJE! ZOSTAW TO! — krzyknął rozwścieczony, gotów choćby zabić.

— Dziki, nie walcz ze mną... — odpowiedział mu kobiecy głos.

— NIE, TO CIAŁO JEST MOJE! ZOSTAW JE! — krzyknął ponownie i nie wiadomo czemu zaczął pikować ostro w dół.

Wisiał już prawie nad sobą samym, gdy dostrzegł przerażoną twarz Wilka. Jego ciało drgało w konwulsjach na ziemi. Raz za razem przypominało to blondwłosą kobietę, to jego samego.

— Co się do cholery dzieje?! — ryknął Mike, ale jego głos ginął gdzieś, jakby za wodą.

— Odrzuca ją! — krzyknął Wilk. — DZIKI, WPUŚĆ JĄ! BO ZGINIECIE! TO WAS ZABIJE! ROZUMIESZ!

— Umrę? — Dziki poczuł nagle falę strachu, przelewającą się przez niego.

Nie chciał już tego ciała, próbował uciec. Nagle poczuł, jak coś go wciąga. Jakby był zasysany przez niewidzialny odkurzacz. Widział budynki, przez które przelatuje i dach autobusu, gdy przenikał przez niego jakby był duchem. Nagle poczuł, że leży na podłodze, ból wrócił, tak jak i uczucie słabości. Już po chwili stracił świadomość.



Rozdział V

Kod Weterana

Szpitalny zapach był pierwszą rzeczą, jaką odnotowały powracające z wielkiej nicości zmysły Dzikiego. W głowie zrodziła mu się przez to szalona myśl. — Może wszystko, co przeżył to tylko urojenia tkwiącego w śpiączce człowieka, a żaden „Nowy Świat”, tak naprawdę nigdy nie istniał?

Powoli otworzył oczy, skupiając wzrok na białym suficie, co jeszcze bardziej rozbudziło jego wyobraźnię. Niestety, już po chwili do uszu dobiegł znajomy mu głos Wilka, całkowicie rujnując nadzieję o majakach.

— Hej, Dzikie. Dobrze, że się w końcu obudziłeś...

Powoli obracając głowę, zobaczył siedzącego na łóżku obok mężczyznę. Wilk miał zabandażowaną rękę, wiszącą na temblaku i zapadniętą, bladą twarz. Niemniej uśmiechnął się, gdy tylko dostrzegł, że Dzikie oprzytomniał.

— Nie wiem nawet, jak mam cię przeprosić za ten bałagan — zaczął wyraźnie skruszony. — Uwierz mi, gdybym przewidział, że to będzie chociaż w połowie tak niebezpieczne, nigdy nie ośmieliłbym się narażać ciebie i twojego przyjaciela.

Teraz dopiero Dzikie zaczął uświadamiać sobie, co wydarzyło się wcześniej. Przestraszony, spytał natychmiast. — Co z Mikiem?

— O, wszystko z nim w porządku. To twardy koleś — stwierdził Wilk, odwracając na chwilę głowę w stronę okna.

Dzikie spróbował się podnieść, ale poczuł niewyobrażalne rwanie w okolicy brzucha. Miał wrażenie jakby w jego wnętrznościach ciągle tkwiło ostrze, które w dodatku kroiliło go przy najmniejszym ruchu. — Gdzie my w ogóle jesteśmy? — zapytał, krzywiąc się z bólu.

— W pseudoszpitalu Wspólnoty — wyjaśnił mu Wilk. — Nie martw się o koszt. Po tym, co się stało czułem się zobowiązany, więc opłaciłem twój pobyt i leczenie.

Rozglądając się po pomieszczeniu, Dzikie zrozumiał, że słowo „pseudo” miało raczej dominujące znaczenie. Tak naprawdę siedzieli w zwykłym pokoju, ze ścianami niedokładnie pomalowanymi na biało. Ich łóżka były po prostu zwykłymi leżankami z twardymi materacami, a stojące obok szafeczki wyglądały jak przyniesione ze zwykłego salonu. Podnosząc koldrę w panterkę, Dzikie

zobaczył opatrunek na swoim brzuchu. Ten wyglądał akurat dość profesjonalnie. Prawie na pewno zrobił go ktoś znający się na rzeczy.

— GDZIE PCHASZ TE ŁAPSKA! — ryknął ktoś tak niespodziewanie, że Dziki prawie zrzucił kołdrę.

Do pokoju wszedł jakiś grubawy mężczyzna, o potężnych zakolach i kilkudniowym zaroście. Gdyby nie maksymalny wiek pojawiających się, Dziki dałby mu co najmniej czterdzieści lat. Mężczyzna nosił na szyi stetoskop, więc to on musiał być tu lekarzem. Niemniej jego szare dresowe spodnie i biała poplamiona koszulka na ramiączka, nieco burzyły ten obraz. — Nienawidzę szyć ludzi! Więc jak to rozdrapiesz, będziesz się sam poprawiał — warknął doktor, podchodząc do Dzikiego.

— Szyłeś mnie? — spytał niepewnie.

— Nie. Skleilem taśmą... Oczywiście, że cię cholera szyłem. Miałeś nóż w brzuchu — syknął wściekle łapiduch, kładąc Dzikemu rękę na czoło. — Jak się w ogóle pacjent czuje?

— Trochę to boli... — stwierdził Dziki. Na co lekarz zareagował ironicznym spojrzeniem.

— Ty nawet nie wiesz, jak to boli, bo cały czas jesteś na prochach. Poczekać aż puszcza... — stwierdził dobitnie, odwracając się w stronę Wilka. — A z tobą jak?

— Wszystko cacy.

— Dobra, to zwalniasz dzisiaj miejsce — stwierdził lekarz. Po czym odkreślił coś w swoim notesie i wyszedł z pokoju.

Dziki spróbował przekręcić się na bok, ale ból w podbrzuszu nasilił się momentalnie. Zrezygnowany obrócił po prostu głowę w stronę Wilka. — Jak długo tu jesteśmy? — spytał, bo miał wrażenie, że nieprzytomny był co najmniej tydzień.

— Dwa dni — odpowiedział Wilk.

Do Dzikiego dotarło właśnie skąd wzięło się to dziwne uczucie niepokoju, które towarzyszyło mu od momentu przebudzenia. — Co z Autobusem? Moimi ludźmi? — zawołał przestraszony.

— Spokojnie Dziki, nie denerwuj się. Są bezpieczni. Przed tym wszystkim opłaciłeś im pobyt we Wspólnocie. Pamiętasz? A autobus czeka na placu. Nic się z nim nie stało — uspokajał go Wilk, ale na niewiele się to zdało.

Dziki miał teraz w głowie totalny chaos. Nie dość, że postąpił wbrew woli Kuby i wykorzystał piętrusa by pomóc Wilkowi, to jeszcze pozwolił się na tym złapać. W dodatku samemu Danielowi. Do tej pory Armia nie miała szczególnego powodu by ich ściagać, ale teraz? Uciekając, zabili przecież trzech jej członków. Co, jeśli Daniel będzie chciał się zemścić i skupi swoje siły na Autobusie?

Dziki poczuł, jak przelewa się przez niego wściekłość. Jak mógł zachować się tak nieodpowiedzialnie? Przecież nie chodziło tylko o niego, ale

o wszystkich, którymi się zajmuje. Myśląc o nich powinien wsadzić sobie swój honor w buty i odmówić Wilkowi.

— Coś cię dręczy? — spytał Wilk, wyrywając go z zamyślenia.

— Daniel już wie, że ci pomogłem — odpowiedział nie kryjąc nawet złości.

Szeryf Krańcowa zrobił naburmuszoną minę. — Dziki, wbrew temu co myśli Kuba, to i tak by was nie minęło. Neutralność, którą ciągle wyciera sobie usta, to mrzonka. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jest zagrożony przez Daniela, tak samo jak my wszyscy. Może nawet bardziej niż niektórzy Wolni Weterani, bo z tego, co słyszałem, naraził mu się ostro, jeszcze w czasach Pierwszej Grupy. Sam na pewno słyszałeś od Dix, że nikt go tam nie wspomina ciepło. Gdybyście napatoczyli się przypadkiem na Rękę Olbrzyma, to raczej wątpię, żeby dali wam spokój, nawet jeżeli Kuba wszędzie trąbi dookoła, że tylko pomagacie Nowoprzybyłym i w nic się nie angażujecie.

Dziki nie miał ochoty słuchać tych tłumaczeń. Może i Daniel rzeczywiście miał awersję do Kuby, tak jak zresztą każdy ocalały z Pierwszej Grupy. Tylko, że to nie na nim skupiona była do tej pory Ręka Olbrzyma. Strategia neutralności i niezauważalności Autobusu, może nie mogła trwać wiecznie, ale przynajmniej na razie się sprawdzała.

— Myślisz, że twój informator nas wydał? — spytał Dziki, nie chcąc wdawać się w bezsensowną dyskusję, o tym jak bardzo byli zagrożeni.

— Wątpię — odparł pewnie Wilk. — To kosztowałoby go życie. Sprzedawał mi informacje już od długiego czasu, a Daniel by mu tego nie darował. Musieliśmy po prostu mieć pecha.

Dzikemu przyszło w tym momencie coś do głowy. Coś, czego nie wziął pod uwagę wcześniej, bo nie wchodzili bezpośrednio do Strefy Głodu, ale co wyjaśniałoby to nagłe pojawienie się Daniela. — A jeżeli to nie był pech... — stwierdził nagle, a szeryf Krańcowa spojrzał na niego pytająco. — Byłem już wcześniej w Strefie Głodu. Dowiedziałem się tam, że Daniel zawsze wie, gdy pojawi się w niej ktoś nowy. Myślałem, że to taka bujda albo propagandowe gadanie. Teraz jednak zastanawiam się... A jeżeli on naprawdę to potrafi? Ma jakiś błąd, który mu na to pozwala? I ten błąd sięga aż do pizzerii?

Wilk popatrzył na niego z lekko otwartymi ustami. — Jeżeli jest tak jak mówisz, to naraziłem nas jak idiota. Wiesz, wielu ludzi myśli, że błędy to tylko takie fizyczne power-upy, że możesz dzięki nim stać się szybszy albo silniejszy. Ale one potrafią przybierać dużo bardziej zaawansowane wymiary. O czym sam się przekonałeś. Kurde blacha, powinienem był rozważyć taką możliwość, że to jednak strasznie blisko — wyrzucił z siebie wyraźnie zirytowany.

Dziki poczuł nagle niewyobrażalną ekscytację. Ktoś w końcu rozmawiał z nim swobodnie o błędach. Mimo całej urazy jaką miał w tym momencie do Wilka, postanowił pociągnąć ten temat. — Kiedyś też tak myślałem. Żadnych innych nigdy też nie widziałem, aż do momentu, gdy wyszedłem z siebie...

— Ten błąd, którego używa Szara, nie jest zbyt przyjemny w odczuciu — wtrącił Wilk. — Zwłaszcza jak robisz to pierwszy raz. Ja i ona jesteśmy ze sobą zżyci. Ufamy sobie bezgranicznie, więc nasze ciała wymieniają się sprawnie i bez problemów. Z tobą miała naprawdę niezłą przeprawę. Powiedziała mi, że kryjesz w sobie dużo złości uwalniającej się w krytycznych sytuacjach... Zasugerowała nawet, że możesz mieć potencjał do otwarcia Pierwotnej Woli.

Dziki poczuł jak serce mu drży. Wilk w ogóle nie zachowywał się jak inni mający wiedzę o błędach. Wykorzystując tę wyjątkową okazję, chciał dowiedzieć się jak najwięcej. Przez jego głowę przechodziły teraz dziesiątki różnych tematów, jakie chciał poruszyć. Zastanawiał się tylko jak poprowadzić rozmowę, żeby nagle nie uciał jej jak Dix albo Kuba. Spytał więc o coś, co nie wydawało się ani dziwne, ani natarczywe. — A po co była obrączka?

— Ja i Szara daliśmy sobie obrączki, gdy zdecydowaliśmy, że bez względu na wszystko zostaniemy w tym świecie razem. Przedmiot ten był więc silnie nacechowany naszymi emocjami. Miał być dla niej znanym śladem w twoim obcym ciele, katalizatorem, czymś co ułatwiłoby jej zaczepienie się w tobie.

Dziki starał się zachować spokój, ale spijał każde słowo starając się zapamiętać wszystkie możliwe szczegóły. Nie wiedział, kiedy następnym razem trafi mu się okazja do takiej rozmowy.

— Zanim Szara nas uratowała, walczyliśmy z Danielem — wtrącił nie chcąc, by Wilk zszedł z tematu błędów. — Był wręcz przerażająco silny. Unikał kul, a do tego...

Wilk przerwał mu, prawie wykrzykując: — Walczyliście z Danielem?! Nie rozmawiałem z Mikiem od powrotu! Myślałem, że to Ręka Olbrzyma was pojmowała...

— No nie — sprostował Dziki. — Gdy uciekaliśmy z pizzerii, Łajza zablokował nam drogę, by kupić sobie trochę czasu. Gdy już się wydostaliśmy, dogonił nas Daniel...

— Sukinsyn — wtrącił po raz kolejny Wilk, komentując zachowanie informatora. — Co było dalej? — spytał, teraz sam wyraźnie zaaferowany.

— Nie miał broni. Wyrzucił ją chwilę przed walką z nami. Traktował to wszystko jak zabawę. Byliśmy we dwóch, uzbrojeni, mieliśmy przewagę pod każdym względem, a on nas po prostu zmiażdżył...

Słyszac to, Wilk wyrzwał na chwilę przez okno. Widać było, że coś mocno go dręczy. — Już od dawna krążyły pogłoski, że spośród wszystkich ludzi posługujących się błędami, to Daniel jest najsilniejszy — powiedział wyraźnie zrezygnowany. — Zresztą on wcale nie kryje się ze swoją potęgą. Z tego, co wiem, zawsze idzie w pierwszym szeregu, gdy dochodzi do walk z Niewykształconymi.

— Podejrzewam, że nawet grupie uzbrojonych Weteranów, nie poszłoby z nim łatwo... — przerwał mu Dziki, chcąc za wszelką cenę wrócić do tematu błędów.

Niestety Wilk miał teraz własne przemyślenia. — Wiesz w ogóle, skąd wzięło się zawołanie Armii? — spytał retorycznie. — Gdy Daniel zaczął już ostro pogrywać z Weteranami i wyszły jego prawdziwe intencje, sporo osób miało w planach się go pozbyć. Zebrałem więc grupę ludzi i zaatakowaliśmy go, jeszcze przed powstaniem Strefy Głodu...

Dziki usiadł, zapominając o bólu. Chociaż odeszli w rozmowie od tego, co najbardziej go interesowało, to przeszłość Krańcowo też wydawała się ciekawa.

— ...wtedy to był zaledwie oddział, ale dobrze uzbrojony — kontynuował opowieść Wilk. — Pierwszy wciąż był przy Danielu i najwidoczniej nie szczędził kuzynowi wyposażenia. Wiedzieliśmy, że to będzie ciężka walka, ale udało nam się ich zaskoczyć nocą. Pewnie żaden nie pomyślał, że ktoś przedrze się przez centrum o tej porze. Walka trwała aż do rana. Oddział Daniela otoczony w starym pawilonie i my na zewnątrz. Ludzie padali jak muchy, ale niestety tylko po naszej stronie. Pierwszy i Daniel byli przerażającą mieszanką. Myślałem już, że wszystko pójdzie na marne, że oddamy tam życie na próżno. I wtedy Sobart, moja prawa ręka i przyjaciel, wbiegł do pawilonu trzymając butlę gazową. Nie wiem nawet, skąd on ją wytargał. Wszystko działo się tak szybko... A potem cały budynek po prostu rozerwało. — Wilk zrobił pauzę. Jego twarz przybrała ponury, smutny wygląd. — Gaz, Viktor, Lusi, Boni, Hektor, Kolan, Tymon, Damian, Stanisł i Sobart — wymieniał pseudonimy... — wszyscy ci Weterani zginęli wtedy pod pawilonem. Cudowni ludzie, praworządni. Najlepsi Weterani jakich nosiła ta ziemia. Gdy odchodziłem stamtąd razem z Szarą, byłem przerażony, ale z drugiej strony ciągle myślałem, że ich śmierć nie poszła na marne. Że zdławiłszy „wielkie zło” nim zdążyło rozwinąć skrzydła... I wtedy to słyszę... jakby ktoś krzyczał do mnie: „Daniel Żyje”. Odwracam się i widzę w oddali jak wyciągają go z gruzów. Czysta kpina z Sobarta i pozostałych. Kpina, którą zmienili w swoje zawołanie, jakby ciągle przypominając, że ich wodza nie da się zabić...

Dziki poczuł, że skóra mu cierpnie na plecach. — A da się w ogóle? — spytał przestraszony.

— Oczywiście, że tak — odpowiedział poirytowany Wilk. — Gdybym tylko mógł...

Dziki poczuł już jak spływa na niego oświecenie. Za chwilę miał się dowiedzieć jak pokonać człowieka z błędami. Niestety w tym momencie wypowiedź Wilka, przerwał głośny wrzask dochodzący zza drzwi ich pokoju.

— POWIEDZIAŁEM TYLKO, ŻE JEST PRZYTOMNY! NIE, ŻE MOŻE-CIE SIĘ TU PCHAĆ!

Wilk spojrzał w stronę drzwi, zapominając o tym co miał powiedzieć, a z zewnątrz dobiegł odgłos licznych kroków.

— GDZIE!? NO, GDZIE!? TO NIE SKLEP MIĘSNY! — wykrzykiwał dalej rozwścieczony lekarz Wspólnoty.

Mimo jego wyraźnego zakazu już po chwili drzwi od pokoju otworzyły się, a do środka wpadł cały tłum ludzi. Dziki dostrzegł Oli oraz innych mieszkańców autobusu, Mike'a razem z Krzakiem, Szarą górującą nad wszystkimi i o dziwo, Siwego.

W małym pokoju zrobiło się ciasno, jak w puszcze sardynek. Wściekły lekarz ciskał klątwami we wszystkie strony, po chwili jednak warknął: — A róbcie, co chcecie... — po czym wyszedł zrezygnowany.

Gromada ludzi zebrała się chaotycznie na łóżkiem Dzikiego. Oli przebiła się jako pierwsza, próbując go udusić swoim uściskiem. Zaraz za nią dopchał się Siwy, który o zgrozo, zrobił dokładnie to samo. Kolejni ludzie przepychali się do niego.

Gdy raz za razem odpowiadał, że czuje się dobrze, kątem oka wypatrzył Wilka i Krzaka, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami. Krzak nie miał wesołej miny i co chwila kiwał nerwowo głową.

— Trochę nas tu za dużo, dajcie chłopakowi odetchnąć! — krzyknął Mike, starając się opanować gromadę.

— Mike ma rację. Skoro wszyscy się już przywitali, to dajcie Dziakiemu spokój — powtórzył Krzak tonem nieznającym sprzeciwu.

Mieszkańcy autobusu niechętnie, jeden po drugim, wychodzili z pokoju. Najdłużej dąsała się Oli, która liczyła pewnie, że uda jej się zostać. Krzak stanowczo odprowadził ją jednak na zewnątrz i po chwili w środku oprócz Wilka i Dzikiego, zostali tylko on, Mike i Szara.

— Dobra, teraz możemy porozmawiać w spokoju... — stwierdził dawny lider Wspólnoty, gdy nagle drzwi otworzyły się jeszcze raz.

Krzak spojrzał na nie nerwowo, myśląc pewnie, że jakiś maruder chce jeszcze pomóc Dzikiego. Niemniej szybko się uspokoił widząc, że do środka weszła właśnie Dix.

Nawet ból nie mógł w tym momencie powstrzymać euforii, jaka rozlała się po ciele Dzikiego. Dix uśmiechnęła się w jego stronę i podbiegła do łóżka obdarzając go natychmiast niesamowicie długim pocałunkiem. Gdy ich usta w końcu się rozłączyły, dziewczyna spojrzała prosto na jego ranę, a jej oczy delikatnie się przeszklily. — Dziki, w coś ty się znowu wpakował — westchnęła.

— To moja wina, Dix — wtrącił Wilk. — Poprosiłem go o drobną przysługę i tak jakoś... — zaczął tłumaczyć, ale dziewczyna przerwała mu momentalnie głosem pełnym złości.

— Więc lepiej już go o nic więcej nie proś, bo...

— Spokojnie Dix — wtrącił Krzak, nim dziewczyna zdążyła się rozkręcić. — Wiem, że kiepsko to wszystko wyszło, ale dzięki ich poświęceniu wiemy na czym stoimy.

— A na czym stoimy? — zapytała wyraźnie zbита z tropu liderka Defektu.

— Nadszedł czas na Kod Weterana — podsumował Wilk grobowym głosem.

Dix popatrzyła z lekkim niedowierzaniem, a Krzak skinął nerwowo głową.

Kod Weterana był niepisaną obietnicą, złożoną przez wszystkich starych mieszkańców Krańcowo, którzy zobowiązali się w razie potrzeby połączyć siły i stanąć do walki z Armią Daniela.

— Kiedy chcesz ich zebrać? — spytała Dix, której złość na twarzy momentalnie zastąpił niepokój.

Wilk stanął przy oknie i popatrzył przez dłuższą chwilę na zewnątrz. — Jak tylko opuszczę szpital, rozpocznę nadawanie sygnału — odparł. — Ustalimy termin zgromadzenia. Zobaczymy, ilu będzie chętnych, gdy trzeba będzie przejść do konkretów.

Dziewczyna obróciła się w stronę Dzikiego, którego zaczęła machinalnie gładzić po głowie. — I tak miałam zostać w Wieży, aż Dziki wydobrzeje. Jak coś, będę pod ręką.

— Dzięki Dix — odparł Krzak, zwracając się teraz do Wilka i Mike'a. — Dobra, słuchajcie, może się trochę przejdziemy. Gołąbki dawno nie były razem same, a my mamy jeszcze parę spraw do ustalenia.

Trzech mężczyzn i Szara wyszli z pokoju, zostawiając ich samych. Dix niemal natychmiast wcisnęła się na łóżko i przytuliła do Dzikiego. — Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mieliśmy chwilę dla siebie — stwierdziła, opierając głowę o jego ramię.

Dziki poczuł, jak sama jej obecność koi cały ból, jaki odczuwał. — Przy najmniej teraz czuję, że naprawdę warto było dać się pokroić — zażartował, ale dziewczyny wcale to nie rozbawiło.

— Wiesz, że tak naprawdę nigdy nie chciałam, abyś podróżował z Autobusem — stwierdziła nagle. — Gdybyś został z nami w Defekcie, nie pozwoliłabym, żeby coś ci się stało.

— Przy moim szczęściu nigdzie nie będę bezpieczny — odparł jej Dziki. — Poza tym, wiesz czemu odszedłem. Nie mogę z tobą zostać, dopóki nie zamkniesz tego rozdziału.

Dziewczyna słysząc to spochmurniała. — Nie rozmawiajmy o tym. Teraz chcę się po prostu cieszyć tym, że tu jesteś — powiedziała, przytulając go mocniej.

Dziki chyba nigdy nie czuł takiej tęsknoty za Starym Światem, jak w momencie, gdy przebywał z Dix. Marzył o tym, by móc zabrać ją na normalną randkę, pójść gdzieś na potańcówkę, schlać się razem do nieprzytomności na sobotniej parapetówce u znajomych. Tymczasem jedyne na co mógł liczyć, to fakt, że w swojej walce o przetrwanie ich drogi będą jak najczęściej się splatały. Że za każdym razem uda im się jakoś wyjść cało z niebezpieczeństw, które czyhały na każdym kroku. Wzdychając ciężko, poczuł, jak przepełnia go żal.

Z drugiej strony był pewien, że jedyne, za co mógł dziękować Nowemu Światu było to, że byli teraz razem.

* * *

Pobyt we Wspólnotowym szpitalu choć dłużyl się niemiłosiernie, był chyba najprzyjemniejszym okresem, jaki Dzikie spędził w ostatnim czasie. Odpoczywał bezpieczny w ciepłym łóżku, posiłki podtykano mu praktycznie pod nos, a co chwila w odwiedzinach przychodził ktoś nowy, by umilić mu monotonię patrzenia się w sufit. Najlepsza w tym wszystkim była możliwość spotykania się każdego wieczoru z Dix. Dziewczyna nie zostawała co prawda na noc, bo ciągle miała na głowie swoją grupę w Wieży Ciśnień. Niemniej w końcu mogli nacieszyć się tą odrobiną wspólnego czasu.

Gdy Dix opuszczała Wspólnotę, a Dzikie zostawał nocą sam, w jego głowie tworzyły się dziesiątki fantastycznych scenariuszy, które rozwiązywały wszystkie problemy stojące im na drodze do wspólnego szczęścia. Wyobrażał sobie, jak dzięki jego ingerencji, konflikt Dix z Pierwszym zostaje zakończony. Oczami wyobraźni widział, jak godzą się ze sobą, a Dzikie może dzięki temu bez moralnych rozterek wrócić do Defektu.

Ponieważ marzenia rządzą się swoimi prawami, nie miał zamiaru pozostawiać też Oli i autobusu, z którego mieszkańcami był już naprawdę zżyty. Stworzył więc w głowie scenariusz, w którym Autobus do Wolności łączył się z Defektem, tworząc organizację pomagającą Nowoprzybyłym.

Niestety marzenia te były tak absurdalne, że nawet nie próbowałby się z nich nikomu zwierzać. Dzikie doskonale wiedział, że Dix nigdy nie wybaczy Pierwszemu tego, co zrobił Czwartemu. A połączenie dwóch grup było niemożliwe, choćby ze względu na to, że Dix i Kuba nieszczególnie za sobą przepadali.

Gdy nieubłagane nadeszła więc ostatnia noc jego pobytu w szpitalu (oraz całego Autobusu we Wspólnocie) czuł, że ciężko mu będzie wrócić do rzeczywistości, do podróży po mieście oraz rozłąki z Dix. Najgorsze natomiast przyszło następnego ranka.

Kuba pojawił się niespodziewanie we Wspólnocie, a po jego minie, można było poznać, że nie jest zachwycony tym, co tam zastał. Na szczęście dla Dzikiego, Dix odwiedzała go akurat, gdy lider wpadł do jego pokoju w szpitalu. Ze względu na napięte relacje, jakie ich łączyły, Kuba nie ośmielił się rzucić żadnym komentarzem w jej obecności.

Niestety ochrona Dix nie mogła trwać wiecznie. Gdy po serii pożegnań i uścisków, Dzikie wsiadł w końcu do autobusu, nadeszła chwila, w której musiał stanąć oko w oko z Kubą i zmierzyć się z konsekwencjami swoich decyzji.

Lider nie czekał na niego od razu przy wejściu. Zamiast tego, rozsiadł się na ostatnim rzędzie siedzeń, obserwując go niczym kat, już od samego

przekroczenia progu piętrusa. Gdy Dzikie przechodził między siedzeniami czuł, że wzrok wszystkich skupiony jest na nim. Większość członków Autobusu do Wolności wyglądała na zaniepokojonych, co tylko pogarszało jego nastrój. Jedynym promykiem światła w mroku, który zaczął go otaczać, była Oli. Dziewczyna widząc go natychmiast poderwała się z miejsca i z niezachwianą pewnością na twarzy, odprowadziła na spotkanie z Kubą.

Dzikie usiadł obok lidera, a Oli zajęła miejsce po jego prawej stronie. Kuba popatrzył na nią i spytał dość chłodnym głosem: — Więc Wilk zabrał tego chłopaka?

— Tak. Jak tylko wyszedł ze szpitala — odpowiedział Dzikie, wlepiając wzrok w podłogę.

Zszokowany dostrzegł ogromną plamę po krwi, jaką pozostawił, gdy uciekali spod Strefy Głodu.

Kuba milczał dłuższą chwilę, a Oli przez cały czas mierzyła go wzrokiem. Liczyła pewnie, że jej obecność ostudzi nieco nerwy mężczyzny. — A jak się w ogóle czujesz? — spytał w końcu, głosem podszytym kpina.

— W porządku... — skłamał Dzikie.

Prawda była taka, że czuł się jakby śmierć ciągle dmuchała mu w kark. Kuba również był tego świadomy, bo popatrzył ironicznie na jego zabandażowaną głowę, a potem na wyrzuszenie pod kamizelkę. — Mam spore wątpliwości. Ledwo zagojona rana ze szwami. Jak ty chcesz spełniać swoje obowiązki? — spytał sucho.

— Możesz mu już dać spokój! — zażądała Oli podnosząc głos. — Myślisz, że Dzikie dał się pokroić na własne życzenie? Równie dobrze mógł zostać ranny w trakcie walki z Dziadem! Wtedy też byś go tak dręczył?

Kuba nie dał się zbić z tropu i spojrzał teraz w stronę dziewczyny. — Ja zdaję sobie sprawę, że Dzikiemu nie brakuje odwagi i że ma sporo umiejętności — tłumaczył, starając się opanować swoje wzburzenie. — Tylko tu nie chodzi o to, czy był w stanie walczyć z Dziadem, czy nie! Gdyby do jego stanu przyczynili się Niewykształceni, gdyby został ranny broniąc was przed bandytami... to nie siedziałbym tu teraz!

— Jakbyś w ogóle często przejmował się, tym co się z nami dzieje — zakpiła Oli. — Dzikie to najlepszy strażnik, jakiego mogliśmy sobie wymarzyć. Nie pozwolę ci go zakrzyczeć, bo chciał zrobić coś dobrego!

W tym momencie Kuba nie wytrzymał i po prostu ryknął na dziewczynę: — Nie rozumiesz, że decyzja, jaką podjął, naraziła was wszystkich! — nagle mieszkańcy autobusu, zwrócili się w ich stronę. Lider spojrzał teraz na Dzikiego, po prostu rozwścieczony. — Prosiłem! Nie angażuj się. Chcesz, żeby Daniel skupił się na nas?! Naprawdę chcesz mieć tych wszystkich ludzi na sumieniu?! Jeżeli chciałeś się bawić w bohatera, to trzeba to było robić w samotności. Bez narażania innych!

Dziki poczuł jak poczucie winy rozlewa się po nim, niczym jad. Oli natomiast zrobiła naburmuszoną minę, mając zupełnie inne zdanie niż ich lider. — Ja jestem dumna z Dzikiego za to, co zrobił!

— Bo chuj! wiesz o tym świecie! — ryknął niespodziewanie Kuba. — Oboje z Brisssem myśleliście, że stworzycie tu sobie przedszkole, nie licząc się z zagrożeniami! Gdybym od samego początku nie robił przesiewu wśród Nowoprzybyłych, oboje bylibyście martwi!

Oli poderwała się z siedzenia, a ze złości łzy pociekły jej po policzkach. — Nie masz prawa wypowiadać się o nim! NIE MASZ W OGÓLE PRAWA MÓWIĆ O NIM! Gdyby nie ty... Gdyby nie ty... on ciągle... ciągle by...

Dziewczyna nie wytrzymała i zalewając się łzami, popędziła na górne piętro. Kuba zamilkł natychmiast, a kolor zdawał się całkiem zniknąć z jego twarzy. Chyba sam poczuł, że pozwolił sobie na zbyt wiele.

Janek zatrzymał natychmiast autobus i wyraźnie wzburzony doszedł do nich. Kuba, widząc jego cierpkie spojrzenie, pokręcił głową, wbijając jednocześnie wzrok w podłogę. — Wiem... wiem... ja...

Kierowca przerwał mu momentalnie. — Idź tam i ją przeproś! — zażądał gniewnym głosem. — I ostrzegam! Jak jeszcze raz powiesz coś złego o Brissie, to cię do tego autobusu więcej nie wpuszczę...

Dziki był w szoku, słysząc, że Janek był w stanie powiedzieć coś tak dosadnego. O dziwo, Kuba posłuchał go i skruszony ruszył powoli schodami na górę.

Kierowca niemal natychmiast wrócił na przód autobusu, zostawiając Dzikiego z masą pytań. Kim był Briss? Dlaczego Oli tak zareagowała na wspomnienie o nim? Dlaczego w ogóle nikt o nim tutaj wcześniej nie wspominał?

Przeczuwał, że może popełnia błąd, ale była tylko jedna osoba, która mogła mu w tym momencie coś wyjaśnić. Przechodząc na środek autobusu dosiadł się do Korka. — Wiesz o co w tym chodziło? — spytał szeptem, a podniecony chłopak wylał z siebie pośpieszny potok słów.

— Nie do końca, szefie... Bo wiesz, ja byłem już po Brissie, ale coś tam usłyszałem. Tak ogólnie to Kuba chyba nie bardzo chce zajmować się Autobusem, bo bycie naszym strażnikiem to niebezpieczna funkcja. Nikt, kto się nami do tej pory opiekował, nie skończył dobrze...

Dziki słysząc to poczuł jakieś dziwne ukłucie w środku. Nie wiedział, czy to przez rany, czy raczej zadziałała jego psychika, ale słowa Korka uświadomiły mu coś, o czym wcześniej nie myślał. Przed nim byli też inni strażnicy i nie przeszli przecież na emeryturę. Wszyscy w ten, czy inny sposób odeszli z tego świata. Nawet Primo, który w opinii Dzikiego był prawdziwym zaka-piorem, został tak niewyobrażalnie okaleczony w walce z potworem, że Mike pomylił go z Niewykształconym i finalnie zadźgał.

Korek widząc zapewne jego przygasającą minę, natychmiast spróbował go pocieszyć. — Ale ty nie masz się czym przejmować, szefie! Jesteś z nich

wszystkich najlepszy! Przez tobą nikt nie próbował nawet walczyć z Dziadem, zawsze tylko uciekaliśmy...

— *Bo walka z Dziadem była głupotą...* — pomyślał Dziki, jeszcze bardziej zaniepokojony. — To co dalej działo się z Brisssem?

Słyszyc pytanie, Korek natychmiast wrócił zaafektowany do tematu. — Więc, to właśnie Briss był naszym pierwszym strażnikiem i do tego starszym bratem Oli. Wydaje mi się, że w takim wypadku musieli wypaść z Błysku razem, ale nie o tym mówiłem. Więc Kuba namówił go, żeby wspólnie założyli Autobus do Wolności. Z początku wszystko szło całkiem dobrze, ale podobno wkrótce Kuba zaczął coraz częściej zniknąć. Tłumaczył się, że ma dużo spraw do załatwienia... że ciągle próbuje dowiedzieć się, co z tym światem i takie tam... Dlatego chyba przez większość czasu Briss pilnował Autobusu sam, aż w końcu dopadli go Niewykształceni. Wydaje mi się, że od tamtej pory Oli ciągle ma żal do Kuby, że prawie nigdy go z nami nie ma, że ciągle wysługuje się innymi... — wysapał Korek prawie na jednym wdechu, wyraźnie zadowolony, że mógł w końcu popisać się przed Dzikim jakąś wiedzą.

Dziki westchnął. Dla niego od początku było jasne, że Kuba nie jest osobą, która lubi się narażać. Często zastanawiało go, czemu mimo tego ciągle zajmował się Autobusem. Nim jednak zdążył rozważyć jakieś wyjaśnienie, lider zszedł na dół wyraźnie naburmuszony. — Dziki, przemawiam do twojego zdrowego rozsądku. Autobus ma pozostać niewidzialny, aż sprawa z Danielem się nie rozwiąże albo nie przycichnie — wysapał, wyraźnie siłując się na spokój. — Od dzisiaj macie jeździć jak najdalej od Strefy Głodu! Nie kontaktować się bez potrzeby z Weteranami i nie odwiedzać Wspólnoty.

Po tym zdaniu, nie zaszczycając Dzikiego spojrzeniem, zajął miejsce obok Janka.

Dziki uświadomił sobie właśnie, że Kuba musiał czuć naprawdę ogromne wyrzuty sumienia w stosunku do Oli. Pewnie dlatego jako jedyna w całym Autobusie, miała na niego jakiś realny wpływ. Nie miał nawet wątpliwości, że w trakcie rozmowy na górze, jednym z warunków przyjęcia przeprosin przez dziewczynę, było danie Dzikiemu spokoju.

Jak na ironię Autobus do Wolności przejechał właśnie obok przedszkola, gdzie swojego żywota dokonał Primo.

Janek spoglądając na Kubę, spytał go swoim zwykłym znudzonym głosem. — Podwieźć cię w jakieś konkretne miejsce?

— Jedziemy w kierunku starej plaży — rozkazał Kuba, wciąż wyraźnie kryjąc w sobie wzburzenie.

— A po jaką cholere? — dopytał natychmiast Janek.

Dla Dzikiego było to tak samo interesujące, bo od momentu swojego przybycia do Nowego Świata, nie był jeszcze nad brzegiem rzeki. Słyszał jedynie opowieści, że Wiślinka zamieniła się w kwas i nikomu, jak do tej pory, nie udało się przedostać do Zarzecza.

Kuba zmarszczył czoło, spoglądając znacząco w stronę Dzikiego. — Bo złożyłem kiedyś głupią obietnicę i teraz wypada się chociaż pokazać. Na piętnastym kanale nadają od kilku dni Kod Weterana. Wszyscy starzy mieszkańcy, zbierają się dzisiaj nad kąpieliskiem.

Janek pokręcił zdziwiony głową, ale posłusznie pokierował autobusem w umówione miejsce. W ciągu kilku minut przejechali obok cmentarza Nowoprzybyłych, a potem ruszyli w stronę dawnej auli koncertowej. Stamtąd dziką drogą zjechali nad rzekę.

Historie krążące na temat tego miejsca, nie miały się nawet odrobinę z prawdą. Wiślinka, którą Dzikiego dostrzegł przez okno, miała zgniłozielony kolor i wyraźnie syczała, podgryzając poczerńiały brzeg. W powietrzu unosił się charakterystyczny, piekący w nos zapach zużytych baterii.

Janek zatrzymał się między wyschniętymi na wiór drzewami, a Kuba wstał z miejsca. — Dobra, mam nadzieję, że to nie zajmie długo. Mieście uszy i oczy otwarte, bo Dzikiego idzie ze mną — stwierdził niespodziewanie.

Smalec słysząc to, poderwał się oburzony. — A dlaczego go zabierasz? Chyba lepiej, żeby nas pilnował — zaprotestował natychmiast.

Kuba spojrział na niego z politowaniem i odpowiedział szorstko: — Bo chcę, żeby nauczył się czegoś ważnego. Na przykład, jak wymigać się od głupich obietnic. Poza tym, niewiele jest okazji by poznać „Krańcową Elitę” — skwitował, kładąc wyjątkowo ironiczny ton na ostatnie słowa.

Janek otworzył drzwi, wypuszczając Kubę i zaskoczonego tym zaproszeniem Dzikiego.

Po przekroczeniu progu piętrusa, Dzikiego miał wrażenie, że znalazł się po prostu na innej planecie. Unoszący się w okolicy odór kwasu sprawił, że oczy zaczęły go szczypać, jakby obrał tonę cebuli. Czarna, spalona trawa trzeszczała mu pod butami, a ziemia, po której stąpał była tak sucha, że przypominała wióry z tartaku. Wiślinka chlapała i bulgotała niczym woda wrząca w czajniku, a każda kropla spadająca na wypalony brzeg, przypalała go jeszcze mocniej.

— Niezbyt przyjemne miejsce na spotkanie — skwitował Dzikiego. — Czemu zbieracie się tutaj? — spytał licząc, że uda mu się zacząć normalną rozmowę z Kubą.

— Bo rozległe błędy niwelują trochę prawo trzech — wyjaśnił mężczyzna, który ku uciesze Dzikiego miał już całkiem normalny głos. — Zbieramy się w dużej grupie, co normalnie przyciągnęłoby kłopoty. Tutaj Niewykształceni nie będą w stanie nas wyczuć. Gdy byłeś jeszcze członkiem Wspólnoty, myślisz, że dlaczego miewałeś w ogóle spokojne noce? — spytał retorycznie. — Tory zakłócały waszą obecność...

Następne kilka minut szli w ciszy, przerywanej jedynie złowrogim trzeszczeniem Wiślinki. Wszędzie dookoła nich, widać było tylko poczerńiałe drzewa bez liści i suchą jak popiół trawę. Po jakimś czasie, dobiegły do nich pierwsze odgłosy rozmów.

Mijając wypalone na popiół drzewa, znaleźli się w końcu naprzeciwko dawnej plaży.

Był to nieduży odcinek brzegu rzeki, który w Starym Świecie miasto zaadaptowało do czegoś w rodzaju publicznego kąpieliska. Zwieziono wywrotkami masę piasku oraz postawiono kilka drewnianych budek z hot dogami i piwem. Dzikiego pamiętał, że na rzece stały kiedyś zapory, ochraniające kąpiących się przed prądem, ale najwidoczniej po prostu rozpuściły się one w kwasie.

Kuba wyszedł na plażę jako pierwszy, pozdrawiając podniesioną ręką zgromadzone tam osoby. Dzikiego dostrzegł szybko kilkanaście małych grup, słyszanych w różnych miejscach rozległego terenu. Ich liczba była imponująca, zważywszy, że wszyscy musieli pojawić się w tym samym okresie, co ich lider.

Zgromadzeni, jak przystało na Weteranów, nosili militarne stroje i długą broń. Niektórzy mieli jeszcze ze sobą ogromne plecaki podróżne.

Pojawienie się Dzikiego i Kubę nie wzbudziło w nich szczególnych emocji. Tylko kilka osób skinęło Kubie głową, nikt też nie zbliżył się, by z nim porozmawiać.

— Weterani... — szepnął Kuba, gdy ustawili się już w swoim kawałku plaży. — Ostatni z tych, którzy pojawili się w trakcie „Wielkiego wyrzutu” pięć lat temu. Większość ludzi, którzy teraz używają tego tytułu to zwykłe wymoczki, co jakimś cudem dorwali broń i mają się przez to za nie wiadomo kogo — zakpił, rozglądając się po zgromadzonych postaciach.

— Czym był ten „Wielki wyrzut”? — zapytał Dzikiego, a Kuba przestał się rozglądać i skupił na nim wzrok.

— Była to seria kilkudziesięciu Błysków występujących prawie dzień po dniu. W jego czasie wypadła naprawdę ogromna liczba ludzi. Taki ewenement nie powtórzył się więcej... — Kuba przerwał na chwilę, przyglądając się jak kolejna duża grupa wchodzi na teren kąpieliska od strony cmentarza.

Dzikiego przyjrzał się im uważnie. Wyglądali na czystych i dobrze odżywionych. W odróżnieniu od większości, nosili normalne codzienne ubrania, zakryte jedynie przez ochraniacze jak z crossowych motocykli albo paintballa.

— To Sojusz Bloków — wyjaśnił Kuba, nim Dzikiego zdążył zapytać. — Oprócz Wspólnoty i Defektu są największą stacjonarną grupą. Zabunkrowali się na terenie zamkniętego osiedla deweloperskiego „Czerwona parcela”. Nie przyjmują w swe szeregi nikogo, kto w Starym Świecie nie mieszkał na ich blokowisku. Widzisz tych dwóch z przodu? — Mężczyzna wskazał na wysokiego jasnowłosego chłopaka i idącego obok niego tęgiego osiłka o czarnej grzywie. — To Lance i Kruk, są „Gonicielami”. To oni zaopatrują bloki w żywność. Ci, którzy idą za nimi to „Parterowcy”, odpowiadają za bezpieczeństwo poszczególnych klatek... — nagle Kuba zmarszczył czoło wyraźnie zaskoczony. — O proszę... tego się nie spodziewałem.

Dzikiego spojrział na niego z zaciekawieniem. — Co się stało?

— Spójrz na tego niskiego gościa w okularach, co idzie na końcu gromady — polecił mu Kuba. — To Boruta. Założyciel i przywódca Sojuszu Bloków. Plotki wśród Weteranów mówią, że posiada niezwykle umiejętności, jeśli chodzi o błędy. Tylko, że nikt spoza Sojuszu nie widział jeszcze, co potrafi. Facet prawie w ogóle nie opuszcza osiedla, bo podobno służy za główny filar jego obrony. Aż dziwne, że pofatygował się tutaj...

Dziki miał pewne problemy, żeby sobie to uzmysłwić, bo mężczyzna wyglądał naprawdę niepozornie. Był niski, a przy tym dość szczupły. Jego twarz przywodziła na myśl informatyka albo nauczyciela historii, a nie przywódcę uzbrojonej grupy. Przypominając sobie jednak, co Daniel potrafił zrobić z pomocą błędów, szybko przestał być sceptyczny.

Gdy śledził wzrokiem grupę z Sojuszu Bloków, kolejna gromada wkroczyła nad rzekę.

Ci ubrani byli w zielone stroje maskujące, noszące ślady zerwanych naszywek jakichś służb militarnych. Większość z nich uzbrojona była w strzelby myśliwskie. Spośród grupy wyróżniał się dość młody chłopak, który miał przewieszony na szyi futerał od aparatu.

— Na nich wołają „Zieloni” — oznajmił Kuba, wyprzedzając pytanie Dzkiego. — Gość z aparatem to ich lider, Kasjo. W większości to dawni przedstawiciele służb mundurowych: policji, wojska, straży pożarnej. Wszyscy, którzy złapali się w granice wieku i uniknęli czystek ze strony Armii Daniela. Wyjątkiem jest oczywiście ich przywódca. On był poszukiwaczem Siwego w czasach, gdy Faktoria dopiero raczkowała. W końcu o coś się tam poróżnili i chłopak dołączył do Zielonych. Jakiś czas później, nie wiadomo czemu, mianowali go liderem. Podobno, jako jeden z nielicznych, ciągle próbuje rozgryźć Krańcowo, ale to, co odkryje, zachowuje dla siebie. Chciałem go parę razy podejść, żebyśmy wymienili się zgromadzoną „wiedzą”, ale nic z tego nie wyszło.

Dziki obserwował przez chwilę jak grupy zajmują miejsce w różnych częściach plaży. Nietrudno było zauważyć, że Weterani nie byli szczególnie otwartą społecznością. Chociaż ludzie pozdrawiali się, to każdy trzymał się tylko tych, z którymi przyszedł.

Ponieważ przez kilka kolejnych minut nikt się nie pojawiał, znudzony Kuba zaczął przedstawiać Dzikiemu już zgromadzonych. — Ci, których masz tutaj, to w większości wędrownie tria — wyjaśnił. — Prawdziwy Weteran i jacyś jego dwaj znajomi ze Starego Świata. Potocznie mówi się na nich „ogony”. I tak od prawej masz: Grupa Wiewióra, Grupa Dyzia, Grupa Plastusia, Grupa Zoda, Grupa Persa...

Słyszając ostatni pseudonim, Dziki skrzywił się i wypatrzył rudowłosego mężczyznę o szczurkowatej twarzy. Miał z nim kiedyś niemiłe spotkanie przed bramą Wspólnoty. To skończyło się ingerencją Wilka i odstrzeleniem Persowi kilku palców u ręki przez Szarą. Było naprawdę dziwne, że po tym

wszystkim zdecydował się on pofatygować na spotkanie. Może zrobił to ze strachu przed złamaniem obietnicy danej Wilkowi? A może liczył po prostu, że uda mu się na nim odegrać...

Kuba nie zdążył już wymienić pseudonimów pozostałych trio, bo z pobliskich krzaków wyłoniła się kolejna gromada.

Ta zrobiła na Dzikiem naprawdę ogromne wrażenie. Wszyscy nosili policyjne stroje do walki z tłumem. Do tego maszerowali zbici w ciasną gromadę, osłaniając się wzajemnie tarczami, niczym jakaś spartańska armia.

— Wyglądają na naprawdę mocnych — stwierdził, patrząc z podziwem jak grupa rozstawia się na plaży.

Kuba uśmiechnął się jednak ironicznie. — Grobelni z mocą nie mają nic wspólnego. Zamiast przyglądać się pancerzom, przyjrzyj się lepiej uważnie im samym...

Dziki musiał mocno wyteżać wzrok, szukając szczegółu, o który mogło chodzić jego liderowi. Dopiero gdy jeden z przybyłych mężczyzn podniósł przyłbicę helmu, dostrzegł jego chorą, zapadniętą i wychudzoną twarz. Idąc tym tropem, przyglądał się kolejnym Grobelnym. Ciężkie policyjne stroje, które na pierwszy rzut oka nadawały przybyłym mocarnego wyglądu, przy bliższej obserwacji zdradzały, że niewiele jest pod nimi ukryte. Noszący je ludzie byli bardzo szczupli, niektórzy wydawali się wręcz „tonąć” w za dużych kombinezonach.

— Co z nimi jest nie tak? — spytał natychmiast.

— Złe umiejscowienie... — odpowiedział Kuba. — Jak miniesz „Zalew w Krańcowie” i przez jakiś czas będziesz szedł w stronę granicy miasta, trafisz w końcu na taki zabytkowy gotycki kościół. Kojarzysz? — Dziki skinął głową, a mężczyzna kontynuował. — Tam właśnie założyli swoją bazę. Pomysł z pozoru niegłupi. Gotyckie kościoły są prawie jak warownie. Grube mury, malutkie, wysokie okna. Niewiele potrzeba, by takie miejsce zamienić w bunkier nie do zdobycia. Tylko, że sam kościół stoi jeszcze zbyt daleko od „Strefy Zamarcia”, żeby zakłócić prawo trzech. Przez to, codziennie odpierają ataki Niewykszałconych. Do tego nie mają tam żadnego regularnie odnawiającego się sklepu. Po zapasy muszą przebijać się do miasta. Mają kupę problemów...

Dziki pokręcił głową. — Nie mogą po prostu gdzieś się przenieść? — spytał.

— Ciężko znaleźć w Krańcowie bezpieczne miejsce dla osiedlenia się tak dużej grupy — odpowiedział Kuba. — Myślisz, że dlaczego większość Weteranów podróżuje samotnie albo trójkami? Prawo trzech to prawdziwa z mora... — przerwał jednak, widząc, że od strony miasta, zbliżyły się kolejne postacie.

Tym razem byli to Wilk razem z Szarą oraz Sebastianem.

Przez te kilka dni Sebastian zmienił się właściwie nie do poznania. Swoje zwykle codzienne ubranie, zastąpił wojskową kurtką WZ i solidnymi bojówkami. Włosy miał obcięte na krótko, a na jego twarzy gościło już

znacznie mniej niepewności niż gdy podróżował autobusem. Chłopak momentalnie wypatrzył Dzikiego z Kubą i mijając zebranych ludzi, podszedł przywitać się z nimi.

— Witaj Nowy — zawołał Kuba, ściskając chłopakowi dłoń. — Widzę, że całkiem nieźle sobie radzisz...

— No, Wilk naprawdę dużo mnie nauczył. Robię wszystko, żeby nie zmarnować szansy jaką dostałem od niego i oczywiście od Autobusu — odpowiedział ucieszony Nowoprzybyły. — Do tego już teraz udało nam się zdobyć całkiem nowy inhalator, więc nie muszę się martwić...

— To bardzo szlachetne ze strony Wilka, że tak ci pomaga — pochwalił Kuba, a Dzik po raz kolejny poczuł lekki wstręt do swojego lidera.

Nie tak dawno na dachu autobusu powiedział mu przecież, że gdyby wiedział o chorobie chłopaka, to na pewno by go nie wprowadził. Natomiast teraz zachowywał się, jakby jego los był mu naprawdę bliski.

Wilk, który również wypatrzył ich w grupie, zbliżył się razem z Szarą. Nie miał już temblaka na rękę. Jego rany były najwidoczniej znacznie mniej poważne niż wyglądały.

— Dzik! Jak dobrze cię widzieć! — zawołał głośno, jakby chciał zwrócić uwagę pozostałych. — I ciebie też, Trzeci. Ta sprawa z Autobusem, nie zdążyłem nawet z tobą pogadać. Naprawdę nie chciałem wpakować twojego strażnika w całą tę kabałę.

— Było minęło — skłamał zgrabnie Kuba, głosem, jakby to była zwykła błahostka.

Dziki natomiast czuł, że była to tylko gra pozorów. Po tym, jak Kuba wściekał się wcześniej w autobusie, na pewno tak szybko nie przeszedłby nad tym do porządku dziennego.

W tym czasie Szara zbliżyła się do Dzikiego i położyła mu obie ręce na ramionach. Ponieważ była od niego prawie o głowę wyższa, czuł się jak dziecko złapane przez ciocię. Stali tak przez chwilę, gdy nagle Dzik usłyszał głos kobiety w swojej głowie. — *Cieszę się, że wracasz do zdrowia. Nawet nie wiesz, jak się martwiłam, gdy myślałam o tym co się stało.*

Dziki otworzył zszokowany usta, a Szara zaśmiała się.

— *Przepraszam, że tak bez ostrzeżenia. Chciałam po prostu skorzystać z okazji, że mogę jeszcze porozmawiać z tobą, bez proszenia Wilka o tłumaczenie.*

— *Jesteś w mojej głowie?* — pomyślał Dzik. — *Możesz tak rozmawiać z każdym?*

— *Niestety, nie z każdym* — odparła Szara, a jej twarz wyraźnie posmutniała. — *Tylko z ludźmi, którzy rozbudzą moje współczucie* — wyjaśniła, dodając od razu. — *Podmieniając nasze ciała, przez chwilę poczułam twój ból... Przeżyłeś straszne piekło, Dzik. Nie tylko fizycznie. Słyszałam, jak bar-*

dzo martwisz się, że to, co zrobisz, zagrozi ludziom z Autobusu. Byłam wtedy naprawdę wściekła na Wilka, że poprosiliśmy ciebie o pomoc...

— *Daj spokój. Niepotrzebnie...* — odparł starając się by jego myśli, nie popłynęły w stronę tego co naprawdę uważa o tej sytuacji.

Szara musiała jednak wyczuć jego intencje, a z jej twarzy dało się odczytać, że jest jej naprawdę przykro. — *Nie chowaj urazy do Wilka* — poprosiła. — *Tak jak ty, jest naprawdę dobrym człowiekiem. Stara się robić wszystko, żeby Krańcowo nie stało się tak złe, jak mogłoby się stać.*

— *Wiem...* — stwierdził Dzik. — *Ale ty też wiesz, czemu ta sytuacja tak mnie przybija.*

— *Musimy mieć nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży* — podsumowała Szara, puszczając jego barki.

Dziki skinął jej głową, artykułując bezgłośnie: „jakoś będzie”.

Szara mrugnęła do niego, a w międzyczasie Wilk rozejrzał się po zgromadzonych.

— Nie ma jeszcze wszystkich. Ciekawe czy tylko się spóźniają, czy po prostu olali sygnał.

— Mogą też już nie żyć — wtrącił niezbyt optymistycznie Kuba.

— Mam nadzieję, że nie — powiedział Wilk i wyszedł powoli na środek placu.

Weterani zamilkli, oczekując, że pewnie zaraz zacznie przemawiać, ale on oparł się jedynie o starą budkę z hot dogami i czekał. Po jego minie nietrudno było zgadnąć, że liczył na znacznie większą frekwencję.

Kilka minut później Dzikiego spotkała bardzo miła niespodzianka. Nagle poczuł, że ktoś wsuwa mu dłonie pod brzuch i obejmuje od tyłu. — Znowu się spotykamy, Dzik — wyszeptała Dix, całując go w ucho.

W sumie nie wiedział, czemu był tym zaskoczony. Dziewczyna była przecież Weteranką i do tego jeszcze dowodziła najlepiej zorganizowaną i uzbrojoną grupą, jaką znał. Zastanawiał się nawet przez chwilę, dlaczego nie pojechała razem z nimi autobusem na spotkanie, ale widok Kuby, który odsunął się od nich, rozjaśnił mu wszystko.

Po chwili pojawił się też Rengo, prawa ręka Dix i wyjątkowo sympatyczny członek Defektu. — Dobrze cię znowu widzieć! — zawołał, opatulony w swój czerwony kombinezon mężczyzna.

— Ciebie też — odpowiedział Dzik, ściskając mu dłoń i spoglądając we wciąż jeszcze ludzkie oczy, widoczne spod kominarki.

Dix, wtulająca się w Dzikiego wywołała niemałe poruszenie pośród Weteranów. Dzik miał wrażenie, że wszystkie oczy spoglądały w tym momencie na nich. Po chwili chłopak, którego Kuba przedstawił wcześniej jako Kasjo, zbliżył się do nich.

— Proszę, proszę... Więc to TY jesteś tym Dzikim, o którym wszyscy tyle mówią. To dla mnie prawdziwy zaszczyt — powiedział tonem, który ciężko

było jednoznacznie określić jako podziw czy kpinę. Niemniej wyciągnął w stronę Dzikiego rękę, więc ten nie wiedział powodu, dla którego miałby się z nim nie przywitać. — Pogłoski o tobie rozchodzą się po całym Krańcowie. Przeżyłeś już tyle, że bez wątpienia zasłużyłeś na status Weterana. Chętnie bym kiedyś posłuchał twojej historii — stwierdził, świdrując Dzikiego wzrokiem.

Nim Dziki zdążył odpowiedzieć, Dix postanowiła spławić chłopaka. — Może kiedyś będziesz miał szansę, ale dzisiaj jesteśmy tu z innego powodu.

— Aż płonę z ciekawości, co też Wilk ma nam do powiedzenia... — stwierdził Kasjo głosem pełnym ironii i wrócił do swojej grupy.

Dix odprowadziła go wzrokiem, z wyraźną niechęcią na twarzy. — Wredny typ z niego. Pamiętam, jak pracował jeszcze dla Siwego. Często mijaliśmy się wtedy w różnych miejscach. Ma o sobie naprawdę niesamowite mniemanie.

Dziki czuł, że w jej towarzystwie nawet największy dupek nie zepsułby mu nastroju.

Czekali kilka kolejnych minut, nim na dróżce wydeptanej przez przybyłych wcześniej Weteranów, pojawiły się kolejne postacie. Tym razem również były one Dzikimu doskonale znane. Na zebranie zmierzali Krzak, Siwy i jego najemniczka Zjawa.

Obecność Siwego nieco zaskoczyła Dzikiego i wywołała natychmiastowe poruszenie. Trudno było się temu dziwić. Właściciel Faktorii słyszał bowiem z tego, że skupował niewolników, których wykorzystał później do różnych chorych celów.

Wilk, widząc Siwego, zbliżył się do niego tak gwałtownie, jakby chciał go udusić. Dziki był pewien, że od dawna musiał być na liście szeryfa Krańcowa, ale otoczony przez ochroniarzy i bezpieczny za murami Wspólnoty, pozostawał on poza jego zasięgiem.

— Nie spodziewałem się ciebie. I chyba nie zdziwisz się, jeśli powiem, że nie jesteś tu mile widziany — stwierdził dobitnie Wilk.

— To ja go zaprosiłem Wilku — wtrącił Krzak, stając między mężczyznami. — Wiem, że możecie skrywać do siebie różne urazy, ale w obecnej sytuacji mamy wspólnego, o wiele większego wroga. Dlatego chciałem, żeby Siwy uczestniczył w zebraniu i wysłuchał, co masz do powiedzenia...

Siwy uśmiechnął się obelżywie, a Wilk wyglądał jakby ledwo powstrzymywał się przed dzieleniem go w twarz. Szara, stojąca obok Dzikiego, również wydawała się zdenerwowana. Oboje musieli mieć ogromną awersję do właściciela Faktorii. Niemniej, Wilk odwrócił się w końcu i wrócił na swoje miejsce. Dał tym nieme przyzwolenie na obecność Siwego na zebraniu.

Handlarz, jego najemniczka oraz Krzak zajęli miejsce na wolnym końcu plaży w pobliżu Dzikiego i Dix.

Dziki zauważył, że szczególne poruszenie nowo przybyli wywołali zwłaszcza wśród członków Sojuszu Bloków. Dwaj Goniecie, Lance i Kruk, za-

częli praktycznie klócić się ze sobą, ale nie byli oni wcale skupieni na Siwym, lecz na przybyłej z nim Zjawie. W końcu Kruk sięgnął po lornetkę i ewidentnie przyjrzał się dziewczynie. Jego reakcja była co najmniej dziwna. Zachowywał się, jakby zobaczył ducha i drżącymi rękoma próbował przekonać o tym swojego kolegę. Wściekły Lance machnął na niego i z butną miną, ruszył ciężkim krokiem w stronę Zjawy. Jego pewność siebie ustępowała jednak wraz z ubywającą odległością.

Gdy oboje byli raptem parę metrów od siebie, mężczyzna po prostu zeszytniał. W tym momencie większość Weteranów obserwowała go już z wyraźnym zaciekawieniem.

Lance stał tak przez dłuższy czas, z miną jakby zobaczył prawdziwego ducha. W tym czasie Zjawa uparcie odwracała wzrok, nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem.

To przyciągnęło w końcu uwagę Siwego. — Możemy ci w czymś pomóc, chłopcze? — spytał, ale Lance zignorował go i zwrócił się bezpośrednio do najemniczki.

— Iskra? — spytał niepewnie, a dziewczyna obróciła się wściekle.

— Nie jestem żadna Iskra! Odpierdol się, dobra! — krzyknęła z furią.

Głos dziewczyny musiał potwierdzić Lanceowi jego domysły, bo nie zważając na zaprzeczenie z jej strony, zaczął ponownie. — Boże, Iskra! Ja myślałem, że ty...

Zjawa słysząc to, nie wytrzymała i nim Lance zdążył skończyć, wpadła na niego dżgając go palcem w pierś. — Powtarzam ci jeszcze raz pieprzony wieśniaku z Sojuszu, że nie jestem żadna Iskra! Iskrę zostawiłeś dawno temu, żeby umarła! Ja mogę być co najwyżej jej duchem! A teraz wypierdalaj, zanim przypomnę sobie, czemu to ty powinieneś już nie żyć!

Mówiąc to, dziewczyna odbezpieczyła broń w kaburze. Dziki na miejscu Lance'a ustąpiłby natychmiast. Furia bijąca od najemniczki była tak szczerą, jakby wymordował jej pół rodziny, a drugie pół wciąż męczył na jej oczach.

Lance nie miał najwidoczniej tak rozwiniętego instynktu samozachowawczego, bo zamiast uciekać, gdzie pieprz rośnie, zaczął się nieporadnie tłumaczyć. — Boże, Iskra, ja naprawdę nie wiedziałem... Myślałem, że Smolarze już cię mają... Gdybym miał chociaż przecucie, że miałaś jakąkolwiek szansę, ja nigdy bym...

Zjawa nie czekając wyciągnęła broń i przycisnęła ją mężczyźnie do czoła. — ZAMKNIJ SIĘ! Nie mam ochoty słuchać twojego pieprzonego tłumaczenia! Nie zostawia się towarzyszy! Po prostu NIE! Obyś zdechł Lance! — ryknęła i zacisnąwszy pięść, rąbnęła mężczyznę w twarz.

Ten, zaskoczony tym niespodziewanym atakiem, runął na ziemię jak kłoda. Zjawa puściła pistolet i używając błędu, przebłysnęła prosto na mężczyznę. Jak w amoku zaczęła okładać go po głowie, a twarz Lance'a momentalnie zalala się krwią.

— Dość! Wystarczy! — krzyknął Krzak, ale Zjawa nie przerwała.

W końcu mężczyzna z pomocą Siwego oderwał ją siłą od Lance'a.

Członek Sojuszu spróbował się podnieść wyraźnie oszołomiony, a jego kompani dobiegli do niego już po chwili.

— Co to w ogóle miało być! — ryknął jeden z Parterowców. — Ona jest pierdolnięta, czy co!

Krzak próbował odciągnąć wyrywającą się Zjawę do tyłu, ale ta przebły-snęła się przez jego ręce i rąbnęła Parterowca, który podnosił właśnie Lance'a. Obaj mężczyźni padli na ziemię, a dziewczyna szykowała się do kolejnego ataku. Starcie wisiało już w powietrzu, ale wtedy sam lider Sojuszu zwrócił się do dziewczyny, wołając ją po imieniu: — Iza! Dość!

Słyszając to, Zjawa zatrzymała się. — Boruta...

— Mój Boże, jak to możliwe? — odparł przywódca Sojuszu. — Dlaczego spotykam kogoś, kogo już dawno temu pochowaliśmy...

— Spytaj swojego niedołężnego pupilka — fuknęła dziewczyna, patrząc z pogardą w stronę Lance'a.

Dziki z zaciekawieniem nadstawił uszu, by poznać resztę tej historii, ale uniemożliwił mu to Wilk. Szeryf Krańcowa uznał najwidoczniej, że już wystarczy tego czekania albo nie chciał, by kolejne utarczki między Weteranami doprowadziły do otwartego konfliktu. Wspiął się więc na budkę z hot dogami niczym na mównicę i zawołał, przekrzykując pozostałych. — Dobra, jak już wszyscy się przywitali, pokłócili, rozdrapali trochę starych ran, to możemy w końcu przejść do rzeczy!

Konflikt Zjawy i Lance'a natychmiast zszedł na dalszy plan. Boruta szepnęła jedynie. — Pozwól mi ze sobą porozmawiać, gdy to się skończy.

Zjawa nie odpowiedziała, a Weterani zaczęli zbijać się w zwartą grupę.

Dziękiemu razem z Dix udało się zająć miejsce prawie pod samą budką, na której stał Wilk. Ten, widząc, że wszyscy skupili już na nim wzrok, zaczął przemawiać donośnym głosem. — Słuchajcie! Dzięki pomocy naszych przyjaciół z Autobusu do Wolności, udało mi się dotrzeć w pobliże Strefy Głodu i zasięgnąć trochę języka u jednego z moich informatorów. — Kilka osób słysząc to, wyszeptało coś między sobą, niektórzy spojrzeli z niedowierzaniem w stronę Kuby. — Wiem już teraz na pewno, co zamierza Daniel. Utworzył on piętnastoosobową, dobrze uzbrojoną grupę, pod dowództwem największej zarazy Krańcowa, Olbrzyma Maciejewskiego... — Dziki zobaczył, jak Szara opuściła smutno głowę, a kilka osób splunęło pogardliwie na ziemię. — To oni odpowiadają za ostatnie ataki na Weteranów — wyjaśnił Wilk. — Wiem też na pewno, że te ataki się nie skończą. Celem istnienia tej grupy, która zwie się „Ręką Olbrzyma”, jest wyeliminowanie każdego Wolnego Weterana jaki chodzi po naszym mieście...

Wrzawa ogarnęła zgromadzonych ludzi. Niektórzy wyglądali, jakby nie dowierzali w słowa Wilka. Jeden z takich sceptyków zawołał po chwili: — Da-

niel tyle czasu kił u siebie mając wszystko w dupie! Dlaczego tak nagle zebrało mu się na atakowanie nas?!

W tym momencie z tłumu wyłonił się Pers i zwracając w stronę zgromadzonych, zawołał: — To proste. Nasz „kochany” szeryf postawił sobie ostatnio za punkt honoru ukaranie Maciejewskiego za jego zbrodnie. Niestety nie przewidział, że Olbrzym to dla niego za duży kozak. Nie dość, że bez powodu poświęcił życie Tobiasza i Szmuglera realizując swoje chore ambicje, to jeszcze rozwścieczył Daniela na tyle, że ten zaczął mścić się na...

Pers nie zdążył dokończyć swej przemowy, bo Szara wyskoczyła nagle z tłumu i uderzyła go w brzuch z taką siłą, że ledwo utrzymał się na nogach.

— TY SUKO! — pufnął Pers, łapiąc zadyszkę. — Z BLISKA NIE BĘDZIESZ TAKA MOCNA! — dodał wyciągając pistolet.

— Pers... — zawołał Kasjo znudzonym głosem. — Lepiej przestań tak wymachiwać ręką, bo jeszcze ci ktoś kolejną odstrzeli.

Kilku Weteranów parsknęło śmiechem, inni spojrzeli groźnie w jego stronę. Stojący na czele Grobelnych wysoki mężczyzna z hełmem czerwonym od krwi, powiedział: — Weterani nie zabijają Weteranów. Jeśli masz problem z Szarą, załatwcie to na pięści. Tylko uważaj. Będzie spory wstyd, jeśli przegrasz...

Szara, która była wyższa od Persa, prawie o głowę, chrupnęła palcami, dając znak, że się nie zawaha. Pers nieco zmieszany opuścił broń, choć nie schował jej do kabury. W tym momencie jednak jakiś inny Weteran, o dość nieprzyjemnym spojrzeniu i dużym kwadratowym podbródku, wyłonił się z tłumu. — Ja tam uważam, że Pers ma rację. Wilk tak długo prowokował Daniela, że to musiało się tak skończyć. A teraz chce, żebyśmy pomogli mu załatwić problem, który sam wywołał...

Po słowach Weterana wybuchła kolejna wrzawa, którą przerwał dopiero ryk Krzaka: — CISZA! — Dawny lider Wspólnoty miał nie tylko głos, ale i wygląd przywódcy. Gdy wystąpił z gromady, wszyscy natychmiast zamilkli, a Weteran o kwadratowej szczęce schował się w tłumie. — Jak zapewne wiecie albo nie wiecie, służyłem w Armii Daniela. — Krzak zrobił celową pauzę, rozglądając się po zszokowanych minach zgromadzonych ludzi. — Nim zdezerterowałem, awansowałem na „Brata”, czyli zajmowałem jedną z najwyższych funkcji. Miałem możliwość mieszkania w Gorgorze razem z Danielem. Dlatego mogę wam przekazać z pierwszej ręki, że on nigdy nie zrezygnował z planów oczyszczenia Krańcowa z Weteranów. Jedyne, co go powstrzymywało, to brak odpowiedniej ilości broni. Dzięki temu, co ustalił Wilk, wiemy, że pozyskał z nieznanego źródła piętnaście karabinów. To pozwoliło mu na założenie grupy...

— Skąd on wziął tyle broni? — przerwał jakiś Weteran, a inni zgromadzeni powtórzyli jego pytanie.

— Nie mam pojęcia, ale jednak ją ma. Możemy próbować obarczać się winą albo zaakceptować fakt, że ten moment musiał w końcu przyjść... — odpowiedział, Krzak.

— Więc, co masz zamiar zrobić? — zawołał Kasjo w stronę Wilka. — W końcu, po coś nas tutaj zebrałeś?

— Chcę, żebyśmy stanęli do walki! — zawołał Wilk.

Kilka osób prychnęło w tym momencie pogardliwie. Kruk, który wyraźnie był jednym ze sceptyków, zawołał natychmiast. — A jak ty to sobie wyobrazasz, że wparujemy do Strefy Głodu? Zaatakujemy Gorgor? Wolne żarty. Armia Daniela rozbije nas w pył... Wilk, widząc narastające wątpliwości, zawołał: — Posłuchajcie, nie będziemy atakować Marketu, bo na to jest nas za mało, a nawet gdyby nam się jakimś cudem udało, stracilibyśmy masę ludzi. Naszym celem jest zniszczenie oddziału Olbrzyna i odebranie im broni, tak by Daniel nie mógł utworzyć kolejnej grupy. Myślę, że moglibyśmy zastawić pułapkę i zaatakować ich wszystkimi siłami. Razem mamy nad nimi ogromną przewagę...

W tym momencie, słowa Wilka przerwał krótko obcięty Weteran, którego Kuba przedstawił wcześniej jako Dyzia. — A dlaczego Defekt nie może tego zrobić? — spytał. — Mają dość ludzi i broni, a ciągle marnują tylko czas na bezsensownego berka z Pierwszym...

Słyszając to, Dix puściła natychmiast rękę Dzikiego i wychodząc przed zgromadzonych, zawołała: — Defekt może walczyć z wami, ale nie za was! Nie będę narażać swoich ludzi, żebyście mogli sobie siedzieć na tyłkach!

— Posłuchajcie! — zaczął Wilk, siłąc się na spokój. — Jeżeli połączymy siły i uderzymy gigantyczną przewagą liczebną, to może uda się to załatwić bez strat. Może nawet się poddadzą, widząc, że nie mają szans...

— A jakie masz na to gwarancje? — spytał Weteran Plastuś, chłopak z ogromnymi uszami, również przedstawiony wcześniej przez Kubę.

Słyszając jego pytanie, Wilk nie mógł się powstrzymać i złapał się za głowę. — Gwarancje!? — powiedział z niedowierzaniem. — Jakie ja ci mam dać gwarancje? Gościu, będziemy walczyć z uzbrojonym oddziałem... Co ja mam wypisać ci papier, że cię zbłąkana kula nie trafi?!

Plastuś nieco zmieszany, opuścił głowę, cofając się. Teraz jednak z tłumu wyłonił się Kasjo. — Wiecie co...? — zawołał. — Nie obchodzi mnie ten oddział Olbrzyna. Armia Daniela i tak nie wie, gdzie nas szukać, a jeśli nas znajdą, to nawet nie będę musiał nic robić. W naszej okolicy jest tylu Niewykształconych, że wykończą ich bez naszej ingerencji. Tak więc sorry, ale nie bierzemy w tym udziału.

Wilk, wyraźnie przestraszony zawołał: — Cholera jasna, popelniecie błąd! Mój informator powiedział, że będą kasować po kolei Wolnych Weteranów, by nabrać doświadczenia do walki z dużymi grupami. Zresztą Daniel z czasem na pewno zapewni im większe wsparcie! Musimy z nimi walczyć teraz! Póki jest ich mało i są jeszcze kiepsko zorganizowani...

W słowo wszedł mu jednak kolejny Weteran, o którym Kuba nie zdążył nic powiedzieć. — Pierdolę to, nie mam zamiaru walczyć z Danielem — rzucił i niemal natychmiast ruszył w stronę wyjścia z plaży.

Wyraźnie załamany Wilk, popatrzył na niego błagalnie. — Chłopie, co ty mówisz?! Przecież oni wybiją nas wszystkich! Myślisz, że masz jakiś wybór? — gdy kolejne grupy Weteranów zaczęły opuszczać plażę szeryf zwrócił się do Boruty. — Przynajmniej ty okaż cięń rozsądku.

Boruta zmarszczył czoło, spoglądając na swoich ludzi. W końcu odechtnął i wsadzając ręce do kieszeni, odparł. — Szanuję cię Wilku i szanuję to, co robisz, ale Sojusz Bloków nie weźmie w tym udziału, bo nie musi. Nasze osiedle to twierdza. Mamy mnóstwo ludzi przeszkolonych do walki, a do tego jestem jeszcze ja z moimi zdolnościami. Daniel nigdy nie zgromadzi dość sił, by jednocześnie ochraniać Strefę Głodu i w sposób realny nam zagrozić. Oczywiście samą inicjatywę jak najbardziej popieram. Gdybyście potrzebowali miejsca, żeby odpocząć, zebrać siły, czy nawet uzupełnić trochę zapasów na poczet walki z Danielem, jesteśmy skłonni udostępnić wam to, co mamy.

— To żart? — spytał zirytowany Wilk. — Potrzebujemy ludzi! Nie deklaracji i sprzętu!

— Grobelni cię wspomogą! — wtrącił nagle ich lider. — Pod warunkiem, że zatrzymamy całą broń pokonanego oddziału.

W tym momencie wybuchła kolejna wrzawa, tym razem wśród pozostałych jeszcze Weteranów. — To jakiś żart? On sobie dyktuje warunki? Przecież Grobelni nawet nie mają broni, jak niby chcą pomóc! Mogą co najwyżej robić za tarcze strzelnicze.

Wilk pokręcił głową z niedowierzania, jego błagalne spojrzenie spadło teraz na liderkę Defektu. — A ty, Dix? — spytał, wyraźnie już podłamany.

— Nie, Wilku! — stwierdziła dziewczyna, krzyżując ręce na piersi. — Powiedziała ci już wcześniej, że nie będę narażać swoich ludzi, żeby ktoś mógł siedzieć bezpiecznie w cieniu! Warunkiem przystąpienia Defektu do sprawy, była deklaracja Weteranów, że będą walczyć razem z nami! To, co się tu dzieje, to jest żart! Zieloni odpadli! Sojusz chce się bawić w jakąś niezobowiązującą pomoc, a połowa Weteranów odeszła stąd bez słowa...

— Skoro już o rezygnacjach mowa — wtrącił nagle Kuba. — To Autobus do Wolności jest frakcją NEUTRALNĄ. Praktycznie nie mamy broni i ludzi przeszkolonych do walki, a więc nie weźmiemy w tym udziału...

— A ty akurat najwięcej w tym autobusie jeździsz! — wtrącił nagle kobiecy głos.

Dziki myślał przez chwilę, że Dix postanowiła przygasić nieco Kubę, ale ten krzyk dobiegał z gdzieś znacznie dalej.

Zjawą wyłoniła się, niespodziewanie z tłumu i rozejrzała po zgromadzonych. — Wszyscy wycieracie sobie gęby słowem „Weteran”, bo zabiliście paru bezmózgich Niewykształconych! — warknęła z pogardą. — Prawda jest jednak taka, że jesteście bandą zadufanych w sobie i oderwanych od rzeczywistości tchórzy. Wiecie, co was tak naprawdę przeraża? To, że po

raz pierwszy będziecie musieli z kimś walczyć na równych prawach, że wasza zaszracona broń nie da wam przewagi, a wasze śmieszne tytuły i mundury nie zrobią na nikim wrażenia. Bo oni mają dokładnie taką samą broń, te same śmieszne tytuły i mundury. Ba, być może nawet przy tym są o wiele mądrzejsi od was. Liczycie wszyscy, że to rozejdzie się po kościach, że ktoś inny zakasze za was rękawy i załatwi sprawę. Przez takich jak wy wszyscy zdechniemy pod butem Daniela!

Pers, słysząc to spojrzał na dziewczynę z pogardą na twarzy. — A ty co? Może masz zamiar walczyć? Pieprzona najemniczka, która dupy poza Wspólnotę nie ruszy jak jej Siwy nie sygnie groszem.

Zjawa zrobiła zaciętą minę i odpowiedziała natychmiast. — A żebyś wiedział, że będę walczyć, bo mam w sobie więcej honoru, niż wy, którzy tak dumnie nazywacie się „Krańcową Elitą”.

W tym momencie to Siwy, wtrącił się dziewczynie w słowo. — Nie zagałopuj się tak, moja droga, my nie będziemy brać w tym udziału. Nawet uzbrojony oddział nie ma szans z murami Wspólnoty. Tam nas żadna „ręka” nie dorwie. To problem niezrzeszonych Weteranów.

— Więc jak ty nie chcesz się w to bawić, to zrobię to sama — odpowiedziała dziewczyna.

— Nie będę ci za to płacił! — wykrzyczał Siwy, władczym tonem.

— Więc biorę dożywotni urlop! — przekrzyczała go Zjawa, po czym zwróciła się do Wilka. — Pójdę z tobą i niemową, przeciwko Armii Daniela.

Krzak przygryzł nieco wargę, mówiąc: — Przedstawię sprawę we Wspólnocie, ale wątpię, żeby zgodzili się na jakieś większe wsparcie. Niemniej, sam pójdę z tobą. Mam już też ochotników z naszej starej grupy...

— Moja grupa też dołączy — stwierdził Wiewiór, zbliżając się do Wilka. — Siwy ma poniekąd rację, ręka Olbrzyma to głównie problem niezrzeszonych Weteranów. Więc możemy albo walczyć razem, albo dać się powywieszać pojedynczo.

— Dzięki, Wiewiór... — westchnął Wilk, obserwując rozchodzących się Weteranów. Przez chwilę jego wzrok skupił się na Dzikim, ale Kuba zasłonił go momentalnie. — Kto jeszcze pójdzie?

— Grupa Tęcza jest z tobą — zawołał jakiś długowłosy mężczyzna, zbliżając się pod budkę.

— To i my pójdziemy... — westchnął Dyzio podnosząc rękę jak do odpowiedzi w szkole.

— Na nas już czas, Dzik! — stwierdził Kuba, odrywając go od przyglądania się ochotnikom.

Zrezygnowany Dzik spojrzał jeszcze raz w stronę Wilka. Widząc, jak niewielu ludzi zaoferowało finalnie swoją pomoc, miał poczucie, że sam również powinien się zgłosić. Niemniej, nie mógł po raz kolejny sprzeciwić się

swojemu liderowi. Nie czuł się też na tyle dobrze, by móc reprezentować sobą jakąś realną wartość bojową. — Pójdę tylko pożegnać się z Dix.

— Dobrze, ja mam parę spraw do załatwienia, więc nie wracam do autobusu. Postaraj się nie wpaść więcej w kłopoty — przestrzegł Kuba i ruszył za oddalającymi się Weteranami.

Dziki zbliżył się do dziewczyny, która z założonymi na piersi rękami przyglądała się oddalającym się postaciom.

— Muszę wracać do autobusu. Może chcesz, żeby was podwieźć? — spytał.

Dix uśmiechnęła się i zawisła mu na szyi. — Nie trzeba — stwierdziła, całując go w kark. — Wrócę razem z Krzakiem. Nie chcę, żeby Kuba po raz kolejny miał do ciebie pretensje. Jeszcze powie, że zabierając mnie, znowu się w coś angażujesz... — stwierdziła ironicznie.

— Przestań! To byłaby tylko podwózka — westchnął.

— Nic mi nie będzie, a ty zacznij się przyzwyczajać do pasywności... Może to nawet lepiej, że Kuba jest takim tchórzem. Dzięki temu może nie będziesz miał tyle okazji, żeby pakować się w kłopoty — stwierdziła, próbując znaleźć jakieś plusy tej sytuacji.

Dziki zmarszczył czoło. — Może...

Dix stała jeszcze przez chwilę, mierząc go wzrokiem. — Mam nadzieję, że nie straciłam w twoich oczach przez to, że odmówiłam Wilkowi — stwierdziła, spuszczać głowę. — Po prostu nie mogłabym znieść, gdyby któryś z moich chłopaków zginął, gdy taki Pers albo Kasjo nie kiwnęli nawet palcem.

— Dla mnie to zrozumiałe, albo idą wszyscy, albo każdy martwi się o siebie — powiedział Dziki, ale dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Ty zawsze wyrywasz się przed szereg. Założę się, że gdyby nie Kuba też byś się zgłosił.

— Mam też ludzi z Autobusu na głowie. Obiecałem sobie, że nie będę ich więcej narażał — stwierdził pewnie.

— Bardzo mnie to cieszy — odparła Dix. — To trzymaj się, Dzikusie. Mam nadzieję, że niedługo się spotkamy... — powiedziała na pożegnanie, łącząc się z nim w pocałunku, od którego jego serce mało nie wyskoczyło.

— Ty też uważaj na siebie... i... przemyśl, czy warto... — zawołał, patrząc się na nią znacząco.

Dix odwróciła się i opuściła głowę. — Już ci mówiłam, że muszę zamknąć ten rozdział. Dopiero wtedy będziemy mogli zacząć naszą wspólną drogę, tak jak tego chcę — stwierdziła, zaciskając pięści, po czym ruszyła w stronę Krzaka.

Dziki najpierw odprowadził ją wzrokiem, a potem przyjrzał się ochotnikom stojącym przy budce. Wilk stał teraz pomiędzy nimi, tłumacząc coś. Grupa, która się zebrała nie była zbyt duża. Pewnie nawet mniejsza niż połowa z obecnych na początku zebrania.

Zrezygnowany ruszył w stronę autobusu tą samą drogą, którą przyszedł tu z Kubą.

Szedł brzegiem rzeki otoczony przez niewyobrażalny szum żrącej wody. Jego nos musiał już przywyknąć do wszechobecnego smrodu, bo zapach przesłał mu przeszkadzać i oczy też nie szczypały go, jak wcześniej.

Z ciekawości zbliżył się do Wiślinki, stając prawie na krawędzi brzegu. Sięgnął po lornetkę, by przyjrzeć się budynkom po drugiej stronie. Wszystkie wyglądały na nietknięte. Szyby w oknach były całe, na sznurkach ciągle wisiało pranie wywieszone jeszcze w Starym Świecie. Na podwórzach stały rowery, leżaki i inne rzeczy pozostawione przez ludzi sprzed Błysku. Z jakimś dziwnym podnieceniem dostrzegł nawet stojący przy jednej z posesji samochód sportowy. Przez myśl przyszło mu, że fajnie byłoby przejechać się takim po pustych ulicach.

Opuszczając lornetkę, spojrzał na bulgoczącą złowieszczą rzekę. Zaciekawiony wyszukał grubego patyka, który zamoczył w zielonej wodzie. Gdy tylko kawałek drewna zetknął się z taflą, ciecz zawrzała złowieszczą. Nie minęła nawet sekunda, jak gałązka upaliła się na granicy zetknięcia. — Nieciekawie — westchnął.

Nagle usłyszał, że ktoś biegnie w jego stronę. Nauczony doświadczeniem od razu sięgnął po pistolet, ale nim zdążył go wyciągnąć, zobaczył pięć leczącą w stronę swojej twarzy. Trafiony z zaskoczenia, runął na ziemię, słysząc nad sobą głos Persa.

— Ty to masz pecha. Gdyby moja prawa ręka była sprawna, to leżałbyś już nieprzytomny i nawet nie poczuł, co cię czeka. No, ale jakby to ująć, sam na siebie, ściągnąłeś ten los...

Dziki otrząsnął się, czując przesączającą się przez bandaż krew. Rana na twarzy musiała znowu się otworzyć. — POM... — chciał krzyknąć, ale Pers złapał go zdrową ręką za szyję.

Zrobił to przy tym z taką siłą, że Dzikiego momentalnie zatkało.

Nad swoją głową dostrzegł jeszcze dwie postacie uśmiechające się szyderczo. Spróbował wymacać broń, ale jeden z mężczyzn przycisnął mu stopą dłoń do ziemi.

— Dobra! Czas już, żeby pan Dzikie zniknął raz na zawsze. Do rzeki z nim... — wyszeptał jadowicie Pers. — Szybko, bo jeszcze ktoś tu przylezie.

Dziki poczuł, jak mężczyźni łapią go za nogi i podnoszą do góry. Prerażony zaczął się szarpać i wtedy poczuł jak rana po nożu zaczyna się otwierać. Niemal zadusił się, chcąc krzyknąć z bólu, ale Pers ciągle ścisnął jego gardło.

Ponieważ sam Dzikie miał wolne ręce, spróbował złapać Persa za twarz i wcisnąć mu palce w oczy. Niestety, Weteran odchylił się, unikając ataku. — Ale się rzuca, jebany! Pomóżcie do cholery! Mam tylko jedną sprawną rękę — warknął na swoich kompanów.

Jeden z mężczyzn puścił nogi Dzikiego, który natychmiast wykorzystał okazję i pchnął drugiego ze wszystkich sił. Chociaż oprawca runął na ziemię,

to po tym wyczynie rana po nożu otworzyła się całkiem. Dzikie poczuł jak ciepła krew, zalewa mu spodnie i koszulę, a niewyobrażalny ból zaczął odbierać mu siły. — *Muszę się skupić. Nie dać się słabości... Oni mnie zabiją... Nie mogą zemdleć* — powtarzał w myślach, czując jak jego serce pompowane adrenaliną, mało nie wyskoczy mu z klatki.

W tym czasie mężczyzna podniósł się z ziemi i spróbował jeszcze raz złapać jego nogi. Pokonując ból, Dzikie kopnął go z całej siły w kolano, ponownie obalając.

W tym czasie Pers i drugi z mężczyzn próbowali złapać go od strony pleców. Walcząc z nimi, zaczął pchać ze wszystkich sił, starając się oddalić od rzeki. W końcu udało mu się wyszarpać z uścisku kalekiego Persa. Gwałtownym ruchem obrócił się w stronę jego towarzysza i zaczął napierać z nim, tym razem w przeciwną stronę. W międzyczasie ponownie spróbował krzyknąć, ale jego gardło było tak sfatygowane, że wydarło się z niego tylko chrapliwe i ciche: — Pomocy.

— Nikt ci nie pomoże — syknął jadowicie Pers, jeszcze raz doskakując do Dzikiego.

Łapiąc go od tyłu, próbował jednocześnie uwolnić towarzysza z uścisku. Dzikie wykorzystując okazję, wskoczył na niego plecami i uniesionymi w powietrzu nogami, pchnął mężczyznę w stronę rzeki. Kumpel Persa przewrócił się amortyzując dłońmi, które natychmiast zsunęły się po stromym brzegu, lądując finalnie w Wiślince.

Wrzask, który wydał z siebie mężczyzna, wypełnił całą okolicę. Po chwili jego ręce zaczęły zapadać się coraz głębiej w bulgoczącej wodzie. Drugi z ogonów Persa doskoczył do niego, próbując wyciągnąć go z rzeki. Złapał kompana za bluzę i zaczął ciągnąć go na brzeg. Dzikie dostrzegł, że wyciągnięty mężczyzna miał teraz dwa poczerwiałe kikuty w miejscu rąk. Będąc już cały mokry od krwi, wyslizgnął się Persowi po raz kolejny i z zaskoczenia pchnął ogona stojącego przy rzece. Ten próbując złapać równowagę, wypuścił swojego kompana, którego głowa z pluskiem rąbnęła w taflę wody.

— TO STAMTĄD! — usłyszał jakiś głos w oddali. Iskra nadziei zaświtała mu w głowie. Musiał walczyć jeszcze przez chwilę, zaraz ktoś tu będzie.

Nie zważając na kalekiego Persa, Dzikie ruszył na mężczyznę stojącego przy brzegu. Ten nie dał się jednak zaskoczyć po raz drugi. Uprzedzając atak, chwycił Dzikiego za krwawiące miejsce na brzuchu i prawie wepchnął palce w ranę.

Dzikie pod wpływem niewyobrażalnego bólu, odskoczył do tyłu i wtedy nogi pod nim po prostu się załamały. Stracił już zbyt wiele krwi. Pole widzenia zaczęło mu się zwężać, a całe ciało ogarnęła słabość. Mimo że serce wciąż waliło mu jak szalone, nie miał już nawet siły podnieść ręki.

— Nikomu nie powiesz co się tutaj stało — syknął nad nim ogon Persa, wyciągając pistolet.

Na szczęście dla Dzikiego, nim mężczyzna nacisnął spust, jego dłoń po prostu eksplodowała. Nie był to pierwszy raz, gdy Dziki widział coś takiego. Palce mężczyzny zawisły na skórze wystającej z nadgarstka.

Łapiąc się za krwawiące miejsce, ogon padł na kolana oszołomiony bólem. Po chwili zza pobliskich drzew wypadła grupa ludzi.

— CO TU SIĘ STAŁO!? — ryknął Wilk, doskakując do Dzikiego.

— Pers... — wyszeptał, nie mogąc zmusić swojej nadwerężonej krtani, by powiedzieć coś więcej.

— NIE DAJCIE MU UCIEC! — rozkazał Wilk nadbiegającym Weteranom.

Po chwili Dziki poczuł, jak robi mu się zimno, znał to aż za dobrze. Wiedział, że już dłużej nie utrzyma przytomności.



Rozdział VI

Nocne spotkanie

Nie był to pierwszy raz, gdy po przebudzeniu się Dziki zobaczył nad sobą biały sufit. Przez to miał z początku wrażenie, że ponownie wylądował w szpitalu Wspólnoty. Kiedy jednak przyjrzał mu się uważnie, szybko dostrzegł, że nie był to ten sam sufit, co wcześniej. Niemniej ten też był mu bardzo dobrze znany. Jakimś cudem znalazł się w Wieży Defektu, w dodatku leżał w pokoju Dix.

Już po chwili usłyszał nad sobą głos dziewczyny, która musiała czuwać nad nim, gdy był nieprzytomny. — Dziki... — wyszeptała, kładąc mu dłoń na czole. — Leż, nie podnoś się. Musiałam zrobić ci nowe szwy...

— Co się dzieje? Jak ja się tu dostałem? — spytał, ledwo zbierając myśli. Było mu zimno i słabo, ale nie czuł żadnego bólu. Odrętwienie ciała wskazywało, że był pod działaniem naprawdę mocnych środków przeciwbólowych.

Dix pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. — Przywieźliśmy ci autobusem... — zaczęła tłumaczyć, ale przerwał jej, czując, jak serce mu drży.

— Autobus... Co z Autobusem...?

Dix zrobiła zaciętą minę, ewidentnie hamując w tym momencie wybuch złości. — Nic mu nie jest — odparła chłodno. — Kazałam temu sukinsynowi Kubie pilnować go, dopóki porządnie nie wydobrejesz. Ja nie wiem, co ten kutas sobie myślał. Zostawiać ci samego w takim stanie... Jeszcze, jaki był zdziwiony, że go zdzieliłam w ten głupi ryj. Ja cię chyba po prostu więcej stąd nie wypuszczę...

Słyszając tę groźbę, Dziki uśmiechnął się pod nosem. Dopiero po chwili przypomniał sobie, dlaczego właściwie się tu znalazł. — Co z Persem? — spytał.

— Uciekł — odpowiedziała Dix, ściskając usta. — Ale nim Wilk odstrzelił jego koleżkę, trochę go przycisnęliśmy. Wiemy, już, gdzie mieli kryjówkę. Teraz mam tylko nadzieję, że moi chłopcy znajdą go pierwsi. Kazałam im sprowadzić go żywego... — dodała zawistnie. — Ja tego skurwiela sama utopię żywcem w rzece... — stwierdziła gniewnie, ściskając przy tym koldrę.

— Nie jest tego wart — szepnął Dziki, starając się uspokoić Dix.

Dziewczyna w tym momencie prawie się rozkleiła. Zobaczył, jak do jej oczu nabiegają łzy. Po chwili wytarła je rękawem i powiedziała chłodnym głosem, który zawsze budził w nim lęk. — Chciał mi cię odebrać. Ja nie pozwolę mu żyć... I umrzeć też mu nie pozwolę... Będzie pełzał na kikutach, błagając,

żeby go w końcu zabiła... — mówiąc to chwyciła Dzikiego za dłoń z taką siłą, że ten ledwo powstrzymał się przed jęknięciem z bólu.

— Spokojnie, Dix! On naprawdę nie jest tego wart...

Dziewczyna otrząsnęła się i puszczając jego rękę, zmieniła ton na normalny. — Nie przejmuj się tym. Teraz odpoczywaj. Zaraz przyniosę ci trochę buraków! — dodała, zupełnie zmieniając temat. — Straciłeś dużo krwi. Muszę cię odkarmić, żebyś szybko doszedł do siebie. Po tych słowach ruszyła w dół Wieży, zostawiając Dzikiego w naprawdę kiepskim nastroju.

Za każdym razem, gdy działo się coś podobnego, miał wrażenie, że Dix przestaje być sobą. Jakby w jednym ciele mieszkały dwie zupełnie różne osoby. Musiał przyznać sam przed sobą, ta „zimna” strona dziewczyny wcale mu się nie podobała.

* * *

Tym razem powrót do zdrowia zdawał się Dzikemu trwać w nieskończoność. Przez pierwszy tydzień gojenia się ran, nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Najpierw oprócz bólu zaczęła męczyć go infekcja tak, że przez kilka dni z rzędu zmagił się z gorączką. Dix czuwała nad nim przez cały ten czas, ale zmożony antybiotykami i środkami przeciwbólowymi, nie mógł w żaden sposób cieszyć się jej towarzystwem. Gdy infekcja w końcu minęła, zaczął nabierać sił, ale rana brzucha nie goiła się tak dobrze, jak za pierwszym razem.

Minęło ponad czternaście dni, nim Dziki stanął w końcu na nogi. O powrocie do Autobusu wciąż nie było jednak mowy. Dix postanowiła, że ma odpoczywać jeszcze co najmniej trzy tygodnie, żeby tym razem rany miały szansę dobrze się zagoić.

Co gorsza, dziewczyna nie chciała nawet słyszeć o tym, by Dziki opuścił Wieżę chociaż na chwilę. Sprawilo to, że przez niemal miesiąc uwięziony był w siedzibie Defektu, a jego jedynym oknem na świat były opowieści Mike’a, który przychodził go czasem odwiedzić. Niestety wizyty przyjaciela nie mogły być tak częste, jakby sobie tego życzył.

Mike, oprócz pełnienia obowiązków strażnika bramy, zgłosił się również jako ochotnik do walki z Ręką Olbrzyma. Po skończonej służbie we Wspólnocie, razem z innymi Weteranami patrolował okolice Strefy Głodu. Nie dysponował więc taką ilością wolnego czasu, jak zazwyczaj.

Plusem tej sytuacji było, że gdy mężczyzna odwiedzał w końcu Dzikiego, to nowiny, jakie przynosił o sytuacji w Krańcowie, były wiarygodne i potwierdzone.

Już w drugim tygodniu swojego pobytu w Wieży, Dziki dowiedział się między innymi, że Ręka Olbrzyma powiesiła kolejnego Weterana. Tym razem był to mężczyzna o pseudonimie „Szewc”.

Z opowieści Mike’a wynikało, że był on jednym z tych oportunistów, którzy zignorowali Kod Weterana i nie pojawili się nad rzeką. Mężczyzna przed śmiercią podróżował z dwoma podszywanymi Weteranami, Akwarem i Kozą. Z całej trójki przeżył tylko ten ostatni, który z raną postrzałową, resztkami sił, dotarł pod bramę Wspólnoty.

Przebywający tam Weterani złożyli się na jego pobyt w szpitalu, więc Koza miał szansę dojść do siebie i opowiedzieć, co właściwie się stało.

Z tego, co zdradził, gdy już poczuł się lepiej, wynikało, że Ręka Olbrzyma zaskoczyła ich, kiedy odpoczywali w swojej kryjówce na osiedlu „Różanym”. Koza zarzekał się, że przez cały dzień czuli, jakby ktoś ich obserwował, ale nie spodziewali się ataku ze strony Daniela. Podobno, gdy nad ranem coś wyważyło drzwi ich kryjówki, byli przekonani, że właśnie atakują Niewykształceni. Szewc poderwał się jako pierwszy i momentalnie został obezwładniony. Jego ciało znaleziono potem wiszące na słupie elektrycznym, niedaleko Wspólnoty. Akwar zdołał zabarykadować się w jednym z pokoi, ale zginął trafiony kulą przez okno. Tylko Koza, wykorzystując zamieszanie, uciekł przez podwórze.

Dziki musiał przyznać, że taktyka, którą obrał Daniel, była niezwykle skuteczna. Z tego, co tłumaczył Mike, Ręka Olbrzyma nie atakowała regularnie. Wyruszali o różnych porach, bezpośrednio ze Strefy Głodu i po każdym starciu wracali pędem w okolice H-Marketu, gdzie czekali kilka dni przed kolejnym atakiem.

Było to o tyle skuteczne, że jakakolwiek próba zorganizowanego oporu, zmusiłaby Weteranów do ciągłego trzymania się w większej grupie, narażając się na ataki Niewykształconych. Po kilku dniach walki z krańcowskimi potworami, byłiby na tyle wykończeni, że wypoczęty oddział Olbrzyma miałby nad nimi sporą przewagę.

Co prawda Wilk i zadeklarowani Weterani, w tym również Mike, zbierali się regularnie, próbując napotkać członków Ręki Olbrzyma. Była to jednak ruletka i do tej pory nie udało im się trafić choćby na dzień wymarszu oddziału.

Problem leżał też dużo głębiej. Weterani ochotnicy musieli przecież sami zadbać o swoje wyżywienie czy ogólny stan. Oddział Daniela po każdym starciu wracał w bezpieczne miejsce, gdzie mógł w spokoju zjeść i nabrać sił.

Drugim, być może nawet poważniejszym problemem, był informator Daniela, który krążył gdzieś po Krańcowie. Bezpośrednie ataki na kryjówki Weteranów świadczyły o tym, że „donosiciel” sam musiał być Weteranem albo osobą trzymającą się bezpośrednio w ich środowisku.

Istnienie „Szczura”, jak potocznie mawiano o szpiegu Daniela, miało jeszcze jeden negatywny skutek. Weterani, którzy i tak byli nieszczęśliwie zjednoczeni, podzielili się jeszcze mocniej. Wielu z nich zmieniło swoje kryjówki, przestawało handlować w dużych skupiskach, a w skrajnych przypadkach dochodziło nawet do bratobójczych strzelanin. Ponieważ każdy w każdym widział potencjalnego

„Szczura”, przypadkowe spotkanie na klatce w bloku, mogło być błędnie odebrane, jako próba odkrycia czyjejś bazy i pokierowania w to miejsce Ręki Olbrzyma.

Z tego, co mówił Mike, Wilk pokładał ogromne nadzieje we współpracy ze swoim informatorem, Łajzą. W idealnym scenariuszu mógłby on zawniesić im dać im znać o nadejściu Ręki Olbrzyma. Po nieprzyjemnym incydencie w pizzerii, ten nie odezwał się jednak do tej pory, co dawało do zrozumienia, że swoją zdradę mógł już dawno przypłacić życiem.

Podobnymi historiami Dzikiego raczony był niemal przez cały okres swojej kuracji. Choć nie należały one do najprzyjemniejszych, cieszył się z jednego. Za każdym razem, gdy usłyszał o kolejnym powieszonym Weteranie, wiedział przynajmniej, że przez jakiś czas nic nie grozi mieszkańcom autobusu. Gdy zdarzało się, że Mike nie zaglądał przez kilka dni z rzędu, zaczynały dręczyć go koszmary. W snach widział jakiegoś mężczyznę, wyrzucającego jego ludzi z piętrusa wprost naprzeciw czegoś, co wyglądało jak pluton egzekucyjny.

Ze swoich obaw zwierzył się Dix, ale ta stwierdziła, że Daniel nie przejmując się Autobusem do Wolności, bo wie, że Kuba nie ma odwagi mu się przeciwstawić.

Dla Dzikiego nie było to takie pewne. Wiedział, że Daniel jest mściwy i na pewno nie zapomni o tym, jak Kuba wystawił jego oraz całą „Pierwszą Grupę” w zakładach chemicznych. Co zresztą doprowadziło do wielu przykrych konsekwencji, jak konfliktu Pierwszego z Dix.

Mając dużo czasu na przemyślenia, Dzikiego zastanawiał się, jak zachowałby się Kuba, gdyby jakieś niebezpieczeństwo zagroziło Autobusowi do Wolności. Czy z jego mieszkańcami był zżyty bardziej niż ze swoim dawnym oddziałem? Czy może uznalby, że nie warto dla nich ryzykować i porzucił, jak lata temu, swoich byłych kompanów. Te rozważania, połączone z od dawna gasnącym zaufaniem do mężczyzny, sprawiały, że chciał jak najszybciej wrócić do swoich obowiązków strażnika.

Z ulgą przywitał więc dzień, w którym jego rany w końcu się zabiły, a Dix nie mogła już dłużej znaleźć powodu, by przetrzymywać go w Wieży. Mimo początkowego oporu, udało mu się w końcu przekonać ją, by wezwała Autobus przez radio.

Kuba, który pewnie czuł, że kolejny kontakt z Dix może nie skończyć się dla niego dobrze, nie przyjechał z pozostałymi.

Mieszkańcy autobusu natomiast przyjęli Dzikiego z niewyobrażalną ulgą. Od samego wejścia zmuszony był wysłuchać, jakie to niedogodności znosili, gdy Kuba dbał o ich bezpieczeństwo. Niemną niespodzianką lider zafundował również Dzikiemu. Wyglądało na to, że przez cały miesiąc autobus jeździł praktycznie bez przerwy, robiąc naprawę krótkie postoje. W wyniku tego, prawie wszystkie zapasy były wyjedzone, a baki całkiem puste. Sam autobus zaś zamienił się w śmierdzący chlew, bo w czasie krótkich przerw od jazdy, jego mieszkańcy nie mieli nawet czasu, by zadbać o siebie, czy czystość.

Zmusiło to Dzikiego do natychmiastowego rzucenia się na głęboką wodę i naprawiania wszystkiego, co Kuba zaniedbał. Jako że od ostatniego Błysku minął już ponad miesiąc, najważniejszym było zatankowanie autobusu. Pozostawanie w trakcie potencjalnych przemarszów bez paliwa, byłoby dla nich katastrofą.

Nie mogąc pozwolić sobie na czekanie, Dzikiego postanowił, że tym razem poprosi Dix o pomoc. Na jego szczęście, dziewczyna zareagowała na prośbę bardzo entuzjastycznie. Jeszcze tego samego dnia mieszkańcy autobusu zostali w Wieży, a on razem z małą grupą Defektu, wyruszył po paliwo.

Prowadząc autobus, Dzikiego nigdy nie czuł się tak pewnie. W Starym Świecie nie miał nawet własnego samochodu, a pożyczonym od ojca nie miał okazji jeździć zbyt często. Od czasu zdarzenia ze Spalaczem miał wrażenie, że jego umiejętności jazdy jeszcze się pogorszyły.

Na szczęście, towarzystwo Dix koło przynajmniej cześć jego nerwów. Dziewczyna, która siedziała obok niego, trzymając mu rękę na kolanie, uśmiechała się, jakby zamiast walczyć o zasoby, jechali na zwykłą wycieczkę.

Dzikiego, spoglądając w lusterko, zauważył, że Defektowcy rozsiedli się na końcu autobusu. Być może chcąc dać im trochę prywatności.

— Nie wiem naprawdę, jak mam ci dziękować. Wiem, że ty i Kuba... — zaczął, ale Dix przerwała mu, ściskając go jednocześnie za udo.

— Przestań! Robię to dla ciebie, nie dla Kuby. Poza tym, dzięki temu miałam okazję ukraść ci jeszcze trochę czasu. Jeżeli mogę przy tym zrobić coś dobrego, to tym bardziej się cieszę. Poza tym, tyle razy ci mówiłam, żebyś nie wahał się prosić mnie o pomoc. Kocham cię i wiesz, że zrobiłabym dla ciebie wszystko...

Dzikiego słysząc to, poczuł, że się rumieni. To był chyba pierwszy raz, gdy dziewczyna zadeklarowała się tak otwarcie. Łączące ich uczucie było oczywiste, nigdy jednak wcześniej nie padły te dwa kluczowe słowa. Choć jakiś złośliwy głos w jego głowie wyszeptał natychmiast: „...wszystko, z wyjątkiem porzucenia pogoni za Pierwszym”, nie pozwolił mu jednak przejąć nad sobą kontroli. Zatrzymał autobus, a dziewczyna zeszytniała zaniepokojona. — Stało się coś? — spytała natychmiast.

Dzikiego nie odpowiedział, dotknął delikatnie jej twarzy i przysuwając się wyszeptał: — Ja ciebie też, Dix. — Po tych słowach, nie zważając na Defektowców siedzących z tyłu, pocałowali się.

Gdy autobus ruszył w dalszą drogę, cała złość, jaką Dzikiego czuł w stosunku do Kuby, nagle się rozplynęła. Nawet jeżeli za chwilę miał ryzykować życie, tankując paliwo na stacji pełnej Niewyksztalconych, to ta chwila z Dix była tego warta.

Dzikiego nie pomylił się jednak w swoich przewidywaniach. Gdy podjechał już pod stację, z której autobus czerpał paliwo, okazało się, że cały plac jest pełen Niewyksztalconych zwanych „Wielopsami”.

Wielopsy były pierwszymi zwierzęcymi Niewyksztalconymi, z którymi Dzikiego miał okazję spotkać się w Nowym Świecie. Błysk pozmieniał zwykle kun-

dle w karykaturalne zlepcy, z których każdy potrafił mieć po kilkanaście par łap, ogonów czy głów. U co groźniejszych i większych osobników, dodatkowe głowy, niczym u cerbera, potrafiły być sprawne i agresywne.

Na szczęście dla mieszkańców autobusu, wataha psów biegła po całej okolicy i bardzo często zdarzało się, że gdy przyjeżdżali tankować, stacja była opustoszała.

Tym razem jednak nie mieli tyle szczęścia, a nie mogli też pozwolić sobie na czekanie.

— Długo trwa zanim gdzieś pójda? — spytała Dix, odkładając lornetkę, przez którą obserwowała stację.

— Trudno mi powiedzieć — westchnął Dziki. — Zaglądamy tu regularnie. Jeśli akurat odpoczywają, wracamy następnego dnia. Wtedy na ogół już ich nie ma.

Dix przygryzła nerwowo wargę. — Moglibyście zostać do jutra w Wieży. Starczyłoby paliwa na jeszcze jeden kurs tutaj?

Dziki przyjrzał się kontrolkom. Pomarańczowy wskaźnik rezerwy palił się już od momentu, gdy autobus wyjechał spod bazy Defektu. — Trudno mi powiedzieć — stwierdził.

Dix przegarnęła włosy i uśmiechnęła się do Dzikiego. — Tak naprawdę nie sądzę, żeby te psy były dla nas jakimś zagrożeniem. Liczyłam po prostu, że uda mi się ukraść dla nas jeszcze trochę czasu. Ale widzę już po tobie, że zaczynasz się denerwować.

Dziki złapał rękę dziewczyny, szepcząc: — Posłuchaj, z przyjemnością zostałbym jeszcze jeden dzień, kilka dni, całe życie, ale nie mogę zwalić ci takiej gromady na głowę. Twój towarzysz nie przyciągają Niewykształconych. Mieszkańcy Autobusu już tak. Pod Wspólnotę każdego dnia zacierają ślady tych pokrak. Gdy w Wieży będą moi ludzie, część przyjdzie do was. Gdyby komuś z twojej grupy stało się przez to coś złego, nie darowałbym sobie.

Dix uśmiechnęła się, spoglądając mu w oczy. — Dobry z ciebie chłopak, Dziki. Zbyt dobry do tego świata. W takim układzie nie będziemy zwlekać, pozbadzmy się tych kundli. — Dziewczyna bez chwili zwłoki wezwała swoich kompanów i rzuciła propozycję planu. — Tak myślę, że wjedziemy autobusem w sam środek stacji i ostrzelamy je z okien. Nie będziemy w ten sposób niepotrzebnie ryzykować. Blachy przecież nie przegryzą...

Dziki przystał na pomysł i już po chwili autobus wtoczył się na plac. Defektowcy, z których większość była dawnymi Weteranami strzelali bardzo celnie. Oczyszczenie placu zajęło im raptem kilka minut. Część Wielopsów, widząc, że ich stado właściwie przestało istnieć, uciekło gdzieś w popłochu. Dzięki temu mogli w miarę bezpiecznie rozstawić ręczną pompę i zacząć tankowanie.

Z pełnymi bakami, Dziki mógł na spokojnie myśleć o innych rzeczach zostawionych mu przez Kubę na głowie. Postanowił jednak nie angażować w to więcej Defektu, który już i tak oddał mu sporą przysługę. O ile sama Dix

pewnie nie miałyby nic przeciwko pomaganiu mu dalej, to nie chciał nadużywać cierpliwości jej ludzi.

Gdy ekipa z autobusu pakowała się z powrotem do swojego domu na kołach, miał jeszcze chwilę, by pożegnać się z Dix. Dziewczyna odciągnęła go na bok, tak by nikt z Autobusu nie mógł ich podsłuchać i wyszeptala mu do ucha: — Mam nadzieję, że kiedy następnym razem się spotkamy, będziesz w lepszym stanie. Nie, żeby przeszkadzało mi opiekowanie się tobą, ale miałam nadzieję, że może następnym razem moglibyśmy w końcu...

Słyszając jej słowa, Dziki poczuł, jak robi mu się gorąco, a kolor jego twarzy zmienia na szkarłatny. — Muszę więc dbać o siebie — odpowiedział, czując, że zaraz dostanie arytmii.

— Liczę na to — odparła dziewczyna, łapiąc go za rękę za mankiety kurtki. — Pamiętaj, że ja cię tylko wypożyczyłam Autobusowi! Jesteś już oficjalnie mój!

— Nie śmiałbym być niczyj więcej — odpowiedział, a Dix jeszcze raz go pocałowała, po czym dodała: — Pamiętaj, by dawać znać przez radio. Chcę wiedzieć, że wszystko u was w porządku.

Dziki stanął w końcu na stopniach autobusu, machając dziewczynie na pożegnanie. — Wiesz, że jeśli zrezygnujesz ze swojej pogoni, wrócę tu już na stałe? — zawołał.

— Jeszcze trochę... — odparła dziewczyna, spoglądając w ziemię.

Po skończonym pożegnaniu, Dziki kazał Jankowi udać się w okolice Lasu Ludzi. Miał ku temu kilka powodów. Po pierwsze, było to miejsce najbardziej oddalone od Strefy Głodu, były więc naprawdę znikome szanse, że Ręka Olbrzyma dotrze aż tam w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Po drugie, Dziki chciał sprawdzić w praktyce nowo poznaną wiedzę i przekonać się, czy tak rozległy błąd, jak Las Ludzi zaburzy prawo trzech. Miał cichą nadzieję, że skryci w jego cieniu nie będą przyciągać Niewykształconych, co dałoby im szansę na przespanie przynajmniej kilku spokojnych nocy. Był jeszcze trzeci i prawdopodobnie najważniejszy powód. Miał nadzieję, że zapasy ukryte przez Pierwszego w budynku przy Lesie Ludzi pozostały nietknięte. Istniała spora szansa, że mógł on bać się powrotu do już raz spalonej kryjówki. A nawet jeśli skrytka okazałaby się pusta, w okolicy było jeszcze sporo innych budynków, które można by przeszukać.

Na jego szczęście, gdy przybyli na miejsce, okazało się, że schowek pod podłogą wciąż pełen był zapasów. Biorąc do pomocy Bociana i Korka, przeniósł jego zawartość do autobusu. Nie było tego zatrważająco dużo, ale przy rozsądnym dysponowaniu, mogło zapewnić im dwa dni spokoju. Dziki nie chciał jednak marnować czasu.

Po oczyszczeniu kryjówki Pierwszego, kazał Jankowi zaparkować autobus za szkołą podstawową im. Kopernika. Był to największy budynek znajdu-

jący się w pobliżu granicy miasta, więc skryty za nim piętrus nie rzucał się tak w oczy. Następnie ustawiając Korka i Klucza jako strażników, zakazał opuszczać pojazd do swojego powrotu i w razie czego natychmiast uciekać. Sam udał się na szaber pobliskich budynków, by dodatkowo uzupełnić zapasy.

Po pierwszych kilku godzinach bezskutecznych poszukiwań, udało mu się w końcu znaleźć parę nietkniętych domów, z których przytargał, co tylko mógł, nim nadszedł wieczór.

* * *

Pierwsza noc przy Lesie Ludzi okazała się dla Autobusu naprawdę miłą. Dziki, mimo że miał już sporo dowodów na skuteczne działanie granicy miasta jako osłony przed prawem trzech, nie chciał ryzykować bez potrzeby. Postanowił nie wyłączać silnika przez całą noc, by w razie czego natychmiast uciekać od potencjalnego zagrożenia.

Miało to bardzo przyjemny skutek uboczny, ponieważ mieszkańcy nie musieli martwić się o zużycie postojowej baterii, mogli korzystać z zasilania pojazdu właściwie bez ograniczeń. Na początek zasłonili większość okien i rozpalili podsufitowe lampy tak, że piętrus stał się nagle o wiele przytulniejszy. Dziki ustawił ogrzewanie na maksimum, więc w środku zrobiło się tak przyjemnie ciepło, jak chyba jeszcze żadnej nocy. Gdy mieszkańcy szli po kolei trochę „odświeżyć” się na piętro, nikt nie płakał tym razem, że na górze można zamarznąć.

Dla uczczenia końca „Katorgi Strażnika Kuby”, jak mieszkańcy określili okres podróży pod opieką swojego lidera, Klucz uruchomił nawet zamontowany w pojeździe ekspres do kawy. Zwykle stał on nieużywany, bo w czasie jazdy nie można było go odpalać, a na postoju strasznie drenował i tak już wyeksploatowane baterie. Przy pracującym silniku nie miało to jednak znaczenia.

Finałem wieczoru okazał się seans filmowy na laptopie Edka, którego mieszkańcy przywiesili na środku busa i oglądali z siedzeń, tworząc namiastkę kina.

Dziki niestety nie mógł w tej zabawie uczestniczyć, bo wciąż ktoś musiał mieć oko na to, co dzieło się na zewnątrz. Ustawił się więc na ciemnym piętrze i z kawą w ręku przechadzał się między uchylonymi oknami, niczym wartownik na wieży strażniczej.

Chociaż nie było mu dane obejrzeć filmu z pozostałymi i tak odczuwał ogromną satysfakcję z tego, że mógł chociaż trochę poprawić nastrój swoich podopiecznych. — *Do tego ta kawa jest po prostu pyszna* — pomyślał, siorbiąc z filiżanki sygnowanej logiem ich piętusa.

Seans na dole musiał się właśnie skończyć, bo zamiast lektora, Dziki usłyszał, jak mieszkańcy zaczynają ze sobą rozmawiać. Nie musiał też dłu-

go czekać na pierwsze odwiedziny. Oli wkradła się na piętro i najwidoczniej chciała go wystraszyć albo wyciąć jakiś inny numer.

Ponieważ się tego spodziewał, natychmiast odwrócił się w jej stronę, nie dając pola do popisu. — Jak tam? — spytał dziewczynę, a ta uśmiechnęła się głupkowato.

— Teraz już dobrze! — stwierdziła i podskakując rażno wepchnęła się do okna, przy którym stał Dziki. — Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że w końcu wróciłeś.

Dziki nawet nie próbował kryć uśmiechu. — Też mi już was brakowało — stwierdził pewnie. — Myślałem, że się zanudzę w tej Wieży.

— Dix nie dotrzymywała ci towarzystwa? — spytała zdziwiona Oli, ale Dziki zaprzeczył.

— Była przy mnie tak często, jak mogła, ale oprócz mnie miała na głowie cały Defekt.

Oli wyjrzała przez okno i odetchnęła chłodnym powietrzem z zewnątrz. Jej mina nagle mocno się zmieniła. Dziki wiedział, że podobnie do niego, nie umie kryć w sobie emocji, dlatego spytał natychmiast: — Co cię martwi?

— Kuba nie chciał, żebyś wracał — odparła dziewczyna. — Przez cały czas, gdy ciebie z nami nie było, szukał zastępcy na twoje miejsce.

Dziki poczuł nieprzyjemny skurcz w okolicy brzucha. — Jak mniemam, nie udało mu się...

— Na szczęście nie... — odparła Oli, ale wciąż wyglądała na mocno zmartwioną. — Nie chcę innego strażnika. Zresztą nie tylko ja. Większość chciała, żebyś wrócił...

Dziki poczuł się przyjemnie polechtany słowami dziewczyny. Niemniej natychmiast zbagatelizował jej zapewnienia. — Mówią tak, bo Kuba zapewnił wam kilka tygodni piekła...

Oli zaśmiała się niespodziewanie. — Pamiętasz, jak po walce z Dziadem stwierdziłeś, że cztery dni w piętusie to dla nas piekło? Porównaj teraz podejście swoje i Kuby. Bałam się już czasem, że jak twój powrót do zdrowia się przeciągnie, to wszyscy umrzemy tu w wyniku zasmrodzenia.

Dziki pokręcił głową. — Odrobina swobody jest potrzebna. Tak, Krańcowo jest niebezpieczne, ale nie można przeginać w żadną stronę. Ludzie muszą się też pobawić i odpocząć. Inaczej wszyscy byśmy poszaleli.

— I właśnie w tym rzecz! — wtrąciła Oli. — Od śmierci... Od śmierci Brissa, jesteś pierwszą osobą, która to rozumie. Nie licząc pobytu we Wspólnocie, nie pamiętam, kiedy ostatni raz mieliśmy w Autobusie tak miły wieczór.

W tym momencie Dzikiego złapała pewna zgryzota. Uważał Oli za swoją przyjaciółkę, ale wbrew pozorom nie rozmawiali zbyt wiele o przeszłości. Ani o tej w Starym, ani o tej w Nowym Świecie. Przeważnie żartowali albo skupiali się na bieżących problemach. Jak na kogoś, kogo tak bardzo cenił, wiedział o tej dziewczynie naprawdę niewiele i było mu z tego

powodu wstyd. Zastanawiał się, czy był to dobry moment, by w końcu poruszyć jakiś trudniejszy temat.

Spoglądając w okno, zebrał się w końcu by spytać o Brissa, chociaż przyszło mu to znacznie ciężiej niż myślał. — Prawie nigdy nie mówisz o swoim bracie... — Dziki niemal natychmiast zobaczył, że twarz dziewczyny spochmurniała. — Przepraszam, jeśli to zły moment, ja...

— Nie... jest ok — przerwała mu Oli, ale wbrew swoim słowom, usiadła na podłodze pod oknem, wyraźnie smutniejsza. — Po prostu wciąż nie pogodziłam się... nie potrafię się pogodzić... — wytłumaczyła łamiącym się głosem.

— Byliście sobie bliscy? — spytał, Dziki.

— Prawie w ogóle... — odparła niespodziewanie Oli, chowając głowę w kolanach. — Tak naprawdę w Starym Świecie nienawidziłam go i wciąż mi za to wstyd...

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przyklękając obok dziewczyny spytał. — Ale dlaczego?

Oli popatrzyła na niego wilgotnymi oczami. — Wiesz, Dziki, ja w Starym Świecie nie do końca byłam takim grzecznym dzieckiem... — mówiąc to, zaczęła z nerwów skubać końcówki włosów. — Większość lat szkolnych spędziłam pijąc wino w parku przed szkołą muzyczną. Byłam głupią nastolatką, zafascynowaną ideą „live short and hard”. A Bartek? On był zupełnie inny, poukładany i z pomysłem na siebie. Do tego próbował grać rolę mojego opiekuna. Wyprowadzić na prostą. Ciągłe zwracał mi uwagę, że marnuję czas z „ludzkimi śmieciami”, jak określał moich znajomych.

Dziki skinął głową, nie przerywając wywodu dziewczyny. Bardzo chciał, żeby w końcu się przed nim otworzyła i wyrzuciła to, co leżało jej na sercu. Oli przestała w końcu skubać włosy i wróciła do swojej opowieści. — Briss był starszy o cztery lata. Gdy skończył szkołę i został zawodowym żołnierzem, myślałam, że w końcu się od niego uwolnię. Ponieważ w akademii był prymusem, zaproponowali mu dołączenie do jednostki reprezentacyjnej w Gdyni, ale odmówił i został w Krańcowie. Byłam wściekła! Uważałam, że robi to specjalnie, żeby mnie kontrolować. Jeszcze bardziej rozwścieczył mnie, gdy pobił mojego pierwszego chłopaka i zakazał mu się do mnie zbliżać. Jak się to rozeszło po Krańcowie, to nikt nawet nie próbował się więcej ze mną umawiać.

Dziki nie wiedział co ma powiedzieć. Nie domyślał się wcześniej, że między rodzeństwem było tyle złej krwi. Nie wtrącał się jednak, czekając na dalszą część tej opowieści.

— Wiesz, że nawet Błysk złapał nas w trakcie kłótni? — spytała retorycznie. — Próbował powstrzymać mnie przed wyjazdem na festiwal rockowy w Janowie...

— Co się potem zmieniło? — spytał w końcu Dziki.

— Nowy Świat otworzył mi oczy — odparła Oli. — Pozwolił spojrzeć na wszystko z dystansem. Dał szansę zrozumieć, że Briss chciał tylko mnie chronić. Chronić przed pułapką, którą sama na siebie zastawiałam. Pociągali

mnie „zli” chłopcy, a ja głupia szybko się zakochałam. Gdyby nie on i jego „interwencje” pewnie skończyłabym, jako żona ćpuna, którego największym osiągnięciem była kradzież harmonijki ze sklepu.

— Przesadzasz... — wtrącił Dziki, a Oli uśmiechnęła się zaczerwieniona.

— Może... — westchnęła dziewczyna. — A może nie... — dodała po chwili. — A mówiąc dalej o Brissie, to właśnie tutaj zaczęliśmy się dogadywać. Rozmawiać ze sobą szczerze, tak jak powinniśmy od początku — nagle oczy Oli ponownie zaszyły łzami. — Ale najgorsze jest w tym wszystkim to, że gdy w końcu się wzajemnie odzyskaliśmy, na nowo staliśmy rodziną... straciłam go... straciłam go bezpowrotnie.

W tym momencie Oli rozkleiła się już całkiem. Dziki przyklękł obok pozwalając jej wypłakać się na swoim ramieniu. Wiedział, że nic nie zastąpi dziewczynie straconego brata, ale z jakiegoś powodu miał wrażenie, że dziewczyna traktuje go trochę, jak jego następcę. Za żadne skarby nie chciał jej zawieść. Nie chciał, żeby straciła kogoś jeszcze. Bez względu na wszystko musiał zadbać o nią i dom, który tutaj tworzyli.

* * *

Dziki spędził na piętrze praktycznie całą noc, obserwując okolicę.

Gdy Oli poszła spać, na jej miejsce pojawił się Korek, który opojony kawą zadreślał go aż do rana. Dziki, między innymi, zmuszony był kilka razy przetrwać starcie z Persem. Chłopak położył się spać dopiero o piątej, zostawiając w końcu Dzikiego samego.

Ten, mimo niewyspania, był w naprawdę dobrym humorze. Autobus przestał większą część dnia i praktycznie całą noc w jednym miejscu, a mimo to nie pojawił się przy nim nawet jeden Potłuk. Dziki był już niemal pewien, że Las Ludzi w pełni blokuje prawo trzech. Dodatkowo, prawie nie było możliwości, żeby ktoś z Armii Daniela pofatygował się tak daleko. Postanowił więc, że zostaną w tym miejscu na dłużej, a po rozmowie z Oli uznał, że nawet pozwolą sobie na trochę więcej swobody niż zazwyczaj.

Na początek poczekał, aż Janek w końcu się obudzi, by pozostawić go na warcie. Potem udał się do szkoły, obok której się zatrzymali. Przeszukując budynek, odnalazł kilku Gospodarzy zamkniętych w klasach, ale poradził sobie z nimi bez większego problemu. Gdy upewnił się, że nic więcej nie czai się w zakamarkach szkoły, zebrał swoją nieco zdziwioną gromadę w sali gimnastycznej, oznajmiając, że rozbijają tu tymczasowy obóz.

Pomysł z początku spotkał się z mieszanymi odczuciami, ale bardzo szybko zyskał pełną aprobatę. Okazało się bowiem, że w budynku szkoły można urządzić się w naprawdę przyjemny sposób. Porozkładane na ziemi mate-

race do taekwondo doskonale zastępowały łóżka. Szatnia, która znajdowała się obok sali gimnastycznej, dawała dziewczynom tak upragnioną prywatność, a łazienki i prysznice, choć bez bieżącej wody, znacznie ułatwiały „załatwianie” pewnych spraw. Na polecenie Dzikiego, Klucz razem z Kryspinem przytargali dodatkowo kuchnię gazową ze stołówki oraz kilka ławek. Dzięki temu mogli w końcu zjeść coś ciepłego, w przyzwoitych warunkach.

Dziki razem z Jankiem wykorzystali fakt, że autobus po raz pierwszy od dawna był całkiem pusty i wysprzątał go na błysk. Następnie ustawili go równolegle z salą gimnastyczną, tak by drzwi na boisko wychodziły idealnie na wejście do piętusa. Miało to zapewnić im możliwość szybkiej ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba. Na szczęście, nic nie wskazywało na to, że taka potrzeba w ogóle zajdzie.

Mijały kolejne godziny, a żadnego Niewykszałconego dalej nie widzieli. Uradowani mieszkańcy zrobili w końcu pranie, odpoczęli, umyli się porządnie, a finalnie zaczęli zajmować się różnymi odprężającymi zajęciami. Weronika razem z Laurą i Beatą, wyciągnęły od dawna nieużywane kosmetyki i zorganizowały sobie chwilę dla urody. Krystian poszedł na koniec sali i ku przerażeniu Dzikiego, zaczął wykrobywać nożem wizerunki czaszek na ścianach. Janek wykorzystał chwilę i wziął się z pomocą Oli za poprawianie swoich dredów, a reszta chłopaków rozłożyła się na materacu, grając w makao.

Sam Dziki położył się w końcu na trochę, prosząc wcześniej Edka, by ten postął za niego na warcie. Jego drzemka nie trwała jednak zbyt długo, bo w sali było po prostu za głośno. Zbudzony salwami śmiechu, dał sobie spokój ze spaniem i dołączył do grających kompanów.

— Makao! — wykrzyknął radośnie Korek, demonstrując ostatnią kartę jaka została mu w ręku.

— Król Wino! Bierzesz pięć, Korek — rzucił złośliwie Smalec, a zrozpaczony chłopak zaczął dobierać karty.

Klucz, który już dawno zszedł ze swoich kart i przyglądał się teraz rozgrywce, spytał od niechcienia: — To jest bardzo przyjemne i spokojne miejsce. Zastanawiam się, czemu Kuba nie brał go pod uwagę przy ustalaniu trasy...?

— Może bał się Pierwszego? — odpowiedział Dziki, dobierając kartę.

Była to dla niego jedyna sensowna odpowiedź. Nie spodziewał się jednak, jak elektryzująco wpłynie ona na pozostałych. W ciągu kilku sekund przy materacu zgromadzili się praktycznie wszyscy i raczej nikt nie przyszedł popatrzeć na grę.

— A co Pierwszy ma z tym wspólnego? — furknął natychmiast Smalec, łypiąc podejrzliwie na Dzikiego.

Członkowie Autobusu niemal wstrzymali oddech, czekając na wyjaśnienia. Zaskoczony Dziki, dopiero po chwili zrozumiał, skąd wzięło się to poruszenie. Znał Pierwszego osobiście i traktował go trochę bardziej jak człowieka, ale dla pozostałych musiała to być postać właściwie legendarna.

— Te zapasy, które przyniosłem, pochodzą w większości z jego kryjówek — odpowiedział w końcu, bez wdawania się w szczegóły. — Pokazał mi to miejsce, gdy podróżowaliśmy razem. Dlatego wiedziałem, gdzie ich szukać...

Słyszając to, Smalec zakwiczał prawie jak prosię. — Zabrałeś zapasy Pierwszego?!

— No tak, ale on już tu nie wróci. Defekt zna tę kryjówkę, więc... — próbował się wytłumaczyć, ale do rozmowy wtrąciła się Oli.

— Tu nie chodzi o to, że nie wróci. Krąży taka pogłoska, że jeśli zabierzesz coś, co należy do Pierwszego, to ściągniesz na siebie zemstę Krańcową. Pierwszy to jego pierworodny syn i Nowy Świat ma dla niego specjalne względy... — stwierdziła tajemniczym głosem.

Dziki popatrzył na nią, ledwo powstrzymując się od śmiechu. — Mówisz tak, jakby nasze miasto było jakimś inteligentnym bytem.

Oli zaczerwieniła się lekko. — Ja nie mówię, że tak jest. Tylko że krąży taka legenda...

— Mi się wydaje, że może to być przynajmniej częściowa prawda — wtrącił Krystian, jak zawsze rozbudzając dookoła siebie „dziwną” atmosferę. — Nie musi być koniecznie „świadomym” bytem, bo pewnie o to określenie chodziło ci, Dziki, ale może być demonicznym limbo, reagującym na to, co dzieje się w jego wnętrzu. Pierwszy był tu pierwszy i pozostawił w tej sferze największy odcisk swojego jestestwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby...

— Boże, Kryspin! — prawie krzyknął Green, przerywając wywód chłopaka. — Pierwszy pewnie sam rozpuścił taką pogłoskę, żeby ludzie bali się ruszać jego rzeczy. Przestań dopisywać do tego jakiś bezsensowny mistycyzm...

— Bezsensowny mistycyzm? — spytał kpiąco Kryspin. — Gdzie żyjesz, Green? W normalnym świecie? Siedzisz teraz w normalnej szkole? Jaka może być odpowiedź na to, co nas otacza, jeśli nie jest to demoniczne limbo, będące jedynie odbiciem naszego świata?

Ten argument nieco wytrącił Greena z równowagi i Dziki wcale nie był tym zaskoczony. Ścisłe umysły, jak on, miały naprawdę duży problem z akceptacją Nowego Świata. Z kolei Kryspin, który był znacznie bardziej „uduchowiony”, po prostu dopisał własną mitologię do tego, czego nie był w stanie zrozumieć.

Green był jednak zbyt dumny, aby pozwolić na to, żeby to Krystian miał ostatnie słowo. — Jestem pewien, że wszystko, co się tu dzieje, można wyjaśnić w jakiś naukowy sposób. Po prostu na obecną chwilę nie posiadamy odpowiedniej technologii i...

— A ja nie jestem nawet pewien, czy żyjemy — wtrącił smętnie Krystian. — Może światło, które zobaczyliśmy to był ten legendarny tunel? Może wszyscy tkwimy nieświadomi w zaświatach...

Dziki zobaczył, jak po słowach chłopaka do oczu Beaty nabiegają łzy, a Laura wciska się w nią przestraszona. Nawet Oli wyraźnie posmutniała,

przez co postanowił natychmiast zakończyć tę dyskusję. Ale nim zdążył coś powiedzieć, Kluczek mruknął:

— Żyjemy... Bo umieramy. Poza tym jemy, sramy i ten stolec czujemy. Zapomniałeś, jak jebało w autobusie? Tak chyba nie wygląda śmierć.

Krystian był gotów spierać się o to dalej, ale tym razem Dziki nie pozwolił mu dojść do słowa. — Dobra, dajmy temu spokój! Odkrycie, jak powstał Nowy Świat, przerasta na ten moment każdego z nas. Mamy masę problemów, na które mamy wpływ i na nich się skupmy. Na przykład, jak poprawić sobie byt w autobusie i nie wpędzać się więcej w PSK.

Słyszając to, część zgromadzonych parsknęła, ale Smalec wtrącił oburzony, zerkając gniewnie na Dzikiego. — Na początek dobrze byłoby nie narażać się kolejnym organizacjom — stwierdził sarkastycznie. — Po coś ty się w ogóle łądował w tę sprawę z Wilkiem?

— Bo uznałem, że tak powinienem — odparł Dziki. — Liczyłem, że uda się to załatwić po cichu. Nie spodziewałem się, że to się skończy w ten sposób — próbował się wytłumaczyć, ale Smalec nie miał zamiaru mu odpuścić.

— Więc trzeba było pomyśleć o nas! Że jesteśmy pod twoją opieką i twoje decyzje zagrażają też nam!

— A może tak jeźdź z Dzikiego, co?! — wyskoczyła nagle Weronika, miażdżąc spojrzeniem Smalca.

Natychmiast zawtórowała jej Oli. — No właśnie. Sam krzyczałeś najgłośniej, że masz już dość tego, jaki Kuba jest ostrożny. Potrafisz tylko żreć i marudzić!

Smalec zaczerwienił się lekko, szepcząc coś, że nie to miał na myśli, ale dziewczyny nie dały mu już spokoju.

— Każdy próbuje tutaj coś robić — warknęła Weronika. — Rozstawia namioty, sprząta, gotuje. Nawet Korek nauczył się prowadzić autobus i wymienia Janka by mógł odpocząć. A ty tylko siedzisz i czekasz na gotowe. — Po tej reprimendzie, zerknęła niepewnie w stronę Dzikiego.

Smalec nie miał jednak zamiaru poddać się bez walki, zakładając ręce na pierś odfuknął natychmiast. — Bo ja tu jestem od innych rzeczy! Zapewniam bezpieczeństwo.

Jego słowa jeszcze bardziej rozjuszyły obie dziewczyny i Weronika niemal natychmiast zaczęła punktować nierozsądnego chłopaka. — A kiedy ostatnio to bezpieczeństwo zapewniłeś? Kiedy dopingowałeś Dzikiego przez okno, jak walczył z Dziadem? Czy na tych wartach, których jeszcze nigdy nie wzięłeś?

— Dokładnie! Najłatwiej siedzieć na tłustej dupie i komentować decyzje innych — wtrąciła Oli.

— DOŚĆ! — przerwał Dziki.

Chociaż w wielu względach zgadzał się z opinią dziewczyn, to ostatnią rzeczą jakiej potrzebował, był otwarty konflikt w jego grupie. — Posłuchajcie mnie, nie ma sensu się kłócić. Zasady są jasne. Każdy ma robić

tyle, ile jest w stanie i o nic więcej was nie proszę. A co do moich decyzji, rzeczywiście nie zawsze były słuszne i muszę przyznać, że powinienem wziąć szerszy aspekt pod uwagę, gdy zdecydowałem się jechać z Wilkiem. Co się stało, to się nie odstanie i teraz muszę się skupić, byśmy nie odczuli konsekwencji tego, co zrobiłem... — powiedział, chcąc zakończyć kłótnie, ale w słowo weszła mu Weronika.

— Jesteś dla siebie zbyt krytyczny... — stwierdziła, wpatrując się w niego nieco zbyt długo, by można to było uznać za normalne.

Speszony odwrócił wzrok w stronę drzwi. — Dobra, idę coś zjeść, a potem zmienię Edka na nocnej warcie...

— A dlaczego ty? — spytała natychmiast Oli. — Czemu Smalec nie pójdzie!? Przecież on tu dba o bezpieczeństwo — stwierdziła, zerkając złośliwie w stronę otyłego jegomościa, a chłopak aż poczerwieniał, spostrzegając w jaką pułapkę się wpakował.

Chociaż Dziki z ochotą wysłałby Smalca na wszystkie nocne warty, był ważny powód, dla którego tego nie robił. Smalec był duchowym bratem Pietrasa ze Wspólnoty. Podobnie jak on, potrafił zasnąć niemal w każdych warunkach. Sen miał przy tym tak twardy, że nie przeszkadzał mu ani warkot autobusu, ani rozmowy ludzi dookoła. Ba, raz udało mu się nawet prześpać moment, gdy Green po zbyt gwałtownym hamowaniu spadł z półpiętra, zrzucając mu na głowę książkę, którą czytał. Wysłanie kogoś takiego by ich pilnował, byłoby szaleństwem.

Smalec musiał jednak unieść się honorem, bo podrywając się z miejsca, ryknął: — Dobra, widzę, co się tu odgrywa! Idę na wartę i biorę energetyk! Zobaczycie jeszcze — stwierdził i zabierając Korkowi puszkę spod nóg, ruszył na zewnątrz, ledwo przeciskając się w szparze między autobusem, a wyjściem.

Dziki pokręcił głową. Nie do końca podobał mu się ten pomysł, ale Oli popatrzyła w jego stronę wyraźnie zadowolona. — Niech chociaż raz się na coś przyda — stwierdziła z uśmiechem.

Dziki skinął na nią głową, by przeszli się w głąb sali do rozstawionych stołów. Biorąc z kuchenki gazowej garnek odgrzanego bigosu z puszką, usiadł na jednym z krzeseł i nałożył sobie sporą porcję na talerz. — Wiesz, dziękuję za wsparcie, ale jest pewien powód, dla którego nie wysyłam go na warty. Ja mu po prostu nie ufam — wyszeptał, zaczynając posiłek.

Oli nachyliła się i również wyszeptała: — Ja wiem, ale tutaj nic nas nie atakuje, prawda? Mówiłeś, że Las Ludzi blokuje prawo trzech, więc dlaczego ty masz się męczyć na bezsensownej warcie?

Dzikiego wcale jednak to nie uspokoiło. — Tu nie chodzi tylko o Niewykształconych Oli, są jeszcze ludzie.

— Daj spokój, kto będzie się włóczył w nocy po tej stronie Krańcowo? — odparła dziewczyna, rozciągając się na krześle.

Dziki pokiwał głową, udając, że zgadza się z tym co powiedziała, ale i tak miał zamiar zmienić Smalca, kiedy już wszyscy pójdą spać. Nie miał zamiaru powierzać ich bezpieczeństwa komuś, kto był o krok od narkolepsji.

— Powiedz, Smalec podpadł czymś Weronice, że tak na niego naskoczyła? — spytał zmieniając temat. — Normalnie, to taka cicha dziewczyna...

Oli zaczerwieniła się, robiąc minę, po której Dziki od razu poznał, że będzie kręcić. — Oj, wiesz, on wszystkim podpada... — powiedziała, błędząc gdzieś wzrokiem.

— Oli? Coś ukrywasz, prawda?

— Oj, no bo ja obiecałam, że nie powiem... — stwierdziła nagle, zerkając znacząco na Dzikiego.

Ten, gdy tylko uświadomił sobie o co chodzi, zakrztusił się jedzeniem. — Nie! Od kiedy? — spytał przerażony.

— Od momentu, kiedy swojej pierwszej nocy wyciągnęłaś ją z namiotu i ochraniałaś przed Potłukiem. Ciągłe o tobie wspominała. Zamartwiała, co się z tobą dzieje, a później, gdy pojawiłeś się w przedszkolu i uratowałeś nas... wtedy coś do ciebie poczuła — zaczęła wyjaśniać Oli.

— Przecież to właściwie Mike was uratował!

— Jeju, Dziki, przecież wiesz, że to tak nie działa... — westchnęła, patrząc się na niego jak na dziecko.

— Ale przecież nigdy nic nie mówiła — stwierdził Dziki.

— Faceci... — westchnęła Oli, patrząc się na niego z politowaniem. — Poza tym, ty jesteś z Dix. Ona wie, że nie może się z nią równać, więc po prostu cierpi sobie w ciszy.

— Ja nie chciałem przecież, o matko... W Starym Świecie nawet się żadna za mną nie obejrzała! — zaprotestował.

— Wybacz, ale po tym co usłyszałam, wiem już, że nie potrafisz odczytywać żadnych sygnałów. Nawet jeśli dostajesz nimi w twarz — odparła Oli, zakładając znacząco ręce na pierś.

— To co ja mam teraz zrobić? — spytał przerażony.

— Chyba nic... — odpowiedziała Oli.

— Jak to nic? — westchnął już całkiem zmieszany.

— No, a co zrobisz? — spytała, wyzywająco.

— Eee, chyba nic... — stwierdził w końcu, czując, że ta rozmowa go przerosła.

— Tak myślałam... — powiedziała Oli z wyraźnym wyrzutem w głosie i podniosła się z miejsca.

Dziki siedział przez chwilę całkiem zszokowany. — Faceci? Chyba kobiety... — westchnął sam do siebie i z jakąś dziwną irytacją zaczął dźgać łyżką niedojedzony bigos.

Kątem oka zobaczył, że Oli usiadła obok Weroniki i teraz obydwie żywo o czymś dyskutowały, co i raz zerkając w jego stronę.

Nie chcąc dłużej pozostawać na ich celowniku, pośpiesznie dokończył posiłek. Ponieważ nikt jeszcze nie kładł się spać, postanowił, że zdrzemnie się chwilę, zanim pójdzie zmienić Smalca na warcie.

Minął pochłoniętych grą Klucza i Korka i rozłożył się na swoim materacu. Ostatnie dni były dla niego naprawdę ciężkie, więc gdy tylko przyłożył głowę do plecaka służącego za poduszkę, niemal natychmiast odpłynął.

* * *

— Jesteś taki chciwy, Dziki! Nie tego się po tobie spodziewałem! — ryknął wściekle Pierwszy, a szkła w jego masce rozjarzyły się jak dwie czerwone gwiazdy na tle czarnej gumy.

— Poczekał, ja wszystko wyjaśnię! — krzyknął, czując, że z jakiegoś powodu nie może się podnieść z kolan.

— Za późno! Wziąłeś to, co należy do mnie, teraz ten świat zemści się na tobie — ryknął Pierwszy, wskazując na niego palcem, a jego głos zagrzmiął echem po okolicy.

Dziki poczuł, jak ziemia pod nim zaczyna drgać coraz mocniej. Budynki dookoła zaczęły rozpadać się, jeden po drugim.

— PROSZĘ, NIE RÓB TEGO! — wykrzyczał w stronę Pierwszego, który nie wiadomo czemu wznosił się w stronę nieba.

— Miałeś swoją szansę, Dziki... — stwierdził mężczyzna, odwracając się plecami i znikając gdzieś za horyzontem.

Dziki poderwał się z kolan czując, że asfalt, na którym klęczał, pęka w pół. Z oddali dostrzegł światła autobusu. Widział, jak pęknięcie zmierza w jego stronę.

— JANEK, UCIEKAJ! — krzyknął, wyciągając rękę. — DLACZEGO STOISZ?!

Rozpadlina otworzyła się tuż pod autobusem, a auto z impetem runęło, obijając się o wystające skały. Dziki usłyszał krzyki jego mieszkańców.

Obudził się zlany potem. To był jeden z najwyraźniejszych koszmarów jaki miał w ostatnim czasie. Rozejrzał się po panującej dookoła ciemności, ale jego wzrok nie był w stanie się przez nią przebić. Wszyscy mieszkańcy autobusu musieli już twardo spać, bo nigdzie nie paliła się ani jedna latarka. Rozkładając się na wznak, spróbował opanować bijące wściekle serce, które ciągle jeszcze nie mogło sobie uświadomić, że to nie była rzeczywistość.

Przetarł ręką zaropiałe oczy i sięgnął pod poduszkę, by wyciągnąć telefon. Na włączonym wyświetlaczu pojawiła się godzina 2:42. Zaklął cicho pod nosem, wściekły na samego siebie. Musiał być tak zmęczony, że jego krótka drzemka zamieniła się w pełnoprawny sen. Podnosząc się z materaca, wyma-

cał w ciemności pistolet, który wykopał gdzieś poza obręb legowiska i po chwili walki z suwakiem, wyciągnął puszkę coli ze swojego plecaka.

— Mogłem się tego spodziewać... — westchnął sam do siebie, próbując się rozbudzić gazowanym napojem.

W całkowitej ciemności nie dostrzegał nawet zarysów swoich podopiecznych. Słyszał jedynie równomierne oddechy i ciche pomrukiwania śpiących ludzi. Zgniatając dopitą puszkę, wstał. Oświecił sobie drogę wyświetlaczem telefonu i ruszył w stronę wyjścia z sali gimnastycznej.

Nagle gdzieś na zewnątrz padł strzał.

Dziki stanął jak sparaliżowany, próbując zrozumieć co się dzieje, a mieszkańcy autobusu zaczęli nerwowo podrywać się ze swoich legowisk „Co jest? Co się dzieje?” usłyszał wystraszone głosy. Nim zdążył otrząsnąć się z pierwszego szoku, dostrzegł postać wchodzącą na salę gimnastyczną. — To ty, Smalec? — spytał zdenerwowany, trzymając zaciśniętą w pogotowiu broń. Postać zatrzymała się. Była zbyt szeroka nawet jak na Smalcę i zdecydowanie za wysoka. Walcząc chwilę ze swoimi bojówkami, Dziki wyciągnął małą latarkę schowaną w kieszeni spodni i skierował snop światła w stronę skrytej w mroku osoby.

Wtedy pomyślał, że znowu śni mu się koszmar. Ale to było coś znacznie gorszego od najgorszej nocnej mary. Pośrodku sali stał Delimer.

Dziki zamarł, oświetlając jego głowę schowaną pod maską spawalniczą. Istota zatrzymała się i przyglądała mu przez czarne szkiełko dobrych kilka sekund, nim leniwie ruszyła w jego stronę.

— UCIEKAĆ! — ryknął Dziki, strzelając w powietrze. — UCIEKAĆ! DELIMER! UCIEKAĆ!

W tym momencie zaczął się chaos. Ludzie poderwali się w szoku z karmat i po omacku zaczęli szukać wyjścia. Dziki usłyszał trzaski, przekleństwa i dźwięk rozsypywanych przedmiotów.

— TAM, W TAMTĄ STRONĘ! — krzyczał, próbując oświetlić drogę latarką. Nie minęła sekunda, jak ktoś się pomylił i zamiast do wyjścia zaczął biec w jego stronę. — NIE! NIE DO MNIE! — wrzasnął, zatrzymując Laure, która nieświadomie, pędziła wprost na Delimera.

Przerażony, odepchnął dziewczynę od siebie i poczuł jak ręka Niewykształconego przelatuje w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą wisiała latarka. Wtedy doszło do niego, że bestia musiała być w nocy tak samo ślepa, jak oni. Chcąc odciągnąć ją od szukających wyjścia kompanów, cisnął latarką w róg sali. Niewykształcony ruszył natychmiast w stronę światła.

— Laura, gdzie jesteś? — szepnął, próbując odnaleźć w ciemności dziewczynę. Zamiast odpowiedzi usłyszał jedynie cichy szloch. Kierując się płaczem odnalazł jedną z Papużek i na ślepo złapał ją za rękę. — Chodź, musimy iść — wyszeptał w jej stronę.

— Ja się boję, ja nie chcę — zakwiliła dziewczyna, kuląc się na podłodze.

— Spokojnie, jestem przy tobie. On nas nie zobaczy... — wyszeptał i przyciągając dziewczynę do siebie, ruszył z nią w głąb sali.

W tym czasie Delimer swoim wielkim ciałem przysłonił latarkę, bo w pomieszczeniu znowu zrobiło się całkiem ciemno. Dziki kierował się teraz na zimne powietrze napływające z zewnątrz. — Jeszcze kawałek — szepnął do dziewczyny, gdy nagle usłyszał obok siebie trzask podłogi.

— Idź do przodu, ja go odciągnę — zawołał jakiś stłumiony głos w ciemności.

Dziki nie miał pojęcia, do kogo mógł należeć. Po chwili ciemność rozjaśnił wystrzał z broni. W krótkim rozbłysku dostrzegł Klucza i Oli błędzących przy ścianie w poszukiwaniu wyjścia.

Nie było czasu zastanawiać się nad tym, kim był strzelec ani dlaczego im pomagał. Delimer ruszył w jego stronę i to było teraz najważniejsze. Dziki pchnął Laure do autobusu, a sam ruszył po leżącą na ziemi latarkę. Podnosząc ją, skierował snop światła w stronę drzwi. — TAM JEST WYJŚCIE!

Oli razem z Kluczem przemknęli w ciemności, ale światło natychmiast przyciągnęło uwagę Delimera. Wtedy kilka kolejnych strzałów padło w stronę potwora. Dziki miał wrażenie, że zaraz ogłuchnie, ale nie skupiał się nad tym. Wodząc latarką po ścianie, próbował wypatrzeć innych członków Autobusu. W pewnym momencie dostrzegł Korka skulonego obok grzejnika.

Dziki wyłączył latarkę i podbiegł do chłopaka po ciemku, by nie ściągać uwagi Niewykształconego. — Za mną... — wyszeptał i poprowadził podopiecznego na zewnątrz. W tym samym momencie do autokaru wpadli Bocian i Green.

— Przelicz ludzi! — rozkazał Korkowi. — Jak będą wszyscy, daj mi znać! — mówiąc to, wrócił z powrotem do Sali.

Wodząc snopem światła po ścianach, próbował odnaleźć ewentualnych członków Autobusu, którzy jeszcze nie uciekli. Niestety, to natychmiast zwróciło uwagę Delimera. Dziki wyłączył latarkę i przebiegł w ciemności, macając ręką po ścianie. W pewnym momencie wyczuł, że złapał kogoś za brzuch. — ZA MNĄ! — rozkazał, ponownie włączając na chwilę światło, by zlokalizować wyjście i wtedy dostrzegł obok siebie Beatę.

Delimer stał już w miejscu, w którym Dziki był chwilę temu. Okrążając go szerokim łukiem, pociągnął dziewczynę do wyjścia.

— JAK SYTUACJA, KOREK?! — krzyknął widząc, że chłopak pojawił się w drzwiach.

— Brakowało tylko Beaty! Teraz są wszyscy!

Dziki razem z dziewczyną wbiegli do autobusu.

— JANEK, RURA! — rozkazał, a kierowca docisnął pedał.

Autobus wystrzelił spod szkoły, taranując przymkniętą bramę i wypadł na ulicę. Przerażony Dziki przebiegł wzrokiem po zadyszanych postaciach, rzucających na niego lękliwe spojrzenia. — Wszyscy są cali? — spytał.

Kilka osób pokiwało głowami, inni ciągle wpatrywali się w niego z lękiem w oczach.

— Czy nikt... Czy Delimer kogoś dotknął? — spytał, czując, że głos grzęźnie mu w gardle.

— Chyba nie... — odpowiedziała szeptem Oli.

— MUSZĘ BYĆ PEWIEN! — krzyknął, nie mogąc utrzymać nerwów na wodzy.

Rozejrzał się po przerażonych twarzach zgromadzonych, gdy dostrzegł lzy na twarzy Korka.

— Co się dzieje...? Powiedz mi! — spytał, zbliżając się do chłopaka i czując jednocześnie, jak żołądek skręca mu się w harmonijkę.

— Coś mnie dotknęło! Tam w ciemności! — odpowiedział chłopak, zalewając się łzami.

W tym momencie obie Papużki pisnęły przeraźliwie, a Janek zaklął.

— ALE JA NIE WIEM, CZY TO BYŁ DELIMER! — wrzasnął przerażony Korek.

— Dziki, mnie też coś dotknęło... — stwierdził Klucz. — ... i też nie wiem co to było. Wszystko działo się tak szybko. Równie dobrze to mógł być ktoś z nas.

— Janek, zatrzymaj autobus... — rozkazał Dziki.

— Co ty chcesz zrobić? — spytał złękniiony kierowca.

— ZATRZYMAJ AUTOBUS, JUŻ! — krzyknął wściekle, a Janek zahamował gwałtownie, prawie stając pojazdem dęba.

— Dziki, proszę, co ty... — zaczęła Oli, ale on już jej nie słuchał.

Złapał za schówek kierowcy i wyciągnął z niego dużą latarkę. Szarpnięciem otworzył drzwi do autobusu i wybiegł na drogę, kierując się w stronę szkoły. Zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, oświetlając bramę, którą przed chwilą wyważyli.

— Proszę, nie... Proszę, tylko nie to... — szeptał sam do siebie, wypatrując czy Delimer ruszy za nimi w pościg.

Stał tak kilka minut otoczony jedynie przez ciemność i warkot oddalonego autobusu. Wyciągnięta dłoń z latarką zaczęła mu ciążyć, ale nie opuścił jej nawet na chwilę, ciągle wpatrując się w stronę szkoły. Po kilku kolejnych minutach musiał zmienić rękę, czując odrętwienie. Gdy przekładał latarkę do drugiej dłoni, usłyszał trzask.

Delimer wyszedł przez drzwi szkoły i ruszył powoli w stronę bramy wyjściowej. — Nie... — Dziki potrząsnął głową, widząc jak ogromna postać kroczy nieśpiesznie w jego stronę. — Błagam, nie...

Niewykształcony zatrzymał się równo z wyrwaną bramą i rozglądał po okolicy. Nie dał już jednak nawet kroku w przód. Dziki stał obserwując go, gdy nagle usłyszał, jak ktoś szepcze do niego w ciemności. — Jeżeli nikogo nie dotknął, nie wyjdzie poza bramę...

Był to ten sam głos, który przemówił w Sali gimnastycznej, a Dziki dopiero teraz rozpoznał do kogo mógł należeć. Obracając się oświetlił postać Pierwszego, wpatrującego się w Delimera przez szkła maski gazowej.

Uczucie ulgi jakie odczuł, dość szybko zmieniło się w niepokój. Choć Pierwszy uratował kiedyś Dziemu życie, to ich ostatnie spotkanie nie zakończyło się zbyt przyjemnie. Nieświadomy Dziki najpierw wystawił mężczyznę na atak Defektu, a potem sam strzelił do niego myśląc, że ten zabił Dix w trakcie walki.

W tej sytuacji nie wiedział właściwie, jak ma się zachować, więc powiedział po prostu pierwsze co przyszło mu do głowy. — Zabawne. Śniłeś mi się dzisiaj...

Pierwszy milczał jeszcze przez chwilę, po czym obracając głowę w jego stronę, odpowiedział: — Czyżby dręczyły cię wyrzuty sumienia? Niepotrzebnie...

Ten był w tym momencie naprawdę zagubiony. Maską gazową na twarzy mężczyzny, nie pozwalało odczytać ani jego emocji, ani nawet dobrze rozpoznać tonu wypowiedzi. Dziki nie był pewien, czy mężczyzna chowa urazę, czy może zrozumiał co mogło nim wtedy kierować. Niemniej postanowił chociaż spróbować się wytłumaczyć. — Posłuchaj, wtedy, gdy strzeliłeś do Dix, ja po prostu...

Pierwszy przerwał mu niemal natychmiast. — Zrobiłeś dokładnie to, co w takiej sytuacji zrobiły każdy. Ni mniej, ni więcej. Nie musisz też czuć się wobec mnie dłużny. Słyszałem, że ze względu na mnie odszedłeś z Defektu. Po co? Nie pomogłem ci, bo liczyłem na wdzięczność czy jakąś nagrodę — stwierdził dobitnie.

— Masz dziwne podejście do wielu rzeczy — odparł Dziki. — Chciałem tylko powiedzieć, że gdy do ciebie strzeliłem, działałem pod wpływem emocji. Myślałem, że zrobiłeś krzywdę Dix. Nie kontrolowałem się i żałuję do tej pory, że to się stało...

Pierwszy zbliżył się do niego. — Ja to rozumiem — powiedział, wlepiając w niego ciemne szkła. — Uniesiony gniewem zabiłem poprzedniego chłopaka Dix i żałuję tego do tej pory. Ty miałeś to szczęście, że mnie nie tak łatwo zabić i nie musisz teraz niczego żałować. Jeżeli natomiast chcesz mieć formalne potwierdzenie, że między nami wszystko jest w porządku, przyjmuję twoje przeprosiny. Chociaż tak naprawdę, nie chowałem do ciebie żadnej urazy...

— Dziękuję — odparł Dziki. — Ta sytuacja ciągle mnie zadreęczała. W ogóle, ciągle mnie zadreęcza.

— Niepotrzebnie — podkreślił Pierwszy. — Szkoda, że nie mogliśmy porozmawiać po tym wszystkim szybciej. Powiedziałbym ci, żebyś nie opuszczał Wieży. Dix nigdy więcej mnie nie znajdzie, a ty nie będziesz musiał stawać przed żadnym moralnie wątpliwym wyborem...

— Może gdybyście mogli porozmawiać! — wtrącił Dziki. — Może gdybyś wyjaśnił jej całą sytuację, tak jak mi! Może by zrozumiała i dała spokój, a ty nie musiałbyś się więcej ukrywać.

Pierwszy prychnął. — Jeżeli potłuczysz szklankę i powiesz jej przepraszam, nie sprawi to, że zbierze się ona do kupy. Dziki, Dix nigdy mi nie wybacz, bo moja skrucha, nawet najszczersza, nie przywróci do życia Kamila.

A ukrywanie się to mój wybór. Wolę ukrywać się przez resztę życia niż stanąć z nią do walki. Bo boję się, że znowu zabiłbym kogoś, kogo nie chcę zabić.

Dziki nie odpowiedział. Na to, co usłyszał, nie było po prostu dobrej odpowiedzi. Spojrzał na stojącego w bramie Delimera i spytał, zmieniając temat. — Dlaczego do nas nie przyjdzie?

— Bo jesteście poza jego terytorium. Delimer, który nie ma naznaczonego, krąży tylko po swoim ścisłym rewirze. Chociaż potrafią wyczuwać ludzi, na ogół ich ignorują — wyjaśnił Pierwszy, skupiając wzrok na Niewykształconym.

Dziki, nie słysząc w głosie Pierwszego żalu, odetchnął z ulgą i spytał o to, co nurtowało go od początku. — A ty, czemu tu jesteś?

— Kto wie? — odpowiedział Pierwszy. — Może po prostu lubię to miejsce... Las Ludzi ma symboliczne znaczenie dla nas obu... — stwierdził, patrząc się na Dzikiego. — Powiedzmy dodatkowo, że gdy zobaczyłem autobus, chciałem skorzystać z okazji i z tobą porozmawiać. Ale zamiast ciebie na warcie był ktoś inny. Tak nawiasem mówiąc, na twoim miejscu nie stawiałbym więcej tego chłopaka jako strażnika. Spał już od 22:00 — powiedział Pierwszy, kręcąc z politowaniem głową.

— Więc to ty wtedy strzelałeś, żeby odciągnąć Delimera? — dopytywał dalej Dziki, a Pierwszy skinął głową. — Czemu więc nie przyszedłeś wcześniej? Nie wszedłeś do szkoły? Ludzie z Autobusu nie zrobiliby ci krzywdy.

— Proszę cię. Dziki, naprawdę chcesz, żeby wszyscy myśleli, że mamy ze sobą kontakt? Co o tym pomyślałaby Dix? Albo Kuba? Gdzie zasada neutralności Autobusu? — zakpił Pierwszy.

— Mam problem z jej utrzymaniem — odparł Dziki i spytał natychmiast. — Co porabiałeś do tej pory?

Pierwszy zamyślił się przez chwilę. — Głównie się ukrywałem, trochę słuchałem plotek na radiu. Przyznam się też, że zgubiła mnie ciekawość i poszedłem spotkać się ze Smutnym.

Dziki otworzył szerzej oczy. Smutny był jednym z najdziwniejszych bytów, jakie miał okazję spotkać w Nowym Świecie. Miał też kolejny dylemat. Stał przed człowiekiem, który był w tym świecie dłużej niż ktokolwiek inny. Wiedział o setkach rzeczy, których nie wiedział nikt inny. Miał wręcz miliony pytań, które mógłby mu zadać, ale zawsze, gdy się spotkali, było tak mało czasu. Ciągnąc jednak wątek, postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o Smutnym. — Co sprawiło, że on taki jest? — spytał.

Pierwszy nawet się nie wzdygnął. Po chwili zastanowienia dopytał jedynie: — Pytasz o jego charakter czy ciało?

— A jeżeli założymy, że o obie z tych rzeczy... — sprecyzował, wyraźnie zaintrygowany Dziki.

Pierwszy ponownie się zamyślił. Dziki zauważył już, że mężczyzna przez większość czasu bardzo uważa na to, co mówi. — Jeżeli chodzi o jego doczesność... — zaczął w końcu. — To, jak się zapewne domyślasz, jest skutek

działania błędów. Obecnie strach przed defektem sprawia, że większość Weteranów albo w ogóle unika z nimi kontaktu, albo wykorzystuje kilka poznanych. Smutny eksperymentował z dziesiątkami różnych, aż w końcu jego „jaźń” przestała być „jednością z ciałem”. Ta sprawa jest dla niego dość problematyczna, bo choć nie jest już częścią swojego ciała, ciągle jest od niego zależny. Gdyby jego fizyczna forma umarła, jego jaźń przestałaby istnieć. Dlatego musi je ciągle „chować”. Z tego, co dowiedziałem się mimochodem od ciebie, był tak zdesperowany, że wcisnął je za Las Ludzi.

Dziki widząc, że Pierwszy nie ma problemów z dzieleniem się wiedzą, dopytywał dalej. — No dobrze, ale dlaczego tak mu na nich zależało? Chciał być najpotężniejszy w Krańcowie?

Mężczyzna zdjął maskę gazową. Widać długą rozmowa przez filtry była dla niego męcząca. — Smutnego nie obchodzi „potęga”. Jest po prostu „człowiekiem chorym z żalu”. W Starym Świecie stracił żonę i córkę w wypadku, który sam spowodował. Chcąc odkupić winy, uparł się, że odnajdzie błąd, który przywróci je do życia.

— Więc to o to chodziło! — wtrącił Dziki. — W tym liście, ta kwestia, w której się nie zgadzaliście? To, czy istnieje błąd przywracający zmarłych do życia?

Pierwszy podniósł jedną z brwi, przyglądając się Dzikemu, jakby dziwiło go jego zainteresowanie. — Nie do końca. Powiedziałem kiedyś Smutnemu, że w Nowym Świecie nie pojawiają się ludzie, którzy w Starym byli już martwi. Okazało się jednak, że jest typ Niewykształconego, pochodzący bezpośrednio od zmarłych, „Heterochrom”.

— Czym oni są? Heterochromy? — spytał Dziki, którego zasłyszany w Strefie Głodu typ Niewykształconego nurtował już od dawna.

Pierwszy podrapał się wolną ręką po głowie. — Oni są prawie jak ludzie, właściwie nie mają deformacji. Tylko ich oczy pozbawione są białek, całe czarne. No i Heterochromy są świadomi, myślą, potrafią zastawiać pułapki i pałają wręcz chorobliwą nienawiścią do normalnych ludzi. Poza tym wiem o nich tyle, że stają się nimi ci, którzy zmarli na krótko przed Błyskiem.

— Wiesz, że Daniel łapał Heterochromy? — wtrącił Dziki. — Domyślasz się czemu?

— Pewnie z tego samego powodu, z którego robił to Smutny. Chcieli sprawdzić, czy pamiętają oni swoje „poprzednie życie”, czy też są tylko zbieżnością wyglądu.

Dziki czuł, jakby stanął przed bramami oświecenia. Pierwszy wiedział tak wiele rzeczy. Czy teraz powinien spytać go o błędy? Skoro tak chętnie dzielił się wiedzą, może nie będzie zachowywał się jak Kuba albo Zjawa. Gdy zebrał się już w sobie by pociągnąć tę rozmowę dalej, do jego uszu dobiegł dźwięk, który zrujnował jego plany. Od strony autobusu usłyszał głosy Oli oraz Janka, a w ciemności błysnęło światło latarki.

Pierwszy zaciągnął maskę z powrotem na twarz. — Twój koleś się chyba martwi, więc dwie szybkie rady na koniec. To miejsce jest tylko pozornie bezpieczne. Kręcą się tu jeszcze trzy inne Delimery, które swoim terytorium pokrywają większość przygranicznej Strefy. Zazwyczaj nie wchodzi do budynków, ale duża grupa jak twoja, może je tam ściągnąć, więc nie przesiaduj tu zbyt często. — Dziki skinął głową, a mężczyzna kontynuował. — I teraz najważniejsze, prawdziwy powód, dla którego przyszedłem się z tobą spotkać. Dla własnego dobra jak najszybciej odejść z Autobusu i wracać pod opiekę Dix. Jeżdżąc dalej po mieście narażasz się na ogromne niebezpieczeństwo...

— Czemu? — wtrącił Dziki. — Przez Rękę Olbrzyma?

— Nie... — odparł pośpiesznie Pierwszy, ale nie zdążył dokończyć odpowiedzi. Na drogę wyszła właśnie Oli razem z Jankiem świecąc dookoła latarkami. Mężczyzna przeskakując w pobliskie chaszcze, zniknął momentalnie.

— Wszystko w porządku? — spytał Janek, wychodząc niepewnie na drogę.

Kierowca zamarł przerażony, gdy tylko dostrzegł Delimera przy bramie, a idąca zaraz za nim Oli zasłoniła wystraszona ręką usta.

— Spokojnie — westchnął Dziki. — Nikogo nie dotknął, więc się stamtąd nie ruszy.

Słyszając to oboje odetchnęli z ulgą, ale Oli ciekawiło coś jeszcze. — Wydawało nam się, że z kimś rozmawiałeś?

— Po prostu marudziłem pod nosem! Sporo rzeczy tam zostawiliśmy — skłamał Dziki wyjątkowo zgrabnie, jak na swoje mizerne umiejętności.

— Na pewno nie będziemy po nie wracać — stwierdził pewnie Janek. — Skoro nikt nie został dotknięty, do autobusu... — mówiąc to, obrócił się na pięcie i popędził w stronę pojazdu.

Oli natomiast wciąż obserwowała Delimera. Po jej twarzy widać było, że ciekawość walczy w niej z lękiem. Nic dziwnego. Niewykształcony nawet z daleka był po prostu przerażający.

— Chodź, Oli — ponaglił ją Dziki, a dziewczyna chwyciła go za rękę.

— Mieliliśmy sporo szczęścia... — stwierdziła, gdy wracali już w kierunku pojazdu.

— Albo pomoc prosto z tego świata — odpowiedział tajemniczo Dziki.

Oli zerknęła na niego podejrzliwie, ale nie zdążyła o nic zapytać, bo jej uwagę przykuły wrzaski dobiegające z piętrusa. Gdy weszli w końcu do pojazdu, natknęli się na moment, gdy Bocian próbował praktycznie udusić Smalca, szarpiąc go za bluzę.

— ...TO NIE JAKIŚ KOCIAK, KTÓRY PRZEKRADA SIĘ BEZSZELESTNIE. JAK DELIMER LEŻE, TO SIĘ AŻ TRZĘSIE ZIEMIA! JAK MOGŁEŚ GO NIE ZOBACZYĆ! — wrzeszczał, zaciskając palce coraz mocniej.

Ku przerażeniu Dzikiego, nikt nawet nie próbował go powstrzymać. Wpadł więc szybko między walczących, oddzielając ich od siebie. — SPOKÓJ! — krzyknął, odpychając Bociana na bok.

— Przez tego sukinsyna o mało wszyscy nie zginęliśmy! — krzyknęła Weronika.

— Powinniśmy go wypieprzyć z autobusu! — zawołał Edek.

Smalec spojrzał przerażony na otaczających go ludzi. Nawet jego kumpel — Klucz, nie wyglądał na chętnego by go bronić. Dziki westchnął w duchu czując, że być może popełnia błąd, ale postanowił załagodzić ten spór. — Słuchajcie, nie będziemy nikogo wyrzucać... Biorę tę winę na siebie, bo doskonale wiedziałem, że Smalec nie nadaje się na wartownika, a mimo to zgodziłem się wysłać go, by nas pilnował. Na szczęście nic się nikomu nie stało...

— Dzięki tobie! A on naraził nas wszystkich — stwierdziła Weronika, czym znowu rozpoczęła wrzawę.

— POSŁUCHAJCIE MNIE! — krzyknął Dziki, uciszając zgromadzonych. — Ja też was naraziłem, gdy pomogłem Wilkowi, a mimo to wciąż tu jestem!

— Ty działałeś dla większego dobra i miałeś drobną wpadkę! — zaprotestowała Weronika. — On po prostu spał, olejając nas wszystkich!

— DOŚĆ, POWIEDZIAŁEM! — krzyknął Dziki, nie mogąc już wytrzymać. — Wszyscy kładźcie się spać, ty też Janek. Będę dzisiaj pilnował przez resztę nocy i zabiorę nas gdzieś dalej.

Większość, widząc, że Dziki jest już naprawdę wyprowadzony z równowagi, rozeszła się na swoje siedzenia. Nie czekając, zajął miejsce za kierownicą i ruszył w drogę. Po chwili ciszy jaka zapanowała w autobusie, Smalec usiadł obok niego.

— Dziki, jest mi naprawdę przykro, ja... — zaczął tłumaczyć się chłopak, ale Dziki przerwał mu natychmiast.

— Posłuchaj mnie uważnie. Od dzisiaj wszyscy będą mieli cię na oku, bo naprawdę ostro przegiąłeś. A ja nie będę więcej stawał w twojej obronie. Teraz TY musisz udowodnić IM, że pozostawienie cię tutaj nie było błędem. A teraz odejść, chcę się skupić na drodze.

Smalec spuścił głowę i ruszył na tył autobusu, zostawiając Dzikiego samego z uciekającym spod kół asfaltem.



Rozdział VII

Powinność autobusu

Godzinę po ucieczce ze szkoły, Dziki dowiózł swoją grupę w pobliże Wiślinki. Tym razem na miejsce postoju wybrał drogę biegnącą obok dawnej auli koncertowej, w pobliżu której odbyło się dużo wcześniej zebranie Weteranów.

Zmieniona w kwas rzeka, podobnie do Strefy Zamarcia, niwelowała prawo trzech, a do tego okolica była już znacznie bliższa ich standardowej trasie i na pewno nie kręciły się tu takie bestie, jak Delimery.

Niemniej Dziki, nawet chroniony tajemniczą siłą pobliskiego błędu, postanowił nie kłaść się już nawet na chwilę. Rozłożywszy nogi na kierownicy, sięgnął do schowka po notatnik, który dostał od Kuby. Resztę warty miał bowiem zamiar poświęcić na nadrabianie zaległości w poznawaniu Niewykształconych i ich zwyczajów.

Przebiegając wzrokiem po prowizorycznym spisie treści, odczytał w myślach nagłówki Delimera: „*Delimer, wygląd i rozróżnianie, Delimer Uśpiony, Rodzący się Delimer, Delimer pilokształtny pasywny.*

Delimer w fazie Pasywnej (tzn. nie posiadający naznaczonego)

Delimer Pasywny, w odróżnieniu od innych Niewykształconych, nie wykazuje większej zależności od prawa trzech. Jest istotą terytorialną, patrolującą obszar o wielkości różnej dla każdego pojedynczego przedstawiciela gatunku. Wielkości terytoriów patrolowych mogą mieć rozmiar od bardzo małego (pojedynczy budynek) do ekstremalnie dużego (całe osiedle, kilka przecznic).

W wypadku Delimerów patrolujących duże obszary, zauważyć można zdolność do wyczuwania ludzi schowanych we wnętrzu budynków. Prawdopodobieństwo reakcji Niewykształconego na ukryte osoby jest wprost proporcjonalne do ilości osób znajdujących się we wnętrzu. Delimer w ogóle nie zwróci uwagi na grupę mniejszą niż sześć osób.”

Dziki przeskoczył kilka linijek, bo tego o czym teraz czytał, zdążył się już dowiedzieć od Pierwszego albo domyślić samemu.

Jego uwagę przyciągnął inny nagłówek: „*Znane Delimery i ich obszary patrolowe.*

Delimer z Zakładów Chemicznych nr 1 (magazyn półproduktów, południowa strona placu, 250 metrów od wejścia)

Delimer z Zakładów Chemicznych nr 2 (hala produkcyjna elementów plastikowych wraz z magazynami gotowego produktu)

Delimer spod sklepu Merkury (wnętrze sklepu, skwerek przed budynkiem, tyły sklepu aż do koszy na śmieci)

Delimer spod Lasu Ludzi nr 1 (osiedle słoneczne, od ulicy Wysokiej do linii kolejowej)

Delimer spod Lasu Ludzi nr 2 (osiedle Jagoda, brzeg Wiślinki, Szkoła podstawowa im. Kopernika)”

Dziki czytając ostatnią linijkę, zaklął wściekle pod nosem.

Więc to był prawdziwy powód, dla którego Kuba nie uwzględniał w ich trasie żadnego punktu przy Lesie Ludzi. Wiedział dobrze, że jest to teren patrolowy Delimerów. Natomiast Dziki nie miał o tym pojęcia, bo zamiast czytać ze skupieniem tak cenną książkę, spędził miesiąc w Wieży Defektu, patrząc się w sufit albo zabijając czas z Dix.

Przysięgając sobie w duchu, że od dzisiaj będzie każdą wolną chwilę spędzał nad podręcznikiem, wrócił do spisu treści. Nim jednak zabrał się na poważnie do czytania, kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Pelen nerwów, zrzucił nogi z kierownicy. Wyjrzał przez szybę, a w jego ręku od razu pojawił się pistolet. Szybko jednak dotarło do niego, że to, co zobaczył było tylko wskaźnikiem sygnału na CB-radiu. Mała czerwona kreska podnosiła się raz za razem, świadcząc o tym, że ktoś w tym momencie wypuszcza jakiś komunikat w eter. Radio było wcześniej wyciszzone, bo jego szum przeszkadzał Dziemu w czytaniu.

Kręcąc gałką analogową, zwiększył nieco głośność i usłyszał przerywany komunikat.

„pomocy... potrzebna... MAMY... ranni... pomocy... PIEKARNIA... ZAKWAS... PIEKARNIA ZAKWAS... POMOCY!”

W tym momencie nadający zamilkł. Zaskoczony Dziki spróbował ułożyć w głowie chaotyczną wiadomość, gdy nagle tuż za nim wyrosła Oli.

— Coś się stało? — spytała zaspanym głosem.

Skupiony na wiadomości, w ogóle nie wyczuł, że dziewczyna się do niego zbliża, więc prawie podskoczył usłyszawszy jej głos. — Ktoś prosi o pomoc przez radio... — odparł zdenerwowany.

Oczy Oli natychmiast się rozszerzyły, a twarz rozbudziła. — Gdzie? — zawołała doskakując do radia.

— Chyba jest w tej piekarni, po przeciwnej stronie auli... Nie jestem do końca pewien. Jak na tę odległość sygnał był strasznie słaby... — odparł zaniepokojony.

Oli przekreśliła manipulator, pogłaśniając radio, ale wśród ogólnego trzasku nie dało się już wyłapać żadnego, nawet pojedynczego słowa. — Powinniśmy to sprawdzić! Zrobić coś! — stwierdziła, zerkając na Dzikiego.

Nim Dziki zdążył odpowiedzieć, podniesiony głos Oli obudził Janka, śpiącego na pobliskim fotelu. Kierowa słysząc wszystko, podniósł się powoli, zerkając na dziewczynę wyraźnie zirytowany.

— Daj już temu spokój! — zażądał gniewnie. — Nie wiemy kto nadaje. Nie wiemy jakie ma intencje. To równie dobrze może być pułapka Armii Daniela! Wyłącz to radio i idziemy spać...

Wystarczyło jedno spojrzenie Dzikiego na twarz Oli, by zrozumieć, że Janek nie był w stanie w żaden sposób przekonać jej by odpuściła.

— A gdybyś to ty potrzebował pomocy? — argumentowała, spoglądając w przekrwione oczy mężczyzny.

— To nikt by nie przyszedł — odpowiedział chłodno Janek. — Idź spać, Oli! — zażądał ponownie, ale najwidoczniej z braku sił na kłótnie, dodał już potem o wiele spokojniej. — Naprawdę starczy nam przygód jak na jedną noc...

Oli zignorowała go i spojrzała z nadzieją w stronę Dzikiego. — Chyba tego tak nie zostawimy. Powinniśmy chociaż sprawdzić, czy jesteśmy w stanie jakoś pomóc...

Dziki poczuł jak niemal natychmiast spada na niego wielki ucisk w dołku. W obecnej sytuacji Janek miał w stu procentach rację, ale jak miał przekonać o tym dziewczynę? — Oli, posłuchaj... — zaczął naprędce układając jak najrozsądniejsze argumenty. — Wiesz, że zawsze popieram pomaganie innym, ale tym razem to naprawdę może nie być dobry pomysł. A jeżeli Janek ma rację i kryje się tam Armia Daniela? Próbuje wywabić w ten sposób kolejną ofiarę? To brzmi naprawdę jak pułapka — próbował wytłumaczyć.

Janek wyraźnie zadowolony, skinął Dziemu, ale Oli nie miała zamiaru odpuszczać. Nim którykolwiek z nich zdążyło zareagować, dziewczyna doskoczyła do radia i zaczęła nadawać na ogólnym kanale. — Ranny z piekarni! Mówi Oli z Autobusu do Wolności! Powiedz nam kim jesteś...

Nim dziewczyna zdążyła skończyć, wściekły Janek wyrwał jej mikrofon z ręki. — CHOLERA JASNA, OLI! Musisz dawać całemu światu informację, gdzie nas szukać?!

Oli spojrzała wyzywająco w stronę Janka, ale nim zdążyła wszczać awanturę, z radia odezwał się słaby głos. — *Oli... mała dziewczynka z Autobusu... pamiętam cię... spotkaliśmy się... spotkaliśmy we Wspólnocie... dałem wam pomarańcze... pomarańcze... proszę... pomóżcie, proszę...*

Dziki poczuł, jak ucisk w brzuchu, zmienia się teraz w ogromny kamień. Wołający o pomoc zyskał twarz. Nie był już anonimowym głosem, który zginąłby w odmętach pamięci. W dodatku okazał się Weteranem, podziwiającym go wcześniej za to, że robił coś dobrego.

W innych okolicznościach, gniewiony sumieniem Dzikiego, pobiegłby mu z odsieczą bez wahania. Tylko, że robiąc to po raz kolejny, złamałby wolę Kuby.

Ponownie istniało ryzyko, że Autobus do Wolności zostanie wplątany w jakąś niebezpieczną sytuację...

Oli, widząc zapewne, jak bije się z własnymi myślami, złapała go za rękaw i powiedziała: — Jesteś najlepszą osobą, jaką poznałam. Jednym z niewielu, u których ten świat nie zabił tego, co dobre. Nie walcz z tym, że chcesz zrobić coś, co jest słuszne. Bądź z tego dumny! Tak jak ja jestem...

Po jej słowach Dziki wiedział już, że przegrał tę walkę. Poczucie tego, co należało zrobić, wsparte przez słowa dziewczyny, zwyciężyło nad obietnicą daną Kubie. — Janek, siadaj za koło i pilnuj autobusu! — rozkazał.

Kierowca słysząc to, aż wzdrygnął się z bezsilnej złości. — DZIKI, NIE PIERDOL! Nie masz napisane w umowie, że musisz się pakować we wszystko, co się tutaj dzieje! A ty, przestań go podpuszczać! — warknął w stronę Oli.

Jego krzyk obudził pozostałych członków Autobusu. Ci z zainteresowaniem zaczęli przyglądać im się z foteli, a Korek, mimo że ledwo przytomny, prawie przefrunął na przód między siedzeniami.

— Co się stało?! — spytał natychmiast głosem, który jakimś cudem wyrażał jednocześnie skrajne podniecenie i niewyspanie.

Janek spojrzał na chłopaka ściskając nerwowo za swoje dredy. — Dziki znowu poczuł zew bohaterstwa! I nie wiem, jak wam, ale mnie się wydaje, że o jeden raz za dużo.

Oli stanęła na jednym z siedzeń, tak by zrównać się z o wiele wyższym Jankiem i krzyknęła: — Jakoś ci nie przeszkadza, kiedy to Dziki naraża się dla ciebie! Jeżeli tak jak ja, chce pomóc temu mężczyźnie, to go przed tym nie powstrzymuj!

Korek stanął natychmiast jak na baczność obok Dzikiego. — Ja jestem z tobą, szefie! — stwierdził, mimo że nie wiedział nawet dokładnie, o jaką sprawę chodzi.

— Niech nasz strażnik robi to, co należy — zawołał Green.

Kilka osób w autobusie mruknęło twierdząco, a pozostali po prostu patrzyli się niepewnie. W normalnych okolicznościach, Smalec na pewno wszcząłby teraz awanturę popierając Janka i przy okazji wciągając w to Klucza. Ponieważ jednak przed kilkoma godzinami został dotknięty ostracyzmem, nie było komu zaprotestować wobec decyzji Dzikiego i Oli.

Janek widząc, że został sam, machnął zrezygnowany ręką. Wciąż wściekły, usiadł za kierownicą, mrużąc jednocześnie niekończący się potok przekleństw.

— Dobra, posłuchajcie! — zaczął Dziki, gdy sprawa była już przesądzona. — To naprawdę może być pułapka, a ja nie mam zamiaru was narażać. Pójdę sam sprawdzić co się dzieje, a wy tu poczekajcie. Jakby coś mi się stało, uciekajcie i znajdźcie Kubę. Pod żadnym pozorem po mnie nie wracajcie — zarządził.

Po swojej krótkiej przemowie, otworzył drzwi od autobusu, gdy nagle pod jego ramieniem przebiegła Oli. — Idę z tobą! — zawołała, przeskakując się na zewnątrz.

— Nawet mi się nie waż!!! — krzyknął, ale dziewczyna wyciągnęła już latarkę i ruszyła drogą.

Zaraz za nią z autobusu wyskoczył Korek. — To ja też, szefie! — wykrzyczał, biegnąc w stronę towarzyszek.

Dziki poczuł, że krew po prostu go zalewa. — DO CHOLERY JASNEJ, NIE BĘDĘ SIĘ Z WAMI KŁÓCIĆ! DO AUTOBUSU! — ryknął, ale ani Oli, ani Korek go nie posłuchali.

Dziewczyna i chłopak biegli ze wszystkich sił, jakby myśleli, że uciekając dość daleko sprawią, że Dziki ich nie zawróci. Ten, zdesperowany ruszył pędem za nimi.

Gdy po jakiś pięciu minutach udało mu się w końcu dogonić uciekinierów, byli już przy ulicy oddzielającej ich od piekarni.

— Co wy do cholery wyprawiacie! — wysapał, opierając się o swoje kołana. — W tej chwili... Wracać... Do autobusu!

Ani Oli, ani Korek nie zareagowali na jego rozkaz. Zamiast tego, wpatrywali się oboje jak zaczarowani w budynek po drugiej stronie. Dziki obrócił się, żeby sprawdzić co tak przykuło ich uwagę i w tym momencie również jemu odebrało mowę.

Szyld nad piekarnią jarzył się na tle ciemnych jak smoła budynków. Zahipnotyzowany tym widokiem, odruchowo wyszedł na drogę. Ta nagle iluminacja przywodziła na myśl początek Nocy Latarni, ale było już za późno, żeby ta się rozpoczęła. Poza tym, rozświetlony był tylko mały szyld nad sklepem, nigdzie więcej nie było prądu.

— Piękne... — wyszeptala Oli, stając obok Dzikiego.

— I na pewno niebezpieczne — skwitował Dziki. — Schowajcie się za skwerkiem, ja zobaczę co się tam dzieje. A potem natychmiast wracacie do autobusu! — rozkazał, ale ponownie został zignorowany.

Ku jego zdziwieniu, Oli sięgnęła pod spódniczkę i z kabury na udzie wyciągnęła pistolet. Z bronią pobiegła w stronę piekarni, przyklejając się filmowo do ściany.

— Skąd to masz? — spytał zszokowany, doskakując do niej.

— Kuba mi dał! Do obrony — odpowiedziała, uśmiechając się do niego.

— Powinienem chyba o czymś takim wiedzieć...

— Nie! Bo jeszcze byś mi zabrał... — odparła dziewczyna, obracając się w stronę wejścia.

Korek dobiegł do nich w tym czasie i natychmiast spytał oburzony. — Dlaczego ona ma broń?

— Cisza. Zajrzę do środka. A wy tu czekajcie! ZROZUMIANO?! — powiedział Dziki, mocno już wyprowadzony z równowagi.

Gdy Oli i Korek kiwnęli głowami, otworzył drewniane drzwi, przez które wchodziło się do staromodnej piekarni.

Wewnątrz pomieszczenia było o wiele ciemniej niż na zewnątrz. Oświetlając wnętrze latarką, zobaczył opustoszałe półki i kosze na chleb pokryte grubą warstwą kurzu. Powoli wszedł do środka, a klepki na podłodze zatrzeszczały złowieszczo.

Dziki starał się nie robić hałasu, ale było to trudne, bo podłoga nie była w najlepszym stanie jeszcze w Starym Świecie. Idąc powoli, krok za krokiem, doszedł do lady, gdzie stała stylizowana na XIX-wieczną kasa fiskalna. Cała piekarnia starała się utrzymać ten specyficzny, staroprzemysłowy klimat, co tylko pogłębiało nieprzyjemne uczucie związane z tym miejscem.

Nagle szufladka kasy wysunęła się z głośnym brzękiem, rozsypując na podłogę drobne monety.

Zaskoczony Dziki, dał odruchowo nura za ladę i wtedy stało się coś już zupełnie niewytłumaczalnego. W jego nos uderzył przyjemny zapach świeżego chleba. Nad swoją głową usłyszał dziesiątki, jeśli nie setki osób pograżonych w rozmowie. Staromodne żyrandole z cekinami rozświetliły pomieszczenie, a brzęczący dźwięk otwieranej kasy zabrzmiał po raz kolejny. Odchodząc od lady, poczuł na sobie setki spojrzeń niewidzialnych osób, których rozmowy przebijały mu czaszkę, niczym młot pneumatyczny. Chciał krzyknąć, ale jego głos ugrzązał gdzieś w tym rumorze.

— Dziki! — usłyszał, jak ktoś woła jego imię, a chwilę później poczuł piekący ból na twarzy. — Dziki! — usłyszał jeszcze raz. Powrócił też ból, mocniejszy nawet niż przed chwilą.

Odkręcił głowę i dostrzegł własne odbicie w oknie piekarni. Leżał na podłodze, a Oli próbowała ocucić go, klepiąc po twarzy.

Zmysły wróciły do niego tak szybko, jak go opuściły. Leżał na zimnej zakurzonej podłodze, w pomieszczeniu oświetlanym jedynie latarką trzymaną przez Korka. W powietrzu unosił się zapach zgnilizny. — Co się stało? — spytał, podnosząc się z ziemi.

— Zostawiłeś nas i wszedłeś tu, a potem zacząłeś się zachowywać bardzo dziwnie — wyjaśniła Oli ze łzami w oczach.

— Jak to dziwnie? — dopytywał dalej.

— Szefie! Zacząłeś się panicznie rozglądać, upadłeś na podłogę i dostałeś jakichś konwulsji — odpowiedział Korek.

Dziki potrząsnął głową. Po raz pierwszy doświadczył czegoś takiego. Bez wątpienia znaleźli się w strefie działania jakiegoś błędu. Nie miał jednak bladego pojęcia jakiego.

Podnosząc się z ziemi, spojrzał na Oli i Korka. — Wracajcie natychmiast do autobusu! — rozkazał, ale dziewczyna od razu zaprotestowała.

— Nie ma mowy! A jak znowu upadniesz? Ktoś musi cię zabezpieczać.

Dziki nie miał zamiaru dłużej dyskutować. Ruszył w stronę nie-subordinowanych podopiecznych, gotów wyrzucić ich z budynku choćby

siłą. Tylko, że nim zdążył do nich podejść, dostrzegł po drugiej stronie szyby jakiegoś mężczyznę.

— OLI! Korek! Do mnie, szybko! — krzyknął.

Dziewczyna wystrzeliła jak oparzona, prawie wbiegając na Dzikiego, a chłopak doskoczył zaraz za nią. Tajemnicza postać uśmiechnęła się, błyszcząc w ciemności nienaturalnie białymi zębami, a po chwili zniknęła gdzieś za rogiem budynku.

— Co się dzieje, szefie? — spytał wystraszony Korek, rozglądając się panicznie.

Najwidoczniej nie zdążył dostrzec znikającej postaci.

— Ktoś tam był, pod drugiej stro... — zaczął wyjaśniać Dziki, ale jego słowa przerwało wołanie dobiegające z górnego piętra.

— Pomocy... Ktokolwiek...

Oli, która stała obok Dzikiego, natychmiast się otrząsnęła. Zaciskając ręce na broni, była już gotowa ruszyć schodami na górę, ale Dziki zatrzymał ją, łapiąc za ramię. — Idziecie za mną! I macie się trzymać blisko — wyszeptał, wchodząc na schody.

Gdy tylko minęli półpiętro, znaleźli się na długim korytarzu wyłożonym drewnem i zapelnionym licznymi rodzinnymi fotografiami. Właściciele piekarni musieli mieć dawniej swój dom tuż nad zakładem.

Dziki poświęcił w głąb holu, zauważając drzwi prowadzące do poszczególnych pokoi. Pierwsze po lewej były otwarte, a ze środka słychać było jakiś nieokreślony hałas. Idąc przy ścianie, zbliżył się do framugi i po chwili przygotowania wparował do pustego pomieszczenia z bronią w rękę.

W środku pokoju było jedynie kilka staromodnych mebli, lampa z abażurem i zasłonięte okno. Świecąc po wnętrzu, zaczął rozglądać się za źródłem tajemniczego dźwięku. Nagle dostrzegł coś, co odebrało mu dech. Stare drewniane krzesło drgało delikatnie na podłodze, co rusz przesuwając się z cichym chrzęstem po klepkach. Zupełnie jakby siedziało na nim wyjątkowo ruchliwe, niewidzialne dziecko.

— Przerazające... — wyszeptał Korek, który wszedł tuż za nim.

Oli została nieco z tyłu, ale i tak dostrzegła krzesło, bo przełknęła nerwowo ślinę. Dziki z towarzyszami wycofał się z pomieszczenia i zamknął delikatnie drzwi. Po tym ruszyli dalej korytarzem.

— Gdzie jesteś?! — zawołał w końcu, zatrzymując się na jego środku.

— Na końcu... — odpowiedział stłumiony głos za ostatnimi drzwiami.

Dziki dobiegł do nich, dając towarzyszom znak by ustawili się za nim. Potem naciskając nerwowo na klamkę, zajrzał przez szparę do środka.

Naprzeciwko wejścia stało ogromne łóżko, na którym w zakrwawionej pościeli leżał Weteran. Mężczyzna trzęsącymi rękoma mierzył bronią w ich stronę. — JESTEŚ CZŁOWIEKIEM?! — spytał, ledwo utrzymując karabin w dłoniach.

— OPUŚĆ BRONĖ! — krzyknął Dzik — Jestem z Autobusu do Wolności, znasz mnie! — odparł.

— Jesteśmy tu, żeby ci pomóc... — dodała Oli.

Mężczyzna opuścił broń, dysząc przy tym ciężko. Dzik wszedł do środka, oświetlając go latarką i z ledwością rozpoznał w nim handlarza ze Wspólnoty. Weteran był nieogolony, chudy, a całe ubranie miał przesiąknięte krwią. — Przepraszam, ja myślałem, że to wróciło... nie wiedziałem czy ktoś... przyjdzie — wydukał, ledwo łapiąc powietrze.

— Co ci się stało? — spytał Dzik, zamykając drzwi i podchodząc do mężczyzny. — To Ręka Olbrzyma?

Weteran pokręcił głową, krztusząc się przez chwilę. — Ja szukałem sobie... szukałem nowej... kryjówki, szukałem... ale tu był Niewykształcony... dziwny... bardzo inny — wykrztusił z siebie i po chwili odpłynął.

Przeżona Oli zawołała: — Dzik, jest z nim bardzo źle! Musimy go natychmiast zabrać do Greena!

Dzik poświecił po łóżku, rozglądając się za radiem, z którego Weteran nadawał prośbę o pomoc. To leżało na pościeli tuż obok ręki właściciela. Złapał więc za nie i spróbował skontaktować się z autobusem. — Janek, tu Dzik, słyszysz mnie? Janek, odpowiedz...

Po chwili kierowca odezwał się: — *Dziki? Co się tam dzieje? Oli i Korek są z tobą?*

— Podjedź autobusem pod piekarnię! Mamy ciężko rannego. Nie damy rady go przynieść. Pośpiesz się... — zawołał do radia.

W tym momencie Weteran odzyskał na chwilę przytomność. — NIEWYKSZTAŁCONY... TU JEST NIEWYKSZTAŁCONY... UWAŻAJ — krzyknął, przeplacając to ostrzeżenie kolejną porcją krwistego kaszlu.

Dzik, kładąc mu rękę na czole, powiedział: — Leż spokojnie. — Po czym zwracając się do swoich towarzyszy, wyszeptał: — Oli, Korek, zostańcie przy nim. Zobaczę, czy droga jest bezpieczna.

Mówiąc to, zbliżył się do drzwi z pistoletem w pogotowiu, odchylił je tak, by wyrzeć na korytarz. Przeżony spostrzegł stojącą w głębi postać. Na pewno nie była ona człowiekiem. Jej oczy były praktycznie czarne, pozbawione białek. Szczupłe ciało i twarz młodego mężczyzny nadawały istocie wręcz groteskowy wygląd.

Niewykształcony dostrzegając Dzikiego, zawołał ochrypłym nieprzyjemnym głosem. — Jest was tutaj więcej?

Dzik zawahał się. Wiedział, że istnieją Niewykształceni, którzy potrafią imitować ludzkie zachowanie, ale kierują się wyłącznie instynktem. Czy to, co stało przed nim było inteligentne? Czy był to Heterochrom?

— Jestem tutaj sam — odpowiedział w końcu, wychodząc na korytarz i zatraskując za sobą drzwi.

— Kłamczuszek... — zakpiła istota, obnażając w uśmiechu przerażająco białe zębiska, które zdawały się świecić w panującej ciemności.

Dzik poczuł przerażenie. Czyli istota była świadoma obecności Oli i Koraka, a do tego rozpoznała jego blef. — Nie wiem czym jesteś, ale jeżeli stąd nie odejdziesz, zginiesz! — zawołał, najgroźniej jak potrafił, demonstrując przy tym broń.

Liczył, że jeżeli istota była chociaż częściowo świadoma, nie pokazując strachu uda mu się chociaż wzbudzić w niej trochę niepewności. I o dziwo, z początku przyniosło to pewien skutek. Wyraźnie niepewny potwór cofnął się o krok, a Dzik podniósł latarkę oświetlając mu twarz. W jego opinii była zbyt pociągła, jak na ludzką, z małymi ustami i ogromnymi oczami o czarnych białkach.

Dzik ruszył powoli do przodu, a Niewykształcony cofał się, wlepiając w niego swoje dziwne oczy.

— A ja nie jestem sam! — zawołał nagle potwór i otworzył boczne drzwi tuż przed Dzikim.

Ze środka wypadła niska, bardzo krępa kobieta w kropkowanej sukni. Z dziesiątkami szydeł wbitych w poczerńiałą od krwi głowę.

Gospodyni chwyciła rękę Dzikiego, wgrzając się w nią swoimi nielicznymi zębami. Jednocześnie masywnym ciałem przyparła go do ściany. Dzik zawył z bólu, czując jak ślina Niewykształconej wylewa się na niego, mieszając z krwią ciekącą z przedramienia.

— ODWAŁ SIĘ, TY CHOLERNA MASZKARO! — ryknął, zapierając się plecami o mur i odpychając kobietę kolanem.

Na jego szczęście drugi Niewykształcony nie angażował się w walkę, a jedynie obserwował całą sytuację.

Pchnięta Gospodyni odbiła się od ściany i przystąpiła natychmiast do kolejnego ataku. Swoimi grubymi palcami spróbowała chwycić Dzikiego za szyję. Ten osłaniając się jedną ręką, drugą przyłożył jej pistolet do brzucha i wystrzelił. Niemal natychmiast poczuł jak lodowata krew zalewa mu dłoń, ale bestia wciąż atakowała. Wystrzelił po raz kolejny. Tym razem praktycznie wpychając łufę w ranę. Po chwili usłyszał z oddali krzyk Oli. — DZIKI, UWAŻAJ!

Dziewczyna wychyliła się zza drzwi, próbując wycelować w stronę Gospodyni.

W tym samym momencie, drugi Niewykształcony minął Dzikiego i ruszył w jej stronę, wołając: — Dziewczynka!

— OLI, ZAMKNIJ DRZWI! — rozkazał Dzik, strzelając po raz kolejny w brzuch Gospodyni.

Dziewczyna zatrzasnęła się w ostatnim momencie, tak że Niewykształcony z impetem rąbnął w drewniane wejście. — Otwórz! — zawołał potwór, szarpiąc klamkę swoimi długimi palcami.

Po drugiej stronie Korek razem z Oli, trzymali drzwi ze wszystkich sił, próbując zablokować drogę Niewykształconemu.

Dziki napierając z całą mocą, pchnął Gospodynię, przewracając ją w końcu na ziemię. Uwolniony z przepychanki, wycelował w czarnooką postać i nacisnął spust krzycząc. — ZOSTAW ICH!

Raniony potwór odskoczył na chwilę, przyglądając mu się złowieszczo, po czym ryknął ochryple: — PRZESZKADZASZ!

W tym samym momencie Niewykształcony złapał za klamkę sąsiednich drzwi i wypuścił z pomieszczenia kolejnego Gospodarza. Wysoki, chudy dziadek z grubymi okularami na nosie natychmiast popędził w jego stronę, wrzeszcząc tak charakterystyczne — „Wynoś się!!!”.

Dziki szykował się już na impet jego uderzenia, gdy nagle po nodze rozlał mu się przeraźliwy ból. Leżąc na dywanie korpulentna kobieta zagryzła się teraz na jego łydce. Odruchowo spojrzał w jej stronę i wtedy poczuł, jak Gospodarz uderza go w głowę. Trafiony, runął na ziemię, a oba potwory dopadły do niego. Kobieta kasała dalej jego nogę jak szalona, a mężczyzna próbował udusić.

Wyswobadzając jedną z rąk, wycelował między zapadłe oczy starca i nacisnął spust. Gospodarz zamarł, co świadczyło, że za chwilę zacznie się jego „odroczenie”. Po jakichś pięciu sekundach paraliżu jego oczy znowu skupiły się na Dzikim. Nim jednak zdążył nacisnąć spust po raz kolejny, usłyszał głosne: — Złaż z niego!

Krystian wbiegł na korytarz i z impetem wbił się w starca, strącając go. Zaraz za nim wpadł Bocian, który wymachując ogromną maczetą, ruszył w stronę Niewykształconego przy drzwiach.

Green, który wbiegł na samym końcu, doskoczył do kobiety wgrzyzionej w nogę Dzikiego. Chwytając jej włosy spróbował ją oderwać, ale ta zacisnęła zęby jeszcze mocniej.

— ODSUŃ SIĘ! — krzyknął Dziki i gdy tylko chłopak puścił kobietę, wystrzelił jej w głowę.

Uwolniony z zębatego uścisku, podniósł się i zobaczył, jak czarnooki Niewykształcony odrzuca Bociana, wrywając mu jednocześnie maczetę z ręki. Nie czekając aż potwór zaatakuje, opróżnił w niego magazynek. Niestety trafienia w korpus nie zrobiły na bestii większego wrażenia. Błyskawicznie uniosła ona rękę z ostrzem, gotowa wymierzyć Bocianowi cios. Na szczęście chłopak otrząsnął się i chwycił nadgarstek potwora, gdy ostrze było jeszcze w powietrzu. Green doskoczył do nich niemal natychmiast i pomógł Bocianowi przycisnąć potwora do ściany.

Krystian skończył w tym momencie szarpać się z „dziadkiem” Gospodarzem, którego odroczenie się wyczerpało. Sięgając do kieszeni, wyciągnął swój nóż sprężynowy i jak opętany zaczął chlastać trzymanego przez Bociana i Greena stwora.

— BOLI! BOLI! BOLI! — wołał Niewykształcony, po każdym kolejnym ciosie.

Nagle z pokoju wyskoczyła Oli. Wykorzystując, że potwór trzymany był przez towarzyszy, przyłożyła mu pistolet do głowy i nacisnęła spust. Broń po strzale wypadła jej co prawda z ręki, ale Niewykształcony runął w końcu na ziemię.

Trójka mężczyzn odskoczyła trzymając się za uszy, a Oli złapała się za nadgarstek. Dziewczyna zignorowała jednak ból i natychmiast podbiegła do Dzikiego. — Wszystko dobrze? Jesteś cały? — spytała przestraszona, oglądając jego zakrwawioną rękę.

— To głupota — odpowiedział. — A twoja...?

— Nic mi nie jest — odparła Oli, z jakiegoś powodu zawstydzona. — Byłam zbyt zdenerwowana i nie chwyciłam dobrze...

Dziki skinął głową i zwrócił się do chłopaków na korytarzu. — Tam w pokoju jest ciężko ranny Weteran. Musimy go zabrać do autobusu...

Dziewczyna podniosła upuszczoną przez siebie broń i razem z chłopakami ruszyła do wskazanego pomieszczenia. Dziki otrząsnął się i kuśtykając poszedł za nimi.

Wykorzystując zakrwawioną koldrę jako nosidło Korek, Bocian, Kryspin i Green wyciągnęli rannego na korytarz. Tam Weteran zajączkał cicho i nagle otworzył oczy. — DZIKI!... JESTEŚ... DZIKI!? — zawołał łamiącym się głosem.

Dziki pochylił się nad nim. — Leż spokojnie, jesteś już bezpieczny — odpowiedział, starając się uspokoić mężczyznę.

— Nie... dam... rady... ja... muszę... powiedzieć... STÓJ! — zawołał w końcu.

Dziki spojrzał na niego, zatrzymując całą grupę gestem dłoni.

— ON... PRZYSZEDŁ... PO... CIEBIE... MÓWIĄ O TOBIE... LUDZIE Z ZARZECZA... — wykrzyczał Weteran i stracił przytomność.

Green spojrzał na niego i natychmiast sprawdził mu tętno. — Dziki, nie ma czasu! Jeśli ma mieć jakąś szansę, muszę zacząć go łątać... — ponaglił, ciągnąc za jeden z rogów koldry.

Dziki skinął głową i wszyscy pędem ruszyli na dół.

Autobus czekał na nich przed samym wejściem, więc od razu wtargali rannego do środka. Janek popatrzył tylko zszokowany na krwawiącego mężczyznę, którego grupa wciągnęła teraz na górę.

Dziki chciał już wejść za nimi na piętro, ale Oli zatrzymała go ciągnąc za bluzę. — Najpierw ja opatrzę ciebie! — zawołała, praktycznie ścigając go siłą z półpiętra.

Reszta mieszkańców zaczęła ścisnąć się zaciekawiona przy schodach, ale nikt nie odważył się wejść na górę.

W międzyczasie Oli podwinęła Dzikiemu nogawkę, ujawniając nogę pokąsaną jak po ataku psa.

— Chyba nie są głębokie... — odetchnęła z ulgą i ze schowka nad głową wyjęła jedną z wielu poukrywanych apteczek. — Odkażmy to lepiej

porządnie. Nie wiadomo, co mogą mieć w sobie Gospodarze — dodała, przyskając nogę środkiem na rany.

Dziki syknął, bo noga zaczęła szczypać wręcz przeraźliwie.

— Straszne — wyszeptał, a Oli pogładziła go po głowie.

— Proszę, jaki dzielny pacjent — zażartowała, kończąc opatrywać ugryzienie.

Uwalniając się spod jej opieki, Dziki chciał już iść na górę, żeby sprawdzić co z Weteranem. Niestety drogę na schody zablokował mu schodzący z grobową miną Korek. — Umarł... — wyszeptał, mijając Dzikiego.

Dziki przecisnął się obok chłopaka i wbiegł na piętro, zerkając wściekle na Greena, który zasłaniał właśnie rozciągnięte na kanadyjce ciało Weterana. — Co się stało?! Dlaczego mu nie pomogłeś! — wykrzyczał z frustracją na ich jedynego lekarza. Green spojrzał na niego z lękiem. — Dzikim... już było za późno. Złała się z niego chyba połowa krwi — westchnął, siadając na podłodze.

Dziki popatrzył, na przesiąkającą czerwienią kołdrę. Zastanawiał się przed kim chciał go ostrzec Weteran. — Będziemy musieli go pochować i dać znać we Wspólnocie, co tu się stało... Przepraszam, Green... To przez nerwy — wytłumaczył się, siadając obok ciała.

W tym momencie poczuł jakieś dziwne ukłucie w okolicach brzucha. Może był to stres? Może w środku był zły na samego siebie, że po raz kolejny zaryzykował swoim życiem, a do tego tym razem zrobił to zupełnie bez sensu? Może gdyby tego dnia zamiast nocować pod Lasem Ludzi krążyli po mieście, mogliby usłyszeć to wezwanie szybciej? Tysiące koncepcji i pomysłów przebiegało się przez jego czaszkę, ale w tym natłoku wybijała się jedna myśl. Obok leżał człowiek, któremu pomóc już nie mógł...

* * *

Było już całkiem jasno, gdy autobus zabrał ciało do Wspólnoty.

Tuż przy jej murach znajdował się prowizoryczny cmentarz, więc Weteran mógł chociaż liczyć na godny pochówek. Dziki miał przy okazji nadzieję, że ktoś z mieszkańców rozpozna mężczyznę i rzuci trochę więcej światła na jego historię. Zależało mu na tym szczególnie mocno, bo ostatnie słowa zmarłego były ostrzeżeniem skierowanym bezpośrednio do niego. Normalnie Dziki potraktowałby je pewnie jako majaki człowieka na skraju śmierci, ale było to już drugie ostrzeżenie, które dostał tej samej nocy.

Ledwie kilka godzin wcześniej, Pierwszy doradził mu, by opuścił Autobus i wracał pod opiekę Dix. Niestety nie udało mu się poznać powodu, dla którego miałby to zrobić, bo mężczyzna uciekł, spłoszony przez Oli i Janka.

Zmarły natomiast musiał być samotnikiem, bo choć mieszkańcy kojarzyli go z widzenia, nikt nie potrafił powiedzieć niczego więcej na jego temat. Tajemnice o niebezpieczeństwie jakie groziło Dzikiemu, zabrał więc do grobu.

Obawami związanymi z tym nieznanym zagrożeniem, Dziki podzielił się wyłącznie z Mikiem. Zrobił to między innymi dlatego, że jego przyjaciel miał wyjątkowo lekceważący stosunek do wielu spraw i rzadko kiedy traktował coś poważnie. Wiedział więc, że jako jedyny nie popadnie w paranoję, a przy okazji naprawdę potrzebował teraz jakiejś uspokajającej opinii.

Zgodnie z oczekiwaniem, gdy podzielił się z mężczyzną słowami konającego Weterana, ten praktycznie wyśmiał całą sprawę. — Aha, i niby ktoś miałby przedostać się z Zarzecza. Dokonać czegoś, czego nie zrobił jeszcze nikt do tej pory, tylko po to, żeby dopaść ciebie? Strasznie ci ego podskoczyło w tym Autobusie!

Dziki poczuł się nieco spokojniejszy, bo Mike miał w jednym względzie rację. Niby komu na Zarzeczu miałby się narazić, skoro nigdy nawet tam nie był? Ba, prawdopodobnie nawet nikt z centralnego Krańcowo tam nie dotarł...

Oczywiście całą sytuację mógłby wyjaśnić Pierwszy, ale Dziki nie miał jak się z nim skomunikować. Nie wiedział o jakich porach mężczyzna słucha radia, a nawołując go na ogólnym kanale, raczej nie zostałby za to pochwalony przez Kubę.

W ciągu kilku kolejnych dni, Dziki wciągnięty w sprawy Autobusu, prawie zapomniał zarówno o ostrzeżeniu Pierwszego, jak i tajemniczego Weterana. Kuba odwiedził ich w międzyczasie, przekazując nowo ustaloną „bezpieczną trasę”, która oprócz Niewykształconych, zmniejszała ryzyko spotkania Ręki Olbrzyma. Niestety, okazała się ona bardzo krótka, a w dodatku nie było na niej żadnych miejsc, gdzie mogliby przenocować poza autokarem. Dziki wpadł więc w rutynę nocnego czuwania, dziennego odsypiania i wertowania notatnika, gdy miał tylko wolną chwilę.

Dzięki tej systematycznej nauce, jego wiedza na temat Niewykształconych znacznie się poszerzyła, ale miało to dość nieoczekiwaną wadę. Okazało się bowiem, że na ulicach Krańcowo czyhało dużo więcej różnorakich niebezpieczeństw, niż Dziki uważał na początku. Z tego względu, coraz częściej łapał się na tym, że przeciągał jazdę, a przy każdym postoju podświadomie wyszukiwał dopiero co poznanych zagrożeń. Od momentu wzięcia się za studia nad Niewykształconymi na poważnie, praktycznie zapomniał czym były spokojne noce.

— Zgłupiejesz od tego — stwierdziła któregoś dnia Oli, wyrывая mu w końcu zeszyt z ręki.

Pochłonięty lekturą, Dziki nie zauważył nawet jak zbliżyli się do salonu meblowego, który w Starym Świecie potocznie nazywano „Dendem”. Zwyczajowo robili tu krótki przystanek, bo szafy i kuchenne stoły nie interesowały nikogo na tyle mocno, żeby fatygować się prawie pod granice miasta. To sprawiało, że miejsce to było wyjątkowo odludne.

Wyciągając dziewczynie notatnik z dłoni, odpowiedział machinalnie. — Myślę, że powinniśmy zrezygnować z przystawania tu. Takie miejsca bardzo często... — zaczął się tłumaczyć, ale nim zdążył skończyć opo-

wieść, o tym jakie rodzaje Niewykształconych preferują takie miejsca, Oli po raz drugi odebrała mu zeszyt.

— Już ci się zakola robią, jak u Prima... — stwierdziła, dżgając go palcem w czoło.

Dziki mimowolnie przebiegł dłonią po głowie, czując, że życie w błogiej niewiedzy było znacznie przyjemniejsze.

Dziewczyna popatrzyła na niego z troską, chwytając jednocześnie za ramię. — Ja wiem, że to, co nas otacza, to kanał. Ale nie możesz popadać w paranoję...

Dziki wypuścił ciężko powietrze, obserwując oddalający się budynek z ogromnym szyldem D&D. — Może masz rację. Ostatnio mam problem z uspokojeniem się — odparł, przejmując od niej zeszyt. — Ale gdybyś tylko zerknęła na notatki Kuby, zrozumiałabyś.

Oli słysząc to, uśmiechnęła się krzywo. — Właśnie dlatego nigdy tego nie robię — odparła dobitnie i zręcznym ruchem, ponownie weszła w posiadanie notatnika. Tym razem nie miała zamiaru pozwolić, żeby Dziki odebrał go zbyt łatwo, bo podniosła się z miejsca i przechodząc rząd foteli dalej, usiadła na zeszycie.

Widząc to, Dziki pokręcił zirytowany głową. — Moim obowiązkiem jest zapewnić wam bezpieczeństwo... — zaczął, chcąc wytłumaczyć swoją postawę, ale dziewczyna weszła mu w słowo.

— Boże, ty już nawet brzmisz jak Primo! Powiedz jeszcze tylko, że pomaganie ludziom to niepotrzebne narażanie się i oficjalnie zmieniam ci pseudonim... — zakpiła, jednocześnie broniąc zeszytu spódniczką.

Ponieważ Dziki nie był już w stanie dobrać się do niego, w żaden „przyzwoity” sposób, uznał zwycięstwo Oli i rozsiadł się na fotelu obok niej.

Zamykając na chwilę zmęczone oczy, zaczął tłumaczyć się po raz kolejny. — Dobra... wiem, że ostatnio jestem podminowany, ale po tym, co stało się w szkole, nie dziw się, że zrobiłem się ostrożniejszy. No i jest jeszcze Ręka Olbrzyma, która krąży po mieście. Nie chcę nawet sobie wyobrażać, co by się stało, gdybyśmy trafili na nich przypadkowo...

Oli opuściła głowę, obserwując swoje kolorowe trampki, które zabrali jakiś czas temu z jednego z opustoszałych sklepów. — Mike opowiadał ci coś ostatnio? Jak sprawa z Armią Daniela? — spytała niespodziewanie.

Dziki zastanowił się przez chwilę. Od momentu, gdy przywieźli do Wspólnoty ciało Weterana, nie widział się z Mikiem twarzą w twarz. Kontaktowali się co prawda kilka razy przez radio, ale ze względu na to, że każdy mógł podsłuchać ich rozmowę, nie mogli pozwolić sobie na pogawędkę o niczym ważnym.

— Podejrzewam, że niezbyt dobrze — stwierdził w końcu mało optymistycznie. — Gdyby doszło do jakiegoś starcia, w eterze zrobiłoby się głośno...

Oli, podnosząc jedną nogę, zerknęła na biały czubek buta i uciekając wzrokiem od Dzikiego, spytała: — Chciałbyś brać w tym udział, prawda?

Dziki zastanawiał się skąd dziewczynie przyszło to do głowy akurat w tym momencie. Niemniej nie widział powodu, by ją okłamywać. — To nie jest tak, że jakoś szczególnie przepadam za nadstawianiem karku. Wiem jednak, że są rzeczy, które nas nie ominą. Albo ktoś rozprawi się z Ręką Olbrzyma, albo wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie — westchnął.

— Też tak uważam — stwierdziła pewnie Oli, odwracając się wyzywająco w jego stronę. — I wiesz co? Rozmawiałam z naszymi chłopakami. Większość jest zdania, że powinniśmy włączyć się w to aktywnie. Gdybyś na przykład, chciał jakoś podzielać za plecami Kuby, masz moje słowo, że nikt z nas cię nie wyda...

Dziki spojrzał w stronę dziewczyny. Dopiero po chwili dotarło do niego, co kombinowała i poczuł, jak narasta w nim złość. — TO NIE JEST ZABAWA, OLI! — krzyknął.

Dziewczyna cofnęła się natychmiast wystraszona jego nagłym atakiem. Widząc jej złkniętą minę, poczuł z miejsca wyrzuty sumienia. Złapał głęboki oddech i kontynuował już spokojnie. — Powinniście się wszyscy cieszyć, że was to omija, a nie kombinować jak wziąć w tym udział — wyjaśnił, licząc, że jego stanowcza odpowiedź zakończy temat.

Oli zrobiła jednak naburmuszoną minę i zakładając wściekle ręce na piersi, odparła: — Jakbyś sam nie pchał się wszędzie...

— Ale narażam siebie! Nie możemy zagrozić bezpieczeństwu Autobusu dla jakiegoś kaprysu — warknął.

Dopiero po chwili dotarło do niego, jak strasznie zabrzmiało to, co powiedział.

Oli słysząc go, wstała wściekła. — Więc ty możesz ratować ludzi, zostawiać nas z tyłu albo się narażać! Ale kiedy my chcemy coś zrobić, to już jest źle! — wykrzyczała i ruszyła biegiem w stronę schodów.

Widząc to, Weronika poderwała się z miejsca i pobiegła za nią.

Dziki został sam, pełen sprzecznych uczuć. Do tego, już po chwili usłyszał, że woła go Janek. W czasie rozmowy z Oli siedzieli zaledwie dwa siedzenia za nim, więc musiał dokładnie wiedzieć o co się spierali. Ponieważ czuł, że złość jeszcze z niego nie zeszła, nie miał ochoty wysłuchiwać jakichkolwiek morałów. Dlatego z ogromną niechęcią podniósł się z miejsca, ale niespodziewanie kierowca spojrzał na niego spokojnie i wytłumaczył. — Nie bierz do siebie tego, co teraz powiedziała. Ona nie ma pretensji, że pomagasz innym. Po prostu Oli nie może zdzierżyć, kiedy nie ma możliwości wzięcia w czymś aktywnego udziału...

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał... — Ty się z nią zgadzasz? — spytał, bo ton mężczyzny nie potępiał jednoznacznie tego, co zamierzała zrobić dziewczyna.

Kierowca ścisnął mocno usta i wyraźnie zwolnił. — Posłuchaj, to nie jest tak, że gdy mi o tym powiedziała to zapiałem z entuzjazmu. Wiem jednak,

że wbrew temu, co mówi Kuba, to nas nie minie. Daniel i jego banda w końcu staną na naszej drodze. Nie pałam też szczególną chęcią do brania udziału w jakiejś strzelaninie. Gdybyśmy natomiast mieli podwieźć cichaczem ludzi Wilka w jakieś miejsce, by nie musieli przebijać się pieszo przez miasto, albo dostarczyć im zaopatrzenie, to czemu nie?

Dziki słysząc to, prawie prychnął: — I wierzysz, że skończyłoby się tylko na tym? Pamiętasz co Oli zrobiła pod piekarnią? Przecież jakbyśmy zaczęli wozić Weteranów, to za chwilę sama biegałaby z nimi na patrolu...

Janek pokręcił głową, spoglądając znacząco na Dzikiego. — To trochę twoja wina. No bo wiesz, strasznie ją rozochociłeś.

— Rozochociłem? — dopytał, jakby nie do końca rozumiejąc. — Przecież ona zawsze taka była. Tylko nigdy wcześniej nie miała tak szalonego pomysłu.

Janek skupił się na drodze, milknąc na chwilę. Wjeżdżali właśnie na wiadukt, z którego skręcało się na ich kolejny stały punkt przystankowy. Gdy zjechali już na szerszą drogę, ponownie zwrócił się do Dzikiego. — Posłuchaj, nie jest żadną tajemnicą, że Oli i Kuba mają zupełnie inną wizję tego, czym powinien być Autobus do Wolności. Do tej pory wszyscy nasi strażnicy: Hektor, Vlad i Primo twardo przestrzegali zaleceń Kuby, nie dając Oli najmniejszej szansy na negocjacje. Z tobą jest inaczej. Po raz pierwszy trafił jej się ktoś, kto podziela jej przekonania. Więc zaczęła cię testować...

— Testować? — dopytał ponownie, nie będąc pewien czy dobrze to rozumie.

— Właśnie, testować — odpowiedział Janek. — Sprawdza, na ile może sobie przy tobie pozwolić. A już wie, że może dużo. Przed tobą żaden ze strażników nigdy nie dał jej wpływać na swoje decyzje, a tym bardziej nie pozwoliłby jej brać udziału w akcji. Nie zdziwiłbym się, gdyby w którymś momencie zaproponowała ci całkowite odłączenie się od Kuby.

Słyszając to, Dziki był już naprawdę zdziwiony. Kuba, jaki by nie był, stanowią filar Autobusu. Organizował większość zaopatrzenia, części zamienne, selekcionował Nowoprzybyłych. Nie wyobrażał sobie by Autobus do Wolności mógł istnieć bez niego. — Chyba trochę przesadzasz...

Janek zmarszczył czoło i dodał pewnym głosem. — Konflikt między Oli a Kubą, to nie tylko kłótnia o powinności Autobusu. To siedzi znacznie głębiej...

Dziki liczył, że mężczyzna pociągnie temat dalej, ale ten skupił się na drodze, bo manewrowali teraz w dość wąskiej uliczce. Oddalając się od centrum, wjechali powoli na plac przed magazynami firmy kurierskiej „SpeedExpo”. Był to jeden z nowych punktów postojowych na ich trasie, wyznaczony przez Kubę jako stosunkowo bezpieczny.

Janek obrócił autobus w stronę wyjazdu, tak by mieli widok na ciągnącą się w oddali drogę. Następnie nie pytając Dzikiego o zdanie, sam zarządził

postój, gasząc silnik. — Chwila przerwy nie zaszkodzi. Niech maszyna ostygnie — powiedział, przeciągając się leniwie.

Dziki nie protestował, licząc na to, że mężczyzna będzie kontynuował opowieść o początkach Autobusu, ale ten sięgnął jedynie po swoją poduszkę. Ponieważ czuł, że może to być jedna szansa, żeby złapać Janka na chwili wylewności (mężczyzna przeważnie nie był zbyt chętny do rozmów o przeszłości), postanowił, że do podpuszczenia go użyje swojej najlepszej karty atutowej.

— Z tym konfliktem między Oli a Kubą chodzi o jej brata, prawda? Korek mi trochę o tym opowiadał... — wspomniawszy jakby od niechcenia i zadowolony dostrzegł, że samo wspomnienie chłopaka obruszyło Janka.

Mężczyzna cisnął poduszką w półkę i składając ręce na piersi odparł z olbrzymią irytacją w głosie. — Korek gównie wie! Jeżeli chcesz się dowiedzieć czegoś o historii Autobusu, to rozmawiaj ze mną. Podróżowałem z Kubą i Brissem praktycznie od rozpadu Pierwszej Grupy. Jeszcze zanim koncepcja Autobusu w ogóle powstała...

W tym momencie w głowie Dzikiego potwierdziło się to, co podejrzewał już od dłuższego czasu. Nie mogąc wytrzymać, prawie zawołał: — Cholera! Janek, ty jesteś prawdziwym Weteranem!

Kierowca spojrzał na niego z odrazą, jakby właśnie został śmiertelnie obrażony. — Nigdy nie używaj w odniesieniu do mnie tego tytułu! To tylko ściągą kłopoty. Tak jak te mundury i inne afiszowanie się swoją głupotą. Jakby naprawdę to, że miałem pecha pojawić się tu wcześniej niż inni, czyniło mnie kimś wyjątkowym — warknął, wyraźnie poruszony.

— Wybacz, po prostu się zdziwiłem... — przeprosił Dziki, natychmiast jednak podpytał dalej. — Ale to znaczy, że jesteś tu naprawdę długo... Jakim cudem nikt do tej pory nie zwrócił na to uwagi? Przecież każdy, kto jest tu trochę dłużej, staje się powszechnie znany. Nawet ja stałem się rozpoznawalny...

Janek pokręcił nerwowo gałką od biegów. Wewnątrz na pewno był na siebie wściekły, że dał się wciągnąć w tę rozmowę, ale widząc, że Dziki nie da mu spokoju, odpowiedział niechętnie. — Słuchaj no, chcę, żeby to pozostało między nami. Tak, jestem tu już czwarty rok, a mam święty spokój dlatego, że nie obnoszę się z tym, jak paw z ogonem. Nie bawię się w żadne klubiki, grupki, przysięgi, spotkania i inne głupoty. Nie angażuję, nie słucham... Robię swoje jako niewyróżniający się kierowca autobusu, który równie dobrze mógłby być już którymś z kolei. Dzięki temu nikt nie zwraca na mnie uwagi.

Nie chcąc dłużej denerwować Janka, Dziki sprowadził rozmowę na pierwotny tor. — Dobrze, ale mówiłeś, że przyczyna konfliktu Oli i Kuby leży głębiej. Co miałeś na myśli?

Kierowca spojrzał do tyłu, sprawdzając, czy nikt nie siedzi dostatecznie blisko by ich podsłuchać, po czym wyszeptał w stronę Dzikiego: — Wiesz w ogóle, czemu powstał Autobus do Wolności?

Dziki nachylił się nad Jankiem. — Żeby pomagać wybranym Nowoprzybyłym, stawiać tu pierwsze kroki... — wyszeptał, a kierowca uśmiechnął się ironicznie.

— Tak było na początku, za czasów Brissa i tego chciałaby Oli, a obecnie istniejemy, bo...? — spytał mężczyzna, bawiąc się swoimi dreadami.

— Żeby ogarnięci ludzie nie trafiali do Armii Daniela — westchnął z niechęcią Dziki.

Janek kilka razy klasnął cicho w dłonie. — Dokładnie, choć jest to w głównej mierze sprężyna Kuby, a mało kto pamięta, że przecież on nawet nie założył Autobusu do Wolności. Głównym twórcą całej pierwotnej idei wprowadzania ludzi do Nowego Świata, był brat Oli, Bartek. Czy jak go wołali, Briss...

Słyszając to, Dziki zamyślił się przez chwilę. Usłyszał już od Oli o jej relacji z bratem, ale nie znał szczegółów jego wkładu w powstanie Autobusu. Skoro był tak duży jak wspominał Janek, na usta cisnęło mu się jedno pytanie. — Więc dlaczego nikt go nie wspomina? Rozumiem jeszcze Weteranów, ale nawet tu w Autobusie...

Janek podrapał się dredem po brodzie, zbierając przez chwilę myśli. — Mam wrażenie, że nikt nie chce robić przykrości Oli. Jego śmierć była dla niej strasliwym ciosem. A poza Autobusem Kuba dba o to, by nasza przeszłość pozostała niejasna.

Dziki usłyszał sporą nutę goryczy w ostatnim zdaniu, więc dopytał natychmiast. — Chyba nie do końca się z tym zgadzasz?

— Dziki... — mruknął Janek. — Ja żyję dzięki Brissowi. Szanuję Kubę, ale nie podoba mi się to, że próbuje wymazać jego istnienie i przypisać sobie jego zasługi. Bo chociaż nie ujmuję temu, że Kuba wspomagał założenie Autobusu, to nawet sama koncepcja była pomysłem Brissa...

— To jak to się właściwie zaczęło? — wtrącił całkiem już wkręcony w temat Dziki.

Janek uniósł oczy, sięgając gdzieś w odmęty swojej pamięci. — Ciężko — odpowiedział w końcu. — Początki Krańcowa w porównaniu z tym co mamy teraz, to dopiero było piekło. Nowoprzybyli nie mieli wtedy wielkiego wyboru, jeśli chodzi o to, gdzie mogli się udać. Weterani traktowali ich jako konkurencję do zasobów w mieście, więc jeśli nie udało ci się trafić na jakiegoś znajomego ze Starego Świata, to w najlepszym wypadku z każdego spokojnego miejsca byłeś przeganiany. Mogłeś iść do Armii Daniela, ale tam sam wiesz najlepiej jak jest. No i mogłeś próbować sił samemu, ale nie wiedząc nic o świecie, jakie właściwie miałeś szansę na przeżycie?

Dziki westchnął, po raz kolejny rozumiejąc, jak wiele szczęścia miał w tym, że do Nowego Świata wprowadził go Autobus. Janek, nie zwracając uwagi na jego minę, kontynuował historię. — Ta sytuacja w ogóle nie podobała się Brissowi. Tak jak Oli, miał trochę ten syndrom bohatera. Dlatego chciał dać

ludziom alternatywę. Nauczyć ich, jak radzić sobie w świecie, by nie musieli wybierać między byciem popychadłem Weteranów albo trybikiem Armii.

— I jak to szło? — dopytywał dalej Dziki.

— Domyślasz się pewnie, że początki nie były łatwe — stwierdził Janek. — Briss i Kuba spierali się o wiele kwestii. Najpierw mieliśmy mieć stacjonarną bazę, ale w końcu Kuba przekonał Bartka, że najlepiej będzie przemieszczać się cały czas. Już wtedy była nas czwórka, więc prawo trzech nieco nam przeszkadzało, a przecież doraźnie mieli jeszcze pojawiać się ludzie do wyszkolenia. Więc to akurat był jeden z jego dobrych pomysłów. Długo szukaliśmy odpowiedniego pojazdu, na początek w planach był kamper, ale żadnego zdatnego w Krańcowie nie było. Jedynym sensownym pojazdem okazał się piętus.

Dziki pokiwał głową. Sam nie przypominał sobie, żeby w mieście widział szczególnie dużo kamperów. Jeśli już, to przyczepy, ale te nie były zbyt wielkie. Janek przegrzebał w tym czasie schowek i wyciągnął z niego wodę. Widać było, że od tej opowieści zaschło mu już w gardle. Dziki czekał cierpliwie aż kierowca ugasi pragnienie i dokończy opowieść.

— Dobra... — westchnął w końcu Janek, wycierając usta i wracając do tematu. — Bartek i Kuba spierali się nawet o to, jak ma wyglądać nasza działalność. Kuba kategorycznie sprzeciwiał się, żebyśmy zatrzymywali kogoś na stałe. Siedem dni szkolenia i pokazywania miasta, a potem mieli radzić sobie sami. No, ale Briss przekonał go w końcu, że jeśli trafi się ktoś naprawdę użyteczny, to warto go zatrzymać. No i na początku trafił się Klucz, a potem Green. Tylko, że to wszystko też były transakcje związane. Klucz, który był tak potrzebnym mechanikiem, przywłókł się do nas ze swoim kumplem Smalcem. Natomiast Green, który miał zadatki na lekarza, wypadł razem z Bocianem. Ponieważ podróżowali razem od samego początku, żaden nie chciał zostawić drugiego. Więc mimowolnie Autobus się rozrastał.

— No dobra — wtrącił Dziki. — Ale Papużki albo Korek raczej nie dostali się w ten sposób...

Janek pokiwał twierdząco głową i ponownie zaczął bawić się dreadami. — Oni dołączyli później i to w dość specyficznych okolicznościach...

To jeszcze bardziej zaintrygowało Dzikiego. — Może trochę więcej szczegółów? — ponaglił Janka.

Ten poprawił się na fotelu i bez zbędnego marudzenia, opowiadał dalej. — Autobus zaczął się rozkręcać i mimo drobnych starć między Brissem i Kubą, wszystko szło w miarę tak, jak zaplanowali. Założyliśmy przyczółek ze sprzętem obok cmentarza, a Kuba zamieszkał w nim właściwie na stałe. Tłumaczył, że w ten sposób nie będzie nam się dokładał do trzech i przy okazji będzie miał oko na kryjówkę. Po jakimś czasie, zgodnie z planem, po każdym Błysku zaczął nam przysyłać Nowoprzybyłych, ale Briss szybko wyłapał, że coś jest z nimi nie tak...

— To znaczy? — wtrącił Dzik.

— Widzisz, na tydzień szkolenia w Autobusie przychodziły same takie młode byczki, doskonale uwarunkowani fizycznie albo niesamowicie bystry. Brakowało zwykłych ludzi, dziewczyn, czy choćby młodzików. Briss nabrał podejrzeń w stosunku do Kuby i sam zaczął w trakcie Błysku pojawiać się na cmentarzu. Tam okazało się, że Kuba większość ludzi pchał od razu do Strefy Głodu, żeby mieć problem z głowy.

Dziki poczuł, nie po raz pierwszy, wyjątkową niechęć w stosunku do ich lidera. Nie dał jednak nic po sobie poznać, bo nie wiedział, czy Janek podzielał w tym względzie jego zdanie. Zamiast okazywać żal, spytał się po prostu. — I co się wtedy stało?

— To jasne, że Briss się wściekł — odpowiedział kierowca. — Ustalili bowiem, że Kuba nie będzie wprowadzał tylko ludzi, którzy albo byli patusami już na pierwszy rzut oka, albo byli tak ułomni, że nie mieliby żadnych szans. W każdym razie brat Oli wykopał go z Autobusu...

— Co?! — spytał Dzik, podnosząc głos, co spotkało się ze złowieszczym spojrzeniem Janka.

Szepcząc krótkie „sorry”, nachylił się bliżej, wyczekując odpowiedzi.

— Ano właśnie, wykopał go — kontynuował szeptem kierowca. — Mało kto o tym pamięta, poza najstarszymi rezydentami, ale przez kilka tygodni Kuba nie był nawet naszym członkiem.

Dziki czuł, że jego ciekawość została rozbudzona do takiego stopnia, że choćby miał wydusić z Janka dalszą część, pozna historię Autobusu. — Co było dalej? Mów!

Janek na szczęście nie wyglądał na znudzonego opowieścią, więc kontynuował ścisłym głosem. — Więc Briss miał zamiar realizować swój pierwotny plan pomagania Nowoprzybyłym. Staraliśmy się organizować takie małe trójki, żeby dziewczyny albo ludzie mniej zaradni mieli w ekipie kogoś ogarniętego. W międzyczasie Kuba wpakował się w konflikt z grupą nazywaną „Odrodzeniem Silnego”.

— Odrodzeniem? — dopytał Dzik.

— Taa, zanim rozrosła się Armia Daniela, to oni byli największą zmorą Krańcową. Ponieważ Kuba dobrze się ukrywał, pomyśleli pewnie, że zaatakują nasz autobus i zmuszą nas do powiedzenia, gdzie jest jego kryjówka. Mała grupa ich zwiadowców przyszła pewnej nocy i zaatakowała, gdy brat Oli stał na warcie... No i tu spotkała ich niespodzianka, bo w Starym Świecie Briss był zawodowym żołnierzem. — Janek zrobił nagle chwilę przerwy i kontynuował z wyraźną goryczą. — Najgorsze kurwa, w tym było to, że gdy większość członków Odrodzenia leżała martwa, dosięgnęła go zabłąkana kula. Rana nie wydawała się groźna, ale pocisk utkwiał w jakimś felernym miejscu. Greenowi brakowało doświadczenia i umiejętności, więc nie zdołał nic z tym zrobić. Kilka dni później Briss zmarł.

Dziki pokręcił głową, czując dziwne ukłucie w środku. Mimo że niemal od początku traktował Oli jak przyjaciółkę, to o jej przeszłości zaczął dowiadywać się naprawdę późno. Odczuwał nawet wyrzuty sumienia, że o tak ważnych zdarzeniach z życia dziewczyny dowiaduje się w ten sposób. — I jak zachował się Kuba? — spytał, chcąc poznać finał tej historii.

— Pewnie się domyślasz, że wrócił skruszony jakiś czas po tym — odpowiedział Janek. — Błagał Oli o przebaczenie, mówił jakieś banialuki o powinności wobec jej brata, że chce ją chronić i takie inne pierdoły. A że dziewczyna ma miękkie serce, to go przyjęła. Oczywiście na początku słuchał się jej jak mały piesek. To właśnie wtedy nasz Autobus przyjął Weronikę, Papużki, Korka, Edka, Kryspina, czyli wszystkich, z których nie ma pożytku. Pewnie byłoby tych ludzi znacznie więcej, ale Kuba znalazł sposób by wymknąć się spod władzy Oli.

— To znaczy? — spytał zszokowany Dzik.

Janek popatrzył się na niego znacząco. — Ponieważ sam nie umiał się z nią klócić, pewnie przez wyrzuty sumienia, postanowił wcisnąć nam kogoś, kto robi to za niego i powołał pierwszego strażnika autobusu, Vlada. Facet był Białorusinem, który w Starym Świecie handlował u nas na rynku, ale według mnie, miał coś wspólnego z armią. Miał strasznie surowe podejście, musztry, rozkazy i tym podobne rzeczy stały się codziennością. Kuby oczywiście z nami nie było. Posłużył się swoją starą wymówką o badaniu tego świata. Vlad, rzecz jasna, nie chciał nawet słyszeć o tym, by ktoś został z nami na stałe i tak doszliśmy do sytuacji, jaka trwa do dziś...

Dziki oparł się na fotelu. Więc taka była jego główna rola, która być może była dla Kuby ważniejsza niż ochrona ludzi w autobusie. Miał być osobą, która będzie hamowała Oli i jej szlachetne zapędy. Uśmiechnął się mimowolnie, myśląc o tym jak nieudolnie mu to wychodziło. — Teraz rozumiem znacznie więcej — stwierdził.

Po chwili spytał o jeszcze jedną nurtującą go rzecz: — Powiedz mi, co stało się z tym Odrodzeniem? Nigdy nie słyszałem o tej grupie...

— Odrodzenie zostało zniszczone przez Armię Daniela — odpowiedział Janek, praktycznie bez zastanowienia. — Jego lider, Silny był zbyt zadufany w sobie, żeby zawczasu zobaczyć jakim zagrożeniem była dla niego Armia. Gdy w końcu doszło do starcia, nazywanego tu „Pogromem Merkurego”, Daniel posiadał już tak liczną bandę, że Odrodzenie zostało po prostu zmiecione. Finałnie, Silny zginął zabity przez Cichego, który od dawna już jest prawą ręką Daniela. Większość członków Odrodzenia zginęła albo została siłą wcielona do bandery. Ci, którym udało się zbiec, zostali potem odstrzeleni przez Weteranów. Byli kutasami na równi z banderą, więc wcale ich nie szkoda...

Kończąc historię Janek złapał za kluczyk w stacyjce. — Dobra, czas żebyś wybrał nam miejsce na noc — stwierdził, przekręcając rozrusznik.

Niespodziewanie, zamiast normalnego warkotu, silnik wydał z siebie cichy niepokojący jęk. Janek spojrzał przerażony w stronę stacyjki i przekręcił ją jeszcze raz. Po kolejnym „jęknięciu” silnik odpalił z klekotem, wyraźnie falując.

— Co się dzieje? — spytał Dzik, widząc, że kierowca patrzy się na deskę rozdzielczą, z której jarzyła się czerwona kontrolka.

— Nie mam pojęcia — zawołał Janek, odruchowo przegazowując silnik. — Lepiej obudź Klucza...

Dziki ruszył do tyłu, mijając śpiących mieszkańców. Na samym środku autobusu dostrzegł nogi mężczyzny. Ich mechanik ułożył się w poprzek siedzeń, próbując stworzyć sobie namiastkę łóżka z ich niewygodnych foteli.

— Kluczu, wstawaj! Piętrus głupieje! — zawołał Dzik, szarpiąc go za spodnie.

Klucz poderwał się, klnąc pod nosem. Mijając Dzikiego, ruszył biegiem w stronę kokpitu.

Z góry schodów wyjrzała Oli, ciągle z nadąsaną miną. Ciekawość musiała jednak wygrać z gniewem, bo zeszła na dół i spytała. — Znowu się psuje?

— Chyba tak — odpowiedział Dzik i ruszył do przodu, by rozeznac się w sytuacji.

Klucz zdążył już wyjść na zewnątrz i zniknąć pod maską autobusu. Janek stał tuż obok, zerkając nerwowo w stronę silnika. Dzik, a zaraz za nim Oli, dołączyli do nich.

— Jak bardzo jest źle? — spytała dziewczyna, natychmiast wbijając się pod ramię ich mechanika, by przyjrzeć się co robi.

Klucz zignorował ją i z zaniepokojoną miną, zwrócił się do Dzikiego. — Mistrzu, jakiś czas temu dałem ci listę części dla Kubę...

— Listę części — powtórzył Dzik, starając się przypomnieć sobie sytuację i wtedy jego serce zabiło przerażone, rozlewając niedowład po całym ciele. — NIE DAŁEM MU JEJ! — zawołał, uderzając się ręką w głowę. — Zaraz po tym wylądowałem w szpitalu i zupełnie o niej zapomniałem. Założyłem, że mówiłeś mu o częściach jak z wami jeździł...

— Cholera, mówiłem mu, że potrzebujemy części i że masz listę. Powiedział, że weźmie ją od ciebie, jak już wydobrzejesz — syknął Klucz, zerkając z irytacją w jego stronę.

Dziki odwarknął natychmiast mężczyźnie. — Jeździł z wami tyle czasu! Nie mogłeś mu po prostu powiedzieć czego ci brakuje?!

Klucz spojrzał na niego spod byka, nie hamując się już wcale. — Cholera jasna, Dzik, myślisz, że pamiętam numery wszystkich części?! Po to zrobiłem listę, żebyś mu ją dał. Jesteś strażnikiem, więc odpowiadasz za takie rzeczy!

— A TY JESTEŚ MECHANIKIEM! — krzyknął. — CIĘŻKO BYŁO JESZCZE RAZ ZAJRZEĆ POD MASKĘ?!

Obydwaj zbliżyli się do siebie niebezpiecznie, gdy nagle pomiędzy nich wbiła się Oli. — NATYCHMIAST PRZESTAŃCIE SIĘ KŁÓCIĆ! — krzyknęła, po czym obdarowała jednego i drugiego potężnym kopniakiem w piszczele. — Teraz, jak obydwa ponieśliście karę za głupotę, porozmawiajmy na spokojnie. Klucz, jak bardzo jest źle?

Mechanik zerknął raz jeszcze z przekąsem na Dzikiego, po czym zwrócił się do Oli. — Alternator szlag trafia. Zaraz nie będziemy w stanie odpalić autobusu.

— A stąd w ogóle ruszymy? — wtrącił Janek, zerkając z lękiem na magazyny za ich plecami.

Klucz podrapał się po głowie, rozsmarowując brud po czole. — Główny akumulator musiał już być niedoładowywany od dłuższego czasu, bo ledwo zakręcił. Mamy jeszcze pełny zapasowy, ale na nim pojedziemy jakieś pół godziny i to pod warunkiem, że wyłączymy wszystkie światła i radio...

— A co potem? — spytała Oli.

— Koniec naszej podróży — stwierdził dobitnie Klucz, ponownie zerkając z wyrzutem w stronę Dzikiego.

— Ale przecież autobus zapalił. Nie możemy po prostu go jeszcze raz uruchomić i już nie gasić? — spytał z nadzieją Janek.

Słyszac to, Klucz jęknął, unosząc oczy do góry. — Problem leży nie w akumulatorze tylko w alternatorze... Bez niego silnik nie wytwarza prądu. Autobus ma w baku elektryczną pompę paliwa, która w tym momencie czerpie zasilanie z akumulatora. Gdy wyczerpie go do końca, po prostu stanie.

— Nie dasz rady go jakoś załatać? Przynajmniej do momentu, aż nie skontaktujemy się z Kubą? — spytał Dzik.

Klucz obdarzył go poirytowanym spojrzeniem. — Jestem mechanikiem samoukiem. Mogę podmienić jeden alternator na drugi, ale go nie zregeneruję i to jeszcze w takich warunkach... — powiedział, wyraźnie wstrzymując się od gniewnego tonu, bo Oli wsłuchiwała się w każde słowo.

— Więc jesteśmy ugotowani... — westchnął Janek, uderzając pięścią w otwartą klapę.



Rozdział VIII

Człowiek z zasadami

Awaria autobusu spowodowała nastanie prawdziwie grobowej atmosfery. Większość mieszkańców, może nie doświadczyła w pełni trudów życia Nowego Świata, ale i tak była świadoma, w jak tragicznej sytuacji ich to postawiło. Bez możliwości szybkiej ucieczki, jaką zapewniał piętrus, mogli już odliczać godziny (a może nawet minuty) zanim staną oko w oko z pierwszymi Niewykształconymi.

Dziki, na którym spoczywała główna odpowiedzialność za bezpieczeństwo, czuł, że nadmiar myśli zaraz rozsadzi mu głowę. Niemożliwe do zrealizowania pomysły wyciągnięcia ich z tego bagna, przeplatały się z przerażającymi wizjami ataku potworów oraz pełnymi poczucia winy pomstami na samego siebie.

Z bezowocnych rozważań wyrwał Dzikiego głos Janka, który podobnie do niego starał się znaleźć jakieś rozwiązanie tej beznadziejnej sytuacji. — Może spróbowałibyśmy dojechać do Wspólnoty! W międzyczasie nawoływalibyśmy Kubę przez radio... — zaproponował.

Klucz słysząc to pokręcił głową. — Wspólnota jest za daleko. Akumulator raczej już nie da rady.

Janek wyraźnie zawiedziony zmarszczył czoło, ale nie dał tak łatwo za wygraną i szybko rzucił kolejną propozycję. — Więc pojedźmy tak daleko, jak damy radę! — stwierdził łapiąc nerwowo za kierownicę. — Potem ukryjemy autobus i ruszymy do Wspólnoty na piechotę...

Kilka osób w piętrusie mruknęło twierdząco, ale Dzikie wtrącił się, gasząc rozbudzone nadzieje. — Nawet zakładając, że udałoby się nam dostać do Wspólnoty, to co potem? Pod jej murami jest bardziej niebezpiecznie niż gdziekolwiek indziej. Nie mamy też zapasów, które moglibyśmy przehandlować za pobyt wewnątrz...

Wszyscy popatrzyli na Dzikiego zawiedzeni, ale Edek otworzył nagle oczy jakby doznał oświecenia. — Mike! — zawołał. — On przecież mógłby nas przepchnąć. Wyjaśnić, że to awaryjna sytuacja!

Dziki stuknął nerwowo palcami w boczną część drzwi. — Bądźmy realistami. Mike nie ma nieograniczonych wpływów. Nawet ze wsparciem Krzaka wcisnąłby dwie, może trzy osoby. Na pewno nie nas wszystkich. Do tego, nie

wiemy czy Mike i Krzak są w ogóle we Wspólnocie. Jeśli akurat będą na patrolu z Wilkiem, a my wpadniemy na Ostrego, jesteście ugotowani.

Smalec wyskoczył nagle z propozycją, nad którą Dziki myślał już od dłuższego czasu. — Przecież moglibyśmy poprosić o pomoc Defekt. Dix na pewno nie odmówi Dziukiemu.

To wzbudziło znacznie większy entuzjazm wśród mieszkańców, ale Dziki ponownie zgasił ten rodzący się płomień nadziei. — Sam nad tym myślałem, ale podobnie jak z Mikiem i Krzakiem, nie mamy pewności, gdzie teraz jest Dix i jej ludzie... No i ciągle pozostaje dotarcie pod samą stację tak liczną gromadą. To byłby cud gdybyśmy drogę przetrwali wszyscy...

— To poproś Dix, żeby przyszła po nas! — zawołał oburzony Smalec, szybko zapominając o swojej skrusze i pokorności.

— Myślisz, że pierwszy na to wpadłeś? — fuknął Dziki, zirytowany tonem chłopaka. — Tylko weź pod uwagę, że jesteście teraz bliżej Strefy Głodu niż Wieży. Podając naszą pozycję przez radio, musimy być świadomi, że Daniel i jego ludzie też słuchają. Nadając na otwartym kanale, możemy się pograć zamiast otrzymać pomoc...

Oli stanęła obok Dzikiego, spoglądając na zgromadzonych. — Mam pewien pomysł — stwierdziła z zaciętą miną. — Może jest nieco szalony, ale posłuchajcie mnie. Mamy karabin, który został po Weteranie, kbks i tetetkę Dzikiego, mój pistolet. Moglibyśmy rozdzielić się na mniejsze grupy i ukryć gdzieś na mieście. A w międzyczasie skontaktowalibyśmy się z Kubą i doprowadzili autobus do porządku.

Pomysł dziewczyny został przyjęty wyjątkowo krytycznie. Smalec prawie natychmiast zaprotestował. — Przecież praktycznie nikt z nas nie musiał od dawna radzić sobie poza autobusem. Przetrwać poza nim umie tak naprawę jedynie Dziki! Tylko ci, którzy poszliby razem z nim, mieliby jakiegokolwiek szanse.

Kilka osób poparło go cichym pomrukiem.

— Ale musimy coś zrobić i to szybko — jęknęła Weronika, rozglądając się z lękiem po zgromadzonych. — Stoimy już tak długo... zaraz będzie tu pełno potworów.

— Na pewno nie możemy zostać w miejscu — poparł ją Green.

Dziki stracił już wiarę w to, że ktoś z podopiecznych podsunie mu jakąś sensowną myśl. Zamiast więc wsłuchiwać się w ich rozważania, zwrócił się do Klucza. — Ile zajęłoby ci naprawa tego alternatora? Zakładając, że miałbyś części?

Mężczyzna spojrzał na niego z wyrzutem i odpowiedział nie kryjąc irytacji. — Już ci mówiłem, że nie naprawię alternatora. Mogę wymienić jeden na drugi. Gdybym miał zapasowy, zajęłoby mi to pewnie jakąś godzinę.

Dziki podrapał się po głowie. Godzina postoju w jakimkolwiek miejscu poza najbardziej bezpiecznymi terenami Krańcowa i tak była ogromnym ryzykiem.

Oli zbliżyła się i widząc jego minę, spytała natychmiast. — Chodzi ci coś po głowie? Prawda?

Dziki odsunął dziewczynę i Klucza na bok. Wykorzystał moment, gdy wszyscy licytowali się o to, kto w razie czego pójdzie z nim jako ogon. — Posłuchajcie — zaczął szeptem. — Mamy tylko jedną szansę. Jeden strzał. Kilkanaście minut jazdy. Od tej decyzji zależy wszystko. Wybierzemy złe miejsce, autobus przepada, a ludzie są w niebezpieczeństwie. Na Wspólnotę nie możemy liczyć. W Defekcie Dix pewnie by nas przyjęła, ale przecież nie robi tego na stałe. Rozbicie się na grupy nie skończy się dobrze, a Kuba też nie pojawi się w pięć minut z częścią w rękach...

Klucz spuścił zrezygnowany głowę, ale Oli spoglądała na Dzikiego nie tracąc nadziei. — Ale masz jakąś myśl. Mów — zachęciła go.

— Pojedźmy po alternator sami! — zaproponował Dziki. — Hurtownia części jest bliżej niż jakiegokolwiek bezpieczny punkt. Przy odrobinie szczęścia doczłapiemy się tam nawet zepsutym autobusem...

Klucz słysząc to, zrobił przerażoną minę i zawołał. — Ty naprawdę chcesz jechać do Ikara? — Hurtownia części „Ikar”, o którą chodziło mechanikowi, była mekką wszystkich krańcowskich druciarzy. Stojąca na wylocie miasta ogromna hala, stanowiła największy punkt przerzutowy wszelkiego rodzaju osprzętu samochodowego. Choć w Starym Świecie Dziki nigdy nie dorobił się własnego auta, to jego ojciec wielokrotnie zaopatrywał się tam w części. Jeżeli gdziekolwiek w mieście miał znajdować się alternator do ich piętrusa, to właśnie tam.

Tylko, że lęk w głosie Klucza po wspomnieniu tego miejsca, mocno zaniepokoił Dzikiego. — Co jest nie tak? — spytał szykując się na najgorsze.

Mechanik nie odpowiedział. Oli, która zachowała znacznie więcej zimnej krwi, zrobiła to za niego. — Obok Ikara jest miejsce, na które mówią „Martwy Pas”. Ta galeria handlowa ze Starego Świata przy głównej trasie, to teraz prawdziwe gniazdko Niewykształconych — wyjaśniła.

Dziki znowu poczuł zwątpienie. Myśl o zdobyciu części była jedyną sensowną, jaka od początku tej sytuacji przyszła mu do głowy.

Oli musiała uważać podobnie, bo mimo wcześniejszej przestrogi stwierdziła, starając się brzmieć pewnie. — Może to jest nasza szansa... Jakiegokolwiek decyzji byśmy nie podjęli i tak ryzykujemy, a ten plan jako jedyny nie zakłada porzucenia autobusu.

Klucz podrapał się po brodzie wyraźnie zamyślony. — W Ikarze na pewno znaleźlibyśmy alternator. No i przez Niewykształconych mało kto się tam zbliża. Raczej nie byłoby zagrożenia ze strony Ręki.

Dziki, chcąc chwycić promień pojawiającej się nadziei, zawołał: — Do Ikara nie musieliśmy przecież wchodzić wszyscy. Wystarczyłbym ja do ochrony i Klucz, żeby dobrać części. Reszta mogłaby małymi grupami ukryć się gdzieś w pobliżu, by nie narażać się na działanie prawa trzech...

Janek, który usłyszał o czym rozmawiają, wtrącił się mówiąc. — To się nie skończy dobrze.

— A co możemy zrobić innego? — spytała Oli, spoglądając na kierowcę.
— Musimy zrobić wszystko, żeby Autobus do Wolności przetrwał.

* * *

Gdy autobus opuszczał plac i wyjeżdżał w stronę Ikara, jego mieszkańcy praktycznie zamarli. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Wszyscy wpatrywali się nerwowo w okna.

Dziki stojąc obok Janka, przyglądał się z niepokojem błędnym powoli kontrolkom na kokpicie pojazdu. Tuż przed nimi wylaniał się powoli słup reklamowy „PAS-a”.

W Starym Świecie ten utworzony zaledwie na rok przed Błyskiem kompleks, stanowił jedną z najnowocześniejszych inwestycji Krańcowo. Ciągający się wzdłuż głównej trasy rząd sklepów z ogromnym parkingiem, miał dać przyjeźdnym poczucie, że miasto nie jest tak zapadłą dziurą, jaką było w rzeczywistości.

To, co niegdyś święciło triumfy, nie przetrwało próby czasu i Nowego Świata. Białe fasady budynków pokryły się smętnymi plamami rdzy. Niekonserwowane neony sklepów gubiły po kolei litery, a te rozbiły się na parkingu, pokrywając go kolorowymi kawałkami szkła. Ten widok uświadomił Dzikemu, że cały kompleks zapewne nigdy nie uległ Resetowi. Doskonale widoczne zniszczenia nie powstały przecież w ciągu jednego roku. Dla Autobusu nie miało to jednak większego znaczenia. To nie PAS był ich głównym celem, lecz stojąca kilkaset metrów bliżej spora szara hala. Siedziba Ikara nie przyciągała wzroku, a gdyby nie ledwo widoczny już napis na płocie, ciężko byłoby zgadnąć, co mieściło się w tej smętnej budowli. Plac przed główną halą hurtowni zawałony był ułożonymi w stosy oponami oraz stojącymi na paletach zużytymi akumulatorami.

Autobus do Wolności wtoczył się powoli przez główną bramę, rozpychając ją zderzakiem i zaparkował tuż przed wejściem.

— Udało się — odetchnął Janek, obserwując ledwo już widoczne kontrolki na desce rozdzielczej.

Klucz, nachylił się nad kokpitem i westchnął ciężko. — Akumulator zdechł na amen... Oby w środku było jeszcze coś zdatnego, od czego będziemy mogli się podładować.

Dziki nie czekając, zebrał swoich podopiecznych na przodzie busa i zaczął ponownie tłumaczyć to, co ustalili w trakcie drogi. — Dobra, postępujemy zgodnie z planem. Janek, ty weźmiesz mój pistolet. Razem z Laurą i Beatą schowacie się na podwórku tego dużego budynku, który przed chwilą mijaliśmy...

Kierowca autobusu spojrzał z ukosa na Dzikiego, biorąc broń do ręki.
— Dziki, cholera. Nie mam z tym dużego doświadczenia...

— Dlatego broń jest odbezpieczona i załadowana. Celujesz i naciskasz spust. Żadna filozofia. Poza tym, ze wszystkich będziecie najbliżej. Jakby coś się działo wracajcie tutaj, a ja wam pomogę — tłumaczył, próbując dodać grupie trochę otuchy.

Janek przytaknął niepewnie. — Będziemy w kontakcie radiowym.

Trójka osób z kierowcą na czele opuściła piętrusa i ruszyła drogą w ustalonym kierunku.

Dziki zwrócił się teraz do Bociana. — Ty kiedyś strzelałeś, tak?

— Z replik RAM — odpowiedział chłopak — ale zasada jest bardzo podobna.

— Ta będzie mocniej odrzucać przy strzale. Masz ustawiony pojedynczy ogień i naciągniętą iglicę — wyjaśnił Dziki, podając chłopakowi karabin poległego Weterana. — Niestety ma tylko sześć kul — dodał z przestrogą.

— Obym nie musiał użyć żadnej — odpowiedział z nadzieją Bocian, a potem razem z Kryspinem i Weroniką ruszyli schować się na pobliskiej łące.

Dziki zwrócił się teraz do Oli. — Ty umiesz...

— Tak — przerwała mu dziewczyna. — Uczyl mnie Briss... — widząc jednak jego niepewną minę, dodała natychmiast. — Nie martw się! Przy mnie nic im nie grozi.

Dziki zerknął w stronę Smalca i Greena. W razie nerwowej sytuacji, Oli raczej nie miałyby z nich wielkiego pożytku. Szczerze żałował teraz, że nie udało się tych grup podzielić jakoś inaczej.

— Uważaj na siebie — szepnął kładąc dziewczynie rękę na ramieniu. — W razie czego od razu wracajcie tutaj.

Oli ścisnęła mu dłoń, ale jej wzrok powędrował na dwie ostatnie osoby w autobusie. — A co z Edkiem i Korkiem? Przecież nie pójdziecie do Ikara we czwórkę...

— Nie mamy już więcej broni, żeby stworzyć choćby parę... — wyjaśnił Dziki, zerkając niepewnie w stronę PAS-a. — Edek ukryje się w autobusie, a ja, Klucz i Korek wejdziemy do hurtowni. Edek sam w piętrusie raczej nic nie przywabi, a w razie czego, my będziemy tuż obok.

Oli skinęła głową, ale podobnie do Dzikiego miała chyba sporo wątpliwości. Niemniej posłusznie zebrała swoją gromadę i ruszyła w ustalone wcześniej miejsce. W autobusie zostało już tylko czterech mężczyzn. Dziki zabrał Korka i Klucza na zewnątrz, a Edek zabarykadował się w środku pojazdu. Tuż obok nich górował teraz sporych rozmiarów magazyn, pomalowany w smętny ołówkowy kolor. Na szczęście dla autobusiarzy Ikar chociaż mocno sfatygowany, wyglądał na wciąż nietknięty ręką szabrowników. Trudno jednak było się temu dziwić. Oprócz Autobusu do Wolności, nikt w Krańcowie nie korzystał z pojazdów. Części do samochodów nikogo więc szczególnie nie interesowały.

Dziki zbliżył się do przeszkłonych drzwi. Był to jedyny element fasady mający mniej niż czterdzieści lat. Wyciągniętą ręką sięgał już w stronę klamki, gdy

nagle usłyszał, że ktoś nawołuje go przez radio. — Dziki, Dziki... — Natychmiast odwrócił się w stronę autobusu, a potem rozejrzał po okolicy. Czyżby ktoś z jego ludzi już miał kłopoty? — Dziki, Dziki... — odezwał się ponownie głos z radiostacji.

— Jestem — odpowiedział w końcu, przykładając krótkofalówkę do ust.

— Zdejmij palec ze spustu! Przyjaciele idą — powiedział jakiś znajomo brzmiący głos.

Dziki poczuł jak serce zabiło mu mocniej ze strachu. Gestem dłoni nakazał Kluczowi i Korkowi zostać z tyłu, a sam wysunął się z bronią w pogotowiu. Ktoś musiał ich zauważyć. Ale kto? Ludzie z Ręki Olbrzyma? Pers? Głos przedstawił się jako „przyjaciel”, co już brzmiało jak wierutne kłamstwo.

Rozglądając się po okolicy, Dzik, starał się wypatrzyć skąd nadejdzie potencjalne zagrożenie. Nie upłynęła nawet minuta, jak dostrzegł na drodze trójkę ludzi wyglądających na Weteranów. Postacie ewidentnie zmierzały w ich stronę, nawet nie próbując się maskować.

Dziki przeklął pod nosem, bo zostawił w autobusie lornetkę. Przez to nie mógł z wyprzedzeniem ocenić, kto się do nich zbliża. Z duszą na ramieniu i ściśniętą w dłoni bronią obserwował więc jak przybysze przekroczyli bramę Ikara, a potem zniknęli zasłonięci przez piętrusa. Przez chwilę wydawało mu się, że mignęły mu jakieś znajome twarze, ale przezornie uniósł lufę kbks.

— Bez nerwów, Dziki! — zawołał jeden z Weteranów. — To ja, Wiewiór.

Dziki odetchnął z ulgą, opuszczając broń i obserwując, jak mężczyzna wychodzi zza autobusu w towarzystwie swoich ogonów: Klocka i Żółtego.

— Kłopoty z autem? — spytał Wiewiór, wyciągając dłoń na powitanie.

— Szukamy zapasowych części — odpowiedział wymijająco Dziki, witając się z przybyłymi.

W międzyczasie Korek widząc, że nie ma zagrożenia, zaczął powoli przysuwać się do nich. Robił to przy okazji tak cicho i powoli, jakby się bał, że ktoś go zwróci, jeśli zostanie zauważony. Dziki zignorował dziwne zachowanie chłopaka i spoglądając na Wiewióra spytał. — A wy, co tutaj robicie?

— Zarabiamy na chleb — odparł mężczyzna, wyraźnie z jakiegoś powodu zadowolony. — Od momentu pojawienia się Ręki Olbrzyma ceny za różne fanty strasznie poszły w górę. Nikt nie chce wyściubiać nosa poza Wspólnotę, a towar sam się nie przyniesie... — wyjaśnił klepiąc znacząco swój pusty plecak.

W międzyczasie Korek doczłapał się do nich i chowając za Dzikim, zaczął z uwielbieniem obserwować Wiewióra. Dziki nie był tym szczególnie zdziwiony, bo chłopak zawsze reagował w ten sposób na obecność Weteranów. Po wielu przymusowych rozmowach jakie odbył z nim w trakcie nocnych wart, już dawno wyłapał, że chłopakowi marzyło się skrycie zostanie czymś ogonem. Jak większość nastolatków, miał on trochę skrzywione spojrzenie na niebezpieczeństwo i przeceniał własne możliwości. Na szczęście dla siebie, na przygody poza piętrusem miał raczej niewielką szansę.

Dziki postanowił nie prowokować Korka do włączenia się w rozmowę, bo ta mogłaby się wtedy przeciągnąć w nieskończoność. Dlatego udając, że wciąż go nie zauważył, zwrócił się do Wiewióra. — Szukacie tu czegoś konkretnego?

Słyszac pytanie Wiewiór zamyślił się przez chwilę, jakby nie był do końca pewien czy chce na nie odpowiedzieć. W końcu jednak, przyglądając się Dzikemu, machnął znacząco ręką. — A co mi tam, ty raczej masz za dużo na głowie, żeby robić nam za konkurencję — mówiąc to sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małą kartkę. — Mam tu całą listę, łącznie z cenami.

Dziki wziął zapiski do ręki i ciężko mu było uwierzyć w to, co zobaczył. Oprócz oczywistych rzeczy jak amunicja czy papierosy, były tam przedmioty po prostu absurdalne na przykład: depilator akumulatorowy firmy „Bianko”, gra komputerowa Magiczni Bohaterowie 3 czy Książka „Łzy Ilian”.

— Ktoś naprawdę za to płaci? — spytał z niedowierzaniem, oddając Wiewiórowi jego listę.

— We Wspólnocie nie bywasz poza szpitalem, to nie wiesz — zaśmiał się Weteran, chowając kartkę z powrotem do kurtki. — Konglomerat potrzebnych i ich świta śpi na kasie. Teraz to taka obecna nowobogacka elita. No i oczywiście, jak wszyscy tęsknią oni za starym porządkiem. To przekłada się na ceny jakie płacą za ulubioną grę, czy ukochaną książkę sprzed tego burdelu... Nostalgalia kosztuje! — podsumował Wiewiór, z zadowoleniem zacierając ręce.

— Poważnie się to wam opłaca? — dopytał dalej nieprzekonany Dziki.

— Wiesz, taka prywatna rada od starego Weterana — szepnął teatralnie Wiewiór, spoglądając znaczą na Dzikiego. — Żarcia czy amunicji szukają wszyscy. Większość sklepów jak tylko się zresetuje, ludzie obsiadają jak muchy gównu. No, ale na takie rzeczy jak elektronika, książki, czy choćby, no nie wiem... damskie podpaski, mało kto już zwraca uwagę. Nawet jak miną tygodnie od Błysku, ciągle wala się tego pełno. Jeśli wiesz komu to sprzedać, bardziej opłaca się opchnąć takie badziewie za srebrne i kupić to, czego ci akurat brakuje we Wspólnocie...

Dziki musiał przyznać, że koncepcja wcale nie wydawała się głupia. W całej sytuacji dziwiło go tylko jedno. — Ale dobrze mi się wydaje? Czy idziecie w stronę PAS-a? To chyba nie jest zbyt bezpieczne... Nie ma tam czasem jakiś specjalnych Niewykształconych?

— SA SZEFIE, NAZYWAJĄ SIĘ „POLEGLI”! — wrzasnął piskliwym głosem Korek.

Najwidoczniej nie był już w stanie wytrzymać dłużej, nie włączając się w rozmowę. Wiewiór dopiero teraz zwrócił uwagę na niego i słysząc entuzjazm chłopaka, uśmiechnął się pod nosem. — Widzę, że rośnie ci następca... — stwierdził, klepiąc Korka po plecach.

Pochwalony chłopak o mało nie popłakał się ze szczęścia.

— Może kiedyś... — odpowiedział wymijająco Dziki. — A jak wam idzie walka z Ręką Olbrzyma? — spytał, by zmienić temat.

Wiewiór zmarszczył czoło i poruszył nerwowo palcami. — Nie lepiej niż na początku. Informator Wilka do tej pory się nie odezwał, a w ich atakach dalej nie ma żadnego logicznego porządku. Plus jest tylko taki, że ostatnio pada coraz mniej trupów.

— Czemu? — dopytywał dalej Dzik.

— Ludzie zaczęli bardziej uważać — stwierdził smętnie Wiewiór. — Wszyscy, którzy mają trochę oleju w głowie, krążą teraz gdzieś w pobliżu Wspólnoty albo ukrywają się lepiej niż wcześniej. Choć i to nie gwarantuje stuprocentowego bezpieczeństwa. Ostatni powieszony, Tomek Kołodziej, został wyciągnięty z tej socjalnej kamienicy, raptem pół kilometra od Wspólnoty.

Dziki przelknął nerwowo ślinę. Kamienica, o której mówił Wiewiór, była dawnym domem Mike'a i rzeczywiście znajdowała się bardzo blisko Wspólnoty. Przez chwilę przeraził się myślą czy nic nie zagraża Dix. W końcu jednak stwierdził, że przecież Ręka Olbrzyma na pewno nie rzuciłaby się w tym momencie na Defekt. Sama Dix byłaby dla nich zbyt dużym zagrożeniem, a do tego jeszcze wsparta przez swoich ludzi, stanowiła wyzwanie, z którym dopiero co powstała grupa nie mogłaby się równać.

— Dobra, nie będziemy wam dokładać do trzech — stwierdził w końcu Wiewiór i pożegnał się z Dzikim oraz Korkiem. To samo zrobili towarzyszące mu ogony. — Jakbyś potrzebował pomocy, daj znać przez radio — zaproponował jeszcze nim odeszli. — Będziemy kręcić się w pobliżu przez jakiś czas...

— Dzięki! — odparł Dzik, a mężczyźni ruszyli w stronę bramy.

— To... wchodzimy w końcu? — spytał rozentuzjasmowany Kerek.

Od momentu, gdy Wiewiór nazwał go zastępcą Dzikiego, uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Dziki natomiast spoważniał teraz znacznie bardziej. Ta niespodziewana wizyta zabrała im sporo cennego czasu, dlatego nie miał już zamiaru zwlekać nawet chwili. Najpierw dołączyli do ciągle schowanego za autobusem Klucza, a potem we trzech zbliżyli się do drzwi Ikara.

Kerek był już gotów wejść do środka jako pierwszy, ale Dzik powstrzymał go i przez zakurzoną szybę rozejrzał się najpierw po wnętrzu. Po drugiej stronie dostrzegł długi korytarz z kilkoma przejściami, czerwone skórzane fotele poczekalni i automat z napojami dla petentów. Na pierwszy rzut oka miejsce nie wydawało się niebezpieczne, więc uchylił drzwi i wślizgnął się do środka.

Ściany wewnątrz hurtowni oblepione były reklamami olei samochodowych oraz przekrojami elementów silnika. W głębi hali stały dwa rzędy ciasno rozłożonych biur, przy których w Starym Świecie sprawdzało się dostępność albo zamawiało części. Na wielu z nich stały jeszcze osobiste rzeczy dawnych pracowników.

Widok niedopitego kubka spleśniałej kawy uświadomił Dzikiemu, że w momencie Błysku ludzie pracowali tutaj, jak gdyby nigdy nic. Nieświadomi

tego, że już za chwilę ich życie się skończy. Ten widok zahipnotyzował go tak bardzo, że ocknął się dopiero szturchnięty przez Korka.

— Wszystko w porządku, szefie? — wyszeptał złknięty chłopak.

— Zamyśliłem się — stwierdził Dzik i poprowadził kompanów dalej.

Po swojej lewej stronie minęli okienko kasowe, w którym regulowało się należności za części. Elektroniczna kasa z otwartą szufladką i zakurzona faktura leżały nietknięte zapewne od momentu Błysku. Kerek zatrzymał się na chwilę i zrywając wyblakły paragon, spojrzał na jego treść.

— Wyszedł na minutę przed Błyskiem! — zapiał chłopak tak uradowany, jakby odkrył jakąś niezwykle tajemnicę. — To mogła być ostatnia transakcja dokonana w Starym Świecie...

Dziki uznał to za na swój sposób interesujące, ale Klucz fuknął na Korka wyraźnie poirytowany. — Jesteśmy tu by szukać alternatora, a nie pamiętek z dawnego porządku...

Dziki nie chcąc awantur, dał znak by szli dalej, ale odchodząc sam rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na otwartą kasę. Sterta zakurzonych pieniędzy wciąż leżała wewnątrz szuflady. Mimo iż nie miały już żadnej wartości, nie mógł powstrzymać dziwnego podniecenia tym widokiem.

Finalnie doszli do końca korytarza, gdzie przy małym okienku wisiała tabliczka z napisem „Odbiór zamówień”. Wszyscy trzej stanęli przed wejściem do magazynu, oddzieleni od niego jedynie przez ladę. Ledwie kawałek dalej rozciągała się już główna część magazynu, gdzie na stalowych regałach ułożone były pudelka z częściami.

Nie czekając na zachętę, Klucz przeskoczył przez blat i zaczął rozglądać się za alternatorem.

— Obserwuj wejście! — wyszeptał Dzik w stronę Korka, a potem sam prześlizgnął się po ladzie za Kluczem. — I? — spytał, widząc mechanika przeglądającego pobieżnie pudelka.

— Powinno tu być... — odparł zamyślony Klucz. — Ale nie wiem, jak oni składują części. Alfabetycznie? A może po numerach...

— Czego w ogóle szukamy? — dopytał Dzik.

— Dość sporej aluminiowej tuby, zakończonej z jednej strony rolką. W szczelinach będziesz widział miedź — wyjaśnił mechanik, nie przerywając grzebania między częściami.

Dziki doskoczył do następnego regału i zaczął przeglądać kolejne pudła, ale starał się zachować przy tym porządek. Klucz z kolei bez ogródek zrzucał wszystkie przejrane komponenty na podłogę, co z jakiegoś powodu strasznie go denerwowało. To miejsce przed ich przybyciem było jak skansen ostatnich chwil Starego Świata. A mężczyzna bez chwili refleksji po prostu rujnował to wszystko.

W pewnym momencie, gdy wyjątkowo ciężkie pudło uderzyło z brzękiem o podłogę, z głębi magazynu dobiegł wrzask: — POMOCY! RATUNKU!

Cała trójka z autobusu zamarła przez chwilę jak sparaliżowana.

— Ktoś tu jest? — wyszeptał Klucz, a jego oczy pobłądziły złękniome w kierunku, z którego dobiegało nawoływanie.

Korek stracił zupełnie kolor na twarzy i doskakując do lady, wydukał:

— Ktoś... ktoś potrzebuje pomocy... powinniśmy chyba... coś...

Dziki wiedział zdecydowanie, że powinni „coś”, ale to coś było zdecydowanie czymś innym niż miał na myśli Korek. Niemal natychmiast zorientował się, że nie mają do czynienia z człowiekiem w potrzebie. Prośba o pomoc była głośna, ale jednocześnie całkiem sztuczna i pozbawiona jakichkolwiek emocji. Zupełnie jakby na scenie teatru kiepski aktor próbował zagłuszyć własny brak talentu.

Korek zebrał się w końcu w sobie i był już gotów ruszyć w głąb magazynu, ale Dziki powstrzymał go, łapiąc przez ładę za ramię. — Poczekaj... — szepnął, a już po chwili kolejne wołanie o pomoc dobiegło do ich uszu. Zaskoczony chłopak popatrzył niepewnie na Dzikiego, a ten szepnął do niego. — To na sto procent Niewykształcony...

Oczy Korka rozszerzyły się z podziwem, a Dziki przeskoczył do niego przez ładę. Potem specjalnie uderzył kolbą swojej broni o pobliski metalowy regał, żeby zrobić trochę hałasu. Z głębi pomieszczenia znowu dobiegł wrzask. — RATUNKU! POMOCY! BŁAGAM! POMOCY!

Dziki dumny ze swojej dedukcji, zwrócił się do towarzyszy. — To Łapka, próbuje nas zwabić wołaniem...

Klucz spojrzał na niego niepewnie. — Nie przyjdzie tutaj?

— Duże nie są w stanie się poruszać, a małe też nie są za szczególnie żwawe. Szukaj na spokojnie części, ja pójdę sprawdzić — mówiąc to, Dziki ruszył w kierunku, z którego dobiegało wołanie potwora, aż doszedł do drzwi z ogromnym napisem „zakaz wstępu”.

Naciskając cicho na klamkę, uchylił je delikatnie i przez szparę rzucił okiem do środka.

Nim zdążył cokolwiek zobaczyć, do jego nosa dotarł smród bijący z wnętrza. Odór zgnilizny był tak niewyobrażalnie silny, że momentalnie poczuł mdłości i musiał odsunąć się od drzwi. Przy drugiej próbie zasłonił twarz kapturem i dopiero wtedy dał radę rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Pokój socjalny pełen był osobistych rzeczy pracowników. Na krzesłach wisiały polary, na stole leżały talerze z wysuszonym na wór jedzeniem. Obok elektrycznego czajnika stało kilka kubków z herbatą gotowych do zalania. W samym rogu pomieszczenia Dziki dostrzegł w końcu potwora, skrytego za nieczynną lodówką.

Łapka o wiele bardziej przypominała okaz naszkicowany przez Kubę niż kolosa, którego widział w Centrum. Oba miały łysą, pomarszczoną głowę o kształcie muszli ślimaka morskiego, ogromną paszczę pozbawioną zębów i ręce zakończone przerośniętymi dłońmi, w objęciu których bez trudu zmie-

ściłby się dorosły mężczyzna. Istota zdawała się „siedzieć” na czymś w rodzaju ogromnej cielistej kuli, która w rzeczywistości była zmienionym przez Błysk korpusem. Najdziwniejsze było to, jak Łapka „krzyczała”. Nie poruszała ustami jak ludzie przy rozmowie. Otwierała jedynie paszczę, a dźwięk zdawał się dochodzić z wnętrza jej brzucha.

— POMOCY! BŁAGAM! — wykrzyczała ponownie istota, wypatrując wyjątkowo bystrzymi oczami czy dźwięk przywabił ofiarę.

Dziki wycofał się powoli, delikatnie zamykając drzwi. Poczuł w tym momencie ogromną satysfakcję, bo wertowanie dziennika Kuby zaczęło przynosić owoce i uchroniło go przed wpadnięciem w pułapkę potwora.

Wracając do Klucza i Korka, którzy czekali w napięciu, uniósł kciuk w górę, by dać im do zrozumienia, że są bezpieczni. — Raczej się do nas nie pofatyguje, tylko nie róbmy już hałasu...

Mężczyźni wrócili więc do poszukiwań. Łapka co prawda jeszcze kilka razy nawoływała za nimi, ale gdy przez dłuższy czas zachowywali się cicho, w końcu i ona zamilkła. Po jakimś kwadransie Klucz uniósł w końcu jedno z pudełek. — JEST! — zawołał triumfalnie, a to natychmiast sprowokowało Łapkę. Mechanik, nie przejmował się już tym jednak wcale.

— Będzie pasować? — dopytał Dziki, obserwując jak Klucz wyciąga alternator z pudełka.

— Marka się zgadza. Model może być inny, ale przekonam się jak przymierzę... — odpowiedział, oglądając część w dłoniach.

— Dobra, i tak stąd na razie nie odjedziemy — westchnął Dziki. — Jak nie będzie pasowało, będziemy szukać dalej — dodał, chociaż miał ogromną nadzieję, że udało im się trafić za pierwszym razem.

Prześlizgując się ponownie nad ładą wrócili do Korka, który czekał cały czas przy drzwiach, obserwując łapczywie automat z napojami.

— Słuchajcie. Chyba tego tak nie zostawimy? — spytał, spoglądając z nadzieją na wielką reklamę „Coli”.

— Daj mi chwilę — stwierdził Klucz wracając do magazynu, po czym wyszedł z niego, trzymając ogromny łom.

* * *

Podczas gdy Klucz kończył doprowadzać ich autobus do porządku, mieszkańcy zebrali się na placu gotowi, by natychmiast opuścić to niebezpieczne miejsce. Dziki siedział w tym czasie na dachu, obserwując jednolite szare niebo. Czy to, co wisiało nad nimi, to rzeczywiście były chmury? A jeśli tak, to czy kryło się za nimi jakieś słońce? Przypominał sobie swój ostatni raz, gdy widział czyste niebo i to o dziwo w miejscu, w którym nikt by się tego nie spodziewał. — Za Lasem Ludzi... — powiedział do siebie.

— Co mówisz? — spytała Oli, która ledwie chwilę wcześniej rozłożyła się obok niego.

— Przypomniało mi się, jak wylądowałem za strefą przygraniczną. Tam niebo było błękitne, ale nie było na nim słońca. Czym właściwie jest to coś za strefą zamarcia? — spytał retorycznie.

Słyszając jego pytanie, Oli zmarszczyła czoło. — Chyba nikt nie zna odpowiedzi. Zastanawiam się, czy w ogóle kiedykolwiek ją poznamy...

Dzikemu przypomniał się w tym momencie Smutny, jedyna osoba, jaką spotkał za Lasem Ludzi. Wydawał się być kimś, kto miał niebagatelną wiedzę o Nowym Świecie. Wiedział, jak przejście przez granicę zmieni Dzikiego i Delimera. Znał reguły rządzące różnicą czasu w strefie. Przez myśl przeszło mu, że może on znałby odpowiedź. Niestety, w momencie, gdy doszło między nimi do spotkania, Dzikiego miał na głowie zbyt dużo problemów, by zastanawiać się nad początkami koszmaru, w którym żył.

Oli obserwowała go, popijając colę. — Dzikiego? — zagadnęła nagle, spoglądając na niego znacząco.

— Mmm? — mruknął, z trudem porzucając rozważania nad istotą Smutnego.

Dziewczyna zaczerwieniła się, wyraźnie zdenerwowana. — Wiesz... naprawdę cieszę się, że zostałeś naszym strażnikiem — wyszeptała, odrywając od niego wzrok.

Dziki poczuł swoje stałe rumieńce, zastanawiając się, do czego miał służyć ten wstępek. Na odpowiedź nie musiał długo czekać, bo dziewczyna niemal natychmiast dodała: — Marzy mi się czasem, że zostaniesz już z nami na zawsze...

Słyszając to, popatrzył w stronę Oli, ale ta dalej sztywno wpatrywała się w dal. — Wiem jednak, że odejdziesz — powiedziała w końcu. — Nie miałabym serca błagać, byś został, kiedy wiem, jak szczęśliwy możesz być z Dix...

— Oli, to jeszcze może potrwać. Nie wiemy jak... — zaczął się tłumaczyć, ale dziewczyna weszła mu w słowo.

— Dzikiego, nie chcę tutaj kolejnego strażnika. Ciebie nikt nam już nie zastąpi — stwierdziła, ściskając puszkę, a na jej twarzy pojawiła się dość niezwykła zawziętość. — Dlatego mam prośbę. Póki jesteś tutaj, naucz nas, jak sobie radzić. Tak, żeby Kuba nie wcisnął nam twojego następcy.

Dziki zamyślił się przez chwilę. Ponieważ dawno już skreślił ich lidera, pomysł usamodzielnienia załogi autobusu jak najbardziej mu się podobał. Problem był w tym, że nie sądził, by był w stanie nauczyć kogokolwiek czegokolwiek przydatnego. — Oli, tak naprawdę, jedyne, co mógłbym wam przekazać, to jak się strzela. A sam nie jestem w tym najlepszy — stwierdził z goryczą. — Amunicji też mamy mało i jest zbyt droga, żeby pozwolić sobie na regularne lekcje... O Niewykształconych nie wiem za wiele. Sam się dopiero uczę z notatek od Kuby...

Oli pokręciła głową, jakby nie o to jej chodziło. — Jest dużo innych rzeczy! Ty się nigdy nie boisz...

Gdy do Dzikiego dotarło to, co usłyszał, o mało nie parsknął śmiechem. — Boję się jak cholera, Oli — wtrącił, przerywając dziewczynie. Sam był teraz szczerze zdziwiony, że sprawiał inne wrażenie. — Boję się za każdym razem. Po prostu, gdy to się dzieje, gdy strach zaczyna mnie kontrolować, skupiam się na tym, że muszę przetrwać albo ratować innych. Nie pozwalam, by ośwładnął mnie paraliż, ale to nie jest tak, że się nie boję...

— O to właśnie mi chodzi — powiedziała dziewczyna, odwracając się w końcu jego stronę, żeby spojrzeć mu w oczy. — Naucz nas, jak radzić sobie ze strachem. Weź nas na warty. Pozwól pod swoim okiem zabić kilku Niewykształconych. Daj spojrzeć poza bańkę, w której Kuba nas zamknął.

Dziki poczuł, że może wcale nie jest to zły pomysł. Wiedział, że prędzej czy później z jakiegoś powodu nie będzie mógł dłużej zajmować się Autobusem. Samodzielna załoga znacznie uspokoiłby jego rozterki. — Zrobię co w mojej mocy, Oli. Obiecuję...

Dziewczyna słysząc to, rzuciła mu się na szyję i pocałowała w policzek. — Dziękuję, Dzikiego! Jesteś najlepszy!

— Staram się, żeby cię nie zawieść — odpowiedział, patrząc na Oli, której humor od razu się poprawił.

W tym samym momencie z dołu dobiegła kolejna dobra nowina. — Skończyłem! Janek, możesz odpalać — zawołał Kluczek.

Już po chwili piętus zagrzechotał, a mieszkańcy wiwatowali radośnie.

— Udało się! — krzyknęła Oli i złapawszy Dzikiego za rękę, pociągnęła go do tańca na dachu w akompaniamencie pracującego silnika.

— Tylko nas teraz nie zrzuć! — zawołał, raz za razem obracany przez dziewczynę.

Oli zaśmiała się, zatrzymując się w końcu i zgrabnie przykucnęła na jednej nodze, dziękując za taniec. Po chwili jednak, coś przykuło jej uwagę. Spojrzała w stronę PAS-a, po czym złapała za lornetkę, którą Dzikiego miał na szyi, prawie go przy tym dusząc sznurkiem. — Ktoś idzie — wyszeptała.

Dziki przejąwszy lornetkę, przyjrzał się zbliżającym postaciom. — To Wiewiór z ogonami. Widziałem się z nimi wcześniej...

— To oni wołali cię przez radio? — spytała, a Dzikiego potwierdził skinieniem głowy.

— Chyba kombinowali, jak dobrać się do PAS-a — wyjaśnił po chwili. — Dziwne, nie wyglądają na szczególnie obciążonych.

— Idą w naszą stronę. Może potrzebują pomocy? — zaniepokoiła się Oli, zerkając ukradkiem na Dzikiego.

— Zaraz się dowiemy — wyrzucił sam mocno zaciekawiony, po czym zszedł na dół po drabinie z tyłu autobusu.

Weterani weszli w tym czasie na plac, zerkając z zainteresowaniem na Klucza zamykającego maskę.

— Co słyhać? Maszynka sprawna? — spytał Wiewiór.

— Już prawie... — odparł Dziki. — A co, potrzebujecie podwózki?

Weteran zbliżył się, szepcząc: — Podwózki... No, coś w ten deseń. Mamy niezły interes do ubicia — stwierdził, machając wyzywająco brwiami.

— Jaki interes? — spytał niepewnie Dziki.

Wiewiór stanął obok niego, wskazując ręką w stronę PAS-a. — Nie wiem, czy kojarzysz, ale w Starym Świecie ten ostatni pawilon był przez długi czas zamknięty...

Dziki złapał się za brodę, starając przypomnieć sobie miejsce, o którym mówił mężczyzna. Rzadko robił zakupy w PAS-ie. Raz, że było tam dla niego stanowczo za drogo, a dwa, że bez samochodu ciężko byłoby się mu tam dostać. Kojarzył jednak, że jeden z pawilonów rzeczywiście był przez jakiś czas nieczynny. — No tak, chyba wiem, o który ci chodzi...

Wiewiór uśmiechnął się znacząco. — Zrobiliśmy z chłopakami małe rozeznanie i wygląda na to, że szykowali go pod jakiś supermarket. Samo miejsce nie ma nawet przygotowanej witryny, ale zaczęli już zwozić zaopatrzenie...

— Dużo tego tam jest? — spytał Dziki, przeczuwając jaka propozycja padnie za chwilę.

— Tyle, że sami musielibyśmy to targać chyba z pół miesiąca. Dlatego mam dla ciebie propozycję. Podjedziemy waszym autobusem. Załadujemy go do pełna. Podzielimy co lepsze rzeczy między siebie, a resztę sprzedamy we Wspólnocie. Zainteresowany?

Wiewiór skrzyżował ręce na piersi, a jego mina zdradzała, że nie oczekiwał odpowiedzi innej niż „tak”. Dziki miał natomiast sporo wątpliwości.

— Bardzo jest tam niebezpiecznie? — spytał, bo sam o tym, co dzieje się w PAS-ie dowiedział się z opowieści ledwie parę godzin temu.

Wiewiór zrobił trochę niepewny grymas, łapiąc się za potylicę. — No, ciekawie tam nie jest, ale przy załodze jaką masz załadowalibyśmy się raz-dwa. Myślę, że obyłoby się bez większych nieprzyjemności...

Niezbyt przekonujący ton Weterana sprawił, że obawy Dzikiego tylko wzrosły. — No nie wiem... Zapasy by się przydały, ale ludzie nie bez powodu nazywają to miejsce „Pasem śmierci”.

Wiewiór na pewno dostrzegł niepewność w głosie Dzikiego, ale przekonywał dalej. — Posłuchaj, nic na siłę. Mógłbyś jednak wysłuchać mojego planu. Jeśli nie przypadnie ci do gustu, trudno. Będziemy z chłopakami próbować sami...

— No dobrze, to mnie nic nie kosztuje... — odparł Dziki.

Weteran nieco spokojniejszy, spojrział w stronę PAS-a. — Chodź za mną. Coś ci pokażę... — poprosił i skinął na Dzikiego.

Mężczyźni wyszli na drogę. Po chwili dołączyła do nich Oli, zapewne ciekawa co się dzieje. Dziewczyna, dobiegając, spojrzała pytająco na Dzikiego, ale ten dał jej znak, by chwilę poczekała.

— Spójrz przez lornetkę — powiedział Wiewiór, samemu przykładając swoją do oczu. — Tuż pod sklepem z jeansami.

Dziki przejechał wzrokiem po witrynach i już po chwili dostrzegł leżącą na parkingu sylwetkę. Niewykształcony wyglądał jak trup jakiegoś Weterana. Miał na sobie ogromny plecak, a czarne wysokie buty przykrywały mu nogawki spodni. Jedynym co odróżniało go od człowieka, był całkowity brak górnej części twarzy. Istota nie miała ani oczu, ani nosa, jej tłuste włosy opadały na niewyobrażalnie rozrośnięte czoło.

— To Poległy... — wyjaśnił Wiewiór. — Gdy w pobliżu nie ma ludzi, to leżą sobie jak zwykłe trupy, ale podejźmy jeszcze kawałek...

Ruszyli więc do przodu, ciągle obserwując istotę, która już po chwili zaczęła rzucać się na ziemi jak przy ataku padaczki.

— Widzisz? — spytał Wiewiór. — Wyczuwają nawet pojedynczych ludzi. Jak podejźmy jeszcze bliżej, ruszy za nami w pościg...

Mocno zaniepokojony Dziki, spytał po prostu. — A co to ma wspólnego z twoim planem?

Wiewiór opuścił lornetkę, po czym spojrział na Dzikiego i Oli.

— Polegli są cholernie szybcy i agresywni, a jest ich w PAS-ie od groma. Dlatego musimy wywabić je ze środka, by móc wyczyścić w spokoju sklep. W tym celu zorganizowaliśmy sobie z chłopakami dwa skuterki. Żółty i Kłosek odciągną Poległych na bezpieczną odległość, a my w tym czasie, bez narażania oczyścimy miejsce z towaru...

— A nie zawrócą się do PAS-a? Przecież wjedziemy tam autobusem pełnym ludzi — zauważył Dziki.

— Pewnie, że zawrócą! Dlatego liczy się szybkość. Wpadamy, wynosimy, ile się da i uciekamy nim Niewykształceni wrócą w ogóle na parking...

Dziki zerknął jeszcze raz z niepokojem na rzucającego się na ziemi Poległego.

— Nim podejmę decyzję, muszę przedstawić plan pozostałym — powiedział, spoglądając niepewnie na Oli.

* * *

Zgodnie z oczekiwaniem propozycja Wiewióra wywołała raczej mieszane odczucia. Korek uważał, że powinni bezwzględnie wziąć w tym udział, czemu zresztą trudno było się dziwić. Chłopak po prostu kochał być tam, gdzie się coś działo. Z drugiej strony, Smalec ze swoją wieczną niechęcią do mieszania się w cokolwiek, był wszystkiemu absolutnie przeciwny. Większość miesz-

kańców ograniczyła się jedynie do niechętnego pomrukiwania. Nietrudno było zgadnąć, że czekają oni na to, co powie Oli.

Tym razem jednak i ona musiała mieć twardy orzech do zgryzienia, a Dzik czuł jaka walka musi się w niej toczyć. Z jednej strony kurczące się zapasy i brak odłożonych funduszy na czarną godzinę zachęcały do dorobienia sobie. Z drugiej, wymagało to zaryzykowania wjazdu autobusem w naprawdę niebezpieczne miejsce.

W końcu dziewczyna zacisnęła pięści na swoich drobnych kolanach i stwierdziła pewnie: — Powinniśmy zaryzykować.

Jej słowa wywołały natychmiastową lawinę pomstowań ze strony ich kierowcy oraz Smalca. Finalnie jednak, zgodnie z przewidywaniami Dzikiego, mieszkańcy opowiedzieli się za tym, co postanowiła Oli. Mając już zgodę załogi, postanowił przekazać decyzję Weteranom.

— Dobra, wyjdę powiedzieć Wiewiórowi, że przystajemy na jego plan. Jeśli autobus jest gotowy, to pewnie zaraz będą chcieli ruszyć — stwierdził, podchodząc do drzwi.

— Autobus działa jak należy. Sprawdziłem wszystko — zawołał za nim Klucz.

Dziki skinął głową i wyszedł do czekających na zewnątrz Weteranów. — Mieszkańcy się zgadzają — powiedział.

— Super — zawołał Wiewiór, zacierając z uśmiechem ręce. — Zobaczysz Dzik, nie pożałujesz tej decyzji.

Następne kilka minut spędzili już wszyscy razem na dogadywaniu szczegółów planu. Pierwotne założenie pozostało bez zmian. Klocek razem z Żółtym mieli wjechać skuterami na parking i odciągnąć Niewykształconych najdalej jak to możliwe. Z tego, co dowiedział się Dzik, Polegli byli dość mocno terytorialni, więc nie było możliwości odciągać ich w nieskończoność. Gdyby gromada zaczęła zawracać, towarzysze Wiewióra mieli dać znak przez radio. Dzięki temu wiedzieliby, ile dokładnie mają czasu.

Po akcji Żółtego i Klocka rozpoczynała się rola Autobusu. Janek miał zaparkować maszynę prawie drzwi w drzwi w pawilonem. Następnie Wiewiór razem z Dzikim weszliby do środka i zabili ewentualnych Niewykształconych maruderów, którzy zostaliby w sklepie. Po upewnieniu się, że jest bezpiecznie, mieszkańcy autobusu mieli rozpocząć szaber i uciec, gdy tylko Polegli zbliżyliby się do parkingu.

Założenie wydawało się Dzikemu proste i minimalizowało ryzyko, więc już kilka minut później rozpoczęli przygotowania.

Autobus wyjechał z placu Ikara i ustawił się na drodze z dwoma skuterami. Następnie trzema pojazdami zbliżyli się do parkingu.

Na teren ośrodka handlowego towarzysze Wiewióra wjechali sami, ustawiając się na środku placu.

Dziki z przyciśniętą do oczu lornetą obserwował przez przednią szybę, jak mężczyźni wabią Niewykształconych klaksonami i przegazowaniem silników.

Już po chwili ze wszystkich pawilonów wyłoniło się mrowie Poległych. Dzik, gdy tylko przyjrzał się wylaniającym zewsząd postaciom, spostrzegł, że nie licząc zdeformowanych twarzy, wszyscy wyglądali jak Weterani. Większość miała na sobie militarne stroje i ogromne plecaki. Najdziwniejsze było, że każdy z Niewykształconych niósł w ręku coś, co można by uznać za broń: noże, pałki, siekiery albo po prostu zwykłe deski. Żaden poległy nie siedł z pustymi rękoma. Była jeszcze jedna rzecz, która odróżniała ich od ludzi, a którą wypatrzył dopiero teraz. Głowy zwisały im luźno, jakby nie mieli nad nimi żadnej kontroli.

Oli, która stała tuż obok Dzikiego, pokręciła z niedowierzaniem głową, szepcząc. — Boże oni wyglądają prawie jak...

— My — dokończył za nią Wiewiór. — Chociaż większość Poległych kręci się w pobliżu PAS-a, czasem któryś wylezie do miasta i rozkłada się w dziwnym miejscu. Gdy na takie ciało natrafi jakiś żółtodziób i chce mu się dobrać do plecaka, wtedy krzyk — zaintonował, przeciągając palcem po gardle.

W międzyczasie małe stado zaczęło pędzić już w stronę skuterów.

Gdy tylko zbliżyli się do Weteranów, Żółty wykręcił manetkę i wystrzelił do przodu, zostawiając z tyłu Klocka. Dzik zastanawiał się, czemu mężczyzna jeszcze nie rusza. Niewykształceni byli przecież parę metrów od niego. Po chwili dostrzegł, że Weteran panicznie próbuje odpalić skuter, kręcąc manetką i kluczykiem w stacyjce. Po kilku sekundach walki rzucił pojazd na ziemię i ruszył biegiem w stronę Żółtego. Ten zdążył odjechać na kilka ładnych metrów, nim zorientował się, że jego kolega ma kłopoty.

Tuż pod ramieniem Dzikiego Oli krzyknęła, zasłaniając sobie usta ręką. — Boże, zaraz go złapią!

Klocek biegł ze wszystkich sił, a Żółty robił już łuk, by po niego zawrócić, gdy nagle w stronę uciekiniera poleciała istna kanonada. Polegli, nie mogąc go dogonić, zaczęli ciskać w niego wszystkim, co mieli w rękach. Po chwili do mężczyzny doleciały pierwsze przedmioty. Kilka noży odbiło się od jego plecaka, a ogromna siekiera przeleciała o włos od jego głowy.

Dzik myślał już, że uda mu się uciec, bo Żółty również pędził w jego stronę. W tym momencie jednak, wysoki Poległy z maską gazową na twarzy wyprzedził swoich niewykształconych towarzyszy i cisnął trzymanym przez siebie toporkiem prosto w potylicę Klocka.

Weteran runął na ziemię pozbawiony przytomności tym niezwykle silnym rzutem. Na ziemi dookoła jego głowy pojawiła się plama krwi.

Oli pisnęła. Wiewiór zaklął głośno, przyciskając lornetkę do oczu.

Polegli dopadli do leżącego na ziemi Weterana i zaczęli go bezlitośnie okładać. Żółty, który zatrzymał się zaledwie parę metrów dalej, wyglądał jakby miał zaraz się porzygać.

Wszyscy w autobusie zamarli, obserwując jak Niewyksztalceni pastwią się nad truchłem tego, co jeszcze przed chwilą było Klockiem.

Pierwszy z szoku wyrwał się Żółty, który zawołał przez radio: — WIEWIÓR, CO ROBIMY?!

Mężczyzna nie odpowiedział. Ciągle stał sparaliżowany, przyciskając lornetkę do oczu.

— WIEWIÓR, MAM WRACAĆ?! CO ROBIĆ, MÓW?! — zawołał jeszcze raz Żółty.

Tym razem jego krzyk nieco otrzeźwił mężczyznę, bo złapał on za swoje radio, wołając: — Odciągaj ich!

Dziki popatrzył na niego z niedowierzaniem. Po czymś takim Wiewiór dalej chciał kontynuować plan? Miał już zamiar powiedzieć mężczyźnie, że może lepiej byłoby się wycofać. Złapał go za ramię, by zwrócić na siebie uwagę, gdy nagle dostrzegł łzy ściekające mu po policzkach. — Jesteś tego pewien? — spytał, zupełnie zбитy z tropu tym widokiem.

— Dziki, on już nie żyje... Kurwa, nie żyje... nie zostawię tego tak teraz... — powiedział łamiącym się głosem, wycierając jednocześnie oczy rękawem.

Dziki skinął głową, podnosząc z powrotem lornetkę. Polegli zgodnie z planem opuszczali teren PAS-a, ścigając Weterana na skuterze. Większość z nich poruszała się naprawdę pokracznie. Stawy w ich nogach wyginały się dziwnie, znacznie utrudniając pościg. Jedyne ten w masce zdawał się doskonale sobie radzić. Szybko wyprzedził pozostałych i utrzymywał stałą odległość do uciekającego skutera.

Wszyscy w autobusie milczeli. Dziki nie musiał zgadywać, że widok ginącego Weterana nimi wstrząsnął. Minuty mijały bardzo powoli. Ludzie w autobusie wpatrywali się nerwowo w zegarek na kokpicie. Nikt nie ośmielił się powiedzieć nawet słowa. Ciszę przerwał dopiero krzyk Żółtego, dobiegający z radia. — Zawróćcie! Słyszycie? Zawróćcie!

— Dobra, mamy jakieś dziesięć minut, Janek grzeje! — rozkazał Dziki.

Ich kierowca wyglądał przez chwilę, jakby miał zamiar zrezygnować. Czując jednak na sobie ponaglące spojrzenie Dzikiego, wcisnął nerwowo gaz, zarzucając gwałtownie autobusem.

Po chwili wjechali na teren PAS-a. Plama krwi i resztki ubrań były jedynym, co Niewyksztalceni pozostawili po Klocku.

Dziki dostrzegł, jak Wiewiór zaciska nerwowo ręce i przez moment mruczy coś pod nosem. — To tamta hala! — zawołał nagle do Janka, wskazując przez szybę.

Autobus zrobił łuk na placu i ustawił się prawie drzwi w drzwi z celem.

— Dobra, ruszamy! — zawołał Wiewiór i jako pierwszy wyskoczył z autobusu.

Nie bawiąc się w ceregiele, przestrzelił kłódki trzymające roletę, a potem z pomocą Klucza i Smalca podciągnął ją do góry. Teraz na drodze stanęły

im już tylko rozsuwane drzwi z reklamą sieci sklepów „Juwenalia”. Wiewiór wcisnął palce w szparę pomiędzy nimi i po chwili siłowania, rozciągnął je na boki. Przelamany mechanizm przestał dociskać połówki wrót, więc bez przeszkód dostali się do środka.

We wnętrzu stały puste jeszcze półki sklepowe, ale w alejkach pomiędzy nimi rozłożone były palety pełne produktów spożywczych.

— Brać, jak leci! — krzyknął Dziki, dopadając do pierwszej palety i zabierając dwa ogromne kartony czekolad mlecznych.

Mieszkańcy autobusu rozbiegli się po sklepie, zabierając wszystko, co wpadło im w ręce. Po pierwszym kursie cały tył autobusu zapełnił się kartonami. Za drugim razem, Dziki wbiegł w głąb sklepu, tam, gdzie nikt jeszcze nie dotarł, tym razem zabierając ze sobą skrzynkę wódki.

W chaotycznym biegu mieszkańcy rzucali wszystko, gdzie popadnie, byleby tylko zaoszczędzić na czasie. Dziki przedarł się na środek autobusu pomiędzy porozrzucanymi bez ładunku kartonami i rzucił kratę z butelkami na siedzenie. W trakcie trzeciego kursu, gdy łapał się za konserwy, usłyszał trąbienie z autobusu.

— Za wcześnie! — zawołał.

Stojący nieopodal Wiewiór zerknął na zegarek. — Powinniśmy mieć jeszcze ponad 5 minut.

Nie czekając, rzucił trzymany przez siebie karton i wybiegł na zewnątrz. Dziki pobiegł za nim, by sprawdzić co się stało.

Najpierw dostrzegli Janka, który panicznie wcisnął klakson, a po chwili w głębi placu zobaczyli Poległego w masce gazowej.

— Ten był najszybszy! Co robimy? — spytał Dziki, zerkając w stronę Wiewióra.

Widząc potwora, który odpowiadał za śmierć Klocka, Weteran nie był w stanie powstrzymać złości. Szybki ruchem zrzucił z pleców strzelbę i wycodził przez zęby. — Ja się nim zajmę... Ładujcie, dopóki nie pojawią się pozostali.

Dziki skinął głową i wrócił biegiem do sklepu. Wszyscy zatrzymali się, spoglądając na niego. — Zbieramy, jeszcze trzy minuty! — krzyknął, łapiąc za najbliższe pudełko.

W tym momencie z zewnątrz dało się słyszeć strzały.

— Co się tam dzieje?! — zawołał Smalec.

— Wiewiór kupuje nam czas! Nie stójcie tak! Do roboty! — rozkazał.

Mieszkańcy ponownie rzucili się na towar, a Dziki wyjrzał przez drzwi ciągle z kartonem w rękach.

Był pewien, że Wiewiór bez problemu poradzi sobie z Poległym, ale nie szło mu wcale tak dobrze.

Kamizelka na korpusie Niewyksztalczonego zatrzymała większość śrutu. Chcąc przeładować broń, Wiewiór musiał slalomować po parkingu, z ledwością unikając skaczącego zrywnie potwora. Po trwającym kilka sekund po-

ścigu, Weteran wrzucił w końcu naboje do komór swojego obrzyna i obrócił się, krzycząc: — ZDYCHAJ!

Z obydwu luf strzelby wypadła fala śrutu zrywając maskę gazową z twarzy Niewykształconego. Poległy zamarł na chwilę. Gdyby miał oczy, wyglądałoby to tak, jakby patrzył się teraz w niebo. Jego bezwładne ciało przechylało się do upadku, ale po chwili znowu drgnęło w nim życie.

— WIEWIÓR, ODROCZENIE!!! — wrzasnęła Dziki, chcąc ostrzec mężczyznę.

Nim Weteran zdążył przeładować, Niewykształcony chwycił za lufę strzelby, wyrывая mu ją z ręki. Obracając broń w dłoni, uderzył zamasyście kolbą w głowę Wiewióra, który padł na ziemię jak długi. Po chwili zaś zrobił coś, co przeraziło Dzikiego. Niewykształcony wycelował w głowę Weterana i nacisnął spust. Na szczęście dla Wiewióra, kurki uderzyły w puste komory. Poległy musiał jakoś „zrozumieć”, że broń nie wypaliła. Uniósł ją więc jak pałkę i rąbnął leżącego mężczyznę w głowę.

Dziki otrząsnął się z szoku i upuszczając pudełko, chciał już biec z pomocą, ale ktoś chwycił go za ramię.

— Dziki, poczekaj! — szepnął Smalec, głosem ociekającym od jadu. — To dobra okazja. Wstrzymaj się, a może nie będziemy musieli niczego dzielić...

W Dzikim po prostu zawrzało. Na momencie obrócił się i z całej siły rąbnął Smalca w jego kaprawy ryj. Chłopak upadł, trzymając się za wargę, z której bryzgnęła krew. — Jeszcze jeden taki durny pomysł i wypierdasz z Autobusu! — ryknął i ruszył na pomoc Wiewiórowi.

Ten leżał na ziemi bezlitośnie okładany przez Poległego. Dziki zatrzymał się parę metrów przed nimi i przykładając kbks do ramienia, wystrzelił w głowę Niewykształconego. Poległy zamarł przez chwilę z ręką gotową do kolejnego uderzenia, ale zamiast poddać się śmierci natychmiast wyprowadził kolejny cios.

— ILE ON MA JESZCZE TYCH ODROCZEŃ?! — ryknął do siebie Dziki, szarżując na Niewykształconego, by zepchnąć go z Wiewióra.

Poległy zaskoczony tym atakiem przewrócił się, zataczając po ziemi. Wykorzystując moment, Dziki złapał leżącego mężczyznę i postawił go do pionu. Weteran wytarł ociekające krwią czoło i wyciągnął rękę w stronę Niewykształconego. — Strzeulba... — wymamrotał niewyraźnie.

— Stój tu! — rozkazał Dziki, podbiegając jednocześnie do Poległego.

Ponieważ potwór wyzionął w końcu ducha, bez problemu wyrwał broń z jego sztywnych palców. Stojąc jeszcze nad truchłem, usłyszał jakiś bełkot. Przez chwilę myślał, że otumaniony Wiewiór zaczął majaczyć, ale kątem oka dostrzegł ruch z obrzeży PAS-a.

Polegli wracali całym tłumem na parking, mamrocząc jakieś losowe, niemające żadnego sensu słowa. Dziki złapał Wiewióra za rękę, bo przez krew zalewającą mu oczy, nie widział on dobrze, dokąd idzie. Ciągnąc mężczyznę

w stronę autobusu, obracał się raz za razem, przypatrując zbliżającym się Niewykształconym. — Janek, trąb i wynosimy się stąd! — zawołał, gdy tylko stanęli na stopniach pojazdu.

Chwilę po tym, jak rozbrzmiał sygnał, mieszkańcy autobusu wleli się do środka.

Dziki odliczał ich w myślach i gdy zobaczył, że byli już wszyscy, krzyknął: — RUSZAJ!

Autobus wyłonił się powoli, zostawiając za sobą Pas Śmierci. Polegli ścigali ich jeszcze jakiś czas, ale nabierający prędkości pięturs nie dał im najmniejszych szans.

* * *

— Za dziesięć minut będziemy we Wspólnocie — powiedział Dziki w stronę wpatzonego w okno Wiewióra.

Weteran z twarzą skrytą pod bandażami milczał, obserwując drogę. Dziki wiedział, że musi czuć się okropnie po stracie towarzysza. Zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć, ale nim zdążył się zebrać, pojawiła się przy nich Oli. Dziewczyna usiadła obok Wiewióra i chwyciła go za rękę. Mężczyzna spojrzał na nią i ocierając oczy rękawem, powiedział na tyle spokojnie, jak tylko mógł: — Już dobrze...

Oli oparła mu głowę o ramię i wyszeptwała. — Nie jest dobrze. Straciłeś przyjaciela. Jeśli potrzebujesz to z siebie wyrzucić, to w autobusie nie musisz być twardzielem — powiedziała, przytulając go.

Wiewiór westchnął, kładąc jej dłoń na plecach. — To nie do końca tak, że byliśmy przyjaciółmi. Po prostu podróżowaliśmy razem. Trochę tak, jakbym się nim zajmował, bo Klocek nigdy nie był specjalnie bystry. — Mówiąc to, zacisnął nerwowo pięść, ledwo hamując nachodzące mu do oczu łzy. — Cholera jasna, gdybym mu nie mówił. Sprawdź ten skuter dwa razy, stał dobrych parę lat... sprawdź go dobrze... Kurwa... powinienem to zrobić za niego...

Oli pogłaskała Wiewióra po głowie. — Nie obwiniaj się. Żyjemy w świecie pełnym potworów i wszyscy jesteśmy narażeni. Ja wierzę, że zrobiłeś dla niego tyle, ile tylko mogłeś — stwierdziła pewnie.

Wiewiór uśmiechnął się, choć jego oczy ciągle pozostały puste. — Ten autobus jest pełen naprawdę niezwykłych ludzi — powiedział, patrząc się w stronę Dzikiego. Po chwili jego wzrok spoważniał, a oczy wlepiły się w podłogę. — Tak się ciągle zastanawiam... Czemu po mnie wróciłeś? Nie znamy się aż tak dobrze. Nie na tyle, by było warto ryzykować...

Dzikiego zatkało. Naprawdę nie był gotowy, by odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu tak należało, ale nie wiedział, jak to przekazać. Na szczęście dla niego, odpowiedzi udzieliła Oli. — Bo nasz Dziki ma swoje zasady, a jedna

z nich jest taka, że pomoże każdemu, kto tej pomocy potrzebuje... — stwierdziła, patrząc z dumą w jego stronę.

Wiewiór zerknął na nią zszokowany, po chwili jednak roześmiał się. — Jesteś naprawdę niezwykle, Dziki. Cholera, szkoda, że większość ludzi nie jest taka jak ci, którzy mieszkają w tym autobusie.

Dziki poczuł się zakłopotany, jak zawsze, gdy ktoś go chwalił. Szybko więc zmienił temat. — Żółty dał znać przez radio, że czeka już pod murami Wspólnoty.

— To dobrze — westchnął Wiewiór, odwracając się w stronę okna.

Dziki usiadł na siedzeniu przed nim. — Czemu ci Niewykształceni tak bardzo przypominają Weteranów? — spytał.

Wiewiór odwrócił się w jego stronę z poważną miną. — Wiesz zapewne, jak wszyscy tutaj, że ci, którzy przekroczyli granicę 30 lat, pojawiają się jako Niewykształceni. Od dawna chodzą słuchy, że ludzie, którzy zginęli w tym świecie, wracają w czasie Błysku ponownie, ale już jako potwory. Pogłoska mówi, że Polegli to Weterani, którzy zginęli w trakcie szabru...

Dzikię przeszedł dreszcz grozy. Więc jeżeli zginie, wróci jako potwór? Ile będzie wtedy pamiętał? Czy będzie całkiem nieświadomy? Czy może będzie miał jakieś piętno dawnego życia? Jego myśli przytłoczyła wizja jeszcze bardziej przerażająca. Gdzieś przecież mógł teraz włączyć się jego poprzednik — Primo, zamieniony w Niewykształconego. Na tę myśl przeszły go prawdziwe dreszcze.

— Nie zastanawiaj się tyle nad tym, bo wyłysiesz — powiedziała Oli, dając mu prztyczka w czoło.

— Widać, że chyba lubisz się martwić... — dodał Wiewiór.



Rozdział IX

W Błysku

— No gdzie on jest! — wykrzyczał Dziki, czując ogarniającą go bezsilną złość.

Mike, który stanął właśnie w drzwiach autobusu, pokręcił głową. — Nie mów, że posiałeś gdzieś pistolet — jęknął, jednocześnie rozglądając się po przednim siedzeniu.

— Nie pistolet. Notatnik, który dostałem od Kuby — sprostował Dziki, padając na kolana, żeby zajrzeć pod fotel.

Oli, która schodziła właśnie z piętra, popatrzyła na niego zamyślona. — Może chłopaki zabrali go na górę, razem z rzeczami ze sklepu. Spróbuj tam poszukać — zaproponowała, ale już po chwili dodała pewnie. — Uważam jednak, że przerwa od tej książki dobrze by ci zrobiła.

Mike podniósł kciuk wyrażając aprobatę dla jej słów. — Oli ma rację, stary. Chodźmy lepiej do baru. Widziałem, że twoi podopieczni już dawno przepijają srebrne...

Dziki popatrzył na przyjaciela zirytowany, wznosząc oczy do góry. Więc to dlatego nikt z autobusu jeszcze nie wrócił z Faktorii. Wykorzystali fakt, że od powrotu zajęty był szukaniem zeszytu i poszli cichaczem „na jednego”. — Lepiej niech się tak nie rozsiadają. Za chwilę wyruszamy... — powiedział rozjuszony.

Mike słysząc to, pokręcił nosem. — Co ci tak śpieszno? Za to, co przywieźliście z PAS-a moglibyście znowu zrobić sobie mały urlop... — stwierdził z wyraźną nadzieją w głosie. Dziki nie chciał nawet słyszeć o takim pomysle. — Nie wyczyszczę się z zapasów tylko po to, żeby mogli się pobawić, jak nic się nie dzieje — odparł natychmiast. — Ostatnie tygodnie sporo mnie nauczyły. Co zrobić, jak piętus znowu zacznie głupieć? Muszę mieć za co przetrzymać ludzi we Wspólnocie, gdy naprawdę zajdzie taka potrzeba.

Wyraźnie zadowolona Oli natychmiast go poparła. — Dokładnie! Potrzebujemy zapasów na czarną godzinę.

Mike nabrał powietrza, chcąc zaprotestować, ale najwidoczniej żaden sensowny argument nie przyszedł mu do głowy. Wypuszczając oddech, spojrział zrezygnowany w sufit. — Jak uważacie, kutwy. Ale zjeść chyba coś razem możemy? W końcu i tak macie darmową godzinę dla handlarzy.

Dziki spojrzał na swojego przyjaciela nie do końca przekonany. — Nie będziesz miał przez to kłopotów? Wpuściłeś do środka prawie cały autobus.

Mike machnął ręką, uśmiechając się. — Ej, przecież każdy z chłopaków niósł towar. Ja traktowałem to tak, jakby każdy przyszedł handlować oddzielnie.

Dziki westchnął, rezygnując ostatecznie z poszukiwań notatnika. — Dobra, na ciepły obiad w spokoju mogę sobie pozwolić. Idziesz z nami, Oli? — spytał, ale dziewczyna pokręciła głową.

— Popilnuję autobusu — odpowiedziała, rozsiadając się na miejscu zwykle zajmowanym przez Janka.

— No dobrze... ale gdybyś zmieniła zadanie, czekamy — zaproponował na odchodne Dziki i razem z Mikiem wyszedł z piętusa.

Pod murami Wspólnoty było obecnie wyjątkowo tłoczno. Tuż przed samym wejściem stała gromada namiotów, a wszędzie dookoła krążyły małe grupy Weteranów. Niektórzy obserwowali po prostu leniwie okolicę, inni spotykali się by wymienić się informacjami albo po prostu pogadać. Był tam nawet młody chłopak, który grając na gitarze zbierał drobne datki w postaci żywności i wody.

Dziki nie miał wątpliwości, że zgromadzenie Weteranów pod Wspólnotą, było wynikiem działań Ręki Olbrzyma. Gdy mijając to zbiegowisko, zbliżyli się w końcu do bramy, z wnętrza wychodziła właśnie kolejna grupa ludzi, wśród których dostrzegł Wiewióra i Żółtego.

— Już uciekacie? — spytał, zatrzymując na chwilę mężczyzn.

Wiewiór, który wyglądał na mocno poruszonego, wyciągnął niepewnie drżącą dłoń. — Tak. Nie będziemy marnować tego, co zarobiliśmy, na siedzenie za murami bez potrzeby...

— Następny sknerus — zakpił Mike, ściskając mężczyźnie dłoń. — To widzimy się na patrolu!

— Tak, tak... — odpowiedział Wiewiór strasznie roztrzęsionym głosem i żegnając się z Dzikim, ruszył pośpiesznie w stronę miasta.

Gdy mężczyźni się oddalili, Mike szepnął. — Chyba był mocno zżyty z tym ogonem. Wyglądał naprawdę okropnie...

Dziki zamyślił się przez chwilę. Miał wrażenie, że w autobusie Wiewiór trzymał się znacznie lepiej. — Wiesz, podróżowali razem... Facet też nie miał, delikatnie mówiąc, „przyjemnej” śmierci. Teraz, jak adrenalina zeszła, może to do niego wróciło?

Przechodząc za mur, Dziki dostrzegł jeszcze jedną znajomą twarz. Na jednym z podestów pośród strażników siedziała Weteranka, Zjawa. Widząc ją, Mike natychmiast zaczął machać w jej stronę, ale dziewczyna ignorowała go przez dłuższy czas. Dopiero gdy zawołał ją po ksywie, odpowiedziała mu krótkim skinieniem głowy.

— Nie gadaj, że próbujesz swoich sił — westchnął Dziki.

Mike zrobił rozmarzoną minę. — Obawiam się, że to za wysokie progi... Chyba, że kiedyś po pijaku trafi ją chwila słabości — zaśmiał się lubieżnie.

Dziki słysząc to uśmiechnął się z politowaniem. — To patrolujesz razem z nią? — spytał, widząc, że Mike wciąż wyobraża sobie zbyt wiele, jak na swoje możliwości.

Ten potwierdził natychmiast. — No. Do tej pory nie opuściła żadnego obchodu, więc kręcimy się trochę razem. Ale wiesz, w grupie uzbrojonych ludzi jakoś ciężko podjąć romantyczny temat — dodał, mrużąc złowieszczo oczy.

Dziki przystanął na chwilę, bo przypomniało mu się pewne wydarzenie z zebrania Weteranów. — Słyszałeś o jej starciu z tymi gośćmi z Sojuszu Bloków? Wiesz, o co tam chodziło?

Mike podrapał się po czole, zerkając jeszcze raz na Zjawę. — No, od niej bezpośrednio to nie...

Dziki opuszczał już głowę zawiedziony, że nie nikt nie będzie w stanie wyjaśnić mu tamtego zajścia, ale Mike odciągnął go nagle dalej. Spoglądając przez ramię zaczął tłumaczyć szeptem. — Patroluję czasem z takim jednym gościem, a on zna gościa, który jest w Sojuszu Bloków...

— Kolega, kolegi... — wtrącił kpiąco Dziki. — Wiarygodne źródło.

Mike słysząc to, zarzucił ręce na pierś. — To chcesz wiedzieć, co usłyszałem, czy nie? — spytał obrażony.

— Sorry... — jęknął Dziki. — Opowiadaj! To i tak będzie bliższe prawdy, niż to, czego sam bym się domyślił.

Mike znowu rozejrzał się upewniając, że nikt ich nie podsłuchuje i zaczął dzielić się zasłyszаныmi informacjami. — Podobno w Starym Świecie ta dziewczyna to był straszny mruk. Żadnego chłopaka, znajomych, dwadzieścia cztery godziny na dobę przed kompem, jedynaczka...

Dziki wtrącił się ponownie, bo przyszła mu do głowy idealna zaczepka w stronę przyjaciela. — Samotna, ciągle przed kompem... Ty jesteś pewien, że nie opowiadasz mi swojej historii?

Mike wystawił przez chwilę język i kontynuował. — Ogólnie to słyszałem, że od początku nie miała zbyt lekko. Jak pojawiła się w Nowym Świecie, to Sojusz Bloków ją przyjął, bo była dawnym mieszkańcem, a im brakowało ludzi. Potem, gdy zaczęło robić się ciasno, chyba dotarło do niej, że przez brak koneksji może zostać wywalona. Dlatego zgłosiła się na „Goniciela”.

— To ci, co zaopatrują bloki w żywność? — dopytał Dziki.

Mike potwierdził skinieniem głowy i opowiadał dalej: — Z Sojuszu Bloków masz prostą drogę na centrum. Sklepów dużo. Domów do przeszukania jeszcze więcej. Ale przy tym, mrowie różnych Niewykształconych. Goniciela to strasznie niebezpieczna fucha, więc nigdy nie ma na nią chętnych. Pewnie liczyła, że ze względu na to jej nie wyrzucą.

Dziki popatrzył na dziewczynę. Mimo że nie odstraszała wyglądem, a nawet w niektórych kręgach można by ją uznać za atrakcyjną, nikt z nią nie rozmawiał. Raczej nie przez brak chęci, bo ludzie pokroju Mike'a palali flirciarskimi zapędami do wszystkiego, co było przeciwnej płci. Zjawa wydawała się Dzikiemu po prostu zamknięta w sobie i nieszczególnie towarzyska. Zaczynał natomiast podejrzewać, z czego wynikało jej zachowanie. Dalszej części jej historii domyślił się sam. Niemniej wsłuchał się uważnie w słowa kompana, zastanawiając się, czy jego przypuszczenia się potwierdzą.

— Przez jakiś czas się to sprawdzało — opowiadał nieprzerwanie Mike, nie zwracając uwagi na zamyśloną twarz Dzikiego. — Ganiała kilka miesięcy razem z Lance'em i Krukiem. Podobno ich trio było najlepsze z całego Sojuszu, a ich klatka opływała w żywność. Zaopatrzyli ją do tego stopnia, że zaczęli nawet robić wypadki po gadżety ze Starego Świata.

Dzikiemu przypominała się teraz lista Wiewióra. Czyli we wszystkich społecznościach wyglądało to podobnie. Gdy udało się zaspokoić pierwsze potrzeby, zaraz znajdowali się chętni gotowi płacić za pamiątki z przeszłości. Dziki czuł, że historia zbliża się do końca, więc nie wtrącał się ze swoimi spostrzeżeniami, tylko wsłuchiwał dalej w słowa Mike'a.

— W końcu zaczęły krążyć pogłoski, że coś tam się kroi między nią a Lance'em — stwierdził Mike ewidentnie zazdrosny. — Podobno przesiadywali w swoich mieszkaniach, a czasem robili nawet wypadki tylko we dwoje, olewając Kruka. Ale sielanka nie mogła trwać wiecznie. Znajomy znajomego wspominał, że pewnego dnia robili duży wypadek po wodę. Nie wiem, czy kojarzysz tę przepompownię przy centrum, w której zaopatruje się Sojusz. Nieopodal niej znajduje się spalona kotłownia, w której roi się od Specjalistów zwanych „Smolarzami”. Szczegółów nie zna nikt oprócz Kruka i Lance'a, ale z tego, co się dowiedziałem, wrócili we dwóch i powiedzieli, że Zjawa, czy jak ją wtedy wołali — Iskra, zginęła.

Dziki przygryzł nerwowo wargę, patrząc jeszcze raz w stronę dziewczyny. — To im zrobiła niespodziankę, że przeżyła. Z tego, co widziałem, miała do tego Lance'a naprawdę spory żal. Mam takie przeczucie, że oni ją po prostu porzucili, nawet nie sprawdzając czy można jej pomóc.

Mike parsknął. — No, zostawili dziewczynę na śmierć, a tu... bam. Wracając tak silna, że mogłaby zmieścić ich wszystkich...

Dzikiemu przyszła teraz do głowy jeszcze jedna myśl. Spoglądając podtekstowany w stronę przyjaciela, wyszeptał: — Zaczynam dostrzegać pewną prawidłowość. Zauważyłeś, że ludzie uczą się posługiwać błędami, w stanie jakiegoś wielkiego zagrożenia życia?

Dziki spodziewał się, że Mike pociągnie temat, ale ten odskoczył jak oparzony, wymachując rękoma. — Nie mów mi o takich rzeczach! A jak się przypadkiem nauczę korzystać z błędów, a potem użyję ich nieświadomie i się rozmyję! Jeszcze mi facjata miła... — stwierdził zjadliwie.

Dziki pokręcił głową. Mike miał aż przesadnie paranoiczne podejście do błędów. Ciekawiło go, dlaczego nie zmienił zdania po tym, jak na własne oczy zobaczył, jakie możliwości za nimi się kryją.

* * *

Po skończonym obiedzie Dziki bez zbędnych ceregieli ogłosił, że natychmiast opuszczają Wspólnotę. Stało się to znacznie szybciej, niż wszyscy się spodziewali. Mieszkańcy autobusu, czemu nietrudno było się dziwić, nie podeszli do tego zbyt entuzjastycznie. Wiedział jednak, że przy ich możliwościach srebrne, które pozyskali, sprzedając swój łup z PAS-a, rozeszłyby się momentalnie.

Teraz, po raz pierwszy od dłuższego czasu, mieli autobus wypchany fantami i schówek pełen wspólnotowej waluty. Dziki nie miał zamiaru pozwolić, by ich dobra passa została zaprzepaszczona na chwilowe zachcianki. Zmuszony był więc upchać marudzącą i złorzeczącą grupę z powrotem w piętrusie i wyruszyć w dalszą drogę.

Jego decyzję podzielali wyłącznie Oli oraz Korek, który zawsze zgadzał się ze wszystkim, co mówił Dziki. — Zobaczycie! To zaowocuje w przyszłości. Jeszcze będziecie wszyscy dziękować, że nasz wspaniały strażnik podjął właśnie taką decyzję — przekonywał chłopak.

W tamtym momencie jednak, jego słowa zaowocowały najbardziej chóralnym: „Zamknij się, Korek”, jakie kiedykolwiek dało się słyszeć w autobusie.

Po jakiejś godzinie od wyjazdu, Dziki nie mając ochoty znosić ciągłych zawiedzionych spojrzeń i marudzenia, ruszył na piętro. Chciał wykorzystać okazję, by w spokoju skupić się na poszukiwaniu zeszytu, ale gdy był już na górze, dostrzegł grzebiącą między rzeczami Weronikę.

Nagle poczuł, jak całe jego ciało sztywnieje. Od momentu, w którym Oli zdradziła mu, co dziewczyna do niego czuje, nie spotkał się z nią jeszcze sam na sam. Przez chwilę myślał nawet by zawrócić, ale Weronika spostrzegła go, a i ich spojrzenia spotkały się. Teraz czuł, że nie ma już wyboru. Gdyby nagle zbiegł na dół, dziewczyna mogłaby to odebrać naprawdę źle.

Biorąc głęboki wdech, wszedł na piętro najnaturalniej jak tylko potrafił, ale nie wiedząc czemu, własne ruchy wydały mu się dziwnie sztywne i komiczne. — Hej, Weronika, co słychać? — spytał głosem, który za diabła nie przypominał jego normalnego tonu.

Dziewczyna zarumieniła się, skupiając wzrok na pudełkach, w których grzebała. — Oli powiedziała, że zginął ci zeszyt od Kuby. Chciałam go dla ciebie znaleźć... — wyjaśniła równie nerwowo co on, nie ośmielając się nawet podnieść wzroku znad sterty kartonów.

— Nie trzeba było się fatygować. Na pewno się znajdzie... — odparł, zerkając przez szybę.

Kłopotliwa cisza, która zapadła po chwili, wydawała się Dzikemu po prostu nie do zniesienia. Nagle poczuł, że jak nigdy potrzebuje, aby z autobusem stało się coś złego. Cokolwiek, co dałoby mu wymówkę do odejścia stąd jak najszybciej. Złośliwość losu sprawiła, że tym razem nawet silnik piętusa pracował wyjątkowo cicho i równomiernie.

Najtrudniejsza w całej tej sytuacji była świadomość, że Weronika jest naprawdę ładna. Miała śniadą cerę i kręcone, kasztanowe włosy. Jej delikatną twarz przez większość czasu zdobił nieśmiały uśmiech, dodający całości niezwykłego uroku. Dziki skłamałby mówiąc, że mu się nie podobała. W Starym Świecie, gdyby taka dziewczyna się nim zainteresowała, pewnie piałby ze szczęścia. Nawet w tym momencie, wiedząc, że mogliby być razem, czuł drżenie serca i narastające podniecenie. Skarcił się jednak w myślach! Kochał Dix i ani uroda Weroniki, ani to jak bardzo było mu jej szkoda, nie mogły tego zmienić. To jej pierwszej oddał serce i to jej miał zamiar pozostać wierny, bez względu na wszystko.

Cisza się przedłużała, a Dziki czuł, że to nie skończy się dobrze. Twarz Weroniki czerwieniała coraz mocniej, a jej oczy przeszkliły się od nabiegających łez. Najgorsze było jednak to, co ową ciszę przerwało.

— ALE JA CHCIAŁEM TYLKO POMÓC SZELOWI — krzyknął przerażony Korek.

W tym momencie zawtórował mu wściekły głos Oli: — PRZYSIĘGAM NA WSZYSTKO CO ŚWIĘTE, KOREK! JEŚLI DASZ CHOCIAŻ JEDEN KROK NA GÓRĘ, WYDRAPIĘ CI OCZY!

I nagle do Dzikiego dotarło, że jego spotkanie z Weroniką sam na sam nie było dziełem przypadku, lecz pewnej małej, nadpobudliwej istoty. — Oli... — westchnął, siadając na jedynym siedzeniu, którego na piętze nie rozebrano.

Weronika, do której dotarły krzyki z dołu, poderwała się ze łzami w oczach, ale Dziki zatrzymał ją, chwytając za dłoń. — Poczekaj, proszę — powiedział, czując, że musi w końcu rozwiązać tę sprawę.

Weronika stanęła jak zamrożona, wbijając wzrok nerwowo w podłogę. Jej twarz zginęła gdzieś pod burzą włosów. — Przepraszam — wyszeptwała w końcu. — Nie chciałam ci sprawiać kłopotów.

— Nie gadaj głupot — odparł natychmiast. — Nie masz mnie za co przepraszać. To ja cię przepraszam. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że taka dziewczyna jak ty, powierzyła mi swoje uczucia. I naprawdę żałuję, że nie mogę ich odwzajemnić. Wiesz jednak, że ja już jestem z kimś... O ile nie jest grzechem wypowiadać coś takiego w tym świecie...

Dziki nie wiedział jakim cudem udało mu się sklecić jakiegokolwiek sensowne zdanie w tej sytuacji.

Weronika wyrwała rękę z jego uścisku. — Ja wiedziałam... ja tylko... ja tylko... chciałam to usłyszeć od ciebie, że to między nami... że to nie... — nie dokończyła jednak, bo załamana zbiegła na dół, zasłaniając twarz rękoma.

— CHOLERA JASNA! — krzyknął, uderzając pięścią w szybę. — A w Starym Świecie to się nawet pies z kulawą nogą za mną nie obejrzał...

Gdy wyżywał swoją złość na oknie, na górę próbowała wkraść się Oli. Z miejsca spojrzał na nią z wyrzutem, a dziewczyna opuściła głowę. — Przepraszam, że to zaaranżowałam... Ale to musiało w końcu się stać... Dzięki temu Weronika może w końcu ruszy dalej...

— Jakoś nie wydaje mi się, żeby to było dobrym rozwiązaniem — powiedział z przekąsem, zerkając na swoje poobijane kostki.

Oli, wciąż wpatrując się w podłogę, wyraźnie posmutniała. — Posłuchaj, Dziki. Od kiedy powiedziałam ci, co ona do ciebie czuje, ty po prostu jej unikasz i nie widzisz, jak cierpi.

— Wcale jej nie unikam! — odparł Dziki nieco zbyt nerwowo.

Oli westchnęła, opierając swoją dłoń na jego ramieniu. — Może więc robisz to nieświadomie, ale jednak nie rozmawiacie ze sobą. Przez to ona ciągle robi sobie nadzieję. Takie jasne „nie”, to chyba najlepsze, co może być — dodała pewnie, chociaż nie śmiała spojrzeć mu twarz.

Dziki odetchnął ciężko, kierując się w stronę schodów. — Chodź na dół... Jakoś przeszła mi ochota na czytanie.

Schodząc z piętra, Dziki zauważył, że Weronika siedzi w towarzystwie Bociana i Kryspina. Gdy był już na dole, nie raczyła obdarzyć go nawet jednym spojrzeniem. Tego samego nie można było powiedzieć o jej towarzyszach, którzy zerkali na niego z wyrzutem.

— *Jakbyście sami mieli uczciwe zamiary* — pomyślał, widząc z jakim entuzjazmem chłopaki zabrali się do pocieszania Weroniki.

Nim zdążył podzielić się swoimi spostrzeżeniami z Oli, coś błysnęło mu w twarz oślepiającym światłem.

Jęki mieszkańców autobusu potwierdziły zaś, że zbliżało się najgorsze.

— Błysk nadchodzi! — zawołał podłamany i nie czekając, pobiegł na przód autobusu.

Janek wyhamował w tym czasie pojazd i wyciągnął ze schowka swoją nieodłączną poduszkę. Trzymając ją w rękę, od razu zwolnił Dzikemu miejsce i rzucił się na jedno z siedzeń. W międzyczasie Korek zaczął zasłaniać okna, a pozostali przygotowywali się na utratę przytomności.

Pierwsze światło od kulminacji dzieliło zazwyczaj maksymalnie pięć minut. — WSZYSCY SIĘ KŁADŹCIE! — nakazał Dziki. — NIE CHCĘ, ŻEBY KTOŚ SIĘ POŁAMAŁ!

Jego wołanie tonęło już w narastającym zewsząd gwiździe, który był jednym z objawów zbliżającego się Błysku.

Gdy ruch w autobusie całkiem ustał, Dziki pośpiesznie sięgnął do jednego z licznych schowków nad kierownicą i wyciągnął z niego małe szare pudełko. To w nim znajdowało się remedium na przetrwanie Błysku bez utraty

świadomości. Jedna z niewielu tajemnic, jakie Kuba ujawnił Dzikemu, gdy ten został strażnikiem.

We wnętrzu znajdowała się strzykawka z igłami oraz butla mętnego ciemnego płynu. Była to przygotowana przez ich lidera, specjalna mieszanka bardzo silnych środków pobudzających i przeciwbólowych. Przyjęte dożylnie tuż przed Błyskiem, pozwalały wybudzić się już w kilka minut po kulminacji.

Oczywiście remedium nie pozbawione było wad. Nawet bardzo silne środki przeciwbólowe jedynie tłumili opętańczą agonię, jaka trwała w głowie podczas Błysku. Do tego, dochodziły silne mdłości z powodu przyjęcia takiej mieszanki leków. Dzik mógł jednak dzięki temu spełniać swój podstawowy obowiązek, czyli pilnować Autobusu, gdy wszyscy inni byli całkiem nieprzytomni.

Wbijając sobie igłę w żyłę, za każdym razem czuł się jak narkoman. Stwierdzenie odmierzona dawka substancji rozpychała mu krwioobiegi, a już po chwili poczuł w głowie charakterystyczny szum.

Nim zdążył odczuć efekt działania leków, przerażająca jasność uderzyła go w oczy, przebijając się nawet przez zamknięte powieki. Gwizd w uszach wierceł mu dziurę w czaszce, przez co ledwo słyszał zawodzenie mieszkańców autobusu. Nie po raz pierwszy w tym świecie poczuł, że odpływa.

* * *

Dziki wybudził się, ciągle słysząc umiarkowane pischczenie. Nie otwierał jednak oczu. Mimo że kulminacja minęła, jasność, która panowała w czasie trwania Błysku, nie pozwoliłaby mu normalnie funkcjonować.

Wodząc ręką po kokpicie, sięgnął do półki w autobusie, gdzie miał już przygotowane specjalne gogle. Naciągając je na czoło, poczuł minimalną ulgę, bo światło przestało świdrować mu powieki. Rozkładając się na siedzeniu kierowcy, chciał dać sobie jeszcze kilka minut na dojście do siebie, ale nie było mu to dane. Do jego uszu dobiegły nagle niepokojące jęki. Poderwał się zaskoczony, łapiąc jednocześnie pistolet w drżącą dłoń.

Po kulminacji wszyscy musieli być już głęboko nieprzytomni. Nie było mowy o tym, by ktoś jęczał. Kierując się w stronę zawodzenia, czuł, jak nogi uginają się pod nim, a ciało trzęsie jakby był w delirium alkoholowym. Nie był pewien, czy tak działał na niego sam Błysk czy też remedium Kuby. Droga na koniec autobusu wydawała mu się wręcz absurdalnie długa. Każde niezastłonięte okno przypominało teraz kwadratowy panel świetlny, przez który do wnętrza wlewała się niewyobrażalna jasność. Nieprzytomni mieszkańcy leżeli, z twarzami wciśniętymi w poduszki albo siedzenia, oddychając przy tym ciężko.

Dziki, zbliżając się do połowy piętrusa, słyszał jęki coraz wyraźniej. Zaciągając pewniej dłoń na pistolecie, wychylił się za schody i tuż pod nimi dostrzegł jeszcze jedną przytomną osobę.

Korek rzucał się na siedzeniu, próbując chociaż trochę osłonić oczy. Dzik doskonale wiedział, co przeżywa. Jeżeli było się przytomnym, światło wlewające się przez zamknięte powieki podświetlało je do jaskrawej czerwonej barwy, co w połączeniu z bólem głowy było naprawdę koszmarnym uczuciem.

Szybko do Dzikiego dotarła absurdalność tego, co widzi. — KOREK, DLACZEGO TY JESTEŚ PRZYTOMNY?! — zawołał.

Chłopak słysząc jego głos, przeraził się tak mocno, że zleciał z siedzenia. — Boże, szefie! Boże, przepraszam! Ja nie chciałem, naprawdę nie chciałem — zaczął tłumaczyć głosem, który wyraźnie wskazywał, że ma coś na sumieniu.

Dzik stał zszokowany. Od kiedy czuł, pierwszy raz zdarzyło mu się, by ktoś z Autobusu nie stracił przytomności. Ba, był nawet pewien, że jest to niemożliwe, ale do głowy przysłała mu teraz pewna myśl.

Wykorzystując moment, gdy chłopak wyl się po podłodze, pogrzebał w jego osobistym plecaku, by już po chwili wyciągnąć z niego strzykawkę z resztkami remedium. — Korek, do cholery! Kto ci pozwolił brać moje rzeczy? — warknął.

Chłopak zatrzęsł się jeszcze mocniej, rzucając po podłodze w agonających bólach. — Szefie, przepraszam! Proszę, niech mnie szef ratuje. Ja już nie chcę, to tak strasznie boli... — zawołał.

W Dzikim irytacja mieszała się teraz z ulgą. Na końcu autobusu nie czekał co prawda Niewykształcony, ale Korek pozwolił sobie na zdecydowanie zbyt dużo. Dzik pomyślał nawet, że pozwolenie mu na przecierpienie Błysku, byłoby dobrą okazją do dania mu lekcji, ale sam czuł się zbyt źle by wysłuchiwać jego jęczenia.

— Chodź za mną — rozkazał i złapał chłopaka za ramię, prowadzić go na przód autobusu. Tam sięgnął do swojej półki i wyciągnął zapasową parę gogli. — Załóż. To przyniesie ci ulgę. Chłopak wcisnął okulary na oczy, ale dalej wyglądał jak wrak. To nieco zaskoczyło Dzikiego. Nawet jeśli nie był szczególnie odporny na ból, to po remedium nie powinien przecież cierpieć aż tak mocno. — Ile sobie wstrzyknąłeś? — spytał.

— Trzy mililitry... — odpowiedział Korek mdłym głosem.

— Przy swojej wadze wziąłeś pewnie połowę za mało... — westchnął Dzik, sięgając jeszcze raz do schowka. Chłopak wyglądał i dyszał, jakby za chwilę miał umrzeć, więc wstrzyknął mu jeszcze trochę środka. — Dobra, dobiłem resztę. Ale co ci w ogóle strzeliło do głowy? — spytał.

— Ja chciałem po prostu zobaczyć, jak to jest... — jęknął Korek, w którego głosie czuć już było szczery żal z podjętej decyzji. — Przepraszam, szefie, naprawdę przepraszam...

— Tłumaczyłem ci, przestań nazywać mnie szefem — syknął. — Wszyscy w Autobusie mówią na mnie Dzik, więc też tak mów...

— Ja... ja nie śmiałbym szefie, a ludzie tu powinni ci okazywać więcej szacunku. Jesteś w Nowym Świecie tak krótko, a już bijesz większość Wete-

ranów na głowę... Mamy ogromne szczęście, że zgodziłeś się zostać naszym strażnikiem po śmierci Prima! — zawołał entuzjastycznie chłopak, a swój zryw przypłacił natychmiastowym atakiem mdłości.

— Nie tak gwałtownie, Korek. Poza tym nie przesadzaj z tym szczęściem. Założę się, że podróżując z Primem, nie mieliście tylu niebezpiecznych sytuacji... — stwierdził z goryczą Dziki.

— No, nie... — odparł zbyt szczerze Korek. — Ale teraz jest lepiej! Ty dużo więcej rzeczy rozumiesz. Oli ciągle cię chwali i mówi, że dzięki tobie Autobus w końcu przypomina to, czym być powinien...

Dziki słysząc jego słowa, poczuł się przyjemnie polechtany, ale mina szybko mu zrzedła, gdy chłopak zaczął wpadać w swój zwyczajowy słowotok. — W ogóle nie tylko Oli cię chwali. Słyszałem, jak Weronika mówiła kiedyś Beacie, że marzy o tym byś tulił ją do snu w namiocie...

— Korek, zmieniamy temat! — rozkazał Dziki, czując, że to czego się dowiedział, to dla niego za dużo.

Niestety leki najwidoczniej znieczuliły już chłopaka, bo zaczął on rozkręcać się coraz bardziej. — ...Szefie, a jak to w ogóle jest z tobą i Dix? No bo Bocian mi powiedział, że nie chcesz uderzyć do Weroniki, bo jesteś z liderką Defektu... ale wy się przecież w ogóle nie widujecie. To znaczy Kuba mówi, że jak się spotkacie, to się obłapiacie i w ogóle, ale że ten wasz związek to jest jakiś dziwny...

— A KIEDY TY ROZMAWIAŁEŚ Z KUBĄ NA MÓJ TEMAT?! — zawołał Dziki, w pełni przypominając sobie, dlaczego nienawidzi zostawać z Korciem sam na sam.

— Jak jeździł z nami, gdy ty leżałeś w Wieży. Chłopaki mówili, że tam to musisz mieć raj! Wszyscy byli zdziwieni, że do nas w ogóle wróciłeś. Ale Janek powiedział, że Dix cię sama wypchnęła, bo się boi, że się zarazisz defektem...

— Defekt nie przenosi się między ludźmi, nie powtarzaj tych głupot! — przerwał mu Dziki. — W ogóle, to ja wam wszystkim od jutra zacznę jakiegoś zajęcia szukać. Tyle czasu poświęćcie na gadanie, a ten autobus to jeżdżący chlew... — stwierdził, czując narastającą irytację i przez to pogłębiający się ból głowy.

Niezrażony Korek kontynuował dalej. — W takim układzie ta teoria odpada, ale Edek powiedział, że... — Dziki nie zdążył jednak dowiedzieć się co Edek uważa na temat jego związku z Dix, bo Korek wyskoczył z fotela przerażony. — SZEFIE, CO TO JEST?! — zawołał wskazując palcem przez szybę.

Na skąpanej w niewyobrażalnym świetle ulicy, nie było widać zbyt wiele. W jasności tonęło wszystko co znajdowało się dalej niż dziesięć metrów od maski autobusu. Dziki mimo gogli musiał zmrużyć oczy, by zobaczyć co tak przestraszyło chłopaka i już po chwili dostrzegł ruch. Białą jak chmura kształt poruszał się w dziwny powolny sposób, przypominając astronautów chodzących po księżycu. — To Krowler — odpowiedział, biorąc głęboki oddech.

— Co to jest Krowler? — dopytał natychmiast Korek, wciąż wyglądając niepewnie przez szybę.

— Nie wiadomo. Kuba mi tylko o nich wspominał. Krążą w Błysku i znikają razem z nim. Nie wydaje się, żeby były groźne, ale przezornie lepiej trzymać się od nich z daleka. Odjeżdżamy stąd...

Dziki zajął miejsce kierowcy i odpalił silnik. Zostawiając za sobą tajemnicze istoty, ruszyli w inną część miasta. W trakcie podróży Korek przez cały czas raczył go kolejnymi plotkami z Autobusu. Dzięki temu dowiedział się między innymi, że Klucz obraził się na Dzikiego nie tylko z powodu ostatnich wydarzeń. Dołożył się do tego fakt, że mężczyzna próbował swoich sił u Weroniki, ale ta zbyła go ze względu na swoje uczucia do Dzikiego.

Korek poinformował go również, że gdy kurował się w Wieży, Smalec uciął sobie pogawędkę z Kubą. W trakcie rozmowy był łaskaw zdać mu relację ze wszystkiego, co Dziki robił w Autobusie, kładąc duży nacisk na zbyt nie narażanie się i podatność na podszepty Oli. Za to zresztą został ostatecznie skreślony w oczach dziewczyny.

Oprócz tego, chłopak potwierdził Dzikiemu coś, co ten od dawna już podejrzewał. Korek podsłuchał podobno jak Kuba w rozmowie z Oli, dał jej do zrozumienia, że zależy mu na niej nie tylko ze względu na powinność wobec brata.

Wsluchując się w historie o nieudanych romansach i skradzionych słodyczach, do Dzikiego doszło, że ludzie w Autobusie naprawdę żyli jak w bańce. Odizolowani od zła tego świata przez cienką blachę i szyby, zachowywali się, jakby byli studentami na szkolnej wycieczce. W tym momencie nie mógł powstrzymać uśmiechu, bo w końcu zrozumiał prawdziwe znaczenie słów wypowiedzianych przez swojego poprzednika Prima „Oni są jak dzieci”.

— Szefie, zobacz! — krzyknął nagle Korek, wyrывая Dzikiego z zamyślenia.

Tuż obok nich miał miejsce ewenement, z którym nawet Dziki spotkał się po raz pierwszy.

Przejeżdżali właśnie wąską osiedlową ulicą, gdzie pośród rzędów identycznych klockowatych domów, jeden z nich znajdował się właśnie pod wpływem jakiegoś błędu.

Parterowy budynek ogrodzony siatką, zdawał się zapętląć w czasie. Jego zielona fasada co rusz łuszczyła się, a po chwili odnawiała do nienaganego stanu. Rozbite w perzynę okna zlepiały się w całość, by po chwili bezdźwięcznie znowu ulec zniszczeniu. Wyrwane drzwi wpasowywały się w futrynę i niemal natychmiast ponownie z niej wypadały. Nie mniej dziwny od samego błędu był fakt, że miejsce po prostu wabiło Krowlery. Dziki zdążył naliczyć trzynaście stojących na samym podwórzu i kilka innych zmierzających drogą.

— Co się dzieje, szefie? — spytał podniecony Korek, zapominając już zupełnie o bólu.

— Wydaje mi się, że to Reset — zasugerował Dzik. — Ale pewny nie jestem, bo nigdy tego nie widziałem na własne oczy...

Zaciekawiony, zatrzymał autobus, by przyjrzeć się, do czego to wszystko prowadzi.

Krowlery gromadziły się na podwórzu coraz liczniej, przenikając przez siatkę, jakby były duchami. Budynek zaś zdawał się zapętląć w czasie coraz szybciej. Nagle jego fasada rozbłysnęła. Światło było tak mocne, że przebiło się nawet przez gogle Dzikiego. Wyglądało to tak, jakby tuż obok nich pojawiło się słońce. Kolejne wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Wszystkie stojące dookoła Krowlery wbiegły w kierunku światła. Budynek pociemniał, a jego zapętlenie zatrzymało się. Głośny huk rozdarł okolicę i puf... — całkiem nowy dom, jak ze Starego Świata, wyrósł tuż przed nimi.

Pozostałe Krowlery, które nie zdążyły wbiec do środka, zaczęły nieśpiesznie rozchodzić się, zupełnie ignorując autobus.

Podniecony Korek zapiał natychmiast. — Jejku, szefie! Zupełnie nowy! Niech szef pomyśli. Pełna lodówka: wędliny, mleko, mąka, chleb, może ser...

— Albo szafka pełna zupek chińskich i lodówka bez światła... Poza tym, nie jestem pewien czy to bezpieczne wchodzić do budynku świeżo po Resecie — odparł nieprzekonany Dzik, ale prawda była taka, że zupełnie nowy dom mocno kusił również jego.

— Możemy przecież tylko zerknąć! Jeśli będzie niebezpiecznie, damy sobie spokój — zachęcał chłopak, zerkając łapczywie w stronę podwórza.

Dzik rozważał to przez chwilę i w końcu ciekawość wygrała z rozsądkiem. — No dobra — stwierdził. — Ale niech Krowlery się rozejdą.

Kilka kolejnych minut czekali w napięciu, aż dziwne istoty opuszczą okolicę. Korek tak zagłębił się w wyobrażaniu, co mogą znaleźć w środku domu, że o dziwo zupełnie zamilkł. Dzikemu, który przyzwyczaił się już do jego trajkotu, gwizd Błysku zaczął teraz przeszkadzać wyjątkowo mocno.

— Długo dzisiaj... — zagadnął, przerywając ciszę, przez którą o wiele bardziej skupiał się na bólu.

— Zazwyczaj są krótsze? — spytał Korek, natychmiast skupiając na nim wzrok.

— Od pół godziny do prawie dwóch. Na to nie ma reguły... — odpowiedział.

Ponieważ ostatni Krowler zniknął już jakiś czas temu, Dzik dał znak, że mogą ruszać.

Obaj wyszli na drogę i przez otwartą furtkę dostali się na podwórze zreseowanego budynku. Podekscytowany Korek od razu dobiegł pod drzwi, ale nie odważył się ich otworzyć. Stojąc przy wejściu, bujał się jak na sprężynach, ponagłając wzrokiem Dzikiego. Ten zerknął najpierw przez okno, by upewnić się, że nic „dziwnego” nie dzieje się już w środku i dopiero potem chwycił za klamkę.

Po otwarciu drzwi Dzik poczuł zapach czystości i damskich perfum. Poczuł zapach Starego Świata. — Zaczniemy sprawdzanie od kuchni! Korek, wyglądaj co chwila na autobus... — zarządził i ruszył w głąb budynku.

Na początek przeszli przez pomalowany na jasno hol pełen obrazów i ikon. Potem trafili do salonu z otwartą kuchnią. Duży płaski telewizor, szklana ława i markowe kino domowe świadczyły, że budynek należał niegdyś do ludzi dość majątnych.

Korek bez ceregieli rzucił się od razu na lodówkę i gdy tylko otworzył drzwi, zawył z radości. — Szefie! Mamy cudny połów! Lodówka po zakupach...

Dzikiego jednak zaaferowało coś zupełnie innego. Na półce w salonie stały zdjęcia właścicieli domu. Niemal od razu rzuciła mu się w oczy fotografia mężczyzny w policyjnym mundurze. Ponieważ pojawiał się on niemal na wszystkich zdjęciach, dom musiał należeć do niego.

— Korek, załaduj jedzenie do torby i zanieś do autobusu — rozkazał Dzik, a sam zabrał się za trzepanie szafek. W jego głowie kołatały się teraz dwa pytania: — *Czy policjanci zabierają broń do domu? Czy po służbie zostawiają na komisariacie?* — zdecydowanie miał nadzieję, że to drugie.

Przeglądając półki w salonie, znalazł tylko trochę faktur, ramę papierosów i kolekcję filmów na DVD. Przez chwilę pomyślał o liście Wiewióra, ale nie wiedząc dokładnie jakich produkcji szukają wspólnotowe elity, wziął tylko papierosy.

W międzyczasie Korek robił już drugi kurs z rzeczami ze spiżarni.

— Idę przejrzeć sypialnię! — zawołał za nim Dzik.

Wchodząc do pokoju, pierwsze co rzuciło mu się w oczy to dwa oddzielne łóżka, każde ze stolikiem i lampką nocną. — *Nie spali razem? Strasznie konserwatywnie* — pomyślał, po czym zabrał się za przeszukiwanie ogromnej przesuwnej szafy.

Pierwsza radość spotkała go już po chwili. Pod stertą paskudnych skarpetek w brązowym kolorze dostrzegł bowiem pudełko naboji 9 mm. Nie pasowały co prawda do jego tetetki, ale miały ogromną wartość handlową. Poza tym, skoro w domu były naboje, mogła też być broń. Trzepiąc kolejne półki, Dzik znalazł małą pancerną kasetkę, akurat na wymiar pistoletu. — *Może ktoś we Wspólnocie będzie wiedział, jak to otworzyć* — pomyślał, zabierając pakunek ze sobą.

— Zabrałem wszystko, co mogłem! — zawołał Korek, który po chwili prawie osunął się na nogach. — Szefie, jakoś źle się czuję...

— To normalne. Błysk się pewnie zbliża do końca, a jego wygaszenie jest niewiele lepsze od kulminacji — stwierdził Dzik, który również poczuł nasilające się mdłości. — Zbierajmy się...

Wychodząc z budynku poszli przez opustoszałe podwórze prosto do autobusu.

— Szeffie, a co jest w tym pudełku? — spytał Korek, gdy już zajęli swoje miejsca.

— Kto wie? — odpowiedział Dzik, chowając skrzynkę w schowku nad kierowcą. — Mam nadzieję, że pistolet, bo w domu znalazłem opakowanie naboju.

— Byłoby cudnie, szefie! Można by uzbroić jeszcze kogoś w autobusie... — zawołał chłopak, na pewno myśląc w tym momencie o sobie.

Dzik uśmiechnął się. Musiał przyznać, że był nawet zadowolony z tego niespodziewanego towarzystwa. Dzięki jednostronnej rozmowie udało mu się zapominać o ćmieniu głowy i pewnie, gdyby był teraz sam, miałby większe opory, by sprawdzić budynek. Gotów do dalszej drogi, miał już odpalić silnik, ale w oddali dostrzegł jakiś ruch.

Korek musiał zauważyć to samo, bo spytał natychmiast. — To Krowler, szefie? Może kolejny budynek gdzieś się odnawia — dodał, wyraźnie podniecony.

Dzik z jakiegoś powodu miał przeczucie, że tym razem to nic dobrego. Zbliżająca się postać była niemal całkiem czarna. Co najgorsze, na tej wąskiej drodze nie było możliwości by ją ominąć, a z jazdą do tyłu wciąż nie radził sobie zbyt dobrze. Razem z Korkiem obserwowali, jak niewyraźny kształt nabiera w końcu ludzkich konturów i, o zgrozo, kieruje się wprost na autobus.

— Niewykształcony? — spytał Korek, który co irytowało Dzikiego, był o wiele bardziej podekscytowany niż przestraszony.

— Nie jestem pewien... — stwierdził, mrużąc oczy, by lepiej się przyjrzeć i niemal natychmiast syknął zdenerwowany.

Zmierzająca w ich stronę osoba chorowała na ciężki Defekt. Jej rozmyta głowa była niczym jajko, na które ktoś naciągnął gogle chroniące przed światłem. Najbardziej złowieszczy był jednak jej strój. Prawie każdy centymetr ciała przybysz obwiesił sobie nożami w sztywnych kaburach. Dziesiątki rękojeści wystających z różnych miejsc czarnego kombinezonu, nadawały postaci wygląd jak z groteskowego horroru.

— O BOŻE!!! — krzyknął Korek, odwracając się w stronę Dzikiego. — Ja wiem, kto to jest szefie... Weteran, który zachorował na defekt i postradał rozum! Słyszałem, jak opowiadali o nim w barze Wspólnoty! Że chodzi taki obwieszony nożami. Mówili na niego Hiena!

Chłopak po raz pierwszy wyglądał na naprawdę przestraszonego. Nawet jeśli mężczyzna był niespełna rozumu, to nie to martwiło Dzikiego najbardziej. Skoro chorował na defekt, oznaczało to, że miał styczeń z błędami. Nie było pewności, jak dobrze się nimi posługiwał, ale nawet jeżeli nie sięgał poziomu Zjawy czy Pierwszego, i tak był przez to śmiertelnie groźny.

Hiena zatrzymał się tuż przed autobusem, wodząc powoli wzrokiem między Dzikim, a Korkiem.

— Spróbujmy go ominąć — szepnął Dzik, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Słyszając warkot silnika, Hiena wykonał iście teatralny gest. Wyciągnął obydwie ręce i uniósł głowę mocno do góry, jakby przygotowywał się, że autobus wparuje w niego. Dzik wrzucił bieg i szarpnął pojazdem do przodu, licząc w duchu, że mężczyzna się spłoszy i odskoczy na bok.

Niestety, nic takiego się nie stało. Hiena skulił się delikatnie, cofając zaledwie o krok, po chwili zrobił coś, co przeraziło zarówno Dzikiego jak i Korka. Dwa noże z jego pleców wysunęły się powoli z kabur i niczym ogromne komary doleciały do szyby, pukając w miejsca tuż przed ich głowami.

Zaraz po tym, Hiena wyciągnął dwa palce w stronę Dzikiego, by następnie wskazać na ziemię tuż przed sobą.

— Chyba chce, żebym wyszedł... — szepnął Dzik, przelękając nerwowo ślinę.

— Szeffie, nie możesz! To wariat. On cię za... — chciał powiedzieć Korek, ale język ugrzązł mu w gardle, bo jeden z noży zrobił właśnie pajęczynkę na szybie.

— On raczej nie będzie czekał — stwierdził nerwowo Dzik. — Posłuchaj mnie Korek, gdyby on mnie zaatakował, ruszaj cała wstecz. Będę z nim walczył, by kupić wam trochę czasu, ale wątpię bym dał radę robić to zbyt długo.

— Szeffie, nie... — chciał już wtrącić chłopak, ale Dzik krzyknął.

— Korek, bez dyskusji! — potem łapiąc głęboki oddech, otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Stając przed Hieną, Dzik ledwo powstrzymał serce przed wyskoczeniem mu z klatki piersiowej. Mężczyzna widząc go, cofnął wiszące przed szybą noże, które jakby zdalnie sterowane, wsunęły się do jego kabur. Po chwili zaś usiadł po turecku tuż przed autobusem.

W oczach Dzikiego mężczyzna przypominał teraz jakąś zmutowaną rozdymkę, tuż przed napompowaniem. Miał ogromny pozbawiony ust otwór gębowy, przez który łapczywie chwycił powietrze. Noże w jego kaburach wysuwały się nieco za każdym razem, kiedy brał oddech napinający jego ciasny, skórzany kombinezon.

— Jesteś Dzik — fuknął w końcu Hiena, podnosząc głowę. — Słyszałem, że złapałeś schedę po Primo...

Dzik nie był w stanie wyczuć, jakie mężczyzna ma zamiary. Spróbował więc łagodnie przekonać go, by dał im spokój. — Autobus do Wolności to neutralna frakcja. Pomagamy Nowoprzybyłym i nikomu nie wadzimy... Może dałbyś nam przejechać? — zaczął, licząc w duchu, że uniknie konfrontacji.

— NIE ŁŻYJ! — ryknął Hiena, podrywając się z miejsca.

Kilka noży wyskoczyło z jego kabur, wykonując wokół właściciela szaleńczy taniec. Przypominało to elektrony krążące dookoła protonu, które to zjawisko widział na jakimś filmie pokazowym z chemii. Dzikiego ten widok zupełnie sparaliżował. Hiena zbliżył się do niego tak, że ich czoła niemal stykały się ze sobą. — Autobus to wspaniała organizacja, ALE TY! TY NIE MASZ Z TĄ

WSPANIAŁOŚCIĄ NIC WSPÓLNEGO! NARAŻASZ TYLKO JEGO MIESZKAŃCÓW! NIE ZASŁUGUJESZ NA TO, BY TU BYĆ! — wyrzeszczał mu w twarz i pchnął na ziemię.

Po chwili coś się zmieniło. Mężczyzna spojrzał na Dzikiego, jakby widział go pierwszy raz i zaczął mówić zupełnie innym głosem. — Mówiłem Kubie, że to ja powinienem zostać strażnikiem. Nikogo z autobusu nie spotkałaby krzywda, gdybym to ja nad nimi czuwał — stwierdził z wyrzutem, a jeden z wirujących dookoła noży wylądował zgrabnie w jego ręce.

— Strażnikiem? Ty chciałeś być strażnikiem? — spytał Dzikie, podnosząc się powoli z ziemi.

— Autobus zaopiekował się mną, gdy byłem Nowoprzybyłym — wyjaśnił mężczyzna całkiem spokojnym głosem, w ogóle nie przypominającym tego, którym mówił poprzednio. — Kuba i Primo nauczyli mnie jak żyć i przetrwać... Póki nie umarłbym od defektu, to miejsce byłoby nietykalne! Ale Kuba powiedział, że się nie nadaję...

— Kuba musiał mieć swoje powody — wyszeptał Dzikie starając się nie prowokować rozmówcy. Nie miał już nawet cienia wątpliwości. Hiena był niespełna rozumu i nie kryła tego nawet jego zmieniona defektem twarz. Ta momentalna zmiana nastroju i zachowania była jak książkowy przykład jakiegoś zaburzenia. Najgorsze, że sposób, w jaki mężczyzna lewitował noże, pokazywał, jak dobrze zna się na błędach. Ta mieszanica czyniła go szczególnie niebezpiecznym.

— Powodem jesteś Ty, zabójco Delimera — stwierdził wyniośle Hiena. — Ty i twoja sława, którą niezasłużenie otrzymałeś. Odór twojego strachu! Łopot twojego przerażonego serca! One wręcz błagają, bym zakończył twoje cierpienie na tym świecie... — jakby dla podkreślenia groźby nóż przewędrował powolnym łukiem z jednej ręki mężczyzny do drugiej.

Widząc, że Hiena skupił się na własnej dłoni, Dzikie sięgnął po broń.

— Nie próbuj nawet! — wysapał zjadliwie chory Weteran, zupełnie jakby wyczuł intencje Dzikiego.

Ten podniósł dłonie do góry i zaczął tłumaczyć spokojnie. — Posłuchaj, nie chcę z tobą walczyć. Skoro tyle zawdzięczasz Autobusowi, to może po prostu pozwól nam przejechać...

— Autobusowi? — spytał Hiena, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, o czym rozmawiają. — Autobus... JA muszę zobaczyć Oli! — zawołał, dając długi krok w stronę pojazdu.

— NIE POZWOLĘ! — krzyknął Dzikie, blokując mu drogę.

— NIE JESTEŚ NA POZYCJI KOGOŚ, KTO MOŻE MI ROZKAZYWAĆ! — ryknął Hiena i ruszył do przodu, jakby chciał przejść po Dzikim.

Ten, wykorzystując chwilę, w której żaden nóż nie latał w powietrzu, rąbnął z całej siły w twarz mężczyznę. Hiena upadł na plecy zaskoczony tym atakiem.

— KOREK, UCIEKAJ! — ryknął Dzikie, łapiąc za pistolet, ale w tym momencie jakaś tajemnicza siła powaliła go na ziemię.

Po chwili ujrzał grad noży, które pikowały prosto w niego. Przerażony zamknął oczy i usłyszał serię głuchych uderzeń. Gdy ośmielił się je otworzyć, zobaczył, że wbite w ziemię ostrza otoczyły go jak asystentkę na pokazie w cyrku. Hiena stanął tuż nad nim i pochylił się by ich twarze się zównały. — Przysięgałem, że nie skrzywdzę nikogo z Autobusu. Czyli niestety również ciebie — wysapał, po czym ruszył w stronę pojazdu.

Noże w tym czasie wyskoczyły z ziemi i poleciały tuż za właścicielem.

Dzikie poderwał się za nimi, łapiąc jednocześnie pistolet w dłoń. Gdy wpadł za Hieną do środka pojazdu, zobaczył przerażonego Korka, który szepotał jak opętany. — On mnie zna... przywitał się ze mną... On mnie zna...

Mijając z szokowanego chłopaka, wbiegł na tył autobusu i zamarł. Hiena stał tuż nad Oli, ale coś się w nim zmieniło. Jego postura, ręka oparta na dłoni dziewczyny. Przez chwilę wydawał się całkiem spokojny.

— Jej dotyk to najmiłsze wspomnienie jakie mam z dni, gdy jeszcze coś czułem — powiedział Hiena, ciepłym przyjemnym głosem. Po chwili odwrócił się w stronę Dzikiego, zdejmując gogle, za którymi kryły się błękitne ludzkie oczy. Jedyna część opierająca się defektowi. — Wiem już, dlaczego Kuba cię wybrał. Chcąc chronić Oli, bez wahania zaatakowałeś takiego potwora jak ja — powiedział, opuszczając głowę. — Nie spotkaliśmy się dziś przypadkowo. Przyszedłem do ciebie z ostrzeżeniem... Musisz opuścić Autobus.

— Dlaczego? — spytał Dzikie, który już po raz trzeci dostał tę niespodziewaną przestrożę.

— Bo popełniłeś kiedyś błąd, który już zawsze będzie cię ścigał. Sprawileś, że ktoś chce dokonać na tobie zemsty — odpowiedział Hiena.

— Modrzew... — wyszeptał Dzikie.

Chory na defekt mężczyzna, głaszcząc nieprzytomną Oli po głowie, spojrzał prosto na Dzikiego.

— Widziałem człowieka, który przyszedł z Zarzecza. Jego żądza zemsty jest tak wielka, że złamie on wolę swojego dowództwa, byleby cię dopaść... Nieważne kto będzie tego dnia przy tobie. Winny, niewinny, współwinny. Jeżeli nie odejdziesz z Autobusu, pociągniesz ich wszystkich do grobu... — powiedział tajemniczo.

— Jakim cudem Modrzew dotarł na Zarzecze? — spytał zszokowany Dzikie. — Przecież żaden Weteran oprócz Pierwszego i Smutnego jeszcze tam nie był...

— To naiwne myśleć, że nikomu więcej się to nie udało — stwierdził Hiena. — Ten świat jest starszy niż myślisz, a ci którzy udają, że coś o nim wiedzą są zadufanymi w sobie głupcami. Ludzie z Zarzecza nie chcą, by ktoś o nich wiedział, zanim nie będą gotowi...

— Gotowi na co? — dopytał Dzikie, zupełnie już zbity z tropu.

— By przejąć całe Krańcowo — stwierdził dobitnie Hiena, zabierając w końcu rękę z głowy Oli i ruszając w stronę wyjścia. Nim jednak opuścił pojazd, zatrzymał się na chwilę, mijając przerażonego Korka i jeszcze raz zwrócił się do Dzikiego. — Najprościej byłoby cię zabić. Wtedy nikt nie miałby powodu, by mścić się za ciebie na Autobusie. Niestety chroni cię przysięga, którą złożyłem. Odwołuję się więc do tego, co w tobie moralne! Odejdź stąd!

Hiena wyskoczył na zewnątrz i ruszył biegiem w stronę ogrodzenia. Następnie przeskoczył je, lądując zgrabnie po drugiej stronie. Potem lawirując między budynkami, zniknął gdzieś w świetle Błysku.

Dziki odetchnął z ulgą, rzucając się na siedzenie. Korek, którego paraliż opuścił chwilę po tym, doskoczył do niego niemal natychmiast. — Szefie, o co chodziło? Jak to odejść? I dlaczego on zachowywał się jakby nas znał... jakby znał Oli... Dlaczego nas nie zaatakował?

Nie mniej roztrzęsiony Dziki zwrócił się w stronę chłopaka. — Wygląda na to, że Hiena gościł kiedyś w Autobusie... — zaczął tłumaczyć, ale Korek przerwał mu w pół zdania.

— Ale ja go nie pamiętam...

— Raczej wątpię, że wyglądał wtedy tak jak teraz! — stwierdził Dziki, ledwo kryjąc irytację. — No i na pewno zmienił sobie ksywkę...

Kolejne pytanie Korka zostało powstrzymane przez nagłą ciemność, jaka ogarnęła autobus. Dziki ściągnął gogle, a przerażony chłopak wyjrzał na zewnątrz. Niebo nad nimi przybrało brązowo-czerwony kolor, a powietrze zrobiło się naelektryzowane jak przed burzą. Zmienił się też otaczający ich dźwięk, który z ciągłego gwizdu, przeobraził się w coś, co przypominało zło-wieszczy pomruk.

— To normalne, szefie? — spytał Korek, nie mogąc oderwać oczu od czerwonego nieba.

— To wygaszenie. Błysk zbliża się do końca — wyjaśnił Dziki, zajmując miejsce kierowcy. — Kładź się lepiej, jak już zagrzmie finał, możesz nie wytrzymać...

Widać było, że Korek nie miał ochoty posłuchać, ale już po chwili nadeszły kolejne symptomy wygaszenia. Powietrze zrobiło się ciężkie i suche, tak że każdy oddech łapało się z wielkim wysiłkiem. Zawroty głowy nasiliły się i przypominały teraz silny atak choroby lokomocyjnej, a zawartość żołądka z ledwością trzymała się swojego miejsca.

Dla Korka było to już za dużo. Legł na siedzeniu, próbując zasnąć, ale nim poddał się ostatecznie, spytał jeszcze. — Nie opuścisz nas, prawda szefie? Dziki, który miał teraz mętlik w głowie, odpowiedział jedynie. — Śpij, Korek.

Gdy chłopak w końcu zamilkł, Dziki sięgnął po kolejną porcję leków, które miały mu pozwolić dotrzeć do momentu, aż Janek będzie się nadawał do przejęcia kierownicy. — Czy naprawdę powinienem odejść? — pomyślał, gdy tylko mógł skupić się na czymś innym niż na walce z mdłościami.

Wiedział, że nie będzie mu dane podróżować z Autobusem wiecznie. Z drugiej strony, nigdy nie spodziewał się, że chwila ich rozstania może nadejść tak szybko. Hiena poruszył sprawę, która wielokrotnie nie dawała mu spokojnie zasnąć — Michała Modrzewa. Chłopaka, którego razem ze swoim przyjacielem Mikiem sprzedał Siwemu w zamian za broń. Był to jeden z jego najgorszych epizodów w Nowym Świecie, który po wielokroć budził w nim wyrzuty sumienia i rozterki. Choć wiele osób zapewniło go, że Michał nie był święty i zasłużył na to, co go spotkało, Dziki nigdy nie potrafił pogodzić się z tym do końca. Jeszcze, gdy był członkiem Wspólnoty, dowiedział się, że Modrzew uciekł z niewoli Siwego, ale nie wiedział, co mogło go później spotkać. Historia, którą opowiedział Hiena, o ucieczce na Zarzecze, byłaby nieprawdopodobna, gdyby nie to, że to już trzeci raz ktoś ostrzegł Dzikiego.

Pytanie „Co dalej?” kołatało się w jego głowie. Nie chciał opuszczać Autobusu. Zżył się już z jego mieszkańcami. Narażał się dla nich. Byli jak jego rodzina. Czy właśnie przez to nie powinien tym szybciej odejść i przestać ich narażać?

W międzyczasie za oknem zrobiło się już niemal całkiem ciemno. Dziki musiał włączyć światła, by w ogóle widzieć drogę. Czerwona poświata otaczała wszystko jak w filmach o Marsie, które kiedyś oglądał. Ciągłe buczenie nabierało na sile, dając sygnał, że Błysk zaraz się skończy.

Zatrzymał na chwilę autobus i ścisnął sobie głowę. Nadeszło wygaszenie. Niewyobrażalny, trwający około dwóch sekund grzmot rozszedł się na całą okolicę. Dziki poczuł rozrywający ból głowy, a ciśnienie o mało nie wysadziło mu gałek ocznych.

Gdy po chwili uniósł powieki, dostrzegł przez łzy otaczającą go zwyczajną krańcową szarość.



Rozdział X

Czerwona bandanka

Trwające zaledwie kilka sekund wygaszenie było przypięcztowaniem agonii, którą przeżywał Dziki. Od zakończenia Błysku marzył już tylko o tym, by Janek ocknął się wreszcie i zajął w końcu jego miejsce za kierownicą. Odrywając zmęczone oczy od drogi, spoglądał zazdrośnie w stronę Korka, zwiniętego ciasno na pobliskim fotelu. Sam oddałby wszystko, by ulżyć teraz bólowi głowy i położyć się spać.

Po kilkudziesięciu ciągnących się w nieskończoność minutach, pełnych walki z mdłościami i opadającymi powiekami, pojawił się w końcu jego wybawca. Janek wyglądał, jakby był na ciężkim kacu, a w drżącej ręce trzymał puszkę z napojem energetycznym.

— Dobra, Dziki. Idź spać — wyszeptał, stając obok fotela kierowcy.

Dzikemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Natychmiast zatrzymał autobus i czym prędzej wbiegł na piętro. Tam, bez ceregieli rozłożył się na jedynym ocalałym fotelu, przykrywając głowę kocem.

Mimo potwornego samopoczucia i niewyobrażalnego wręcz zmęczenia, nie usnął od razu, tak jak tego oczekiwał. Gdy tylko zacisnął powieki, słowa wypowiedziane przez oszalałego Weterana Hienę zaczęły świdrować mu czaszkę, akompaniując przy okazji zwyczajowemu pobłyskowemu bólowi głowy. — „Jeżeli nie odejdziesz z autobusu, pociągniesz ich wszystkich do grobu”.

Choć sam nie chciał do końca tego przyznać, przeczuwał, że to może być koniec jego podróży z Autobusem do Wolności. Żałował jedynie, że nie uda mu się przez to dotrzymać słowa danego Oli i wyszkolić ludzi w piętrusie. Ich lider po raz kolejny wciśnie im przez to jakiegoś strażnika, którego zadaniem będzie kontrolować szlachetne zapędy dziewczyny. Gdyby tylko wiedział, ile ma czasu? Może przed swoim odejściem zdążyłby jeszcze coś zrobić? Może mógłby oficjalnie ogłosić swoją rezygnację i podobnie do Kuby wspierać Autobus z zewnątrz? Oczywiście brakowało mu w tym względzie doświadczenia i na pewno nie mógłby równać się z ich liderem, ale w odróżnieniu od niego, nie był w tym świecie „pariasem”. Mógł przecież liczyć zarówno na pomoc Dix i Defektu, Mike’a, a teraz nawet Wilk miał wobec niego przynajmniej mały dług wdzięczności. Nim jednak zdążył ułożyć sobie to wszystko w głowie, jego zmęczony organizm poddał się, udając się w końcu objęcia Morfeusza.

Przyjemna nieświadomość nie trwała niestety tak długo, jak Dzikie by tego potrzebował. Miał wrażenie, że ledwo zdążył odpłynąć, a zaraz obudziły go kroki Oli zmierzającej po schodach na piętro. Z początku pełen wewnętrznej rozpaczyny udał, że jej nie słyszy. Miał nadzieję, że dziewczyna przyszła tylko poszukać czegoś w ich rzeczach i potem cichaczem wróci na dół. Niestety już po chwili poczuł, jak niczym najdelikatniejszy z katów, nachyla się nad nim i zaczyna głaszać go po głowie. — Przepraszam, wiem, że jesteś wykończony, ale mamy kłopot...

Dzikie słysząc to, poderwał się gwałtownie, a ból głowy natychmiast zaczął rozsądzać mu czaszkę. Helikopter, który pojawił się zaraz po nim zmusił go, by z powrotem usiadł. Po tak długim Błysku i krótkiej drzemce czuł, że nie da fizycznie rady podolać niczemu poważnemu. — Co się stało, Oli? — spytał z ledwością skupiając myśli.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Podała mu najpierw wyciągniętą z ich zapasów puszkę z napojem i kilka proszków przeciwbólowych. — Zbierz się trochę... — wyszeptwała, opierając mu dłoń na czole, jakby miał gorączkę. — Zaraz ci wszystko powiem.

Dzikie czuł, że zwlekanie nie ma najmniejszego sensu, bo i tak nie zdoła wyrzesać z siebie nic szczególnego. Niemniej wyjadł proszki, popijając je napojem i przymknął oczy, by trochę odetchnąć. — Mów, co jest — powiedział w końcu, czując, że jeśli cisza potrwa zbyt długo, to znowu odpłynie.

— Radio nam szwankuje... — wyjaśniła Oli. — Chciałam przekonać Janka, że powinniśmy zrobić objazd po przystankach, bo Kuba mógł przecież do nas kogoś wysłać. Ale mnie samej na pewno nie posłucha...

Dzikie westchnął. Od dawna już nie czuł się tak przeorany przez Błysk. Zastanawiał się tylko, czy to przez to, że tym razem był taki długi? Czy może dołożył się do tego stres, jaki przeżył w trakcie spotkania z Hieną?

Mimo silnego oporu organizmu, podniósł się z fotela. Oli wślizgnęła mu się pod ramię i pomogła zejść po krętych schodach. Było dla niego niezrozumiałe, jakim cudem znosiła Błysk tak dobrze. Niemniej nie była w tym względnie wyjątkiem. Weronika, Laura i Beata również były już całkiem przytomne, podczas gdy większość męskiej załogi dosypiała na swoich fotelach. Oprócz Janka przytomny był jeszcze tylko Klucz, który zapewne obudzony przez Oli wcześniej, grzebał przy ich radiu.

— Co się z nim stało? — spytał Dzikie, gdy tylko doszedł na przód piętrusa.

Klucz podrapał się po głowie śrubokrętem. — Na pewno nie jest zepsute. To muszą być jakieś zakłócenia z zewnątrz... — odpowiedział.

To wcale nie zdziwiło Dzikiego. Błysk był bardzo długi. Zdarzało się już, że gdy trwał ponad godzinę, były potem problemy z łącznością radiową. Tym bardziej nie miał ochoty objeżdżać miasta. Taki długi czas trwania mógł oznaczać jedną z dwóch rzeczy: grupę ludzi na cmentarzu albo mrowie Niewykształconych maszerujących po mieście.

— Oli, może jednak powinniśmy poczekać, aż będzie szansa skontaktowania się z Kubą... — zaproponował, osuwając się na fotel.

Janek z aprobatą skinął głową, ale Oli spojrzała przenikliwie na Dzikiego. — Dzikie, wiem, że jesteś zmęczony. Wiem, że Błysk dał ci się we znaki... ale jeśli teraz ktoś tam czeka, tak jak ty kiedyś czekałeś? Liczy na pomoc, która nie przyjdzie? Mogę siedzieć za ciebie na wartach, przez cały tydzień. Mogę prowadzić autobus za Janka... ale proszę! Dla spokoju mojego sumienia, zróbmy ten objazd...

Dzikie poczuł ukłucie w boku. Oli jak nikt inny potrafiła wzbudzić w człowieku wyrzuty sumienia. Spoglądając na kierowcę, powiedział najpewniej jak tylko pozwalała mu na to zawartość żołądka, która dotarła już tuż pod gardło. — Janek, zacznij objazd od przystanku przy cmentarzu...

Zirytowana mina kierowcy nie kryła tego, co myśli o pomysle dziewczyny. Wykonał jednak polecenie i gwałtownym, pełnym złości ruchem, skreślił na główną drogę, sprawiając jednocześnie, że kilka osób spadło ze swoich siedzeń.

Przy akompaniamencie złożeń zbierających się z podłogi ludzi, piętrus skierował się w stronę bloków, przy których Kuba miał swoją główną kryjówkę. To stąd Autobus do Wolności zabrał kiedyś Dzikiego i z tego miejsca odbierali też najwięcej Nowoprzybyłych.

Dzikie wyjrzał przez okno i nieprzytomnym wzrokiem zaczął obserwować okolice. Oli usiadła na sąsiednim fotelu i głaszcząc go po zbolalej głowie, wyszeptwała: — Wiem, że często to powtarzam. Ale jesteś po prostu najlepszy...

Dzikie uśmiechnął się krzywo. W pewnym momencie, gdy patrzył na dziewczynę, uświadomił sobie, co spotkało go ledwie parę godzin wcześniej. Zastanawiał się przez chwilę czy powiedzieć jej o pojawieniu się Hieny i o tym, że myśli by opuścić Autobus. Finalnie zdecydował, że musi to jeszcze przemyśleć na chłodno. Bez bólu głowy niepozwalającego skupić się na niczym. Był pewien, że bez względu na wszystko Oli będzie go przekonywać, żeby z nimi został, a sam nie był przekonany, jak bardzo było to niebezpieczne.

Z zamyślenia wyrwał go trzeszczący dźwięk, który wydobył się niespodziewanie z radia. — ...1 do 2, 3 do 5, 5 z 3, 0, 8 suma 211... — przedarło się chrypliwie przez zakłócenia.

Oli wyskoczyła z fotela, dobiegając do radia, a Janek jęknął zawiedziony.

— Dzikie słyszałeś? Zabieramy! Tylko, z którego przystanku? — spytała podekscytowana.

— Z którego... o Boże, nie mam zeszytu... Niech ktoś obudzi Korka! — krzyknął Dzikie, jednocześnie powtarzając w myślach liczby, by ich nie zapomnieć.

Obudzony przez Klucza chłopak, ledwo otworzył oczy. Gdyby nie to, że mechanik trzymał mu głowę, pewnie zaraz znowu by usnął.

Dzikie stanął nad nim, mówiąc: — Korek, przetłumacz 1 do 2, 3 do 5, 5 z 3, 0, 8 suma 211...

Chłopak przewracał oczami, powtarzając bezgłośnie to, co usłyszał. Po chwili solidnej walki z własnymi mdłościami, zaczął wyjaśniać. — Są na przystanku obok straży pożarnej, Kuby z nimi nie będzie. — Po tych słowach padł natychmiast na fotel, zasłaniając usta ręką, by stłumić wymioty.

Widząc to, Oli poklepała chłopaka po plecach. — Strasznie cię dzisiaj styrało — stwierdziła głosem pełnym współczucia.

Dziewczyna nie wiedziała, że Korek miał za sobą świadomie przetrwany Błysk, a to dla kogoś nieprzyzwyczajonego było naprawdę wykańczające. Dziki widział w tym jeden plus. Ledwo przytomny chłopak mógł być mniej skory do wyjawienia tego, co usłyszał od Hieny. Miał jednocześnie nadzieję, że Korek będzie czuł się źle na tyle długo, by zdążył przygotować się na rozmowę z Oli. Nie chciał, by wieść rozeszła się po Autobusie pocztą pantoflową.

— Dobra, Janek wieź nas po nowych! — rozkazał, starając się by nie było po nim widać, że na samą myśl o tym popadł w wewnętrzną rozpacz.

Kierowca, marudząc przez chwilę, po raz kolejny zawrócił autobus zbyt gwałtownie, powodując znów wturlanie się kilku osób pod siedzenia.

— BÓG CIĘ OPUŚCIŁ, JANEK?! — wykrzyczał Bocian, który ledwo dostał się spomiędzy foteli po ostatnim razie, a kilka innych osób zawtórowało mu przekleństwami.

Ich kierowca nic sobie z tego nie robił i już po chwili zaczął swoje standardowe marudzenie: — Strasznie daleko! Bliżej Strefy Głodu już ich wywiać nie mogło!

— Nie przejmuj się. Ręka Olbrzyma zdycha pewnie z bólu tak samo, jak my — pocieszył go Dziki. — Raczej wątpię, żeby szukali dzisiaj zaczepki...

Janek nie przyjął tego tak entuzjastycznie jak by oczekiwał tego Dziki. Może ze względu na to, że był to pierwszy raz, gdy odbierali kogoś z tak daleka. Niemniej, skoro przystanek znajdował się w kodzie Kuby, znaczyło to, że brał pod uwagę możliwość odebrania kogoś również stamtąd.

Autobus toczył się wyjątkowo powoli. Proszki, które łyknął Dziki zaczęły w końcu działać, mógł więc obserwować drogę bez ryzyka przyozdobienia podłogi zawartością swojego żołądka. Wyglądając przez szybę dostrzegł, że mijali właśnie ulicę Rynkową. Rzędy lumpeksów ściśniętych jeden obok drugiego w ciasnych obskurnych kamienicach, były tutaj dominującym widokiem.

W normalnych warunkach autobus prawie nigdy nie wjeżdżał do tej części miasta. Między innymi dlatego, że znajdowała się ledwie o rzut kamieniem od Strefy Głodu. Przebywanie tam wiązało się więc z niebezpieczeństwem spotkania patroli bandery, a teraz dodatkowo Ręki Olbrzyma.

Z oddali, tuż przed nimi wyrastał powoli budynek PSP. Jedyne, który w całej okolicy miał mniej niż pięćdziesiąt lat. Zamknięte na rolety garaże dla wozów pożarniczych i nietknięte szyby świadczyły, że miejsce albo niedawno uległo Resetowi, albo oparło się do tej pory szabrownikom. Może dlatego, że było zbyt blisko

Armii Daniela, by Weterani zapuszczali się w te okolice? Oprócz tego, Dziki wiedział też, że miejsca tego typu były często siedliskiem Specjalistów. Najwidoczniej nikt nie chciał ryzykować tak bardzo, tylko po to by zdobyć sprzęt pożarniczy.

Podnosząc się z miejsca, zbliżył się do Oli, która podobnie jak on przed chwilą obserwowała drogę. — To co? Szykujesz się do najmilszej rzeczy, jaka spotka ich w tym świecie?

Dziewczyna słysząc to, uśmiechnęła się i skinęła wesoło głową. Świadomość, że mogła komuś pomóc, działała na nią w naprawdę niezwykły sposób. Dziki poczuł, że sam chciałby czerpać podobną energię z takich sytuacji, ale dla niego Nowoprzybyli oznaczali tylko kłopoty.

— Więc i ja się przygotowuję, żeby ich trochę postraszyć — rzucił zaczepnie, a Oli spojrzała na niego z politowaniem.

— Jakoś sobie tego nie wyobrażam. Za dobrze ci z oczu patrzy — stwierdziła.

— Siedzą! — wtrącił Janek z grobową miną. — Kurwa, ilu ich jest! — zawołał po chwili, całkiem załamany.

Słyszając to, Dziki zbliżył się do przedniej szyby. Na przystanku przed nimi siedziała grupa pięciu osób. — Zwolnij trochę... — powiedział, przyglądając się uważnie postaciom.

— Coś nie tak? — spytała natychmiast Oli, również przechodząc na przód piętusa.

— Pierwszy raz widzę, żeby Kuba przysłał nam aż piątkę — stwierdził zaniepokojony. — Chcę się im lepiej przyjrzeć...

Oli popatrzyła na niego niepewnie. — Sam mówiłeś, że Błysk był bardzo długi. Teraz już chyba wiadomo, dlaczego...

Dziki zignorował ją i skupił wzrok na Nowoprzybyłych. Wszyscy mieli na sobie standardową wyprawkę Kuby, czyli małe siekiery i plecaki szkolne z zapasami. Coś jednak dalej mu nie pasowało. Złapał ledwo przytomnego Korka za ramię i potrząsnął nim. — Korek, ile osób mieliśmy zabrać? Z przystanku koło straży? Pamiętasz?

Chłopak otworzył oczy, spoglądając z bólem na Dzikiego. — Chyba piątkę... — odpowiedział, po czym natychmiast zwymiotował na podłogę.

Dziki odskakując, popatrzył na Janka. — Chyba po prostu mamy pecha...

Janek słysząc to, warknął natychmiast. — Pecha? Dziki, to jest jebana tragedia! Pięć dodatkowych osób. Przecież nie staniemy nigdzie dłużej jak na pół godziny... Niewykształceni będą za nami latać jak opętani. Pojebało tego Kubę do końca...

— Spokojnie... — powiedziała Oli. — Może uda się upchnąć większość we Wspólnocie — dodała, pomagając Korkowi posprzątać jego „wpadkę”.

— No, zawsze jest szansa... — skłamał Dziki, który po ostatniej rozmowie z Mikiem doskonale wiedział, że była to mrzonka.

Kierowca westchnął, zatrzymując się w końcu pod przystankiem.

Nowoprzybyli ustawili się przed autobusem. Dwóch chłopaków w kapturach stanęło na przedzie grupy. Janek, po wyraźnie długiej chwili wewnętrznej walki, wyciągnął w końcu rękę i nacisnął guzik otwierający drzwi. — No, wbijajcie! — zawołał oschle.

Mężczyźni weszli niepewnie do środka. Gdy tylko ostatni stanął w autobusie, a drzwi się zamknęły, natychmiast wyciągnęli broń. Pierwsza z postaci wycelowwała w Janka, druga prosto w Dzikiego. Któraś z dziewczyn pisnęła przerażona, a to przebudziło pozostałych mieszkańców. Wszyscy zamarli w fotelach, spoglądając na całą sytuację, jakby była tylko koszmarnym snem.

Dziki zapomniał już całkiem o bólu i mdłościach, czując teraz narastające w sobie przerażenie. Mierząca do niego postać wyszeptała, krótkie: — Cześć...

Dziki był w tym momencie w takim szoku, że nie mógł nawet sklecić jednego całego zdania, wydukał jedynie: — Kim ty... Czego ty chcesz? — Mężczyzna mierzący do niego ściągnął kaptur z głowy i wtedy Dziki przeżył drugi szok. Mógł się spodziewać każdego: Maciejewskiego, Modrzewa albo nawet samego Daniela. Pod przesłoną jednak krył się ktoś zupełnie inny. — Wiewiór? Jak... dlaczego?! — zawołał.

Wiewiór westchnął ciężko, uciekając na chwilę wzrokiem. Wciąż jednak nie opuścił broni, mierząc prosto w czoło Dzikiego. — Nie było trudno... — powiedział. — Zwłaszcza, że miałem to...

Weteran sięgnął wolną ręką do bluzy i wyciągnął z niej notatnik Kuby, a Dziki zaklął głośno. W środku zapisany był cały kod, którym ich lider komunikował się z Autobusem.

— Więc to ty go zabrałeś?! Kiedy? — zawołał z wyrzutem Dziki.

— Po tym, jak zginął Kłosek. Gdy odwoziliście mnie autobusem do Wspólnoty, znalazłem go na jednym z wolnych miejsc i przejrzałem od niechcenia. Nawet nie wiesz w jakim szoku byłem, gdy zrozumiałem, co ten niepozorny zeszyt zawiera — wyjaśnił mężczyzna.

— Więc zakłócenia na radiu to też wasza robota? — spytał Dziki.

— Tak — potwierdził Wiewiór. — Nie mogliśmy pozwolić, żeby prawdziwa wiadomość od Kuby się przedostała. Do tego notatnik powiedział nam, z których przystanków odbieracie i jak powinni wyglądać potencjalni Nowoprzybyli...

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Podobnie pozostali mieszkańcy. Ich przerażone miny tylko pogłębiały strach, jaki sam odczuwał. — Ale po co? — spytał w końcu zupełnie zagubiony. — Niczym ci nie zawiniliśmy... Jeżeli chciałeś zabrać więcej zapasów albo srebrnych po akcji w PAS-ie, wystarczyło powiedzieć. Przecież byśmy się dogadali...

Wiewiór opuścił głowę. Wyglądało na to, że sam nie był do końca przekonany do tego, co robi. — Tu nie chodzi o pieniądze czy towar. Twoja obecność... — odparł z powagą. — Wasza obecność jest niezbędna, by zakończyć pewne sprawy.

Dzikiego w tym momencie zatkało. Nie wiedział, czy to złośliwość losu, czy wracająca karma, ale przysiągłby, że podobne słowa usłyszał Modrzew od Mike'a, chwilę przed tym nim go pojмали. Nie mogąc powstrzymać drżenia w głosie, wydukał jedynie: — Jakie sprawy?

— Zobaczysz — stwierdził Weteran, po czym zwrócił się do ich kierowcy. — Janek, kieruj się na Strefę Głodu.

W tym momencie Dziki nie wytrzymał i opętany bólem oraz kipiącym gniewem prawie wparował w lufę pistoletu. — TY SUKINSYNU! CHCESZ NAS SPRZEDAĆ DANIELOWI? JUŻ ZAPOMNIAŁEŚ, ŻE URATOWAŁEM CI ŻYCIE?! TY GNIDO BEZ HONORU. MYŚLISZ, ŻE DANIEL CIĘ OSZCZĘDZI?! ZDECHNIESZ, JAK KAŻDY WETERAN! — wykrzyczał wściekle, nim zdążył ugryźć się w język.

Prowokowanie kogoś, kto mierzył ci w głowę, mogło skończyć się tragicznie, ale niespodziewanie Wiewiór nie zareagował agresją. Cofnął się kawałek, by utrzymać dzielący ich dystans, a jego wzrok wbił się w podłogę. — Mylisz się, Dziki. Nie zapomniałem, co dla mnie zrobiłeś — odpowiedział spokojnie i z powagą. — Dlatego proszę, współpracuj, a nikomu z Autobusu włos z głowy nie spadnie. Masz na to moje słowo...

Dziki nie wiedział, czy to przez niepewność w głosie Wiewióra, czy może po prostu gniew pokonał początkowy strach, ale pełnym nienawiści głosem syknął: — Słowo zdrajcy! Dlaczego to robisz?!

— Bo ja jestem szpiegiem Daniela... — odpowiedział mężczyzna.

Dziki popatrzył na niego zszokowany. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. — Przecież ty polowałeś na Rękę Olbrzyma! Jesteś powszechnie znanym prawdziwym Weteranem... To jakiś kurwa żart?!

Wiewiór westchnął, kręcąc w irytacji głową. — Zastanów się, Dziki! Dlaczego ochotnicza straż Wilka nigdy nie trafiła na Rękę Olbrzyma? Bo ja ich ostrzegałem... Dlaczego tamci znajdowali Weteranów, mimo że ci tak dobrze się kryją? Bo znam kryjówki większości z nich... Bo wszyscy mi ufają. Bo zawsze byłem tym spoko gościem, Wiewiorem, który dla każdego był w porządku i z którym każdy robił interesy. Prawda jest jednak taka, że jestem szpiegiem Daniela praktycznie od powstania Strefy Głodu. Bo widzisz, ja i Daniel znamy się jeszcze ze Starego Świata.

— Nie, to niemożliwe... Nie wierzę... — wydukał Dziki.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony Wiewiór. — Matko, wszyscy otaczają Daniela takim kultem, że zapomnieli już chyba, że on w Starym Świecie był zwykłym człowiekiem. Pracował, miał kolegów i znajomych. Przecież całe Bractwo to jego towarzysze z dawnego świata. Co w tym dziwnego, że mogliśmy się znać? Chyba jedyne dziwactwo, to fakt, że właśnie ja zdecydowałem się włączyć poza Gorgorem, zamiast opływać w jego luksusy. No, ale Daniel potrzebował kogoś takiego... Więc się zgłosiłem, dla dobra Strefy Głodu — wyjaśnił z wyraźną dumą brzmiącą w głosie.

— Dla dobra Strefy Głodu?! — krzyknął z ironią Dzik. — O czym ty mówisz? Ty w ogóle tam byłeś? Jak ktoś taki jak ty może popierać to, co robi Daniel? — zawołał, nie rozumiejąc zupełnie motywacji stojącego przed nim człowieka.

— Tak, byłem! — potwierdził Wiewiór. — I wiesz co? Byłem też we Wspólnocie. Tak jak ci już mówiłem, może gdybyś wszedł w nią trochę dalej, niż do baru i z powrotem, to zobaczyłbyś prawdę. Mike może ci nie płacze w ramię, bo ma ciepłą posadkę i protekcję Krzaka, ale widziałeś kiedyś „zbędnych”? Ludzi stojących najniżej we Wspólnocie? Myślisz sobie, że jesteś jakimś cholernym aniołem stróżem, bo razem z Oli i Kubą upychacie tam ludzi na siłę? A interesowało cię co się potem z nimi dzieje? Ja ci powiem! Ludzie tam zaharowują się na śmierć, podczas gdy elity pokroju Sępa, Zoidberga czy Hektora płacą mi kolosalne kwoty za głupie filmy ze Starego Świata...

— I CO?! STREFA GŁODU JEST MOŻE LEPSZA?! — spytał ironicznie Dzik.

Wiewiór i na to miał gotową odpowiedź. — JEST! BO PRZYNAJMNIJ JEST UCZCIWA! Dostajesz tyle, na ile zapracujesz. Jeżeli jedyne co potrafisz robić, to siedzieć na dupie i czekać aż dadzą, to dostajesz minimum. Nikt tam też nie udaje elitarnego kółka, chcesz to zostajesz, nie chcesz odchodzisz. Poza tym, przyjrzałeś się kiedyś ludziom w Strefie? Tam nie ma nikogo, kto na to nie zasłużył. Daniel osobiście odsiewa ziarno od plew. Cierpią tylko ci, którzy powinni cierpieć. Bananowa młodzież, która w Starym Świecie wozila się limuzynami ojców i wszystkich miała za śmieci. Urzędnicy, którzy zamiast pomagać ludziom, gnębili ich i wykorzystywali stanowiska dla własnych celów. Daniel daje szansę wszystkim, których Stary Świat skreślił. Zwyczajnym szarym ludziom, jak my... Bo to jest Nowy Świat i nowa sprawiedliwość! — wykrzyczał dumnie.

— Bandera trochę ci pieprzył obraz tej sprawiedliwości... — wysapał jadowicie Dzik.

W tym momencie twarz Wiewióra nieco przygasła, a wzrok powędrował w stronę trójki mężczyzn z grupy, z którą wszedł do autobusu. — Tu mnie masz... Bandera to chłam. Ale są nam potrzebni. Gdyby nie przewaga liczebna jaką nam dają, Weterani już dawno by się zjednoczyli i podbili Strefę Głodu. Potem zaprowadziliby tam porządki niewiele lepsze niż te, które znasz ze Starego Świata. Dobra, starczy tej politycznej gadki. Siadaj i oddaj mi broń, nie mamy więcej czasu...

Dzik zawahał się obserwując Wiewióra, ale z lufą prawie przytkniętą do czoła nie miał, jak próbować cegokolwiek. Zrezygnowany, sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet, podając go swojemu oprawcy.

— Bardzo rozsądnie. Strzelanina to ostatnia rzecz jakiej nam tutaj potrzeba — pochwalił go Wiewiór. — Ruszaj Janek, nie będę się więcej powtarzał! — rozkazał kierowcy, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy. — Wy trzech pilnować mieszkańców! I bez żadnych głupot! Żółty miej oko na Janka,

a ty... — powiedział zwracając się ponownie do Dzikiego — ...lepiej już naprawdę sobie usiądź...

Dziki, mimo gotującej się w nim złości, zajął miejsce obok Oli, która obserwowała bacznie całą sytuację. Chociaż jej oczy zdradzały, że jest przestraszona, to starała się zachować spokój. Gdy Wiewiór obrócił się do nich plecami i wyjrzał przez przednią szybę, dziewczyna złapała Dzikiego za rękę i położyła ją na swoim udzie. Pod jej spódniczką wyczuł kaburę i pistolet.

— *No tak! Przecież Oli miała swój pistolet!* — pomyślał, a iskra nadziei rozbłysnęła mu w głowie. To była ich szansa! Żaden z napastników na pewno nie spodziewał się, że oprócz Dzikiego ktoś jeszcze może mieć w autobusie broń. Teraz musiał tylko wyczuć odpowiedni moment by to wykorzystać.

Wiewiór i Żółty stali teraz obok fotela Janka, obserwując drogę. Bandy-ci, którzy przyszedli razem z nimi, przeszli co prawda na tył i mogli zobaczyć co dzieje się obok Dzikiego, ale żaden z nich nie miał broni palnej. Wystarczyłoby zastrzelić zdrajców Weteranów, a ich towarzysze pewnie sami by się poddali.

Dziki odetchnął ciężko i powolnym ruchem sięgał już po ukrytą przez dziewczynę broń, ale jak na złe Wiewiór ponownie odwrócił się w ich stronę. Cofnął natychmiast rękę, starając się zachować kamienną twarz, a zdrajca Weteran popatrzył z żalem w stronę Oli. — Nie denerwuj się — poprosił spokojnym głosem. — Dostałem słowo od samego Daniela, że jak wszystko pójdzie dobrze, to puścimy was wolno...

— I ty mu wierzysz? — zakpiła dziewczyna.

— Bardziej niż komukolwiek innemu — odpowiedział bez zastanowienia. — Kbkś masz pewnie na górze? — spytał zwracając się teraz do Dzikiego. — Lepiej pójdę po niego, bo jeszcze komuś z twoich podopiecznych przyjdzie coś głupiego do głowy... — stwierdził i ruszył w stronę schodów.

Dziki obserwował go, wyczuwając nadarzającą się okazję. Gdy Wiewiór będzie już wchodził na piętro, to przez chwilę odwróci się do nich plecami. Żółty, który pilnował Janka obserwował drogę i nie zwracał na nich uwagi. Musiałby tylko dwoma celnymi strzałami trafić obu zdrajców, a potem zastraszyć opryszków, z którymi przyszedli. Problem był w tym, że na samą myśl o tym serce załopotало mu przeraźliwie, a ręce trzęsły się z nerwów. — *Uspokój się* — powtarzał sobie, widząc jak Wiewiór zbliża się do schodów. — *Uspokój się...* — wyszeptał bezgłośnie, a jego ręka powędrowała do ukrytej broni.

Wiewiór zniknął już na spirali, a Dzik dał znak Oli kiwnięciem głową. Dziewczyna uniosła spódniczkę do góry, a on złapał za pistolet. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, poderwał się gotów do strzału. Niestety nim zdążył nacisnąć spust, stało się coś, czego nie mógł przewidzieć. Janek rąbnął z całej siły w hamulce, a rozpędzony autobus stanął prawie dęba.

Żółty pofrąnął prosto na przednią szybę, uderzając w nią czołem. Dzik rąbnął brzuchem w oparcie siedzenia, przełamując je do przodu i wypuszczając

jąc pistolet z ręki. Tuż za nimi Wiewiór zleciał ze schodów, lądując między siedzeniami. Mieszkańcy autobusu oraz pozostali oprawcy runęli na podłogę.

— TERAZ! WSZYSCY! DO ATAKU! — wykrzyczał Janek, który najwyraźniej realizował swój własny plan wybawienia ich z opresji.

Kierowca rzucił się natychmiast na otumanionego Żółtego, a Oli otrząsnęła się i dała szybkiego nura między siedzenie, by znaleźć broń wypuszczoną przez Dzikiego. Przy schodach Korek i Klucz dopadli do Wiewióra, próbując odebrać mu pistolet, którego jakimś cudem nie wypuścił z rąk. Stojący nad nimi Smalec dopingował ich krzycząc. — Dalej! Zabierzecie mu ją! Gryźcie! Gryźcie!!!

Żółty mimo otępienia zdołał strącić z siebie Janka i wyciągnął nóż, którym przeciął wściekle powietrze. Ostrze o włos minęło głowę ich kierowcy, który uchylając się przed ciosem, wpadł na swoje siedzenie. Dzikie ruszył w ich stronę i z impetem wbił się w Żółtego, blokując jednocześnie rękę, w której mężczyzna trzymał broń. Janek nie czekając, poderwał się z fotela i rąbnął go w twarz. Niestety Żółty wytrzymał cios, a na dodatek zdołał wyszarpać nadgarstek z uchwytu Dzikiego. Janek cofnął się, unikając po raz kolejny nadlatującego ostrza, a Dzikie wykorzystując moment chwycił Żółtego od tyłu.

W tym samym czasie z głębi autobusu dobiegły krzyki dziewczyn. Beata, Laura i Weronika rzuciły się we trzy na jednego z bandytów przybyłych z Wiewiorem. Przyciskając go do podłogi, próbowały uniemożliwić mu dotarcie do siekiery.

Kawałek dalej Green dopadł do rozsypanej skrzynki z narzędziami, która przy hamowaniu zleciała z siedzenia Klucza. Wyciągając z niej młotek, wymierzył kolejnemu z bandytów cios, czym prawie roztrzaskał mu czaszkę.

Kryspin wyciągnął swój nóż sprężynowy i razem z Edkiem i Bocianem odcieśli trzeciego z mężczyzn na tyle pojazdu, ale ten bronił się przed nimi wymachując wściekle siekierą.

Kolejny krzyk wypełnił autobus. Korek runął między fotele trafiony pięścią Wiewióra, który szarpał się teraz z Kluczem o kontrolę nad pistoletem. Widząc to Green spróbował przebić się do nich, ale bandyta trzymany przez dziewczyny, zdołał chwycić go za nogę, przez co chłopak runął tuż obok niego. Smalec zamiast pomóc swojemu kumpłowi, dopingował go jedynie zza fotela, wyrzaskując: — DAWAJ GO, KLUCZ! KURWA! DAWAJ, ZAJEB MU!

Green spróbował wyzwolić się z uścisku, tłukąc w rękę bandyty młotkiem, a w tym samym czasie spod siedzenia wyłoniła się Oli trzymając pistolet. Dzikie poczuł, że teraz mają szansę. Spróbował oderwać się od Żółtego, by dać dziewczynie czystą drogę do strzału. Mężczyzna musiał zauważyć co mu grozi, bo chwycił Dzikiego ze wszystkich sił i traktując go jako osłonę, spróbował jednocześnie dźgnąć go nożem. Janek, wyrwał w tym czasie gaśnicę z kosza przy drzwiach i rąbnął kumpla Wiewióra w głowę. Ten mimo ciosu

nie odpuścił i wciąż kurczowo trzymał Dzikiego, chowając się za nim przed mierzającą w ich stronę Oli.

Janek uniósł ponownie gaśnicę i wymierzył kolejny cios. Żółty oberwał w bark, a Dzikie poczuł, że mężczyzna słabnie. Napierając teraz ze wszystkich sił, starał obrócić się, ustawiając go plecami do Oli. Żółty z desperacji padł na ziemię, ciągnąc za sobą Dzikiego. Mężczyzna uchronił się przed strzałem, ale Dzikie był wręcz w idealnej pozycji by go obezwładnić. Wyszarpując się z uchwytu, przycisnął jego ręce do ziemi. Błyskawicznie znalazł się przy nich Janek i wymierzył kolejne uderzenie gaśnicą. Twarz mężczyzny zalała się krwią. Zamroczony, nawet nie próbował już walczyć.

Dzikie był prawie pewien, że się udało, ale w tym momencie usłyszał mrozący krew w żyłach dźwięk wystrzału i krzyk dziewcząt z Autobusu.

Klucz stał naprzeciw Wiewióra, kurczliwie trzymając się za bok swojej bluzy. Spod jego dłoni zaczynała sączyć się krew. Ciska, która nastąpiła po strzale, trwała niewyobrażalnie długo. Mechanik osunął się powoli siadając na podłodze. Ledwo przytomny, spoglądał otępiąłym wzrokiem na pistolet w ręku Wiewióra, a ten zawołał natychmiast. — Opuść broń Oli! Bo go zabije! — Dla podkreślenia groźby, dał krok do przodu praktycznie wciskając Kluczowi lufę w czoło.

Dziewczyna zamarła. Jej oczy biegały dookoła, szukając jakiegokolwiek okazji, ale Wiewiór nie dał jej czasu, by mogła cokolwiek wymyślić. — NATYCHMIAST! — wrzasnął wściekle.

Zrezygnowana Oli upuściła pistolet. W tym samym momencie Żółty oprzytomniał i zepchnął z siebie Dzikiego. Ten spodziewał się, że zaraz oberwie, ale mężczyzna dopadł do Janka i rąbnął go ręką i nożem.

Ich kierowca momentalnie upadł na ziemię, zasłaniając twarz, a Żółty zaczął kopać go ze wszystkich sił po głowie. — Gaśnicą, kurwo! Gaśnicą! Gaśnicą!!! — wykrzykiwał coraz głośniejszym głosem z każdym kolejnym ciosem.

— Nie! — krzyknęła Oli, wyskakując do przodu, ale Dzikie złapał ją w pasie, blokując jak zaporę. — Powstrzymaj go! Powstrzymaj, błagam! — zawołała w stronę Wiewióra.

Szpieg Daniela stał przyglądając się jak sparalizowany. Dopiero gdy Żółty podniósł nóż, chcąc ugodzić leżącego na ziemi kierowcę, krzyknął: — Dość!

— Ten sukinsyn mało mnie nie zatłukł — wykrzyczał Żółty, patrząc na niego z wyrzutem. — Za bardzo się z nimi cackasz, Wiewiór! — wrzasnął, podnosząc jednocześnie pistolet z ziemi.

— Jesteś pod moimi rozkazami, więc się hamuj i siadaj za kółko! Reszta ma iść na tył i ostrzegam was...! Nadszarpnęliście już moją cierpliwość! Nie chcę nikogo zabijać, ale zrobię to, jeśli będę musiał! — warknął, mierząc kolejno do zgromadzonych. — A wy! Armio z koziej dupy, zbierać swój majdan i ich pilnować — dodał, zerkając z pogardą na swoich towarzyszy, którzy na drżących nogach podnosili się z podłogi.

Bocian ze Smalcem wsparli Klucza, który był w takim szoku, że nawet nie jęknął. Ciągłe tylko patrzył się nieprzytomnie w przestrzeń. Mężczyźni ułożyli go na tylnym rzędzie siedzeń, a Green natychmiast podwinął mu bluzę.

— Jak jest źle? — spytał Dzik, stając obok i obserwując krew lejącą się po brzuchu mechanika.

Green pokręcił głową. — Opatrzę ranę, ale to tylko tymczasowe. Boże, a jak doszło do perforacji jelit... Ja nigdy nie zajmowałem się czymś takim... — powiedział głosem, który świadczył, że sam ledwo trzyma się kupy.

Oli ścisnęła jego rękę, mówiąc: — Dasz radę. Ja wiem, że możesz mu pomóc.

Chłopak potrząsnął niepewnie głową, otwierając szerzej oczy. — Moje przybory... Są na piętrze — wyszeptał do Dzikiego. — Będę ich potrzebował.

Dziki zerknął w stronę schodów. Wiewiór nie zaryzykował ponownie odwracania się do nich plecami. Rozsiadł się na środkowych stopniach, tak by mieć wszystkich przed sobą i obserwował ich ze wścieklą miną. Biorąc głęboki oddech, Dzik podniósł się i zbliżył do dawnego Weterana, ten natychmiast wymierzył do niego z pistoletu.

— Wiewiór, z Kluczem nie jest dobrze... — zaczął, starając się brzmieć spokojnie. — Green potrzebuje swojej apteczki, żeby mu pomóc. Gdybyś mógł...

— Nie — przerwał mu mężczyzna. — Mówiłem żebyście nie próbowali niczego głupiego. Teraz radźcie sobie tym, co macie tutaj.

Dziki miał już odejść zrezygnowany, ale Wiewiór sięgnął do swojego plecaka i wyciągnął z niego jakieś zawiniątko. — Wspomóż się tym... — powiedział, rzucając pakunek na podłogę.

— Dzięki... — odpowiedział Dzik, biorąc bandaż z podłogi i zanosząc je do Greena.

— Niewiele, ale musi wystarczyć... — stwierdził medyk, próbując powstrzymać krwawienie.

Klucz, mimo rany i utraty krwi, ciągle zachował przytomność i przez cały czas wpatrywał się w sufit.

Zajmując miejsce, Dzik przebiegł wzrokiem po swoich towarzyszach. Mieszkańcy autobusu wyglądali na przerażonych. Większość patrzyła na Klucza, kręcąc co jakiś czas głową. Papużki ścisnęły się obok siebie, chowając twarze w dłoniach. Nawet Oli, w jakimś dziwnym amoku, ciągle głaskała Janka po dredach. Sam kierowca ledwo dyszał, bo jego twarz po tej ilości kopnięć napuchła i poczerwieniała, przez co wyglądał jak ogromny pomidor.

Ciszę przerwała dopiero Weronika, która wyszeptała przerażona: — Dzik, co oni z nami zrobią?

Wszyscy skupili na nim wzrok, jakby oczekując, że jest w stanie udzielić im sensownej odpowiedzi. Jedyne co przychodziło mu do głowy, to „zemsta”.

Być może to, co przewidywał Kuba, w końcu się ziściło i Daniel postanowił ukarać Dzikiego, za pomoc, której udzielił jego wrogom.

Wiedział jednak, że nie może podzielić się tym ze wszystkimi. Po takiej deklaracji ludzie całkiem by się załamali. Czując, jak łyzy bezsilnej złości nabiegają mu do oczu, milczał. Kolejni mieszkańcy zrezygnowani odwracali wzrok. Czyżby z jego twarzy wyczytali, o co może chodzić?

Fala potępieńczych myśli zalała mu głowę. — Znowu zawiódł... Po raz kolejny... — Mimo że miał złe przeczucia, mimo że wiedział gdzieś w głębi, że coś jest nie tak. Dlaczego się zgodził? Dlaczego podejmował tak wiele złych decyzji? Ręce trzęsły mu się z żalu i goryczy. Oli, która to zobaczyła, zacisnęła dłoń na jego kolanie.

— Damy radę — wyszeptała, próbując się uśmiechnąć.

Dziki miał spore wątpliwości. Jakie plany mógł mieć wobec nich Daniel? Czy Wiewiór kłamał, mówiąc na samym początku, że nie spotka ich krzywda? Może tak naprawdę w Strefie Głodu czekają już na nich gotowe sznury...

Przez jego głowę przeszła wizja Oli wiszącej z pętlą na szyi, z której martwych oczu ciekły łzy. Poczuł, jak ogarnia go gorycz, której nie był w stanie przezwyciężyć. Podniósł się, gotów rzucić się na Wiewióra. Chciał zginąć, próbując coś zrobić. Nim jednak zdążył dać chociaż krok, dziewczyna złapała go i pociągnęła z powrotem na siedzenie. — ZOSTAW! — krzyknął, próbując wyrwać się z jej rąk.

Wiewiór spojrzał w ich stronę, ściskając nerwowo pistolet.

Wyraźnie przestraszona Oli, chwyciła Dzikiego za kołnierz i patrząc mu w oczy, pocałowała go. Dzik próbował ją odepchnąć, ale dziewczyna nie przerywała, ciągle przyciskając swoje usta do jego ust.

Wiewiór pokręcił głową, wyglądając przez szybę, a Oli odklejając się od Dzikiego, wyszeptała mu do ucha. — Nie poddamy się! Będziemy walczyć do końca, ale nie możesz teraz zginąć, bezmyślnie rzucając się pod lufę...

Dziki popatrzył na nią. Jej twarz nie była smutna, było z niej jakieś dziwne zacięcie. Kiwnął głową, dając znak, że zrozumiał swój błąd, po czym już spokojnie wyprostował się na fotelu.

— Dojeżdżamy! — zawołał Żółty w stronę Wiewióra.

Dziki wyjrzał przez boczne okno. W oddali dostrzegł szyld pizzerii „Papa Pepo”, w której razem z Mikiem spotkali się z informatorem Wilka i po raz pierwszy złamali zasadę neutralności Autobusu. Odwrócił wzrok, czując obrzydzenie do samego siebie. Kątem oka dostrzegł, że Wiewiór się poruszył.

Były Weteran sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć z niej czerwoną bandankę, którą przewiązał sobie na prawym ramieniu. Z niewyobrażalną dumą popatrzył na symbol przynależności do Armii Daniela, szepcząc: — Nareszcie w domu.

— Więc tak ona wygląda... — powiedziała Oli, która przez okno obserwowała zbliżającą się Strefę Głodu.

Miejsce nie zmieniło się ani trochę od momentu, gdy Dzikie był tu po raz pierwszy. H-Market, największy sklep w Krańcowie, stanowiący główne źródło zaopatrzenia Armii, otoczony był płotem z siatki i drutu kolczastego. Cały parking oraz ulica przed nim zastawione były prowizorycznymi szalasami i namiotami, a kręcący się po nim ludzie, nazywani cherlakami, wciąż wyglądałi jak cienie kurczowo trzymające się życia.

Żółty zatrzymał autobus tuż przed pierwszymi szalasami. Ich wychudzeni mieszkańcy wyłonili się, obserwując pojazd z zaciekawieniem.

— Daj znać przez radio, że jesteśmy! — rozkazał Wiewiór.

— Autobus w Strefie. Czekamy na dalsze rozkazy. Powtarzam, autobus w Strefie — zawołał Żółty, łapiąc za gruszkę.

Po chwili ciszy z trzeszczącego głośnika dobiegł damski głos. — *Poczekajcie chwilę. Już do was idzie...*

— Idzie? Kto idzie? — wyszeptał przerażony Janek, plując krwią dookoła.

Ciche rozmowy rozgorzały między mieszkańcami, ale do Dzikiego nie docierało jeszcze zbyt wiele. W myślach wciąż pluł sobie w twarz za błędy, jakie popełnił. Zauważył jedynie, że pilnujący ich banderowcy opuścili swoje siedzenia i wyszli z autobusu. Przez chwilę wszystko zamarło. Nawet Wiewiór i Żółty zdawali się oczekiwać na nadejście tego kogoś.

Dopiero gdy siedząca obok Dzikiego Oli pisnęła, wrócił na chwilę do siebie. Wszyscy jego towarzysze przykleili się do okna, obserwując.

Pierwsze co zobaczył, to cherlacy rozbiegający się w popłochu. Dopiero po chwili dostrzegł zbliżającą się postać i poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. W ich stronę zmierzał bowiem sam Olbrzym Maciejewski.

Dzikie widział go wcześniej tylko raz, gdy przekradał się z Dix przez Strefę Głodu, ale za to doskonale go zapamiętał. Mężczyzna miał ponad dwa metry wzrostu, a swoją budową przypominał niedźwiedzia. Jeansową kurtkę wielkości namiotu zamienił teraz na mundur Ręki Olbrzyma.

Maciejewski postawił nogę na stopniu, a cały autobus zdawał się przechylać.

— Daniel Żyje! — zawołał na powitanie Żółty, podrywając się z miejsca.

— Żyje... — odpowiedział Olbrzym chrapliwym głosem i mijając Żółtego, ruszył przygarbiony na tył, ledwo mieszcząc się w przejściu między siedzeniami.

Dzikie miał wrażenie, że cały piętrus buja się przy każdym jego kroku.

Olbrzym zatrzymał się przy Wiewiórze, mierząc go badawczym wzrokiem. Po chwili ciszy wyciągnął swoją wielką jak bochenek chleba dłoń. — Więc to ty jesteś szpiclem? Mam wrażenie, że kiedyś do ciebie strzelałem — stwierdził.

— Na szczęście kiepsko strzelasz — odparł Wiewiór, ściskając mężczyźnie dłoń.

Olbrzym przyglądał mu się jeszcze przez chwilę, po czym przebiegł wzrokiem po mieszkańcach autobusu. — Więc, który to? — spytał.

— On — odpowiedział Wiewiór, wskazując palcem na Dzikiego.

Maciejewski zmrużył oczy, przyglądając mu się przez chwilę. Być może zapamiętał jego twarz ze Strefy Głodu. Widząc wzrok Olbrzyma skupiony na Dzikim, Oli przycisnęła się do niego mocniej. Ten zaś poczuł jak zimny pot spływa mu po karku. Więc chodziło o niego. Czyli Daniel chciał się zemścić. Jaki los zgotował mu tutaj w Strefie? Śmierć? Czy może coś gorszego? Może po prostu chciał go wykończyć osobiście...

Niespodziewanie jednak, Maciejewski pokręcił głową z wyraźnym rozczarowaniem rysującym się na swojej brodatej twarzy. — Jesteś pewien, że to wypali? On jest tak przeciętny, że aż mnie dupa boli... — powiedział z wyraźną kpina.

Wiewiór spojrzał na Dzikiego, po czym skupił się z powrotem na Olbrzymie. — Dix nieraz pokazała, że zrobi dla niego wszystko. Zakochała się w nim, a my to wykorzystamy...

Dzikie poczuł, jak serce ucieka mu z klatki piersiowej. Więc chodziło o Dix? Czemu? Przecież nawet nie brała udziału w polowaniu na Rękę Olbrzyma? Czemu właśnie ona i to teraz?

Maciejewski wciąż wyglądał na nieprzekonanego. Przyglądając się jeszcze raz Dzikiemu rzucił złośliwie: — Słaby ma dziewczyna gust, ale z rozmytą pizdą nie ma co wybrzydzać... Ciekawe czy fiut mu się od niej rozplął?

Wiewiór westchnął, słysząc ten kiepski żart. — Stan jego „pindola” nie ma znaczenia w planie. Pytanie, czy ty jesteś gotowy. Bo chcę ci powiedzieć, że są aż trzy możliwe drogi, którymi może się to potoczyć...

— Jakże kurwa trzy! — przerwał natychmiast Maciejewski. — Mówiłeś, że Dix przyprowadzi nam Wilka. Jakże kurwa trzy drogi? — zawołał groźnie, bez trudu spoglądając w twarz siedzącego na schodach Wiewióra.

Chyba każdy inny człowiek miałby w tym momencie mokro w spodniach. Wiewiór jednak spojrzał pewnie na Olbrzyma, mówiąc: — Posłuchaj i spuść trochę z kija. Sprowadzę Wilka tam, gdzie chcesz, musisz tylko zrozumieć, że reszta już ode mnie nie zależy. Za chwilę Żółty wypuści przez radio komunikat, że mamy cały Autobus do Wolności i że oddamy jego mieszkańców, jeżeli Wilk odda się w nasze ręce.

— A jak się nie odda? Doskonale kutas wie, co go tutaj czeka... — warknął Maciejewski, zderzając ze sobą swoje wielkie pięści.

— Daj mi skończyć! Gdyby Wilk nie chciał podłożyć łba pod topór, są jeszcze dwie opcje. Dix go dorwie i przyprowadzi tutaj, by wymienić go za Dzikiego...

— Znaczy za tego srajtka? — dopytał Maciejewski, wskazując swoim wielkim paluchem w stronę Dzikiego.

— Tak, dokładnie. Problemem jest trzecia możliwa opcja. Wilk może przekonać Dix, żeby połączyli siły i spróbowali odbić autobus — przestrzegł Wiewiór, myśląc pewnie, że Olbrzym się tym w jakiś sposób przejmie.

Niespodziewanie Maciejewski uśmiechnął się złowieszczo, strzelając kostkami w palcach i wydając przy tym dźwięk, który przypominał kruszenie kamieni. — Właśnie na to najbardziej liczę... — stwierdził pewnie.

Wiewiór spojrzał zdziwiony w twarz kolosa. — Masz jakiś plan na taką ewentualność? No bo, nie ujmując... dziewiętnastu ludzi z Ręki plus ty przeciwi: Defektowi, Wilkowi, Weteranom i reszcie ochotników, to raczej sromotna klęska... — stwierdził ostrożnie.

Maciejewski zaśmiał się pogardliwie. — Pomarańczowy, pieprzniej no w klakson!

— Jestem Żółty... — wymamrotał pod nosem mężczyzna, posłusznie jednak zatrąbił.

Po chwili Dziki dostrzegł przez okno poruszenie w całej Strefie Głodu. Zewsząd zaczęli zlać się ludzie w brązowych mundurach. Całe mrowie postaci w strojach Ręki Olbrzyma stanęło przed autobusem.

— Co to do cholery jest? — zawołał Wiewiór, mrugając kilka razy, jakby nie wierzył temu co widzi.

— Rekruci — stwierdził ironicznie Maciejewski. — To oczywiste, że przy zamęcie, który sialiśmy, te weterańskie fiuty będą mieć nas na celowniku. Dlatego przebrałem wszystkich wolnych banderowców i trochę cherlaków w nasze ciuchy. Jak się zlezą, wypuszczę na nich tę hałastę — stwierdził dumnie Olbrzym.

Po chwili szoku, jaki wywołała zbliżająca się gromada, Wiewiór popatrzył w stronę Olbrzyma nieprzekonany. — Dix dobrze posługuję się błędami. Wilk i Szara też sporo potrafią, nie mówiąc już o tym, że Zjawa może się pojawić razem z nimi. Możliwe, że będziesz potrzebować czegoś więcej, niż ludzi udających armię — stwierdził. — Myślę, że powinieneś zwrócić się o pomoc z Gorgoru — dodał po chwili.

Niespodziewanie Maciejewski obrócił się w jego stronę ze wściekłą miną. — Nie będę zwracał Danielowi dupy tą rozmyto-cipną i jej haremem. Jak przyjdzie, wypruję z niej flaki i dam pokaz tym kryjącym się po ruinach ciolom, że żadne błędy ich nie ocalą. Zresztą Daniel już od dawna ma mnie na oku. Jak mu teraz pokażę, ile jestem wart, zostanę jednym z Braci i sam będę ucztował w Gorgorze — ryknął, jak niedźwiedź szykujący się do ataku.

W tym momencie w Dzikim się zagotowało. Miał ochotę rzucić się na Maciejewskiego i wydłubać mu oczy gołymi rękami. Byłby to jednak zryw równie idiotyczny, co niebezpieczny dla mieszkańców autobusu. Odwracając się od Olbrzyma, spojrzał na stojącą pod oknem bandę. Gdy przyjrzał im się bliżej, od razu zauważył różnicę między nimi, a regularnym oddziałem Armii. Ci tu-

taj mieli na sobie zwykłe brązowe ubrania, nie mieli broni palnej ani żadnego sensownego wyposażenia. Stanowili wręcz oczywisty wabik. Z drugiej strony, w chaosie, jaki bez wątpienia panowałby w czasie walki, ciężko byłoby ich odróżnić od normalnych członków Ręki Olbrzyma. Dziki wciąż jednak nie rozumiał, jak z ich pomocą mężczyzna chciał wygrać tę bitwę.

— Przynajmniej będziecie blisko Strefy Głodu. Gdyby coś poszło nie tak, posiłki są na miejscu... — stwierdził z nadzieją Wiewiór, który najwidoczniej nie podzielał entuzjazmu Maciejewskiego.

Olbrzym spojrzał na niego pogardliwie. — Nie będziemy walczyć pod Strefą Głodu. Jedziemy do starej cegielni...

W tym momencie Wiewiór wyglądał już na całkiem zagubionego. — CO?! To idiotyczne — zawołał. — Gdyby coś poszło nie tak, żołnierze ze Strefy nie dadzą rady dotrzeć...

— Bo nie będą potrzebni — wtrącił się nagle jakiś obcy głos.

W harmidrze, jaki samą swoją obecnością robił Maciejewski, nikt nie zauważył kolejnej postaci, która weszła bezszelestnie do autobusu. Dość wysoki mężczyzna z ogromną szramą ciągnącą się przez prawy policzek, stał od kilku sekund, przysłuchując się rozmowie.

Dziki po samym jego stroju stwierdził, że musiał być jakąś ważną figurą. Przybysz ubrany był w grubą ramoneskę, naszpikowaną w wielu miejscach gwoździami, spodnie miały na sobie liczne metalowe wzmocnienia, a jego buty wyglądały jak marzenie każdego Gota.

— Nie mieliśmy chyba jeszcze okazji się poznać — stwierdził mężczyzna, wyciągając dłoń w stronę Wiewióra. — Jestem Cichy. Mój oddział „Stalowi” zajmuje się badaniem Niewykształconych z woli brata Daniela — przedstawił się.

— Witaj — odpowiedział krótko były Weteran.

Podobnie jak wcześniej Maciejewski, Cichy przyglądał się przez chwilę Wiewiórowi. — Słyszałem o tym co dla nas robiłeś od samego Daniela, choć oczywiście bez szczegółów. Nasz Brat trzymał wszystko, co związane z twoją tożsamością w tajemnicy — wyjaśnił, spoglądając w końcu na ludzi z Autobusu. — Więc to nasza przynęta?

— Przynęta, przynęta... Za to pułapka nam chyba niedomaga — stwierdził Wiewiór, rzucając Olbrzymowi ironiczne spojrzenie.

Maciejewski słysząc to, najeżył się, zaciskając swoje ogromne pięści.

— Spokój, Bracia — powiedział Cichy, stając między mężczyznami. — Gdyby Maciejewski był tak skłonny do wyjaśniania planu, jak do prężenia mięśni, już dawno rozwialibyśmy wszelkie wątpliwości.

Olbrzym, który najwidoczniej czuł do Cichego większy szacunek niż do Wiewióra, nie zareagował na kpinę. Momentalnie wlepił wzrok w Beatę. Dziewczyna, czując jego spojrzenie pobladała i zamarła ze łzami w oczach.

Cichy, widząc niechęć między Maciejewskim i Wiewiorem, spróbował jakoś to załagodzić. Sięgając do swojej kurtki, wyciągnął papierosy, którymi poczęstował następnie obu mężczyzn. — No, Bracia zapalmy na zgodę — proponował. — Jesteśmy jedną Armią. Wszyscy wybrani przez samego Daniela. Nie zachowujmy się jak cherlacy. Nie musimy się całować po tyłkach, ale mamy się szanować i postępować z honorem wobec swoich.

Obaj mężczyźni sięgnęli po fajki. Maciejewski wyciągnął zapalniczkę, podając ogień Wiewiórowi i Cichemu. Wszyscy milczeli przez jakiś czas, wypuszczając kłęby dymu, które zasnuły autobus.

Gdy Olbrzym w końcu się trochę uspokoił, Cichy przygasił swojego papierosa i zaczął tłumaczyć plan Wiewiórowi. — Jak się zapewne domyślasz, Bracie, w Gorgorze zakładają, że jednak dojdzie do walki. Czy to Dix zaatakuję wspólnie z Wetami i Wilkiem, czy może sam Defekt ruszy rozliczyć się z nami, to już bez znaczenia. Miejsce, które wybierzemy na wymianę, nie jest przypadkowe. Na terenie starej cegielni znajdują się dwa place. Większy, na którym gromadzono gotową cegłę i mniejszy, gdzie trzymano inny sprzęt. Ustawimy autobus i fałszywą Rękę Olbrzyma na dużym placu i poczekamy na pojawienie się Wetów. Gdy tylko się zbliżą, otworzymy mały plac... a wtedy czeka ich niespodzianka — stwierdził tajemniczo Cichy, a Maciejewski uśmiechnął się złowieszco.

— Jaka niespodzianka? — dopytał natychmiast Wiewiór.

Dziki nadstawił uszu. Zastanawiał się, co przygotowali ludzie Daniela przeciw Defektowi i Dix.

— Potłuki — odpowiedział w końcu Cichy. — Całe mrowie. Mały plac jest miejscem, w którym pojawiają się po Błysku. Zabezpieczyliśmy bramę razem z chłopakami z oddziału jakiś rok temu. Od tamtej pory zgromadziła się tam już mała armia.

Wiewiór słysząc to, natychmiast zawołał. — Przecież na tym placu będziemy również my! Niewykształceni rzucą się również na nas! To głupota!

Maciejewski odparł mu jednak: — Chyba jako były Wet potrafisz sobie radzić z Niewykształconymi. Zresztą my będziemy mieli autobus, żeby się w nim schować.

Cichy popatrzył na Wiewióra z lekkim zaskoczeniem. — Wykonałeś już swoje zadanie, Bracie. Twoja obecność nie jest konieczna przy cegielni. Maciejewski doskonale sobie poradzi — stwierdził, opierając dłoń na plecach Olbrzyma.

Wiewiór spojrzał przez szybę na Strefę Głodu. Po chwili jego wzrok padł na Dzikiego. Patrzyli na siebie, aż w końcu mężczyzna stwierdził. — To moja wola. Chcę dopilnować kilku rzeczy...

Maciejewski zerknął przenikliwie na Wiewióra, a Cichy skupił się na Dzikim. — No tak, tę historię też słyszałem. Brat Daniel wspominał, że masz długi życiowe, wobec tego chłopaka.

Słysząc to, Olbrzym ryknął śmiechem: — Daleś się uratować Wetowi? I to jeszcze temu szramowatemu cherlakowi?

Dziki złapał się odruchowo za bliznę na twarzy. Przez to, że prawie nigdy nie patrzył w lustro, ciągle zdarzało mu się zapomnieć, jaką krzywdę zrobił mu Dziad. Niespodziewanie Wiewiór stanął jednak w jego obronie: — Zdziwiłbyś się, gdybyś zobaczył, ile ten „cherlak” potrafi.

Maciejewski naprężył natychmiast mięśnie, patrząc na Dzikiego. — O, uwierz mi. Chętnie się przekonam — powiedział, wyciągając swoją dłoń w jego stronę.

Cichy powstrzymał go, krzycząc: — Dość! Brat Daniel dał Wiewiórowi słowo, że temu chłopakowi nie spadnie włos z głowy... Długi życiowe to sprawa honorowa, a patrząc na twoje zachowanie, Maciejewski, nie dziwię się Wiewiórowi, że chce dopilnować, by wola Daniela była przestrzegana.

Maciejewski spuścił głowę. Ta postura była dla niego tak nienaturalna, że Dzikimu przypominał teraz jakieś kreskówkowe dziecko olbrzymów, które nabroilo rodzicom i musiało się z tego tłumaczyć. — Nigdy nie śmiałbym wystąpić przeciw woli Daniela.

Cichy słysząc to, skinął głową. — Wierzę, ale skoro nasz nowy Brat chce wziąć udział w akcji, dajmy mu szansę. — Zwracając się ponownie do Wiewióra, powiedział: — Posłuchaj więc całości planu. Prawdziwa Ręka Olbrzyma nie będzie na placu z Maciejewskim. Cały oddział schowamy w dawnych pomieszczeniach biurowych. Gdy Niewykształceni włączają się już w walkę z przybyłymi Wetami, nasi ludzie wystrzelają ich bezpiecznie zza płotu... Tak jak robimy to z Niewykształconymi pod marketem.

— Rozumiem, że straty w fałszywej Ręce nie mają znaczenia? — spytał natychmiast Wiewiór.

Cichy uśmiechnął się. — Bracie, ci straceńcy zostali wyselekcjonowani jako najbardziej patologiczny element. Gdy ich już nie będzie, Nowy Świat tylko się oczyści... Oczywiście, wszyscy z nich są przekonani, że przeżyją i niech tak na razie zostanie. Tym, którym rzeczywiście uda się przetrwać, podniesie się żołądek i tyle...

Wiewiór pokiwał głową, ale wciąż wyglądał na pełnego wątpliwości. — Rozumiem założenie... Rozumiem też, że ogólny chaos i zaskoczenie pozwoli rozprawić się z większością Weteranów. Posłuchaj mnie jednak, Cichy! Ja widziałem na własne oczy, co potrafi Dix albo Zjawa... Zmienianie toru lotu kul, nadludzka siła, teleportacja...

Cichy wtrącił się natychmiast. — Cóż, nie sądzę, żeby Dix, która jest na granicy „pożarcia” przez defekt, tryskała nadludzkimi umiejętnościami. Z tego, co donoszą nasi szpiegowie, Wilk i Szara nie posiadają zbyt wielu użytecznych błędów. Zjawa jednak... Tak, ona może stanowić problem. Nie ukrywam, że gdy do Daniela dotarła wiadomość, o jej zgłoszeniu się do grupy przeciw nam, cały Gorgor był co najmniej zaniepokojony.

— No właśnie — potwierdził Wiewiór. — Jej nie wolno lekceważyć. Oprócz Daniela nie widziałem wcześniej nikogo, kto z taką łatwością ciskałby błędami.

Cichy mimo ostrzeżeń, nie dał się zbić z tropu. — Na jej pojawienie się również będziemy przygotowani. W trakcie zadania osobistym strażnikiem Maciejewskiego, a więc również teraz i twoim... będzie Bandera-board.

Olbrzym uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony, ale Wiewiór dopytywał dalej. — Bandera-board? Nigdy o nim nie słyszałem. To jakiś nowy członek Armii?

Maciejewski i Cichy spojrzeli na siebie porozumiewawczo. — Poniekąd — odpowiedział ten pierwszy.

Były Weteran spoglądał to na jednego, to na drugiego. — On posługuje się błędami? Jest w tym dobry?

— Podobno — odpowiedział Maciejewski.

Wiewiór wyglądał już na całkiem pogubionego. Cichy widząc to, zaśmiał się. — Posłuchaj, będziecie dziś mieli okazję się poznać. Daniel na pewno nie omieszka się „tym” pochwalić.

Dziki poczuł teraz prawdziwe przerażenie. Do tej chwili, przysłuchując się rozmowie członków Armii, miał wrażenie, że Weterani i Defekt mieli spore szanse. Nawet mimo elementu zaskoczenia i Niewykształconych. Czym jednak było to „coś”, o czym teraz mówili. Coś, co najwidoczniej było ich sposobem na walkę z kimś tak potężnym, jak Zjawa.

Dziki liczył, że może mężczyźni pociągną temat dalej. Cichy ruszył jednak na przód autobusu, mówiąc: — Kazałem już wyłączyć zakłócanie. Myślę, że czas przedstawić światu nasze żądania. — Stając obok Żółtego, sięgnął po gruszkę od radia i wziął głęboki wdech. — Weterani z Krańcowa! Mówi Cichy z Armii, a przemawiam w imieniu samego Daniela. W Strefie Głodu gościmy od kilku minut Autobus do Wolności. Jego mieszkańców nie spotkała jak do tej pory żadna krzywda, ale to może się wkrótce zmienić... Wśród was jest ktoś, kto uważa się za bohatera i obrońcę sprawiedliwości. Ktoś, kto wymusza na was różne dziwne przysięgi i każe walczyć w wojnie, którą sam rozpętał. Wilku, jeśli to słyszysz i nie jesteś zakłamanym szczurem, który potrafi tylko chować się za innymi, to wiedz, że Daniel w swej łaskawości zgodził się wymienić Autobus do Wolności za twoje bezwarunkowe poddanie się... — W tym momencie Cichy zrobił pauzę i ponownie złapał oddech. — Gdyby jednak to, co o tobie myślę, okazało się prawdą i ukryjesz się jak pies z podkulonym ogonem, poświęcisz tych wszystkich ludzi, myśląc, że możesz dalej bawić się w bohatera... Wówczas daję propozycję tobie, liderko Defektu! Dziki jest tu z nami i chętnie oddamy go z powrotem wraz z resztą jego podopiecznych, w zamian za przyprowadzenie nam tego tchórza, Wilka. Czekamy na placu starej cegielni jutro przed zmrokiem.

Po skończonej wypowiedzi, Cichy wyłączył natychmiast radio. Zapewne nie miał ochoty na falę bezsensownych wyzwisk, jaka musiała zacząć się teraz na kanale.

— Dotrze to do nich? — spytał Maciejewski.

— Na pewno — odpowiedział Wiewiór. — Wieża Defektu prowadzi ciągle nasłuch. Antenę mają na szczycie dachu, więc dysponują największym zasięgiem w Krańcowie.

— Doskonale — stwierdził Cichy. — Wypocznijcie Bracia! Zjedzcie! Zabawcie się. Jutro ciężki dzień. DANIEL ŻYJE! — zawołał na pożegnanie i wyszedł z autobusu.

Wiewiór spojrział na Maciejewskiego. — Będzie trzeba przysłać tu ludzi, żeby przeszukali autobus. Mam wrażenie, że może tu być ukryta broń. Trzeba też zabrać radio...

— Da radę, zaraz podeślę chłopaków z oddziału — stwierdził Olbrzym, również wychodząc.

Wiewiór zszedł z półpiętra i mijając Dzikiego bez słowa, zbliżył się do Greena. — Co z nim? — spytał, patrząc na Klucza, który w międzyczasie stracił przytomność.

— Na razie zatamowałem krwawienie, ale będę potrzebował mojej torby. Muszę wyjąć z niego kulę i wtedy zaszyć ranę... — odpowiedział chłopak.

— Postaram się, żeby dali wam trochę spokoju, ale ostrzegam, to jest Strefa Głodu. Jeśli spróbowacie czegoś głupiego, nikt nie będzie miał dla was litości — przestrzegł Wiewiór, wpatrując się znacząco w Dzikiego.

Po chwili do autobusu weszli prawdziwi członkowie Ręki Olbrzyma. — Szeł nas przysłał — powiedział pierwszy z nich.

— Przeszukajcie autobus i zabierzcie wszystko, co da radę użyć jako broń. Zostawcie tylko środki medyczne, bo mają rannego. Potem zamknijcie wszystko i ustawcie warty — rozkazał Wiewiór.

Żołnierze posłusznie zaczęli przeczesywać autokar, a Żółty razem z Wiewiorem wyszli i ruszyli w głąb Strefy Głodu.



Rozdział XI

Tajemnice Strefy Głodu

Noc w Strefie Głodu natchodziła w blasku dziesiątek ognisk, płonących niemrawo przy szalaszach. Zdawałoby się, że wśród tylu źródeł ciepłego światła, nie ma sposobu, by stało się cokolwiek złego. Było to jednak tak samo złudne, jak chwilowy spokój panujący wśród cherlaków.

Ludzie, którzy żyli tu dostatecznie długo, by nabrać jakiegokolwiek doświadczenia, zdążyli się już nauczyć, że noc nadchodząca po Błysku to prawdziwy koszmar. Większość z nich nie spała. Czuwali, wpatrując się w płomień wzrokiem pozbawionym jakiejkolwiek nadziei. Mało kto ze sobą rozmawiał. Jedyne dźwięki, jakie roznosił się w powietrzu, pochodziły z trzaskających w ogniu gałęzi.

Nawet obrońcy, skrywający się za zasiekami przy H-Markecie, wydawali się niezwykle spięci. Nerwowo świecili latarkami we wszystkie strony i chwyтали za broń za każdym razem, gdy coś zakłóciło panujący spokój.

Pojedynczy Niewykształceni przychodzili w cisy. Atakowali to, co mieli akurat na wyciągnięcie zniszczonych dłoni. Nie wybierali. Z tego powodu większość cherlaków siedziała w grupach. Im większa była gromada, tym mniejsza szansa na zostanie kolejną ofiarą. Gdy jakiś potwór natrafił na pełne ognisko, wszyscy po prostu uciekali pod płot. Ich jedyną nadzieją była w tym, że któryś z obrońców zastrzeli Niewykształconego, nim ten zdąży kogoś zabić. Ale pod płotem nie wolno było się gromadzić ani zostawać zbyt długo. Wyrysowana na parkingu czerwona linia wyznaczała nieprzekraczalną granicę. Gdy Niewykształcony leżał już martwy, cherlacy zabierali jego ciało i wracali do swoich ognisk. Jeżeli ktoś nie chciał wrócić i uporczywie trzymał się okolic płotu, leżał po chwili martwy z dziurą w głowie, a jego ciało było również zabierane.

Była to niepisana umowa między obrońcami a cherlakami. Za linią miał być porządek. Jeśli ciało Niewykształconego nie zostało zabrane, ochrona zwlekała z zabiciem kolejnego, czekając aż ten zrobi masakrę.

Pecha mieli ci, którzy pod płot uciec nie zdążyli. Gdy Niewykształcony kogoś już dopadł, nikt mu nie pomagał. Wszyscy tylko uciekali. Między cherlakami nie było solidarności.

Ten przytłaczający obraz Strefy Głodu malował się przed Dzikim za każdym razem, gdy wyrzał przez szybę w autobusie. Piętrus, zaparkowany w samym środku tego piekła, pozwalał nie tylko objąć wzrokiem całą okolicę Marketu, ale również blok, w którym mieszkał Tyzak.

Szczęściem w nieszczęściu, mieszkańcy autobusu byli zbyt cenni jako przynęta, żeby ich narażać. Kilku ludzi z Ręki Olbrzyma siedziało cały czas pod ich drzwiami, odstrzeliwując każdego Niewykształconego, który mógł im zagrozić.

Dzikiego zaniepokoiło to, z jaką pewnością i spokojem nowy oddział Daniela radził sobie z kolejnymi nadchodzącymi potworami. Nadzieja na to, że ludzie Maciejewskiego zawiodą pod cegielnią, umierała w nim z każdą kolejną minutą.

Zmęczony ciągłym widokiem śmierci, odwrócił się, spoglądając na puste teraz piętro. Armia Daniela zabrała z niego wszystko oprócz podsufitki i fotela. — *Żalotne* — pomyślał, siadając na pustym miejscu.

Chwilę wcześniej kilku ludzi z Gorgoru dostarczyło im kolację. Wszystkich mocno to zaskoczyło, bo po tylu strasznych opowieściach jakie usłyszeli o Armii, zostali przyjęci wyjątkowo dobrze, jak na jeńców. W podróży łódźce przyniesiono im paczkowaną wędlinę, tostowy chleb, kilka pasztetów, mleczne czekolady jako deser oraz herbatę w termosie. Mimo że wszystko wydawało się świeże i wyjątkowo apetyczne, najwidoczniej nikt nie miał ochoty na jedzenie. Dzikie słyszał jedynie przyciszone rozmowy swoich podopiecznych. Zastanawiał się, o czym mogą teraz rozmawiać. Może pomstowali właśnie na dzień, w którym Kuba powierzył mu opiekę nad autobusem?

Niestety mimo wyteżania słuchu nie udało mu się wylapać żadnego konkretnego słowa. Nie chciał jednak schodzić na dół i pakować się w kolejny ogień bezsensownych pytań... Co z nami będzie? Czy oni nas wypuszczą? Czy mamy jakiegokolwiek szanse?

Nie znał odpowiedzi, a to, co przypuszczał, nikomu nie poprawiłoby humoru. Do tego głowę ciągle bombardowały wyrzuty sumienia: — Gdyby tylko szybciej rozprawił się z Żółtym i ruszył pomóc Kluczowi... Albo krzyknął do Oli, by ta strzeliła do Wiewióra, zamiast czekać... Gdyby nie wypuścił broni z ręki, po tym jak Janek zahamował. Wszystkie te myśli sprawiały, że gorycz paląca jego wnętrze, znowu stawała się nie do zniesienia. Zaciskając pięść, uderzył z całej siły w szybę. Ból rozlał się po jego ręce, dając jedynie chwilowe ukojenie. Uderzył więc po raz kolejny, a potem jeszcze raz. Walił pięścią w szybę, aż jego kostki pokryły się krwią. Dopiero gdy na oknie pojawiło się pęknięcie, powstrzymał się przed kolejnym ciosem.

Czując ból rozdzierający mu rękę, opadł ponownie na krzesło. — Kurwa... dlaczego wszystko robię źle... — wyszeptał, po czym przymknął oczy, żeby nie patrzeć na krew ciekącą mu po dłoni.

Nagle do jego uszu dobiegł odgłos kroków na schodach. Czyżby ktoś na dole usłyszał jego wybuch?

Oli weszła powoli na piętro. Bez trudu dostrzegł jej błękitne oczy przebiegające w półmroku. — Wszystko w porządku, Dzikie? — spytała z troską, zbliżając się do niego.

W tym momencie miał ochotę tylko milczeć. Udać, że już dawno odpłynął, ale w środku wiedział, że dziewczyna na pewno nie da mu spokoju. — Tak... — odparł drżącym głosem. — A co z Kluczem? — spytał, chowając okaleczoną dłoń między fotel, a ścianę busa.

Oli przyklękła obok, opierając głowę o jego ramię. — Green wyciągnął mu kulę i opatrzył ranę, ale wciąż nie jest z nim dobrze — odpowiedziała smutno.

Słyszając przygnębienie w jej głosie, Dzikie przycisnął zakrwawione kostki do ściany ze wszystkich sił. Chciał po raz kolejny ukarać się za to, do czego doprowadził. Jednocześnie zachowując kamienną twarz, skinął głową na znak, że zrozumiał. Nie miał ochoty na rozmowę. Jeszcze nigdy w swoim życiu nie chciał tak bardzo po prostu zostać sam. Niestety Oli wciąż nie odchodziła. Jej dłoń powędrowała po jego brzuchu, a druga wcisnęła mu się między plecami, a oparcie fotela. Dziewczyna obejmowała go, a on po raz pierwszy poczuł, że nie przynosi to żadnego ukojenia.

Wyczuwając zapewne jego spięcie, Oli spojrzała mu z niepokojem w twarz. Jej zwykle radosne oczy przepełnione teraz żalem, były dla niego najgorszą możliwą karą. — To nie twoje... — zaczęła, ale przerwał jej natychmiast.

— OLI, DOŚĆ!

Podrywając się z miejsca, wyrwał się z uścisku dziewczyny. Tak bardzo się tego bał. Tak bardzo nie chciał usłyszeć tych kłamliwych, usprawiedliwiających go słów. Poczuł, jak gorycz rozlewa się w nim, aż w końcu nie utrzymał jej w środku i wykrzyczał. — Nie chcę, żebyś mnie tłumaczyła! Nie chcę, żeby ktokolwiek to robił! To, co się stało, to tylko i wyłącznie moja wina! Boże, gdyby Primo dalej był waszym strażnikiem, takie coś nigdy by...

W tym momencie dziewczyna nie wytrzymała i strzeliła go w twarz otwartą ręką. Spojrzała potem na jego zakrwawione kostki i spoliczkowała go ponownie. — NIE MASZ PRAWA TAK MÓWIĆ! — wykrzyczała, zalewając się łzami. — Prawda, Primo nigdy nas nie naraził. Primo zawsze trzymał nas na uboczu, ale gdyby ten Autobus miał być dalej taki, jak za czasów Prima... to równie dobrze mógłby wcale nie istnieć! Jeżeli ktoś myśli, że w tak chorym świecie można pomagać ludziom i się nie narażać, jest idiotą. Od kiedy zostałeś naszym strażnikiem... Ja... ja nie byłam tak szczęśliwa od śmierci Brissa. W końcu robiliśmy to, dla czego to wszystko zostało stworzone. W końcu mieliśmy tu kogoś, kto rozumiał, że warto pomagać innym. Nie ze strachu. Nie dla zysku albo „bo się kiedyś odwdzięczy”, ale dlatego, że tak postępują ludzie. Nigdy nie miałam ci za złe decyzji, które podjąłeś, ale jeżeli kiedykolwiek powiesz, że ich żałujesz... że żałujesz tego, że tu jesteś... ZNIENAWIDZĘ CIĘ, DZIKI!

Dziewczyna padła na kolana, opierając głowę o jego nogi i wylewając na nie strumienie ciepłych łez. Nie był w stanie powiedzieć nawet słowa. Język uwiązał mu w gardle. Po chwili Oli nie patrząc na niego, wyszeptła: — Tyle razy powtarzałam ci, że jesteś najlepszy... Nie dlatego, że dobrze strzelasz. Nie dlatego, że bez mrugnięcia oka rzucałeś się dla nas na Niewykształconych. Dla mnie jesteś najlepszy, bo Nowy Świat nie zabił w tobie tego, co dobre. Łatwo być egoistą. Łatwo nie przejmować się dobrem innych. Nawet w Starym Świecie żyjąc w taki sposób, było zdecydowanie źle. Ale ty nawet tutaj ciągle jesteś po prostu dobrą osobą.

Dziki nie poczuł się ani trochę lepiej. Wręcz przeciwnie. Widząc jakie Oli pokładała w nim nadzieje, zrobiło mu się jeszcze bardziej wstyd. Uświadomił sobie, że klęczała obok niego niewinna, troskliwa i prawdopodobnie najbardziej bezinteresowna osoba, jaką kiedykolwiek spotkał. A on nie potrafił jej ochronić. Nie potrafił też powiedzieć nic pocieszającego. Położył tylko swoją dłoń na jej czole. Nic, co przyszło mu w tym momencie do głowy, nie przeszłoby mu przez gardło.

Oli podniosła się wciąż zalana łzami. Nie mogąc znieść widoku jej zrozpaczonej twarzy, Dziki wyjrzał przez okno. Pod siatką Marketu trwała właśnie prawdziwa bitwa. Ogromny Krańcowski Dziad, znacznie większy niż ten, który pojawił się na polanie, przekroczył czerwoną linię i jednym uderzeniem zmiotł grupę uciekających pod płot cherlaków. Wyglądało to niczym olbrzymia kosa ścinająca z potworną siłą kłosa.

Tuż za Dziadem przebiła się banda Potłuków, dopadając do ludzi, którzy nie zdążyli uciec i rozpoczęła bezlitosne okładanie ich swoimi maczugowatymi głowami. Obrońcy zgrupowali się i dzięki zmasowanemu ostrzałowi pozbawili w końcu Dziada życia. W panującym chaosie próbowali teraz wystrzelać pozostałych Niewykształconych, ale nie było to łatwe. Kilku cherlaków padło na ziemię ranionych przypadkowym ogniem.

Przyglądając się temu, Dziki nie zauważył nawet, jak na piętro wszedł nieoczekiwany gość.

Przybysz ubrany był w czarno-biały mundur Braci z grubą czerwoną wstążką na ramieniu. Dopiero po chwili rozpoznał w nim Wiewióra. Przez kilka godzin, w których się nie widzieli, mężczyzna zdążył się umyć, ogolić, a nawet przyciąć włosy.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... — stwierdził zdawkowo, patrząc na Oli.

Dziewczyna odwróciła głowę w stronę ściany, chcąc najpewniej ukryć to, że przed chwilą się rozkleiła.

— Czego od nas chcesz? — spytał gniewnie Dziki, ledwo powstrzymując się od rzucenia na mężczyznę.

— Daniel chce się z tobą spotkać — oznajmił Wiewiór, poprawiając nerwowo wstążkę, która zsuwała mu się z ramienia. — Zaprasza cię na kolację. Na twoim miejscu bym nie odmawiał.

Oli popatrzyła na Dzikiego, kręcąc głową, gdy ten zbliżył się do Wiewióra. — Co z moimi towarzyszami? Mam ich po prostu zostawić? — spytał z kpina.

— Nic im się nie stanie — odparł sztywno Wiewiór. — Pilnuje ich czterech doborowych żołnierzy. A teraz lepiej chodź! Naprawdę nie warto kazać Danielowi czekać...

W tym momencie Dziki poczuł niewyobrażalną ochotę wyszarpnięcia mężczyźnie noża z kabury przy pasie. Myślał o tym, by wbić mu go w plecy, tak samo jak on wcześniej zrobił to wszystkim Weteranom.

Widząc jego zaciskającą się pięść, Oli położyła skrycie swoją dłoń na jego ręce, powstrzymując przed zaatakowaniem zdrajcy.

— Ok... — wyszeptał, starając się uspokoić zarówno siebie jak i ją. — Pilnuj pozostałych... — poprosił na koniec i razem z Wiewiorem zeszli na dół.

Tam czekało na nich dwóch żołnierzy z Ręki Olbrzyma. Obaj zerkali podejrzliwie na mieszkańców autobusu, rozrzuconych po siedzeniach.

— Dobra, tego zabieram do Gorgoru — oznajmił strażnikom Wiewiór. — Reszta ma pozostać bezpieczna.

Żołnierze przytaknęli i wyszli z autobusu, stając po obu stronach wejścia, a Wiewiór ponaglać Dzikiego wzrokiem, powiódł go ku drzwiom.

Dziki przecisnął się między fotelami, odprowadzany zaniepokojonymi spojrzzeniami mieszkańców. Weronika, która siedziała prawie przy wyjściu, złapała go za rękę. — Dziki, co się dzieje? — spytała przestraszona.

— Muszę iść spotkać się z Danielem... — wyszeptał. — Bądźcie spokojni i nie próbujcie niczego głupiego — dodał, po czym ruszył z Wiewiorem na zewnątrz.

Chłód i zapach dymu były pierwszym, co przywitało go po wyjściu z autobusu. Zasunął kurtkę, spoglądając na najbliższe ognisko, gdzie żołnierze piekli sobie kielbasę na kijach.

— Trzymaj się blisko mnie — rozkazał Wiewiór i poprowadził go drogą między szalasami.

Wchodząc w głąb Strefy Głodu, Dziki dostrzegł, że siedzący przy ogniskach cherlacy łypali na nich złowieszczo, jakby czekając na okazję, by rzucić im się do gardła. Ze swoimi zapadłymi twarzami i brudnymi ubraniami, bardziej przypominali Gospodarzy niż ludzi. Dostrzegając, jak Wiewiór ucieka od nich wzrokiem, podświadomie wyczuł drżącą w nim słabość. — Widzę, że wydanie nas naprawdę ci się opłaciło. Z tego, co się orientuję, to mundur Braci... — zakpił.

— Realizacja planu nie przyczyniła się do mojego awansu — odparł natychmiast były Weteran. — Miejsce wśród Braci miałem zapewnione, zanim w ogóle poznałeś to pojęcie. Po prostu musiałem być gdzie indziej — dodał chłodno, po czym przystanął na chwilę.

Tuż przed nimi przebiegła właśnie grupa cherlaków, uciekających w popłochu w stronę płotu. Wiewiór zaklął pod nosem dostrzegając coś w głębi Strefy i nim Dziki zdążył zareagować, wciągnął go do najbliższego szalasu.

Wewnątrz stał tylko brudny plecak i gruby karton służący za łóżko. Nie było nawet latarki, żeby oświetlić sobie wnętrze. Schronienie cuchnęło stęchłą i potem, a dziury w ścianach były tak wielkie, że doskonale widać było przez nie co dzieje się na zewnątrz.

— Bądź teraz cicho — wyszeptał Wiewiór, blokując wejście kawałkiem sklejk.

Po chwili Dziki usłyszał złowieszczy rumor, przypominający dziesiątki łamanych gałęzi. Odgłos narastał, aż w końcu jego źródło zdawało się przemieszczać zaledwie metr od nich. Miał przez to wrażenie, że zaraz coś rozerwie szalas, w którym siedzą. Wiewiór złapał nerwowo za pistolet, a jego ręka zadrżała.

Przekręcając się, Dziki wyjrzał przez dziurę przy podłodze. Niemal natychmiast dostrzegł coś, co wyglądało jak czarne korzenie ogromnego drzewa, wyrwanego z ziemi. Tylko, że zwykle korzenie nie poruszałyby się jak nogi u jakiegoś przerośniętego owada. Dziwna istota podążyla w ślad za uciekającymi cherlakami. — Co to było? — wyszeptał, gdy potwór się oddalił.

— Leśniczy. Naprawdę straszne cholerstwo — odparł Wiewiór, łapiąc jednocześnie za krótkofalówkę. — Kurwa, nie powinienem wyłączać radia — dodał zirytowany.

Przez odbiornik od razu zaczęły wypływać dziesiątki komunikatów ze Strefy Głodu.

— *Mała grupa Gospodarzy przy bloku 1, rozpoczynam atak... Zgromadzenie cherlaków za czerwoną Strefą, południe od wejścia, zbierać się do odparcia uderzenia... Punkt obserwacyjny jeden, Leśniczy w Strefie kwadrat-centrum/wyście kieruje się w stronę płotu...*

Wiewiór wsłuchiwał się przez chwilę w wiadomości, zapewne oceniając czy droga jest bezpieczna. Po jakimś czasie dał Dzikemu znać, że mogą ruszać dalej. Wychodząc z szalasu, Dziki dostrzegł rozsypane kawałki drewna i kilka naście zgniecionych schronień.

Reszta drogi minęła im już na szczęście znacznie spokojniej. Idąc dalej w głąb Strefy Głodu, napotykali coraz mniej Niewykształconych, a i siedzący przy ogniskach cherlacy wyglądali na spokojniejszych. Dziki zastanawiał się, dlaczego wszyscy koczujący ludzie nie próbują dostać się bliżej środka obozowiska, ale odpowiedź przyszła sama.

Gromada cherlaków zauważyła swojego pobratymcę przekradającego się między szalasami i dopadła do niego niemal natychmiast. — Hej! Ty jesteś zewnętrzny. Wypierdalaj na skraj obozu! — ryknął jeden z mężczyzn, wymachując wściekle kijem trzymanym w rękach.

Przybysz stawiał tylko nieznaczny opór, bo już po chwili został wygoniony na zewnętrzną część obozu przez mężczyzn wściekle łojących mu plecy prowizorycznymi pałkami.

Dziki zmieszany tym widokiem, stwierdził retorycznie: — Więc nawet na dnie są „lepsi” i „gorsi”...

Wiewiór, słysząc to, odpowiedział, nie odwracając się nawet w jego stronę. — Sam byś się domyślił, że środek obozowiska jest najbezpieczniejszy. Kto ma tutaj szalas, pilnuje go jak oka w głowie...

Po kolejnej minucie marszu natknęli się na następne zgromadzenie miejscowego samosądu. Trzech mężczyzn szarpało młodą dziewczynę, która mogła być w wieku Beaty albo Laury. Dziki zacisnął zęby, gdy nagle do jego uszu dobiegł znajomy głos.

— Ty zewnętrzna szmato! Ukrywać w moim szalasie ci się zachciało! — krzyknął mężczyzna, ciągnąc intruzkę za włosy.

Dziki zbliżając się do walczących, prawie natychmiast rozpoznał Łajzę, który miał być szpiegiem Wilka. Wiewiór widząc to, zatrzymał się, opierając rękę na pasie z bronią, ale nie ingerował w całą sytuację.

— Cześć! Pamiętasz mnie? — spytał Dziki, a Łajza obrócił się w jego stronę z miną jakby zobaczył ducha.

Niedoszły szpieg Wilka pobladł i zaczął się trząść, dukając: — Ty... ty... co ty?

Dziki nie dał mu jednak skończyć. Chwycił go za chabety i wyszeptał tak, by Wiewiór tego nie słyszał. — Jeżeli tej dziewczynie spadnie dzisiaj włos z głowy, Daniel dowie się, że jesteś szpiegiem, a Wilk, że wciąż żyjesz i olałeś swoje zadanie. Nigdzie w Krańcowie nie znajdziesz spokojnego miejsca...

Łajza był w takim szoku, że przez chwilę poruszał tylko bezgłośnie ustami, przypominając przez to przerośniętą rybkę w akwarium. Gdy jednak dotarły do niego słowa Dzikiego, natychmiast rzucił się w stronę dziewczyny. — Skarbie, tak mi przykro za moje zachowanie... Oczywiście jak chcesz, ukryj się w moim szalasie — powiedział, głaszcząc ją po głowie i prowadząc w stronę schronienia.

Wiewiór spoglądając na Dzikiego, zaklaskał: — Ładny gest. Masz w sobie więcej charyzmy niż myślałem. Tylko, że próby wprowadzania moralności między degeneratami, to orka na ugorze. Pamiętaj też, że ta dziewczyna nie siedzi tu bez powodu...

Dziki nie odpowiedział. Dla niego to właśnie Wiewiór był moralnym degeneratem.

Były Weteran prowadził go dalej, aż doszli w końcu do sporego rzędu pawilonów, ciągnących się po drugiej stronie Strefy Głodu. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to ogromny napis GORGOR wymalowany na spadzistym dachu budynku. Miejsce nie nosiło już nawet śladu tego, czym było w Starym Świecie. Większość okien i drzwi była zamurowana. Te, które pozostawiono nienaruszone, zabezpieczono potężnymi kratami. Na balkonach znajdowały się stanowiska strzeleckie, obsadzone przez mężczyzn w czarno-białych mundurach.

Dziki stając naprzeciw budynku, westchnął. — Więc tak wygląda siedziba Daniela...

Wiewiór zatrzymał się obok, spoglądając z wyraźną dumą na Gorgor. — Ciężko było zabezpieczyć to miejsce, ale jest dla Armii szczególnie ważne. Chodź, wejście jest z tyłu budynku.

Przechodząc za róg, doszli do ogromnego betonowego muru, który musiał powstać już w Nowym Świecie. Przed bramą z kutej blachy stało dwóch strażników w czarnych mundurach. Takich samych, jakie nosili obrońcy Marketu. Przyglądając się im, Dziki dostrzegł na ich ramionach dość groteskowy napis: „Ja chronię Daniela, Daniel chroni mnie.”

Strażnicy skłonili się lekko Wiewiórowi, otwierając bramę, zza której natychmiast dobiegł niesamowity rumor oraz ostre światło. Cały plac za pawilonem tonął w oślepiającym blasku halogenów. Gdy oczy Dzikiego przywykły do jasności, natychmiast dostrzegł kilka generatorów, połączonych ze sobą płataniną kabli.

Jakiś mężczyzna o kruczoczarnych, równych włosach zbliżył się natychmiast do wejścia. — Myślałem już Bracie Damianie, że się w coś wpakowałeś po drodze! — wykrzyczał, starając się przebić głosem przez panujący dookoła hałas.

Wiewiór, przechrzczony na Brata Damiana, odpowiedział: — Nie spodziewałem się, że noce w Strefie Głodu są takie ciężkie!

— Dziś nie jest źle! Mało Specjalistów... — odparł mężczyzna. — Wchodźcie lepiej! Wieczera już trwa!

Wiewiór skinął na Dzikiego i poprowadził go przez podwórze.

Solidne antywłamaniowe drzwi stanowiły jedyną drogę do wnętrza Gorgoru. Przechodząc przez nie, weszli wprost do ogromnego, jasnego pomieszczenia. W Starym Świecie musiał być to pierwszy ze sklepów mieszczących się dawniej w pawilonie. Na zakratowanej szybie wciąż widoczna była naklejka z godzinami otwarcia.

Obecnie miejsce zostało przemianowane na swoiste muzeum „Osobliwości Nowego Świata”. Na półkach i podestach rozstawione były liczne anomalie i dziwactwa, które można było spotkać w Krańcowie.

Tuż obok wejścia stała gablota wypełniona zalanymi w formaldehyd głowami Zniczy, Niewykształconych, którzy bardzo często krążyli w okolicach cmentarza. Nieco dalej, na sporym manekinie, rozciągnięty był czerwony płaszcz Grabarza wraz z oprawionymi kolcami. Tuż za nim, na wieszaku, zaprezentowany był strój Poległego. To, co jednak najbardziej zwracało uwagę, to ogromna oszklona gablota, pełna jakby się wydawało codziennych przedmiotów.

— To relikty — wyjaśnił niepytany Wiewiór, widząc jak Dziki spogląda na wystawę. — Każdy kryje w sobie jakiś niezrozumiały fenomen...

— Fenomen? — dopytał zaintrygowany Dziki, kryjąc na chwilę swoją niechęć do mężczyzny.

Wiewiór zbliżył się do gabloty, również przyglądając zawartości. — Ano właśnie — stwierdził w końcu po chwili zamyślenia. — Sam często spotykałem podobne rzeczy, gdy podróżowałem po Krańcowie. Ten telefon na przykład, ciągle dzwoni — powiedział, wskazując na wibrujący aparat palcem. — Jeżeli odbierzesz, po tamtej stronie usłyszysz czyjś oddech, ale nikt ci nigdy nie odpowie. Jak tylko się rozłączysz, zaczyna dzwonić od nowa, a jego bateria nigdy się nie rozładowuje.

— A to? — spytał Dziki, zerkając na mały zrywkowy kalendarz.

— Za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, pokazuje inną datę — odpowiedział Wiewiór. — Jeżeli kilka osób patrzy się naraz, tylko jedna z nich widzi cokolwiek. Pozostali dostrzegą pustą kartkę — dodał po chwili.

Dziki spojrział na widoczną stronę i zobaczył datę 22 listopada. Zamknął na chwilę oczy i gdy tylko je otworzył, data zmieniła się na 3 grudnia. — Przerazające... — podsumował, odchodząc od wystawy.

Przebiegając wzrokiem po innych niesamowitościach, dostrzegł coś, od czego jego serce zabiło szybciej. Na cokole, prawie pośrodku pomieszczenia, leżały dwie maski Delimera. W jednej z nich rozpoznał należące do siebie trofeum, zdobyte podczas walki z tą potworną bestią. Druga musiała pochodzić z twarzy Niewykształconego zabitego kiedyś przez Armię.

Dziki zbliżył się, przyglądając się im uważnie. Chociaż z pozoru podobne, to przy bliższych oględzinach mocno różniły się od siebie. Ta należąca kiedyś do niego, była prostsza, znacznie mniejsza i prawie gładka. Druga była dużo większa, miała dodatkową osłonę na szyję i boki głowy, a nity na jej łączeniach były doskonale widoczne. Do tego ta ze Strefy Głodu była podziurawiona jak ser szwajcarski. Na masce Dzikiego było tylko jedno wgniecenie po kuli.

— Spodziewałem się, że zwrócą twoją uwagę — stwierdził niespodziewanie Daniel, który wszedł właśnie do pomieszczenia. — Wybacz, że wziąłem ją bez pytania, ale chciałem sobie je porównać.

Dziki słysząc go, zeszytniał nie ośmielając się nawet odwrócić, a lider Armii podszedł do cokołu, stając obok niego. — Zapewne zauważyłeś, że różnią się od siebie — kontynuował, podnosząc obydwie maski. — Ten, który przybył do Strefy Głodu, był dużo starszy. Maski rosną im przez całe życie. Z wiekiem zaczynają też pojawiać się nity. — Przyglądając się chwilę trofeum Dzikiego, dodał: — Ten, którego zabiłeś razem z Pierwszym, był bardzo młody... Mógł mieć zaledwie kilka tygodni. Maską jest mała i prawie całkiem gładka. Jakby dopiero ją wyprodukowano.

Kończąc oględziny, odłożył trofeum ze Strefy Głodu na miejsce, a drugą maskę oddał Dzikiemu. — Zachowaj ją. Takie rzeczy są tego warte...

Dziki wziął maskę do ręki i spojrział na dowódcę Armii. — Chciałeś się ze mną widzieć — powiedział, przełykając nerwowo ślinę.

Daniel popatrzył na niego, jakby chciał go przeświecić wzrokiem. — Nie masz się czego obawiać. Chroni cię obietnica, którą złożyłem Bratu Da-

mianowi. W sumie, to nawet jestem zadowolony, że wymógł na mnie twoje bezpieczeństwo... — stwierdził, przeciągając się leniwie.

Wiewiór słysząc to, odwrócił się i zaczął rozglądać po okolicznych półkach. Wyglądało na to, że jest mocno zawstydzony.

Dla Dzikiego była to sytuacja dość niezrozumiała, więc podpytał natychmiast. — Dlaczego cię to cieszy?

Daniel uśmiechnął się. — Czy to nie oczywiste? — odparł, świdrując Dzikiego wzrokiem. — Jako dowódca nie mógłbym tak po prostu pozostawić przy życiu kogoś, kto tyle razy wystąpił przeciwko mnie. Nawet jeżeli prywatnie bardzo nie miałbym ochoty cię zabijać — podsumował i gestem ręki zaprosił Dzikiego w głąb pawilonów.

Gdy przechodzili dość długim korytarzem, który musiał powstać już w Nowym Świecie, Daniel kontynuował swoje rozważania. — Utrzymanie w ryzach takiego chaosu jak Strefa Głodu, wymaga twardego podejścia — wyjaśnił. — Gdyby ktoś z bandery stwierdził, że może za lekko podchodzić do pewnych spraw, mógłby na przykład ośmielić się nie wykonać mojego polecenia. Tak jak ci kiedyś powiedziałem Dziki, w Strefie Głodu jest tylko jedna kara: śmierć. Obejmuje ona każdy rodzaj przewinienia: kradzież, bunt albo zadeklarowanie się po niewłaściwej stronie.

— Trochę to okrutne — wtrącił Dziki, zatrzymując się na chwilę.

— Okrutne, ale skuteczne... — podsumował Daniel. — Porównaj to ze Starym Światem. Jego standardami resocjalizacji i dawania najgorszym zbrodniarzom drugiej szansy. Ja nie chciałbym na przykład, żeby ktoś kto skrzywdził bliską mi osobę, chodził po świecie, bo „może się zmienić”. Nie będę już nawet wspominał o całkowitej bezkarności jednostek stojących u władzy. Tylko perspektywa nieuniknionej śmierci, niezależnie od tego kim jesteś i jakie miałeś motywy, pozwala utrzymać w ryzach nawet martwych moralnie ludzi. Dlatego musisz zrozumieć, że choć bolałbym nad tym niezmiernie, to w momencie, gdybyś postanowił uciec, mordując przy tym jednego z moich żołnierzy, nie mógłbym mieć dla ciebie litości... — po tych słowach mina wodza zrobiła się naprawdę złowieszcza. Dziki prawie wyczuł jak mężczyzna zaczął promieniować mocą, zdolną wymazać jego istnienie. — Na twoje szczęście, Gorgor ma jeszcze kilka innych praw, które pozwoliły mi dać ci, za sprawą brata Damiana, drugą szansę... — dodał po chwili i jak gdyby nigdy nic, ruszył dalej.

Dziki podążył za nim. — Jakich praw? — spytał skonfundowany.

Daniel podrapał się po brodzie, spoglądając na Wiewióra. Ten szedł za nimi w sporej odległości, najwidoczniej speszony, że rozmowa dotyczy się jego osoby.

— Tradycją stało się, że spełniam jedno życzenie nowo awansowanego Brata — wyjaśnił wódz. — Takie życzenia przybierają różne formy. Od czysto materialnych, jak wyjątkowo dobry apartament w naszym bloku, po nieco bardziej zawile, jak nauka korzystania z błędów. Brat Damian zaś poprosił,

żeby człowiek, który uratował mu życie, dostał drugą szansę. Nie widziałem przeciwwskazań.

Wiewiór odsunął się od nich, udając, że przygląda się plakatowi Armii na jednej ze ścian. Dziki czuł jednak, że jest już teraz naprawdę skrępowany całą sytuacją. Ignorując jego zachowanie, spytał natychmiast: — To przez Pierwszego?

Daniel znowu przyjrzał się badawczo Dzikiemu. — Nie ukrywam, że Pierwszy ma z tym trochę wspólnego. Ciągłe próbuję rozgryźć, co on w tobie zobaczył. Ale nie chodzi tylko o niego. Od momentu naszego pierwszego spotkania, bardzo żałowałem, że nie trafiłeś pod moje skrzydła. Jesteś sztandarowym przykładem tego, co głosi doktryna Strefy Głodu — wyjaśnił.

Skonsternowany Dziki spytał natychmiast: — Jaka to doktryna?

Dowódca Armii odwrócił się, przyglądając plakatowi na ścianie. Na rysunku przedstawiającym jego samego, widniał ogromny napis „Daniel — twoja ostatnia nadzieja”. — Ci, których Stary Świat skreślił bez powodu, w Nowym Świecie dokonują największych rzeczy — powiedział, wycierając palcem załuszczenie na obrazku.

— Nie rozumiem... — odparł natychmiast Dziki, a Daniel skupił się na nim ponownie.

— Popatrz na siebie. Chłopak ledwo po technikum. Z niezbyt zamożnej rodziny. Tyrający na czterobrygadówce jako operator mieszalnika, by móc opłacić śmierdzącą kawalerkę. Wiecznie wypłakujący się swojemu przyjacielowi Mike'owi, że pozostanie sam do końca życia. Z jedyną rozrywką w postaci grania w Police Force 4... Stary Świat nie dał ci szansy, a tutaj? Dzięki swojej odwadze i wytrwałości zostałeś strażnikiem autobusu, zdobyłeś serce kobiety i przyjaźń największego odludka jaki chodził po ziemi...

Dziki spojrzał zszokowany na dowódcę Armii. Daniel mógł być nawet najlepszym psychologiem i erudytą na świecie, ale na podstawie tych kilku słów, które ze sobą zamienili nie miał prawa domyśleć się aż tyle o jego życiu.

Przechodząc wykutym w ścianie wejściem, przeszli do kolejnego pomieszczenia. Te musiało pozostać niezmienione od czasów Starego Świata. Dawny salon myśliwski pełen był manekinów ubranych w zielone mundury oraz broni łowieckiej rozwieszanej w przeszklonych gablotach. Stan, w jakim było pomieszczenie, pozwalał przypuszczać, że było co najmniej po kilku Re-setach.

Dziki, który nie mógł ukryć zachwytu tą ilością broni i sprzętu, westchnął natychmiast. — Więc to tutaj zaopatruje się Armia...

Daniel rozejrzał się od niechcenia po sklepie. — To jedno z kilku miejsc. Do tego niezwykle problematyczne. Po każdym odnowieniu wraca do stanu ze Starego Świata, więc musimy zabezpieczać wszystko od nowa. Gorgor to syzyfowa praca...

Dziki, zatrzymując się na chwilę przy gablocie ze strzelbami, spytał o inną nurtującą go rzecz. — Jakim cudem wiesz o mnie aż tyle? Przecież poza Mikiem nie ma w Nowym Świecie nikogo, kto by mnie tak dobrze znał...

Daniel uśmiechnął się wyraźnie zadowolony, że udało mu się zaintrygować Dzikiego. — Bracie Damianie, poczekajcie na nas przy stole — rozkazał. — Ja chcę się jeszcze przejść z Dzikim w jedno miejsce. Wiewiór skinął głową i posłusznie ruszył dalej korytarzem. Daniel zaś wskazał Dzikiemu rozwidlenie, na którego końcu spiralne schody prowadziły na piętro. — Nie zastanawiałeś się Dziki, dlaczego mieszkam właśnie tutaj? — spytał niespodziewanie. — Prawie na samym skraju Strefy Głodu? Przecież logika podpowiada, że znacznie bezpieczniej byłoby za płotem H-Marketu, w otoczeniu strażników i cherlaków ściągających zagrożenie na siebie...

— Myślałem, że chodzi o to, by mieć na oku ten sklep, który mijaliśmy. Teraz jednak sądzę, że dużo rozsądniej byłoby po prostu szabrować go po każdym Resecie, niż zabezpieczać za każdym razem...

Daniel potwierdził skinieniem głowy. — Dokładnie. Ale moja kwatery znajdują się tu z innego powodu. Widziałeś relikty tam na dole? Więc za chwilę pokażę ci relikty tak wyjątkowy, że zaniemówisz.

Pomieszczenia nad dawnymi sklepami były po prostu zwykłymi mieszkaniami. Daniel otworzył pierwsze drzwi przy wejściu, zapraszając Dzikiego do ciemnego, niemal pustego pokoju. Wewnątrz stało tylko biurko z komputerem i pojedyncze drewniane krzesło.

Dziki nie miał wątpliwości, że komputer musi skrywać jakiś błąd. — Co z nim jest nie tak? — spytał od razu.

— Usiądź i się przekonaj — zachęcił go Daniel.

Dziki zajął miejsce przy biurku. Pierwszą dość niespotykaną rzeczą było oczywiście to, że sam komputer był włączony. Generatory na zewnątrz świadczyły jednak, że cały Gorgor jest zasilany, więc to musiało być coś innego. Ruszając myszką, wyłączył wygaszacz ekranu. Przyglądał się chwilę ikonom, napisał coś w notatniku, ale komputer nie wydawał się w żaden sposób nadzwyczajny. Zerknął kątem oka na Daniela, który miał całkiem niezły ubaw z przyglądania się jego wysiłkom. Zdesperowany, przypomniał sobie o kalendarzu z dołu, przyjrzał się więc dacie widniejącej w rogu pulpitu. Pokrywała się z dniem, w którym doszło do pierwszego Błysku. Wtedy też dostrzegł coś jeszcze. Tuż obok zegara świeciła się ikona świadcząca o podłączeniu do sieci.

Z jakimś dziwnym napięciem uruchomił przeglądarkę internetową. Poczuł, jak serce łomocze mu z podniecenia, gdy wyszukiwarka załadowała się bez wyrzucania błędów. Wtedy też napisał pierwsze słowo, które przyszło mu do głowy „Krańcowo”. Gdy drżącą ręką kliknął szukaj, miał wrażenie, jakby wszystkie odpowiedzi miały za chwilę pokazać się tuż przed nim, ale nadzieja zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Wyszukiwarka wyświetliła

pierwszą standardową stronę z opisem miasta, liczbą mieszkańców i najciekawszymi atrakcjami...

Dziki był jednak pewien, że za tym błędem kryje się coś więcej. Daniel nie chwaliłby się nim bez powodu. — Jak to właściwie działa? — spytał, nie mając więcej pomysłów.

— Trudno powiedzieć — odparł dowódca Armii. — Nie ma w tym żadnej logiki, jak zresztą w każdym błędzie. Ale masz właśnie szczęście siedzieć przed prawdopodobnie jedynym komputerem, który ma możliwość łączenia się z siecią.

Dziki poczuł się teraz naprawdę dziwnie. Przez chwilę zdążył zapomnieć, że jest w niewoli. To, co miało wydarzyć się jutro, zostało gdzieś zupełnie z tyłu. Ciekawość Nowego Świata była w nim tak wielka, że chciał brnąć w to dalej. — Można z kimś się skontaktować? Z kimś spoza Krańcowy? — spytał podniecony.

Daniel pokręcił głową. — Niestety nie. Cały ten „Internet” trwa w jakimś dziwnym czasowym zawieszeniu. Badałem go na wszystkie możliwe sposoby. Strony informacyjne aktualizują się w normalny sposób, aż do godziny 14:56, kiedy to sieć na chwilę znika. Gdy łączność wraca, wszystko się zapętla. Fora i czatery wyświetlają normalne rozmowy między ludźmi, ale jeżeli gdzieś się zarejestrujesz i napiszesz cokolwiek, nikt cię nie zauważy. Podobnie tutaj, o 14:56 po restarcie sieci, wszystkie rozmowy będą toczyły się od nowa, dokładnie w ten sam sposób. To ślepy załęk...

Dziki opuścił zrezygnowany głowę. Czyżby ten błąd nie był aż tak niezwykły, jak by się tego spodziewał? Nim zdążył spytać, czemu właściwie Daniel mu go pokazał, ten nachylił się nad klawiaturą i zaczął coś wystukiwać.

— Komputer ten ma inne ciekawe zastosowanie — wyjaśnił, wyraźnie zadowolony. — Pamiętasz ze Starego Świata Wirtualny-Skraj?

Dziki przytaknął. — To strona społeczności Krańcowy. Miałem nawet konto...

— Większość mieszkańców miała — wtrącił Daniel. — Co ciekawe, nigdy nie myślałem, jak wiele można się dowiedzieć z takiego miejsca. Wszyscy ludzie w Starym Świecie tak po prostu wrzucający swoją prywatność do Internetu, nie czując jak bardzo się przez to narażają...

Dziki spojrzał na Daniela z niedowierzaniem. — Więc to jest ta tajemnica? Oceniasz ludzi na podstawie ich profili na Skraju? Przecież większość z nich to kłamstwa. Ludzie ściemnieli, żeby popisać się przed innymi... — zaprotestował.

Daniel jednak nie dał się zbić z tropu. — To prawda, ale ja sięgam znacznie głębiej. Bo widzisz, z tego komputera mam dostęp do wszystkich profili. Mogę oglądać prywatne rozmowy, usunięte zdjęcia i anonimowe komentarze... — mówiąc to, zademonstrował Dzikiemu jego profil z poziomu, do

którego nie powinien mieć dostępu. — To jest właśnie miejsce, gdzie naprawdę poznajesz, co ludzie myślą. Przeglądając twoją korespondencję z Mikiem, dowiedziałem się bardzo wiele o tobie i twoim spojrzeniu na świat.

— Nie musisz znać mojego hasła? — spytał natychmiast Dzik.

— Mogę wpisać cokolwiek, i tak zadziała — odpowiedział Daniel. — Stąd wiem tyle o prawie każdym, kto przychodzi do Strefy. Co do wyłapywania nowych ludzi, to już nie żaden błąd, tylko czysta technika i generatory. System monitoringu na dawnym parkingu działa doskonale, a moi ludzie obserwują Strefę Głodu dzień i noc.

— Rozumiem... — stwierdził Dzik.

Daniel ponownie popatrzył na niego w swój dziwny, przenikliwy sposób. — Pozwól, że pokażę ci jeszcze coś. Najpierw powiedz... Mówi ci coś pseudonim Bugaj? Tylko się nie pomył. Chodzi mi o Stary, nie Nowy Świat.

Dzik podrapał się przez chwilę po głowie. Nie musiał długo nad tym myśleć. — Trudno byłoby nie znać tego pseudonimu. To w końcu jedyna sławna postać z naszego miasta. Szkoda tylko, że znana z tego, że była gangsterem.

Daniel uśmiechnął się, wpisując coś na klawiaturze. — A powiedz mi Dzik, pamiętasz, jak Bugaj nazywał się naprawdę?

— Chyba... Tomasz Mikulski, ale nie jestem tego pewien — odpowiedział.

— Więc patrz, Dzik! — zawołał Daniel, odwracając w jego stronę monitor z załadowanym zdjęciem.

Pierwsze co rzuciło się mu w oczy, to ogromny czarny samochód i siedzący na jego masce mężczyzna z papierosem w dłoni. Dzik potrzebował chwili, by go rozpoznać, bo postać była ogolona i dobrze uczesana. Gdy jednak przyjrzał się uważnie, nie miał już wątpliwości. Mężczyzną ze zdjęcia był Wilk.

— To niemożliwe... — wyszeptał.

— Ależ możliwe — zakpił Daniel. — Jak nie jesteś pewien, możesz przejrzeć inne zdjęcia. Cały profil... Nie trzeba nawet wchodzić w prywatne wiadomości. Jakoś specjalnie nie krył się z tym, co robił...

Dzik pokręcił głową, przeglądając kolejne obrazy. Wilk/Bugaj bałował na nich w towarzystwie bezkarkowych bandziorów, wyglądających jak stereotypowy obraz członka mafii. Daniel uśmiechnął się szeroko, widząc jego zszokowaną minę.

— Szeryf Krańcowa — zakpił. — Wprowadzający ład i porządek wśród Weteranów. Najbardziej prawy i sprawiedliwy. A prywatnie? Zwykły pospolity bandzior, który myśli, że grzechy Starego Świata zostały zapomniane.

Dzik zaprotestował. — To musi być pomyłka. Rozmawiałem z nim... on...

— Wydaje się w porządku? — wtrącił Daniel. — Na pewno umie się dobrze sprzedać. Poczytaj sobie jak „kwiecieście” podrywał dziewczynki ze Skraja, a potem zobacz, jak pisze do swoich kolegów po fachu. Dobry aktor. Nic więcej.

— Może się zmienił... — stwierdził Dzik, ciągle świdrując oczami zdjęcia.

Daniel zaśmiał się, słysząc sugestię Dzikiego. — A ja ci mówię Dzik, że jadowna jaszczurka nie zmieni skóry. No, ale starczy tych dyrdymałów. Zaprosiłem cię na wieczerzę. Pewnie już się tam dobrze bez nas bawia... — stwierdził, kierując się w stronę drzwi.

Dzik jednak nie wstawał. — Poczekaj... Czy ja mógłbym...

— Jeszcze jeden profil? — spytał zaintrygowany Daniel. — O kogo chodzi? Chcesz sprawdzić swojego powiernika Kubę?

— Nie... — odpowiedział Dzik. — Nie wiem dokładnie, kto to jest. Znam tylko pseudonim, ale może go nie zmienił... Może mógłbym spróbować?

— No to dawaj! — zawołał Daniel, wlepiając oczy w monitor.

Dzik spojrzał na wyszukiwarkę osób i powoli wpisał w okno: Smutny. O dziwo, pokazał się jeden profil z jakąś karykaturalną postacią w awatarze. Z napięciem przycisnął na ikonę. Zamiast profilu otworzyło się jednak czarne okno, a z głośników wydobył się niewyobrażalny gwizd. Wtedy na ekran wylały się litery, które ułożyły się w krótkie zdanie: „Pewne rzeczy muszą pozostać tajemnicą, Dzik.”

Po tym komputer się zrestartował, a Daniel spojrzał zszokowany. — Kogo ty do cholery wpisałeś?

— Weterana... — odpowiedział Dzik — ...ale, jak sam widzisz, nie takiego zwykłego. Nie wiem do końca, czym on był. Dlatego chciałem sprawdzić...

— Najwidoczniej bardzo dobrze umie ukrywać kim lub czym jest. Na dziś starczy! Chodźmy na dół.

* * *

Widok stołu pełnego wszystkiego, co w Krańcowie uważano za niedostępne, był czymś, co mogło onieśmielić. Wędliny, sery, kielbasy, soki, wódka niemal wylewały się z blatu. W takich warunkach chyba każdy popuściłby swoje żądze i po prostu napchał się wszystkim, czego tak brakowało w Nowym Świecie, ale Dzik nie miał apetytu.

Cała ta sytuacja była dla niego tak irracjonalna i dziwna, że nie był w stanie przełknąć nawet kęsa. Kiedy Wiewiór przyszedł po niego do autobusu mówiąc, że Daniel chce się z nim widzieć, spodziewał się wszystkiego, co najgorsze. Jakiegoś dziwnego przesłuchania, wyciskania z niego tajemnic Kubę albo gry psychologicznej, która będzie miała złamać jego ducha. Zamiast tego, znalazł się po prostu przy stole jako jego atrakcja.

I tak siedział między ludźmi, których uważano za największe zmary Krańcowa. O krok od człowieka, który zlecił porwanie Autobusu i prawdopodobnie miał na rękach krew dziesiątek ludzi, a mimo to nie czuł lęku. Bracia, to nie była bandera. To nie były figury, którym dawało się dożywocie za sam wygląd. W opinii Dzikiego, były to najnormalniejsze postacie, z jakimi miał

okazję rozmawiać od dłuższego czasu. Zwykli młodzi mężczyźni, bardzo sympatyczni, wręcz nieskalani Nowym Światem. Z logicznego punktu widzenia, Dzikie w ogóle nie potrafił zrozumieć, dlaczego Daniel uważał ich za swoją elitę. Chociaż praktycznie wszyscy nosili broń i identyczne białe-czarne mundury, to wielu z nich wyglądało tak, jakby sama siła odrzutu mogła ich zabić. Stanowili raczej karykaturę armii niż realną siłę.

— Co cię tak gnębi, Dzikie? — spytał nagle brat Michał, siedzący obok niego chłopak o wyjątkowo spokojnym spojrzeniu.

— Chyba nie tego się spodziewałem... — odparł bez namysłu.

— Dzikie myślał pewnie, że sam posłuży nam za kolację — stwierdził żartobliwie Michał. — Nie martw się. Jesteś tak nieapetyczny, że wołałbym zjeść Potłuka — dodał po chwili, a reszta Braci parsknęła w swoje talerze.

— Nie zgadzają się wyobrażenia, prawda? — wtrącił nagle Cichy, którego Dzikie widział już wcześniej w autobusie razem z Maciejewskim. Od samego początku kolacji miał on do niego straszną awersję i wcale się z tym nie krył. — Przecież w Armii mieli być sami psychopaci i sadyści — stwierdził ironicznie, wpatrując się w Dzikiego z pogardą. — Tak ci pewnie powiedzieli twoi znajomi Weterani...

— Cichy, na Boga! — zawołał Daniel. — Dajże Dzikiemu zjeść w spokoju.

Mężczyzna pokręcił głową, ale skupił się posłusznie na swoim talerzu. Z kolei siedzący dookoła Dzikiego Bracia co rusz zadawali mu różne, całkiem zwyczajne pytania. Ile różnych błędów widział? Z jakimi Niewykształconymi walczył? Jak sobie radzi prowadząc Autobusem?

Dzikie starał się nie prowokować Daniela, więc na każde pytania odpowiadał grzecznie, choć zdawkowo. Zawsze, gdy otwierał usta, w głowie kołatała mu myśl, że może powie o jedno słowo za dużo. Ponieważ lider Armii bardzo uważnie przysłuchiwał się jego odpowiedziom, nie chciał przypadkowo powiedzieć czegoś, co mogłoby w przyszłości narazić jego albo Autobus.

— Trafieś do nas w naprawdę dobry dzień — stwierdził w końcu Brat Adrian, który z tego, co Dzikie zdążył wyłapać, odpowiadał za zaopatrzenie Gorgoru.

— Czemu? — spytał, mając nadzieję, że przez chwilę rozmowa przestanie toczyć się dookoła jego osoby.

Nim Brat odpowiedział, sięgnął najpierw po butelkę z wódką, którą rozlał do kieliszków ludzi przy stole, w tym Daniela. — Bo jesteśmy dopiero po Resecie marketu — wyjaśnił. — Teraz trzeba skonsumować wszystko, co szybko się psuje, żeby nie marnować darów Nowego Świata.

— Nie da się tego zamrozić? Chyba market ma mroźnię? — spytał Dzikie od niechcenia.

Niespodziewanie do rozmowy włączył się Daniel, który krzywiąc się przechylił właśnie swój kieliszek. — Generatory na to nie wydolą. Ledwo wystarczają do utrzymania w działaniu tego, co niezbędne, jak system ka-

mer i oświetlenie placów. Poza tym mamy spory problem z paliwem. Prawie wszystkie stacje benzynowe są po stronie Wetów...

Dzikie rozpoznał po głosie Daniela, że ten zdążył już trochę „popłynąć”. Wykorzystując to, postanowił trochę pociągnąć go za język, żeby rozeznać się, w jakiej naprawdę sytuacji znajdował się Autobus. — Mam nadzieję, że Wilk się podda. Nie chciałbym, żeby kogoś z Autobusu spotkała krzywda... — stwierdził obserwując reakcję wodza.

— Wątpię... — odpowiedział Daniel, podstawiając kieliszek po kolejną dolewkę. — Prędej Dix go przyprowadzi. Zresztą nie masz się o co martwić. Dałem Bratu Damianowi słowo, a jego dotrzymanie jest ważne dla budowanego przeze mnie autorytetu.

— Puścisz nas? Mimo tego, co zrobił Kuba, albo że ja nie byłem neutralny? — dopytał. Nie usłyszał jednak odpowiedzi od Daniela, bo do rozmowy znowu wtrącił się Cichy.

— Zdziwiony? — spytał ironicznie. Chociaż jego głos był bardzo spokojny i opanowany, to twarz wyrażała prawdziwe wzburzenie. — Może Daniel, w odróżnieniu od twoich kumpli Wetów wie, co to znaczy dotrzymywać słowa? — chcąc jakby podkreślić swój negatywny stosunek do ludzi spoza Armii, spojrzał on na Wiewióra i spytał: — Bracie Damianie, ile osób dotrzymało słowa danego Wilkowi? Ilu go wystawiło, gdy przyszło do konkretów?

Wiewiór nie zdążył odpowiedzieć, bo Daniel spróbował ponownie ostudzić swojego podkomendnego. — Cichy, indoktrynację przeprowadza się w trochę subtelniejszy sposób. Jak chcesz przekonać Dzikiego, że wspiera złą stronę, skoro od razu na niego naskakujesz...

— Wybaczcie, Bracie Danielu — odparł mężczyzna tym samym, spokojnym głosem. — Brat Damian poprosił o zachowanie go przy życiu. Rozumiem! To kwestia honoru. Nie jesteśmy zwierzętami, jak to bydlę z miasta i musimy mieć jakieś zasady. Niemniej uważam, że zaproszenie go do stołu, by z nami ucztował, to już przesada. On nawet nie jest niezdecydowany. To człowiek, który jawnie wspiera Weteranów...

Tym razem to nie Daniel spróbował uciszyć Cichego. Obok wodza siedziała jedyna dziewczyna w całym zgromadzeniu Braci i to ona weszła mężczyźnie w słowo. — A może nie będziesz Cichy kwestionował woli Daniela? Skoro życzył sobie mieć tu Dzikiego, to go ma!

— Elza, Cichy... — westchnął Daniel. — Czy chociaż jeden raz, gdy goszczę was u siebie razem, może to nie kończyć się kłótnią? Pomyślcie jakie świadectwo dajecie teraz o Armii...

Dziewczyna natychmiast poczerwieniała i spuszczając głowę wyszepiała „sorki”, ale Cichy nie miał zamiaru odpuszczać. — Jeszcze tylko raz się do niego zwróć Bracie i daję spokój — stwierdził spoglądając z wyższością na Dzikiego. — Gdy już opuścisz Strefę Głodu, w co nie śmiem wątpić, bo nasz

wódz to człowiek słowny, to podpytaj się swoich kumpli Wetów, dlaczego powstała Armia. Tylko niech nie wciskają opowieści o złym „Danielu”, ale odpowiedzą, dlaczego w ogóle Armia została założona. Niech ci wspomną o Brygadziego! Niech opowiedzą, jaki los czekał tu kiedyś Nowoprzybyłych...

Dziki zamyślił się przez chwilę. O Brygadzie słyszał kiedyś od Mike’a. Była ona zresztą wielokrotnie wymieniana w historiach Weteranów jako jedna z pierwszych istniejących w mieście grup. Niemniej sam nigdy nie poznał szczegółów z nią związanych. Bardziej od samej brygady i jej historii interesowało go teraz co innego. Cichy jasno zasugerował, że Dziki będzie mógł opuścić Strefę Głodu, co znaczyło, że Daniel być może naprawdę zamierza uwolnić Autobus. Tylko jakim kosztem? O ile mógł być teraz nieco spokojniejszy o los swoich podopiecznych, to ciągle nie rozwiązywało to kwestii tego, co wydarzy się już jutro pod cegielnią.

Gdy Dziki pogrążony był w rozważaniach, wódz zdążył przechylić kolejny kieliszek. Jego wzrok robił się coraz bardziej mętny, a i głos zdradzał, że z każdą chwilą coraz mniej trzyma się w przytomności. — Mam dla ciebie radę, Dziki. I mimo tego, co o mnie myślisz, weź ją sobie do serca. Bo to nie jest tylko moje zdanie, ale na pewno podziela je również Pierwszy, człowiek, któremu bądź co bądź zawdzięczasz życie. Nie ufaj Trzeciemu — podkreślił, nazywając Kubę jego dawnym pseudonimem. — To najgorsza łajza, jaka chodziła po tej ziemi. Chcesz? Baw się w to przedszkole. Opiekuj się tymi dzieciakami w Autobusie. Jeśli nie będziesz ze mną walczył, krzywdą cię za to nie spotka... Ale nigdy nie ufaj Trzeciemu...

Dziki był zaskoczony tym, co usłyszał. Czy Daniel właśnie zadeklarował, że zostawi Autobus w spokoju? — Dobrze rozumiem? Opuściłbyś nam? Nawet mimo tego, że Autobus założył poniekąd Kuba?

— Nie jestem zwolennikiem odpowiedzialności zbiorowej — podkreślił Daniel. — Karanie grupy za grzechy pojedynczych członków, to domena Starego Świata. Zresztą, Dziki, powiem ci szczerze. Ja wierzę, że gdyby Kuba nie zaciągnął cię do autobusu, pewnie już dawno piłbyś ze mną jako jeden z Braci. A wiesz, dlaczego? Bo masz charakter. To, czego brakuje tym cherlakom ze Strefy. Po prostu masz jaja.

W tym momencie Dziki był już naprawdę zaskoczony przebiegiem rozmowy. Może była to kwestia tego, że Daniel był już mocno wstawiony, ale naprawdę nie wiedział, jak ma dalej reagować. W obecnej sytuacji, nie chciał przecież go obrazić albo sprowokować. Postanowił więc odbiec jak najszybciej od tematu Autobusu i Kuby. — Jednego nie rozumiem. Podobno w Strefie Głodu cierpią tylko elity Starego Świata. Co mają do tego jaja?

Daniel prychnął ironicznie. — Nawet nie wiesz, jak to jest ze sobą połączone. Myślisz, że te dawne nowobogackie fiuty mają w sobie chociaż odrobinę ikry? Czuli się pewni, bo ochraniała ich protekcja urzędów albo rzesze prawników. Trzymali się grupami, traktując „biedniejszych” od siebie jak bydło. A nie

mieli nawet do tego prawa. Ich fortuny zarobili ich dziadowie albo ojcowie. Ot, ślepy traf urodzenia się w bogatej rodzinie. Dam ci taki przykład... Wiesz, gdzie jest osiedle „Różane”? Ta ulica pełna willi? — Dziki przytaknął, a Daniel kontynuował. — Jakiś czas temu trafiła do Strefy Głodu grupa właśnie z tego osiedla. Chyba ukrywali się przez dłuższy czas i skończyły im się zapasy. Wszyscy byli dobrymi znajomymi. Sprawdziłem ich profile, wspólne wycieczki zagraniczne i bale do rana przy łyskaczu. Zastanawiałem się, ile trzeba czasu, by się między sobą pożarli. I wiesz co? To nie trwało nawet tygodnia. Widziałem, jak wyrwali sobie zupę z rąk... To już nawet bandera ma więcej jedności...

— Wiesz... głodowali — zaprotestował Dziki. — To jeszcze nie znaczy, że byli jak to się tu mówi...? Moralnymi degeneratami...

Daniel zrobił zaciętą minę, uderzając szklanką o stół. — TO JEST WŁAŚNIE BRAK CHARAKTERU! — wykrzyczał, a większość siedzących przy stole skupiła na nim wzrok. — Byli zwartą grupą, w nie najgorszym stanie. Nikt im nie kazał przychodzić do Strefy Głodu. Mogli przecież szabrować budynki, walczyć z Niewykształconymi... ALE NIE! W Starym Świecie dostali od życia wszystko, więc oczekiwali tego samego tutaj. Więc, dostają... tak mało, jak to tylko możliwe... — stwierdził zawistnie lider Armii.

Bracia wrócili do swoich rozmów, a Daniel przechylił kolejną szklankę. — Pamiętasz jeszcze Tyzaka? — spytał, patrząc mętnie na Dzikiego. — Chłopak w Starym Świecie był zaszczuty, biedny, nie za urodziwy, słaby fizycznie. Każdy dzień w szkole był dla niego jak walka o przetrwanie. Znosił ciągle utyskiwania i pobicia, aż w końcu uwierzył, że jest śmieciem. Tak samo ocenił go ten ciul, Kuba. A teraz? Jest prawą ręką „Szachraja”, dowódcy obrońców. Bez cienia strachu walczy z Niewykształconymi. Może nie jest tak wielki jak Maciejewski, ale nadrabia odwagą. Gdy trzeba bronić Marketu, nie zastanawia się nawet chwili. A wiesz, co jest najważniejsze? Jest wdzięczny... Okazuje prawdziwą wdzięczność za szansę, którą mu dałem. Jak zresztą każdy z obrońców. Wszystkich wyciągnąłem z dna osobiście i są to najwierniejsi ludzie, jakich mam. A jakbym awansował jakiegoś nowobogackiego dupka? Zaraz by uznał, że i tak mu się to należało, a potem zaczął zerkać jak tu się dochrapać wyżej. Może nawet zająć moje miejsce... — Jeden z Braci wyciągnął butelkę, ale Daniel odmówił dolewki, kontynuując. — Wiesz, jaki był prawdziwy problem Starego Świata, Dziki? Że tym, którzy powinni nim rządzić brakowało odwagi, żeby po tę władzę sięgnąć. Dlatego zamiast kwitnącego społeczeństwa, mieliśmy chaos, a u władzy bandę goryli. Goryli, które potrafiły tylko wyrwać sobie banany z rąk, choć większość z tych małp miała już tyle żarcia, że i tak nie dałaby rady tego przeżreć. To jednak minęło i póki serce wali w mojej piersi, nie dopuszczę do tego, żeby to, co było w Starym Świecie, powróciło... KU LEPSZYM CZASOM, BRACIA! — wykrzyczał Daniel, podrywając się z miejsca ze szklanką w dłoni.

— DANIEL ŻYJE! — wykrzyczeli jednocześnie.

Dowódca Armii pochylił się nad białym, zwracając się do Dzikiego. — Trochę przegiąłem z picciem, ale dziękuję Dziki, że towarzyszyłeś mi dzisiaj. Możesz mi wierzyć, że naprawdę żałuję... żałuję, że musieliśmy znaleźć się po przeciwnych stronach. Nie walcz ze mną, Dziki... Nie walcz ze mną, a może dla ciebie i dla Autobusu znajdzie się miejsce w Nowym Świecie... Bracia, muszę się przewietrzyć! Odprowadzę naszego gościa.

* * *

Chłód krańcowskiej nocy postawił Daniela nieco do pionu. We wnętrzu Gorgoru wydawałoby się, że mężczyzna zaraz odpłynie, ale teraz maszerował obok Dzikiego jakby wcale nie pił.

— Chyba się uspokoiło... — stwierdził Dziki, nie słysząc strzałów już od kilku minut.

— Niewykształceni przychodzą falami. Niedługo znowu się zacznie — stwierdził Daniel, który od dłuższego czasu był wyraźnie zamyślony. — Dziki... — zaczął niespodziewanie. — Zagrajmy w grę. Bardzo chcę wiedzieć, kim jest Smutny. Wiem jednak, że nie masz powodu by mi to zdradzić... Dlatego proponuję, pytanie za pytanie. Zadasz dowolne, jakie tylko chcesz. Jeśli będę mógł udzielić ci na nie odpowiedzi, ty powiesz mi, co wiesz...

Dziki spojrział na Daniela. Wyglądało na to, że traktuje to całkiem poważnie, dlatego wypalił od razu. — Jak się używa błędów?

Dowódca Armii popatrzył na niego, skonsternowany. — Cholera, mogłem przewidzieć, że spytasz właśnie o to. Nikt z używających błędów ci tego nie zdradzi, bo to pierwszy krok do poznania jego słabości. Przykro mi, to dla mnie zbyt duże ryzyko, jak na zaspokojenie ciekawości...

Dziki zamyślił się przez chwilę. Czy było jeszcze coś, co chciał wiedzieć? Do głowy przyszło mu nagle coś znacznie mniej oczywistego. — Czym jest Bandera-board?

Daniel po raz kolejny wyglądał na zaskoczonego. — Skąd ty... ech moi ludzie mają za długie języki. Tu jednak nie widzę przeszkód, by ci odpowiedzieć, a nawet pokazać. Musimy wejść na teren Marketu, w międzyczasie opowiedz mi o Smutnym.

Idąc przez Strefę Głodu, Dziki streścił mniej więcej czego zdążył się dowiedzieć. Pomiął jedynie fakt, że ze Smutnym spotkał się za Lasem Ludzi oraz zataił jego powiązanie z Pierwszym. Daniel wsłuchiwał się uważnie, prowadząc go aż pod samą bramę H-Marketu. Stojący przy niej strażnicy powitali ich, krzycząc: — Bracie! — i natychmiast otworzyli przejście.

— To jest w Markecie? — Spytał natychmiast Dziki.

Daniel zaprzeczył. — Nie w samym. Bandera-board ma społeczne problemy i musieliśmy go odseparować — stwierdził tajemniczo.

Przeszli przy oświetlonej ścianie na drugi koniec Marketu. Po tej stronie panował dużo większy spokój. Przy siatce stała zaledwie garstka strażników, wyraźnie znudzonych obserwowaniem pustego pola za Marketem.

Na końcu placu znajdowała się mała hala, zamykana na ogromne podwójne drzwi. Daniel zatrzymał się tuż przed nią, a Dziki momentalnie poczuł, że coś jest nie tak. Nie wiedział czemu, ale miał wrażenie, że za drzwiami czyha coś ogromnego.

— Powiedz mi, Dziki... — zaczął nagle Daniel. — Zastanawiałeś się kiedyś, ile Niewykształceni pamiętają ze swojego poprzedniego życia?

Dziki zastanowił się przez chwilę. — Chyba zależy, który gatunek. Wydaje mi się, że niektórzy pamiętają naprawdę dużo.

Daniel potwierdził skinieniem głowy. — Dokładnie. Najwięcej pamiętają ci, którzy, że się tak wyrażę, powracają po śmierci w Nowym Świecie. Od momentu, w którym istnieje Strefa Głodu, starałem się chronić najwierniejszych z moich ludzi. Niestety, nie wszystko da się przewidzieć. Czasem zdarzają się wypadki. Czasem ktoś popełni błąd. Straciłem już kilkunastu wiernych kompanów i przez długi czas zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś ich zobaczę. — Mówiąc to, wódz pogrzebał chwilę w swojej bluzie i wyciągnął z kieszeni czerwoną bandankę. — Wiem, że to nie w twoim stylu, ale jeśli chcesz go poznać, lepiej żebyś wyglądał jak jeden z nas — stwierdził, podając ją Dzikiemu.

Dziki przewiązał sobie czerwony materiał na ramieniu, a Daniel zbliżył się do hali i odsunął rygiel, otwierając jej wrota. — Bandera-board! Wyjdź i pokaż się! — rozkazał.

Już po chwili z magazynu dobiegły ciężkie kroki. Ogromna istota z twarzą ukrytą pod kaskiem motocyklowym, wyłoniła się z wnętrza. Swoją budową przypominała dużego Delimera. Jej ciało było niezwykle potężne i nieproporcjonalne. Do tego w wielu miejscach okute żywcem blachą.

— SŁUŻYMY DANIELOWI! — wykrzyczał potwór.

Dziki cofnął się o krok do tyłu. Widział już kiedyś coś podobnego. W kościele kanibali spotkał się z człowiekiem na skraju przemiany w Grabarza, ale to, co stało przed nim teraz, było zdecydowanie dużo większe i na pewno groźniejsze.

Daniel, stając przed Dzikim, wyciągnął swoją rękę. — Poznaj Bandera-boarda, pierwszego Niewykształconego superżołnierza w mojej Armii! — zawołał dumnie.



Rozdział XII

Podstęp

Cegielnia w Krańcowie zakończyła swoją działalność jeszcze przed powstaniem Nowego Świata. Ten potężny zakład, zatrudniający niegdyś rzeszę pracowników, stał przez bardzo długi czas praktycznie całkiem zapomniany. Wszelkie próby sprzedania terenu oraz budynków nigdy nie doszły do skutku. Pozostawiono tę dawną chlubę miasta na pastwę złomiarzy oraz grup okolicznej młodzieży, szukających miejsca by wypić w spokoju butelkę taniego wina.

Porzucone przed laty pomieszczenia biurowe straszyły odpadającym tynkiem i dziurami w miejscach okien. Pozostawione na placu stare maszyny z czasem pokrywały się coraz mocniej rdzą. Częściowo rozkradzione, nie przypominały już wcale swojej oryginalnej formy. Odgradzony plac, niegdyś pełen gotowej cegły, stał pusty i jedynie ogromne kominy obwieszane nadajnikami telefonicznymi, nosiły jeszcze jakikolwiek ślad ludzkiej działalności.

Zapomniana w Starym Świecie cegielnia nie zmieniła swojego statusu po Błysku. Jej zrujnowane budynki nawet po Resecie nie generowały jakichkolwiek zasobów ani nie były w stanie dać żadnego sensownego schronienia. Dodatkowo Niewykształceni, którzy krążyli po okolicznym terenie całymi tabunami, zniechęcali do odwiedzin nawet najbardziej ciekawskich.

Nic więc dziwnego, że teren cegielni zupełnie ignorowano i nie wiązano z nim jakichkolwiek planów.

Aż do dzisiaj.

Z ogromnego otworu, który pozostał po dawnym oknie biura, wyrzał właśnie Cichy, prawa ręka Daniela.

Przebiegając wzrokiem po placu, skupił się przez chwilę na piętrowym autobusie ustawionym w oddali. Stojący obok pojazdu Maciejewski, doskonale widoczny nawet z tak daleka, wygłaszał właśnie ostatnie instrukcje bandzie udającej Rękę Olbrzyma.

Cichy rozglądał się dalej, a jego wzrok powędrował aż na sam skraj cegielni. Tam podległy mu żołnierz z oddziału „Stalowych” sprawdzał właśnie zamkniętą bramę, oddzielającą mniejszy plac. Stłoczone na nim Potłuki były ewidentnie rozjuszone obecnością ludzi. Swoimi przypominającymi maczugi głowami uderzały we wszystko, co tylko miały w zasięgu. Na szczęście Niewy-

kształceni byli zbyt słabi, by chociaż uszkodzić betonowe ogrodzenie, za którym byli uwięzieni.

Żołnierz ze Stalowych uniósł kciuk do góry, dając z oddali znak, że wszystko jest przygotowane. Cichy skinął mu głową i odetchnął, opierając się plecami o ścianę budynku. Do jego uszu dobiegł właśnie odgłos kroków dochodzący z ruin klatki schodowej.

Mężczyzna w czarnym stroju ochrony H-Marketu wszedł po chwili na obdrapany korytarz i uniósł dłoń w geście powitania. — Daniel Żyje! — zawołał.

— Żyje! — odpowiedział mu Cichy, z powrotem wyglądając przez dziurę po oknie. — Co sprowadza samego wielkiego Szachraja do tej starej ruiny? — spytał, wyciągając z kieszeni opakowanie papierosów.

— Ciekawość i nuda — odpowiedział przybysz, częstując się natychmiast ze skierowanego w swoją stronę opakowania.

— Chyba na brak zajęć w Markecie nie narzekasz? — zdziwił się Cichy. — Zwłaszcza teraz, po Błysku...

Szachraj wyciągnął zapalniczkę i zanim odpowiedział, przypalił sobie papierosa. — Tyżak mnie zastępuje — wyjaśnił, wypuszczając z płuc szarą chmurę. — Dzięki temu nie muszę tam siedzieć przez cały czas. Poza tym, tak sobie pomyślałem, że jeśli kiedyś jakiś zapaleniec zacznie spisywać „historię Nowego Świata”, to będzie jeden z jej kulminacyjnych momentów. Więc chyba warto to zobaczyć...

Cichy słysząc to, roześmiał się. — Triumf Olbrzyma i upadek starych Weteranów — podsumował.

Jego rozmówca wyglądał na nieprzekonanego. Zaciągnął się ponownie papierosem i sam zaczął przyglądać się przygotowaniom na placu. — Strasznie się pośpieszyli z tym ostatecznym rozstrzygnięciem — stwierdził w końcu. — Myślałem, że to jeszcze trochę potrwa. Daniel najpierw sam mówił, że chce zminimalizować straty. Miał dać „olbrzymkom” czas na nabranie doświadczenia, a teraz taki zryw...

— Musiał mieć swoje powody... — odparł wymijająco Cichy.

— Ale chyba nie przez Damiana? — dociekał dalej Szachraj. — Przecież z porwaniem Autobusu mogli spokojnie poczekać do następnego Błysku...

Cichy wyrzucił pustą paczkę przez okno, zerkając przenikliwie na swojego rozmówcę. — Do tego czasu kod, który przechwyciliśmy, mógłby się zmienić. No i Dziki mógł w końcu zginąć. Z mniej lekkomyślnym strażnikiem nie poszłoby tak łatwo.

Sądząc po minie, Szachraj wyraźnie wątpił w wyjaśnienia Cichego. — To i tak było za duże ryzyko — zaprotestował. — Ręka miała zbyt mało czasu na przygotowanie. Zgranie się ze sobą... No i w ogóle ten ułożony naprędce plan. Przecież to jest cud, że w ogóle się udało porwać ten autobus. Daniel nie bywa tak lekkomyślny.

Cichy odwrócił się, wlepiając wzrok w autobus. — Zazwyczaj nie — skwitował i ewidentnie chcąc już zakończyć tę rozmowę, zamilkł, udając zamyśłonego.

Szachraj oparł się o pozostałości parapetu, spoglądając na niego badawczo. — Więc pewnie Zarzecz... — stwierdził tajemniczo, a Cichy zaklął, uderzając pięścią o mur.

— Kurwa, więc już wiesz!

Szef ochrony H-Marketu wyprostował się wyraźnie zadowolony, że udało mu się uderzyć we właściwe struny. — W Strefie Głodu ciężko zachować jakąś tajemnicę — podkreślił. — Czasem jakiś pijany Brat przyjdzie wieczorem po butelkę, a czasem jakiś cherlak sprzeda to, co usłyszał za dolewkę zupy...

— Ludzie za dużo piją, a za mało myślą — wtrącił wyraźnie zirytowany Cichy.

Ewidentnie nie miał ochoty kontynuować tego tematu, ale Szachraj drażył dalej. — Czemu Daniel trzyma to w tajemnicy? — spytał, a w jego głosie pojawiła się nuta wyraźnego żalu. — Zwłaszcza przed obrońcami? Jesteśmy jedną Armią...

Cichy westchnął, wlepiając uparcie wzrok w parapet. — A jak myślisz? — spytał retorycznie. — Nie chciał, żeby to się rozniosło poza Armię... Wiesz przecież najlepiej, jak wygląda trzymanie tu czegoś w tajemnicy. Tak jak powiedziałeś wcześniej, pijany Brat spowiada się Obrońcy. Dwóch twoich ludzi głądzi potem pod siatką o tym, co usłyszeli, a ciekawski banderowiec słucha. Nie mijają dwa dni i cała Strefa Głodu huczy o tym, co działo się w Gorgorze. Od tego już tylko krok, by wieść przeniosła się do Wetów.

Szachraj skinął twierdząco głową. — No niestety, tak właśnie jest. To wina tego, że ludzie czują się za swobodnie. Wszyscy uważają, że Daniel i tak wygra, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo utrudniają mu swoim podejściem.

— No właśnie... — potwierdził wyraźnie zirytowany Cichy.

Szef ochrony nie miał jednak zamiaru zrezygnować z dowiedzenia się czegoś więcej. — No, ale szambo się już wylało — zagadywał dalej. — Informacja, choć bez szczegółów, krąży po Markecie. Powiesz mi, dlaczego to śmierdzi?

Cichy pokręcił głową, spoglądając w końcu na rozmówcę. — Chyba ciebie to akurat stać na jakąś łapówkę, co? — spytał z przekąsem.

Szachraj pogrzebał chwilę w swojej kurtce. — Cholera, nie pomyślałem. Mam tylko to... — powiedział, podając Cichemu dużą puszkę Coli.

Ten popatrzył na nią, uśmiechając się ironicznie. — Tajemnica Gorgoru sprzedana za pół litra podrobionej Coli... — stwierdził, otwierając napój. — Danielu, miej mnie w swojej opiece...

Szachraj uśmiechnął się pod nosem, nadstawiając uszu, a Cichy złapał kilka łyków i zaczął tłumaczyć. — Jakiś czas temu złapaliśmy gościa z Zarzecz. Facet był po prostu wyжебany od błędów. To zresztą nie był pierwszy taki

przypadek. Od dłuższego czasu rozsyłali zwiadowców po naszej części. Tylko że tego akurat udało się nam złapać żywcem...

Szachraj słysząc to, wyraźnie zmarkotniał. — Szykują się pod inwazję?

Cichy skrzywił się, gniotąc nerwowo pustą puszkę w rękę. — Z tego, co od niego wyciągnęliśmy, wychodzi na to, że nie inaczej — potwierdził wyraźnie przejęty. — Najgorsze jest to, że nie wiemy, ilu z ich ludzi posługuje się błędami. Wszyscy ich zwiadowcy po prostu „przeszli” przez rzekę, więc pewnie sporo... Dlatego plan z Weteranami uległ przyśpieszeniu. Daniel chciał rozwiązać tę kwestię jak najszybciej, by móc skupić się na obronie.

Szachraj słysząc to, nawet nie był w stanie ukryć oburzenia. — Więc dlaczego dalej dowodzi tym Maciejewski? — spytał z takim wyrzutem, jakby to Cichy odpowiadał za wszystko. — Czemu jest tu tylko Ręka Olbrzyma... Mogliśmy wyciągnąć ze Strefy Głodu wszystkie siły. Zmiażdżyć to weterańskie ścierwo i...

Cichy przerwał mu jednak, spoglądając na niego, jak na nierozumne dziecko. — Nie wiesz nawet, co tu się będzie działo! Strata Ręki Olbrzyma to coś, na co możemy sobie pozwolić. Oni i tak wyszli z bandery, więc dla mnie jako ludzie są bez znaczenia. Bracia, Obrońcy, Stalowi, a nawet Wetowie będą nam potrzebni, by bronić naszej strony miasta...

— O czym ty mówisz? — spytał całkiem zgubiony Szachraj. — Weterani? Potrzebni nam?

— Dokładnie — odparł Cichy. — W tej całej akcji nie chodzi o to, by zabić wszystkich Weteranów, którzy przyjdą. Mają zginąć ich przewodnicy: Wilk, Szara, Dix, Kuba i Krzak. Gdy przyjdą ludzie z Zarzecza, pozbawionych dowódców Weteranów Daniel bez trudu przekona do walki ze wspólnym wrogiem...

Szachraj sam wyciągnął teraz paczkę papierosów. Najwidoczniej to, co usłyszał, musiało go mocno zdenerwować. — Mam wątpliwości, czy dadzą się przekonać do walki o „wspólną sprawę” — stwierdził, otwierając opakowanie trzęsącymi się rękoma.

— Nawet jeśli nie, to chodzi o to, by nie przeszkadzali. Nie zmuszali nas do walki na dwa fronty. Bez „watazków” nie będą zagrożeniem... — tłumaczył dalej Cichy.

Szachraj przypalił sobie w międzyczasie papierosa i chciał poczęstować Cichego, ale ten odmówił. — Długo to my się spokojem nie nacieszyliśmy... — stwierdził w końcu z grobową miną.

— Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedykolwiek go mieli — podsumował jadąc Cichy, rzucając pustą puszkę na plac.

Mężczyźni stali przez chwilę, obserwując z oddali Maciejewskiego, który razem z Wiewiorem dyskutował o czymś przy autobusie. — Co o nim myślisz? — spytał w końcu Szachraj, przerywając ciszę.

— Ma to jakieś znaczenie? — odparł zdziwiony Cichy.

Szachraj, któremu ciężko było ukryć zażenowanie, gdy spoglądał na plac, burknął natychmiast. — Odnoszę po prostu takie wrażenie, że masz jakieś obiekcje odnośnie Maciejewskiego.

Cichy nie odpowiedział od razu. — Nie zrozum mnie źle... — stwierdził po dłuższym namyśle — ...bardzo cenię sobie jego siłę. Wkład, jaki miał w uporządkowanie bandery, był nieoceniony. No i udowodnił, że potrafi dowodzić, mając pod sobą Rękę Olbrzyma. Ale dawać mu miejsce w Gorgorze to chyba przesada. On po prostu nie pasuje...

— Czyli Daniel mylił się co do niego? — spytał podejrzliwie Szachraj.

— Daniel się nie myli! — zaprotestował natychmiast Cichy. — To znaczy... nie mylił się do tej pory. Wierzę, że musi mieć jakiś powód, by dawać mu szansę.

Szachraj obrócił się, spoglądając na popękane kafelki. — Co do Krzyśka jednak się mylił... — powiedział, szurając nerwowo nogą po podłodze.

— Mówisz o Krzaku? — dopytał Cichy. — Z nim było inaczej. Od początku nie zgadzał się z Danielem w wielu kwestiach. Poza tym był bystry, spokojny... Maciejewski to jego zupełne przeciwieństwo, jest tępy i porywczy, ale wierny Danielowi.

— Skąd możesz mieć pewność? — spytał Szachraj, wciąż przegarniając butem ziemię.

— Bo piłem z nim kilka razy... Po wódce robi się strasznie gadatliwy. Potrafił nawtykać wszystkim: Michałowi, Łukaszowi, Arkowi, nawet tobie. Nigdy jednak nie zażartował na temat Daniela. Wódz jakoś zdobył jego szacunek — wyjaśnił Cichy.

Nieprzekonany Szachraj pokiwał głową i ponownie wyjrzał przez okno. Nagle zamarł, a w jego oczach zagościła niepewność. — Idą... — wyszeptał.

* * *

Nerwowa atmosfera zapanowała wśród członków fałszywej Ręki Olbrzyma. Pełni wątpliwości mężczyźni ściskali w drżących dłoniach pałki i siekiery, w oczekiwaniu na przybycie Weteranów. Nawet Wiewiór dał się ponieść panującemu napięciu, wypalając praktycznie papierosa za papierosem. Jedyne Maciejewski, stojący przy drzwiach autobusu, wydawał się spokojny. Leniwie wodził wzrokiem po placu, jakby czekał na spotkanie w urzędzie, a nie na gromadę uzbrojonych ludzi.

— Płuca wyrzygasz zanim przyłożą! — zakpił w końcu, odrywając na chwilę wzrok od bramy, by spojrzeć na Wiewióra. — Myślałem, że masz w sobie więcej ducha!

Słyszając to, dawny Weteran wyrzucił niedopalonego papierosa na ziemię. — Za to ty jesteś strasznie spokojny, jak na „największy cel” — odparł mu natychmiast.

Maciejewski uśmiechnął się pod nosem, prężąc mięśnie, od których jego kamizelka kuloodporna zatrzeszczała, jakby miała zamiar pęknąć. — Daniel nigdy nie stał z tyłu i ja też nie będę! — stwierdził dumnie.

Wiewiór popatrzył na niego krytycznie. — Wysoko aspirujesz porównując się do naszego wodza. Tylko że Daniel doskonale posługuje się błędami. A ty? — spytał z przekąsem.

Olbrzym słysząc tę krytykę, nastroszył się, jakby chciał co najmniej przywalić swojemu rozmówcy. — A ja pokażę ci, jak mierne znaczenie będą miały te twoje „błędy”, gdy już zaczniemy.

Wiewiór nie zwracając uwagi na jego gniewny ton, wyszeptał pod nosem: — Chyba że od razu zginiesz...

Olbrzym albo tego nie usłyszał, albo zupełnie zignorował, bo wrócił do obserwowania bramy. Pewność siebie Maciejewskiego nie udzielała się w żadnym względzie podległym mu ludziom. Pogłoski o umiejętnościach Dix krążyły szeptem między zgromadzonymi, psując już i tak nikłe morale. Gdy Olbrzym nagle zeszytywniał, wlepiając skupiony wzrok w płot przy bramie, fałszywa Ręka była już o krok od dezercji.

— IDĄ! — krzyknął Maciejewski, z jakiegoś powodu wyraźnie zadowolony. — Dobra, łachmyci! — warknął, zwracając się teraz do ludzi na placu. — Ustawiać się i nie ruszać, póki nie dam znaku. Jak któryś chociaż drgnie, to nogi z dupy powyrywam!

Przybyła ze Strefy Głodu gromada ustawiła się posłusznie w jednej linii, tuż przed autobusem. Niemniej, patrząc po ich minach, wielu żałowało właśnie, że w ogóle znalazło się na tym placu.

Maciejewski wyszedł naprzeciw nich bez cienia lęku na twarzy i nie sięgnął nawet po pistolet. Wciąż skupiony, wpatrywał się w bramę, przez którą wszedł właśnie nieuzbrojony Defektowiec, z rękoma uniesionymi do góry. — Dix chcę się z tobą dogadać! — zawołał, nie wchodząc głębiej na plac.

— TO NIECH GŁUPIA CIPA WŁAZI! NIE BĘDĘ ZDZIERAŁ GARDŁA! — zawołał Olbrzym.

Defektowiec zniknął z powrotem za płotem i już po chwili na plac weszła grupa dziesięciu uzbrojonych mężczyzn w czerwonych strojach. Na jej tyle maszerowała Dix, prowadząc skutego kajdankami Wilka.

Wśród zgromadzonych mieszkańców Strefy Głodu natychmiast rozgorzała cicha dyskusja. — Czyli jednak... poddali się... Udało się bez walki? To jest ten Wilk? Ta Dix nie wygląda strasznie... Dobrze, że chcą się dogadać...

— Zamknąć papy! — ryknął Maciejewski, uciszając podległych sobie ludzi.

Defektowcy ustawili się linią naprzeciw fałszywej Ręki. Dix pochyliła Wilka, wysuwając się z nim do przodu. Szeryf Krańcowo wpatrywał się w ziemię, zaciskając w złości zęby, a dziewczyna popędzała go łufą pistoletu, wbijając prosto w plecy.

Widząc to, Maciejewski w towarzystwie Wiewióra ruszyli w ich stronę. Spotkali się mniej więcej w połowie drogi między grupą Defektu, a ludźmi ze Strefy Głodu.

Dix dostrzegając, kto idzie obok Olbrzyma, najpierw wydawała się zaskoczona, ale już po chwili spojrzała na Wiewióra, jak na ohydneho robala. — Właśnie wiele rzeczy stało się dla mnie bardzo oczywistych...

Olbrzym, który najwidoczniej uznawał zasadę „wspólnego wroga”, zupełnie niespodziewanie oparł swoją ogromną rękę na ramieniu byłego Weterana. — On przynajmniej miał dość rozumu, żeby stanąć po zwycięskiej stronie — powiedział, zerkając jednocześnie na spętanego Wilka.

— To się jeszcze okaże — skwitowała natychmiast Dix, po czym spytała głosem pełnym złości: — Gdzie jest Dziki?

— Spokojnie, rozmyta! — odparł Maciejewski, puszczając Wiewióra. — Myślisz, że nie wiem jakich sztuczek używacie? Oddam ci twojego kochasia, a potem jeb! Coś błysnie i Wilk zniknie mi sprzed samych oczu. Dostaniesz najpierw ludzi z Autobusu. Jak ukręcę łeb Wilkowi, oddam ci srajtki...

Dix pchnęła Wilka w stronę Olbrzyma. — Nie dbam o to, co z nim zrobisz! — fuknęła. — Ale jeśli Dziakiemu spadnie chociaż włos z głowy, pogrzebie cię w gruzach tej cegielni! — zagroziła, zakładając ręce na pierś.

Maciejewski natychmiast chwycił mężczyznę i kopiąc go w nogi, powalił na kolana. Zaraz potem sięgnął po krótkofalówkę. — Wypuszczajcie ich — mruknął uśmiechając się złowieszczo.

— Nie zapomnij o Dziakiem! — krzyknęła natychmiast Dix, a Maciejewski spojrzał na nią z politowaniem.

— Dostaniesz go! Spokojnie — odparł Olbrzym, łapiąc Wilka za kark swoją ogromną ręką.

Dix zamarła w oczekiwaniu, świdrując Maciejewskiego wzrokiem, a Defektowcy za jej plecami stanęli w skupieniu, zaciskając ręce na broni. W oddali dało się słyszeć pierwsze odgłosy kroków. Dziewczyna oderwała na chwilę wzrok od Olbrzyma i spojrzała, pełna napięcia, w stronę bocznego placu, skąd dobiegał coraz głośniejszy rumor. Ku jej przerażeniu zamiast Dzikiego albo kogokolwiek z Autobusu, zza płotu wybiegł Niewykształcony.

Pozbawiona rąk postać z ogromną głową, przypominającą piłkę lekarską, zatrzymała się na chwilę. Zarówno fałszywa Ręka Olbrzyma, jak i Defekt zamarli na jej widok, a niemal natychmiast na plac wylała się cała chmara podobnych bestii. Niewykształceni rozdzielili się w chaotycznym pędzie, zmierzając w większości w stronę Defektowców.

Pierwszy z szoku wyrwał się Rengo. — Potłuki! — krzyknął i natychmiast pociągnął serią z pistoletu maszynowego.

Maciejewski wykorzystał moment, w którym Dix zerknęła w stronę potworów i rąbnął ją w głowę. Zaskoczona dziewczyna momentalnie padła na

ziemię, a Olbrzym pociągnął Wilka w kierunku autobusu. Weteran nie dawał co prawda łatwo za wygraną i ze wszystkich sił starał się wyrwać Maciejewskiemu, ale ze spętanymi rękoma nie miał na to wielkich szans.

Dix otrząsnęła się błyskawicznie i podrywając z ziemi, krzyknęła: — Stój! — Nim jednak zdążyła ruszyć za mężczyznami, tuż nad nią wyrosła sylwetka Wiewióra, z bronią skierowaną w jej stronę. Odskakując na bok, o włos minęła falę śrutu, która podziurawiła ziemię w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżała.

Tymczasem Maciejewski bez trudu przeciągnął o dwie głowy niższego Wilka za linię swoich ludzi. — Na nich! Nie oszczędzać nikogo! — rozkazał.

Wbrew jego poleceniu fałszywa Ręka nawet nie drgnęła. Z ledwością odpierali ataki pojedynczych Potłuków, które wybrały ich zamiast Defektowców i w żadnym względzie nie wyglądali na chętnych do podjęcia pełnej walki. Widząc to, Olbrzym chwycił najbliższego z nich wolną ręką, nie wypuszczając Wilka z drugiej. — JUŻ! — krzyknął, pchając mężczyznę w głąb placu.

Członkowie fałszywej Ręki ruszyli w końcu do przodu, wdzierając się w starcie między Defektem, a Niewykształconymi. Jeden z atakujących, uzbrojony w siekiere wielką jak katowski topór, obrał za cel Dix. Napastnik chcąc zaskoczyć dziewczynę, która właśnie uniknęła kolejnej serii strzałów oddanych prze Wiewióra, dobiegł do liderki Defektu i zamachnął się z wrzaskiem, jakby chciał przerąbać ją na pół.

Zwinna Dix uchyliła się jednak przed nadlatującym ostrzem i kontrując, uderzyła mężczyznę w gardło. Wzmocniony siłą błędu cios wbił napastnikowi grdykę w głąb szyi. Niemał natychmiast padł on na ziemię, dusząc się krwią zalewającą mu usta. Pozostali członkowie Armii dostrzegając tę scenę, nie odważyli się ruszyć na dziewczynę.

Pozostawiona w spokoju Dix, dostrzegła, jak Olbrzym ciągnie Wilka w stronę autobusu. — MACIEJEWSKI! — ryknęła, sięgając po pistolet, ale ten zdążył już skryć się za pojazdem.

Olbrzym, będąc już poza zasięgiem dziewczyny i Defektowców, pchnął szeryfa Krańcowa na ziemię. Gdy ten był już całkiem bezradny, sięgnął w końcu po pistolet. — Czas na ciebie! — zawołał triumfalnie, unosząc broń.

W tym samym momencie Wilk uśmiechnął się i w krótkim drzeniu powietrza zniknął. Jego miejsce natychmiast zajęła Szara. Kobieta trzymała broń gotową do strzału. Rodzeństwo zamarło mierząc do siebie, a palce obojga zeszywniały na spustach. Przez chwilę wydawało się, że żadne z nich nie strzeli.

Impas przerwał Wiewiór, który pojawił się nie wiadomo skąd i doskoczył do Szarej próbując odciągnąć jej dłoń. Zaskoczona kobieta wystrzeliła, a kula z jej pistoletu świsnęła rozcinając skroń Maciejewskiego.

Olbrzym, jak w amoku, dotknął rany na głowie, a następnie spojrzał na swoje palce ubrudzone we krwi. Przez chwilę jego klatka piersiowa unosiła się gwałtownie, aż w końcu wydał z siebie pełen wściekłości ryk. W furii rzucił

się w stronę Wiewióra i Szarej walczących o broń. Swoją ogromną ręką chwycił kobietę za włosy i biorąc potężny zamach, wbił jej twarz prosto w ścianę autobusu. Weteranka osunęła się natychmiast nieprzytomna, a otumaniony Maciejewski, ruszył z powrotem w stronę placu.

— Wracaj tu, debilu! Musimy się przegrupować, wezwać ludzi! — zawołał Wiewiór, ruszając za nim.

Maciejewski był jednak w takiej furii, że w ogóle go nie słuchał. Dysząc wściekle, wypatrzył Dix, która strzelała właśnie do jednego z Potłuków. Niczym rozwścieczony tur popędził w jej stronę.

W międzyczasie przez główną bramę wbiegł Wilk. Tym razem nie miał już na rękach kajdanek, za to trzymał w nich broń. Tuż za nim przedarli się: Mike, Krzak, Zjawa, Maniek, Dyzio i Kuba, po chwili do środka wpadła ciasno zbита gromada Grobelnych oraz kilku innych wolnych Weteranów.

* * *

— Kurwa, jaki chaos! — krzyknął Cichy, uderzając ręką o ścianę.

Z pomieszczeń biurowych miał doskonały widok na całe zamieszanie, jakie działo się teraz na placu cegielni.

Szachraj, który wcisnął w oczy lornetkę, odparł mu natychmiast: — Wety wyczyszczą tych Niewykształconych w kilka minut. Maciejewskiemu już puściły nerwy. On tego nie ogarnie... — jęknął zrezygnowany.

— Musimy coś zrobić! — odparł natychmiast Cichy, a Szachraj spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Chcesz tam iść? To było zadanie Maciejewskiego! — zaprotestował.

Cichy popatrzył na niego wyzywająco, unosząc dumnie głowę do góry. — Zadanie jest Maciejewskiego, ale to, co się tu stanie, będzie rzutowało na przyszłość Krańcowa! Chcesz ją oddać w ręce Wetów pod wodzą Wilka?! A może szef ochrony H-Marketu zapomniał już, jak się walczy w polu? Może szef ochrony H-Marketu po prostu się boi?

Szachraj roześmiał się. — Kurwa, Cichy! Najbardziej boli mnie to, że doskonale wiem, jak teraz ze mną pogrywasz. A jednak! Jednak mam straszną ochotę pokazać im, jak walczy elita Armii! — podsumował, strzelając kostkami w palcach.

— Ja chronię Daniela... — zaczął Cichy.

— ...Daniel chroni mnie! — dokończył Szachraj, stając na korytarzu. — Tylko ja nie umiem tak łatwo rozkręcić Woli...

Cichy spojrzał niepewnie na rozmówcę. — Czego potrzebujesz? — spytał.

— Uderz mnie! Uderz, najmocniej jak potrafisz — odpowiedział, nadsztawiając twarz.

- Jesteś pewien? — dopytał Cichy.
 — Lepiej ty, niż Weterani!

* * *

Dix zabiła Niewykształconego serią wystrzałów, dostrzegając w międzyczasie biegnącego w jej stronę Maciejewskiego. Od razu wymierzyła w jego kierunku, ale Olbrym porwał przebiegającego obok Potłuka i zasłaniając się nim jak tarczą, pędził dalej wprost na nią. Kule przecięły powietrze, wbijając się w twardą sylwetkę potwora i nie spowalniając biegnącego mężczyzny. Gdy Maciejewski był już prawie przy Dix, poderwał istotę do góry i z impetem rzucił nią wprost na dziewczynę.

Zaskoczona Dix padła na ziemię, przygnieciona ciałem wciąż rzucającego się bezwładnie potwora. Z niemalym trudem zepchnęła go z siebie, by już po chwili ledwo uniknąć buta Maciejewskiego, który spadł niczym kowadło w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była jej głowa.

Dziewczyna, wciąż na plecach, obróciła się zwinnie i wymierzyła kopniaka w kolano Olbrymy. Ten stracił przez chwilę równowagę, a Dix wykorzystując okazję, odczołgała się, zyskując trochę dystansu.

Maciejewski niemal natychmiast spróbował ją pochwycić, ale jego rękę zablokował nadbiegający Mike.

— Może zmierzysz się z kimś swojego... — chciał rzucić wyzwanie, ale Olbrym nie dał mu skończyć, natychmiast wymierzając cios głową.

Mężczyźni zwarli się momentalnie. Mike był o wiele niższy, ale nie ustępował Maciejewskiemu pod względem muskulatury.

Walczący wymienili kilka potężnych, ale chaotycznych ciosów, od których z ich nosów i ust poląła się krew. Do Maciejewskiego szybko wróciła jego bokerska rutyna. Opanowując w końcu nerwy, oderwał się od Mike'a i przyjął poprawną gardę. Z jej pomocą zablokował kilka następnych uderzeń. Wyczekując na okazję, wymierzył w końcu książkowego prawego prostego, którego nawet ktoś tak potężny jak Mike, nie był w stanie wytrzymać.

Weteran z rozbitym nosem padł zamroczony na tyłek.

Dix nie dała rady wmieszać się w tę walkę, bo ponownie została wzięta na cel przez Wiewióra. Tym razem przed śmiercią ocaliło ją tylko działanie błędów. Śrut ze strzelby byłego Weterana, rozbiegł się dookoła niej, jak stado przeganianych much.

Wiewiór nie dał jednak za wygraną i mierząc do dziewczyny po raz kolejny, wypalił z drugiej rury, krzycząc jednocześnie do Maciejewskiego. — Ściągaj Bandera-boarda! Niech go tu przyślą, JUŻ!

Dix nie chcąc dłużej wystawiać się na strzały, ukryła się za gromadą Niewykształconych.

W międzyczasie Maciejewski nieco oprzytomniał i złapał za radio, by wezwać wsparcie. — Bandera-board! Dawać go tu! — wykrzyczał, ale nim doszła do niego jakakolwiek odpowiedź, oślepił go błysk tuż pod stopami.

Zjawa pojawiła się znikąd i z wrednym uśmiechem na twarzy, przycisnęła rękę do jego kamizelki. Przeczuwając, że dzieje się coś złego, Olbrym odskoczył do tyłu jak słoń przed myszą. Już po chwili błysnęło po raz drugi, a na osłonie Maciejewskiego pojawiło się ogromne wypalenie w kształcie dłoni Weteranki.

W trakcie kilku kolejnych minut, większość fałszywej Ręki rzuciła się do ucieczki, przeskakując przez ogrodzenie. Na placu oprócz Olbrymy i Wiewióra została już tylko garstka ludzi ze Strefy Głodu. Na szczęście dla żołnierzy Daniela, fala Potłuków zdawała się nie mieć końca. Potwory skutecznie wiązały Weteranów i Defekt w walce, nie pozwalając na wykorzystanie przewagi.

Maniek i Dyzio zostali odcięci w rogu placu i tylko ciągle ostrzał z pistoletów maszynowych, ratował ich przed załuczeniem.

Grobelni zbili się w jeden kordon i próbowali zablokować drogę, przez którą Niewykształceni dostawali się na plac. Utrzymali się tam zaledwie kilka minut, bo napór Potłuków zmusił ich do wycofania się. Osłaniając się wzajemnie tarczami, utworzyli okrąg, w którym skryło się kilku rannych Weteranów.

Krzak poderwał oszołomionego po walce z Olbrymem Mike'a, ratując go w ostatniej chwili przed nadbiegającymi Potłukami. Podtrzymując rannego towarzysza, przedarł się z nim do Dix. Liderka Defektu wykrzykując rozkazy, próbowała zebrać swój rozproszony po placu oddział do kupy.

— Kuba przekradł się do autobusu! Jest pusty! — zawołał Krzak.

— Jak to pusty?! — krzyknęła Dix, gromadząc powoli swoich ludzi w jednym miejscu.

— Musieli ich gdzieś ukryć. Trzeba przeszukać cegielnię... — zaczął tłumaczyć Krzak, ale przerwał momentalnie, widząc, że na plac wbiegają Cichy i Szachraj.

Ten pierwszy zręcznie wyminął walczących i rzucił się z nożem prosto na Krzaka, który ledwo zdołał zasłonić się swoim karabinem.

— WITAJ, BRACIE KRZYŚKU! — zawołał Cichy napierając ostrzem z taką siłą, jakby chciał przeciąć broń na pół.

Krzak po chwili walki zepchnął go w końcu z siebie, a Dix razem z Miakiem rzucili się w jego stronę. Pochwycony mężczyzna niemal natychmiast zaczął się rozmywać, jakby nagle zachorował na ciężki defekt. Po chwili jego całkiem gładkie ciało, upadło na ziemię bez życia.

— Uważajcie! Takie kopie to jego sztuczka... — ostrzegł Krzak, a w tym momencie spomiędzy walczących wybiegł kolejny klon Cichego. Ignorując wszystkich innych na swojej drodze, ponownie rzucił się na niego.

— WITAJ, BRACIE KRZYŚKU! — zawołał, atakując dokładnie w ten sam sposób, co wcześniej.

W tym czasie Szachraj, z twarzą obitą jak po meczu bokserskim, dotarł do Olbrzyma. — ...kurwa, jak to boli — przeklął, po czym zwrócił się do towarzysza z Armii. — Maciejewski, tu już nie ma na co czekać! Gdzie twoi ludzie? Gdzie Bandera-board?

Olbrzym rozejrział się po placu, jakby oczekiwał, że jego podkomendni magicznie się na nim pojawią. Gdy w końcu dotarło do niego, co się dzieje, natychmiast chwycił za krótkofalówkę. — Ręka! Do mnie, natychmiast!

— ... *w drodze!* — odpowiedział głos z radia.

Wtedy też Maciejewski poczuł, jak kula o włos przeleciała mu obok głowy. Okazało się, że Zjawa biegła w jego stronę, strzelając na oślep. Olbrzym bez zastanowienia cisnął radiem, które trzymał w ręku, prosto w twarz dziewczyny. Ta, nie spodziewając się zupełnie takiego zagrania, nie zdążyła nawet wykonać uniku i padła na kolana, z twarzą zalaną krwią.

Szachraj widząc ją, wykrzyczał głośno: — KURWA! — W tym samym momencie cały gruz zebrany dookoła mężczyzny, uniósł się do góry, lewitując jak małe balony z helem. — Nażryjcie się, pieprzone Wety! — krzyknął, a kamienie i resztki cegieł wystrzeliły jak z karabinu we wszystkie strony.

Zjawa wycierając twarz z krwi, zignorowała swój pierwotny cel i ruszyła teraz w stronę Szachraja, „przebłyskując” między kolejnymi falami kamieni. Mężczyzna cofnął się, podrywając z ziemi sterty gruzu i ewidentnie skupiając się teraz na Weterance. Ta w pewnym momencie nie zdążyła zsynchronizować kolejnego zniknięcia z nadlatującymi w jej stronę odłamkami. Trafiona boleśnie w bark, odbłysnęła na bok. Uzyskawszy przewagę, Szachraj nie odpuszczał i podrywając do góry coraz większe kawałki betonu, starał się dosięgnąć uciekającą teraz Zjawę.

Podczas tego starcia kolejny klon Cichego zaatakował Krzaka, ale obezwładniony przez Mike’a rozpadł się po chwili.

Krzak korzystając z chwili, zwrócił się do Dix: — Kuba przeszukuje cegielnię, musimy się utrzymać, zanim nie znajdzie ludzi z autobusu! — wyjaśnił, czekając na kolejny atak.

Liderka Defektu skinęła głową, ale nim zdążyła coś odpowiedzieć, nieludzki ryk zagłuszył wszystko na placu.

Bandera-board wyłonił się zza autobusu, zmierzając prosto w kierunku walczących. — Nie mogę przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz chodziłem wolno... — powiedział cicho, by już po chwili ryknąć zupełnie odmiennym głosem. — NAWET MARTWY, WCIĄŻ MOGĘ SŁUŻYĆ DANIELOWI!

Widok przerażającego tworu Armii sparaliżował wszystkich, którzy nie byli wmieszani w walkę. Ponad trzymetrowa istota nosiła mundur wielkości plandeki, a czerwona wstążka na jej ramieniu mogła spokojnie służyć za szalik. Krocząc powoli, wykrzykiwała spod motocyklowego hełmu kolejne dziwne sformułowania. — Dlaczego ja nie czuję, że idę... ŚMIERĆ WETERANOM!

Dix pobiegła natychmiast w stronę należącego do Armii potwora. Kurz, który poderwała w trakcie biegu, zaczął nienaturalnie wirować dookoła jej kostek.

Bandera-board dostrzegając nadbiegającą liderkę Defektu, wykonał zamach z szybkością, której nie sposób było się spodziewać po jego posturze. Uderzenie zostało przez chwilę zablokowane przez Dix, ale superżołnierz musiał przebić się przez błąd, którego użyła. Gdy tylko cios sięgnął dziewczyny, ta potoczyła się po ziemi.

— Już się nie boję Weteranów! DANIEL PROWADZI MĄ DŁOŃ! — zawołał Bandera-board, maszerując teraz w stronę grupy Grobelnych.

W tym samym czasie Olbrzym i Wilk odnaleźli się w ogólnym chaosie i stanęli w końcu naprzeciwko siebie. Obaj zostali odcięci od swoich kompanów przez Niewykształconych, którzy szukali na ślepo kolejnych ofiar.

Wilk upuścił pistolet, w którym zabrakło już kul i wyciągnął nóż, wołając groźnie: — Dzisiaj to skończymy, Maciejewski!

— Masz rację — odparł Olbrzym. — Dzisiaj umrzesz!

Mężczyźni nie czekając, rzucili się na siebie. Wilk zręcznie uniknął pierwszego ciosu Olbrzyma i przebiegając pod jego ramieniem, pociągnął mu ostrzem poniżej kamizelki. Draśnięty Maciejewski ryknął wściekle i łapiąc biegnącego Wilka za tył bluzy, szarpnął go jak szmacianą lalkę. Szeryf Krańcowa nie utrzymał równowagi i upadł na plecy. Olbrzym chciał go dobić potężnym kopniakiem w głowę, ale gdy do uderzenia zabrakło dosłownie sekund, w Maciejewskiego wparował Potłuk. Istota zamachnęła się swoim maczugowatym ciałem, trafiając go najpierw w bark, a potem w plecy. Rozwścieczony pchnął Potłuka z taką siłą, że istota praktycznie wykonała piruet. Wilk zdążył w międzyczasie poderwać się na równe nogi. Tnąc zamasyście po raz kolejny, pociągnął ostrzem po kamizelce Olbrzyma. Ten, nie przejmując się tym zupełnie, wymierzył mu podbródkowy. Szeryf Krańcowa dał krok do tyłu, wyraźnie zamroczony.

Podczas ich walki, Bandera-board rozbił jednym uderzeniem zgrupowanie Grobelnych. Potłuki natychmiast wbiły się między rozproszonych mężczyzn i rannych, których osłaniali. Najbliżsi Defektowcy ruszyli w ich stronę, chcąc ratować niezdolnych do walki towarzyszy.

Zjawa, która uwolniła się w końcu od ostrzału Szachraja, pojawiła się natychmiast pod nogami superżołnierza. Celując z pistoletu maszynowego, wystrzeliła cały magazynek w jego klatkę piersiową. Z ciała Bandera-boarda nie popłynęła jednak nawet kropla krwi.

Spojrzał on za to na dziewczynę, mówiąc swoim dwugłosem. — Przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałem... NIENAWIDZĘ CIĘ!

Superżołnierz wziął błyskawicznie zamach, ale Weteranka błysnęła do tyłu. Jego ogromna pięść rąbnęła w ziemię, a gdy zauważył, że spudłował, rozwścieczony podążył za nią.

Nie zwracając na to uwagi Wilk i Olbrzym ciągle toczyli nierozstrzygniętą walkę. Na ciele Maciejewskiego w wielu miejscach widać było cięcia od noża. Szeryf Krańcowa był z kolei tak poobijany, że jego twarz przypominała kolorem śliwkę.

Ostatni przebrani za Rękę Olbrzyma uciekali właśnie z placu. Szachraj zniknął ledwie chwilę wcześniej, gdy tylko Zjawa zaczęła walkę z Bandera-boardem. Kopie Cichego ciągle jeszcze pojawiały się w różnych miejscach, atakując losowych Weteranów, ale po nim samym nie było już nawet śladu.

— Przegrałeś, Maciejewski — wysapał Wilk, a z jego obitych warg prysnęła wymieszana ze śliną krew.

— Jeszcze tu stoję... — odwarknął Olbrzym.

Mężczyźni ruszyli na siebie, zbierając resztki sił. Zmęczony Maciejewski był dużo wolniejszy, więc Wilk bez trudu uniknął nadlatującego ciosu. Przebiegając pod wyciągniętą ręką Maciejewskiego, wykonał kolejne cięcie na jego przedramieniu. Olbrzym ryknął wściekle i łącząc ręce, rąbnął Wilka w plecy, przez co ten po raz kolejny upadł na ziemię.

W tym momencie do uszu obydwu mężczyzn dobiegł krzyk: — Ogień! Pali się!

Maciejewski rozejrzał się i dostrzegł ogromny słup dymu, wydobywający się od strony kryjówki jego żołnierzy. Wykorzystując jego roztargnienie, Wilk poderwał się z ziemi i wskoczył mu na plecy. Ostrze noża dotknęło brody Maciejewskiego, ale ten o dziwo zdążył jeszcze zareagować. Chwytny szeryfa Krańcowa za nadgarstek, uchronił się przed poderżnięciem gardła. Następnie zrobił coś, czego Wilk nie mógł się spodziewać. Olbrzym rozpędził się do tyłu i wyskakując w powietrze, z impetem rzucił się na plecy. Przygnięciony ciężarem mężczyzny Wilk, natychmiast wypuścił nóż oraz całe powietrze z płuc. Pozbawiony tchu, był już na skraju przytomności.

Podnosząc się, Maciejewski chwycił na wpół przytomnego Wilka za szyję. — Urwę ci ten kurewski łeb! — warknął, opluwając szeryfa Krańcowa krwią.

Wilk resztkami sił wbił paznokcie w ręce Olbrzyma, próbując rozluźnić uścisk na swojej krtani. Maciejewski spojrzał na niego pogardliwie. — Żałosne... — wysapał, podciągając go bliżej. — Nawet nie jesteś już w stanie odwlec tego, co od zawsze było nieuniknione...

Olbrzym złapał wolną ręką za brodę Wilka, po czym wykręcił jego głowę z niewyobrażalną siłą. Z karku mężczyzny dobiegł głośny chrobot, a jego bezwładne ciało wylało się na ziemię.

Nagle zarówno Weterani jak i Niewykształceni zamarli. Niewyobrazalny krzyk, który bez wątpienia był jakimś rodzajem błędu, po prostu rozdarł okolicę.

Maciejewski spojrzał w głąb placu, dostrzegając źródło tego wołania i jednocześnie jedynego człowieka dorównującego mu tutaj wzrostem. Szara

wpatrywała się w niego. Z jej oczu biła rżądza mordy, a jej włosy unosiły się jakby smagane wiatrem.

Olbrzym czuł, że kolejnego pojedynku już nie wygra. Ruszył biegiem w stronę przejścia, z którego nadbiegały Potłuki i przepychając się między Niewykształconymi, zaczął uciekać z cegielni.

Krzak dostrzegając to, ruszył natychmiast w pościg. Szara popędziła za nim.

Na placu pozostali już tylko nieliczni Niewykształceni, wrogowie Daniela oraz Bandera-board. Dix, która rozeznała się w sytuacji, wykrzyczała w stronę wolnych podkomendnych: — To prawie koniec! Musimy znaleźć Dziekiego i ludzi z Autobusu!

Kilku Defektowców rozbiegło się w różne strony, a tuż obok dziewczyny pojawił się Kuba. Mężczyzna był prawie przezroczysty, niczym meduza, ale jego ciało dość szybko zaczynało nabierać normalnego wyglądu. — Dix, stało się coś dziwnego! — zawołał, gdy tylko przybrał normalną postać. — Znalazłem miejsce, gdzie trzymali ludzi z autobusu, ale nikogo tam nie ma. Do tego, tam na skraju cegielni leży martwy oddział Armii! Z bronią i całym sprzętem...

Dix popatrzyła na niego zszokowana. — Szukaj dalej! Jeżeli ich stąd zabrali, nie możemy dopuścić, żeby wrócili do Strefy Głodu!

Kuba skinął głową i ponownie zrobił się przezroczysty, a po chwili całkiem zniknął. Sama Dix ruszyła pomóc Zjawie, bo ta była w tym momencie w ogromnych tarapatach. Bandera-board nie odstępował jej nawet na chwilę, wymierzając bez zmęczenia kolejne ciosy, z których każdy mógł bez problemu zgnieść człowieka, jak muchę.

Weteranka była u kresu sił. Nadużyła błędów do tego stopnia, że każde kolejne ich użycie mogło wpędzić ją w defekt. Mimo tego, ciągle odwracała uwagę potwora, z którym nikt oprócz niej nie chciał się do tej pory mierzyć. Finalnie, to jej fizyczne ciało okazało się słabsze niż Wola. Wycieńczona po kolejnym już z błyśnięć, padła na kolana, a Bandera-board zaciskał już pięść, gotów zmieść ją swoją siłą. Nim jednak potwór zdołał wyprowadzić cios, chmara pocisków pokryła całe jego ciało. Dix razem z kilkoma Defektowcami, ostrzeliwała potwora ze wszystkiego, co jeszcze mieli.

Bandera-board zatrzymał się, ale bez wzruszenia przyjmował kolejne pociski. — Nie jestem pewien, czy mogę umrzeć po raz drugi... — stwierdził chłodno, wyrzaskując po chwili: — TO ONI UMRĄ!

Dix doskoczyła do Zjawy, odciągając ją na bok. — Jesteś na granicy! Uciekaj!

Zjawa pokręciła jednak głową. — Dajcie mi tylko chwilę...

Liderka Defektu oparła Weterankę o płot. W tym czasie Bandera-board ruszył w stronę ostrzeliwujących go ludzi. — Tam jest tylko ciemność, pamiętam tylko ciemność... DANIEL JEST MOIM ŚWIATŁEM! — wykrzykiwało monstrum, niestrudzenie atakując kolejnych ludzi.

Ci, którym nie udało się uniknąć uderzenia, odlatywali jakby trafił w nich rozpędzony samochód.

Zjawa stała przy płocie, próbując ze wszystkich sił zebrać się w sobie. — Dlaczego nie wraca, dlaczego właśnie teraz nie wraca? Przypomnij sobie... przypomnij, jak cię zostawili, Iskierka... tak na ciebie mówił! Byłaś jego światłem, promyczkiem, a potem po prostu zostawił... Zostawił na śmierć! PIERDOL SIĘ, LANCE!

Weteranka wyskoczyła przed walczących, trzęsąc się ze złości. — Nawet go tu kurwa nie ma! Jebany tchórz, któremu znowu się upieczę! Który nie przyszedł walczyć dla wspólnej sprawy! NIE MA CHOLERNEJ SPRAWIEDLIWOŚCI!

Bandera-board zatrzymał się, przyglądając zbliżającej się dziewczynie. — Dlaczego znowu próbujesz, nie powinnaś już walczyć! — stwierdził, dodając po chwili: — JESTEŚ NICZYM!

— NIE! TO TY BĘDZIESZ NICZYM! — krzyknęła Zjawa.

Znowu błysnęło. Tym razem jednak Weteranka pojawiła się kilka metrów nad ziemią, tuż naprzeciw twarzy superżołnierza. Nim grawitacja zdążyła pociągnąć ją na dół, wbiła pistolet w głowę istoty, rozbijając szybę jego kasku. Zanim opadła, zdążyła jeszcze nacisnąć spust. Po strzale, Bandera-board rzucił się z wrzaskiem do tyłu.

Najwidoczniej ukryta pod osłoną głowa była jego jedynym słabym punktem. Miotając się, superżołnierz potknął się o trupy Potłuków i przebijając się przez ogrodzenie, padł w końcu na ziemię. — Znowu robi się ciemno. Znowu słyszę ten gwizd. Znowu robi się ciemno... BOJĘ SIĘ... — superżołnierz wyzionął w końcu ducha. Nikt jednak nie wiwatował. Wszyscy spoglądali na dziurę w płocie, za którą, jak sparaliżowany, stał Dziki w towarzystwie Pierwszego.



Rozdział XIII

Pojedynek

Stojący przy starym garażu wywrotek żołnierz prawdziwej Ręki Olbrzyma zeszytywniał, słysząc zbliżające się kroki. Szybko otrząsnął się z zaskoczenia i oparł karabin na barku, przygotowując się do strzału, ale nim ktokolwiek wszedł w pole jego celownika, usłyszał wołanie dobiegające zza pobliskich ruin: — Opuść broń Poleć, to ja!

— A to mi daję jakiś powód, żeby tę broń opuścić?! — odwarknął mężczyzna.

W międzyczasie na drogę wyszedł kolejny żołnierz z oddziału Olbrzyma, wznosząc ręce do góry. — Przestań się wkurwiać i posłuchaj mnie! — zawołał niepewnym głosem. — Doszliśmy z chłopakami do wniosku, że to jednak było nieuczciwe, że jedna osoba dostaje taką szansę... Powinniśmy wszyscy...

Przybyłszy nie zdążył podzielić się tym co zostało ustalone, bo Poleć przerwał mu momentalnie. — JAKIE KURWA NIEUCZCIWE! — krzyknął rozwścieczony. — Jak ustaliliśmy, że kto wygra losowanie ten pilnuje zakładników, to wszyscy przyklasnęli! A jak się okazało, że to JA wygrałem, to już piszczycie, że nieuczciwe! Wypieprzaj stąd! I przy okazji powiedz tym fiutom z oddziału, że zastrzelę następnego, który tu przylezie. W dupie mam, co będzie o tym myślał Maciejewski!

Przybyły żołnierz stał jeszcze przez chwilę, ale gdy jego towarzysz naprężył się przyciskając szczerbinkę do oka, wycofał się powoli, wciąż nie opuszczając rąk.

— Ja wygrałem. Ja pilnuję... — mruknął do siebie Poleć, odkładając broń. Gdy tylko upewnił się, że został już sam, sięgnął natychmiast do kieszeni po małą piersiówkę. — Za niebywale szczęście! — wznosił toast, ale nim zdążył złapać choćby łyk, usłyszał ponownie, że ktoś się zbliża. — CO JA DO KURWY NĘDZY MÓWIŁEM?! — wrzasnął, podnosząc broń.

Mierzył przez chwilę w pustą drogę, a odgłosy kroków rozbijały się echem po ścianach okolicznych ruin, tak że trudno było zlokalizować ich źródło. — Co się do cholery dzieje? — wysapał Poleć, obracając się nerwowo z karabinem gotowym do strzału.

Kroki stawały się coraz głośniejsze, a przez echo wydawało się, jakby ze wszystkich stron nadbiegały tabuny ludzi.

— PRZESTAŃCIE, TO NIE JEST ŚMIESZNE! BĘDĘ STRZELAŁ! — zagroził Połec, mierząc chaotycznie w różne strony. Nagle odgłosy zupełnie ucichły. — Co do cholery... — wydyszał zdziwiony. W tym momencie z jego krótkofalówki wydobył się piskliwy przenikliwy dźwięk. — Kurwa mać! — krzyknął, zasłaniając odruchowo uszy. Po kilku sekundach oprzytomniał i wyłączył radio przy pasku. Na placu znowu zrobiło się cicho.

Zaferowany tymi dziwactwami nie zauważył, jak tuż za jego plecami pojawiła się czarna sylwetka. Pierwszy wyprostował się za strażnikiem. Odgłos ciężkiego oddechu przedostał się przez filtry w jego masce. Do Połecia natychmiast dotarło, że ktoś za nim stoi. Nim jednak zdążył zareagować, mężczyzna chwycił go od tyłu, dusząc przedramieniem.

Żołnierz spróbował się wyrwać, ale Pierwszy okazał się dla niego zbyt silny. Po chwili szamotaniny, osunął się nieprzytomny na ziemię.

— Za niebywałe szczęście... — zacytował go Pierwszy, po czym zaczął ograbiać z broni i amunicji.

Gdy przejął już wszystko co użyteczne, zbliżył się do garażu, przy którym żołnierz pełnił wartę. Podchodząc do wrót, usłyszał przyciszone rozmowy uwięzionych w środku ludzi. Na jego szczęście wejście zabezpieczone było tylko łańcuchem i wbitym w niego stalowym prętem. Bez trudu wyciągnął klin, a trzeszczący łańcuch zsunął mu się pod nogi. W tym samym momencie rozmowy we wnętrzu garażu umilkły.

* * *

Dziki spojrzał przerażony w stronę otwierających się wrót. Snop światła wlał się do ciemnego pomieszczenia, a jego serce zadrżało z nerwów. Czy było już po wszystkim? Weterani przegrali? Jeżeli tak, to jaki los ich teraz czeka?

Wszyscy mieszkańcy ścisnęli się bliżej siebie, wyraźnie przestraszeni. Dziki wyszedł na przód grupy, chociaż w obecnej sytuacji i tak niewiele mógłby zrobić.

Niespodziewanie zamiast kogoś z Ręki Olbrzyma albo chociaż Weteranów, dostrzegł postać Pierwszego. — Ty...Tutaj? — wydukał, spoglądając zszokowany na mężczyznę.

Oli, która stała tuż za nim, wyjrzała przez jego ramię i po chwili ze świsem nabrała powietrze. — Boże, Dziki. To Pierwszy, prawda? To jest Pierwszy?! — zawołała dziewczyna.

Mieszkańcy autobusu wlepili z niedowierzaniem wzrok w przybysza, a sam Pierwszy wyraźnie zmieszany, skupił się na Dzikim. — Nie byłem pewien, czy Daniel dotrzyma obietnicy danej komuś, kogo nie uważa — wyjaśnił. — Dlatego postanowiłem nie dawać mu okazji do jej złamania. Strażnik, który was pilnował, długo się nie podniesie. Jak wyjdziecie stąd, to po lewej stronie są pozostałości po przenośniku taśmowym. Idąc wzdłuż niego, dojdziecie do starych glinianek, z któ-

rych możecie uciec prosto na osiedle Korczaka. Droga jest bezpieczna, sprawdziłem... — mimo to podał Dzikemu karabin. — Gdyby jednak coś poszło nie tak...

Na widok tej sceny mieszkańcom autobusu odjęło po prostu mowę. Ulga mieszała się na ich twarzach z szokiem, wywołanym nagłym pojawieniem się Pierwszego. Oli otrząsnęła się błyskawicznie i spoglądając na ich wybawiciela z wdzięcznością, wyciągnęła już ręce idąc w jego stronę.

Pierwszy widząc to, odskoczył na bok jak oparzony. — Co ty robisz? — fuknął, spoglądając na dziewczynę przez szkła w masce.

— Chciałam... Chciałam tylko podziękować... — odpowiedziała, wyraźnie zawstydzona i zszokowana.

To był chyba pierwszy raz, gdy ktoś dał odpór czułości z jej strony.

Dziki odciągnął ją na bok. — Daj mu spokój, Oli — poprosił. — On ma swoje dziwactwa, które trzeba zaakceptować — wyjaśnił, skupiając ponownie wzrok na ich wybawicielu. — Nigdy nie zdołam ci się odplacić, za to, co dla mnie zrobiłeś.

— Niczego nie potrzebuję — odparł natychmiast Pierwszy.

— Wiem, wiem... — westchnął Dziki.

Racjonalizowanie Pierwszego było dla niego tak trudne, że nie wiedział nawet jak ma wyrazić to, co czuje. — Cholera, tak ciężko z tobą rozmawiać w kwestii jakiegokolwiek wdzięczności — stwierdził w końcu.

Pierwszy przyglądał się jeszcze przez chwilę zgromadzonym, zatrzymując po raz ostatni wzrok na Oli, która wyglądała teraz na naprawdę zakłopotaną. — Nie traćcie czasu! — ponaglił ich. — Nie wiem co teraz dzieje się na placu, ale ktoś w końcu zauważy, że was nie ma. Dodatkowo są tu Szachraj i Cichy. Obaj dobrze posługują się błędami. Lepiej żebyście się na nich nie natknęli — przestrzegł, odwracając się w stronę wyjścia. — Powodzenia, Dziki. Nie zmarnuj kolejnej szansy, którą ci dałem...

Nim jednak mężczyzna zdążył opuścić garaż, Dziki zatrzymał go, łapiąc za bark. — Przepraszam... — zaczął, opuszczając wzrok. — Wiem, że nie mam prawa prosić cię o nic więcej, ale...

Pierwszy przerwał mu natychmiast. — Droga jest bezpieczna! Masz broń! Poradzisz sobie z pojedynczym Niewykształconym...

Dziki pokręcił głową. — Nie o to chodzi... Posłuchaj! — zawołał, chwytając Pierwszego za kamizelkę kuloodporną. — Na Weteranów i wszystkich, którzy przyjdą na plac zastawiona jest pułapka! — zaczął tłumaczyć. — Najpierw puszczą na nich hordę Niewykształconych, a gdy zwiążą się walką, Ręka Olbrzyma z zaskoczenia wystrzela wszystkich jak kaczki. Musimy ich ostrzec!

Pierwszy strącił jego ręce i pochylił się nad nim tak, że bez trudu dostrzegł w wizjerach jego wściekle spojrzenie. — To nie moja sprawa... — wycedził.

Dziki wciąż nie zrezygnował, ponownie chwytając za kamizelkę Pierwszego. — Ja wiem, że nie obchodzi cię los Weteranów. Ja wiem, że tobie nikt

nie pomógł! Ja wiem, że może tam być Dix, która chce twojej śmierci — w tym momencie, język uwiązał mu przez chwilę w gardle. Jak w ogóle miał w tej sytuacji, przekonać mężczyznę do pomocy. — Ale są tam też moi przyjaciele! — zawołał w końcu. — Dobrzy ludzie, którzy przyszli tu z tego samego powodu, co ty! Błagam, pomóż mi!

Pierwszy spoglądał przez dłuższy moment na Dzikiego. Choć ten nie widział jego twarzy, czuł, że w mężczyźnie wzbiera złość. — Jakie to wszystko typowe... — prychnął. — Uratowałem ci życie raz! Potem przyszedłem uratować drugi! A teraz ratuję trzeci! A ty ciągle chcesz więcej... — zawołał wyraźnie rozgniewany. — I co teraz? Kim dla ciebie będę, jeśli ci nie pomogę? Czy dalej będziesz próbował nazywać mnie swoim kompanem? — spytał retorycznie. — Zasady ze Starego Świata się nie zmieniły! — westchnął, kręcąc głową. — Pomóż komuś milion razy i będzie wszystko dobrze, ale odmów pomocy raz i to, co zrobiłeś, natychmiast pójdzie w zapomnienie...

— Nieprawda! — zawołał Dzik, wchodząc mężczyźnie w słowo. — Dla mnie nie pójdzie. Nieważne czy teraz mi pomożesz, czy nie! Już zawsze będziesz dla mnie jak przyjaciel. Choć nie zamieniliśmy zbyt wielu słów. Choć podróżowaliśmy ze sobą krótko, jesteś dla mnie ważniejszy niż wielu innych ludzi, których poznałem!

Pierwszy wyrwał się Dzikiemu, cofając o krok. Ten jednak zbliżył się do niego, nie przerywając. — Nie wiedziałem tego od początku! Bo ukrywasz to naprawdę dobrze. Za tą maską, za sztucznym chłodem, za udawaną ignorancją. Jesteś dobrym, wrażliwym człowiekiem...

— NIE MASZ POJĘCIA, KIM JESTEM! — ryknął Pierwszy i zaciskając pięść, rąbnął Dzikiego w brzuch.

Ten padł natychmiast na kolana pozbawiony tchu. Oli doskoczyła do niego, ale Dzik odsunął ją i niestrudzenie przekonywał. — To TY NIE WIESZ! Albo się tego wypierasz! Boisz się, że ludzie dowiedzą się prawdy... Prawdy, że uciekłeś ze Strefy Głodu, bo nie potrafiłeś znieść tego, co się tam dzieje! Mimo że Daniel tak pięknie ubiera to w słowa. Prawdy, że pomogłeś mi, bo potrafiłeś wczuć się w moją sytuację, gdy ścigał mnie Delimer! Prawdy, że nie jesteś potworem i dzikusem jakiego udajesz! — Dzik podniósł się na drżących nogach i nagle coś nim wewnętrznie wstrząsnęło. Chociaż często się nad tym zastanawiał, to dopiero teraz zrozumiał naprawdę, że Pierwszy zrobił już dla niego tak wiele. Dotarło do niego, że właśnie postępuje jak najgorszy możliwy sukinsyn, żerując na jego dobroci. Zrozumiał, że bez względu na sytuację, nie tylko nie ma prawa prosić go o nic więcej, ale robiąc to, staje się po prostu ludzkim pasożytem. — Co do jednego masz rację. To ja nie zachowałem się jak przyjaciel — stwierdził w końcu. — Tylko jak dupek i egoista, bo po raz kolejny chciałem zaryzykować twoim życiem, przez powinność, jaką sam czuję. Nie potrafię zostawić Weteranów na placu, ale nie mam też prawa wymagać tego samego od

ciebie. Jeśli tylko mógłbym cię o coś poprosić, odprowadź ludzi z autobusu na Korczyn. Sam mówiłeś, że droga jest bezpieczna. Ja muszę iść na plac...

Dzik ruszył, wyrывая się z rąk Oli. Dziewczyna nawet nie próbowała go powstrzymać, świadoma zapewne, jak bardzo było to dla niego ważne.

Mijając Pierwszego, przekroczył bramę i miał już podążyć drogą, gdy nagle mężczyzna zawołał za nim. — Nie dasz rady ich ostrzec. Nic nie zmienisz! Plac w tym momencie to jeden wielki chaos. Większość fałszywej Ręki już dawno uciekła, a Weterani i ludzie z Defektu są rozdzieleni w walce z Nie-wykształconymi. Nie dadzą rady się wycofać, choćby chcieli. Jedyne sposoby w jaki można im pomóc, to zatrzymać prawdziwą Rękę Olbrzyma tutaj...

Słyszając to, Oli dobiegła do Dzikiego i złapała go za kurtkę. — Nawet o tym nie myśl! Ich jest cała banda! Uzbrojona po zęby... — zawołała ze łzami w oczach.

— Oli, wiesz, że muszę — odparł. — Idźcie razem z Pierwszym. Gdy już będziecie na Korczynie, znajdźcie barak z zielonymi drzwiami. Poczekaście na mnie w drugim mieszkaniu po lewej stronie. Jak już tam będziecie, to pod łóżkiem w pokoju Dix schowała kiedyś karabin. Użyjcie go w razie potrzeby.

— A jeśli nie wrócisz? Jeśli coś ci się stanie? — zawołała dziewczyna, ciągle trzymając go w miejscu.

— Wróci... — wtrącił Pierwszy. — Pójdę z nim...

Oli popatrzyła niepewnie na mężczyznę, po czym ponownie spróbowała się w niego wtulić. Ten jednak zatrzymał ją ręką, drugą wyciągając pistolet ze swojego paska. — Lepiej zrobisz biorąc to. Chyba brat nauczył cię jak się strzela?

Zszokowana Oli skinęła głową, biorąc broń z dłoni Pierwszego. — Dam radę... Odprowadzę ich... — zadeklarowała, odbezpieczając pistolet.

— Uważajcie na Klucza! — poprosił Dzik. — Będę się śpieszył...

Oli podeszła do niego, całując w policzek na pożegnanie. — Uważajcie na siebie... — poprosiła.

* * *

Grupa z Autobusu uciekła wzdłuż dawnej suwnicy, a Dzik razem z Pierwszym ruszyli w stronę ruin pomieszczeń administracji, przekradając się przez gruzy i wyschnięte krzaki.

Już z oddali dobiegły do nich wzburzone krzyki. Gdy tylko zbliżyli się do budynku, usłyszeli jak z dziur po oknach wydobywają się niezliczone wręcz pomsty — ...Powinien iść tam z nami! Busiarze się przecież nie rozplyną zamknięci w garażu! Mówię wam, nim to wszystko się skończy, zabłąkana kula trafi go w plecy!

Pierwszy ignorując to, wskazał na wejście budynku. Tuż przy wyłamanych drzwiach stała ogromna wojskowa skrzynia, w której równym rzędem

ułożone były koktajle mołotowa. Dziki od razu pomyślał, że za ich pomocą Ręka Olbrzyma chciała zablokować wyjście z placu. Na schodach tuż obok zapasów siedział żołnierz w piaskowym mundurze, leniwie obserwując okolicę.

Pierwszy dał Dziakiemu znak, żeby zaczekał, a sam ruszył do przodu wychodząc niebezpiecznie na drogę. W tym momencie, wydarzył się jeden z fenomenów, których Dziki nie był w stanie zrozumieć. Żołnierz poderwał się najpierw, jakby dostrzegł Pierwszego. Zamiast jednak wycelować w jego stronę albo wezwać pomoc, wybiegł na środek drogi i zaczął rozglądać się po najbliższych budynkach. Po jakiejś sekundzie chwycił za radio, ale z głośnika wydobył się tak piskliwy dźwięk, że nawet stojący w oddali Dziki zasłonił uszy. Żołnierz upuścił krótkofalówkę na ziemię, a tuż za jego plecami przekradł się Pierwszy. Momentalnie chwycił on mężczyznę od tyłu i dusząc, pozbawił go przytomności.

Dziki nie miał wątpliwości, że był właśnie świadkiem działania jakiegoś błędu. Przypominało mu to trochę „wygłuszanie” Szarej. Z tym wyjątkiem, że członek Ręki Olbrzyma nie tylko nie słyszał, ale również nie widział Pierwszego.

Gdy wartownik był już obezwładniony, Pierwszy zbliżył się do skrzyni z koktajlami. Z oddali dał znak Dziakiemu, by przygotował broń, a sam wyciągnął z kieszeni zapalniczkę. Przypalając wystającą z butelki szmatę, przykleił się do ściany budynku i cisnął koktajlem w okno, z którego dobiegały rozmowy. Już po sekundzie ze środka buchnął ogień i wydobył się niewyobrażalny wręcz wrzask. Jakiś mężczyzna, cały pokryty płomieniami, spróbował wyskoczyć na zewnątrz stając na parapecie. Dziki pociągnął serią z karabinu, zabijając go prawie natychmiast. Na widok upadającego, płonącego ciała poczuł, jak ręka zaczyna mu drgać z nerwów. Nie był to jedyny człowiek, którego pozbawił życia, ale to wciąż było dla niego okropne i ciężkie do przetrwania uczucie.

W tym czasie Pierwszy cisnął kolejnym koktajlem, tym razem celując w główne drzwi. Ze środka budynku wciąż dobiegały wrzaski.

Inny z członków Ręki Olbrzyma wychylił się przez okno na piętrze. Tam ogień jeszcze nie dotarł, więc mierząc z broni, próbował zlokalizować tego, kto zgutował im piekło na parterze.

Dziki był już przygotowany i opanowując drżącą dłoń, wystrzelił po raz kolejny. Ciągnąc serią po murze i oknie, trafił żołnierza, a ten wypadł przez winkel. Jego martwe ciało runęło tuż obok Pierwszego.

Krzyki dochodzące z budynku niespodziewanie ustały. Nikt też nie próbował wydostać się ze środka. Niemniej ogień zaczynał trawić coraz większą część parteru, a płomienie pojawiały się w kolejnych oknach. Pierwszy wyciągnął pistolet i dał znać Dziakiemu, by ten się zbliżył.

Dziki posłusznie ruszył w stronę kompana, gdy nagle z tyłu budynku wybiegło trzech żołnierzy z bronią w pogotowiu. Seria pocisków niemal natychmiast poleciała w jego stronę. Zaskoczony, nie zdążył nawet pożegnać się

z życiem, ale nim śmierć wyciągnęła po niego ręce, tuż przed nim pojawił się Pierwszy zasłaniając go jak tarcza. Kule poddane działaniu błędu zmieniły tor lotu, trafiając w pobliską ścianę. W międzyczasie atakujący spojrzeli z niedowierzaniem na swoje karabiny. Nie czekając aż ich szok minie, Dziki wystrzelił ciągłym ogniem, aż wszyscy runęli na ziemię. Niestety z Pierwszym również stało się coś złego, bo zachwiał się i upadł.

Przestraszony Dziki zarzucił karabin na plecy i dopadł do dyszącego ciężko kompana. Szamocząc się z paskami na głowie mężczyzny, spróbował ściągnąć mu maskę z twarzy. Nagle Pierwszy ocknął się. Z tej odległości Dziki dostrzegł przez wizjery jego przerażone oczy. Tuż za nimi wyrósł, jak znikąd kolejny żołnierz Ręki Olbrzyma, przykładając Dziakiemu lufę do potylicy. — Za Daniela... — powiedział, spluwając na ziemię.

Następne wydarzenia rozegrały się w przeciągu sekundy. Pierwszy błyskawicznie wyrzucił rękę do przodu, a okolicę wypełnił głuchy huk. Dziki poczuł jak jego plecy robią się mokre. Sięgając do tyłu, dotknął czegoś lepkiego na swojej kamizelce. Spoglądając po chwili na palce, zobaczył krew. Gdy odwrócił się, po żołnierzu Daniela nie było śladu, za to cała okolica skąpana była w czerwonej mgle. Nagle Pierwszym po prostu rzuciło, jakby dostał ataku padaczki. Przerażony Dziki z ledwością utrzymał go w miejscu. — Co się dzieje Pierwszy?! Pierwszy!

Mężczyzna wyrwał mu się z rąk i potoczył pod mur. Tam zszarpał z głowy maskę, wyrывая sobie przy tym pęk włosów. — MOJA TWARZ! CO Z MOJĄ TWARZĄ?! — zawołał, spoglądając się na swoje drżące ręce.

Dziki doskoczył do niego. Mężczyzna wyglądał okropnie, jakby nie spał co najmniej tydzień. Był jednak całkiem wyraźny. — Wszystko w porządku. Jest ok! Nie rozmyślesz się! — zawołał, próbując uspokoić kompana.

Pierwszy schował twarz w dłoniach, a Dziki pobiegł po pistolet, który mężczyzna upuścił podczas ataku. Z bronią w ręku rozejrzał się po placu, ale nikogo więcej nie dostrzegł. Z kolei płomienie pochłaniały już cały budynek administracji.

Gdy Dziki wracał do Pierwszego, na ciele jednego z martwych żołnierzy zatrzeszczało przepięte do paska radio. — *Ręka! Do mnie, natychmiast!* — odezwał się głos Maciejewskiego.

Dziki, podnosząc krótkofalówkę, odpowiedział krótkie: — ...w drodze — po czym ruszył do opartego o ścianę budynku kompana. Pierwszy wciąż dyszał ciężko, a jego ręce drżały.

— Co się dzieje? Jak ci pomóc? — spytał, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny.

— Już nic. Już jest dobrze... — odpowiedział Pierwszy, wciągając z powrotem maskę gazową.

— Ale co się stało? — dopytywał wciąż zaniepokojony Dziki.

— Nie mogę z pomocą błędów ratować innych. To nie jest zgodne z moją Pierwotną Wolą. Osłabi mnie to, a potem rozmyje... — odpowiedział, podnosząc się powoli.

Dziki pomógł Pierwszemu wyprostować się na nogach. — Przecież już raz to zrobiłeś — stwierdził zaskoczony. — Zasłoniłeś mnie, wtedy przed granatem i nie zareagowałeś tak, jak teraz...

Pierwszy pokręcił głową. — To co innego. Wtedy też byłem w polu rażenia... Naciągnąłem to, bo niby stanąłem przed tobą, ale i tak musiałem ratować siebie. Tutaj, ci trzej strzelali w twoją stronę, ten który pojawił się później, celował w twój kark. Nie we mnie...

— No właśnie! — zawołał natychmiast Dziki. — Gdzie ten żołnierz? Co się z nim stało?

— Zniszczyłem go... — odparł smętnie Pierwszy.

— Jak to zniszczyłeś? — dopytał zszokowany Dziki. — To gdzie jego ciało?

— Wszędzie i nigdzie... — odpowiedział mężczyzna. — Został z niego pył...

W tym momencie Dziki zrozumiał, co poczuł na swoich plecach i prawie natychmiast zebrało mu się na mdłości. Pierwszy nie dając mu chwili na złapanie oddechu, zaczął człapać w kierunku ciał pod budynkiem. — Jeśli ktoś z Ręki jeszcze żyje, to już i tak pewnie ucieka. Odprowadzę cię do Korczyna, a potem znikam...

— Nie — zaprotestował na Dziki. — Chcę iść na plac. Muszę zobaczyć, co z Weteranami...

— Ech — westchnął Pierwszy. — To podprowadzę cię jak najbliżej — stwierdził i zabrał martwym amunicję.

Dozbrojeni, ruszyli wzdłuż betonowej ściany, mijając stary parking dla pracowników biura. Przez dziurę w ogrodzeniu weszli na tereny składowania. Zza następnego płotu dobiegały już strzały i krzyki. Dziki dostrzegł też dach piętrusa. — Ciągłe walczą... — stwierdził. W tym czasie Pierwszy wyciągnął dłoń i wskazał palcem w głąb drogi. Z dawnego parku maszynowego wylewała się gromada Potłuków. Ślepe istoty maszerowały ściągane prawem trzech, prosto na plac.

— Cholera, nie damy rady ich zatrzymać... — zaczął Dziki, gdy nagle usłyszał niewyobrażalny pisk. Odruchowo zasłonił uszy, ale ku przerażeniu zrozumiał, że ten dźwięk nie pochodzi z zewnątrz, lecz wydobywa się z jego wnętrza. Czuł, że zaraz rozedrą mu się płuca. Padł na kolana ze łzami w oczach, słysząc nieskończenie narastający hałas. Dźwięk tak samo nagle jak się pojawił, zniknął błyskawicznie, pozostawiając po sobie tylko ciche buczenie. — Co to było? — spytał Pierwszego.

— Błąd... — odpowiedział mężczyzna, uderzając w swoje uszy otwartymi dłońmi. — Wydaje mi się, że to ta dziewczyna Wilka... — dodał po chwili.

W tym samym momencie z placu wybiegł Maciejewski. Jego Olbrzymia postać przedarła się przez biegnące drogą pojedyncze Potłuki, taranując je ni-

czym pacholki drogowe. Chwilę po nim, z placu wypadła Szara w towarzystwie Krzaka i jakiegoś Weterana.

— Tam jest! — krzyknął dawny lider Wspólnoty, wskazując na uciekającego Olbrzymia.

Gromada ruszyła za nim w pościg, nie zważając na stojących w bocznej drodze Pierwszego i Dzikiego.

— Wygląda na to, że Maciejewski przegrał... — stwierdził mężczyzna w masce. — W takim razie, nic tu już po mnie. Dziki, nie pakuj się więcej w kłopoty — dodał.

Ten spojrział na swojego wybawcę. — Uwierz mi, będę się sta... — przerwał jednak, dostrzegając, jak coś dziwnego się do nich zbliża.

Wyglądało to jak falowanie powietrza nad rozgrzanym asfaltem, tylko że na dużo mniejszej powierzchni. Tajemnicze zjawisko ewidentnie kierowało się w ich stronę, przyciągając również uwagę Pierwszego, który natychmiast chwycił za pistolet. Wtedy tuż obok nich odezwał się głos Kuby. — To ja, spokojnie... — niemal natychmiast falujące powietrze zgęstniało, a sylwetka mężczyzny pojawiła się jak znikąd. — Dziki, gdzie Oli? Co z naszymi?! — zawołał lider autobusu, chwytając go za barki.

— Wszystko w porządku! Uciekli już z cegielni — uspokoił go Dziki. — Pierwszy nam pomógł... — dodał, ale nie zdążył wdać się w szczegóły.

Zszokowany Kuba, spojrział na postać w masce gazowej, jakby dopiero teraz ją dostrzegł. — Pierwszy... — syknął wyraźnie złękniiony.

— Kopę lat, Trzeci... — przywitał się mężczyzna.

Kuba słysząc go, wykonał jakiś dziwny gest na skraju powitania i nerwowego machania ręką, cofając się jednocześnie. Pierwszy nie skomentował tego, natychmiast odwracając wzrok od mężczyzny. — Widzę, że od czasów Zakładów Chemicznych, udało ci się dopracować swoją sztuczkę...

— Ta sprawa z zakładami... — zaczął niezgrabnie Kuba. — Wiem, że wciąż możesz mieć mi za złe...

Pierwszy uciszył go gestem, nie dając dokończyć tłumaczeń. — Przyszedłem tu pomóc Dzikiemu, a nie szukać zemsty, albo słuchać bezsensownych przeprosin.

— Jasne... — powiedział Kuba, przełykając nerwowo ślinę i spoglądając na Dzikiego. — Gdzie dokładnie są nasi? — spytał.

— Kazałem im ukryć się na Korczaku — odpowiedział.

Kuba podrapał się po brodzie. — Nie ma teraz szans na zabranie stąd autobusu — stwierdził. — Wrócimy na razie do naszych, a ja przekradnę się tutaj z powrotem, gdy już trochę przycichnie...

Gdy Kuba obmyślał swój plan, Dziki usłyszał jakieś wyraźne poruszenie. Ogromna sylwetka mignęła nad ogrodzeniem i nagle betonowy mur oddzielający ich od placu, roztrzaskała upadająca postać Bandera-boarda.

Dogorywający potwór, wydyszał. — Znowu robi się ciemno. Znowu słyszę ten gwizd. Znowu robi się ciemno... BOJĘ SIĘ...

Przez dziurę w płocie zrobioną przez Bandera-boarda, w ich stronę wpatrywali się Weterani i Defektowcy. Po niewyobrażalnie długiej chwili, w trakcie której nawet powietrze zdawało się nie poruszać, Dix przebiegła przez tłum. — Dziki! — zawołała ze łzami w oczach, rzucając mu się na szyję. — Boże, jak dobrze, że nic ci nie jest!

Dziki był w tym momencie tak zmieszany, jak jeszcze nigdy. Z jednej strony czuł niewyobrażalną ulgę widząc, że jego ukochanej nic się nie stało, z drugiej przeraziło go to, co stanie się, gdy dziewczyna zorientuje się, kto stoi tuż obok. Odruchowo przycisnął ją więc do siebie, licząc że Pierwszy ucieknie, nim ta się zorientuje.

Mężczyzna wyczuwając jego intencje, zrobił niepewny krok do tyłu, został jednak natychmiast zauważony przez przechodzących dziurą Weteranów. — Widzisz tego gościa? To możliwe... Nie, to musi być inny Weteran w masce gazowej... Co on by tutaj robił...? Przecież to nie może być... PIERWSZY!

Gdy padło ostatnie słowo, Dix w ramionach Dzikiego zeszytniała. Poczł, jak jej uścisk słabnie, ale on sam przycisnął ją mocniej, nie pozwalając odejść. — Niezależnie od tego, co o nim myślisz, ten człowiek uratował mi życie — wyszeptał jej do ucha. — Nie raz, nie dwa, a nawet trzy razy. Pomógł mi powstrzymać Rękę Olbrzyma przed rzuceniem się na was na placu. Dix, nie możesz tego wszystkiego olać...

Dziewczyna wyrwała się w końcu z jego objęć, spoglądając na niego tym samym chłodnym, przerażającym spojrzeniem, którego zawsze tak się bał.

W międzyczasie Defektowcy dobiegli do nich, otaczając całą trójkę ciasnym kręgiem. Kuba jakimś cudem zdołał się ulotnić, nim ktokolwiek zwrócił na niego uwagę. Zaciekawieni Weterani przyszlizli zaraz za Defektowcami nadstawiając uszu.

Pierwszy zacisnął nerwowo pięści, a Dix stanęła naprzeciwko niego. — Zdejmij maskę! — zażądała. — Nie będę mówić do kawałka gumy.

O dziwo mężczyzna posłuchał i już po chwili ukazał swoją zmęczoną twarz. Dix widząc ją zamknęła oczy, a Dziki wyczuł, że toczy ze sobą naprawdę ciężką walkę. Do jego uszu dobiegły natychmiast szepty otaczających ich Weteranów. — To ma być Pierwszy? Wygląda jakby był chory... Myślałem, że on jest bardziej... no wiecie... to nie może być on...

— Pierwszy... — zaczęła Dix, wyraźnie siłąc się na spokój. — Dziki ma rację. Nie mogę zbagatelizować tego, że uratowałeś mu życie. I to nie raz... Nie wiem, czy taki miałeś zamiar. Czy liczyłeś na to, że sobie odpuszczę. Że znajdziesz w tym odkupienie... Nie wiem, ale stało się...

W tym momencie Dziki wstrzymał oddech. Czyżby dziewczyna w końcu zrezygnowała? Czy może jego marzenia w końcu się urzeczywistnią. Będą

mogli być razem, bez tej chorej sytuacji, jaka ciągle dookoła nich się tworzyła. Prawie nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, ale następne słowa, które usłyszał były dla niego jak kubel zimnej wody.

— Mimo to, nie mogę ci wybaczyć! — zawołała Dix, coraz bardziej wściekła. — Nie potrafię też zapomnieć. Jedyne co mogę zrobić, to zaproponować ci uczciwy pojedynek. Ty i ja... Sam na sam. Tu i teraz. Obydwoje jesteśmy zmęczeni. Z tego, co widzę, obydwójce nadużyliśmy błędów... Rozwiążmy to i skończmy wreszcie...

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Byli przecież po stronie wroga, w miejscu, gdzie mogło być jeszcze pełno potworów. Na placu leżeli ranni Weterani i Defektowcy, którzy wymagali pomocy. Jakim cudem Dix nie potrafiła odłożyć zemsty na bok? Dlaczego nie mogła pomyśleć o tym trzeźwo. — Dix! To naprawdę nie jest moment na takie rzeczy... — wtrącił, łapiąc ją za ramię.

— A kiedy będzie?! — zawołała zirytowana, obracając się gwałtownie w jego stronę. — Ile lat mam go jeszcze ścigać i bawić się w kotka i myszkę! Skończmy to, tu i teraz — krzyknęła, a kilku żądnych krwi Weteranów wiwatowało radośnie.

Pierwszy szybkim ruchem wcisnął maskę gazową na twarz i po chwili odskoczył do tyłu, wpadając w gromadę Weteranów.

— Próbuje uciec, nie dajcie mu! — krzyknął jeden z nich.

Weterani ścisnęli się blokując mężczyznę drogę, a Dix dopadła do niego i chwytając obiema rękoma za kamizelkę, rzuciła nim w płot. Ciśnięty z niewyobrażalną siłą, Pierwszy przebił betonowy stempel, lądując na placu, na którym jeszcze przed chwilą toczyły się walki.

Dix przeszła przez dziurę, a tuż za nią wkroczyli Weterani i Defektowcy, momentalnie otaczając cały plac szerokim kręgiem. Zjawą, która stanęła obok Dzikiego, zarzuciła zirytowana ręce na piersi. — Kurwa, teraz? Naprawdę? — spytała.

Pierwszy wstał, otrzepując się z ziemi. — Wiesz, dlaczego nie chciałem z tobą walczyć, Piąta? — spytał, przechodząc między truchłami Niewyksztalcanych.

— Bo jesteś pieprzonym tchórzem! — ryknęła Dix, wystrzeliwując do przodu jak pocisk.

— Nie — odpowiedział Pierwszy, mijając nadlatujący cios. — Bo masz prawo do zemsty i nie chciałem cię zabijać z jej powodu! — Mężczyzna złapał rękę dziewczyny i zgrabnie wykorzystując siłę jej pędu, przerzucił ją przez plecy tak, że z łomotem wylądowała na ziemi.

Nim zdążyła złapać oddech, w dłoni Pierwszego pojawił się pistolet.

— PRZESTAŃCIE! — krzyknął Dziki, ruszając do przodu.

Grupa Defektowców złapała go jednak, zanim zdołał wdrzeć się na plac. — Nie wtrącaj się! — wykrzyczał mu do ucha jakiś mężczyzna w masce.

Zjawa, widząc, jak Dzik został pchnięty z powrotem w tłum, pokręciła tylko głową. — Nie zatrzymasz tego...

W tym czasie Pierwszy nacisnął spust, celując w głowę leżącej na ziemi Dix. Kule wylatujące z pistoletu, jak zaczarowane zmieniały tor lotu, trafiając w ziemię dookoła. Gdy ostatni nabój wypadł z komory, a zamek wydał charakterystyczny „pusty” dźwięk, Dix wykorzystała szansę i chwyciła nogę Pierwszego. W nadludzki sposób cisnęła nim potem na bok, jakby był nic nieważącym manekinem.

— Po co oni w ogóle używają broni? — spytał jakiś Weteran. — Przecież ludzi z błędami nie da się trafić...

— Bo oboje stoją na zbyt podobnym poziomie, by rozwiązać to jedynym ciosem... — wyjaśniła Zjawa. — Dla nich jest to walka na wymęczenie Woli przeciwnika.

Pierwszy, który po rzucie Dix przetoczył się po ziemi, wyhamował rękoma kilka metrów dalej. Błyskawicznie poderwał się, pchnięty do góry jakąś dziwną siłą. W jego dłoni pojawił się natychmiast kolejny pistolet. Z ziemi podniosła się również Dix, która broń wyszarpała z kabury przy pasku. Po chwili obydwaj ruszyli w swoją stronę, oddając kilka strzałów. Kule odbijane przez błędy, rykoszetowały jak szalone po całym placu. Kilku Weteranów padło na ziemię, ale ktoś nie zdążył się uchylić i krzyknął, raniony odbitym pociskiem.

Zjawa przycisnęła w tym czasie głowę Dzikiego, pochylając go w dół. — Sporo ludzi zginęło próbując cię dziś ratować. Bądź łaskaw nie umrzeć od zabłąkanej kuli — warknęła.

Dziki wyszarpał się z jej uchwytu akurat w momencie, gdy Dix i Pierwszy wpadli na siebie. Mimo że dziewczyna była zdecydowanie mniejsza, to jej impet okazał się silniejszy. Pierwszy runął na plecy, a Dix wskoczyła mu na tors. Przygwoździwszy mężczyznę, zaczęła bezlitośnie okładać go pięściami po masce gazowej. Leżący na ziemi, nie pozostawał dłużny i po kilku krótkich ciosach, roztrzaskał jej wargę. W tym momencie dookoła walczących podniósł się tuman kurzu. Jakby znaleźli się w środku tworzącego się cyklonu. Tajemnicza siła zepchnęła Dix, a Pierwszy uniósł się do góry na sztywnych nogach, niczym wampir powstający z trumny.

Dziewczyna ruszyła w jego stronę, wyprowadzając jak w amoku serię niewyobrażalnie szybkich ciosów, ale Pierwszy również zdawał się przyspieszać. Ciągłe cofając się, unikał bez trudu nadlatujących uderzeń. Z rękoma schowanymi z tyłu, wyglądał jakby specjalnie ją prowokował.

— Ale się z nią bawi! — zawołał jeden z Weteranów, wyraźnie rozbawiony.

Dziki był jednak przekonany, że chodzi o coś więcej i natychmiast spojrzął na Zjawę, która przygryzła teraz nerwowo wargę. — Kurwa, czy ona jest głupia? — spytała retorycznie. — Naprawdę tego nie widzi? Przecież to jest motyl...

— O czym ty mówisz? — chciał spytać Dzik, ale Zjawa wysunęła się do przodu i krzyknęła.

— DIX! TO JEST MOTYL! — zawołała. — ON SZYKUJE SKRZYDŁA MOTYLA!

Słyszając to, Dix spojrzała przerażona na ukryte ręce Pierwszego. Mentalnie zatrzymała się i rzuciła do tyłu, zasłaniając twarz.

— Kurwa mać! — krzyknęła Zjawa i chwytając Dzikiego, odepchnęła go na bok.

W tym samym momencie Pierwszy wyrzucił otwarte dłonie do przodu. Fala uderzeniowa trafiła w Dix, zrywając z niej ubranie. Dwóch Weteranów, stojących najbliżej walczących, rozerwało się na atomy, tak jak strażnik, który kilka minut temu mierzył do Dzikiego. Ludzie będący nieco dalej, padli przewróceni pędem powietrza.

Dix upadła półnaga na kolana. Na sobie miała już tylko ledwo trzymające się na pasku spodnie i buty. Z wielu miejsc w jej ciele zaczęła sączyć się krew. Pierwszy nie miał zamiaru kontynuować walki. Wykorzystując lukę, jaka powstała między powalonymi Weteranami, wyskoczył w powietrze nieco tylko niżej niż kiedyś Modrzew nad torami.

Dziki dostrzegł jak na twarzy klęczącej Dix pojawił się uśmiech. Dziewczyna poderwała się, unosząc do góry jedną z rąk i w tym samym momencie stało się coś, co zszokowało wszystkich zgromadzonych. Ogromny łuk elektryczny połączył Dix i Pierwszego, który nie zdążył jeszcze wylądować.

Mężczyzna zawisł w powietrzu, rażony ciągłym ładunkiem. Jakby on i liderka Defektu stali się wielkimi cewkami elektrycznymi. Powietrze wypełnił niewyobrażalny huk, przywodzący na myśl palący się transformator, a wszyscy spoglądali jak niebieska luna bije od walczących.

Po kilku sekundach Dix opuściła dłoń, a dymiący Pierwszy runął między Weteranami.

W tym momencie Dzikemu udało się w końcu wyrwać z rąk Weteranów i Zjawy. Dobiegając do Pierwszego, zobaczył, że całe jego ubranie było nadpalone. Z gumowej maski ciągle unosił się dym. Przytrzymując delikatnie głowę mężczyzny, odsłonił mu twarz, a maska prawie rozpuściła mu się w dłoni. Pierwszy wyglądał jak ubrudzony sadzą. Jego nozdrza nie poruszały się. Nie oddychał.

— TO SIĘ NIE MUSIAŁO TAK SKOŃCZYĆ, DIX! — krzyknął wściekle w stronę dziewczyny, która odwrócona plecami wpatrywała się w ziemię.

W tym samym momencie Pierwszy odkaslnął. Jego oczy otworzyły się, a płuca wciągnęły wściekle powietrze. Słyszając to, Dix odwróciła się zszokowana. — Dlaczego po prostu nie zdechniesz?! — ryknęła, wyciągając nóż z kabury przy pasku.

Pierwszy popatrzył na Dzikiego. Choć z jego oczu bił strach, powiedział zupełnie spokojnym głosem. — Do zobaczenia Drugi... — i stracił przytomność.

— NIE! — krzyknął Dzik, podnosząc się i stając naprzeciw Dix.

— ZEJDŹ MI Z DROGI! — warknęła, prawie wchodząc na niego.

Ten, nie wiedząc co robić, pchnął ją do tyłu, a dziewczyna upadła, podpierając się rękoma. Po tym co widział, gdy walczyła z Pierwszym, nie spodziewał się, że jego pchnięcie będzie miało jakikolwiek skutek. Obydwoje patrzyli teraz na siebie tak samo zszokowani.

— Dziki... — wyszeptała z niedowierzaniem, spoglądając mu w oczy.

— POWIEDZIAŁEM DOŚĆ! — krzyknął, zaciskając w złości obydwie pięści. — TEN CZŁOWIEK NIE ZASŁUŻYŁ NA TO!

W tym samym momencie Dix poderwała się równie wzburzona. — A SKĄD TY MOŻESZ WIEDZIEĆ, NA CO ON ZASŁUŻYŁ! SKĄD WIESZ, ŻE TO NIE JEST GRA! ŻE NIE POMÓGŁ CI TYLKO DLATEGO, ŻEBY ZROBIĆ MI MĘTLIK W GŁOWIE! ŻEBYM SOBIE ODPUŚCIŁA!

Dziki czując zalewający go gniew, warknął. — Nie dbam o to, jakie miał pobudki... Uratował mi życie! Jeżeli chcesz go zabić, musisz najpierw zabić mnie, bo nie pozwolę ci przejść...

Dix zupełnie się załamała, do jej oczu nabiegły łzy. Dziki myślał przez chwilę, że dziewczyna zupełnie się rozklei. Niespodziewanie jednak, wytarła twarz przedramieniem i gniewnym głosem zawołała: — DOBRZE, DZIKI! Widzę, że wybrałeś swoją stronę! — krzyknęła, gdy nagle niespodziewany huk wypełnił plac.

Dix złapała się za brzuch i upadła na ziemię. Wszyscy spojrzeli od razu w stronę Pierwszego, ale ten ciągle leżał nieprzytomny. Dopiero po chwili jeden z Weteranów krzyknął: — Tam — wskazując palcem na dach autobusu.

Jeden z klonów Cichego rozmywał się właśnie, trzymając w rękach należący do Szarej karabin snajperski. — Daniel żyje! — zawołała istota, nim zniknęły jej usta.

Dziki ruszył w stronę Dix, przy której klęczał już Rengo. — Co z nią? — zawołał przestraszony, ale dwóch najbliższych Defektowców odepchnęło go.

— Nie twoja sprawa! Wracaj lepiej do swojego przyjaciela!



Rozdział XIV

Krwawymi śladami

Maciejewski biegł pustą ulicą. Był już wymęczony i od dłuższego czasu zupełnie stracił orientację. Wyrastające przed nim budynki, zupełnie nic mu nie przypominały. Nawet w Starym Świecie nigdy nie zapuszczał się w te rejony miasta. Nie wiedział, jak daleko był od centrum. Nie miał pojęcia, gdzie jest Strefa Głodu. Czuł jedynie, że Weterani są o krok za nim. Przebiegając kolejną aleję, napotoczył się na samotnego Potłuka. Nim Niewykształcony zdążył wyczuć jego obecność, Olbrzym poderwał go do góry i nadział na sąsiedni płot. Przeszyta prętami istota, rzuciła się, nie mogąc uwolnić, a po chwili zeszytywniała martwa.

Wycierając ręce Maciejewski zatrzymał się przerażony. Tuż przed jego nosem kończyło się osiedle i stała tabliczka z przekreśloną nazwą „Krańcowo”. — Granica miasta... — wysapał, rozglądając się za inną drogą ucieczki.

Spoglądając w tył, dostrzegł ulicę, która naznaczona była plamami jego krwi. Rany, jakie zadał mu Wilk, może nie były zbyt głębokie, za to bardzo liczne. Nie mając czasu by je opatrzyć, całą drogę znaczył tak mocno, że nie było szans na zgubienie pościgu. Zrezygnowany i wymęczony Olbrzym przysiadł na chodniku. Brudną od krwi ręką sięgnął do kieszeni po papierosa.

— Kurwa, nawet to... — westchnął, wyrzucając połamaną fajkę.

— *Wiesz już, że nie uciekniesz?* — wyszeptał nagle kobiecy głos w jego głowie.

Maciejewski, mimo zmęczenia poderwał się, łapiąc rękoma za uszy i potrząsając swoją wielką czupryną. — WYNOŚ SIĘ! — krzyknął.

— *Jesteś mój, braciszku! Naznaczyłam cię!* — zawołała w jego wnętrzu Szara. — *Jestem jak Delimer. Gdziekolwiek się nie schowasz, ja zawsze pójde za tobą...*

— POKAŻ SIĘ TYLKO SUKO! ROZERWĘ CIĘ GOŁYMI RĘKAMI! URWĘ CI ŁEB, JAK TEMU TWOJEMU PRZYDUPASOWI! — wrzasnął Olbrzym, a jego głos rozniósł się echem po pustej okolicy.

— *Przeceniasz się, braciszku* — stwierdziła Szara. — *Wilk przeżył... Zrobiłeś mu ogromną krzywdę... ale żyje...*

Olbrzym zrobił skonsternowaną minę, po czym zrezygnowany ponownie usiadł na chodniku. — Nawet jeśli, to z połamanym kręgosłupem, możesz

mu od razu wsadzić pistolet w mordę... No chyba, że podnieca cię podcieranie starego chłopca... — zakpił.

Grzebiąc po ubraniu, Maciejewski spróbował odnaleźć kolejnego papierosa, ale nie miał już nawet jednego. W tym momencie głos Szarej ponownie odezwał się w jego głowie. — *Znajdę sposób, żeby mu pomóc. Błędy, których tak nie doceniasz, dają niesamowite możliwości. Wierzę, że znajdę też odpowiedni dla niego...*

Olbrzym poderwał się do góry i wykrzyczał w niebo, jakby siostra latała tuż nad jego głową. — Nie potrzebuję ich! Jestem lepszy od was wszystkich! Nie potrzebuję... A TY NAWET NIE WIESZ, KIM ON JEST! DANIEL MI POWIEDZIAŁ! MYŚLISZ, ŻE JA JESTEM ZŁY? NIECH TWÓJ CHŁOPTAŚ OPOWIE CI, CO ROBIŁ W STARYM ŚWIECIE!!!

Przez chwilę zapanowała cisza. Olbrzym rozejrzał się, zastanawiając czy przypadkiem jego głowa nie znalazła się już na celowniku siostry. W końcu jednak Szara ponownie odezwała się w jego myślach. — *Mylisz się — zaprotestowała. — Powiedział mi, kim był... ale się zmienił. Jest teraz dużo lepszym człowiekiem* — wyjaśniła spokojnie. — *Szkoda, że ty nie potrafiłeś...*

Olbrzym słysząc to, popatrzył z niedowierzaniem na swoje ręce. — Ja? Ja miałem się zmienić? — spytał. — W imię czego? Całe życie byłem w naszej rodzinie jak piąte koło u wozu. Czegokolwiek nie osiągnąłem, jakiegokolwiek nagrody boksterskiej nie przyniosłem. Nic nie miało znaczenia — stwierdził rozgoryczony. — Ale wystarczyło, że TY wyjąkałaś jakąś literę i starzy się mało ze szczęścia nie posrali! Zawsze słyszałem tylko: „Sylwia to, Sylwia tamto. A z tobą Robert, to tylko same kłopoty. Dlaczego nie możesz być jak siostra? Ona tak cierpi, a jak sobie radzi”. Tylko, że jak kurwa nie dałem jakiemuś leszczowi w mordę, tak że groziło mi wywalenie z budy, to ani ojciec, ani matka nawet nie zauważali, że istnieję. Daniel jest inny! Od razu mnie wybrał! I to nie dlatego, że jestem „wielki”. W banderze jest cała masa osiłków... On zobaczył mój ból... to jak mnie nie doceniano... I on mnie docenił!

— *Ja też cię doceniałam...* — westchnęła Szara. — *Tylko nie mogłam ci tego powiedzieć. Ile razy bym przed tobą nie stawiała, zawsze odwracałeś wzrok. Nim straciłam całkiem słuch, tak bardzo starałam się nauczyć chociaż kilku słów... by móc ci w końcu powiedzieć...*

— ...Guatue bławisku — wymamrotała Szara, siadając na chodniku obok stojącego Olbrzyma.

— Więc jesteś! — westchnął Maciejewski, dosiadając się. — Gdzie Wety?

— *Wyprzedziłam ich. Zabili by cię od razu...* — zadźwięczał głos Szarej, choć jej usta nie poruszały się.

— A ty? Nie po to tu przyszłaś? — spytał natychmiast Olbrzym.

Szara popatrzyła przez chwilę na mężczyznę i odetchnęła ciężko. — *Na początku, gdy myślałam, że Wilk nie żyje... Potem chciałam cię oddać Wetera-*

nom. A teraz, sama nie wiem. Jesteś moim bratem i mimo wszystko jest mi cię strasznie szkoda. W dodatku od momentu, gdy podczepiłam się do ciebie, słyszę nie tylko to, co mówisz, słyszę też twoje myśli. I choć krzyczałeś, że rozerwiesz mnie na strzępy, w środku też bardzo żałowałeś, że walczymy przeciw sobie...

— Wbiłem twoją głowę w autobus — zaprotestował Olbrzym. — Zabił bym cię bez wahania.

— *Kłamiesz* — stwierdziła Szara. — *Zresztą ja pierwsza strzeliłam do ciebie. Byłeś w furii, nie myślałeś* — usprawiedliwiła go. — *Nie przez to, co robisz i robieś, ale przez to, co myślisz i czujesz, puszcze cię wolno...*

— Wiesz, że wrócę do Daniela? — spytał Maciejewski spoglądając na siostrę. — Będę zabijał Weteranów dalej...

Do oczu Szarej nabiegły łzy. — *Niestety, teraz nie kłamiesz* — westchnęła. — *Wierzysz w Daniela. Wierzysz w „jego Nowy Świat”. Szkoda, że nie spotkałiśmy się, zanim on cię pokierował...*

— ...Może — przerwał jej Olbrzym. — A może to ty kiedyś zrozumiesz, że to Wilk i cała reszta tej bandy się mylą. Będę błagał Daniela, żeby pozwolił mi cię oszczędzić... Szara nie odpowiedziała, sięgnęła do swojej kurtki i wyciągnęła z niej bandaż. — *Opatrz się! Po śladach krwi znajdą cię bez trudu. Ja ich w tym czasie odciągnę.*

Olbrzym chwycił natychmiast za opatrunki i zaczął obwiązywać swoje ręce. — Zostaniesz w mojej głowie? Będę cię dalej słyszał? — spytał niepewnie.

— *Już niedługo* — odparła Szara. — *Po tym, co zrobiłeś Wilkowi, prawie eksplodowałam od Woli. Nie zdarzyło mi się wcześniej rozmawiać z kimś, z kim nie miałam fizycznego kontaktu, ale to połączenie szybko mija.*

— Rozumiem — stwierdził Olbrzym, kończąc opatrywać swoje rany. Gdy w końcu się podniósł, popatrzył jeszcze przez chwilę na Szarą. Swoimi ogromnymi dłońmi wykonał migowy gest — „Żegnaj”.

— *Do widzenia, braciszku* — odpowiedziała Szara, a Maciejewski przeskoczył przez ogrodzenie.

* * *

Kilka godzin po spotkaniu z siostrą Olbrzym ciągle był w potrzasku. Grupy Weteranów przeczesywały okolicę, zaglądając praktycznie pod każdy kamień. Nie było się zresztą czemu dziwić, Maciejewski był bowiem, może poza Danielem, najbardziej nienawidzoną osobą w całym Krańcowie.

Przedzierając się tuż przy granicy miasta, mężczyzna dotarł w końcu do Wiślinki. Przemieniona w kwas rzeka bulgotała złowieszczo, roznosząc dookoła zapach starych akumulatorów.

Maciejewski, mocno już zmęczony, przyklęknął chwilę przy brzegu. Czując wylewający się spod piersi pot, rozpiął kamizelkę kuloodporną i wycią-

gnął opakowanie po papierosach z wewnętrznej kieszeni. — Żałosne... — pomyślał, widząc w jakim położeniu się znalazł.

On, postrach Krańcowa, na którego widok większość Weteranów rzucała się w panice do ucieczki. Ścigany, jak jakiś królik przez wściekle charty. Ciskając zgniecioną paczką w rzekę, odetchnął ciężko. Wiedział, że nie może tu długo zostać, był już jednak potwornie zmęczony. Jego ponad dwumetrowe ciało i waga małego niedźwiedzia świetnie sprawdzały się w bezpośredniej walce, ale niesamowicie przeszkadzały w ucieczce.

Olbrzym oparł głowę o ręce, łapiąc pośpiesznie oddech, gdy nagle tuż za sobą usłyszał szelest w krzakach. Odwracając się gwałtownie, zobaczył postać ubraną w zielony strój.

Był już przekonany, że jakiś Weteran zdołał go dogonić, ale dostrzegł u przybysza ślady licznych okaleczeń, tak charakterystycznych dla Niewyksztalconych.

Maciejewski, mimo że nie zwykł bać się niczego, wstał cofając się o krok. Nigdy wcześniej nie widział takiego potwora. Każdy nieznany Niewyksztalczony mógł kryć w sobie naprawdę mordercze niespodzianki.

Niższa o głowę istota ubrana była w wędkarski strój, a fakt, że przebywała w pobliżu rzeki, tylko potwierdzał, że mogła być jakiegoś rodzaju pokreconym Specjalistą.

Obserwując, jak milczący potwór zbliża się coraz bardziej, Olbrzym zaryzykował. Wyskakując do przodu, wymierzył potężny lewy prosty, który bez trudu powaliłby byka. Gdy tylko pięść Maciejewskiego uderzyła w twarz potwora, ten padł na ziemię. W tym samym momencie z ręki Olbrzyma bryznęła krew. Cała zewnętrzna strona dłoni pokryła się licznymi cienkimi nacięciami.

— Co do kurwy! — ryknął Maciejewski, a potwór powoli podniósł się pomimo ogromnej siły ciosu.

Olbrzym nie zaryzykował po raz drugi uderzenia go w twarz, kolejny cios, tym razem z prawej, wyprowadził prosto w brzuch Niewyksztalczonego.

Istota ponownie runęła tocząc się po ziemi, a dłoń Maciejewskiego eksplodowała fontanną krwi.

W tym momencie Olbrzym dostał ataku furii. Z rykiem podbiegł do Niewyksztalczonego i poderwał go z ziemi. Ignorując fakt, że jego dłonie zamieniały się w jedną wielką masakrę, Maciejewski cisnął potworem prosto w odmęty Wiślinki.

Niewyksztalczony zniknął przez chwilę pod powierzchnią, po czym poderwał się gwałtownie na wpół zeżarty przez kwas. Nie mogąc jednak utrzymać się na powierzchni, zapadł się ponownie, zostawiając po sobie bulgoczącą i syczącą wściekle plamę.

Z Olbrzyma powoli schodziła wściekłość, a ból rąk okazał się tak silny, że musiał jeszcze raz usiąść.

— Ja pierdołę... — wyszczał, oglądając swoje pocięte jak po ataku nożownika dłonie.

W tym samym momencie po drugiej stronie rzeki pojawiła się postać. Maciejewski był w takim szoku, że przez chwilę zapomniał nawet o bólu. Tajemniczy przybysz zbliżył się do brzegu i po chwili zrobił coś, od czego Olbrzymowi prawie wyskoczyły oczy. Wszedł prosto do kwasu.

— Co on kurwa? Chce się zabić? — spytał sam siebie, obserwując jak postać kroczy z nurtem niczym po zwykłej rzece.

W normalnych warunkach, widok kogoś kto po prostu idzie przez kwas, byłby dobrym powodem do natychmiastowej ucieczki. W tym momencie jednak Maciejewskiego zupełnie zamurowało, był to drugi raz, kiedy dostrzegł kogoś po tamtej stronie. I tym razem nie było szans na uniknięcie spotkania.

Dopiero gdy mężczyzna był już prawie przy brzegu, Olbrzym otrząsnął się. Sięgając do pasa, wyciągnął pistolet, ale pocięta dłoń zaciśnięta na rękojeści zabolala tak mocno, że momentalnie wypuścił go z ręki.

— Spokojnie, Olbrzymie... — zawołał przybysz, wychodząc na brzeg.

Maciejewski znał ten głos. Spoglądając w twarz mężczyzny dopiero po chwili go rozpoznał. Pamiętał go z czasów istnienia Bajkolandii, kiedy na polecenie Daniela przychodził tam handlować jedzeniem. — Modrzew — wydyszał, próbując zaciśnąć pięści.

Człowiek, który przybył z drugiej strony, był jednym z najemników pracujących niegdyś dla Siwego. Zniknął jednak dużo wcześniej niż Faktoria przeniosła się do Wspólnoty i zaczęła działać Ręka Olbrzyma. Maciejewski nie był pewien, jakie przybysz będzie miał wobec niego zamiary.

W tym samym momencie z zupełnie drugiej strony zaczęły dobiegać jakieś głosy.

— Tutaj, świeżo wydeptane! Musiał tędy biec!

Maciejewski poczuł coś, czego nie czuł już od bardzo dawna — czysty strach. Był przeraźliwie zmęczony. Nawet gdyby zaczął teraz uciekać, to przecież krew lejąca się z jego dłoni, zostawi kolejną ścieżkę, po której bez trudu go znajdą. Walka też nie wchodziła w rachubę, nie był w stanie utrzymać pistoletu.

W tym samym momencie dwóch Weteranów wybiegło z pobliskich krzaków, od razu biorąc Olbrzyma za cel.

— Mamy cię skurwielu! Teraz zawisniesz jak ci, których wcześniej dopadłeś — wykrzyczał pierwszy z przybyłych.

— A ten to kto? — ryknął drugi, celując w stronę Modrzewa.

— Pewnie jakiś kundel Armii! Nikt normalny by z tą kurwą nie siedział! Zabieramy go, zawisną obok siebie — stwierdził pierwszy i zbliżając się do Maciejewskiego wykrzyczał: — Wstawaj! A ty oddawaj broń!

Modrzew spojrzał z politowaniem na przybyłych Weteranów, po czym wyskoczył w stronę bliźszego.

Męczyzna odruchowo nacisnął spust, ale ciało Modrzewa rozplynęło się, jakby było zrobione z pary. Kule po prostu przeleciały przez niego, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Po chwili zaś, już całkiem scalony, runął na swój cel.

Po krótkiej szamotaninie Modrzew ugodził Weterana nożem. Jego towarzysz widząc to, spuścił z celu Maciejewskiego. Olbrzym wykorzystał to natychmiast i ignorując rany na rękach, bez trudu pchnął go w stronę rzeki.

Weteran zanurkował jak wcześniej Niewykształcony. Przez chwilę rzucił się z krzykiem, dopóki kwas całkiem go nie pochłoniął.

Modrzew wytarł zakrwawiony nóż i spojrzał na Maciejewskiego, który stanął gotów do walki.

— Pozdrów Daniela... — stwierdził, pozostawiając Olbrzyma z milio-
nem pytań.

* * *

Wypełniony rannymi piętrus, wypadł rozpędzony spomiędzy blokowisk w centrum. Mijając dawny budynek Faktorii Siwego, ruszył prosto w kierunku Sojuszu Bloków. Jego przywódca, Boruta, chociaż nie chciał brać bezpośredniego udziału w walkach z Danielem, szybko zgodził się przyjąć rannych po bitwie i udzielił im pomocy na terenie ich osiedla.

Dziki spróbował w tym czasie opanować chaos, jaki rozpętał się w jego głowie. Jego wzrok powędrował na skraj pojazdu, gdzie Rengo w towarzystwie innego Defektowca zajmowali się nieprzytomną Dix. Chociaż bardzo chciał podejść i spytać się o stan dziewczyny, wiedział, że nie jest przy niej mile widziany. Ledwie chwilę przed tym jak Dix została ranna, nie pozwolił jej na dobiecie Pierwszego, czym ostatecznie skreślił się w oczach całego Defektu.

Ale Dix nie była nawet najciężej ranną w całym piętrusie. Członkowie Autobusu do Wolności, starali się jak tylko potrafili, zająć ociekającymi krwią Weteranami, którzy rozłożeni byli na całym piętrze i siedzeniach ich pojazdu. Wśród poszkodowanych brakowało jednej osoby. Pierwszy jakimś cudem zdołał wymknąć się z cegielni, nim załadowano go do autobusu. Dziki nie był w stanie uwierzyć jakim cudem ledwo żywy mężczyzna zdołał tego dokonać i jedyne wyjaśnienie, jakie przychodziło mu do głowy, związane było z działaniem błędów.

Piętrus oczywiście nie zabrał wszystkich, którzy przybyli pod cegielnię. Szara, Mike, Krzak, Maniek i kilku innych Weteranów, ruszyło śladami Olbrzyma, który uciekł z placu jeszcze przed końcem bitwy. Weterani, którzy nie zostali ranni, postanowili wydostać się z okolic Strefy Głodu na własną rękę, żeby nie zabierać miejsca poszkodowanym.

— Otwierają bramę! — zawołał nagle Kuba. — Wjeżdżaj do środka!

Dziki wyrzwał przez okno i dostrzegł blokowisko wchodzące w skład Sojuszu. Jego mieszkańcy zabezpieczyli teren podobnie do Wspólnoty, odgra-

dzając go murem. Zadanie mieli jednak o wiele łatwiejsze, bo same bloki odci-
nały od miasta spory wewnętrzny plac. Łącząc ich ściany za pomocą pustaków
i betonu, utworzyli oni na terenie osiedla prawdziwą twierdzę.

Piętrus wjechał przez ogromną spawaną bramę i zatrzymał się pośro-
dku dawnego parkingu. Mieszkańcy Sojuszu byli już przygotowani na ich przy-
jazd. Czekali tłumnie z ręcznikami, prowizorycznymi noszami i przyborami
medycznymi.

Gdy drzwi do piętrusa otworzyły się, mieszkańcy autobusu wspólnie
z członkami Sojuszu zaczęli wynosić rannych. Dziki chciał pomóc, ale najpierw
został odepchnięty przez jakiegoś Defektowca, gdy ci wynosili Dix, a potem zo-
baczył Weterana Dyzia z twarzą roztraskaną przez Potłuka i poczuł, jak robi
mu się słabo. Nie chodziło o to, że nie był przyzwyczajony do widoku ran, ale do-
cierało do niego, że wszystko co tutaj się stało, było tylko i wyłącznie jego winą.

Zrezygnowany, wytoczył się z autobusu i mijając miotających się do-
okoła ludzi, usiadł na ławeczce wlepiając wzrok w chodnik. W tym momencie
prawie nic do niego nie docierało. Poczucie winy wypalało mu wnętrze, a oczy
przeszkliły się. Zrezygnowany ukrył twarz w dłoniach, ale natychmiast
poczuł, że ktoś go dotyka.

— Dziki? Co się dzieje? — spytała Oli, głosem pełnym troski.

— Wszystko ok... — odparł i poderwał się z miejsca, uciekając od
dziewczyny.

Na szczęście ta nie ruszyła zanim, bo Kuba przywołał ją do siebie pro-
sząc o pomoc przy jednym z rannych. Dziki ruszył w głąb blokowiska. Czuł, że
musi pobyć chwilę sam. Że musi ułożyć sobie to wszystko w głowie. Przemy-
śleć sytuację, do której doprowadził.

Oddalając się od autobusu, doszedł praktycznie na skraj terenu Soju-
szu. Tam też odnalazł dość wyjątkowe miejsce. Między dwoma blisko sąsiadu-
jącymi blokami znajdował się niewielki, za to bardzo wysoki łączący je murek.
Na jego ceglach wypisane były imiona i nazwiska jakichś ludzi, a pod samym
murkiem ułożone były znicze i sztuczne kwiaty. Do Dzikiego dotarło po chwili,
że znalazł się na tutejszym cmentarzu. Wątpił oczywiście, żeby na tym kawał-
ku terenu naprawdę chowano zmarłych, ale bez wątplenia było to miejsce ich
pamięci. Siadając na pobliskiej ławce pogrążył się w zadumie. Co pocieszające,
przez dłuższy czas nikt go nie szukał. Mieszkańcy autobusu musieli być zbyt
zajęci pomocą przy rannych. Rannych, którzy cierpieli teraz przez niego. Dziki
złapał się za głowę, czując jak zbiera mu się na wymioty.

Nagle tuż obok ktoś odchrząknął, anonsując niejako swoje przybycie.
Obróciwszy się, dostrzegł Borutę, który przyglądał mu się z zainteresowaniem.
— Pozwolisz? — spytał, wskazując na ławkę. Dziki skinął głową, a mężczyzna
zajął miejsce obok niego. — Niezbyt przyjemne miejsce na pierwsze odwie-
dziny w naszym domu — stwierdził, poprawiając okulary zsuwające mu się

z nosa, po czym wyciągnął rękę w stronę Dzikiego. — Boruta — przedstawił się oficjalnie, bo nigdy wcześniej nie mieli okazji porozmawiać.

— Dziki... — odparł, ściskając mężczyźnie dłoń.

Boruta pokiwał głową. — Domyśliłem się, chociaż wyglądasz jak każdy inny Weteran. A wiesz czemu? — spytał.

Dziki pokręcił głową.

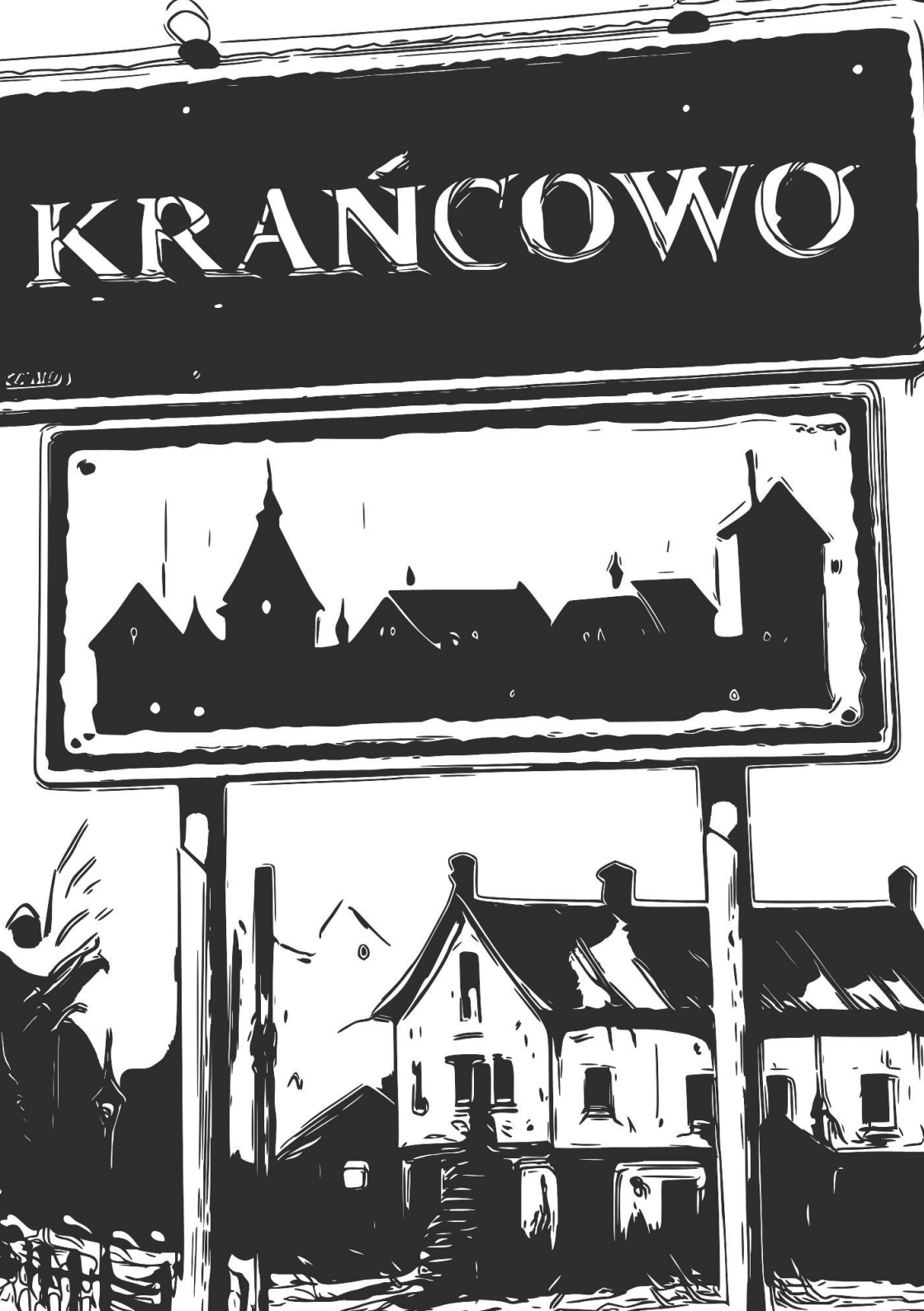
— Przez poczucie winy, wylewające ci się z twarzy — wyjaśnił mężczyzna. — Przez to, że jako jedyny z Autobusu nie pomagasz teraz przy rannych. Jeżeli nie jesteś sadystą, to widok cierpienia, do którego sam się przyczyniłeś, jest czymś, co odbiera wszelkie chęci i motywacje. Sprawia, że człowieka zaczyna się zastanawiać nad wieloma rzeczami...

Dziki nie odpowiedział, ale skinął, przyznając mężczyźnie rację. Boruta odwrócił się od niego i spojrzał teraz na mur. — Widziałem cię podczas Kodu Weterana. Stałeś obok Kubę — stwierdził. — Zapamiętałem cię, bo gdy Weterani zaczęli nagle łamać dane słowo i odwracać się od Wilka, wyglądałeś na najbardziej rozzarowanego ze wszystkich.

Dziki nie był do końca pewien, o co może chodzić mężczyźnie, ale nie odpowiedział mu, bo nie miał w tym momencie najmniejszej chęci na jakąkolwiek rozmowę. Borucie najwidoczniej wcale to nie przeszkadzało, bo ciągnął swój monolog dalej. — Założę się, że potępiałeś mnie za to, że odmówiłem pełnej pomocy Wilkowi — stwierdził, spoglądając nagle w jego twarz. Robiąc pauzę, odetchnął ciężko i zaczął się tłumaczyć, chociaż sam Dziki nie dał mu żadnego powodu, by to robił. — Widzisz, Dziki, są dwa rodzaje przywódców. Tacy, którzy dbają głównie o siebie i tacy którzy dbają głównie o innych. Sojusz Bloków to moja rodzina, przyjaciele, bliscy. Troszczę się o nich, jak tylko mogę i chociaż obiektywnie wydaje się to nie-honorowe, cieszę się, że sprawa z Ręką Olbrzyma została rozwiązana, a ja nie musiałem dopisywać kolejnego nazwiska na tym murze. — Boruta wstał i poprawiając przewrócony znicz, kontynuował. — To przywódcy odpowiadają za śmierć swoich ludzi. Dlatego za każdym razem, gdy ktoś w Sojuszu ginie, siadam tak jak ty. W tym samym miejscu i z tą samą miną. Wiem, że myślisz teraz o tym, że zrobiłbyś wszystko, by móc naprawić swój błąd... Ale nie możesz! Nie cofniesz tego, co się stało. Nie przywrócisz życia tym, którzy umarli. — Dziki poczuł, jak słowa mężczyzny uderzają w niego niczym pięści. Łzy nabiegły mu do oczu i nie próbował nawet ich powstrzymać. Boruta popatrzył przez chwilę na niego i zbliżył się do niego ponownie. — Zapamiętaj dobrze to uczucie. Tę lekcję. Śmierć obcych, choćby najlepszych, jest o wiele łatwiej znieść niż śmierć bliskich. Gdy ktoś nazwie cię tchórzem albo człowiekiem bez honoru, to tylko puste słowo. Siedząc tutaj, wiesz już dobrze, że najważniejsze to nie chronić cały świat, ale tych, którzy są dla ciebie ważni, choćby kosztem świata...

Boruta skończył swoją przemowę i odszedł, zostawiając Dzikiego z własnymi myślami. Ten popatrzył przez chwilę na mur wypełniony nazwiskami, aż dostrzegł pseudonim, który jako jedyny był z niego wymazany — „Iskra”.

— A jednak czasem zmarli wracają — westchnął.



Rozdział XV

Najtrudniejsze decyzje

Bitwa pod cegielnią, stała się przez długi czas tematem numer jeden we wszystkich zakątkach Krańcowa, w których istniało jakiegokolwiek inteligentne życie. Historie o porwaniu Autobusu do Wolności, starciu Weteranów z Ręką Olbrzyma, pojedynku Pierwszego z Dix przechodziły z ust do ust, docierając do uszu nawet największych samotników.

I tak oto Dziki, zwykły chłopak, który swoim stażem w Nowym Świecie nie zasłużył nawet na status prawdziwego Weterana, ponownie znalazł się na językach wszystkich ludzi.

To przecież on był tym, który zdecydował się pomóc Wilkowi i wmieszał Autobus do Wolności w sprawę z Ręką Olbrzyma. To on był niegdysiejszym chłopakiem Dix, którą Maciejewski i Daniel zamierzali wykorzystać w swoim planie. To w końcu on stanął między dziewczyną a Pierwszym, powstrzymując liderkę Defektu przed dokonaniem zemsty. Gdzieniedzie krążyły jeszcze pogłoski, że to właśnie Dziki podpalił budynek, w którym skrywała się Ręka Olbrzyma, udaremniając tym samym ich niespodziewany atak na Weteranów i krzyżując w ten sposób plany Daniela.

Mimo że plan przygotowany przez Rękę Olbrzyma nie powiódł się w pełni, to śmierć i tak zebrała spore żniwo. Chociaż Dziki odetchnął z niewyobrażalną ulgą, dowiedziawszy się po czasie, że Krzakowi i Mike'owi nie stało się nic poważnego, to nie wszyscy jego znajomi mieli tyle szczęścia.

Jeszcze w Sojuszu Bloków wiadomo było, że z Wilkiem nie będzie dobrze. Po przetransportowaniu go do Wspólnoty, lekarz postawił diagnozę wyrok — pęknięty rdzeń kręgowy i częściowy paraliż. W Starym Świecie pewnie dałoby się jakoś poprawić jego stan operacją i miesiącami rehabilitacji, ale w Nowym można było tylko pomarzyć o takich luksusach.

Szeryf Krańcowa był teraz całkowicie zależny od swojej partnerki, Szarej. Ta zmuszona była opłacać jego pobyt we Wspólnocie, bo tylko za jej murami mężczyzna miał szansę przeżyć. Na szczęście dla dziewczyny, krańcowscy Weterani, dla których szeryf był swoistym symbolem, zrobili ogromną jak na standardy tej społeczności, zrzutkę. Szara miała dzięki temu kilka tygodni na przygotowanie się do swojej nowej roli.

Niejednoznaczne było dla Dzikiego natomiast to, co powinien myśleć o Dix. Wciąż czuł się z nią bardzo związany i nie potrafił nie martwić się o jej stan. Z drugiej strony nie mógł zapomnieć, że ledwie chwilę przed tym jak została postrzelona, była ona gotowa go zaatakować. Czy to wszystko, co wtedy powiedziała, było tylko wybuchem złości? Czy była jakaś szansa na to, że mu wybaczy? Bez wahania ruszyła przeciw z całą armią, żeby mu pomóc. Czy więc naprawdę to, co ich łączyło, nie było ważniejsze niż żądza zemsty? Niestety na rozmowę z nią i wyjaśnienie całej sytuacji nie było najmniejszej szansy. Dziki dowiedział się pokątnie od Mike'a, że Rengo zabrał ją do Krańcowskiego Lasu. Podróżujący razem z Casio Weteran Hunt, był podobno najlepszym lekarzem w całym Krańcowie. Do tego ze specjalizacją w chirurgii. Był więc dużo pewniejszym medykiem niż Wspólnotowy łapiduch. Pod jego okiem dziewczyna zaczęła podobno dość szybko wracać do zdrowia, co uznał za przynajmniej jedną dobrą wiadomość.

Pierwszy, o którego stan Dziki martwił się równie mocno, zniknął ledwie kilka minut po pojedynku. Mimo że na placu było jeszcze pełno Weteranów, nikt nie zauważył, kiedy i jak mężczyzna zdołał się oddalić. Wielu nie mogło natomiast uwierzyć, że ktoś z takimi ranami w ogóle dał radę się podnieść. Jeżeli Pierwszy zdołał poskładać się do kupy z pomocą błędów, to Dzikiego nieszczerze zdziwiła jego decyzja o ucieczce. O ile wśród Weteranów mógł on uchodzić co najwyżej za ciekawostkę i z ich strony raczej niewiele mu zagrażało, to obecni na placu członkowie Defektu, mogli wpaść na pomysł dopełnienia zemsty za swoją liderkę. Dziki liczył po cichu, że mężczyzna skontaktuje się z nim w jakiś sposób, by chociaż potwierdzić, że dochodzi do siebie, ale niestety od czasów cegielni nie spotkali się ponownie.

W międzyczasie Autobus do Wolności wrócił do swoich zajęć. Z tym wyjątkiem, że Kuba nie opuścił go już nawet na chwilę. Zmienili też swoją zwyczajową trasę. Przez cały czas dokowali gdzieś w pobliżu Wspólnoty i robili jedynie krótkie wyprawy poza okolicę stacji, by uzupełnić zapasy. Dziki czuł się mocno napiętnowany całą tą sytuacją. Radość, jaką odczuwał, z ocalenia wszystkich mieszkańców nie trwała długo, bo ich lider coraz mocniej zaczął dawać mu do zrozumienia, że jego obecność w autobusie przestała być pożądana. Wciąż jednak nie odważył się powiedzieć niczego otwarcie, ze względu na pełne poparcie, jakie Dziki miał ze strony Oli. Dziewczyna nie opuszczała go nawet na krok, stając się jego osłoną przed niechęcią ze strony Kuby.

Sposobność na to, by strażnik i lider autobusu w końcu ze sobą porozmawiali, trafiła się dopiero dwa tygodnie po bitwie.

Tamtej nocy piętrus stał ukryty w małej kamiennej uliczce, na tyle blisko Wspólnoty, że na niebie widać było lunę bijącą od ognisk. Dziki siedział na jego dachu zawinięty w kurtkę, trzymając w ręku kawę, która już od dawna była lodowata. W pewnym momencie otaczającą go ciszę przerwało skrzypie-

nie drabiny. Mimo lęku wywołanego chwilowym zaskoczeniem, nie sięgnął po broń... Doskonale wiedział, kto się do niego zbliża.

Kuba wczłapał się powoli na górę. Nie wyglądał na zaspanego, mimo późnej pory. Musiał więc czekać aż Oli pójdzie spać, by móc porozmawiać z Dzikim sam na sam.

— Chłodno... — westchnął mężczyzna, siadając na dachu. — Noc spokojna?

— Tak — odpowiedział Dziki, starając się by jego głos brzmiał naturalnie. — Wspólnota ściąga stąd wszystko do siebie.

Kuba pokiwał głową, bawiąc się jednocześnie brodą, a Dziki poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Wiedział, że ta chwila musi w końcu nadejść. Spodziewał się, że już po tym delikatnym wstępie lider naskoczy na niego. Zacznie krzyczeć, wyrzucać mu to, jak narażał autobus i jego mieszkańców. Niespodziewanie jednak Kuba zapytał zupełnie spokojnie. — Co zamierzasz zrobić dalej?

Dziki poczuł, że to pytanie zupełnie go rozbija. Wiedział doskonale, że była na nie tylko jedna dobra odpowiedź. Coś, co rozważał już od dawna. — Odejść... — westchnął w końcu, czując jak głos mu przy tym zadrżał.

Kuba skinął w jego stronę. Najwidoczniej takiej odpowiedzi właśnie oczekiwał. — Tak myślałem. Nigdy nie uważałem cię za egoistę, a nie jesteś przecież na tyle nierozsądny, by nie zauważyć, że twoja obecność to zagrożenie dla Autobusu. Chcę jednak wiedzieć, jak zamierzasz to zrobić? — zapytał na koniec.

— Nie rozumiem — odparł szczerze Dziki, spoglądając w nieprzeniknioną twarz ich lidera.

— Doskonale zdajesz sobie sprawę, że w oczach mieszkańców autobusu jesteś jakby bohaterem — stwierdził Kuba, z wyraźnym żalem w głosie. — To, co zrobiliście razem z Pierwszym... Tylko dzięki temu Weterani mogą uznać to za swoje zwycięstwo. Przyczyniłeś się do pokonania Ręki Olbrzyma...

— To plotki! — zaprotestował Dziki. — Większość zrobił Pierwszy, jak zresztą zawsze...

Kuba westchnął, spoglądając w czarne pozbawione gwiazd niebo. — Może! Problem w tym, że większość uważa inaczej. No i Oli nie pozwoli ci po prostu odejść. Próbowałem z nią porozmawiać... — nagle lider autobusu zrobił dłuższą przerwę, a po jego twarzy widać było, że jest czymś naprawdę mocno poruszony. — Wiesz, Dziki — zaczął w końcu, spoglądając na niego tak chłodno, jak chyba jeszcze nigdy. — ...Ona jest taka naiwna. Myślę, że byłaby gotowa prędzej zrezygnować ze mnie niż z ciebie. — W tym momencie w głosie Kuby przebiła się naprawdę mocna gorycz, mimo że wyraźnie próbował utrzymać spokojny, chłodny ton. Dziki już od dawna wiedział, że mężczyzna darzył Oli jednostronnym uczuciem, a zazdrość, która wręcz biła z jego oczu, była na to najlepszym dowodem. Po chwili kłopotliwej ciszy Kuba kontynuował. — Wiesz dobrze, że po tym co stało się w cegielni, nie możesz zostać. Naraziłeś się Da-

nielowi tak bardzo, jak tylko to możliwe. Twoja obecność zagraża Autobusowi, jak jeszcze nigdy wcześniej...

— ...Wiem, wiem — przerwał Dzik. Nie chciał po raz kolejny słuchać tego, czego już dawno sam był świadomy. Zwłaszcza, że decyzja o odejściu była już przez niego podjęta. — Nie miałem zamiaru z tym zwlekać i już od dawna chciałem z tobą porozmawiać. Tylko Oli ciągle nam przeszkadzała...

— No tak... — wtrącił Kuba, a jego ton stał się nagle o wiele przychylniejszy. Najwidoczniej myślał, że Dzik będzie próbował na siłę pozostać dalej w Autobusie i to, co usłyszał, było dla niego miłą niespodzianką. — Zdaję sobie sprawę, że jest w tym momencie w ciebie zapatrzona — stwierdził rzeczowo. — Ale nie możemy czekać, aż jej to przejdzie...

— Więc masz jakiś pomysł? — spytał zrezygnowany Dzik.

— Chcę, żebyś po prostu zniknął. Wymknął się bez pożegnania... — wyszeptał Kuba, odwracając wzrok.

— Żartujesz sobie?! — zawołał wzburzony Dzik, podrywając się z miejsca. — Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy? Mam po prostu uciec bez słowa?

— To jedyny sposób... — stwierdził nieco zmieszany Kuba. — Mieszkańcy nie będą mieli szansy, by cię zatrzymać. — Po chwili zaś zmienił temat, zupełnie odbiegając od tego, co najbardziej wzburzyło Dzikiego. — Myślę, że powinieneś dołączyć do Pierwszego. Tyle czasu uciekał przed Defektem, ma doświadczenie w ukrywaniu się. Razem z nim masz większe szanse uniknąć zemsty Daniela. Po tym co już dla ciebie zrobił i po tym, jak ty ochroniłeś go przed Dix... Nie wierzę, że nie będzie chciał cię przyjąć jako swojego ogona.

Nieco zaskoczony Dzik zamyślił się przez chwilę. Był już taki moment w jego historii, gdy podróżował razem z Pierwszym. Mężczyzna pomagał mu przecież uciekać przed Delimerem. Nigdy potem nie myślał nawet o tym, by spróbować narzucać się swojemu wybawicielowi ponownie. Nie wiedział nawet jak Pierwszy zareagowałby na taką propozycję. Nie raz przekonał się, że mężczyzna ma dziwne spojrzenie na wiele spraw. — Mógłbym spróbować go odnaleźć... — westchnął po dłuższej chwili. — To kiedy miałbym... zniknąć? — Ostatnie słowo prawie ugrzęzło mu w gardle. Mimo że od dłuższego czasu rozważał opuszczenie autobusu, to świadomość, że nie są to dłużej gdybania tylko rzeczywiste decyzje, mocno go przytłoczyła.

Kuba nie mógł zauważyć wewnętrznych rozterek, jakie szargały Dzikim, więc po chwili zamyślenia stwierdził chłodno. — Jutro, w czasie nocnej warty — powiedział zdecydowanie. — Każę Jankowi jechać na osiedle przy Lesie Ludzi. Znasz to miejsce! Chociaż kręcą się tam Delimery, to przecież nie ściągniesz ich na siebie sam. Jak już wszyscy usną, przyjdę, żeby cię zastąpić... Mógłbyś pójść od razu do szkoły i odzyskać zapasy, które tam zostawiliście — dodał, podsuwając Dzikowi kolejne pomysły. Ten skinął głową. Mimo że starał się zachować kamienną twarz, Kuba musiał dostrzec w niej żal, bo dodał

po chwili. — Nie martw się! Nie puszczę cię przecież z pustymi rękami... Dostaniesz zapasy, amunicję. Myślę, że mógłbym nawet przez jakiś czas podrzucać ci zaopatrzenie na mieście.

Dzik wyczuł, że Kuba byłby skłonny oddać mu większość tego, co posiada, byleby tylko nie robił mu więcej problemów i odszedł. — Nie chodzi o zapasy — westchnął. — Zżyliśmy się mocno... i boli mnie to, że mam tak po prostu odejść bez słowa — stwierdził niepewnie.

— Zrobisz to dla ich dobra! — przekonywał go Kuba. — Ja im to wyjaśnię, gdy już emocje opadną... Zrozumieją, że tak po prostu musiało być.

Dzik czuł, że serce znowu zaczyna mu łomotać. Stanął właśnie przed dość dziwną perspektywą. Chyba po raz pierwszy w tym świecie miał zostać zupełnie sam. Od momentu swojego pojawienia się przez cały czas ktoś mu towarzyszył. Najpierw Autobus do Wolności i jego ówczesny strażnik Primo. To oni nauczyli go podstaw przetrwania w Nowym Świecie. Potem za sprawą Mike'a stał się częścią Wspólnoty. Nawet gdy myślał już, że zostanie sam, po tym jak dotknął go Delimer, spotkała go nieoczekiwana pomoc ze strony Pierwszego.

To było naprawdę przerażające. Uświadomił sobie, że nie ma na siebie żadnego pomysłu... Niczego, co pchałoby go dalej. Nikła myśl o znalezieniu swojego dawnego wybawcy nie uspokajała go w tym momencie nawet trochę.

Kuba musiał odczytać jego zawahanie, bo szybko wyrwał go z zamyślenia. — Poradzisz sobie! — stwierdził, starając się brzmieć pewnie. — Nie jesteś już przecież Nowoprzybyłym. No i samemu albo z Pierwszym będzie dużo trudniej cię odnaleźć. Pamiętaj, to dla dobra ludzi w autobusie. Oczywiście jutro nie możesz się zdradzić. Nie chcę scen. Gdyby nasza mała intryga wyszła jutro na jaw... Wiesz dobrze, jak zareagowałaby Oli.

— Zrobię co w mojej mocy... — odparł, spuszczając przy tym głowę.

— Wierzę w ciebie, Dzik! A teraz może lepiej idź się zdrzemnąć. Przed tobą ciężki dzień — stwierdził lider, klepiąc Dzikiego po ramieniu.

* * *

Mimo że Dzik czuł się potwornie zmęczony, nie udało mu się zmruczyć oka na zbyt długo. Jedyną chwilę snu tej nocy okupił długim koszmarem, w którym przedzierał się przez Strefę Głodu. W dodatku uciekając przed niewykształconą wersją Daniela. Przez cały poranek natomiast dręczyły go nawracające burze myśli.

Co stanie się z Autobusem po jego odejściu? Jak zareaguje Oli, gdy dowie się, że po prostu uciekł? Czy Kuba będzie w stanie ich ochronić albo przynajmniej czy znajdzie strażnika, który zrobi to za niego? Dokąd teraz pójdzie? Jak znajdzie Pierwszego? Czy ten będzie chciał w ogóle zabrać go ze sobą? A jeśli nie, co zrobić dalej? Jak udaje się przetrwać Weteranom — samotnikom?

Pierwszą rzeczą, która wyrwała go z zamyślenia były kroki Oli wchodzącej po schodach na piętro busa. Dziki słyszał to charakterystyczne truchta nie tyle razy, że potrafił je rozpoznać bez trudu.

Dziewczyna na pewno przyszła sprawdzić czy już wstał, ale ten udawał, że dalej twardo śpi. Bał się, że na jej widok, nie da rady utrzymać emocji na wodzy. To w końcu jej, z całego Autobusu, będzie mu brakowało najbardziej. Była jak jego młodsza siostra i najlepsza przyjaciółka w jednym.

Oli widząc, że Dziki nie zareagował na jej przyjście, zeszła po cichu na dół. Za jakiś czas wróciła jednak ponownie, a potem znowu i znowu. Po kilku kolejnych próbach zbliżyła się w końcu i łapiąc go delikatnie za bark, spróbowała obudzić. — Wszystko w porządku? Nigdy nie śpisz tak długo po nocnej warcie? — spytała z niepokojem.

— Wszystko ok, byłem po prostu zmęczony — skłamał Dziki, siadając na materacu.

— Powinieneś coś zjeść. Odłożyłam ci jajecznicę ze śniadania... — stwierdziła dziewczyna, głaszcząc go jedną ręką po głowie.

— Skąd wzięliście jajka? — spytał, starając się, by jego głos zabrzmiał naturalnie.

— To tylko proszek z dodatkiem wody, ale jak bardzo się nie skupiasz nad jego smakiem, przypomina trochę prawdziwe jajka — wyjaśniła dziewczyna. — To znaczy... teraz pewnie jest dużo gorsze, bo zimne, ale i tak powinieneś coś zjeść — dodała podsuwając Dzikiemu pod nos małą, niebieską miskę.

Ten dziękując za jedzenie skinieniem głowy, zaczął grzebać widelcem w żółtawej pałce. Po wczorajszej rozmowie z Kubą, nie miał ochoty na nic, a już zwłaszcza na jedzenie. Czuł natomiast, że musi w końcu coś powiedzieć. Oli już na pewno zaczęła dostrzegać panującą ciszę. Jeśli zacznie wypytывать o wartę, a Dzikiemu zatnie się głos, dziewczyna natychmiast pozna, że coś jest nie tak. Znała go już zbyt dobrze, a on nigdy nie umiał zachować pokerowej twarzy.

Potrzebował teraz jakiegoś tematu, który odciągnie jej uwagę. Najlepiej czegoś, co pchnęłoby ją w dłuższy monolog. W końcu, gdy Oli nabierała już powietrza by coś powiedzieć, spytał wyprzedzając ją o milisekundę. — To co tam słyszać u naszych pasażerów? Nie miałem ostatnio głowy, by z kimkolwiek porozmawiać...

Dziewczyna wypuściła powietrze i zrobiła zamyśloną minę. Pytanie było wręcz idealne. Nie było w nim nic niezwykłego ani dziwnego. Dziki często odsypiał w ciągu dnia nocne warty, więc nie zawsze był na bieżąco z tym, co działo się w autobusie. Oli wielokrotnie streszczała mu już wszystkie wydarzenia, zasłyszane rozmowy i zdania ludzi na różne tematy.

Dziewczyna błędziła przez chwilę myślami, a Dziki udawał w tym czasie, że je jajecznicę.

— Kluczowi ciągle doskwiera ta rana — zaczęła w końcu, skupiając na nim wzrok. — Mam nadzieję, że z czasem mu przejdzie. Wiem, że Green bardzo się stara, ale nie jest przecież nawet lekarzem, a co dopiero chirurgiem... — stwierdziła zmartwiona. — Mam ciągle obawy, że mógł nie zrobić czegoś dobrze. No i od czasów tej wpadki z Wiewiórem, Janek jest na mnie ciągle obrażony, a po części również na ciebie. Dalej uważa, że to wszystko stało się, bo ciągle chcę wszystkim pomagać na siłę. I jeszcze przy okazji, wciągam w to ciebie... — mówiąc to, dziewczyna uśmiechnęła się jak psotne dziecko, które właśnie rozbiło szybę. Dziki spróbował odwzajemnić jej uśmiech, a Oli kontynuowała. — Weronika zaczęła chodzić z Bocianem. To znaczy, nie ogłosili tego oficjalnie, ale ciągle siedzą razem. Cały czas słysząc jakieś śmiechy i zaczepki. Ja jednak uważam, że ona dalej gra pod ciebie. Teraz, gdy ty i Dix jakby się „poróżniliście”, chyba szuka drugiej szansy. Próbuje wzbudzić twoją zazdrość — stwierdziła, zerkając na Dzikięgo wyzywająco. Jego brak reakcji musiał być jednak odebrany jako coś dziwnego, bo Oli spytała momentalnie. — Na pewno wszystko w porządku?

— Tak, tak! — odpowiedział szybko Dziki, udając, że nabiera duży kawał jajecznicy na widelec.

Oli wpatrywała się w niego jeszcze przez chwilę. — Zwykle strasznie się rumienisz na wspomnienie o „takich” sprawach, albo zaczynasz odważać coś głupiego. Skąd to zamyślenie? — spytała z niepokojem.

— To tylko zmęczenie. Ta warta była ciężka. Dzieje się jeszcze coś ciekawego? — spytał, próbując ponownie odwrócić uwagę od siebie.

— Kuba cię nie zmienił? Wiem, że wychodził w nocy z autobusu... — spytała podejrzliwie dziewczyna.

Słyszając, dokąd zmierza rozmowa, Dziki pośpiesznie złapał za widelec i przegryzł kilka kęsów jajecznicy. Po czym udając, że nie słyszał ostatniego pytania wypalił nieco zbyt entuzjastycznie. — Faktycznie niedobre! Z czego oni to zrobili?

Widząc jednak minę Oli poczuł, że właśnie przegrał w tym pojedynku. — Dziki, znam cię dostatecznie dobrze... No i najszczerzej mówiąc, nie potrafisz kryć, kiedy coś cię gryzie. Kuba znowu miał do ciebie jakieś pretensje? Nie mów mi, że dalej wyciąga tę sprawę z cegielnią. To było już wieki temu... — stwierdziła, a wyraźne oburzenie narastało w jej głosie.

— Odbyliśmy rozmowę... — stwierdził zdawkowo Dziki. — Myślę, że minie jeszcze trochę czasu zanim mi całkiem daruje.

Oli usiadła na prowizorycznym posłaniu Dzikięgo, wlepiając w niego przenikliwie oczy. — Od zeszłego tygodnia ciągle chodzi mi po głowie, że Kuba chciałby się ciebie stąd pozbyć. Wypchnąć cichaczem, tak żebym nie mogła się w to wmieszać...

W tym momencie Dziki robił wszystko, by nie dać nic po sobie poznać. Oczy Oli wpatrywały się w niego jednak tak przenikliwie, jak jeszcze nigdy. Choć

wydawało mu się, że zachował kamienną twarz, dziewczyna poderwała się, krzycząc: — KURWA, NIE WIERZĘ! ON NAPRAWDĘ CHCIAŁ TO ZROBIĆ!

Dziki był w szoku. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy widział u Oli taką złość, ale był to też pierwszy raz, kiedy przeklęła w jego obecności.

— JA MU WYDRAPIĘ OCZY! — wrzasnęła i natychmiast ruszyła w stronę schodów.

Dziki wystrzelił za nią, strącając jajecznicę na podłogę i nim zdążyła wejść na pierwszy stopień, chwycił ją za rękę. — Oli, błagam cię, daj mi wyjaśnić...

— Tu nie ma nic do wyjaśniania, Dziki. Jeżeli w tym autobusie jest o jedną osobę za dużo, to na pewno nie jesteś nią ty — warknęła, próbując wyszarpać dłoń z jego uścisku.

— Błagam cię! Obiecałem Kubie, że to zostanie między nami... — odparł Dziki, zanim zdążył pomyśleć, jak bardzo dołał teraz oliwy do ognia.

Oli uśmiechnęła się sztucznie, nabierając dużo powietrza i po chwili krzyknęła: — CO?!

Siła jej głosu zdawała się wypełnić całe piętro, a Dziki poczuł, że właśnie wtopił, jak jeszcze chyba nigdy wcześniej.

Oli dyszała ciężko, a Dziki prawie czuł kipiącą w niej złość. Już po chwili przemówiła tak lodowatym i przesyconym jadem głosem, że był niemal pewien, iż musiało dojść do opętania.

— Kuba chciał...on chciał... żebyś stąd uciekł... bez pożegnania... bez jakiegokolwiek słowa na do widzenia... Chciał cię po prostu wyrzucić jak psa, licząc, że wszyscy o tobie zapomnimy... DOBRZE!

— Oli, co ty masz zamiar zrobić? — spytał zupełnie już przerażony Dziki.

— To, co powinnam już dawno!

Dziewczyna wyślizgnęła się z jego uścisku i zbiegła po schodach. Ten, czując, że zaraz zaczną się prawdziwe kłopoty, ruszył pędem za nią.

Autobus był już całkiem rozbudzony. Jego mieszkańcy wpatrywali się z ciekawością w stronę półpiętra, przyciągnięci krzykami, jakie dochodziły z góry. Jedynie Kuba, który odsypiał nocne spotkanie, leżał zupełnie nieświadom zbliżającego się zagrożenia.

Oli bez ceregieli podbiegła do niego i jednym szarpnięciem zrzuciła z siedzenia.

— Co do chole... — chciał krzyknąć mężczyzna, ale w połowie zdania dostał kopa w brzuch.

— Oli! Co ty wyprawiasz? — zawołał Green, który czytał akurat książkę siedzenie dalej.

— KUBA CHCIAŁ WYRZUCIĆ DZIKIEGO Z AUTOBUSU! — wykrzyczała, kopiąc wściekle leżącego na ziemi lidera.

Dziki zaczął odciągać ją, a mężczyzna obdarzył go wyjątkowo nienawistnym spojrzeniem. Podniósł się, ciągle niepewnie zerkając na Oli. — Tak,

to prawda... — westchnął, z trudem nabierając powietrze. — I powinienem był zrobić to już dawno. Dziki jest zbyt lekkomyślny, by wami przewodzić w czasie mojej nieobecności...

— Czyli przez cały czas! — zakpiła Oli.

— Doskonale wiesz, że mam sporo spraw na głowie! — próbował bronić się Kuba.

— No tak, bo ukrywanie się i nieangażowanie w nic zajmuje naprawdę dużo czasu! — warknęła dziewczyna.

W tym momencie Dziki poczuł, że Oli przesadziła. Motywy Kuby może rzeczywiście nie były krystalicznie czyste, nie można było jednak powiedzieć, że nic nie robił przez cały ten czas. Po samym notatniku, który dostał w prezencie, wiedział, że ich liderowi udało się zgromadzić niesamowitą ilość informacji o Nowym Świecie. Zbierał też zapasy, które dostawali Nowoprzybyli. Pomagał określać bezpieczną trasę dla autobusu. Fakt, prawie nigdy nie było go na miejscu, ale nie można było absolutnie powiedzieć, że nie robi nic.

— Może trochę za ostro do tego podchodzisz — stwierdził delikatnie Dziki i powoli przysunął się do lidera. — To nie jest tak, że Kuba mnie do czegoś zmusza. Ta decyzja... — tu język stanął mu przez chwilę kółkiem. — Ona została jakby podjęta wspólnie — wydukał, starając się by to wierutne kłamstwo, brzmiało szczerze.

— Jak to wspólnie?! — spytała z niedowierzaniem Oli. — Dziki, nie próbuj go bronić! Ty na pewno tak nie myślisz! — krzyknęła, a łzy nabiegły jej do oczu.

Nieco zaskoczony Kuba podniósł się w końcu z ziemi i teatralnym gestem objął Dzikiego, jednocześnie ciągle masując brzuch. — Widzisz, Oli... Dziki to dobry chłopak i myśli tylko i wyłącznie o waszym bezpieczeństwie. Zdając sobie sprawę, jak wielu wrogów sobie narobił, po prostu nie chce was dłużej narażać...

— Słuszna decyzja, Dziki — zawołał Smalec, podchodząc z wyciągniętą dłonią, jakby to miał być koniec rozmowy. — Naprawdę, takie coś wymaga odwagi. — Gdy jednak przechodził obok Oli, ta z całej siły rąbnęła mu butem w stopę. Smalec, kwicząc jak prawdziwe prosię, runął na ziemię. — Pogięło cię! — zawołał zbulwersowany, ale dziewczyna w ogóle go nie słuchała.

— Dziki, nie możesz odejść... — powiedziała, opuszczając głowę. — Nie ważne ilu wrogów sobie zrobiłeś! Pomogliśmy razem tak wielu ludziom! Tylko dzięki tobie ten autobus stał się symbolem czegoś większego!

— Ten autobus miał przede wszystkim zapewnić wam bezpieczeństwo! — wtrącił Kuba, podchodząc bliżej dziewczyny. — Z Dzikim na pokładzie wszyscy możecie od razu jechać na przystanek w Strefie Głodu. Daniel nigdy mu nie podaruje!

— Daniel nie odważy się zdrzeć z Pierwszym... — wyszeptał niepewnie Korek.

— Co? — spytał Kuba, jakby nie zrozumiał o co chodziło młodzikowi.

— No właśnie... — zawtórowała niepewnie Weronika. — Pierwszy to przyjaciel Dzikiego i teraz wszyscy o tym wiedzą! Nikt nie odważy się zdrzeć z legendą Krańcowa.

— Szkoda, że nie byliście ze mną na placu! Bo zobaczylibyście, jak legenda Krańcowa była zmiotana przez Dix po ziemi — wysyczał Kuba z mściwa satysfakcją.

— Weterani popierają to, co robi Dzik. Nie pozwól go ruszyć... — stwierdził Edek. — Przyszli przecież, żeby nam pomóc w cegielni...

— Czy wy poszaleliście wszyscy?! — zapytał ironicznie Kuba. — Weterani przyszli, bo zmusił ich do tego Wilk! Sami z siebie nie pomogliby nikomu, a już tym bardziej nam! Nasz szeryf może ma dług wobec Dzikiego, ale teraz jest już na stałe wyłączony z gry...

— Kuba ma rację! — potwierdził Bocian. — Wiele zawdzięczamy Dzi-kiemu, ale jego obecność jest w tym momencie dla nas zbyt niebezpieczna.

Dzik zauważył, jak po tych słowach dłoń Weroniki wyslizgnęła się z ręki Bociana.

— Posłuchajcie, to nie jest żadne głosowanie! — zawołał Kuba. — Decyzja została już podjęta, Dzik odchodzi.

W tym momencie cały Autobus zdążył już zbiec się na tył, łącznie z Jan-kiem, który musiał w międzyczasie zatrzymać piętrusa. Oli nie miała jednak zamiaru odpuszczać i stając naprzeciw Kuby, wykrzyczała: — Niby dlaczego?! Bo TY tak zadecydowałeś? Zapomniałeś już, że Autobus to nie tylko TY? Tak właści-wie, ten Autobus to już jest od dawna wszystko inne, tylko nie TY! Dlaczego więc nie zagłosujemy? Kto jest za tym, by to Dzik został nowym liderem?!

W tym momencie przez chwilę zapanowała cisza. Kuba po tym co usły-szał, był w takim szoku, że nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Jednak już po chwili część mieszkańców zaczęła wiwatować radośnie. Z panującej euforii pierwszy wyłamał się Dzik. — Cisza! Cisza! Dajcie mi coś powiedzieć — zawo-łał, przekrzykując ostatnie głosy. Ludzie patrzyli się w niego z minami, jakby miał teraz zacząć przemowę po objęciu władzy. Jedynie Kuba zerkał na niego badawczo, zapewne analizując, co może powiedzieć. Dzik wziął głęboki od-dech i zaczął tłumaczyć spokojnie. — Posłuchajcie, jest jeden ważny powód, dla którego nie mogę dłużej z wami jeździć. I nie chodzi tutaj wcale o lekko-myślność czy fakt, że narażę się Danielowi. Myślę nawet, że on ma swoje problemy i po rozmowie z nim, jakoś ciężko przyjąć mi go za wroga... mojego wroga... Jest inna historia! Historia, której pewnie w większości nie znacie, co najwyżej niektórzy z was mogli usłyszeć pewne pogłoski. Historia o najgorszej rzeczy, którą zrobiłem... — Mieszkańcy autobusu zgromadzili się, obserwując Dzikiego niepewnie. Ten przełknął nerwowo ślinę. Już od bardzo dawna nie wspominał tej czarnej karty swojego życia. Najbardziej żałował, że właśnie te-

raz musiał to odkryć i to wśród wszystkich, na których mu zależało, ale był to teraz jedyny sposób by zdusić ten nagły zryw. — Tydzień po moim przybyciu, gdy opuściłem autobus, Mike próbował wciągnąć mnie do Wspólnoty. Musia-łem jednak najpierw spełnić szereg warunków — zaczął tłumaczyć. — Jednym z nich było zdobycie broni... Pozyskałem ją, sprzedając Siwemu człowieka...

Kilka osób westchnęło z niedowierzaniem. Weronika szepnęła coś, co brzmiało jak: — Dzik, nie...

— Wszyscy popełnialiśmy błędy — zaczęła go usprawiedliwiać Oli, ale nawet jej zapal nieco przygasł.

Dzik postanowił w tym momencie iść za ciosem. — Ten chłopak, którego sprzedałem, Michał Modrzew zdołał uciec Siwemu. Po tych wszystkich torturach, jakich musiał tam zaznać, zapragnął tylko jednego. Zemsty na mnie. Najgorsze jest to, że Modrzew posługuje się błędami. Zna się na nich naprawdę dobrze. A ja zdaję sobie sprawę, że nie mogę się równać z kimś, kto się nimi posługuje!

Cisza, jaka zapanowała w autobusie po jego słowach, była niezwykle przytłaczająca. Entuzjazm, który wybuchł w chwili, gdy Oli zaproponowała, by Dzik został nowym liderem, umarł całkowicie. Wszyscy wpatrywali się w nie-go, jakby był trędowaty. Jedynie Kuba wydawał się być zadowolony. Przez chwilę na jego twarzy, tuż pod gęstą brodą, pojawił się grymas przypominają-cy, powstrzymywany ze wszystkich sił, uśmiech.

Dzik czuł, że to już koniec jego podróży w autobusie. Pocieszało go jedynie, że będzie miał okazję się pożegnać. Nie ułożył sobie jednak wcześniej niczego, co mógłby przekazać. Miał w końcu zniknąć ukradkiem. Nie było więc sensu przygotowywać wcześniej mowy na do widzenia. Teraz, gdy próbował coś skłecić, stojąc pośród tych wszystkich wpatrujących się w niego ludzi, miał w głowie prawdziwą pustkę. — *Tylko się nie rozklej* — pomyślał. — *Nie teraz, gdy wszyscy patrzą na Ciebie.*

— Nie wolno ci! — zawołała nagle Oli. — Nie wolno ci nawet myśleć, że mógłbyś nas zostawić!

— Oli, przestań! — krzyknął Kuba, ale dziewczyna ignorując go, ze łzami w oczach wparowała prosto w Dzikiego. Z twarzą wbity w jego klatkę piersiową zaczęła szlochać i bić go pięściami. — Przez całe moje życie nie spotkałam nikogo takiego, jak ty. Nieważne czy był to Stary czy Nowy Świat. Nigdy nie spotkałam nikogo tak dobrego... Mówiłam ci, powtarzałam... nie da się pomagać ludziom, nie narażając samego siebie. Jeżeli ten autobus miałby wrócić do tego bezcelo-wego krążenia, trwania wyłącznie dla własnego dobra... to już ci to mówiłam. DLA MNIE MOŻE WCALE NIE ISTNIEĆ! — wykrzyczała na koniec.

W tym momencie z tłumu wyłonił się Green. — Oli ma trochę racji. Gdy nocowaliśmy we Wspólnocie, wszyscy ciągle patrzyli się na nas jak na tchórzliwe szumowiny. Szepłali o nas straszne rzeczy. Gdy Dzik zdecydował się pomóc Wilkowi, ludzie nabrali do nas więcej szacunku...

— No i Dziki zawsze nas bronił — dodał Edek. — Żaden z naszych strażników nie rzucał się do walki z taką zaciekłością jak on.

— A wtedy, gdy w szkole zaskoczył nas Delimer, to Dziki wyprowadził nas bezpiecznie... — pisała Laura.

— NIEWAŻNE, CO DZIKI ZROBIŁ PRZED PRZYJŚCIEM DO AUTOBUSU. JEŻELI ON ODCHODZI, TO JA TEŻ! — zawył Korek.

Dziki popatrzył na niego przerażony. Miał już zamiar zganić chłopaka, gdy nagle Oli oderwała się spod jego piersi krzycząc. — Ja też!

— No to i ja! — stwierdził Green.

— To jest OBŁĘD! Uspokójcie się wszyscy! — zawołał Kuba, który nie mógł powstrzymać paniki w swoim głosie. — Dokąd macie zamiar iść? Żadne z was nie żyło poza autobusem! Wy nie wiecie, jak tam jest...

— Razem z Dzikim jakoś sobie poradzimy! — stwierdził pewnie Edek, stając obok drzwi.

Kuba wyglądał już na naprawdę przerażonego. Co prawda, odejście niektórych, a zwłaszcza Korka, mogłoby być mu nawet na rękę, ale nie Greena, który był ich lekarzem. No i co najważniejsze — Oli, przez którą, bądź co bądź, mężczyzna ciągnął ten cały cyrk. Jego oczy błędziły pomiędzy postaciami, a twarz zdradzała sporą niepewność.

— Uspokójcie się wszyscy! — krzyknął w końcu Dziki. — Nie mogę zabrać żadnego z was! Na obecną chwilę nie jestem w stanie zagwarantować wam bezpieczeństwa, a nie mam zamiaru mieć waszej krwi na rękach.

Miał nadzieję, że to ostudzi nieco buntowniczy zryw, ale Oli spojrzała na niego z wyzywającą miną. — Ty podjąłeś decyzję o odejściu, a my o tym, że idziemy z tobą. Jeżeli chcesz, żebyśmy zostali w autobusie, ty też musisz zostać!

Wszyscy deklarujący odejście przytaknęli jednocześnie. Wtedy do rozmowy włączył się dotychczas milczący Janek. — Posłuchajcie mnie przez chwilę. Podejmujecie wszyscy za dużo decyzji pod wpływem emocji. Decyzji, których możecie potem bardzo żałować. Daliście jasno do zrozumienia, że Dziki podoba wam się w roli strażnika autobusu, ale to nie jest tak, że ktoś go zmusza do odejścia. A na pewno nikt nie mógłby go zmusić w tym momencie. To wciąż jest jego, tylko i wyłącznie jego decyzja. Nie obraż się Kuba, ale jakoś nie wyobrażam sobie, żebyś stoczył tutaj walkę z Dzikim, gdyby ten nie życzył sobie odejść. Dlaczego po prostu nie uszanujecie jego decyzji?

— BO TO GŁUPIA DECYZJA! — wtrąciła natychmiast Oli.

Janek westchnął ciężko, zbliżając się do Dzikiego. — Wiecie dobrze, że nie zawsze dogadywałem się z Dzikim, ale lubię go bardziej niż któregośkolwiek z poprzednich strażników, nie licząc Brissa. Sam też wołałbym, żeby został. Uważam, że dużo się nauczył... że wyciągnął już wnioski z błędów, które popełnił... Nie chciałbym powierzać się w tym momencie pod opiekę nikogo obcego.

Cały czas podkreślam, że Dziki robi to dobrowolnie dla naszego dobra. Nie chce, żeby dosięgnęła nas rykoszetem czyjakolwiek zemsta...

Oli słysząc to, wyglądała jakby miała wybuchnąć i to, co powiedziała, rzeczywiście było niczym wybuch. — Szkoda, że nasz obecny lider nie zdecydował się odejść, zanim „Odrodzenie” powięzało go z nami i zemściło się rykoszetem na Brissie!

— Oli... — wyszeptał Kuba, głosem tak zrezygnowanym, jak jeszcze nigdy wcześniej.

— Nie! — powiedziała twardo dziewczyna. — Mam już dość tego teatryku. Prawda jest taka, że nasza neutralność to od zawsze była mrzonka. Naraziłeś się nie tylko Odrodzonym! Danielowi też podpadłeś, kiedy zostawiłeś jego i Pierwszego w zakładach chemicznych. Różnica jest taka, że przez cały okres twojego dowodzenia, nikt nie miał szacunku do tego, co robimy. Wszyscy uważali nas za pasożyty, którzy jeszcze wciskają problemy innym. Od kiedy Dziki jest z nami, Autobus to zupełnie inne miejsce! Takie, jakim powinno być od początku. Wolę zaryzykować zemstę Daniela, Modrzewa czy kogokolwiek innego z Dzikim niż przez resztę życia ukrywać się z tobą!

— Oli ma rację! — potwierdził Kryspin, dodając po chwili coś, jak zawsze niezrozumiałego dla innych. — Daniel, Modrzew i jeszcze pewnie masa innych ludzi nas nienawidzi. Skoro już mam umierać, wolę to zrobić w towarzystwie Dzikiego niż kolejnego tchórza! Przynajmniej nie zamkną się przede mną wrota Walhalli!

— My też wołałybyśmy, żeby Dziki został... — wyszeptała niepewnie Beata, a Laura potwierdziła kiwając głową.

— Nie masz wyjścia, Dziki. Musisz zostać... — podsumował Edek.

Oli odwróciła się w jego stronę. Jej oczy patrzyły błagalnie, prawie ocierając mu się o duszę. Przecież miał zamiar odejść tylko dla ich dobra. Ale oni byli gotowi zaryzykować ze względu na niego. Jak mógłby ich teraz zostawić? — Dobrze, zostanę... — westchnął.

W całym autobusie zagrzmiało radosne wołanie, udzieliło się nawet tym, którzy nie byli przekonani. Jedynie Smalec, Kuba i Bocian usiedli nadąsani, łypiąc w stronę wiwatujących. — Więc, ja też zostanę — warknął niespodziewanie lider autobusu.

Na to kilka osób zawołało: — Co?!

— Koniec moich samotnych podróży! Nie zostawię was tylko i wyłącznie pod opieką Dzikiego. Z moim doświadczeniem może uda nam się nie zginać w przeciągu tygodnia... — warknął jeszcze raz Kuba.

Rozradowana Oli stwierdziła pewnie. — Wiedziałam, że zrozumiesz, jaką głupotę robisz...

Dziki nie mógł nie zauważyć jak Kuba momentalnie zmarnotniał. Sam nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Przecież, tak w głębi serca,

wcale nie chciał stąd odchodzić. Ten autobus to był jego dom. Prawdziwszy niż ten w Starym Świecie. Ci wszyscy ludzie, którzy go tutaj otaczali, byli jego rodziną. Bał się o przyszłość i nie mógł tego ukrywać, ale teraz nie miało to znaczenia. Uczucie ulgi rozlało się po nim. Poczuł jak jakiś ogromny ciężar schodzi z jego barków.

Wiedział, że wziął na siebie ogromną odpowiedzialność. Musiał teraz uważać bardziej niż kiedykolwiek, ale ci ludzie, ten autobus... To był jego nowy dom. Dom, którego nie chciał opuszczać i o który chciał walczyć ze wszystkich sił.



Rozdział XVI

Dwóch to za dużo

Atmosfera panująca w Autobusie jeszcze nigdy nie była tak napięta. Kuba, który stracił jakiekolwiek zaufanie do Dzikiego, starał się robić wszystko, by usunąć go z roli, jaką mu wcześniej powierzył.

Nie mógł jednak zrobić tego siłą, a wbrew jego oczekiwaniom, większość mieszkańców wciąż popierała swojego dotychczasowego strażnika.

Dziki starał się z początku odnaleźć w tej dziwnej sytuacji jakieś pozytywne strony. Obecność kogoś tak doświadczonego i zachowawczego jak ich lider mogła uchronić ich przecież przed wieloma potencjalnymi niebezpieczeństwami. Problem był w tym, że Dziki nie przewidział, jak bardzo niechęć mężczyzny będzie dawała mu się we znaki, w każdym aspekcie ich codziennej walki o przetrwanie.

Kuba nawet przez chwilę nie dawał zapomnieć Dzikiemu, że nie chce go w autobusie. W wyniku czego praktycznie każda podjęta przez niego decyzja, musiała zostać wcześniej okupiona bezsensowną kłótnią. Jak na złe, mężczyzna upodobał sobie wciąganie pozostałych mieszkańców w ich spory, starając się ciągle podkreślać rzekome „nierozgarnięcie” i „nieodpowiedzialność” obecnego strażnika Autobusu.

Jedynym promieniem słońca w całej tej sytuacji była Oli. Dziewczyna stawała w obronie Dzikiego w każdym możliwym momencie, czego ujemnym skutkiem był fakt, że Kuba jeszcze mocniej się na niego nasadzał. Ich lider od dawna miał do dziewczyny wyjątkową słabość, a każde wsparcie udzielone przez nią Dzikiemu, tylko potęgowało jego zazdrość.

Dziki bardzo nie chciał doprowadzić do eskalacji tego konfliktu na resztę mieszkańców, dlatego przez większość czasu starał się ustępować Kubie. Choćby kosztem własnego spokoju. Godził się więc na wszystkie nocne warty, nieprzewidziane szabry i inne dziwactwa, jakie ich lider tylko sobie wymyślił. Robił to głównie z obawy przed tym, by niesiony emocjami mężczyzna nie zaczął w końcu działać na szkodę Autobusu do Wolności, byleby tylko pozbyć się z niego Dzikiego.

Każdy jednak osiąga w końcu granice swojej cierpliwości, a cierpliwość Dzikiego wyczerpała się po pewnej nocnej warcie...

Otwierając drzwi, Dziki wpuścił do dusznego wnętrza odrobinę porannego chłodu. Przez całą noc rozmyślał tylko o tym, jakie nowe przytyki albo wymysły Kuby będzie musiał dzisiaj znosić. Mijając śpiącego tuż przy drzwiach Edka, który nawet nie zareagował na jego wejście, ruszył prosto do legowiska Janka.

Mężczyzna spał zwinięty w ciasny kłębek, tuląc swoją nieodłączną poduszką w konopne wzory.

— Stary, czas na ciebie — westchnął Dziki, szarpiąc go za bark.

Na jego nieszczęście w autobusie od dawna nie spał ktoś jeszcze.

Kuba poderwał się z fotela, jakby już od dłuższego czasu na niego czekał. — Strasznie wcześnie kończysz te warty! — zarzucił wyraźnie wzburzony. — Jak Janek ma potem prowadzić autobus cały dzień? — spytał, składając ręce na piersi.

Dziki, który był naprawdę w podłym nastroju (ciągnął już bowiem trzecią noc z rzędu), odwarknął jedynie: — Zawsze może go zmienić Korek!

Kuba popatrzył na niego z takim politowaniem, jakby usłyszał coś naprawdę absurdalnego. — Ja nie powierzyłbym temu chłopakowi tak odpowiedzialnego zadania — stwierdził dobitnie. — Ledwo otarł się o granicę pojawienia. Po prostu nie wiem, co ci przyszło do głowy, żeby pozwolić mu prowadzić autobus...

Kuba zaczynał już swoją codzienną zwyczajową kłótnię o nic, a Dziki miał wrażenie, że dziś może po prostu nie wytrzymać i przestawi mu w końcu nos. Biorąc głęboki oddech, rozluźnił zaciśnięte pięści, ale był zbyt zirygowany by tym razem, tak po prostu odpuścić. — Tak, otarł się o granicę — prychnął ironicznie. — Jakieś trzy lata temu! Jest już w wieku, w którym biorą do wojska, wiesz? — spytał retorycznie, patrząc wściekłym wzrokiem w stronę lidera. — Nikt w autobusie nie pozwalał mu się niczym zająć, a potem wszyscy tylko płakali, jaki jest bezużyteczny. A wczoraj cały wieczór prowadził autobus nie gorzej od Janka! Chociaż wiesz co? — spytał i ponownie nie dał Kubie dojść do słowa. — Ty w autobusie bywałeś tak często, że może dla ciebie on rzeczywiście dalej ma piętnaście lat...

Janek słysząc zaczęłą dopiero kłótnię, poderwał się wściekle ze swojego miejsca. — Boże, możecie już skończyć?! — krzyknął, wciskając poduszkę w półkę nad kierownicą. — Przez wasze krzyki i tak już wstałem! Nie wiem! Zaczynajcie pić jakąś melisę albo siedźcie na oddzielnych piętach, bo razem jesteście nie do wytrzymania!

Dziki odetchnął ciężko i gdy kierowca zajął już miejsce, miał zamiar pójść na górę, po prostu się przespać. Niespodziewanie usłyszał jednak coś gorszego, nawet od upierdliwego głosu Kuby. Dźwięk zdychającego akumulatora.

— Co do... — warknął Janek przekręcając kluczyk po raz kolejny, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Autobus wydał z siebie jeszcze cichsze jęknięcie i ostatecznie zamilkł. Kierowca zaczął panicznie rozglądać się po kokpicie i po chwili zrobił wielkie oczy, krzycząc jednocześnie :— KOREK!

Młody chłopak wystrzelił spomiędzy foteli i w sekundę znalazł się tuż przy kierowcy. Ten, wyraźnie starając się zachować spokój, spytał: — Powiedz mi, jak wylączyłeś wczoraj autobus, czy przełączyłeś na akumulator postojowy?

Chłopak popatrzył przez chwilę na Janka, a potem przebiegł wzrokiem po kokpicie, jakby przypominał sobie wczorajszy wieczór i już po chwili stracił prawie cały kolor na twarzy. — Ja... ja chyba zapomniałem... — wydukał.

Czegoś takiego Kuba nie mógł po prostu odpuścić. — Cudownie! Po prostu cudownie! — warknął, patrząc natychmiast z wyrzutem w stronę Dzi-kiego. — I co ja przed chwilą mówiłem? Ale nie, ty jak zawsze najmądrzejszy! Dawać dzieciakowi prowadzić autobus! No, cudowny pomysł!

— Przestań Kuba, mogło się zdarzyć każdemu... — wtrącił Janek, dla którego obecność Korka jako kierowcy, była mimo wszystko bardzo dużym odciążeniem. — Poza tym, mamy zapas w skrytce. To nie jest problem...

— Oczywiście, że jest — przerwał natychmiast Kuba. — A gdybyśmy musieli teraz uciekać przed Niewykształconymi? Gdyby nagle zaczął tu biec oddział Armii?! Myślisz, że czekaliby aż przepniemy akumulator?

Ponieważ nic takiego się nie stało, mina Janka mówiła, że Kuba nieco przesadza. Nie ośmielił się jednak powiedzieć niczego, bo trudno było zarzucić mężczyźnie brak racji.

— Co to za wrzawa? — spytał Smalec, który zbliżył się właśnie z końca autobusu, razem z innymi obudzonymi przez krzyki.

— Korek zapomniał przełączyć akumulator na postojowy. Musimy odpalić z awaryjnego... — wyjaśnił spokojnie Janek, przedstawiając zdarzenie jako błądostkę.

Kuba jednak nie miał zamiaru odpuścić, póki cały autobus po raz kolejny nie usłyszy o niekompetentnych decyzjach Dzi-kiego. Widząc, że zgromadził już wszystkich, zaczął kolejny ze swoich wywodów. — Tłumaczyłem Dzi-kiemu wiele razy, że Korek jest zbyt młody by powierzać mu tak odpowiedzialne zadanie, jak prowadzenie autobusu. No, ale Dziki się uparł. Nasze szczęście, że nie musieliśmy w nocy uciekać stąd awaryjnie...

— Przepraszam... — wyszeptał Korek głosem, jakby miał zaraz odejść z tego świata.

— Taki błąd mógł popełnić każdy! — wtrącił Dziki, mając zamiar bronić chłopaka. — Gdy ty jeździłeś z autobusem podczas mojej niedyspozycji, zostawiłeś z premedytacją puste baki. A gdyby wtedy błysnęło? I musielibyśmy zdobywać paliwo tuż przed przemarszami? Zastanowiłeś się nad tym?!

— Nie było wtedy żadnego Błysku, ani żadnego przemarszu — odwar- knął Kuba.

— Tak jak dzisiaj nie ma tu żadnych Niewykształconych, a my nie musimy nagle uciekać! — zripostował Dziki. — Podepnijmy awaryjny akumulator i ruszamy. A Korek będzie dalej prowadził autobus, bo potrzebujemy zastępczych

kierowców! Po tym co zrobił dzisiaj, wiem, że nie popełni już więcej tego błędu — stwierdził, szarpiając jednocześnie za awaryjną dźwignię by otworzyć drzwi.

Niestety nim zdążył dać krok na zewnątrz, Kuba chwycił go za ramię. — Ten chłopak nie będzie więcej prowadził autobusu i mam nadzieję, że to do ciebie dotarło!

Słyszając wyniosły ton lidera i czując gromadzącą się od dawna irytację, Dziki po prostu nie wytrzymał. Złapał Kubę za kurtkę i ryknął mu w twarz. — Skoro tak ci się podoba rządzenie Autobusem, dlaczego uciekałeś od tego tyle lat? Twoja decyzja nie jest tutaj ostateczna już od dawna! Jeśli chcesz, możemy zrobić głosowanie, ale na pewno nie zrezygnuję z dodatkowego kierowcy tylko dlatego, że masz teraz kaprys stawiać na przekór każdej mojej decyzji!

Kuba stał przez chwilę, nie wiedząc co powiedzieć. Dziki wiedział doskonale, że od momentu, gdy mieszkańcy podważyli wyrzucenie go z autobusu, władza ich lidera była już tylko umowna. Ten, nie chcąc zapewne stawiania kolejnej sprawy na ostrzu noża, odpuścił. — Jeszcze do tego wrócimy... — powiedział gniewnie, przechodząc w głąb autobusu.

W tym samym momencie Dziki wyskoczył na zewnątrz. Chłodne powietrze uderzyło go w twarz, rozbudzając niewiele mocniej niż kłótnia przed chwilą. Tuż przed autobusem stał ogromny budynek sklepu meblowego. Parking w tym miejscu był jednym z ich stałych punktów noclegowych.

Okrążając autobus, Dziki doszedł do jednego ze schowków i zaczął mocować się z zamkiem, ale jak na złość przyrzedziały mechanizm ani myślał puścić. Szarpiając za klamkę popadał w coraz większą irytację. Zazwyczaj lepiej trawił kłótnie z Kubą. Może po prostu był już bardzo zmęczony? Może miał już dostatecznie dużo na głowie i nie miał siły znosić jeszcze ciągłych przytyków? Może taki był właśnie plan mężczyzny? Sprawić by podróżowanie autobusem było dla niego na tyle nieznośne, że sam będzie chciał odejść. — Wszystko kurwa robię źle... A jednak jakoś przetrwaliśmy tyle czasu. Pieprzony idiota... Jedyny co potrafi, to narzekać... — mamrotał sam do siebie.

— Urwiesz to w końcu, zamiast otworzyć — westchnęła Oli, która pojawiła się tak nagle, jak Zjawa i bez trudu otworzyła drzwiczki, z którymi on już dobrą minutę się mocował. — Nie chciałeś nikogo do pomocy? — spytała. — To przecież jest ciężkie...

— Lepiej jak się wyładuję dźwigając akumulator, niż objając twarz naszemu bossowi... — stwierdził nieco zbyt oschle, szarpiając ogromną baterię.

Słyszając jego gniewny ton, dziewczyna podbiegła i zaczęła złapać za akumulator z drugiej strony, jakby chciała mu przeszkodzić. — Zdrowe podejście — stwierdziła, udając, że ciągnie baterię w przeciwną stronę. — Tylko jakoś nie wierzę w to twoje rozładowanie. Ale cieszę się, że stanąłeś w obronie Korka. Kuba zakrzyczałby go, a jemu to naprawdę jest potrzebne. Nawet nie wiesz, jaki jest szczęśliwy, od kiedy może robić coś pożytecznego...

— Wiem — odparł Dziki. — Chcę, żeby każdy miał jakiś wkład w Autobus. Finalnie jedziemy nim wszyscy razem — stwierdził, pukając jednocześnie w szybę, by Janek otworzył boczną klapę.

Oli zamyśliła się przez chwilę, rysując serduszko w kurzu na obudowie. — Myślałam, że Kubie w końcu przejdzie — westchnęła. — Miałam nadzieję, że jak nerwy trochę odpuszczą, to zacznie się jakoś układać. A wychodzi na to, że z dnia na dzień jest coraz gorzej.

Dziki, który podczepiał właśnie klemy, podniósł się powoli, uważając by nie uderzyć głową o maskę. — Trochę w tym twojej winy... — stwierdził z przekąsem. Dziewczyna oparła się o autobus, robiąc skonsternowaną minę. — Czemu niby? — spytała wyraźnie zaciekawiona.

Dziki nie mógł powstrzymać ironicznego uśmiechu, który wykwitł mu na twarzy. — I to podobno ja nie umiem odczytywać znaków i sygnałów... Kuba jest o ciebie zazdrosny — stwierdził, dając jednocześnie Jankowi znak, by odpalił autobus.

— Nie rozumiem dlaczego! — zaperzyła się Oli. — Przecież wszyscy są dla mnie równie ważni!

Silnik zagrzecgotał, a Dziki opuścił klapę, robiąc złośliwą minę. Przeciągając przez chwilę ciszę, obserwował jak niepewność Oli narasta. — Tylko że Kuba chciałby być dla ciebie „najważniejszy” — powiedział w końcu, kładąc wyraźny akcent na ostatnie słowo.

W tym momencie dziewczyna doznała szoku. Zrobiła się czerwona, potem fioletowa, a w końcu uciekła krzycząc: — TY CHYBA JESTEŚ GŁUPI!

Dziki widząc to, roześmiał się tak szczerze, jak już od dawna nie miał okazji. Po tylu razach, gdy Oli wypominała mu, jak bardzo ślepy był na adorację Weroniki, ona nie zauważyła oczywistego zadurzenia Kuby! Jego chwila radości nie trwała jednak długo, bo odchodząc, dostrzegł jakąś oleistą plamę tuż pod autobusem. — Cholera... — zaklął pod nosem.

Po porannym awaryjnym rozruchu nie miał zamiaru ryzykować i zostawiać tego bez sprawdzenia. Ciągnąc akumulator z powrotem do schowka, stwierdził, że poprosi ich mechanika, by przyjrzał się wyciekowi. Gdy tylko wrócił do piętrusa, natychmiast zawołał: — Klucz! Możesz zerknąć na silnik? Coś z niego wycieka... Wysoki chłopak podniósł się powoli z grymasem bólu na twarzy. Od momentu postrzału mocno stracił na wadze i to pomimo tego, że nigdy nie należał do najpotężniejszych. Skóra jakoś dziwnie wisiała mu na twarzy, był też nienaturalnie błydy. Mimo to powolnym krokiem zbliżył się do drzwi.

Dzikemu zrobiło się teraz głupio, że może przerwał mu odpoczynek dla jakiejś błahostki. Z drugiej strony, jeżeli chodziło o ich pojazd, zawsze lepiej było dmuchać na zimne. — Wszystko dobrze? — spytał nieco przestraszony.

— Rana dziś trochę bardziej doskwiera... — wyjaśnił Klucz krzywiąc się. — Spokojnie, zaraz zerknę na silnik — dodał, staczając się po schodach.

Dziki poszedł za nim, bojąc się, że ten zemdleje gdzieś po drodze na przód autobusu.

Jego stan już od dawna wydawał mu się nieciekawym. Chociaż Kuba ciągle powtarzał, że to wynik postrzału i że potrzeba czasu by chłopak doszedł do siebie po czymś takim. Kluczowi jednak nie tylko się nie poprawiało. Zdawał się tracić siły każdego dnia. Gdy oglądał silnik, właściwie ledwo utrzymywał się na nogach.

— Uszczelka przy którymś przewodzie olejowym — stwierdził w końcu. — Ale wyciek nie jest duży, nie musimy robić tego na gwa... — Klucz urwał w pół zdania, łapiąc się nagle za brzuch.

— Stary, co jest? — spytał przerażony Dziki, a w tym momencie mężczyzna osunął się na ziemię i padł nieprzytomny.

— CHOLERA JASNA! JANEK, GREEN! SZYBKO DO MNIE! — krzyknął Dziki.

* * *

Gdy tylko nieprzytomnego Klucza wciągnięto do autobusu, Dziki i Kuba natychmiast podjęli decyzję, że trzeba go zabrać do Wspólnoty. Był to chyba pierwszy raz od czasów cegielni, kiedy zgodzili się w coś ze sobą bez wcześniejszej kłótni. Nie było to jednak takie dziwne, bo Wspólnota była właściwie jedynym miejscem, gdzie ich mechanik mógł uzyskać prawdziwą pomoc.

W czasie drogi Klucz nawet na chwilę nie odzyskał przytomności. Co jakiś czas wydawał z siebie jedynie niewyraźne mamrotanie. Green robił wszystko, co tylko mógł, by ulżyć mu w cierpieniu, ale możliwości, jak i zapasy medyczne miał naprawdę ograniczone.

Po kwadransie szalonej jazdy, w trakcie której Janek wycisnął z piętrusa wszystkie soki, dotarli w końcu na plac przez Wspólnotą. Strażnicy stojący na murach byli wyraźnie zaskoczeni, gdy autobus zahamował gwałtownie tuż przed bramą.

Tym bardziej zdziwili się, widząc Dzikiego, który razem z Kubą, Edkiem i Bocianem wytargali Klucza z pojazdu.

— MAMY RANNEGO, OTWIERAJCIE BRAMĘ! — ryknął Kuba.

Szef strażników zawahał się przez chwilę, ale dostrzegając nieprzytomnego Klucza, natychmiast dał sygnał, by ich wpuścić.

Gromada z autobusu bez ociągania wpadła na plac, pędząc prosto w kierunku lecznicy. Bocian, który biegł jako pierwszy, trzymając Klucza za nogę, bez ceregieli otworzył drzwi kopniakiem.

— CO DO KURWY NĘDZY?! — ryknął Zoidberg, siedzący przy swoim biurku. — MOŻE CHOCIAŻ DZIEŃ DOBRY ALBO POCAŁUJ MNIE W DUPE! — fuknął na nich.

— Mamy nieprzytomnego! Nie mam czasu na grzeczności! — warknął Kuba, nie przejmując się wcale tonem mężczyzny.

Zoidberg popatrzył na Klucza i przygryzając wargę, prychnął. — Dobra! Dawajcie go tutaj!

Mężczyzna wskazał im pierwszy pokój przy wejściu, przerobiony na coś, co w najlepszym wypadku przypominało gabinet szkolnej pielęgniarki. Gdy tylko ułożyli Klucza na kozetce, Zoidberg „wyprosił” ich ze środka, krótkim: — Spieprzajcie! — i właściwie zatrzasnął drzwi przed nosem.

Już kilka minut później Dziki mógł się przekonać, że gdy czekasz na coś ważnego, czas praktycznie staje w miejscu. Edek i Bocian dyskutowali przez dłuższą chwilę o tym, co mogło stać się z Kluczem i pocieszali wzajemnie, że Zoidberg to może i „chuj”, ale przynajmniej jest kompetentny. Ich rozmowa zdawała się ciągnąć co najmniej kwadrans, ale gdy Dziki spojrział na zegarek, okazało się, że minęło dopiero pięć smętnych minut. Kuba przez ten czas nie odezwał się nawet słowem, wpatrując ze złością w podłogę. Nie było wątpliwości, że winą za całą sytuację obarcza, jak zresztą zawsze, Dzikiego, ale najwidoczniej nie chciał robić awantury, gdy obok cierpiał ich towarzysz.

Po „prawdziwym” kwadransie Zoidberg wyłonił się w końcu zza drzwi z dość nietęgą miną.

— Co z nim? — spytał natychmiast Dziki.

Lekarz nie odpowiedział od razu. Po dłuższej chwili układania sobie czegoś w głowie, postawił istic naukową diagnozę. — Do dupy!

— JAKIE DO DUPY?! MOŻE TAK WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW! — ryknął Kuba, podrywając się z miejsca.

— A proszę, panie „doktorze”, ropień wewnątrzbrzuszny! Jakże ma pan wskazania? — prychnął ironicznie Zoidberg.

— Da radę coś z tym zrobić? — dopytał natychmiast Dziki, nie pozwalając Kubie na rozpoczęcie bezsensownej kłótni.

Zoidberg popatrzył się na niego niepewnie. — No może i by dało, ale w tych warunkach to nic łatwego. Potrzebna jest operacja, i to szybko.

— No to na co czekasz? — prychnął Kuba. — Nie możesz jej przeprowadzić?

— Mogę! Ale kto mi zapłaci? — spytał natychmiast lekarz.

— Zapłaci?! — krzyknął z niedowierzaniem Dziki. — Tu umiera człowiek, a ty się chcesz targować?!

— Nie pierwszy i nie ostatni dzisiaj — stwierdził z ironią Zoidberg. — To Nowy Świat! Samych moich kosztów: anestetyki, odkażanie pokoju, narzędzi... To będzie gdzieś z dwa tysiące srebrnych, a ja nie jestem cholernym Caritasem ani Armią Zbawienia. Nie pracuję za darmo! — dodał wyniośle. — Jak nie macie kasy, to go zabierajcie!

Edek, Bocian i Kuba popatrzyli na Zoidberga z minami, jakby chcieli go na miejscu zamordować, ale nie mogli sobie nawet pozwolić, by mu naubliżać. Mężczyzna był im zbyt potrzebny, by wdawać się z nim w dyskusje.

— Ile? — spytał oschle Kuba.

— Siedem tysięcy srebrnych! Najlepiej w biletach... — odparł lekarz. — Chyba że macie coś naprawdę cennego?

Dziki wciąż nie miał okazji nadrobić zaległości w walucie Wspólnoty, ale patrząc na minę Kuby, zrozumiał, że kwota była niebotyczna.

* * *

— ...laptop Edka, mp4 Weroniki, wszystko, co mamy wolnego z zapasów, trochę alkoholu... — wyliczała powoli Oli, przyglądając się rzeczom rozłożonym przed autobusem.

Kuba pokręcił głową. — Z tego wszystkiego nie wyciągniemy nawet tyśiąca srebrnych... — westchnął, przerzucając puszki z jedzeniem. — Szkoda, że ktoś wcześniej tak lekkomyślnie wydał nasze awaryjne zapasy... — dodał, spoglądając z zawiścią w stronę Dzikiego.

Oli, mimo że sama ledwo trzymała się kupy, stanęła natychmiast w jego obronie. — Ręka Olbrzyma zabrała z autobusu wszystko co cenne! Myślisz, że Czarne Zapasy akurat by zostawili? — zripostowała, a ich lider na szczęście dał sobie spokój.

Dziki natomiast myślał tak intensywnie, jak chyba jeszcze nigdy w swoim życiu. — *Co mogło być najcenniejsze w Krańcowie? Tak cenne, że pokryłoby koszt operacji? Coś, co byłoby w stanie zdobyć szybko, nawet skrajnie ryzykując...* — Nagle spoglądając na swoje odbicie w drzwiach autobusu, doznał olśnienia.

Broń, którą zdobył pod cegielnią, amunicja, kamizelka kuloodporna, cały sprzęt jaki wyszabrował razem z Pierwszym, od członka Ręki Olbrzyma. Sprzedając to wszystko, prawie na pewno pokryłby koszty operacji. Oczywiście rozbieranie się było ryzykowne, ale mieli jeszcze w autobusie broń należącą do Kuby. Chociaż ciążyła mu myśl, że ich lider będzie jedyną uzbrojoną osobą w autobusie, to chodziło przecież o życie jednego z ich kompanów.

Dziki bez dłuższego zawahania wpadł do piętusa, a potem popędził na piętro. Tam zdarł z siebie ubranie, pozbierał amunicję, zabrał karabin i wybiegł na zewnątrz. — Co się dzieje, Dzikie? — krzyknęła za nim Oli, ale on już nie słuchał.

Przebiegł przez wciąż otwartą bramę prosto pod lecznicę. Ponownie bez pukania wdarł się do środka, ignorując oburzoną minę Zoidberga. Wyrzucając swoje rzeczy na kontuar, spojrzął na lekarza z zacięciem. — Tyle ci starczy?!

Zoidberg popatrzył na wyposażenie Dzikiego. Dokładnie obejrzał karabin, przeliczył amunicję, przyjrzał się przetarciom na kamizelce. W końcu

cmokając, stwierdził: — No, przyjmijmy, że pokryje koszt operacji. Za opiekę podliczymy się już oddzielnie...

Dziki odetchnął z ulgą. Byłoby tragedią, gdyby okazało się, że nawet oddając wszystko co miał najcenniejszego, nie dałby rady nakłonić Zoidberga do współpracy.

* * *

Autobus do Wolności musiał odjechać spod murów Wspólnoty, gdy tylko formalności z leczeniem Klucza zostały załatwione. Strażnicy bardzo krzywo patrzyli się na takie skupisko ludzi przed bramą, które nie dość, że wabiło Nie-wykształconych, to jeszcze nie płaciło za swój pobyt. Na terenie obozu zostali tylko Dziki i Oli, bo Mike zdołał załatwić im nieodpłatnie, specjalne przepustki.

Ponieważ Zoidberg nie znosił, gdy zdrowi ludzie kręcili się po jego lecznicy, Dziki razem z Oli i Mikiem ulokowali się w barze. Tam przy jednym ze stolików czekali na informacje o rezultatach operacji, jaka już niedługo miała się odbyć.

Przez większość czasu nikt się nie odzywał. Oli i Dziki co chwila zerkali w stronę okna, z którego dość dobrze widać było dach lecznicy. Tylko Mike, który właściwie nie znał Klucza, zachował spokój i nawet skorzystał z okazji, by zamówić sobie piwko.

Pociągając spory łyk z kufła, uznał zapewne, że należy w końcu przerwać tę dołującą ciszę, bo zezując w stronę Oli, spróbował ją zagadnąć. — Nie masz się co martwić... — powiedział, ledwo powstrzymując beknięcie. — Zoidberg to dupek i każdy najchętniej zobaczyłby, jak mu Niewykształcony głupi ryj rozwała... Ale na swojej robocie się zna. Składał już chłopaków w naprawdę kiepskim stanie.

Oli słysząc to uśmiechnęła się, ale zaraz potem odwróciła ponownie w kierunku okna i znowu zamyśliła. Mike widząc, że nie da rady odciągnąć uwagi dziewczyny od tego, co działo się w szpitalu, zwrócił się do Dzikiego. — Od dzisiaj zmieniam ci ksywę na Omen — westchnął znowu mocząc usta w kufłu.

Dziki, który też odruchowo ciągle zerkał przez okno, spytał: — Dlaczego?

— Bo odwiedzasz mnie tylko wtedy, gdy dzieje się coś naprawdę paskudnego... — wyjaśnił Mike. — Jak tylko dostrzegam cię na placu, to od razu wiem, że stała się jakaś tragedia. Dziki Omen, zwiastun pustki...

Dziki zignorował tę zaczepkę. Dużo bardziej interesowało go, że niebo zmieniało powoli odcień na granatowy. Operacja musiała już trwać, bo Zoidberg nie chciał pracować pod żarówkami. Instalacja elektryczna Wspólnoty była zbyt zawodna, żeby robić cokolwiek przy sztucznym świetle.

Dzikiemu to ciągle napięcie zaczynało już mocno wchodzić na głowę. Chcąc trochę odsapnąć, rzucił w stronę przyjaciela pewną żartobliwą propozy-

cję. — Wiesz co? Skoro tak ci mnie brakuje, to przyłącz się do Autobusu! Wykopiemy Kubę, ja będę nowym liderem, ty strażnikiem... A nocami będziemy się spotykać w ruinach i pić piwo.

Słyszając ten nagły zryw, Mike roześmiał się, rozlewając dookoła resztę piany. — Kurwa, ten pomysł mi się podoba! To ile tam dziewczyn jest w autobusie? Weronika? Laura? Dobrze pamiętam? Może jako strażnik w końcu coś przytulę — stwierdził z lubieżnym uśmiechem.

Niespodziewanie jednak do rozmowy wtrąciła się Oli, odrywając na chwilę myśli od Klucza. — Moglibyście to zrobić? To znaczy przecież to wcale nie jest głupie, jesteście przyjaciółmi... Dziki wielokrotnie wspominał, że masz już dość Wspólnoty. Mógłbyś przecież podróżować z nami... — stwierdziła całkiem poważnie.

Mike i Dziki popatrzyli na siebie z lękiem. — Oli, my tylko tak żartujemy — stwierdził ten pierwszy. — Nie zostawię Krzaka. Nie po tym, co dla mnie zrobił...

— To szaleństwo! — dodał Dziki. — Naprawdę myślałaś o wyrzuceniu Kuby z autobusu?

Oli popatrzyła teraz na niego z istnymi płomieniami w oczach. — Mam już dość oglądania tego, jak ciągle podcina ci skrzydła i dość znoszenia klótni o każdą głupotę. Już od dawna nie ustępujesz Kubie w niczym, a w dodatku nie jesteś... — dziewczyna zrobiła krótką przerwę i rozglądając się czy nikt tego nie usłyszy, nachyliła się nad stołem kończąc szeptem. — Taką pizdą jak on...

Dziki słysząc to ledwo zdusił śmiech, ale zaprotestował natychmiast. — Kuba ma dużo więcej doświadczenia. Wie o tym świecie rzeczy, o jakich ja nie mam nawet pojęcia...

Oli jednak wyglądała na nieprzekonaną. — Przestań! Skład remedium to jedyne czego nam od niego potrzeba. Gdyby Mike zgodził się być naszym strażnikiem, ty mógłbyś zbierać ludzi z cmentarza i...

Wywód dziewczyny został przerwany przez Zoidberga, który wtoczył się do baru ledwo trzymając na nogach. Oli poderwała się natychmiast, dobiegając do mężczyzny i chwytając go za zakrwawiony kitel, spytała :— Co z nim? Jak się czuje?

Zoidberg wyglądał na ośpiałego. Spoglądając na dziewczynę, zrobił jakąś dziwną minę. — Możesz... możesz iść go zobaczyć... ale jest nieprzytomny... i nie dotykaj go... — stwierdził, przelatykając ślinę w nienaturalnie głośny sposób.

Dziewczyna wybiegła z baru, a Zoidberg doszedł do kontuaru. Kelnerka Zuzia natychmiast zbliżyła się do niego. — Szklankę wódki! — zażądał lekarz i gdy tylko otrzymał trunek, wypił go jednym haustem.

Dziki i Mike popatrzyli na siebie, po czym zbliżyli się do mężczyzny. Ten widząc ich, prawie podskoczył, jakby bardzo się czegoś wystraszył.

— Co się dzieje? — spytał Dziki, patrząc prosto w twarz lekarza.

Zoidberg przełknął nerwowo ślinę i zawołał: — Wódka, jeszcze raz! — Dopiero gdy przechylił drugą szklankę, spojrzał na Dzikiego i ze łzami w oczach stwierdził — on nie przeżyje...

Dziki popatrzył przez chwilę nieprzytomnie, a potem złapał mężczyznę za frak. — COŚ TY TAM DO CHOLERY ODJEBAŁ?! — wrzasnął.

Zoidberg wyszarpał się, krzycząc: — CO JA ODJEBAŁEM?! CO JA ODJEBAŁEM?! Ten facet już praktyczniegnił w środku! Wyciąłem mu tyle jelit, że do tej pory czuję ich cholerny smród! Co ty kurwa myślisz, że to Stary Świat?! Operowałem go na cholernym łóżku sypialnym! Narzędzia sterylizuję zwykłym spirytusem, a podaje mi je dziewczyna, która nie odróżnia cewnika od skalpela! Wszyscy kurwa wymagają ode mnie cudów „bo przecież jesteś lekarzem, pomóż mu”... A ja pierwszy raz szyłem ranę w Nowym Świecie. Pierwszego człowieka kroilem w Nowym Świecie... Przecież ja do cholery dopiero zaczynałem operować trupy! — wykrzyczał mężczyzna, jakby miał zamiar się poryczeć.

To nagłe załamanie nieco ostudziło Dzikiego. Usiadł obok Zoidberga i spytał już całkiem spokojnym głosem. — Nic się nie da zrobić?

Lekarz westchnął, spoglądając na niego coraz mniej przytomnie. — Pożera go sepsa, a mi brakuje leków. Jest słaby. Mogę uśmierzać jego ból do momentu śmierci, ale to będzie absurdalnie drogie. Morfiny nie ma zbyt dużo we Wspólnocie. Możesz też tam iść i oddać mu ostatnią przysługę — wyszeptał Zoidberg, strzelając sobie z palców w skroń.

Dziki przełknął nerwowo ślinę. — Pójdę go zobaczyć — zdecydował, zerkając w stronę Mike'a.

— Idę z tobą — stwierdził mężczyzna.

Nim jednak wyszli z baru, Zoidbeg zawołał za nimi. — Dziki, jeżeli nie przeżyje, nic od ciebie nie wezmę za operację. Zabierz na razie karabin i kamizelkę. Dwa magazynki zostawię na pokrycie kosztów uśpienia go i dotychczasowego znieczulenia.

Dziki skinął głową, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Po chwili Zoidberg runął nieprzytomny na stół, a on razem z Mikiem ruszyli do lecznicy.

Kiedy weszli do budynku, klinika zdawała się być pusta. W prawie całkowitej ciemności przebijało się jedynie niemrawe światło na podłodze pod jednymi z drzwi. — Pewnie jest tam — szepnął Mike, jakby bał się, że kogoś obudzi.

Dziki skinął i poprowadził ich do pomieszczenia, które wyglądało jak pokój osoby w ostatnim stadium raka. Na zwykłym codziennym łóżku leżał Klucz. Błady i jeszcze bardziej zapadły niż wcześniej. W nos miał wczepioną rurkę z tlenem, a do ręki podpiętą kroplówkę. Wszędzie dookoła niego znajdowały się te wszystkie dziwne medyczne instrumenty i monitory wydające popiskujące dźwięki. Obok nieprzytomnego mechanika siedziała Oli, ściskając go za dłoń. — Nic się nie bój Kluczyku, teraz już będzie lepiej. Będzie tylko lepiej... — szeptała.

Słyszając ją, Dziki poczuł gorycz przelewającą mu się przez gardło. Chciał już zawrócić, czując, że nie wytrzyma tego psychicznie, ale Mike chwycił go za bark, szepcząc bezgłośnie: — NIE.

Dziki skinął głową, przyjmując milczącą reprimendę i podszedł do Oli, kładąc jej bez słowa rękę na ramieniu.

— Zobacz Dziki, już po wszystkim. Teraz trzeba tylko poczekać — powiedziała dziewczyna, wciąż głaszcząc rękę Klucza.

Dziki nie był w stanie nic powiedzieć, a usta mimowolnie wykrzywiły mu się w wyrazie żalu. Widok konającego kompana był straszny, ale bezsensowna nadzieja bijąca z głosu Oli, była czymś, czego nie potrafił znieść. Czuł, że zaraz się rozklei. Na szczęście Mike, który miał w sobie o wiele więcej zimnej krwi, uprzedził jego załamanie.

— Słuchajcie, trzeba mu teraz dać trochę odpocząć... — stwierdził rzeczowo. — Może przenocujecie u mnie w pokoju? Szkoda płacić za ten pseudo-hotel przy stacji... — zaproponował, kładąc dłoń na plecach dziewczyny.

— Ja z nim zostanę. Ktoś powinien przy nim być... — odparła Oli, jeszcze mocniej ściskając dłoń Klucza.

Mike skinął w stronę Dzikiego, dając mu do zrozumienia, że nie mogą jej tu zostawić. — Oli, to nie jest najlepszy pomysł i tak nie jest tu zbyt sterylne, a on ma dopiero zsyte rany. Zoidberg nie będzie zachwycony, jeśli będziesz tu całą noc. Niech zajmie się nim profesjonalista.

Mówiąc to, wsunął rękę pod pachę dziewczyny i prawię wymusił na niej podniesienie się z krzesła. Oli jeszcze przez chwilę ścisnęła rękę Klucza, a gdy w końcu ją puściła, lzy nabiegły jej do oczu.

Dziki zebrał się w końcu w sobie, by coś powiedzieć. — Teraz naprawdę potrzeba mu spokoju... — stwierdził, po czym wspólnie z Mikiem wyprowadził dziewczynę z lecznicy.

Na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno. Nieliczne ogniska na głównym placu rzucały przyjemne skaczące światła na pobliski mur. Strażnicy krążyli po szczytach umocnień, obserwując zewnętrzną część Wspólnoty.

— Gdzie w ogóle teraz mieszkasz? — spytał Dziki, chcąc chociaż na chwilę skupić się na czymś innym niż na wspomnieniu pokoju, w którym leżał Klucz. — Przecież bar przerobili... na bar.

— W domu strażniczym... — odpowiedział Mike, prowadząc ich wzdłuż torów.

Dom strażniczy, jak się okazało, był dużym wielorodzinnym budynkiem, należącym w Starym Świecie do właścicieli sklepu znajdującego się obok stacji. Dwupiętrowy kolos z ogromnym salonem został odpowiednio „zmodyfikowany” przez mieszkających tam strażników. W dolne okno wstawiono kraty, na werandzie znajdowała się tarcza strzelnicza, a mur zdobiła flaga z domniemanym herbem „Wspólnoty”. Wnętrze budynku wyglądało z kolei już jak typowy męski

akademik. Na stoliku, przy aneksie kuchennym, stało pełno pustych butelek po piwie. W zlewie tonęły talerze z resztkami jedzenia, a konsola do gier oraz plakaty z gołymi modelkami, stanowiły zwieńczenie męskości tego miejsca.

— Mój pokój jest na górze — powiedział Mike, dając krok na schody. — Oli, możesz zająć moje łóżko. My z Dzikim prześpijemy się w śpiworach, na podłodze.

Gdy tylko weszli na piętro, Mike otworzył duże czarne drzwi i wpuścił ich do swojego królestwa.

Jak każdy, kto mógł sobie na to pozwolić, przyjaciel Dzikiego również gromadził jakieś pamiątki ze Starego Świata. Całą jedną półkę w szafie zajmowały telefony komórkowe. Nieco niżej stały małe przenośne konsole (Mike w Starym Świecie był prawie uzależniony od gier). Były też oczywiście figurki fantasy, trochę książek i całe sterty ubrań porzucanych po pokoju.

— Przepraszam za bałagan, nie wiem tu gości z zewnątrz... — szepnął skruszony, pośpiesznie zbierając rozgardiasz z podłogi i chowając ubrania, które leżały na łóżku.

Oli nie zwróciła na to większej uwagi, bo ciągle była w ponurym nastroju. Wchodząc do środka przyjrzała się od niechcenia półce pełnej figurek smoków, a po chwili usiadła na łóżku, wpatrując się w okno.

Dziki czuł, że powinien coś powiedzieć. Ale co? Miał przyznać, że Zoidberg nie dawał Kluczowi wielkich szans? Czy trzymać Oli w nadziei, licząc na cud?

W trakcie jego rozważań, Mike klęknął przed smutną dziewczyną i położył jej dłoń na kolanie. — Nie przejmuj się tak! Jutro pewnie będzie już lepiej — skłamał, bez zająknięcia.

Oli popatrzyła na niego, a jej oczy przeszklily się. — Tak myślisz? On wyglądał tak słabo, tak... — głos uwiązł jej w gardle, a po chwili zsunęła się z łóżka i wpadła Mike'owi w ramiona zalana łzami.

— Już, już... będzie dobrze, zobaczysz... — stwierdził pewnie mężczyzna.

Dziki odetchnął z ulgą. Dziękował w tym momencie opatrności, że jego przyjaciel był tutaj i zachował znacznie więcej zimnej krwi.

* * *

Dziki był tak zmęczony, że gdy tylko przyłożył głowę do podłogi, natychmiast usnął. Oczywiście przez całą noc dręczyły go koszmary, ale do tego zdążył już przywyknąć. Od przybycia do Nowego Świata miał ich więcej niż kiedykolwiek w całym życiu.

Tym razem ciągle wracał do pokoju, w którym zamknięty był Klucz. Z pomieszczenia nie było wyjścia, a leżący chłopak zdawał się słabnąć z każdą chwilą. Dziki słyszał, jak jego oddech robi się płytszy z każdą sekundą. Ze wszystkich sił próbował nie patrzeć na cierpiącego kompana, ale gdy tylko się odwracał, ciche tchnienia wypełniały mu czaszkę...

Gdy w końcu się obudził i wyrwał spod władzy nocnych mar, w pokoju było już całkiem jasno. Wygodny śpiwór i ciepła podłoga pochłonęły go całkiem, ale nie było to dziwne po tylu nieprzespanych nocach. Oli ani Mike'a nie było razem z nim.

Przecierając zaropiałe oczy, pomyślał, że jego przyjaciel pewnie zaczął już swój dyżur przy bramie, a Oli musiała iść do Klucza.

Dziki czuł, że nie jest gotowy na ponowny widok tego, co nawiedzało go przez całą noc, więc przed udaniem się do lecznicy, postanowił najpierw odwiedzić Mike'a. Zbierając się przez chwilę, opuścił dom strażników i skierował się pod bramę.

Gdy przechodził przez plac Wspólnoty, ten był jeszcze mocno opustoszały. Godzina była wczesna, więc handlarze zapewne dopiero zaczynali gromadzić się w środku. Fakt, że przez uchyloną bramę co chwila przemyczał jakiś Weteran, tylko potwierdzał przypuszczenia Dzikiego.

Tuż przy wejściu przeciskając się przez szczelinę, potracił jakiegoś chłopaka.

— Przepraszam! — usłyszał znajomy głos.

Nim jednak zdążył zauważyć, kto na niego wpadł, postać ruszyła w kierunku baru.

Po drugiej stronie, w dużym półotwartym namiocie, Mike wypisywał przepustki dla wchodzących. — Godzina... — rzucił znużony. — I pamiętaj, że jest zakaz rozbijania obozów w czerwonej strefie! — dodał sucho, podając świstek jakiemuś mężczyźnie.

— Co to za czerwona strefa? — spytał natychmiast Dzikie, siadając na wolnym krześle obok Mike'a.

Ten nie odpowiadając od razu, wskazał palcem na najbliższy budynek. Dzikie zauważył, że cały wymazany był czerwonym sprayem. Obserwując uważnie okolicę dostrzegł, że wszystkie budynki w pobliżu były oznaczone w ten sposób.

— Konglomerat wprowadził to jakiś czas temu, żeby ograniczyć „dzia-dowanie” pod murami — wyjaśnił w końcu Mike. — Niektórzy porobili tu już sobie stałe obozy, a jak przychodzili Niewykształceni, to śpieprzali, gdzie pieprz rośnie, zostawiając nam problem. Dlatego teraz, jak złapią cię w czerwonej strefie bez karty pobytu, to najpierw w ryj, a potem miesięczny zakaz wstępu do Wspólnoty — podkreślił demonstrując uderzenie swoimi pięściami.

— Fajnie tu macie... — westchnął Dzikie, a Mike spojrzał na niego z przekąsem.

— Ale zły na ciebie wczoraj byłem... — stwierdził ponuro. W międzyczasie kolejny chętny do wejścia podszedł do stolika. — Handel czy inne sprawy? — spytał przybyłego mężczyznę.

— Handel... — odparł nieznajomy, prezentując przewieszzone na plecach torby.

— Znasz zasady! Muszę zobaczyć towar — stwierdził Mike, podnosząc się.

Mężczyzna wyglądający na Weterana, bez protestu położył swój bagaż na stole.

Mike przyjrzał się zawartości toreb z wyraźnym zaciekawieniem. — Handlarze mają obecnie darmową godzinę — wyjaśnił, wyciągając coś z torby. — Ile chcesz za te baterie?

— Wypisz mi kartkę na drugą godzinę i będzie ok... — stwierdził mężczyzna.

Mike mrugnął do niego porozumiewawczo i już po chwili podbijał dokumenty. Zadowolony handlarz ruszył przez bramę, zostawiając na stoliku opakowanie z bateriami.

— Ładną lewiznę tu kręcisz — stwierdził Dzikie, zerkając na przyjaciela. Po czym spytał: — A czemu byłeś zły?

— Bo dziewczyna potrzebuje wsparcia, a ty siadasz z tą swoją miną „wszystko już stracone”. Trzeba było jej od razu powiedzieć, że Zoidberg położył na chłopaku krzyżyk... — odparł z wyrzutem.

Ponieważ chwilowo nie było chętnych do wejścia, Dzikie przesunął się tak, by spojrzeć przyjacielowi w oczy. — Uważasz, że dawanie jej fałszywej nadziei było słuszne?

Mike spojrzał jednak na niego, jakby odpowiedź była oczywista. — Gdyby Oli miała jutro umrzeć, powiedziałbyś jej o tym i patrzył, jak rozpacza? Czy raczej zrobił wszystko, by spędziła najlepszy dzień swojego życia?

To pytanie nieco zszokowało Dzikiego. Po swoim przyjacielu, którego rozumowanie, zwłaszcza w Nowym Świecie, było szablonowe i proste, nie spodziewał się takiego głębokiego podejścia. Sam musiał zastanowić się przez chwilę, zanim wydukał niepewnie: — Chyba to drugie...

— No widzisz! Nigdy nie odbieraj człowiekowi nadziei. Choćby to miała być nadzieja na cud — wytłumaczył. — Idziesz teraz do niej? — spytał po chwili.

— Chciałem najpierw trochę się przygotować... — odparł Dzikie. — Oczyszczyć głowę...

Mike słysząc to, popatrzył na niego ironicznie. — Od kiedy cię znam, nie oczyszczałeś jej nawet na chwilę. Więc dlaczego sądzisz, że teraz się uda...

Dzikie nie odpowiedział. Jego wzrok utkwił na górującej w oddali Wieży Defektu. Jej widok spowodował u niego nieprzyjemne uczucie w sercu.

— Już ich tam nie ma... — wtrącił Mike, zgadując, co chodzi jego przyjacielowi po głowie.

— Jak to? — spytał zszokowany Dzikie.

— Jak tylko Dix wydobrzała, odeszli. Zrobili to prawie z dnia na dzień. Nawet Weterani nie wiedzą, dokąd się udali... — wyjaśnił Mike, biorąc do ręki paczkę baterii, którą dostał jako łapówkę. — Zwiększonej pojemności! Fajnie...

Dzikie, który wciąż wpatrywał się w stronę wieży, nie mógł ukryć szoku. — Ale czemu?

— Chyba przez to, co stało się pod cegielnią — stwierdził Mike, chowając baterie i wyciągając z kieszeni batona. — Ale nie wiem nic z żadnego wiarygodnego źródła... Takie ogniskowe pierdolety.

Dziki podniósł się z krzesła, żeby lepiej przyjrzeć się okolicy Wieży. Budowla wyglądała tak jak zawsze, biała strzelista konstrukcja zakończona ostrą szpicą, ale na dziedzińcu przed nią nikt się nie kręcił. Brakowało strażników w czerwonych kombinezonach. Cały teren zionął po prostu pustką. — Te ogniskowe gadki... Co jeszcze mówią? — spytał.

Mike zgniótł papierek w kieszeni, zastanawiając się przez chwilę. — Nic czego byś się nie domyślił — stwierdził w końcu. — Wszyscy, którzy szli wtedy pod cegielnię, widzieli jak bardzo bała się o ciebie. Jak wściekła była na Wilka za to, że cię wmieszał... Nie trzeba być jakimś wybitnym umysłem, by stwierdzić, że ta dziewczyna miała do ciebie ostry pociąg. No, a potem każdy, kto był pod cegielnią, mógł zobaczyć, jak „bohatersko” stanąłeś między nią a Pierwszym. Chłopie, musiałeś jej tam odwalić niezłe spięcie pod dekle.

Dziki znowu poczuł, że dręczy go sumienie. Chyba żadnego innego odczucia nie miał w Nowym Świecie tyle razy, ile tego charakterystycznego ucisku.

— Zastanawiałem się właściwie... — wtrącił nagle Mike. — Czemu to zrobiłeś? Bo pomógł ci z Delimerem? Chodziło o dług?

— Sam do końca nie wiem... — odparł Dziki, przyglądając się jeszcze raz wieży w oddali. — Może dlatego, że jako jedyny miałem okazję poznać historię tej „zemsty” z obu źródeł. Może dlatego, że Pierwszy nie wydaje mi się złym człowiekiem? Fakt, zabił jej poprzedniego chłopaka, jej ukochanego... ale kto w tym świecie nie zrobił czegoś, czego się wstydzi?

Mike podrapał się po swoich czarnych włosach z lekko skonsternowaną miną. — Dalej pijesz do Modrzewa? Raz, zasłużył sobie. Dwa, nie przyjęliby cię do Wspólnoty, gdyby nie broń, jaką za niego dostaliśmy — zaperzył się mężczyzna, zakładając ręce na pierś.

— Zrobiliśmy wtedy to, co było konieczne... — westchnął Dziki, nie chcąc dłużej ciągnąć tego tematu. — Idę do Oli.

— Też później zajrzę... TYLKO NIE STRASZ JEJ GĘBĄ! — zawołał za nim Mike, gdy ten już przechodził przez bramę.

Dziki nie był w stanie powiedzieć, by ten dodatkowy czas pozwolił mu przygotować się na widok, który go czekał. Mike miał dużo racji. Po prostu nie potrafił się odciąć. Nawet pomimo okresu, który spędził w Nowym Świecie, po tylu aktach okrucieństwa, które widział, wciąż nie potrafił spoglądać na śmierć chłodno.

Szedł tak wolno, jak tylko potrafił, a gdy dotarł już do kliniki, drzwi wejściowe wydawały się wręcz niewyobrażalnie ciężkie. Dając krok na korytarz, już z oddali usłyszał pracującą maszynę. Charakterystyczne „bip” monitora tętna i cichy szep (pewnie należący do Oli), wibrowały wręcz w jego ciele.

Zatrzymując się przez chwilę, dostrzegł, że drzwi po prawej stronie korytarza były otwarte. Gdy wieczorem byli tu z Mikiem, nawet nie zwrócił na nie uwagi. Mimowolnie zaglądając do środka, dostrzegł mężczyznę leżącego na łóżku.

Był nim Wilk.

Dziki stanął jak zamrożony. Wiedział przecież, że szeryf Krańcowo musiał być pod opieką lekarza, ale przez całą sprawę z Kluczem nie wziął pod uwagę, że mogli być w jednym budynku.

Szeryf Krańcowo z nieprzeniknioną miną spoglądał pusto w górę, ale gdy dostrzegł Dzikiego, uśmiechnął się krzywo. — Hej... Jak tam, Dzik...? — przywitał go, nieco smętnym głosem. — Wstałbym i podałem ci rękę, ale wiesz, ostatnio zrobiłem się mało gościnnie... — spróbował zażartować.

Dziki wszedł do pomieszczenia i wyciągnął dłoń na powitanie. Wilk uniósł powoli swoją. Jego uścisk był słaby, prawie niewładny. Po twarzy widać też było, że sprawił mu sporo trudu.

— Jak się trzymasz? — spytał Dziki, siadając na brzegu łóżka.

— Zależy od dnia — wyjaśnił pokrętnie mężczyzna. — Czasem prawie tracę czucie w rękach, a czasem udaje mi się nawet zjeść obiad. O nogach natomiast pamiętam tylko, jak zaczynają już jebać spod koldry...

— Współczuję... — westchnął Dziki, nie wiedząc właściwie, co mógłby powiedzieć więcej w tej sytuacji.

— Przestań, mam to na własne życzenie... — westchnął Wilk z wyraźną goryczą. — Zbyt pewny siebie. Zbyt prawy. To się musiało tak skończyć. Szkoda mi tylko Szarej. Włóczy się teraz z Nowym i przez większość czasu szabruje, żeby mieć za co tu siedzieć...

— Sebastian dalej z nią jest? — spytał Dziki, który przez wszystkie wydarzenia jakie miały miejsce, prawie zapomniał o istnieniu chłopaka.

— Tak, w końcu dałem ci słowo, że się nim zajmę. Chociaż może nie spodziewałem się, że tak szybko będzie musiał się usamodzielniać... — Wilk zamilkł przez chwilę, spoglądając w sufit. Widać było, że myśli o czymś intensywnie, bo po dłuższej chwili spytał: — Jak ogólnie trzyma się Autobus? W Strefie Głodu stało się wam coś złego?

Dziki popatrzył na Wilka nieco niepewnie. — Kiedy Wiewiór przejął autobus, zranił jednego z naszych, Klucza. Nasz jakby lekarz, Green, próbował go poskładać, ale nie do końca mu wyszło. Zoidberg nie daje chłopakowi wielkich szans.

— Kiepsko... — westchnął Wilk. — Cały czas mam wrażenie, że to wszystko moja wina.

— Sam zdecydowałem, żeby się wmieszać, co często wyrzuca mi Kuba... — zaprotestował Dziki. — Ja po prostu nie umiem siedzieć spokojnie...

— Bo dobry z ciebie gość, Dzik. Choć jak każdy miałeś na swojej drodze potknięcia — stwierdził z przekąsem Wilk.

Słyszając to, Dziki nie mógł powstrzymać swojego wymownego spojrzenia. Wiedział dokładnie do czego pije mężczyzna. Z drugiej strony, sam szeryf Krańcowo miał też swoją mroczną stronę, a za sprawą Daniela, mógł ją dobrze poznać. — Zawsze się zastanawiałem... jak ktoś z gruntu zły staje się osobą próbującą stać na straży prawa i moralności? — zapytał, spoglądając spode łba na leżącego.

Wilk uśmiechnął się wrednie. Jego wzrok zmienił się przez chwilę z ciepłego i życzliwego na chłodny i bezwzględny. — Więc ktoś opowiedział ci o Bugaju?

— Opowiedział mi o tobie — odparł natychmiast Dziki. — Nie traktuj swojej przeszłości, jakby należała do innej osoby.

Szeryf Krańcowo spojrzał w górę, a jego wzrok znowu stał się łagodny. — I tu się mylisz. Nie jestem już tym samym człowiekiem. Od bardzo dawna nie jestem...

Dzikiego w sumie dość mocno to zaniepokoiło, dlatego spytał: — Cemu? Wydaje mi się, że w świecie takim jak ten, skurwiele mają jednak trochę łżej — dodał gorzko.

— Cóż, bywają takie wydarzenia, które zmieniają człowieka... — stwierdził pewnie Wilk. — Chcesz o tym posłuchać? I tak nie mam tu za dużo do roboty...

Dziki, który i tak podświadomie szukał powodu, by odciągnąć spotkanie z Oli przy Kluczu, skinął twierdząco głową.

Wilk, ciągle wpatrując się w sufit, zaczął swoją opowieść. — To nie jest tak, że przechodząc przez granicę światła, od razu obudziłem się lepszym człowiekiem — wyjaśnił na początek. — Kuba nie pomógł mi jak tobie. Autobus albo jeszcze nie istniał, albo on sam rozpoznał, kim byłem, więc zostawił mnie, żebym zdechł. I w sumie nie ukrywam, że to właśnie mi się wtedy należało — stwierdził gorzko i kontynuował. — Gdy ogarnąłem już trochę co i jak, pomyślałem, że to miejsce będzie w sam raz dla mnie. Oj, miałem wielkie plany i co tu dużo mówić... Straszne plany. Zacząłem od sprawdzenia, ilu ludzi z mojej starej ekipy pojawiło się już w Nowym Świecie. Spora część jednak nie żyła albo jeszcze się nie pojawiła... Doszły mnie natomiast słuchy, że facet, z którym kiedyś trochę handlowałem trawą, niejaki „Sultan”, zakwaterował się na Alei Różanej.

Dziki znał to miejsce aż za dobrze. Z jakiegoś powodu dawne osiedle prominentów było strasznie popularne wśród Weteranów i koczowników. Wilk zrobił w międzyczasie przerwę, by zebrać myśli, a przed kolejnym wypowiedzianym zdaniem zmarszczył czoło. — Sultan nigdy nie miał wszystkich klepek, ale to, co odpierdalał w Nowym Świecie, to była masakra — powiedział głosem pełnym krytyki. — Przyjął mnie z otwartymi rękoma, poczęstował koniakiem, tylko po to, by za chwilę rąbnąć pałą w łeb i zaciągnąć do piwnicy...

— Cemu? — wtrącił zdziwiony Dziki. — Zrobiłeś mu coś w Starym Świecie? Oszukałeś na kasę?

Wilk pokręcił jednak głową. — No właśnie nie. Był psycholem i po prostu miał taki kaprys. Po tym jak mnie uwięził, przychodził mnie katować każdego dnia. Jak miał zły humor, to nawet po kilka razy. Bił jak worek treningowy. Rozcinał nożem skórę między palcami, polewał nogi wrzątkiem... Bywały już takie momenty, że tarzając się we własnej krwi i wymiotach prosiłem go, żeby mnie w końcu zabił. To jednak tylko jeszcze bardziej go rozkręcało...

Dziki słuchając o tych torturach, spojrzał wymownie przez okno. Przez głowę przeszły mu słowa Kuby, jakie usłyszał w dniu swojego przybycia. — Ktoś powiedział mi kiedyś, że Nowy Świat wyciąga z człowieka całą prawdę, że bez organów kontroli prawa i strachu przed karą, ludzie pokazują swoje prawdziwe oblicza.

Wilk pokiwał twierdząco głową i kontynuował. — Ten, kto to mówił, miał sporo racji. W każdym razie, w gościnie u Sultana miałem takie momenty, gdy myślałem, że nie wytrzymam i całkiem zwariuję, ale pobyt w piwnicach miał jedną dobrą stronę. Mój mały promień światła w trakcie tych tragicznych dni, Szarą.

— Szarą? — zapytał zaskoczony Dziki. — Co ona ma z tym wspólnego?

— Cóż, Sultan trzymał ją jako swoją niewolnicę jeszcze przed tym, jak dopadł mnie — wyjaśnił, a w jego spojrzeniu pojawiła się prawdziwa furia. Kolejne zdanie wypowiedział głosem ociekającym wściekłością. — Ten zjeb zmuszał ją do służenia sobie... wykorzystywał, gwałcił...

— SKURWYSYN! — ryknął Dziki, przerywając Wilkowi ponownie, ale ten nie zwracając uwagi na jego wybuch, kontynuował.

— ... Nigdy nie złamał jej jednak do końca. Co noc przekradała się do mnie. Karmiła, myła, opatrywała rany. Gdyby nie ona, już dawno bym nie żył...

Po tych słowach Wilk złapał głęboki oddech i zamknął na chwilę oczy, próbując chyba przypomnieć sobie szczegóły. — Któregoś dnia Sultan wrócił z szabrowania ranny. Pamiętam, że krew lała się z niego jak ze świni. Ten chory na łeb skurwiel, zamiast się opatrzyć, pobiegł prosto do mnie — opisywał dalej. — Szara chyba wyczuła, że tym razem to się źle skończy. Po raz pierwszy przekradła się tam za nim, a on zaczął mnie okładać jak jeszcze nigdy. Na koniec, gdy wyglądałem już jak zgnieciony pomidor, złapał za siekiere i próbował odrąbać mi głowę. Wtedy Szara krzyknęła... To nie był normalny krzyk. Jej głos wydobywał się z wnętrza mnie i najwidoczniej z głowy Sultana. Upuścił broń i zaczął tarzając się po ziemi przez kilka minut. Później umarł... Nie mam pojęcia czy przez utratę krwi, czy przez to, co zrobiła, ale wyzionął ducha.

— Więc to ona cię uratowała? — dopytał Dziki, a Wilk uśmiechnął się.

— W każdy możliwy sposób — odparł mężczyzna. — Bo to nie było tak, że po tym, co zrobił mi Sultan momentalnie się nawróciłem. Zapasy w domu Sultana w końcu się skończyły, a ja nie nauczony życia w Nowym Świecie, słabo radziłem sobie ze zdobywaniem choćby wody. W końcu przyszedł moment kryzysowy, gdy nie jedząc od kilku dni, chciałem zastrzelić pewnego chłopaka

dla kilku tabliczek czekolady. Gdy wymierzyłem do niego, Szara przemówiła w mojej głowie. Usłyszałem jej piękny głos... Piękny i smutny równocześnie. Odłożyłem broń. Usiedliśmy na pobliskim skwerku i zaczęliśmy rozmawiać. Boże, to trwało godzinami! — zawołał rozmarzony Wilk. — Zapomniałem o głodzie, zapomniałem o planie... Obiecałem, że już nigdy nie zrobię nic moralnie niegodziwego. Zaczęłem nawet pomagać innym, bo widziałem, że to ją uszczęśliwiało... I tak przyjąłem swoją nową rolę... — skończył, zagłębiając się we wspomnieniach.

— Jesteś zadowolony? Że to się tak potoczyło? — spytał Dzik.

Wilk ciągle z uśmiechem na twarzy odpowiedział pewnie: — Cokolwiek uszczęśliwia Szarą, uszczęśliwia również mnie.

Dzik odetchnął, spoglądając w okno. — Daniel nie wierzy w drugą szansę. Nie uznaje możliwości odkupienia. Gdy przedstawiał mi twoją osobę. Twoją historię... Bałem się, bo w myślach przyznawałem mu rację. Gdy jednak słyszę, jak wypowiadasz się o Szarej, nie wierzę, że dalej jesteś złą osobą...

Wilk oparł swoją dłoń na nodze Dzikiego. — Cieszę się, że tak uważasz. Bo ty, Dzik, jesteś dobrym człowiekiem, który popełnił błąd. Ja złym, który przypadkiem zrobił kilka dobrych rzeczy... Usłyszeć od ciebie, że nie nienawidzisz mnie za to kim byłem, to jak jakiś rodzaj katharsis...

— Chyba już czas na mnie — westchnął Dzik, czując, że przyszła już pora, by iść do Oli.

— Dzięki, że zajrzałeś — westchnął Wilk. — Miło było mieć rozmowę chociaż przez chwilę.

— Trzymaj się... Mam nadzieję, że Nowy Świat zmiłuje się nad tobą... — pożegnał się Dzik.

— Nowy Świat nie miłuje się nad nikim — odpowiedział Wilk, przenosząc wzrok na okno.

Wychodząc z pokoju, Dzik ruszył za dźwiękiem aparatury medycznej. Tak jak przypuszczał, Oli siedziała przy Kluczu, ściskając ciągle jego rękę. Zoidberg, który również był w tym czasie w pomieszczeniu, wstrzykiwał coś do kroplówki nad łóżkiem.

— Co to takiego? — spytała dziewczyna.

— Lekarstwo — odpowiedział wymijająco łapiduch i skinął na Dzikiego, by wyszli.

Gdy stanęli na korytarzu, Zoidberg przytknął drzwi i szepnął. — Do myślam się, że nic jej nie mówileś?

Dzik przytaknął, a lekarz ciągnął dalej. — Każda dawka morfiny kosztuje. Jeśli przestanę ją podawać może się obudzić, a to w jego wypadku oznacza niewyobrażalne męczarnie przed śmiercią. Może już czas podjąć decyzję? — spytał, spoglądając się znacząco.

— Ile? Ile za każdy dzień? — spytał Dzik.

— Chłopie, to jest bez sensu! — krzyknął na niego Zoidberg. — Mówiłem ci, że musiałby się zdarzyć cud. Lepiej by było...

— ...Nie zabrałem od ciebie jeszcze niczego — wtrącił Dzik. — Trzymaj go przy życiu tak długo, jak się da. Może cud się jednak wydarzy. Rozliczymy się po wszystkim.

W tym momencie drzwi od pokoju, w którym leżał Klucz, otworzyły się. Oli wyłoniła się ze łzami w oczach, szepcząc: — Dzik.

Dziewczyna wpadła w niego, wciskając się ze wszystkich sił w jego tors. Przez chwilę myślał, że Klucz już odszedł, ale Zoidberg, który zajrzał do pomieszczenia, pokręcił głową. Od razu domyślił się, skąd u jego przyjaciółki to nagle załamanie. — Słyszałaś? — spytał retorycznie.

Dziewczyna jęknęła i ciągle z twarzą wciśniętą w okolicę jego klatki, wyszeptwała: — Przepraszam... Nie powinnam była podsłuchiwać, ale ja wiedziałam... Wiedziałam, o czym będziecie rozmawiać... Musiałam, musiałam wiedzieć.

Dzik pogłaskał ją po głowie, a dziewczyna zaczęła szlochać.

— Cóż, skoro wszystko między wami jasne, to nie będę przynajmniej musiał udawać — stwierdził Zoidberg i ruszył do swojego gabinetu.

Oli ścisnęła go jeszcze przez chwilę, po czym usiadła na jednym z krzeseł, które stały na korytarzu. — Wiedziałam, że jest źle — wyszeptwała. — Nie jestem głupia. Widzę przecież jak słabnie jego oddech, jak robi się bledy...

W tym momencie dziewczyna nie wytrzymała i ponownie załzała się łzami.

Dzik ruszył już w jej stronę, ale Oli wytarła oczy i popatrzyła się na niego. — Już dobrze. Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna. Nikt w tym świecie nie poświęciłby pustej łuski, żeby ratować kogoś, kto prawie nie ma szans. A ty od początku byłeś gotów oddać wszystko, co masz. Nawet teraz, gdy już prawie nie ma nadziei...

Dzik zbliżył się i przytulił jej głowę, głaszcząc po krótkich włosach. — Chcesz z nim zostać? Mam ci przynieść coś do jedzenia albo picia?

Dziewczyna kiwnęła głową. — Przybiegłam tu z samego rana. Nie miałam nawet pół biletu, żeby kupić wodę...

— Zaraz coś zorganizuję — zaproponował Dzik i zostawiając Oli, ruszył w kierunku wyjścia.

Przechodząc pośpiesznie przez plac, wszedł prosto do baru. W środku było jeszcze prawie pusto. Jedyne przy ladzie siedział jakiś Weteran w masce painballowej. Stając obok niego, Dzik usłyszał, jak zamawia kolejnego drinka. — Jeszcze raz to samo! — zawołał wyjątkowo znajomym głosem.

Zaciekawiony przyjrzał się, jak mężczyzna odchyła maskę, by złapać łyk ze szklanki. Wtedy go zmroziło. — TYZAK?! — zawołał zaskoczony, a pijący Weteran prawie zleciał z krzesła.

— Dzik... — wysapał chłopak, stając na trzęsących się nogach.



Rozdział XVII

Rozłam

Dziki i Tyzak pojawili się w trakcie trwania tego samego Błysku. Razem spędzili pierwsze godziny w Nowym Świecie. W tym krótkim czasie Dzikemu udało się w pewien sposób ocalić młodszego od siebie chłopaka przed śmiercią. Mimo że oboje otrzymali wprowadzenie do Nowego Świata od Kuby, to ich drogi potem zupełnie się rozeszły.

Dziki jeździł przez krótki czas z Autobusem do Wolności. Tam uczył się od ówczesnego strażnika Prima przetrwania w nowej rzeczywistości. Tyzak z kolei nieco przypadkowo dołączył do Armii Daniela. Co było dość zaskakujące, szybko w niej awansował i został wcielony do szeregów Obrońców Marketu.

Zważywszy na przynależność Tyzaka, jego obecność na terenie Wspólnoty stanowiła niepokojącą zagadkę. Dziki był nią tak zaskoczony, że przyglądając się chłopakowi, nie mogąc wydusić z siebie choćby słowa.

Zuzia, która nie miała prawa tego wiedzieć, obdarzyła obu swoim sztucznym uśmiechem. — Czyżby starzy znajomi? — spytała, z wyraźnym wymuszonym zainteresowaniem. — To może kolejkę za dawne czasy? — zaproponowała, wyciągając butelkę spod lady.

Tyzak odmówił kręcąc głową i zwrócił się do Dzikiego. — Co ty tutaj robisz? — spytał nerwowym głosem. — Autobus nie stoi pod bramą. Widziałbym go, wchodząc...

— Co ja tutaj robię? — odparł zszokowany Dziki. — Mam chyba znacznie więcej powodów by tu być, niż ty...

Po jego słowach Tyzak zerknął niepewnie w stronę Zuzi. Ta ciągle czekała z butelką w pogotowiu, ale widać było, że zaczynała powoli dostrzegać napięcie między mężczyznami.

— Chodź, musimy pogadać na osobności! — stwierdził Tyzak z wyraźnym naciskiem i ruszył w stronę drzwi.

Dziki wahał się, czy wyjść z baru razem z nim. Jego broń spoczywała w tym momencie na stole u Zoidberga. Gdyby miało dojść do walki, byłby zupełnie bezbronny. Z drugiej strony, nie widział powodu, by w ogóle doszło do takiej sytuacji. Tyzak jakby nie było zawdzięczał mu życie i mimo że służył Danielowi, nie rozstali się w jawnej wrogości. Ponadto byli w samym środku

Wspólnoty. Gdyby chłopak zwrócił na siebie uwagę, to jako ktoś powiązany z Danielem, byłby w najlepszym wypadku zabity.

W końcu to ciekawość zwyciężyła nad rozsądkiem i Dziki wyszedł za chłopakiem na zewnątrz. Już za barem Tyzak skręcił w boczną uliczkę. Szli tak przez dłuższą chwilę, dochodząc aż do granic Wspólnoty, gdzie znajdowały się w większości niezamieszkałe budynki, stanowiące część muru.

Tam zatrzymali się, a chłopak prawie wpadł na Dzikiego, wołając. — Dzi-ki, musisz stąd uciekać! Tu za chwilę będą się działy naprawdę straszne rzeczy!

Dopiero po chwili Dziki zrozumiał, co usłyszał. — Nie mogę stąd ucie-kać! Jeden z moich towarzyszy jest ranny! — zaprotestował, patrząc z lękiem w stronę chłopaka. — Co się dzieje? Jakie rzeczy? Tyzak, powiedz mi! — spytał, czując, że w jego głowie zaczynają się gromadzić czarne myśli.

Teraz był niemal pewien, że chłopak nie porzucił tak po prostu służby w Armii, aby zostać wolnym strzelcem. Fakt, że spotkał go właśnie we Wspól-notocie, świadczył o tym, że Daniel ma zamiar wykonać jakiś ruch. Niestety, Ty-zak nie miał zamiaru dzielić się szczegółami potencjalnego planu, bo spoglą-dając na niego rzucił jedynie. — To już nie ma znaczenia, Dziki! Musisz stąd uciekać, albo przynajmniej nie wplątywać się w to, co tu się stanie...

— CO SIĘ STANIE? MÓW! — zażądał Dziki, ale nie musiał czekać aż chłopak wydusi z siebie odpowiedź, bo jeden ze strażników wykrzyczał gdzieś w oddali.

— DELIMER, DELIMER JEST POD MURAMI. WSZYSCY STRAŻNI-CY NA MURY!

To zdanie sprawiło, że krew Dzikiego zakrzepła w żyłach. Spoglądając na Tyzaka, spytał głosem, jakby właśnie przebudził się z koszmaru. — Tyzak, coś ty zrobił?

Chłopak popatrzył na niego dziwnie zawstydzony. — To, co należało — odpowiedział w końcu.

Dziki usłyszał jak wrzawa z głębi Wspólnoty nabiera na sile. Przez przerwę między budynkami dostrzegł grupę strażników, biegnących w stronę murów.

— Delimer cię dotknął? — spytał z niedowierzaniem, chociaż dobrze znał odpowiedź.

— Pozwoliłem mu na to — sprostował dumnie chłopak.

Dziki wciągnął zaskoczony powietrze. Choć nieraz przyszło mu do głó-wy, że Delimer idealnie nadawałby się jako broń przeciw stałym osadom, to nie mógł uwierzyć, że ktoś mógłby dać się naznaczyć z własnej woli.

— Czemu? — spytał, wciąż patrząc z niedowierzaniem na dawnego kompana. — Przecież to wyrok śmierci...

Tyzak prychnął i spojrzał na niego pogardliwie. — Wyrok śmierci? Może dla kogoś, kogo liderem nie jest Daniel. Plan naszego wodza nie ma na sobie cie-nia skazy — odpowiedział głosem tak zaferowanym, jakby był jakimś fanatykiem.

— Jaki plan? — dopytywał wciąż Dziki, który nie był już w stanie ukryć przerażenia w głosie.

— Delimer zniszczy mury Wspólnoty, ścigając mnie aż do jej serca. Zdesperowani mieszkańcy nie będąc w stanie się chronić, przyłączą się do nas w walce ze wspólnym wrogiem, Zarzeczem! — wyrecytował chłopak.

Słyszając to, Dziki nie mógł wytrzymać. Chwycił Tyzaka za ramiona i wy-krzyczał mu w twarz. — Jesteś debilem! Delimer będzie cię ścigał, aż cię zabije. Daniel wykorzystał cię jako przynętę...

Tyzak słyszając to, jedynie zaśmiał się. — Dziki, sam zgłosiłem się na ochotnika. Wspólnota będzie bronić swoich murów do ostatniego, więc osłabi Delimera. Potem gdy stąd ucieknę, żołnierze w Strefie Głodu go dobiją. Oczy-wiście ta misja jest niebezpieczna, ale Daniel patrzy na mnie...

W tym momencie Dziki nie mógł się pohamować i strzelił chłopaka w twarz. Od siły tego ciosu, zsunęła mu się jego maska. — PRZESTAŃ MÓWIĆ O DANIELU JAK O JAKIMŚ CHOLERNYM BÓSTWIE! TO TYLKO CZŁO-WIEK, KTÓRY WYKORZYSTUJE MASĘ BŁĘDÓW...

Nim jednak zdążył skończyć, Tyzak odwinął się i tym razem to on rąbnął Dzikiego. — Minęły już czasy, kiedy pozwalałem bezkarnie uderzać się w twarz! — warknął, stając dumnie nad Dzikim, który po tym ciosie wyładował na ziemi.

Ten dopiero teraz zrozumiał, jaki błąd popełnił. Chłopak nie był już tym samym szczurkowatym młodzikiem, którego poznał na początku swojej przygody w Nowym Świecie. Służba w szeregach Daniela sprawiła, że zmęź-niał wręcz niewyobrażalnie. Mundur nie wisiał na nim, lecz opinał się na silnej sylwetce. Ręce z dziecięcych i delikatnych zmieniły się w mocne i umię-śnione. Nawet twarz chłopaka wyostriżyła się, nabierając wyraźnie męskich rys. Jedynie nie do końca pewny głos zdradzał, że nie zawsze był on osobą, o tak silnym charakterze.

Nie odrywając wzroku od Dzikiego, Tyzak poprawił maskę. — Uratowa-łeś mi życie. To nie jest coś, o czym bym zapomniał. Dlatego, mimo że jawnie wspierałeś Wspólnotę i wrogów Daniela, chciałem zachować się przyzwoicie... — stwierdził wyciągając pistolet. — Czemu mi to tak utrudniasz?

— Chcesz mnie zabić? — spytał Dziki, a serce praktycznie podeszło mu do gardła.

Chłopak wyraźnie zawahał się, a pistolet zadrżał w jego dłoni. — Nie... — odpowiedział w końcu. — Ale nie mogę też pozwolić, byś mnie zdradził. Po-czekasz tu ze mną, aż Delimer się przedrze.

Po tych słowach wymierzył w kierunku Dzikiego. Ten poczuł teraz prawdziwe przerażenie, ale nie chodziło nawet o sytuację, w jakiej sam się zna-lazł. Szpital Wspólnoty był zaledwie parę metrów od czołowego muru, a w nim czekała Oli razem z umierającym Kluczem. Myśl o tym, jakie niebezpieczeń-stwo groziło teraz dziewczynie, po prostu go niszczyła.

Jak na złe, w tym samym momencie głuchy dźwięk gniecionej metalu wypełnił okolicę. — *Czyżby Delimer już przedzierał się przez bramę?* — pomyślał i nie mogąc opanować nerwów, zawołał w stronę chłopaka. — Naprawdę myślisz, że uda ci się uciec? Albo że Daniel zabije Delimera?

Tyzak, który również z uwagą nasłuchiwał odgłosów dobiegających ze Wspólnoty, uśmiechnął się z politowaniem w jego stronę. — Armia zabiła już jednego Delimera! Z taką ilością broni i zorganizowanych ludzi to zadanie trudne, ale jak najbardziej wykonalne. Zresztą istnieje spora szansa, że wykończą go ludzie ze Wspólnoty. Dla mnie najważniejsze jest, żeby mury zostały uszkodzone.

Dziki rozejrzał się panicznie, mając nadzieję, że ktoś ze Wspólnoty w końcu ich zauważy. Niestety między budynkami byli zbyt dobrze ukryci, by skupieni na nadchodzącym potworze strażnicy dostrzegli ich choćby przypadkiem.

Z bronią skierowaną w swoją stronę, Dziki nie mógł też próbować niczego innego, jak tylko przekonać chłopaka, by ten go odpuścił. — Wiem, że wierzysz w Daniela... — zaczął. — Wiem, że wszyscy w niego wierzą. Rozumiem to! Sam mam wrażenie, że gdybym nie poszedł za radą Kuby, przylączyłbym się do Armii. Pewnie teraz też wierzyłbym w niego albo w jego idee. W końcu byłem kiedyś słaby, jak ty. W Starym Świecie byłem nikim i pewnie nic bym nie osiągnął! A Daniel daje takim ludziom szansę. Jednak Wspólnota to nie tylko elity, strażnicy i Weterani. Jest tutaj masa zwykłych ludzi, takich jak my. Co z nimi? Chcesz, żeby zginęli?! — zawołał, licząc, że wzbudzi w chłopaku choć minimalne zwątpienie.

Tyzak wydawał się niewzruszony i natychmiast odparł: — Strefa Głodu przyjmuje każdego i nikogo nie trzyma... Takie jest jej motto. Każdy mógł odejść ze Wspólnoty i iść w stronę Marketu. Jeśli byłby tego wart, Daniel by go wybrał. Ci, którzy zdecydowali się zostać tutaj, sami wybrali swój los. Ze względu jednak na sytuację z Zarzeczem, Daniel okaże łaskę każdemu, kto zdecyduje się walczyć po jego stronie...

Głos chłopaka utonął w kanonadzie, która dobiegła od strony bramy. Wspólnota musiała dawać z siebie, co tylko mogła, by powstrzymać bestię, ale Dziki wiedział, jakie było to trudne. Delimery były niezwykle odporne i wytrzymałe. Z opowieści, które słyszał, Armia Daniela walczyła z takim potworem przez pół dnia, a przecież miała o wiele więcej ludzi pod bronią. Sam Dziki co prawda pokonał Delimera w pojedynkę, ale zrobił to wykorzystując jedną z największych anomalii tego świata, Las Ludzi. Za jego granicami udało mu się niewyobrażalnie osłabić potwora, a i tak ledwo wyszedł z tego cało.

Tyzak słysząc odgłosy walki, uśmiechnął się szeroko i spojrzał kątem oka w stronę placu. Nie opuścił jednak broni. Skoro chłopaka nie dało się przekonać, Dziki musiał znaleźć jakiś sposób, by uśpić jego czujność i dać sobie okazję do ataku. Spróbował więc wciągnąć go w dalszą dyskusję. — Więc to poświęcenie ma zapewnić ci miejsce wśród Braci? Nie wystarczyła służba w szeregach obrońców?

Chłopak przerwał na chwilę nasłuchiwanie i popatrzył na Dzikiego, jakby został śmiertelnie obrażony. — Nie robię tego za przywileje! Robię to, by pomóc zaprowadzić porządek w Nowym Świecie. By ta niesprawiedliwość, która istniała w Starym, umarła razem z nim... — stwierdził z wyrzutem.

Dziki zauważył, że chłopak rozkojarzył się nieco. Dłoń, w której trzymał pistolet, zawirowała podczas gestykulacji, gdy podkreślał swoją wypowiedź. Spróbował więc ciągnąć rozmowę dalej. — Maciejewski miał na to inne spojrzenie. Nie krył nawet przez chwilę, że po cegielni liczy na przyjęcie w szeregi elit... Co się z nim stało, kiedy zawiódł?

Tyzak podrapał się po głowie. Niestety zrobił to wolną ręką. — Daniel wybaczył mu porażkę. Wrócił do zarządzania banderą i w sumie dobrze. Wiedług mnie powinien tam szczerzać na zawsze, ale Daniel widzi w nim coś więcej. No niby trudno odmówić mu lojalności, bo nigdy nie kwestionuje słów wodza. Choć jak dla mnie, robi to tylko ze strachu. Ja przede wszystkim szanuję Daniela — stwierdził, kładąc wyjątkowy nacisk na ostatnie słowa.

Dziki pokiwał głową, jakby niezwykle go to interesowało. — A wśród wysoko postawionych Armii są w ogóle jeszcze jakieś kobiety? Poza Elzą nie widziałem żadnej...

Tyzak znowu się zamyślił. Tym razem opuścił nieco pistolet, ale lufa była wciąż zbyt wysoko by Dziki zdążył się poderwać. — Daniel twierdzi, że kobiety nie powinny walczyć. Dlatego zajmują się pomocą medyczną, gotowaniem i tak dalej. Co prawda wśród obrońców Marketu są dwie dziewczyny, ale to wyjątkowe przypadki. Obie okazały niezwykłą sprawność w walce z Niewykształconymi, jedna z nich nawet...

Tyzak nie zdążył skończyć, bo Mike wpadł właśnie w uliczkę. — Wszyscy Weterani mają w tym momencie opuścić Wspólnotę! — zawołał, wybiegając zza winka, ale gdy tylko dostrzegł broń w dłoni chłopaka, sięgnął po karabin przy boku.

Tyzak obracał się już, by wziąć Mike'a na cel, ale Dziki poderwał się, chwytając go za rękę. Wiedział, że nie da rady wyrwać chłopakowi broni, udało mu się jednak skierować jej lufę w stronę ziemi. Mike miał dzięki temu szansę doskoczyć do nich. Po chwili szamotaniny udało im się rozbroić Tyzaka, ale w tym samym momencie z oddali rozległ się huk tak głośny, jakby zawalił się cały budynek.

* * *

Krzak drzemał w swoim biurze. W pozbawionym okien pomieszczeniu było cicho i ciemno, jak w studiu nagraniowym. Zdawałoby się, że nic nie będzie w stanie zakłócić zasłużonego snu mężczyzny, a już na pewno nie to, co stało się po chwili.

Sokół, jeden ze strażników murów, wpadł do środka przez otwarte drzwi, krzycząc: — DELIMER! DELIMER ZMIERZA DO BRAM WSPÓLNOTY!

Krzak poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że biurowe krzesło, na którym spał, przewróciło się z hukiem. Przez chwilę mrugał oczami, jakby nie do końca dotarło do niego to, co usłyszał. Dopiero spoglądając w przerażoną minę strażnika, zrozumiał, że to nie był sen. Bez słowa ruszył w stronę wyjścia.

Wybiegając na plac, był już całkiem rozbudzony. Po drabinie dostał się na szczyt murów, gdzie od razu chwycił za lornetkę. Spoglądając w stronę głównej drogi, ku swojemu niedowierzaniu, dostrzegł olbrzymią sylwetkę Niewykształconego.

Delimer musiał być bardzo stary. Jego maska spawalnicza była ogromna i pełna nitów. Z postury potwór przypominał o wiele bardziej olbrzymiego goryla niż człowieka, a jego przerośnięte ręce ocierały się o ziemię z każdym powolnym krokiem.

Krzak przygryzł nerwowo wargę, starając się zrozumieć całą sytuację. — Żaden Delimer nie patroluje tej okolicy. Wiedzielibyśmy o tym. Musi kogoś ścigać — wyszeptał sam do siebie. W jego głowie od razu zrodziło się wyjaśnienie tej sytuacji. Dotknięty przez Delimera wolny Weteran musiał skryć się za murami, licząc zapewne, że strażnicy stoczą walkę z bestią i mimowolnie ocalą mu życie. — Mike, ilu Weteranów wpuściłeś dziś do Wspólnoty? — spytał natychmiast.

— Jakichś szesnastu — odparł Mike, drapiąc się po głowie. — Jest też Dzikie razem z Oli, ale oni są tutaj od wczoraj. Nie mogli go ściągnąć — dodał po chwili, jakby doszedł do tego samego wniosku.

Krzak przyłożył jeszcze raz lornetkę do oczu. Delimer ewidentnie zmierzał w kierunku Wspólnoty. Nie było wątpliwości, że jego naznaczony musiał być za murami. — Mike, weź dwóch chłopaków... — rozkazał. — Znajdźcie wszystkich Weteranów, którzy przyszli dziś do Wspólnoty! Masz ich wyrzucić stąd choćby siłą — potem zwrócił się do strażnika, który zaalarmował go o przybyciu potwora i właśnie do nich dołączył. — Sokół, zbieraj ludzi! Musimy go spowolnić, dopóki nie znajdziemy dotkniętego!

Obaj podkomendni Krzaka zbiegli natychmiast z murów. Po chwili sygnał alarmowy rozbrzmiał w całej okolicy. Zaraz po ustaniu wycia, Sokół wybiegł na środek placu, krzycząc: — DELIMER, DELIMER JEST POD MURAMI. WSZYSCY STRAŻNICY NA MURY!

Przygotowana do nagłych ataków i będąca w ciągłym pogotowiu grupa obrony, w ciągu kilku minut wbiegła na plac, uzbrojona w długą broń myśliwską.

Krzak, obserwując zbierających się ludzi, zawołał natychmiast w ich stronę: — Musimy spróbować zająć go walką za murami! Dać naszym czas na odnalezienie tego, kto go tu przyciągnął! — Po czym zjeżdżając po drabinie, stanął przed zgromadzonymi. — Uważajcie! Podobno, gdy mają naznaczonego, robią się strasznie agresywne... — przestrzegł podkomendnych.

W międzyczasie strażnik odpowiedzialny za bramę cofnął jeden z autobusów, robiąc sporą lukę w murze. — Naprzód! — rozkazał Krzak i wybiegł, prowadząc swoją grupę, która momentalnie się rozdzieliła, by zająć kilka pozycji.

Delimer kroczył środkiem drogi wyjątkowo ospale. Od momentu, w którym dostrzegli go po raz pierwszy, pokonał zaledwie kilkanaście metrów. Niemniej, gdy strażnicy znaleźli się za murami, jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Najpierw potwór zatrzymał się. Jednym długim ruchem skrytej za maską głowy przejrzał całą okolicę, po czym ruszył do przodu o wiele szybciej.

— Sukinsyn! Jest o wiele bardziej świadomy niż się zdaje — krzyknął Krzak i zwracając się do towarzyszy, dał rozkaz do ataku.

Dwaj najbardziej wysunięci strażnicy, wystrzelili kilka pocisków, celując w głowę Delimera. Niestety maska, która ją skrywała była o wiele trwalsza niż prawdziwa przesłona używana przez spawaczy. Mimo bezbłędnego trafienia śrut zeslizgnął się po metalu, nie penetrując go nawet na milimetr.

Na samym potworze również nie zrobiło to wielkiego wrażenia, poza tym, że sprowokowany zboczył z drogi, kierując się w stronę strzelców. Mężczyźni natychmiast wycofali się w boczną uliczkę, licząc, że Niewykształcony podąży za nimi. Niestety Delimer, po trwającym zaledwie kilka sekund pościgu, zawrócił w stronę murów.

Krzak dał kolejny znak i tym razem czteroosobowa grupa ruszyła tuż przed Delimera. Drażniąc go serią wystrzałów, zdołali ponownie skłonić potwora do pościgu. Niestety ten okazał się o wiele bardziej zaradny niż z początku uważali. Niewykształcony podążył za nimi aż na podwórze pobliskiej kamienicy, tam jednak zamiast kontynuować pogoń, zatrzymał się obok wielkiego stalowego kontenera na śmieci. Zupełnie niespodziewanie pochwycił go i uniósł do góry, jakby był zrobiony z plastiku, a potem cisnął nim w uciekających mężczyzn. Zaskoczeni strażnicy nie zdążyli nawet zrobić uniku. Jeden z nich trafił prosto pod upadający śmietnik i zakończył życie jako plama krwi na betonie. Drugi, uderzony już sunącą po ziemi kupą metalu, padł nieprzytomny. Dwaj pozostali strażnicy, którzy cudem uniknęli trafienia, podnieśli pozbawionego zmysłów kompana i zaczęli odciągać go w bezpieczne miejsce.

Na ich szczęście Delimer nie ścigał ich dalej i natychmiast ponownie ruszył w stronę Wspólnoty.

Krzak razem z kolejną grupą wysunęli się przed potwora. Zgodnie z jego instrukcjami, wszyscy wzięli na cel nogę Niewykształconego i pokryli jego kolano istną chmurą ognia.

Spodnie Delimera rozszarpały się, a między dziurami pojawiła się czarna krew. Wydawałoby się, że po takim ostrzale potwór po prostu padnie na ziemię z urwaną kończyną, ale nic takiego się nie stało. Chociaż Niewykształcony bez wątpienia odczuł trafienie, to nie utracił nawet odrobiny sprawn-

ści. Do tego atak wyraźnie go rozjuszył. Pochylając się niczym rugbista, ruszył w stronę strażników z niewyobrażalną, jak na swoje gabaryty, zrywnością.

Mężczyźni spróbowali się rozproszyć, ale potwór nie dał się zmylić i wybrał konkretny cel. Szarżując na najbliższego strażnika, dopadł go bez problemu, po czym jak wściekły goryl uniósł go nad głowę i cisnął nim o ziemię.

Strażnik wrzasnął z bólu, a jego mundur rozerwały połamane kości. Krzak widząc to, dał natychmiast rozkaz do ponownego ataku. Za wszelką cenę chciał uratować jeszcze żywego towarzysza. Niestety, Delimer nie pozwolił się odciągnąć od rannego. Unosząc swoje potężne ręce, uderzył kilka razy, kończąc żywot mężczyzny.

Krzak był w szoku. Do tej pory był przekonany, że Delimery są powolne i flegmatyczne. Historie o tym, że sprowokowane robią się dzikie, znał tylko z pokątnych opowieści i nie do końca dawał im wiarę. Dodatkowo Niewykształcony zdawał się karać ich za wszystkie ataki. Nie był pewien, jak bardzo „świadomy” był Delimer, ale daleko mu było do całkiem bezrozumnej bestii.

— Krzaku, co robimy? — spytał wyraźnie przestraszony Sokół.

— Nie damy rady go powstrzymywać bez strat, a do tego zyskujemy tu gówno, nie czas! — stwierdził nieco wytrącony z równowagi dowódca. — Trzeba go wpuścić...

— Co?! Wpuścić go do środka?! Oszalałeś?! — zawołał natychmiast Sokół.

Po sile, z jaką bestia rzuciła ważącym pół tony kontenerem, Krzak był pewien, że mury i tak nie wytrzymałyby jej ataku. — Nie mamy wyjścia! Jeśli brama będzie zamknięta, po prostu ją zniszczy... A jeśli za nim przyjdzie jakaś fala Niewykształconych? Nie obronimy Wspólnoty! — wykrzyczał, dając jednocześnie rozkaz do odwrotu.

Strażnicy wbiegli przez bramę na plac, gdzie zdążyła zgromadzić się już masa gapiów. Właściciel jednej z faktorii handlowych — Sęp, wyczłapał natychmiast przed szereg, spoglądając wrogo w stronę Krzaka. — Co się tam dzieje?! Dlaczego nie walczyście? — zapytał oburzony.

— Nie damy rady powstrzymać Delimera. Mike szuka Weteranów, którzy mogli zostać przez niego dotknięci... — wyjaśnił Krzak mężczyźnie, po czym zwrócił się do reszty zgromadzonych. — TERAZ NIECH WSZYSCY UKRYJĄ SIĘ W DOMACH! MUSIMY WPUŚCIĆ POTWORA DO ŚRODKA!

Na placu momentalnie rozległa się wrzawa. Oburzone głosy zaczęły wołać: WPUŚCIĆ DO ŚRODKA?! OSZALAŁEŚ? OD TEGO SĄ STRAŻNICY, ŻEBY NAS BRONIĆ! ZA CO PRZEŻERACIE NASZE SREBRNE! NIECH WALCZĄ!

Sęp, który był jednym z przewodniczących głównej władzy we Wspólnocie, krzyknął: — Nikt tu nie wpuści Delimera! Macie natychmiast zamknąć bramy! Strażnicy na mury i do walki!

Oburzony Krzak złapał mężczyznę za ramię i obrócił w swoją stronę. — JA ODPOWIADAM ZA OCHRONĘ! NIE WYDAWAJ ROZKAZÓW MOIM LUDZIOM!

Sęp spojrział jednak na niego z pogardą. — Za nic już nie odpowiadasz nieudolny kretynie! Razem z radą zdejmujemy cię ze stanowiska!

W tym momencie Krzak uniósł nieco broń i strzelił prosto w udo mężczyzny. Sęp runął na ziemię, a otaczający ich ludzie krzyknęli przerażeni. — NASTĘPNY, KTÓRY PODWAŻY MÓJ ROZKAZ, DOSTANIE KULĘ W ŁEB! PRZETRWANIE MURÓW JEST NAJWAŻNIEJSZE! WSZYSCY SCHOWAJCIE SIĘ JAK NAJDALEJ OD PLACU! JEŚLI BĘDZIE PRZY WAS JAKIŚ WETERAN, WEZWIJCIE STRAŻNIKÓW!

Gapie rozbiegli się, pozostawiając leżącego na ziemi Sępa. — Zapłacisz za to... — wysapał ranny właściciel faktorii. — Nie daruję ci tego. Moi ludzie...

Krzak przerwał jednak jego wywód, przystawiając mu lufę do czoła. — Jesteś pewien, że chcesz jeszcze coś powiedzieć?

Sęp zbliadł i nie ośmielił się już nawet otworzyć ust. Strażnicy, którzy stali dookoła, patrzyli z niedowierzaniem na to, co się stało, ale niewzruszony Krzak zwrócił się do nich, wydając dalsze rozkazy. — Wszyscy macie szukać Weteranów, którzy nie mieszkają we Wspólnocie! Jeśli spotkacie Mike’a to...

Przerwał jednak widząc, że wspomniany biegnie właśnie w jego stronę. Złany potem mężczyzna przybył, dysząc ciężko jak po maratonie. — Prawie wszystkich, którzy przybyli dzisiaj wyrzuciliśmy bocznym murem. Na liście mam jeszcze jednego, ale za diabła nie mogę go znaleźć — wysapał.

— Co z Delimerem? — zawołał Krzak w stronę obserwatora na bramie.

— Wciąż tu idzie! Jest już prawie pod bramą... — odpowiedział mężczyzna.

— Sukinsyn dobrze wie, że go szukamy i się chowa — prychnął Krzak. — Posłuchajcie, nie możemy dopuścić, żeby naznaczony zginął na terenie Wspólnoty, bo ten potwór nie odejdzie! Szukać dalej! — rozkazał, a strażnicy rozdzielili się. Sęp, który jako jedyny został na placu, czołgał się przez chwilę, nim dobiegł do niego jego pomagier, Ostry. — Zabierz mnie! Zabierz mnie stąd! — rozkazał mężczyzna, dostrzegł bowiem jak przez otwartą bramę wchodzi do środka Delimer.

Krzak wiedział, że nie może prowokować potwora, ale został na miejscu i obserwował, dokąd ten będzie zmierzał.

Delimer po przekroczeniu muru zatrzymał się na chwilę i tak jak wcześniej przy strażnikach, omiótł wzrokiem całą okolicę. Wtedy spod jego maski wydobyło się coś, co brzmiało jak przytłumiony krzyk.

— Co cię tak rozwścieczyło? Ilość ludzi? — spytał sam siebie Krzak.

W tym samym momencie Delimer złapał się za głowę. Wyglądało to tak, jakby chciał zgnieść własną czaszkę. Krzak obserwował go, gdy nagle bestia spojrzała w jego stronę i ruszyła niespodziewanie do ataku.

Wiedząc, że walka z nim nie ma sensu, mężczyzna rzucił się natychmiast do ucieczki. Odbiegając znacznie od potwora, wskoczył na niski dach byłego budynku stacji. W tym czasie Delimer zatrzymał się i wyrwał jeden z betonowych koszy na śmieci. Po chwili cisnął nim prosto w Krzaka. Ten rzucił się na dachówki, a pojemnik przelatujący z prędkością pocisku, o włos minął jego plecy.

Po tym nieudanym rzucie, Delimer zatrzymał się znowu rozglądając po okolicy.

— *Jest prawie ślepy, więc się gubi. Tu jest za dużo ludzi, by poczuł dokładnie tego, którego szuka...* — pomyślał Krzak.

Niewykształcony stał przez chwilę w dziwnym zawieszeniu, bujając się jedynie delikatnie na boki. Krzak myślał, że może zyska dzięki temu kilka minut, ale po chwili potwór wystrzelił na oślep do przodu.

Biegnąc z niezwykłą, jak na swoją masę prędkością, wparował z impetem w jeden z budynków przy stacji. Wyglądało to tak, jakby w dom uderzył mały, ale bardzo ciężki samochód. Ściany złożyły się jakby były zrobione z kart, a dach zawalił wznosząc tuman kurzu.

— KURWA MAĆ! — ryknął Krzak, zeskakując na dół.

Z gruzowiska dochodziły krzyki przygniecionych ludzi, ale sam Delimer wygrzebywał się spod sterty cegieł właściwie bez trudu.

Krzak wymierzył już w jego stronę.

Wolał zaryzykować walkę niż kolejny atak wywołany zagubieniem bestii. Nim jednak zdążył nacisnąć spust, na plac ponownie wbiegł Mike. Tym razem w towarzystwie Dzikiego i jakiegoś chłopaka w stroju Weterana.

— MAMY GO! MAMY DOTKNIĘTEGO! — zawołał Dzikie.

Krzak poczuł ulgę rozlewającą się po jego wnętrzu. — Trzeba go wyciągnąć za mury! — krzyknął.

Mężczyźni posłusznie chwycili mocniej Tyzaka i zaczęli ciągnąć go w stronę bramy, ale ten bronił się ze wszystkich sił.

Zirytowany Mike puścił go w końcu i sięgnął po karabin. — RUSZ SIĘ, BO CIĘ ROZWAŁĘ! — zagroził mierzząc chłopakowi między oczy.

— Jeśli to zrobisz, Delimer nigdy stąd nie odejdzie! — skontrował Tyzak, choć w jego głosie było w tym momencie sporo strachu i niepewności.

Rozwścieczony Mike dał krok do przodu i rąbnął chłopaka kolbą w twarz. Tyzak zachwiał się i prawie odpłynął, zawisając na Dzikim. — Spróbuj się opierać, to ci poprawię! — wrzasnął i złapał chłopaka za bluzę, ciągnąc go teraz bez problemu. W międzyczasie Delimer wygrzebał się już całkiem spod ruin. Jego ciało całe pokryte było kurzem i resztkami gruzu, ale fakt, że zawalił się na niego budynek, nie zrobił na nim wrażenia.

Dzikie razem z Mikiem pociągnęli powłóczącego nogami chłopaka do bramy. Delimer od razu ruszył w ich stronę, ale nie wyglądało na to, by szczególnie mu się śpieszyło.

— Nie będzie za nami biegl? — spytał Mike, nie spuszczać teraz wzroku z potwora.

Dzikie przynajmniej w tym wypadku miał dobrą wiadomość. — Wątpię. Mój nigdy nie biegał. One ogólnie zwalniają, gdy są blisko naznaczonego — wyjaśnił.

Słyszając to, Mike odetchnął z ulgą i teraz w pełni skupił się na przepychaniu z Tyzakiem. Chłopak opierał im się aż do samej Wieży Ciśnień. Na szczęście, gdy minęli już dawną siedzibę Defektu, musiało dotrzeć do niego, że nie zrealizuje planu Daniela, więc przestał się opierać. Ostatecznie sam zaczął biec, uświadamiając sobie, że przecież to jego goni Delimer.

Po kilku minutach morderczej gonitwy, mężczyźni dobiegli aż do przedszkola, w którym zginął Primo.

Mike puścił Tyzaka i runął na płot, dysząc ciężko. Potężna muskulatura nie szła u niego w parze z kondycją. — Dobra... — wysapał. — Tu go zabijemy.

Słyszając to, Dzikie poczuł, jak krew mrozi mu się w żyłach. — Co?! — zawołał jednocześnie z Tyzakiem.

— Jak tylko pojawi się Delimer... — wydyszał Mike, trzymając się za serce, jakby dostał zawału. — Zabijamy go i spadamy.

Tyzak, do którego dotarło co go czeka, zrobił się nagle całkiem błydy i zaczął się rozglądać przerażony. — Nie, czekajcie... nie... to nie tak miało być. Ja chciałem tylko... nie możecie! — zaprotestował, trzęsąc się jak osika.

Dzikie widząc jego przerażenie, zaczął toczyć sam ze sobą walkę. Z jednej strony Tyzak był wrogiem Wspólnoty, naraził życie jego, Oli oraz Klucza. Ale przecież nie zrobił tego świadomie. Nie wiedział, że ludzie z autobusu są we Wspólnocie. Do tego, najpierw próbował przekonać Dzikiego, by ten uciekł. Mógł przecież oszczędzić sobie problemów i po prostu zabić go, gdy byli pod murami. Obiektywnie patrząc, Tyzak nie wydawał mu się być „złym człowiekiem”, po prostu stał po tej „drugiej stronie”.

Obserwując, jak do oczu chłopaka nabiegają łzy, Dzikie wiedział już, że nie może dopuścić, by Mike go zabił. Niestety bał się, że jego przyjaciel może tak łatwo nie dać się przekonać. Od momentu pojawienia się w Nowym Świecie miał bowiem bardzo lekki stosunek do pozbawiania ludzi życia. Zwłaszcza tych, których uznawał za wrogów.

Nie chcąc toczyć tutaj niepotrzebnej kłótni, Dzikie postanowił sięgnąć po mały podstęp. — Nie możemy tego zrobić tutaj! — zaprotestował. — Delimer bez naznaczonego stworzy sobie nowy obszar patrolowy w okolicy. Stąd może jeszcze sięgnąć Wspólnoty! — stwierdził starając się brzmieć pewnie.

Mike uderzył się dłonią w czoło, uświadamiając sobie jak oczywiste były wyjaśnienia Dzikiego. — Kurwa... nie pomyślałem. Dobra, to biegniemy dalej!

Dzikie pokręcił głową. — Stary, nie obraż się, ale ty już ledwo stoisz. Może lepiej ja odciągnę chłopaka jak najdalej, a potem załatwię sprawę.

Mike popatrzył na niego bez przekonania. Być może zbyt dobrze znał Dzikiego i wyczuł, że za lekko przysła mu ta deklaracja morderstwa. — Jesteś pewien? — spytał podejrzliwie. — Zwykle nie byłeś tak skory do... no wiesz.

Dziki odetchnął. — Mike, cholera! Nawet jeśli nie dam rady... chłopak ucieknie prosto do Strefy Głodu! Wtedy Delimer będzie problemem Daniela. Nie chcesz mu się odplacić?

Mężczyzna zamyślił się przez chwilę, ale w końcu skinął głową i podał Dzikiemu pistolet Tyzaka, mówiąc: — Uważaj na siebie...

— Ty też — odpowiedział Dziki i ruszył pchając chłopaka lufą.

Po dobrych piętnastu minutach kolejnego biegu, Dziki czuł, że jego płuca zaraz spłoną. Od momentu, gdy sam uciekał przed Delimerem, nie musiał biegać tak długo. Tyzak zdawał się znosić to dużo lepiej. W szeregach Armii treningi musiały być obowiązkowe, bo chłopak nawet nie miał zadyszki.

Gdy po jakimś czasie dotarli do okolic pierwszego zawalonego mostu, Dziki wiedział, że już dalej nie da rady. Nie chodziło tu już nawet o ból narządu oddechowego, ale jego blizna po nożu zaczęła mocno doskwierać. Była jeszcze zbyt świeża, by znieść taki wysiłek. — Starczy — powiedział w końcu, opierając się o witrynę sklepu, przy którym się zatrzymali.

Tyzak odwrócił się, patrząc mu prosto w oczy. — Więc teraz ja spytam ciebie. Zabijesz mnie?

Dziki westchnął, spuszczać wzrok. — Dobrze wiesz, że nie. Ale nie wracaj więcej do Wspólnoty...

Tyzak uśmiechnął się. — I tak tego nie zrobię, znają już moją twarz. Ale to jeszcze nie koniec! Moja porażka to tylko drobne potknięcie w ogólnym planie!

Dziki pokręcił głową, patrząc na chłopaka. W jego oczach nie było niczego złego. Za to przemawiała przez niego szczerza wiara. — Żałuję, że musieliśmy się spotkać po dwóch stronach barykady — stwierdził w końcu. — Uważaj na siebie. Oby Daniel dotrzymał słowa i wybawił cię od Delimera.

Tyzak wyciągnął dłoń na pożegnanie. — Dziękuję jeszcze raz. Wiem, że Daniel ma do ciebie sporo szacunku. Kiedy już Armia podbije Krańcowo, będę go błagał o łaskę w twoim imieniu — zadeklarował się młodzik.

Dziki uściśnął mu dłoń i po chwili obydwa kroczyli już w przeciwnych kierunkach.

Przez niecałe pół godziny udało mu się odbiec naprawdę spory kawałek. Teraz trzeba było szybko wracać. Ciągłe nie wiadomo było, co z Kluczem ani jakie straty poniosła Wspólnota. Czy po tym, co się stało, dalej będą wpuszczać Weteranów do środka? Na pewno nastroje za murami nie będą teraz ciekawe. Dziki wołał więc nie zostawiać tam Oli samej zbyt długo.

Lekkim truchtem, na który pozwalał mu ogólny stan, zawrócił tą samą drogą. Na szczęście większość ulic była całkiem opustoszała, a okolica Wspólnoty stosunkowo bezpieczna.

Dziki dość szybko stracił poczucie czasu. Nie był pewien czy minęła już godzina, czy może dwie odkąd wybiegli ze Wspólnoty. Zmęczony oparł się w końcu o płot jakiegoś budynku, żałując, że nie ma przy sobie wody. — Powinienem sprawić sobie menażkę... — stwierdził, wściekły na fakt, że dobre pomysły zawsze przychodzą mu po fakcie.

Po chwili odpoczynku ruszył dalej. Pierwsza niemiła niespodzianka spotkała go dopiero przy przedszkolu. W miejscu, gdzie wcześniej przystanęli, spotkał bowiem Delimera. Był to bez wątpienia ten, który ścigał Tyzaka. Widząc Dzikiego po drugiej stronie ulicy, potwór przyjrzał mu się przez szkło w masce.

Dziki zamarł. Nagle przypomniało mu się to charakterystyczne uczucie, gdy spoglądał na niego jego własny oprawca, pocieszała go myśl, że to nie on był tym razem celem. — To nie mnie szukasz! — zawołał, sam nie wiedząc czemu.

Wtedy po raz kolejny zdarzył się ten fenomen Nowego Świata, którego Dziki nie był w stanie wyjaśnić. Delimer wyraźnie przytaknął. Choć oczywiście mógł to być zwykły przypadek. Zwykle drgnięcie, które zostało przez niego źle zinterpretowane. Z drugiej strony, gdy przed wejściem do Lasu Ludzi, Dziki stanął naprzeciw ścigającego go wówczas potwora i zadał mu pytanie, ten również zdawał się potwierdzić skinieniem głowy.

Po tym dziwnym geście, Delimer ruszył dalej, zupełnie ignorując obecność Dzikiego, ale skłaniając go do pewnych przemyśleń. To pytanie musiało przetaczać się przez głowę każdego, kto spędził w Nowym Świecie dość czasu. — Na ile inteligentni są Niewykształceni? W końcu wszyscy byli kiedyś ludźmi. Ile zostało w nich ze starej świadomości?

Przypomniał sobie Bandera-boarda, który przecież nie atakował członków Armii i był posłuszny Danielowi, mimo że sam był Niewykształconym.

Dziki otrząsnął się i ruszył dalej. Nie była to pora na filozofowanie. Na szczęście z przedszkola do Wspólnoty było już naprawdę blisko, więc droga pod mury minęła mu błyskawicznie.

O dziwo, brama ciągle jeszcze była otwarta. To niedopatrzenie strażników pozwoliło Dzikiemu dostać się do środka bez zbędnych tłumaczeń. To, co jednak zastał wewnątrz, było znacznie mniej przyjemną niespodzianką.

Tłum ludzi zgromadził się na placu, otaczając sporym pierścieniem jego środek. We wnętrzu stał Krzak oraz gromada dobrze wyglądających osób. Wśród nich, Dziki z miejsca rozpoznał Sępa, Siwego i Zoidberga. Musiał to być więc ten słynny Konglomerat Potrzebnych, który rządził Wspólnotą. Pomiędzy zebranymi trwała właśnie zażarta dyskusja.

Zaciekawiony Dziki precyzował się między tłumem i przystanął na tyle blisko, by móc usłyszeć przemawiającego właśnie nieznanego sobie mężczyznę.

— ...swoimi decyzjami doprowadzając do śmierci nie tylko dwóch strażników, ale niewinnych cywili. Dodatkowo uczynił trwały uszczerbek na zdrowiu członkowi Konglomeratu!

Ludzie zaczęli buczeć. Kilkoro z nich ostentacyjnie pokazało kciuki w dół. Ktoś krzyknął: — Wyrzucić go za mury!

Krzak przysłuchiwał się temu wszystkiemu z rękoma złożonymi na piersi. Gdy tylko mężczyzna skończył mówić, dawny lider Wspólnoty zawołał. — Zrobiłem to, co było słuszne. Gdyby Delimer zniszczył mur, nie skończyłoby się na kilku ofiarach! Cała Wspólnota byłaby zagrożona!

Dziki przeciskając się bliżej, dostrzegł osiem ciał zawiniętych w białe prześcieradła, rozłożone na placu. Wrzawa i nawołania przeciw dawnemu liderowi nabierały na mocy, ale Krzak nie zwracał na to uwagi i przemówił jeszcze głośniejsze. — TAK JAK POWIEDZIAŁEM, OCALENIE MURÓW BYŁO DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZE! BO WSPÓLNOTA ISTNIEJE TYLKO DZIĘKI MUROM!

Niestety jego słowa nie przyniosły pożądanego efektu. Delimer oraz ten, który go ściągnął uciekli, a tłum jak to tłum, domagał się krwi i natychmiastowej „sprawiedliwości” za poniesione ofiary.

Kolejny mężczyzna z Konglomeratu wyłonił się ze zgromadzenia. Dziki rozpoznał w nim Borysa, Wspólnotowego elektryka. — Nie chcę się powtarzać, ale już dawno zwróciłem uwagę, że szef strażników o wiele bardziej ceni sobie życie własnych podkomendnych, niż ludzi, których ma ochraniać. Nepotyzm wśród strażników jest tak wielki, że tumani bez jakiegokolwiek obeznania decydują, kto ma wejść do Wspólnoty i mamy tego finał...

Mike stojący po przeciwnej stronie tłumy, zrobił się natychmiast czerwony i opuścił głowę. Naprzód gawiedzi wyszedł jednak Siwy, który swoim śpiewnym głosem stanął w obronie dawnego lidera. — Jak zapewne wiecie, ja i Krzacunio nie zawsze się zgadzaliśmy... Właściwie prawie nigdy — zaćwierkał. — Ale szanuję go jako szefa straży i po części mojego obrońcę. Wierzę, że gdyby nie zdecydował się wpuścić Delimerka do środka, to wszyscy bylibyśmy teraz w niezłym kisielu...

— Chciał powiedzieć gównie! — wtrąciła natychmiast Zjawa.

Jego jawne poparcie dla Krzaka nie zrobiło jednak na tłumie żadnego wrażenia. Nie było wątpliwości, że Siwy nie miał we Wspólnocie zbyt dużego poparcia. Tak naprawdę, gdyby nie ochrona najemników pokroju Zjawy i Mańka, prawdopodobnie już dawno zostałby wyrzucony z osady, a jego majątek zabrany.

Sęp postanowił natychmiast zdyskredytować swojego konkurenta. Wysunął się do przodu wsparty o kuli. — Strasznie ci blisko do Krzaka! Może dlatego, że obaj lubicie w tę samą dziurę! A może dlatego, że obaj klękaliście kiedyś przed Danielem! — wyrzucił mężczyzna, a tłum zawył głośno.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi... — zawołał Siwy, obracając się jak obrażona panienka.

— Może o to, że nasz szef ochrony był kiedyś żołnierzem Daniela, a tobie nie przeszkadzało handlowanie z jego kundlami! — wypalił Sęp, a tłum zawył

jeszcze mocniej. — Skoro Krzak nie ma innych popleczników w radzie oprócz ciebie, zdejmujemy go z obowiązków i pozbawiamy władzy nad strażnikami!

Tłum wiwatował, ale kilku członków rady, zapewne zwolenników postrzelonego Sępa, zawył. — Mało! Wyrzucić go ze Wspólnoty! Przestrzelić mu nogę! — skandowali, a gromada pociągnięta przez ich wrzaski, ponownie zaczęła buczeć.

Krzak rozejrzał się z politowaniem po ludziach na placu. — Ja zbudowałem to miejsce! Ja zaprosiłem pierwszych z was za mury, które to budowałem razem z moimi dawnymi towarzyszami! Ale dobrze! Cieszę się, że mogę odejść. Nie mam ochoty dłużej patrzeć, jak niszczyte to, w co włożyłem tyle serca! Doskonale sobie poradzę! Mam już dość martwienia się o innych bez cienia wdzięczności! Bierzcie odpowiedzialność za ten pierdolnik sami! Patrząc teraz na was wszystkich... ŻAŁUJĘ DNIA, W KTÓRYM ODSZEDŁEM Z ARMII! — wykrzyczał sfrustrowany.

W tym momencie, to już nie była wrzawa. Rozległ się jeden wielki rumor. Dziki rozumiał, jak wściekły musiał być Krzak, ale w obecnej sytuacji nie powinien był mówić czegoś takiego. Gromada ludzi już wcześniej była gotowa go zlinczować, a teraz tylko uspokajający ich strażnicy chronili mężczyznę przed samosądem.

Sęp, wykorzystując narastającą w tłumie wściekłość, wykrzyczał: — ŻAŁUJESZ DNIA, W KTÓRYM ODSZEDŁEŚ Z ARMII? TY WCALE Z NIEJ NIE ODSZEDŁEŚ! JESTEŚ SZPIEGIEM DANIELA! DLATEGO WPUŚCIŁEŚ DELIMERA DO WSPÓLNOTY PRAKTYCZNIE BEZ WALKI!

— Ma rację, pojmać go! — zawołał inny członek rady, a najemnicy Sępa wysunęli się do przodu.

Nagle przez tłum przebił się Mike i stając obok Krzaka, przeładował swój karabin. — ROZPIEPRZĘ WSZYSTKICH, KTÓRZY SIĘ DO NIEGO ZBLIŻĄ! — zawołał groźnie.

Niemal natychmiast kilku kolejnych strażników wiernych Krzakowi, przedarło się przez tłum otaczając dowódcę. Wszystko wskazywało, że za chwilę dojdzie do strzelaniny, ale Krzak wysunął się przed swoich ludzi. — Stop! — zawołał. — Nie będzie tutaj żadnej bratobójczej walki... Odejdę ze Wspólnoty z własnej woli. A oskarżenie o szpiegostwo...? Gdybym chciał się was pozbyć, nie pozwoliłbym wyrzucić stąd chłopaka! Ba, którejś nocy po prostu wpuściłbym tu Banderę i wymordował was we śnie! Ale o poziomie głupoty, którą tu pokazujecie, nie chce mi się nawet dyskutować. Wszyscy opuśćcie broń...

Krzak obrócił się na pięcie i przeszedł przez tłum, który widząc, że mężczyzna wciąż ma poparcie w grupie uzbrojonych ludzi, nie ośmielił się go zatrzymać.

Mike i reszta strażników ruszyła za nim, ale gdy tylko minęli zebranych mieszkańców były lider obrócił się, zatrzymując ich. — Nie chłopaki, już nie. Nie zabieram ze sobą nikogo! Zostańcie tu. Pilnujcie swoich stanowisk i bliskich. Nie dajcie się zabić!

Wszyscy strażnicy stanęli zszokowani, ale to Mike, który podróżował z Krzakiem najdłużej, wyglądał na najbardziej wstrząśniętego. — Nie możesz tak mówić! Pchamy ten wózek razem od... od prawie zawsze! Dlaczego teraz chcesz mnie zostawić!

Krzak podszedł i położył Mike'owi rękę na ramieniu. — Bo tam, gdzie idę, przyjmą tylko mnie. Przykro mi... — mężczyzna obrócił się i ruszył w kierunku swojego biura.

Większość tłumu zaczęła się rozchodzić, prowadząc ożywione dyskusje. Tylko Sęp wyglądał na niepokieszonego. Resztę Konglomeratu musiała jednak zrozumieć, że lepsza dla nich była dobrowolna rezygnacja Krzaka, niż wojna z wciąż jeszcze wiernymi mu strażnikami.

Dziki zauważył, że Mike się nie poddał i wciąż podążał za liderem, tłumacząc mu coś zawzięcie. Zaciekawiony ruszył za nimi, wchodząc aż do biura Krzaka.

Tam mężczyzna wyciągnął ogromną torbę, do której zaczął pakować swoje rzeczy. Mike przez cały czas krążył dookoła. — Jeszcze raz mówię! Nie możesz mnie tu zostawić! Wszyscy wiedzą, że byłem ci najbardziej lojalny! Wyrzucą mnie zaraz po tobie albo zastrzelą we śnie.

Dziki poczuł prawdziwą grozę tej sytuacji. Wspólnota, którą sam pomagał budować, rozpadała się na jego oczach. Choć nie chciał tego przyznać, to co o tym miejscu mówił Wiewiór, zaczynało nabierać realnych kształtów. Krzak, ostatnia ostoja normalności tego przybytku, został właśnie z niego wygnany. — Naprawdę zamierzasz odejść? Zostawić to wszystko? Tak po prostu? — spytał z niedowierzaniem, opierając się w drzwiach.

Krzak zrobił chwilę przerwy, spoglądając na niego w jakiś wyjątkowo łagodny, wręcz ojcowski sposób. — Mam już dość brania na siebie odpowiedzialności za wszystko. Zbierania batów za każdym razem, gdy coś nie wypali. Bycia tarczą i workiem treningowym dla „elit”, które się tu utworzyły. Wiedziałem, że nie nadaję się na przywódcę od dnia, gdy chciałem ci pomóc, Dziki... od dnia, w którym dotknął cię Delimer. Już wtedy wiedziałem. Mogę być surowy, ale w odróżnieniu od Daniela nie strzelę nikomu w łeb za nieposłuszeństwo. Gdy tamtego dnia wszyscy mnie zignorowali, wiedziałem, że będę przywódcą tylko wtedy, gdy wszystkim będzie wygodnie bym nim był. Teraz mam już dość! — stwierdził głosem, jakby zrzucił z siebie jakiś ogromny ciężar.

Dziki nie mógł się z tym nie zgodzić. Podchodząc bliżej, usiadł na jednym z wolnych krzeseł. — Dokąd masz zamiar iść? Czemu nie możesz nikogo zabrać? Chyba nie chcesz wrócić do Daniela? — spytał z niepokojem.

Krzak zaśmiał się. — Daniel? Nie. Nie lubię marketowego jedzenia... Wracam do mojego domu. Do Sojuszu Bloków.

— Ty jesteś z Czerwonki? Nigdy mi o tym nie mówiłeś! — zaperzył się Mike.

— Co z tego, że jestem? Miało to wcześniej jakieś znaczenie? Sojusz niestety nie przyjmuje nikogo, kto nie mieszkał na Czerwonce, więc nie mogę cię zabrać... — westchnął, zerkając na niego.

Mike słysząc to, opadł ciężko na wolne krzesło. — To jestem w dupie...

— W jakiej dupie? — zaprotestował natychmiast Dziki. — Tyle razy ci mówiłem, żebyś przyłączył się do Autobusu! Ale ty ciągle zasłaniałeś się Krzakiem i powinnością wobec Wspólnoty. Teraz Krzak odchodzi, a Wspólnota ma cię w dupie! Do cholery, chodź w końcu ze mną!

Dziki spodziewał się, że po tej propozycji Mike przykłaśnie uradowany, ale ten zmarszczył tylko czoło. — Nie... Chyba wołałbym spróbować sił jako wolny Weteran... — stwierdził niespodziewanie.

Dziki nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Myślał, że jego przyjaciel zareaguje na propozycję z niepohamowanym entuzjazmem, a on po prostu go zbył. — Mike, co ty do cholery odstawiasz? Jaki wolny Weteran? Jesteśmy przyjaciółmi, a do tego Autobus wiele zyska. Co ci odpierdala?

Niespodziewanie zamiast Mike'a odezwał się Krzak. — Może już przestaniesz to przed nim ukrywać? Cholera, ta farsa i tak ciągnie się zbyt długo. W końcu jesteście przyjaciółmi czy nie...

Dziki popatrzył niepewnie na Krzaka, a potem na Mike'a. — Co ukrywać? Do cholery Mike, o czym on mówi?

Mężczyzna popatrzył niewidzącym wzrokiem w biurko i po chwili powiedział coś, od czego Dziki zaniemówił. — Brałem udział w zabójstwie Brissa...



Rozdział XVIII

Początek końca

Cisza, jaka po słowach Mike'a zapanowała w pomieszczeniu, była wręcz nieprawdopodobna.

Krzak zawisł tuż nad swoją torbą, wciąż ściskając w rękach mapę, którą miał zamiar do niej spakować. Sam Mike wlepił wzrok w biurko i zeszytywniał do tego stopnia, że można go było pomylić z woskową figurą.

Dziki natomiast starał się za wszelką cenę wytłumaczyć sobie to, co powoli do niego docierało. Biorąc głęboki oddech przerwał panującą ciszę, naskakując oburzony na swojego przyjaciela. — Mike, jeżeli to był jakiś głupi żart... To był on najgłupszym, jaki kiedykolwiek powiedziałeś...

W głowie Dzikiego ciągle tliła się nadzieja, że to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem. Niestety, gdy zobaczył, jak jego przyjaciel ukrywa twarz w dłoniach, powoli uświadamiał sobie, że o żadnej pomyłce nie było mowy.

Mike nie patrząc nawet na niego, wyszeptał w końcu głosem zduszonym przez własne palce. — To nie żart, to najszczerza prawda. Mam na rękach krew nie tylko Prima, ale również brata Oli. Ja nigdy nie ośmieliłbym się podróżować razem z wami...

Dziki słuchając go, wciąż kręcił głową z niedowierzaniem. To, co mówił Mike, było po prostu absurdalne. — Brata Oli zabili ludzie z Odrodzenia! — zaprotestował. — Mylisz się. Musisz się mylić! — tłumaczył dalej, próbując przekonać sam siebie, że to wszystko zaraz się jakimś cudem wyjaśni.

Krzak schował w końcu mapę do torby i siadając na krześle obok Mike'a, spojrzał przenikliwie w stronę Dzikiego. — Tylko że widzisz, kiedy ja i Mike się poznaliśmy, obaj byliśmy uciekinierami — oznajmił, niespodziewanie. — Ja zdezerterowałem z Armii Daniela, a on uciekał z Odrodzenia Silnego.

Po tym wyznaniu ponownie zapadła cisza.

O przeszłości Mike'a, wykraczającej poza poznanie Krzaka i budowanie Wspólnoty, Dzikie nie wiedział praktycznie nic. Wcześniej był jednak przekonany, że jego przyjaciel nie ma po prostu o czym opowiadać. Tłumaczył sobie, że włóczył się, jak każdy, próbując przetrwać. Tymczasem Mike skrywał tajemnicę tak straszną, że nie ośmielił się nią podzielić nawet z nim.

Dziki podsunął się bliżej biurka i spoglądając na Mike'a, westchnął ciężko. — Wydaje mi się, że zasługuję w tym momencie na jakieś wyjaśnienia...

Mike podniósł w końcu głowę, ale nie ośmielił się spojrzeć w jego stronę i uparcie wlepił wzrok w podłogę.

Krzak, wyczuwając zapewne ciężar całej sytuacji, sięgnął do szafki pod biurkiem i wyciągnął z niej ogromną butelkę alkoholu. — To bardzo wyjątkowa whisky — oznajmił im, przyglądając się etykiecie z jakimś dziwnym sentymentem. — Dostałem ją od Daniela za zabicie pierwszego Heterochroma w Strefie Głodu. A on wcześniej znalazł ją w mieszkaniu jakiegoś oficera z naszej śmiesznej bazy wojskowej. — Na twarzy Krzaka pojawił się ironiczny uśmiech, a oczy zrobiły mu się mętne, jakby coś wspominał. — Zatrzymałem ją, obiecując sobie, że wypiję, gdy Wspólnota pod moimi rządami stanie się miejscem lepszym niż jego królestwo. Teraz już chyba nie ma na to szansy — stwierdził z goryczą przebijającą się w głosie. — Skoro więc jej pierwotne zadanie jest niewykonalne, może przynajmniej odciąży nam trochę tę nieprzyjemną rozmowę.

Sięgając ponownie do szafki, Krzak wyciągnął trzy szklanki i każdą z nich zalał do połowy.

Mike od razu złapał za najbliższą i na jednym wdechu pochłonął jej zawartość. Krzak widząc to, westchnął zirytowany. — Mówiłem ci jak ta whisky jest dla mnie ważna, a ty pijesz ją jak tanie wino pod sklepem. Moją największą porażką jest to, że pod moimi skrzydłami nie nabrałeś nawet odrobiny ogłady — westchnął, biorąc jednocześnie drugą szklankę, z której wysączył niewielki łyk. — Smakuje rozczarowaniem... — skomentował po chwili.

Dziki wziął trzecią szklankę, ale nie upił z niej ani kropli. Spojrzał za to na swojego przyjaciela, który wyglądał na tak zagubionego, jak chyba nigdy w swoim życiu. Nie chcąc dłużej przeciągać tej nieznośnej ciszy, ponaglił go najspokojniej, jak tylko potrafił. — No dalej, stary. Teraz nie ma już odwrotu...

Mike odłożył pustą szklankę na biurko i wziął głęboki oddech. — Pamiętasz mnie ze Starego Świata, Dziki? — spytał, a jego spojrzenie zrobiło się puste. Najpewniej sam przywoływał teraz w myślach obraz dawnego siebie. Dziki dał więc mężczyźnie czas, by ten poukładał sobie wszystko i już po chwili Mike zaczął swoje samobiczowanie. — Byłem słaby! Miętki! — zawołał rozżalony. — Nie znający życia poza komputerem i barem, w którym pijaliśmy — opisywał dalej, a oczy przeszklily mu się w bezsilnej złości. — Nie byłem w żaden sposób stworzony, by mieć szansę w miejscu takim jak to. Do tego jeszcze prześladował mnie pech...

Dziki słuchał tego z uwagą, nie próbując się wtrącać. Gdy Mike zamilkł po ostatnim zdaniu, dał mu ponownie czas na zebranie myśli, a ten z wyrażonym żalem fuknął w końcu. — Wiesz, że kiedy pojawiłem się na cmentarzu, nie miałem nawet cholernych butów na nogach?! Kiedy światło przywalilo mi w oczy, siedziałem w dresach na kanapie... — ręce mężczyzny zdrząły, a z jego

twarzy bez trudu dało się odczytać, że wspomnienia pierwszych chwil w Nowym Świecie, musiały być dla niego wyjątkowo bolesne.

Dzikemu widok przyjaciela w tym stanie wydawał się zupełnie obcy. Przyzwyczaił się już do wersji Mike'a z Nowego Świata: silnego, niezłomnego, właściwie jego drugiego mentora w tym piekle. Prawie zapomniał, że obaj nie różnili się kiedyś tak bardzo.

W tym momencie Mike po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy spojrział prosto na niego. Dziki znał go na tyle dobrze, by odczytać, że miał do niego jakiś żal. — Wiesz... mnie nikt nie pomógł jak tobie — kontynuował z goryczą. — Założę się, że Kuba przyszedł mnie obejrzyć, ale pewnie uznał, że taka łazęga jak ja zginie gdzieś od razu. Pewnie pomyślał, że szkoda na mnie czasu. Nim zdążyłem wydostać się z centrum byłem już dwa razy pobity. Wszyscy napotkani myśleli, że mogłem mieć coś przy sobie...

Dziki wsłuchując się w tę historię, mimowolnie zaczął popijać whisky. Zawsze wiedział, że pomoc Kuby była dla niego niewyobrażalnym szczęściem. Dzięki temu nie miał okazji przekonać się, jak ciężko mieli ci, którzy żadnej pomocy nie otrzymali.

Oczy Mike'a ponownie zrobiły się mętne. Po chwili pauzy, już zupełnie bez emocji, wyrecytował kolejną część opowieści. — Nie mam pojęcia, jakim cudem w ogóle dotarłem do domu. Chyba po prostu nikt nie chciał tracić sił na zabicie mnie. Stopy miałem pokrwawione. Twarz spuchniętą jak melon. Spodnie rozerwane przez tych, którzy trzepali mi kieszenie. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Nie było mamy, telefony nie działały, całe miasto zdawało się oszalać. Przez długi czas nie ośmieliłem się wyjść na zewnątrz — kontynuował, a jego spojrzenie zrobiło się w końcu całkiem puste. Jakby zupełnie zatonał myślami we wspomnieniach. — Byłem strasznie głodny — powiedział w końcu — ale w moim mieszkaniu niczego już nie było. Po trzech dniach głódówki byłem już na skraju wyczerpania. Gdy omdlewający wyszedłem w końcu na ulicę, znaleźli mnie ludzie z Odrodzenia — zakończył część opowieści i jednocześnie podsunął szklankę Krzakowi.

— Tylko nie przesadz! — zgał go mężczyzna. — Chciałbym, żeby Dziki usłyszał historię do końca...

Mike skinął głową i tym razem wziął dużo wolniejszy łyk. — Odrodzenie było grupą założoną przez Michała Błaszczyka — wyjaśnił w końcu. — Ale oczywiście nosił już wtedy tytuł „Silny”. W Starym Świecie facet był trenerem w naszym klubie sportowym. Tam też mnie zaciągnęli...

Dziki po raz pierwszy wtrącił się w historię, bo jedna rzecz nie dawała mu spokoju. — Ale w ogóle czemu cię zabrali? Sam mówiłeś, przepraszam, że to powiem... nie rokowałeś...

— Bo Silny chciał mieć armię! — odpowiedział gniewnie Mike. — A przy tym miał możliwości, by ją stworzyć nawet z największych niedojd. Wiesz, dla-

czego tak wyglądam? — spytał, odruchowo napinając bicepsy. — To nie wynik twardego życia i Nowego Świata. Tylko Silnego i jego błędów...

— Jak to błędów? — ponownie przerwał Dzik. — Przecież ty ich nie używasz!

Mike otrząsnął się z obrzydzeniem. — Ja nie, ale mój były przywódca używał ich ciągle. Gdy jeszcze nie wiedziałem czym są błędy, Silny wydawał mi się jakimś cudotwórcą. Potrafił „uzdrawiać”. W tamtych dniach był dla mnie kimś niezwykłym...

Mike zamyślił się ponownie. Wspomnienie tamtych dni musiało być dla niego naprawdę trudne, bo milczał dobrych kilka minut. Nim zaczął mówić dalej, złapał kolejny solidny łyk ze szklanki. — Silny uważał, że przyszłość Krańcowa nie jest pewna. Mówił o czasach bez amunicji i broni. Gdzie przetrwają tylko najsilniejsi fizycznie. Do tego też nas przygotowywał, a jego błędy w tym pomagały. Niekończący się trening każdego dnia, aż padałeś nieprzytomny. Wtedy przychodził Silny i cię uzdrawiał, a potem ćwiczyłeś dalej. Oczywiście to nie było tak, że błędy załatwiały wszystko. Ból był nieziemski. To były dni pełne agonii. Nocami wyliśmy, bo mięśnie choć uzdrawiane, zdawały się palić żywym ogniem. Po kilku tygodniach tej katorgi byłem już potworem! O wiele większym niż teraz. Ale nie wszystkim się to udawało. Defekt wśród kandydatów był powszechny. Wszyscy bali się uzdrawiania, bo jak naszemu guru „coś” nie poszło, to od razu się rozmywałeś. Wtedy oczywiście byłeś natychmiast wyganiany. Każdy starał się więc dawać radę. Wytrzymać ból i zmęczenie. By jak najrzadziej korzystać z jego pomocy.

Krzak, choć pewnie znał tę historię, wsłuchiwał się w nią z nie mniejszym zainteresowaniem niż Dzik. Być może jego również dręczyła natura błędów. Był też pewien, że dawny lider Wspólnoty nie miał zbyt wielu okazji, by usłyszeć o Silnym i jego zdolnościach. Jak na kogoś tak gadatliwego, Mike wyjątkowo dobrze trzymał swoją przeszłość w tajemnicy.

— Dużo was było? Takich jak ty? — zapytał Dzik.

Mike przebiegł wzrokiem w powietrzu, jakby chciał sobie przypomnieć. — Jak na standardy Nowego Świata, bardzo dużo — stwierdził w końcu. — Odrodzenie brało w swe szeregi każdego, kogo się dało. Praktycznie każdy Nowoprzybyły, którego udało się nam znaleźć, był wcielany siłą do naszej grupy. Silny nie bardzo dbał o lojalność. Wszystko działało na zasadzie zastraszenia. Potencjalni uciekinierzy byli bici do nieprzytomności, potem uzdrawiani i bici od nowa. Jeśli przetrwałś taką lekcję i nie złapałeś defektu, służyłeś dalej. Nikt, kto przetrwał taką karę, nie próbował więcej uciekać.

— A ty próbowałeś uciec? — przerwał ponownie Dzik.

Mike jednak zaprzeczył. — Nie miałem powodu. Bardzo szybko zasłużyłem na tytuł „Odrodzonego”, więc nie musiałem się bać o treningi i uzdrawianie. W dużej grupie pełnej podobnych potworów byłem bezpieczny. Nikt, kto nie

miał broni, nie mógł się z nami równać. Więc właściwie do momentu rozrośnięcia się Armii Daniela, to my wzbudzaliśmy największy strach w Krańcowie.

Nie wiedząc czemu, Dzik wyczuł jakąś dziwną dumę bijącą z ostatniego zdania, ale postanowił to zignorować. Zamiast tego spytał o inną rzecz. — Jak właściwie zasłużyłeś na ten tytuł?

— By zyskać miano Odrodzonego i zakończyć ten cały trening, trzeba było zabić Potłuka gołymi rękami. Szybko się rozwijałem, więc udało mi się już za pierwszym razem... — wyjaśnił Mike.

— Dobrze, rozumiem... — odetchnął Dzik. — Zostałeś więc wcielony siłą do Odrodzenia, ale co z bratem Oli? Jak to się stało?

To pytanie nieco wytrąciło Mike’a z równowagi. Ponownie przechylił szklankę z whisky i podstawił Krzakowi puste naczynie, wymuszając następną kolejkę. Przez chwilę wodził wzrokiem po podłodze, wyraźnie zastanawiając się, jak ubrać w słowa to, co ma powiedzieć.

W końcu zniecierpliwiony Krzak odchrząknął. — Z każdą chwilą zwłoki, czynisz to tylko dla siebie trudniejszym...

Mike przytaknął, przyjmując reprimendę i zaczął dalszą część opowieści, wyraźnie starając się zachować spokój. — Choć Odrodzenie miało naprawdę niezłe początki, w pewnym momencie zaczęły pojawiać się problemy. Armia Daniela rosła w siłę, po Krańcowie zaczęło krążyć mnóstwo Weteranów z bronią, a my zaczęliśmy tracić coraz więcej ludzi. Mieliśmy też coraz większe problemy ze znajdowaniem nowych rekrutów. Wcześniej wylapywaliśmy Nowoprzybyłych całymi grupami, a potem nie mogliśmy znaleźć nawet jednego. Po jakimś czasie udało nam się w końcu złapać chłopaczka, który wyjawiał nam, że Kuba ostrzegł go przed Odrodzeniem i tłumaczył, gdzie się chować, by zostać poza naszym zasięgiem. Silny się przez to wściekł. Oczywiście kazał nam odnaleźć Kubę i pozbawić go życia, ale to nie było proste zadanie. On ukrywał się prawie tak dobrze, jak Pierwszy przed Dix. Dużo łatwiej było natomiast wysledzić Autobus do Wolności...

Mike ponownie przerwał. Tym razem widać było, że zbiera się na coś naprawdę nieprzyjemnego. — Nie znałem go! Nie znałem wtedy nikogo z autobusu! Dla mnie Odrodzenie było wszystkim, co miałem! — wykrzyczał, wyraźnie próbując się usprawiedliwić.

Krzak jednak zganił go za to natychmiast. — Skup się, Mike i przestań wydzierać, bo jeszcze ktoś usłyszy o twojej dumnej przeszłości! — mówiąc to, napełnił szklanki po raz kolejny.

Mike skinął głową i kontynuował już nieco ciszej. — Za Autobusem błędziliśmy kilka dni. Nikt nie znał miejsc jego postoju. Gdy już jakimś cudem trafiliśmy na niego, nie mieliśmy samochodów, by go ściągać. Po tygodniu bezsensownej gonitwy udało nam się wreszcie odnaleźć go stojącego na polanie w pobliżu miasta...

Dziki przeknął nerwowo ślinę. Znał już dalszy ciąg tej historii, bo o śmierci Brissa opowiedział mu wcześniej Janek. Teraz jednak mógł poznać to z innej perspektywy.

Mike, którego wzrok znowu zrobił się pusty, opowiadał tę część jak zahipnotyzowany. — Czekaliśmy, aż całkiem się ściemni. Późno w nocy, gdy wydawało się, że wszyscy śpią, zaczęliśmy się podkraść. Gdy byliśmy już na wyciągnięcie ręki od drzwi, zaczął się pogrom. Rozbłyśki karabinu wszędzie dookoła. Wydawało nam się, że jesteśmy atakowani ze wszystkich stron — opisywał drżącym głosem. — Chłopaki padali jak muchy. Przerażony rzuciłem się na ziemię. Po raz pierwszy znalazłem się wtedy pod ostrzałem. Nie miałem pojęcia co robić. Po chwili tuż obok mnie runął martwy Baku. Był wtedy dowódcą mojej grupy i jako jedyny z nas miał broń. Po kilku minutach wszystko ucichło. Brat Oli wyłonił się z krzaków tuż obok mnie. Leżałem na ziemi tak przerażony, że chyba nawet nie oddychałem. Gość musiał wziąć mnie za trupa. Gdy tylko mnie minął, złapałem za broń i strzeliłem... — mówiąc to, Mike ścisnął szklankę tak mocno, że na szkle pojawiło się pęknięcie. — To był pierwszy człowiek, którego zabiłem. Do tego, jak tchórz, strzelając mu w plecy. To nawet nie była osoba, którą ścigałem. Leżała tam masa martwych ludzi, bo jakiś dupka u władzy, chciał dopaść innego dupka, który się ukrywał. To była sprawa między Silnym a Kubą! Ich konflikt! A ci wszyscy ludzie leżeli tam martwi... przez nich. Wtedy zrozumiałem, że nie chcę dłużej tego robić. Nie chcę być częścią Odrodzenia. Wiedziałem, że muszę uciec...

Z opowieści Janka Dziki wiedział, że Briss nie umarł od razu. Rana nie była nawet szczególnie groźna i pewnie, gdyby Green miał wtedy więcej doświadczenia, brata Oli dałoby się uratować. Postanowił jednak o tym nie wspominać. Zamiast tego spytał: — To wtedy zdezerterowałeś?

Mike natychmiast pokręcił głową. — Pewnie bym to zrobił, ale kilka innych osób z Odrodzenia przeżyło. Nie wiedziałem, jak bardzo są lojalni, więc wróciłem razem z nimi. Chciałem poczekać na lepszą okazję.

Krzak, który wylał inny szczegół, przerwał mu kolejnym pytaniem: — Czemu nie pojmaliście wtedy autobusu?

— To była zasługa brata Oli — wyjaśnił Mike. — Choć był tam sam, po prostu nas zmiażdżył. Tamtej nocy byliśmy przekonani, że jest co najmniej kilkunastu strażników i wszyscy mają broń. Ja i tych paru ocalałych nie widzieliśmy szans na dalszą walkę, więc uciekliśmy. O ironio, jedyna osoba broniąca autobusu była już wtedy martwa...

Dziki westchnął, dopijając ze swojej szklanki. Przyjemny szum w głowie, który pojawił się po ostatnim łyku, kontrastował z wyobrażeniami, jakie pojawiały się w jego umyśle. Jego przyjaciel wciąż jednak nie przerywał. — W dniu, w którym nieświadomie zabiłem Primo, zobaczyłem Oli całą we łzach. Taką miłą dziewczynę, która tak strasznie cierpiała. Byłem pewien, że tak

samo rozpaczała po swoim bracie. Dlatego nie mogę przyłączyć się do Autobusu. Nie mógłbym patrzeć na nią. To trułoby mnie każdego dnia... Tak jak truje teraz. Zawsze, gdy ją widzę, czuję ból, który do mnie wraca. Bo ze wszystkich ludzi, których pozbawiłem życia, wiem, że właśnie on na to nie zasłużył. Wiem, że właśnie ona nie zasłużyła, by przez to cierpieć. To byli dobrzy ludzie, a ja skrzywdziłem obydwój! — zawołał z żalem, całkiem się załamując.

To był pierwszy raz w Nowym Świecie, gdy Dziki widział swojego przyjaciela w takim stanie. Gdzieś tam, pod tą masą mięśni i blizn, które zostawiła ta smutna rzeczywistość, ciągle krył się ten sam chłopak ze Starego Świata.

Krzak poklepał mężczyznę po plecach. — Tłumaczyłem ci już, każdy w tym świecie robił rzeczy, których się wstydzi. Nie musisz brać na siebie odpowiedzialności za wszystko. Sam byłbym spokojniejszy, gdybyś podróżował z Dzikim, ale poznałem cię już na tyle, by mieć pewność, że tego nie zrobisz.

Dziki opuścił głowę. — Po tym, co powiedziałeś, nie będę próbował cię namawiać, rozumiem. Po prostu rozumiem...

Po spowiedzi Mike'a, Krzak zbierał swoje rzeczy jeszcze przez kolejną godzinę. W międzyczasie mężczyźni zdążyli zorganizować i skończyć kolejne dwie butelki. Mike, który ciągle był w podłym nastroju, wlewał w siebie znacznie więcej niż Dziki i Krzak razem wzięci. Nie było więc zaskoczenia, gdy padł w końcu nieprzytomny na stół, zostawiając byłego lidera Wspólnoty i Dzikiego samych.

— Szkoda, że nie mogę zabrać go ze sobą... — westchnął Krzak, z trudem skupiając wzrok na plecach Mike'a. — To dobry chłopak. Tylko cholernie lekkomyślny...

— Sojusz Bloków nie robi wyjątków? — spytał Dziki znad pustej szklanki. — To znaczy nie zrobiłby go dla ciebie?

Krzak zmarszczył czoło, rozciągając się leniwie na krześle. — Mają ograniczone miejsce i problem z prawem trzech, jak każda duża grupa. Przyjmują tylko byłych mieszkańców i ich najbliższą rodzinę... — wyjaśnił pobieżnie.

— Chciałbym, żeby podróżował ze mną, ale on się z tym nie pogodzi... — stwierdził pewnie Dziki, patrząc w zamknięte oczy swojego przyjaciela. — W Starym Świecie, gdy zrobił coś złego, zawsze strasznie to przeżywał. Gdy spotkaliśmy się tutaj, myślałem, że nowe Krańcowo go zmieniło... ale widzę, że w środku pozostał taki sam.

Krzak przyglądał się przez chwilę Mike'owi. Dziki przysięgłby, że w kącikach ust mężczyzny pojawił się uśmiech. — Gdy budowaliśmy Wspólnotę, zawsze zgłaszał się na ochotnika — wspomniawszy nagle dawny lider. — Zawsze chciał pomagać. Ale w odróżnieniu od Mańka, nigdy nie wywyższał się z tego powodu. Wierzył, że robi coś dobrego, więc to robił, bo taką ma naturę. Lubił czasem pokrzyknąć na pokaz, bo nie chciał uchodzić za naiwnego. Nigdy jednak tak naprawdę nie przeszkadzało mu, że robi więcej niż inni. Dlatego tak go ceniłem. Nie dziwię się, że zostaliście przyjaciółmi w Starym Świecie. Pod

tym względem, jesteście identyczni. Gdybym miał was więcej... Gdybym tylko miał was więcej... — westchnął rozmarzony Krzak, pogrążając się przez chwilę we własnych myślach.

— Chyba trochę przesunęliśmy w czasie twoje odejście — stwierdził Dziki, widząc że mężczyzna miał już naprawdę duży problem z utrzymaniem przytomności.

— W tym stanie raczej nigdzie nie pójde — potwierdził Krzak, ciągle walcząc z tyłkiem zsuwającym się z siedziska. — Ale chyba po tym, co zrobiłem dla tego miejsca, należy mi się jeszcze jedna noc za murami.

Dziki widząc, że Krzak nie wytrzyma już zbyt długo, postanowił zabrać się razem z Mikiem do domu strażników. — Nie będę cię dłużej męczył. Mam tylko nadzieję, że wpadniesz się pożegnać...

— Na pewno... — odparł mężczyzna.

Dziki nie zwlekając złapał Mike'a za bark. — Obudź się, stary! Czas iść do siebie.

Mike ledwo otworzył oczy i biorąc głęboki oddech, zaparł się rękoma o stół. Dziki, który był niewątpliwie w dużo lepszym stanie, wsunął się przyjacielowi pod pachę i zaczął powoli prowadzić go w stronę wyjścia.

Wysiłek był niezmierny. Prawie dwa razy cięższy Mike opierał się niemal w całości na nim.

Gdy wreszcie wygramolili się na zewnątrz, Wspólnota szykowała się powoli do snu. Przez ciemność Krańcową przebijał się jedynie żar tłących się ognisk i światło w domach. Oczywiście w tych, których właściciele mieli dość srebrnych, by zasponsorować sobie podłączenie do generatora. Jedynie od strony baru ciągle dało się słyszeć wrzawę, przerywaną co chwila wybuchami śmiechu.

Po długiej walce, Dziki razem z Mikiem doczłapali się w końcu do domu strażników, gdzie zobaczyli siedzącą na werandzie Oli.

Dziewczyna wyglądała na naprawdę zmartwioną, ale gdy tylko spostrzegła Dzikiego, natychmiast ruszyła w jego stronę i wbiła mu się w brzuch, prawie przy tym przewracając. — Boże, Dziki! Gdzie ty byłeś? Tak się cholernie martwiłam, tak się chole... — Oli spojrzała w tym momencie w stronę Mike'a i najpewniej chciała już spytać co mu się stało, ale nim zdążyła, zapach alkoholu musiał uderzyć w jej nozdrza. Jej twarz zupełnie się zmieniła. Już po chwili kopnęła wściekle Dzikiego w piszczel. — NO CHOLERA JASNA! DELIMER PRZEBIJA SIĘ DO WSPÓLNOTY! POTEŁ PRÓBUJĄ POWIEŚCIĆ KRZAKA! A TY NIE DAJĄC ZNAKU ŻYCIA, ZNIKASZ NA CAŁY DZIEŃ CHLANIA?! — krzyknęła, poprawiając drugim kopniakiem.

Tego ciosu nogi Dzikiego nie były już w stanie wytrzymać. Razem z Mikiem runęli na ziemię.

Mężczyzna, którego Dziki praktycznie niósł przez ostatnie kilka metrów, musiał po tym upadku odzyskać trochę przytomności. Momentalnie poderwał

się na kolana i wciąż na klęczkach, złapał Oli za ramiona. — TAK CIĘ PRZEPRASZAM, TAK BARDZO CIĘ PRZEPRASZAM! — zawołał zalewając się łzami.

Dziewczyna, której twarz zrównała się z klęczącym Mikiem, spojrzała na Dzikiego zszokowana. Ten wyczuł, że jego przyjaciel może za chwilę powiedzieć coś, czego będzie żałował. — Wystarczy, stary... — zawołał, próbując odciągnąć go od Oli.

Mike odepchnął go jednak, przyciskając się po chwili do dziewczyny. — JEST MI TAK PRZYKRO! TO WSZYSTKO MOJA WINA! TAK BARDZO CIĘ PRZEPRASZAM!

Oli, która nie mogła wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi Mike'owi, poklepała go po plecach. — Już dobrze. Posłuchaj, po prostu się o was martwiłam... Mogliście dać mi znać, że wszystko jest z wami w porządku — powiedziała, a po jej złości nie było już nawet śladu.

Mike odsunął od siebie dziewczynę na długość rąk i spojrzał jej w twarz. — Ty nie rozumiesz, nic nie rozumiesz — powiedział półprzytomny. — Ja naprawdę cię przepraszam. Dziki po raz drugi spróbował odciągnąć mężczyznę, tym razem Mike nie stawiał już oporu.

— Trochę przesadził — wyszeptał w stronę Oli, podnosząc go do góry.

* * *

Poranek dnia następnego rozpoczął się dla Dzikiego zdecydowanie za szybko. Alkohol, od którego odwykł w Nowym Świecie, zadziałał z mocą, której się nie spodziewał i przyniósł konsekwencje już bardziej przewidywalne. Gdy odważył się w końcu otworzyć oczy, musiało być już południe, a mimo to ciągle czuł się, jakby wcale nie spał. W ustach towarzyszył mu smak starego trampka, a ręce osiągnęły status pełnego delirium. — Gratulacje, Dziki... — westchnął, podnosząc się z karimaty.

Następne kilka minut dochodził do siebie z twarzą schowaną w dłoniach. Niepozwalające się poruszać zawroty głowy i usilna chęć poszukania czegoś do picia, toczyły niekończącą się walkę. Finalnie, to pragnienie okazało się silniejsze, więc na nogach drżących niewiele mniej niż ręce, wyszedł z pokoju.

Po Mike'u nie było nawet śladu, co zważywszy na jego wczorajszy stan, mogło uchodzić za cud zakrawający o użycie błędu. Oli również zniknęła, ale miejsca jej pobytu Dziki nie musiał się domyślać.

Przechodząc korytarzem, usłyszał głosy dochodzące z parteru, wśród których natychmiast rozpoznał ten należący do jego przyjaciela. Na tyle szybko na ile pozwalał mu kac, Dziki zszedł więc na dół.

Mike siedział na kanapie w towarzystwie kilku innych strażników: Danielewskiego, Romcia, Fidelusa, Pietrasa i Marka. Wszyscy pochodzili jeszcze ze starej Wspólnoty. Znał ich więc dość dobrze.

— Hej, Dziki — przywitali go mężczyźni, a Mike dodał natychmiast: — Stary, widziałem Grabarzy, którzy wyglądali lepiej od ciebie...

— A ja dziewczyny, które wołały noc z Grabarzem niż z tobą... — skontrował Dziki.

Mężczyźni roześmiali się, a Mike dodał. — Sam znam kilka takich.

Dziki rozsiadł się na pufie i sięgając do stołu po butelkę z wodą, spytał: — Co się właściwie dzieje? Co to za zebranie?

Mike, po którym nie było już widać nie tylko wczorajszego alkoholu, ale również złego nastroju, odpowiedział natychmiast. — Okazało się, że Wspólnota bez Krzaka nie leży nie tylko mi. Właśnie debatujemy z chłopakami o wspólnym odejściu.

Dziki, który przyssał się do butelki, rozejrzał się z niemalym trudem po ludziach. — Jest was szóstka. Chcecie zrobić dwie trójki? — dopytał, gdy tylko skończył opróżniać jej zawartość.

— I w tym szkopuł, że nie — odpowiedział mu Romcio. — Chcemy trzymać się wszyscy razem.

Dzikiego mocno to zaskoczyło. — A prawo trzech? — dopytał natychmiast, sięgając po kolejną butelkę ze stołu.

— Mamy pewien pomysł — stwierdził tajemniczo Mike. — Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o ukrywaniu się w szkole? Doszliśmy z chłopakami do wniosku, że przecież tory są tak samo rozległym błędem jak Las Ludzi. A do tego Zatorze jest przecież całkiem wyludnione. Chcemy zrobić sobie tam jakąś kryjówkę.

Dziki zaprotestował jednak, kończąc na chwilę picie. — Przecież tam są Delimery!

— Kilka na pewno — wtrącił Danielewski.

— Ale przecież nie pokrywają swoją trasą całego terenu przy torach — dodał Romcio.

— Wiadomo, że nie będzie łatwo na początku — ciągnął dalej Mike. — No i pierwsze kilka tygodni trzeba będzie czuwać naprawdę uważnie.

Po tych słowach wszyscy odruchowo spojrzeli na Pietrasa. — No co?! — Pietras zawołał natychmiast, oburzony.

Nikt jednak nie odpowiedział. Wszyscy skupili się z powrotem na Dzikim, który łapczywie spoglądał już na trzecią butelkę. — To już postanowione? — spytał, powstrzymując się finalnie przed kolejną dolewką. — Naprawdę uważacie, że Wspólnota nie będzie chciała zatrzymać doświadczonych strażników?

Mike podrapał się po głowie. — Część z nas ma osobiste zatargi z ludźmi Konglomeratu — wyjaśnił w końcu. — Zresztą już od dawna nie chodzi o doświadczenie. Ci, którym daje się broń, mają być „posłuszni”, a nie „skuteczni”.

— Trochę to przypomina Armię Daniela — skwitował Dziki. — To, kiedy chcecie wyruszyć?

— Dziś przed wieczorem — odpowiedział Mike. — Sprzedamy wszystkie zbędne śmieci, kupimy zapasy i wio na Zatorze...

— Nie za szybko?! — zaprotestował Dziki, przyplacając to rozlewającym się bólem w okolicach skroni.

— Pozostawanie we Wspólnocie to kurewskie ryzyko... — prychnął Fidelus. — A jak te zęby podrzucą nam jakąś świnię? Oskarżą o zagrożenie Wspólnocie? Kurwa, sam widziałeś, jak tu się teraz to odbywa... Wystarczyło, że Sęp zebrał Konglomerat i praktycznie zabili Krzaka... I to pomimo tego, że właściwie ocalił Wspólnotę... Dziki przytaknął, a Mike spojrzał na niego wyraźnie skonsternowany. — Wiesz, że jak odejdę to twój pobyt tutaj... Ech, skończą się gratisowe noce.

— Wiem — westchnął Dziki. — Szkoda. Liczyłem na to, że uda nam się być przy Kluczu do samego końca. Ale skoro odchodzicie, pójdę za chwilę porozmawiać z Oli. Możliwe, że trzeba będzie naprędce ściągnąć autobus.

* * *

Gdy Dziki dochodził do siebie, gromada strażników rozmawiała jeszcze przez dłuższy czas. Ustalali, co będzie im potrzebne na początek. Ile wody i jedzenia powinni zabrać? Który budynek wydawał się być najbardziej obiecujący jako kryjówka?

Dziki, który spędził większość swojej młodości na Zatorzu, znał tę okolicę naprawdę dobrze. Mógł więc po raz pierwszy w Nowym Świecie, doradzić komuś coś, czego sam był pewien. Opisał zgromadzonemu całe osiedle, małe sklepiki schowane w uliczkach, sąsiadów, którzy ze względu na zainteresowania, mogli kryć w domach coś ciekawego. Strażnicy łapczywie zbierali informację, a Dziki powoli zaczął wracać do zdrowotnej normy. Po jakiejś godzinie od jego pobudki Mike razem z kompanami ruszyli w końcu do Faktorii, by wymienić towar, a Dziki udał się do lecznicy, żeby porozmawiać z Oli.

Przeczuwał, że dziewczyna nie będzie zachwycona przymusem tak nagłego opuszczenia Wspólnoty. Niestety od czasu porwania przez Rękę Olbrzyma, w autobusie nie przelewało się, jeśli chodzi o zapasy. Pozostawanie we Wspólnocie było więc nieosiągalnym luksusem.

W lecznicy oprócz Oli i Zoidberga, spotkał o dziwo, Krzaka. Ten był już przygotowany do wymarszu. Miał ze sobą plecak i torbę podróżną. Na szyi wisiała mu lornetka, a przez ramię miał przerzucony karabin. Dostrzegając Dzikiego w drzwiach, przerwał rozmowę z Zoidbergem i zwrócił się do niego z jakiegoś powodu wyraźnie zadowolony. — O, Dziki, dobrze, że jesteś. Właśnie się do ciebie wybierałem.

Dzikiego mocno zaskoczył rzeźki stan mężczyzny. Jakim cudem on i Mike tak dobrze znieśli wczorajszą noc. — Więc uciekasz? — spytał w końcu, wskazując głową na plecak Krzaka.

— Tak, kończę właśnie dopinać ostatnie sprawy — odparł mężczyzna.
— W sumie dobrze, że spotkaliśmy się akurat tutaj...

— Czemu? — spytał zaskoczony Dziki.

— Zawsze miałem do siebie sporo żalu o tę sytuację z Delimerem... — wyjaśnił Krzak. — Nie zawiodłeś mnie nigdy, gdy budowaliśmy razem Wspólnotę. A na końcu, to ja zawiodłem ciebie...

Dzikiego nieco to zaskoczyło. Nie przypuszczał, że ta sprawa ciągle wracała do ich dawnego dowódcy. Sam nigdy nie miał przecież pretensji o to, co się wtedy wydarzyło. Wiedział dobrze, że w tym momencie to strach mieszkańców zadecydował o wszystkim. — Daj spokój — odparł. — Zrobiłeś, co mogłeś...

Krzak jednak pokręcił głową. — Nie, Dziki! Nie mogę sobie tego darować. Chciałbym chociaż teraz jakoś się zrekompensować. Zgromadziłem sporo wartościowych rzeczy, jeszcze jako lider Wspólnoty. Zabrać tego wszystkiego nie mam jak, więc wymieniłem moją kolekcję na antybiotyki i morfinę w Faktorii. Wszystko zostawiam dla waszego mechanika.

Teraz już naprawdę zszokowany Dziki otworzył z niedowierzaniem usta. — Nie wiem... nie wiem, jak ci dziękować — powiedział, gdy już pozbiierał myśli.

— Nie musisz — odparł Krzak. — Zasłużyłeś na wiele więcej. No i dostałem w zamian najśłodszy całusa w dziejach — dodał na koniec, zerkając na stojącą za nim uśmiechniętą Oli. — Ech, czas na mnie — stwierdził w końcu mężczyzna. — Każda kolejna minuta, którą tu spędzam, boli mnie coraz bardziej.

Dziki ścisnął Krzakowi dłoń, ale nie puścił jej od razu, bo zastanawiała go jeszcze jedna rzecz. — Mike i kilku strażników też odchodzą. Nie myślałeś, żeby ruszyć razem z nimi?

— Rozmawialiśmy rano — odpowiedział Krzak. — Oczywiście chcieli, żebym poszedł razem z nimi. Dowodził jak dawniej... Ale im odmówiłem — stwierdził wyraźnie zrezygnowany. — Gdy będę już w Sojuszu, mam zamiar trzymać się jak najdalej od jakiegokolwiek formy władzy. Mój plan to zostać zwykłym Gonicielem. Nie chcę już nigdy więcej dowodzić... Trzymajcie się! — powiedział, puszczając w końcu rękę Dzikiego i machając Oli na pożegnanie. Potem bez zawahania ruszył do wyjścia. Dziki pomyślał, że nikt we Wspólnocie nie zdawał sobie sprawy, kogo tak naprawdę stracili. Oli podeszła w tym czasie do niego, kładąc mu rękę na plecach. — Szkoda go...

— Nawet nie wiesz, jak bardzo — odparł, odwracając się w stronę dziewczyny. — Tylko, że to nie koniec złych wieści. Mike i strażnicy też odchodzą dzisiaj. Tracę wtyki we Wspólnocie, więc trzeba się będzie zbierać...

Oli zmarszczyła czoło. — O... rozumiem. Wiem, że nie możemy sobie teraz pozwolić na pobyt... — stwierdziła, wyraźnie smutniejsza. — Szkoda tylko, że Klucz zostanie sam.

Dziki spojrzął na zamknięte drzwi, za którymi leżał ich mechanik. Zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Czy ma w ogóle jakieś szanse? Gdy

Zoidberg wpadł do baru, mówiąc, że chłopak nie przeżyje, myślał że wszystko rozwiąże się w przeciągu kilku godzin. Tymczasem Klucz walczył już drugi dzień. Czy antybiotyki od Krzaka coś w tym względzie zmienią?

Podchodząc do lekarza, który wypisywał jakąś kartę przy swoim biurku, spytał: — Co z Kluczem? Jak jego stan?

— Dalej jest tragicznie... — odpowiedział Zoidberg, nie podnosząc nawet głowy znad notatek. — ...ale zaczął już drugą dobę. To daje cię nadziei...

Oli słysząc to, wyraźnie się rozpromieniła, ale Zoidberg postanowił z jakiegoś powodu nie pozwolić jej na tę chwilę ulgi. — Nie nakręcajcie się niepotrzebnie — oznajmił szorstko. — On nadal jest na granicy śmierci. Podałem mu antybiotyki od Krzaka. Zobaczymy, jaka będzie reakcja...

— Nie będziemy mogli zostać dłużej — oznajmił Dziki. — Zajmiesz się nim? Będziesz mógł dać znak przez radio, gdy coś będzie nie tak?

Zoidberg skończył wypisywać karty i wrzucił je do szuflady biurka. — Będę go doglądał. Krzak zostawił mi kilka prezentów, żebym miał na niego oko — wyjaśnił lapiduch. — To nie moja sprawa, ale uważam, że skoro brakuje wam zasobów, to teraz je marnujecie...

Oli ścisnęła w tym momencie rękę Dzikiego. Nie chcąc dłużej męczyć dziewczyny bezpośredniością Zoidberga, wyszedł z nią na zewnątrz. — Chodź Oli, musimy jeszcze wezwać autobus przez radio.



Rozdział XIX

Pierwotna Wola

Mike wraz ze strażnikami opuścili Wspólnotę jeszcze przed zmierzchem. Z tego, co mężczyzna zdążył powiedzieć Dzikiemu, wynikało, że na swoją pierwszą kryjówkę wybrali opisany przez niego wcześniej, dość specyficzny dom. W Starym Świecie należał on do bardzo przewrażliwionego na punkcie włamań małżeństwa. Otaczające go solidne ogrodzenie, okna zabezpieczone kratami i podwójne drzwi, miały zapewnić byłym strażnikom przynajmniej częściowe bezpieczeństwo. Dodatkowo budynek znajdował się praktycznie naprzeciw torowiska, istniała więc szansa, że zakłóci to prawo trzech i mężczyźni nie będą musieli martwić się o ataki ze strony Niewykształconych.

Z kolei Dzik razem z Oli na przyjazd autobusu musieli czekać praktycznie do samego wieczora. Nowi strażnicy bardzo szybko dali im do zrozumienia, że siedzenia „za darmo” wewnątrz murów nie będzie. Z tego powodu ostatnie pół godziny spędzili, koczując pod bramą Wspólnoty. Na szczęście nim ktoś z nowej władzy postanowił ich ostatecznie wyrzucić za mury, w odłami rozjarzyły się światła piętusa.

Gdy tylko Dzik i Oli przekroczyli próg swojego domu na kołach, musieli zdać pełną relację ze stanu Klucza oraz wydarzeń jakie rozegrały się we Wspólnocie. Wyglądało na to, że wieść o ataku Delimera roznosiła się przez radio i w różnych wersjach zaczęła już krążyć po krańcowym eterze. Mieszkańcy autobusu mieli więc dość ogólny obraz tego, co się wydarzyło, ale i tak prawdziwy szok wywołała informacja, że Krzak postanowił opuścić Wspólnotę. Autobusiarze nie mogli uwierzyć, że mężczyzna tak po prostu pozostawił swoje dzieło na pastwę ludzi z Konglomeratu. Nawet Oli nie do końca rozumiała, czemu dawny lider tak szybko się poddał, ale Dzik, który znał jego historię znacznie lepiej, doskonale rozumiał, co nim kierowało.

Co do stanu Klucza, zarówno Oli, jak i Dzik byli zgodnie powściągliwi w swoich opisach, starając się nie odbierać nadziei mieszkańcom. Podkreślili więc jedynie, że dzięki łapówce od Krzaka, mężczyzna miał naprawdę dobrą opiekę i teraz należało już tylko czekać. To spotkało się z dość optymistycznym przyjęciem, a większość mieszkańców głośno chwaliła dawnego lidera Wspólnoty za jego wsparcie.

Po wymęczeniu Oli i Dzikiego pytaniami, autobus ruszył swoją zwyczajową trasą, ale w jego wnętrzu działy się rzeczy znacznie mniej typowe. Mieszkańcy nie rozeszli się na swoje siedzenia, a zamiast tego stłoczyli wspólnie na tyle i zaczęli rozmawiać. Mimo wymownych spojrzeń Kuby, Smalec z Bocianem podebrali z zapasów trochę słonych przekąsek, a dziewczyny zaczęły rozlewać do plastikowych kubków kawę z termosów.

Koniec autobusu oświetlony mdłym światłem starych żarówek, zmienił się nagle w istną kawiarnię na kołach, gdzie mieszkańcy opowiadali kolejne zasłyszane plotki albo powtarzali już znane i lubiane opowieści.

Dziki nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni siedzieli tak wszyscy razem. Pomyślał, że w ten sposób jego towarzysze chcieli chociaż na chwilę oderwać się od złych myśli i on sam chyba też bardzo tego potrzebował. Rozkoszując się powolnym kołysaniem jadącego busa, z lubością wsłuchiwał się w przedstawianą akurat przez Greena historię.

Chłopak opisywał im spotkanie Weterana Kolca z jego dziewczyną ze Starego Świata, Patrycją, która po śmierci wróciła jako Niewykształcona. Wedle opowieści, para mieszkała razem ukryta gdzieś w Krańcowie. Dziewczyna czasem pamiętała o swojej ludzkiej przynależności, darząc mężczyznę szczerym uczuciem, a czasem próbowała zamordować, gdy nadarzyła się okazja. Z tego powodu, gdy Kolec kładł się spać, zmuszony był zawsze pętać ukochaną, by ta nie zabiła go we śnie. Niestety Weteran przekonany z czasem, że dziewczyna całkiem wróciła do ludzkich zmysłów, położył się razem z nią do łóżka bez uprzedniego krępowania, a ta udusiła go w nocy.

Gdy Green skończył swoją opowieść tym dość nieprzyjemnym akcentem, Korek spytał natychmiast: — A ty jak uważasz, szefie? Jest w tym ziarno prawdy? Czy może to totalna bujda? — chłopak, który przez całą opowieść spoglądał na Dzikiego, zapewne aż gotował się w środku, by móc posłuchać zdania swojego „mistrza”.

Dziki kierując na siebie lampę, stwierdził. — Wiecie, zawsze przy takich historiach zastanawia mnie, kto przenosi je dalej? No bo jeśli chłopak zginął uduszony, to Niewykształcona — Patrycja raczej nikomu o tym nie powiedziała...

Słyszając to, mieszkańcy autobusu wybucheli Dzikiego, który w tak bolesny sposób zniszczył zbudowane przez Greena napięcie. Korek jednak wyglądał na zadowolonego i pokiwał głową, jakby chciał ostentacyjnie potwierdzić, że w całości się z nim zgadza.

— Poczekajcie, poczekajcie! — zawołał Dziki, chcąc natychmiast naprawić swoją pomyłkę. — Nie oznacza to, że nie ma w tym ziarna prawdy!

Wszyscy momentalnie zamilkli, czekając na wyjaśnienia, a Dziki kontynuował już bez akompaniamentu wyrzutów. — Jest przecież masa Niewykształconych, którzy są praktycznie tak inteligentni, jak ludzie. Daniel sam chwalił się osiągnięciami w przywracaniu poległych żołnierzy do służby. Po-

wiedziałbym nawet, że tę historię można rozpatrywać dwutorowo. Patrycja od początku chciała zabić Weterana, ale wiedząc, że nie ma szans w bezpośredniej konfrontacji, czekała na odpowiedni moment. Udawała wracającą do zdrojowych zmysłów, by uśpić czujność mężczyzny, a gdy to się udało, zabiła go...

— A druga opcja? — spytał Edek.

— Walczyła ze sobą... — westchnął Dziki. — Jej ludzka część, choć niekompletna, pamiętała to, co ich łączyło. Skoro żyli razem przez jakiś czas, a nawet chłopak zdecydował się na tak ryzykowny krok... musiał wierzyć, że jej ludzka część wzięła górę. Może nawet, niespodziewanie dla niej samej, bestia w środku przebudziła się w chwili słabości.

— Smutne... — wtrąciła Oli, a reszta dziewczyn wyglądała na wzruszoną tym domysłem.

Dziki liczył teraz, że ktoś inny przejmie pałeczkę i będzie mógł skupić się na słuchaniu kolejnej historii, niestety Korek postanowił zrujnować jego nadzieje. — To teraz ty coś opowiedz, szefie! — zawołał rozentuzjasmowany chłopak.

Dla Dzikiego było to jak kara, z której natychmiast spróbował się wykpić. — Nie znam żadnych dobrych historii z Nowego Świata, a życie w Starym miałem tak pasjonujące, że wszyscy byście posnęli — oznajmił, rozglądając się po zgromadzonych, z nadzieją, że ktoś sam zaproponuje kolejną opowieść.

— To ja wam coś opowiem! — wtrącił niespodziewanie Kuba, a mieszkańcy popatrzyli na niego zdziwieni.

Mężczyzna przez cały czas, gdy uraczali się opowieściami, siedział kilka siedzeń przed nimi, nawet na chwilę nie wtrącając się do rozmowy. Słyszając nagle jego entuzjazm, Oli popatrzyła znacząco na Dzikiego. Oboje musieli pomyśleć dokładnie o tym samym. — Lider autobusu chciał pokazać wyższość nad Dzikim, nawet w tak błahych sprawach, jak snucie opowieści.

W międzyczasie Kuba stanął w przejściu między siedzeniami i skierował na siebie wszystkie lampy, przez co wyglądał jak aktor na scenie. — Jak zapewne wszyscy wiecie, badanie tego świata było przez bardzo długi czas moim konikiem — zaanonsował donośnym głosem. — Zwiedziłem Krańcowo wzdłuż i wszerz, zbierając informację o świecie i jego...

— Zacznieś w końcu tę historię, czy będziesz dalej drukował swoje CV — przerwał mu Green, a kilka osób parsknęło śmiechem.

Kuba popatrzył na niego morderczym wzrokiem, ale po chwili kontynuował, jakby mu nie przerwano. — W trakcie swoich badań nad Nowym Światem dotarłem aż do Krańcowskiego Lasu. Zgłębienie jego tajemnic było bardzo niebezpieczne, ale dzięki małej opłacie, którą wniosłem dla mieszkających tam Weteranów, mogłem liczyć na to, że oprowadzi mnie ktoś obeznany z tym miejscem...

W tym momencie nawet Dziki nadstawił uszu.

W Starym Świecie Krańcowski Las był niezbyt gęstą puszcza, przecięta licznymi drózkami i ścieżkami. W weekendy był tak masowo oblegany przez

wszelkiej maści grzybiarzy i wycieczkowiczów, że można tam było poczuć się jak na targu. Nigdy jednak nie miał okazji posłuchać, co stało się z tym miejscem w Nowym Świecie.

Kuba, wyraźnie zadowolony, że udało mu się zwrócić uwagę, oparł się o siedzenia, spoglądając głównie w stronę Oli. — Pierwszą ciekawostką jest to, jak mieszkający tam Weterani wyznaczyli granicę zamarcia. Bo jak zapewne pamiętacie, las sięga przecież daleko poza granicę miasta. Wykorzystali do tego Niewykształconych. Ubranych w kamizelki odbłaskowe Gospodarzy wpychano na siłę w każdy kąt lasu, aż udało się wyznaczyć bezpieczną strefę. Gdybyście więc mieli kiedyś okazję znaleźć się w tym miejscu i dostrzeżecie połyskującego na pomarańczowo potwora, trzymajcie się z daleka, bo zaczniecie zamierać — przestrzegł.

Mieszkańcy zamilkli w wyjątkowym skupieniu. Najwidoczniej był to pierwszy raz, gdy ich lider dzielił się takimi szczegółami. Nawet Oli, która przez cały czas była na Kubę obrażona, nie mogła powstrzymać się od słuchania. Mimo zamkniętych oczu, widać było, że pochłania każde słowo.

Kuba wyraźnie z tego zadowolony, snuł historię dalej. — Sam las rozrósł się na sporą część Zatorza, tę po drugiej stronie obwodnicy. W jego odmętach do tej pory znaleźć można ruiny domów z byłego osiedla, w których koczują „zagubieni Gospodarze”. Stąd też wiadomo, że dla Gospodara nie liczy się budynek, a miejsce. Zawsze bowiem gonią tylko do momentu, gdzie sięgają zniszczone fundamenty. Nie oni są jednak największym zagrożeniem w tym miejscu. Prawdziwą zmorą Krańcowskiego Lasu jest stwór nazywany Leśniczym. Te istoty przypominają ludzi przemienionych w drzewa. Na pokrytych korą cielskach wciąż odbite są twarze tych, z których powstał. Najgorsze jest to, że Leśniczy nie zabija ludzi, lecz łąpi ich żywcem...

— Niby po co? — spytał natychmiast Smalec.

— Słyszałem, że w Lesie można znaleźć wyjątkowego Leśniczego o kobiecej twarzy — odparł Kuba. — W odróżnieniu od pobratymców jest w pełni zakorzeniony, nie może więc polować sam. To właśnie dla niej ściągają żywych ludzi. Karmią swoją matkę, czy tam królową...

— Przerażające — wtrąciła Weronika. — Dlaczego w ogóle ktoś chciałby tam mieszkać?

— Są dwa ważne powody — odpowiedział natychmiast Kuba. — Po pierwsze, w całym Lesie nie działa prawo trzech, ale co najważniejsze, to jedyne miejsce w Krańcowie gdzie coś rośnie!

Dziki słysząc to był naprawdę zaskoczony. Od momentu, w którym przybył do Nowego Świata, nie widział ani jednej rośliny, którą można by uznać za żywą. Trawa była brązowa i wyschnięta, drzewa pozbawione liści, nawet pleśń ciężko było spotkać. — Chcesz powiedzieć, że oni coś tam uprawiają?

Kuba słysząc jego pytanie, popatrzył na niego z wyższością. Najpewniej, gdyby nie to, że Oli sama wydawała się tą sprawą zaintrygowana, pewnie zupełnie by je zignorował. — Tak — potwierdził w końcu. — Weterani, którzy tam mieszkają, mają pod dostatkiem warzyw i owoców. Bo wszędzie rośnie tam w zatrważającym tempie. Trio pochodzące z Krańcowskiego Lasu poznasz po tym, że nawet kilka tygodni po Błysku będzie miało świeże owoce na sprzedaż...

Nagle głos Kuby utonął w huku, który wypełnił autobus. Całym piętrusem gwałtownie szarpnęło. Główna szyba roztrzaskała się na wióry, a tył pojazdu prawie poderwało do góry. Dziki wpadł na siedzisko przed sobą, odbijając się od oparcia i wylądował na podłodze z obitym mostkiem. Wnętrze pojazdu wypełnił gwizd i syk. Minęło kilka dobrych sekund, nim odzyskał oddech po tym uderzeniu, ale gdy tylko oprzytomniał, w jego głowie wierciła jedna myśl. — Uderzyli w coś? Ale w co?

Dziki podniósł się powoli, trzymając za obolałe zebra. W tym samym momencie otoczyły go jęki leżących na podłodze mieszkańców. — Wszyscy... Wszyscy cali? — spytał cicho, ledwo łapiąc powietrze.

— Ja tak — odpowiedziała Oli, podnosząc się tuż obok niego. Z jej rozciętego czoła ciekła krew, a kurtka rozdarła się przy upadku, ale dziewczyna nie zwróciła na to uwagi i powtórzyła po Dzikim znacznie głośniejsze. — Wszyscy cali!? No mówcie!

— Żyję — zawołał Edek.

— Ja też... — pisnął Korek.

Dziki odetchnął obserwując, jak mieszkańcy zbierają się do kupy. — *Laura, Beata, Bocian, Kryspin...* — wyliczał podnoszące się między siedzeniami głowy. Brakowało tylko Kuby, bo w momencie uderzenia pofrunął w głąb autobusu i Janka, który kierował piętrusem. — Sprawdzę, co się stało — powiedział w stronę Oli. — Zobacz w jakim stanie jest Green. Jeśli jest z nim dobrze, niech przyjrzy się pozostałym...

— A ty? — spytała roztrzęsiona dziewczyna.

— Jest ok — odparł jej Dziki, ruszając do przodu. — Zaraz wrócę.

W niewyraźnym świetle wciąż jeszcze działających lamp Dzikemu zdawało się, jakby szedł we mgle. Kurz, który poderwał się po uderzeniu, unosił się w powietrzu, tłumiąc i tak nisko autobusowe światło. W pewnym momencie zawadził o coś nogą.

Kuba jęknął tuż pod jego stopami, starając się wspiąć po siedzeniu. — Dziki... to ty? — spytał.

— Tak — odparł i zostawiając lidera z tyłu, szedł dalej naprzód.

Gdy tylko minął środek autobusu, zatrzymał się zszokowany widokiem. Cała przednia szyba po prostu przestała istnieć, a przód autobusu cofnął się wgnieciony w głąb samego pojazdu. Kątem oka dostrzegł Janka leżącego na

kierownicy. Mężczyzna miał twarz pociętą odłamkami i całą zalaną krwią, do tego był całkiem nieprzytomny. Dziki przecisnął się do niego między resztkami kokpitu i z trudem chwycił za ramię. — Janek, stary... Janek... powiedz coś! — zawołał, ale mężczyzna nie reagował.

Wtedy doczłapał się do nich Kuba. — Ja się nim zajmę! Idź lepiej zobacz, w co uderzyliśmy... — polecił, przeciskając się do kierowcy.

Dziki skinął głową i minawszy go, ruszył w stronę drzwi. Te oczywiście zostały uszkodzone podczas zderzenia, więc musiał je praktycznie wyważyć, by wydostać się z piętusa.

Na zewnątrz otoczyła go absolutna ciemność, dookoła autobusu nie było widać zupełnie nic. Jedynym źródłem światła w okolicy, były ciągle jeszcze palące się lampy pojazdu. Te wykrzywiły się od siły uderzenia i rzucały teraz dwie długie strugi w kształcie litery X prosto na asfalt.

— *Przynajmniej akumulator ocalał...* — pomyślał Dziki, ale szybko dotarło do niego, że w ich sytuacji niewiele to pomoże, bo przód piętusa był po prostu zmiażdżony. Nie było możliwości, żeby pojazdem w tym stanie ujechali choćby parę metrów.

Szukając przyczyny tego stanu rzeczy, Dziki podszedł do maski i spostrzegł, że w sam jej środek wbity był metalowy słup parkingowy. Podobne przykręcano zazwyczaj na chodnikach, by uniemożliwić samochodom wjeżdżanie tam, gdzie nie powinny. Przez myśl przeszło mu przez chwilę, że Janek mógł usnąć za kółkiem i zjechać na pobocze, ale spoglądając w promienie światła uświadomił sobie, że to nie mogło być to.

Słupek, chociaż nie miał prawa, stał pośrodku prawego pasa drogi. Do tego nie był w żaden sposób przykręcony, a po prostu postawiony na asfalcie. Rozpędzony autobus powinien go staranować bez problemu, nieszczególnie nawet wgniatając przy tym maskę.

Zdziwiony Dziki chwycił za metalowy bolec, próbując go podnieść, ale ten o dziwo nawet nie drgnął. Zupełnie jakby był przyrośnięty do podłoża. To wydało mu się już naprawdę niepokojące, ale nim zdążył nad tym pomyśleć, jakiś głos zawołał do niego z ciemności.

— To relikt. Kryje w sobie błąd, który sprawia, że można go podnieść tylko idealnie pionowo w górę. Przepchnąć albo przesunąć, nie da się go nawet buldożerem...

Dziki obrócił się natychmiast w stronę, z której dobiegał głos, ale nim zdążył zareagować, oberwał w głowę czymś naprawdę ciężkim. Zamroczony ciosem, runął na ziemię. Na chwilę opuściła go świadomość. Gdy tylko się ocknął, poczuł, że jego nos rozkwasił się od upadku, do tego jak przez mgłę, dostrzegł przed sobą cztery pary wojskowych butów.

— Ja pierdolę! — zawołał z niedowierzaniem jakiś męski głos, tuż nad jego głową. — To jest ten facet, który cię tak załatwił?

— Mówiłem ci, że nie był sam... — odparł mu jakiś inny mężczyzna, ale jego głos Dziki na pewno już kojarzył. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, że Pers znowu zebrał jakąś ekipę by się z nim policzyć. Tylko jakim cudem wiedzieliby, że autobus będzie miał wypadek właśnie tutaj?

Podejrzenia odnośnie Persa zostało szybko rozwiane, gdy do rozmowy wtrącił się trzeci z mężczyzn. — Nawet jakby ich było dziesięciu! Jesteś choler-nym Zwiadowcą... Takie coś, to wstyd dla Zarzecza...

— Zarzecza... — powtórzył w myślach Dziki, z przerażeniem uświadamiając sobie, kto może właśnie nad nim stać.

Zdenerwowany poderwał się natychmiast, ale nogi momentalnie się pod nim załamały. Z jego głową wciąż było naprawdę źle. Tym razem upadł jednak na tylek i wsparty na rękach, zdołał zobaczyć swoich oprawców.

Tuż obok niego, stała czwórka mężczyzn w dość posuniętym jak na Nowy Świat wieku. Wszyscy ubrani byli w militarne stroje, a w rękach trzymali karabiny samoróbki. Najgorsze było to, że jednym z nich był nie kto inny, jak Michał Modrzew. Mężczyźni widząc, że nie jest w stanie ustać na nogach, niespecjalnie nawet przejęli się jego zrywem, a sam Dziki nie mógł uwierzyć swoim oczom.

— *Modrzew? Tu? Właśnie teraz?* — brzęczało w jego głowie. — *Skąd? Jak?*

Jego umysł wypierał całą tę sytuację, jak tylko mógł. Dziakiemu wydawało się nawet przez chwilę, że był to jeden z jego nawracających koszmarów, które ciągle nawiedzały go w tym świecie... Przecież nie było możliwe, żeby on tu był.

W tej samej chwili usłyszał szamotaninę dochodzącą od strony autobusu. Piąty Zwiadowca wyprowadzał właśnie rannych mieszkańców z wnętrza pojazdu. Wszyscy wyglądali na całkiem zagubionych i zaskoczonych. Nie było w tym niczego dziwnego, przecież jeszcze chwilę wcześniej, jechali sobie całkiem spokojnie, spędzając miło czas na opowiadaniu historii.

Wtedy, mimo bólu i ośpienia, do Dzikiego dotarło, że tak naprawdę, to nie był wypadek. Musieli wpaść w pułapkę zastawioną przez Zwiadowców, którzy użyli jakiegoś przedmiotu z błędem, by zatrzymać piętusa.

Ludzie z autobusu zatrzymali się zaraz przy wyjściu, ale Zwiadowca pogonił ich dalej. — Do światła! Już! — rozkazał, demonstracyjnie uderzając Smalca kolbą swojej broni. Przerażony chłopak przyśpieszył natychmiast kroku, chowając się między dziewczynami, a jego oprawca zwrócił się do swoich kompanów. — Kierowca chyba nie żyje!

Dziki poczuł ośpienie. — *Jak to nie żyje?* — pomyślał, czując jak wszystko, co miał w środku zaczyna mu drgać z nerwów. — *Janek zginął?*

— Jego pech — odparł najstarszy z kompanów Modrzewa. — Albo szczęście.

Wszyscy z autobusu byli wstrząśnięci, ale nie było im dane skupić się na śmierci towarzysza, bo Zwiadowcy jeszcze z nimi nie skończyli. — Na ko-

lana! Już! — warknął ten, który zmusił ich wcześniej do wyjścia z piętrusa. — Niech mi się nikt nawet nie waży drgnąć.

Dziki leżał na ziemi ledwie kawałek od nich, ale nie był w stanie nic zrobić. Widząc przerażanie na twarzy kompanów, poczuł, jak serce pęka mu z żalu i wstydu.

W tym czasie Modrzew nie spuszczał z niego wzroku. Krążył nad nim, wciągając powietrze przez usta z taką zawziętością, jakby próbował je posmakować. Jego koledzy skupili się natomiast na busiarszach, przyglądając się im z zaciekawieniem.

Dziki dostrzegł, że między jego kompanami brakowało Kuby. — *Czyżby udało mu się ukryć?* — pomyślał z nadzieją. — *Jeśli tak, czy był w stanie im jakoś pomóc?*

— Dobra, Modrzew! — warknął nagle najstarszy ze Zwiadowców, odrywając wzrok od mieszkańców piętrusa. — Masz co chciałeś! Strzelaj mu w łeb i wracamy do bazy. Trzeba się jeszcze przygotować do przejścia...

Dziki poczuł, jak po tych słowach serce łomocze mu z przerażenia. Więc przeszłość w końcu go dopadła. Modrzew przybył, by dokonać zemsty. Spodziewał się, że już za chwilę poczuje dotyk lufy na swoim czole, ale wściekły Modrzew ruszył w stronę swojego kompana, jakby to jego chciał zaatakować. — Strzelaj mu w łeb? STRZELAJ MU W ŁEB? KPISZ SOBIE ZE MNIE? — zapytał, pełen irracjonalnego wręcz oburzenia. — Jeżeli myślisz, że tak po prostu go zabiję... O NIE! Trzydzieści cholernych dni robiłem za podnózek pedała! On utonie we własnych flakach i kale! Będzie błagał o śmierć!

Zwiadowca, który wyprowadzał ludzi z autobusu, słysząc ten wylew, kopnął z irytacją w ziemię. — No ja pierdolę! Nie mów, że będziemy czekać aż sobie tu odwalisz cholernego doktora Mengele. Jak nie masz jaj, żeby to zrobić, załatwię to za ciebie... — mówiąc to, mężczyzna podszedł do oszołomionego Dzikiego, praktycznie wciskając mu broń w czoło.

Ten, gdy tylko poczuł dotyk zimnej lufy na skórze, po prostu zeszytniał. Jego umysł zupełnie zawisł. To co się działo było nierealne, po prostu nierealne. Skoro więc było snem, czemu się nie budził? Z oddali dobiegł do niego zrozpaczony krzyk Oli oraz pisk pozostałych dziewczyn z autobusu.

— Zostaw go! — ryknął Modrzew, mierząc do swojego kompana. — ON JEST MÓJ! Jak go zajebiesz, to ja zapierdolę ciebie!

Najstarszy z grupy Zwiadowców westchnął, spoglądając to na Modrzewą, to na mężczyznę, który mierzył do Dzikiego. — Marco, puść go! — zawołał w końcu. — To sprawa Modrzewą i tego chłopaka. Niech sobie to rozwiązuje, jak uważa...

— Cudownie! — podsumował Modrzew i wyciągając broń, strzelił z oddali w głowę kłęczącego Kryspina.

Chłopak momentalnie runął na bok, a pozostali mieszkańcy autobusu krzyknęli przerażeni. Kłęczący obok niego Edek poderwał się do góry chcąc

uciekać, ale stojący najbliżej Zwiadowca pchnął go z powrotem na ziemię i natychmiast wziął na cel. Przerażony Edek zaczął trząść się, jakby miał padaczkę, a mierzący do niego mężczyzna naskoczył na Modrzewą. — Kurwa mać! MÓGLBYŚ SIĘ OPANOWAĆ! Prawie mnie trafiłeś! — mówiąc to wytarł rękawem krew Kryspina, która ochlapała go po strzale.

Placz i krzyki mieszkańców rozdzierały w tym momencie głowę Dzikiego. Jego serce uderzyło pompowane adrenaliną. Mimo beznadziejnej sytuacji, poderwał się w stronę Modrzewą w ataku szału. Niestety nim zdążył choćby się do niego zbliżyć, Zwiadowca nazwany wcześniej Marko, uderzył go kolbą swojej broni, drąc się jednocześnie w stronę Michała. — NO DO JASNEJ NĘDZY! Ja rozumiem zemsta, ale to już jest jakieś skrajne zjebanie! Co ci tamten chłopak zrobił? — spytał oburzony, wskazując dłonią na martwego Kryspina. — Też cię sprzedał pedałow! Ile ty tych turnusów u Siwego zaliczyłeś?

Oli i reszta dziewczyn stłoczyły się dookoła ciała Kryspina, zawodząc przeraźliwym płaczem.

Modrzew przyglądając się tej scenie, wzruszył ramionami. — Nic — odpowiedział, z jakiegoś powodu zaskoczony pytaniem. — A jak już przyjdziemy tu wszyscy, to ilu oszczędzisz? Jak myślisz? Jeden potencjalny obrońca mniej...

— No nie... Kto tego oszołoma zrobił Zwiadowcą? — fuknął retorycznie Marco, po czym ponownie zwrócił się do najstarszego z grupy: — Darek, chyba nie masz zamiaru siedzieć tu i patrzeć, aż ten sukinsyn skończy się zabawiać?

Mężczyzna zerknął zirytowany na Michała. — Modrzew, kończ to! — zażądał, wskazując dłonią na Dzikiego.

— W Zwiadowcach jesteśmy równi! — odpysknął natychmiast Michał. — Nie uzurpuj sobie prawa do rozkazywania mi.

Darek spojrzał na niego z wyższością, zaciskając ręce na broni. — Dopiero odzyskałeś ten tytuł i to dlatego, że uwierzyłem w twoją historię o porwaniu. Pamiętaj, że zgodnie z prawem Zwiadowców, wszyscy którzy przekroczyli czas pobytu w centrum, uznawani są za lojalistów i zdrajców... Wszyscy albo nikt!

— Dobra, dobra... — odetchnął Modrzew. — To mogę go chociaż zatłuc gołymi rękoma? Poczekacie?

— Pierdolę to! — powiedział Marco. — Wracam do hufca i wam też radę. Jeszcze się zarazicie od niego jakąś umysłową spierdoliną...

Przybyła grupa, z wyjątkiem Modrzewą, zaczęła się zbierać, ale wzrok Darka spoczął nagle na kłęczących dziewczynach. — Czekajcie, ale panienek to szkoda z tym palantem zostawiać. Można je zabrać na Zarzecze! — stwierdził, wpatrując się pożądliwie w stronę Oli.

— Młode i ładne — podkreślił Marco. — Jakiś pożytek zawsze z nich będzie...

Dziki słysząc to, poderwał się po raz kolejny. Próbował zrobić cokolwiek. W jednej sekundzie dopatrzył pistolet w rękach Marco. Był jednak zbyt

otępiały i wolny. Nim zdążył wyciągnąć ręce, Modrzew pchnął go na ziemię zupełnie od niechcenia. — Leż, aż z tobą nie skończę! — warknął w jego stronę, po czym zwrócił się do kompanów. — Jak tam sobie chcecie. Ja żadnej dźwigać przez rzekę nie mam zamiaru... — zaperzył się.

Dziewczyny z autobusu popatrzyły przerażone. Oli wysunęła się na przeciw nich, jakby chciała je osłonić.

— Nie musisz! — odparł Marco. — Akurat są cztery dla nas. W sam raz nagroda za nie bycie spierdolonym.

— To zabierać je... — zarządził Darek, podchodząc natychmiast do Oli z pistoletem w pogotowiu. — Idziemy, piękna!

— NIE! — zaprotestowała dziewczyna, mimo że wydawała się naprawdę przestraszona.

Zwiadowca słysząc to, popatrzył na nią pobłaźliwie. — Więc zabiję twoją koleżankę... — powiedział biorąc na cel Weronikę.

Ta spojrzała przerażona na pistolet i natychmiast załapała się łzami. — Nie, błagam, proszę... — wyszeptała.

Dziki przyglądał się temu, wciąż nie mogąc uwierzyć. Przecież zawsze mu się udawało. Przy każdej opresji albo wywalczył sobie jakąś szansę, albo wykorzystał tę daną przez los. Dlaczego więc teraz żadnej szansy nie było? Dlaczego nikt się nie pojawiał? Pierwszy, Mike, Wilk, Krzak albo chociaż Niewykształcony, który odwróci uwagę wszystkich. Na drżących rękach spróbował wstać po raz kolejny, ale Modrzew kopnął go w głowę, nim w ogóle zdążył się unieść.

— Uparty to on jest. Nie ma co... — podsumował Marco, który podszedł teraz do Beaty i po prostu poderwał filigranową dziewczynę z kolan.

Kolejny z mężczyzn dopadł do Weroniki, szarpiąc ją za ramię, ale Bocian zebrał w sobie dość odwagi, by stanąć w jej obronie. — Zostaw ją! — zażądał, łapiąc rękę Zwiadowcy i wtedy padł kolejny strzał.

Modrzew trafił chłopaka w brzuch, a ten osunął się natychmiast na ziemię. Jego gasnący wzrok zdołał odnaleźć Dzikiego. — Dziki... pomóż... — powiedział wyciągając rękę w jego stronę, ale kolejny strzał tym razem w czoło, pozbawił go życia.

— KURWA, MODRZEW! — ryknął Zwiadowca, który trzymał Weronikę. — MOŻE JA POSTRZELAM DOOKOŁA CIEBIE?

— No przecież cię broniłem! — odparł natychmiast mężczyzna, a Zwiadowca wyszeptał teatralnie, by i tak wszyscy słyszeli. — Szkoda, że swojej dupy nie umiałeś bronić.

Modrzew nie zwrócił na tę kpinę w ogóle uwagi. Spojrzał jedynie na swój pistolet wyraźnie zadowolony. — Zaczyna mi się to podobać! Nie mogę się doczekać inwazji... — skwitował, dziwnie podniecony. — Mam nadzieję, że trafi mi się Siwy i paru innych ludzi...

Zwiadowcy jęknęli praktycznie naraz. Wydawać by się mogło, że zachowanie Modrzewa działa wszystkim na nerwy, ale nikt nawet nie myślał o tym, żeby go powstrzymać.

— *Gdzie jest Kuba?* — pomyślał zrozpaczony Dziki. Dlaczego go z nimi nie było? Czyżby ukrył się za pomocą swojego błędu w autobusie? Cemu więc nie zaatakował znienacka? Na co czekał? Aż kolejna osoba zginie?

Marco, który ciągnął za sobą Beatę, stwierdził ostatecznie. — Pierdole, idę... — po chwili zniknął w ciemności.

Darek podchodząc do Modrzewa, złapał go za ramię, spoglądając mu wymownie w twarz. — Jak Błysk po tamtej stronie się skończy, natychmiast ruszamy — oznajmił. — Nie spóźnij się! Bo tym razem wrócę tu specjalnie, żeby cię zastrzelić. Pamiętaj Modrzew, wszyscy albo nikt!

— Tak, tak, pamiętam... — odwarknął mężczyzna, skupiając się w końcu na Dzikim.

— Żeby nie musiał się wracać — zagroził jeszcze raz Darek i chwycił Oli za ramię.

Dziewczyna natychmiast zaczęła się wyrywać, krzycząc: — DZIKI! NIE! DZIKI!!!

Jej wołanie rozbijało się echem po okolicy, jeszcze dłuższy czas, ale było zupełnie bezsensowne. Pozostali Zwiadowcy zabrali Laurę i Weronikę. Obie były już tak zaszczute, że nawet nie próbowały się bronić.

Przy autobusie pozostali już tylko Green, Edek, Smalec, Korek i Dziki oraz ich oprawca. Kuba, jeśli gdzieś się ukrywał, to nie dawał nawet najmniejszego znaku.

Modrzew zostawił na chwilę Dzikiego, przechadzając się teraz z lubością dookoła kłęczących chłopaków. Co chwila zatrzymywał się za plecami któregoś z nich, jakby miał zamiar przeprowadzić egzekucję. Widać było, że cała ta sytuacja sprawia mu niesamowitą frajdę. Bawił się ich strachem.

Dziki obserwując to, poczuł, jak przelewa się w nim bezsilność. — Dlaczego im to robisz... dlaczego? — zawołał w rozpacz. — Przecież ludzie z autobusu nic ci nie zrobili! To była moja wina! To ja cię sprzedałem... JA!

— O, naprawdę? — spytał ironicznie Modrzew, praktycznie podbiegając do niego. — A co ja cię zrobiłem? No może oprócz tego, że jestem z Zarzeczka i dla mnie wszyscy mieszkańcy drugiego brzegu powinni zdechnąć. Tylko, że o tym to na pewno nie wiedziałeś...

Dziki pokręcił głową. — Proszę, zrób ze mną co chcesz. Zabij, torturuj, nawet utop w rzece... Tylko daj im żyć! Błagam...

Modrzew popatrzył na niego z pogardą. — Biedny Dzikusek chciałby umrzeć jak bohater i żyć w serduszkach swoich przyjaciół... — prychnął i wyprostował się przed nim. — Nie ma szans. Zdechniesz ze świadomością, że nikomu nie pomogłeś, a oni wszyscy zginęli przez ciebie.

Dziki zacisnął pięści z wściekłości, a Modrzew widząc jego frustrację, postanowił nieco się z nim zabawić. — Dobrze Dziki! Skoro dalej jesteś taki hardy, dam ci szansę — rzucił niespodziewanie i podszedł do Smalca, którego z niemalym trudem poderwał z kolan. — Uratuj go! — rozkazał, przykładając chłopakowi pistolet do potylicy. — Liczę do dziesięciu i strzelam, a ty próbuj.

Dziki spojrzał przerażony na towarzysza z autobusu, a Smalec wrzasnął natychmiast: — Pomóż mi!

— RAZ! — Zawołał Modrzew, pchając Smalca, który natychmiast zaczął uciekać w otaczającą ich ciemność.

— DWA!

Chłopak biegł ze wszystkich sił, chcąc odbiec z zasięgu świateł autobusu.

— TRZY!

Dziki ruszył na Modrzewa. Nie musiał wygrać! Wystarczyło, że kupi trochę czasu, by Smalec mógł ucieść dość daleko.

— CZTERY!

Zaciskając pięść, zamachnął się w stronę Michała, ale jego cios po prostu przeleciał przez twarz mężczyzny, jakby ten był jakimś upiorem.

— PIĘĆ!

Dziki spróbował po raz kolejny, ale jego pięści wciąż przenikały przez głowę Modrzewa.

— SZEŚĆ!

Zdesperowany spróbował złapać za pistolet w ręku mężczyzny, ale jego palce również przeleciały przez łufę.

— SIEDEM!

— BŁAGAM CIE, PODDAJĘ SIĘ, ZROBIĘ, CO CHCESZ, TYLKO PRZESTAŃ! — krzyknął zrozpaczony Dziki.

— OSIEM!

— TEN CHŁOPAK JEST NIEWINNY! ONI SĄ NIEWINNI! — wykrzykiwał.

— DZIEWIĘĆ!

Dziki stanął naprzeciw pistoletu, blokując linię strzału. Modrzew dał natychmiast krok do przodu, a pistolet przeniknął przez twarz Dzikiego. Okolicę niemal natychmiast wypełnił huk wystrzału, a po nim wrzask Smalca.

— Dziesięć... — westchnął Michał. — Widzisz, Dziki? Nie jesteś bohaterem. Nikogo nie uratujesz. Zdechniesz jak pies ze świadomością, że ci wszyscy ludzie zginęli przez ciebie.

Dziki upadł na kolana, całkiem załamany. Nie był już w stanie powiedzieć nawet słowa, nie był w stanie zrobić nic. Modrzew, posługujący się błędami, przewyższał go pod każdym względem. Chciał już po prostu, żeby to wszystko się skończyło. Żałował tylko dnia, w którym udało mu się uciec z cmentarza. Gdyby wtedy zginął, ci wszyscy ludzie... oni wciąż by żyli.

Modrzew poszedł w międzyczasie do wrzeszczącego w oddali Smalca. Chłopak widząc go, zaczął błagać, wołając. — NIE! NIE, PROSZĘ! NIE! — ale niemal natychmiast został dobity strzałem w głowę.

Dziki nawet na to nie patrzył. Nie był po prostu w stanie. Wystarczyła cisza i niewyobrażalne zawrodoenie, pozostających przy życiu kompanów. Modrzew wrócił do niego i dostrzegając bezsilną rozpacz na jego twarzy, najwidoczniej dostał to, czego chciał od początku. — W końcu do ciebie dotarło — stwierdził wyraźnie zadowolony. — W twoich oczach zatańczyła pustka, którą chciałem zobaczyć. Czas na ciebie, Dziki — powiedział na koniec, dokładając mu pistolet do czoła.

W tym momencie do uszu Dzikiego dobiegł wrzask Korka. — Nie! Zostaw go!

Chłopak ze łzami w oczach, rzucił się na Modrzewa, robiąc coś, co nie udało się wcześniej Dzikiemu, złapał mężczyznę za rękę. Michał był tym wyraźnie zaskoczony, ale gdy tylko się otrząsnął, bez problemu uwolnił dłoń z uścisku. Zdesperowany Korek najwidoczniej nie przemyślał tego, co chciał zrobić, bo momentalnie zeszytywniał, spoglądając jedynie z nadzieją na Dzikiego.

Niestety nim ten zdążył zareagować, Modrzew pochwycił chłopaka przykładając mu jednocześnie pistolet do skroni.

— Szeffie, ratuj! — zawołał przerażony Korek, a Modrzew roześmiał się.

— Ojej, Dzik... chyba jesteś ważny dla tego maluszka! Nie sądziłem, że ktoś taki jak ty, może mieć fana.

— ZOSTAW GO! BŁAGAM CIE! — wykrzyczał Dziki, a Korek szarpał się ze wszystkich sił, krzycząc w całkowitej panice.

— SZEFFIE, POMÓŻ MI! SZEFFIE, BŁAGAM! DZIKI! DZIKI! POMÓŻ MI, PRO... — wtedy Modrzew strzelił mu w skroń.

Podtrzymując przez chwilę jego bezwładne ciało, Michał złożył nieruchome usta chłopaka w dziubek i zaprezentował je Dzikiemu. — Było między wami coś bliżej? — spytał z kpina. — No, bo skoro wybrałeś Pierwszego, a nie Dix, to może wiesz... Wolaleś w tę stronę?

Po tym upokorzeniu wypuścił ciało Korka, które gruchnęło na ziemię tuż obok Dzikiego. Ten spoglądając w jego puste oczy, poczuł jak coś po raz ostatni w nim pękło. Przestał czuć jakikolwiek strach, czy żal. Bezwładność opuściła jego ciało, zastąpiona wrzącym jak lawa gniewem. — Nie mogę uwierzyć... — wycedził, łypiąc z kolan na swojego oprawcę.

— Co? — spytał Modrzew, nachylając się. — Dalej myślisz, że to koszmar? Oj, uwierz mi, to jest koszmar...

— Nie — odwarknął Dziki. — Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek ciebie żałowałem. Że przeżywałem to, co ci zrobiłem! Że wracało to do mnie...

Modrzew spojrzał w jego oczy. — Czyżby przyszła kolej na błaganie o litość dla siebie? Już nie chcemy być bohaterem? — spytał wyraźnie rozbawiony.

— Litość? — prychnął Dzik. — Od ciebie? Teraz to widzę! Zasłużyłeś kurwo na wszystko, co cię spotkało! Na każdą chwilę, w której Siwy jebał cię w pierdoloną dupę. Chcesz żebym błagał? Nie będę błagał. JA CIĘ KURWA ROZPIERDOŁĘ!

W tym momencie na twarzy Modrzewa po raz pierwszy pojawiła się niepewność. — Dość! — powiedział i ciągle celując Dzikemu w głowę, nacisnął spust.

Gdy kula leciała w kierunku Dzikiego, przepełniło go nowe uczucie. Cel, który musiał wykonać i w którym nic nie mogło mu przeszkodzić. Pocisk momentalnie zmienił tor lotu, a Dzik zaciśnął pięści gotów do ataku. Wiedział, że tym razem trafi. Nie będzie żadnego przenikania! Nie pozwoli na to! Modrzew miał umrzeć!

Potężny cios trafił Michała w brzuch tak, że ten wyleciał w powietrze i upadł na plecach. To nie był cios zwykłego człowieka. To był cios przepełniony błędami. Dzik poczuł, jak zalewa go spełnienie. Wystrzelił do przodu, jak pchnięty przez katapultę. Jakby jego ciało od samego początku wiedziało, jak korzystać z tych nowo nabytych mocy. Nim Modrzew zdążył unieść głowę, runął na niego, zasypując jego twarz gradem uderzeń. Każda pięść, która chybiła, podrywała z ziemi kawałki oderwanego betonu. — UMRZESZ! — ryknął przekonany, że zaraz rozniecie Modrzewowi czaszkę.

Nagle stało się coś dziwnego. Poczuł wolę życia. Wolę życia, która nie należała do niego. Jakby siedział w głowie Michała, a ich pragnienia walczyły ze sobą. Teraz zrozumiał, to był pojedynek Woli. Nie mógł go przegrać! Przypomniał sobie Bociana, Kryspina, Smalca, Korka... Chęć uśmiercenia mężczyzny eksplodowała w nim. Modrzew musiał to wyczuć, bo zamknął natychmiast oczy, ale przed zadaniem ostatecznego ciosu, Dzik wyczuł coś jeszcze. Przeszywający strach, skryty we wnętrzu autobusu, zamknięty za zasłoną niewidzialności.

Więc Kuba ukrywał się przez cały czas, pozwalając na to, by jego ludzie byli zabijani, jeden po drugim. Wściekłość rozdarła mu wnętrzności jeszcze mocniej, ale Modrzew wykorzystał chwilę, gdy Wola Dzikiego była rozproszona i momentalnie zrobił się przenikliwy. Błyskawicznie przeleciał przez niego i znalazł się po drugiej stronie.

— NIE! — krzyknął Dzik, uderzając pięścią w asfalt i robiąc w nim przy okazji ogromną dziurę. — NIE POZWOLĘ CI!

Modrzew wyskoczył w powietrze, jak kiedyś zrobił to nad torami. Na górze poza zasięgiem Dzikiego, zmierzał prosto w ciemność. Dzik w amoku ruszył za nim, potykając się o ciało Korka. Puste oczy chłopaka wpatrywały się w niego, a jego twarz zastygła w wyrazie przerażenia. Na ten widok poczuł jak znowu eksploduje w środku. Czując przeszywającą go moc, wyskoczył jak gepard i zderzył się z Modrzewem w powietrzu. Obaj runęli nagle na ziemię, jakby błąd zapomniał, że ma ich unosić.

Dzik lądując na Michale, zupełnie zignorował ból spowodowany upadkiem. Błyskawicznie złapał go za twarz i przycisnął ją ręką do asfaltu.

— PRZESTAŃ! PRZESTAŃ! — wykrzyczał mężczyzna, a jego czaszka zaczęła kruszyć się pod palcami Dzikiego. — KURWA, STÓJ! NIE! KURWA! KURWA!!!

Kość w końcu nie wytrzymała. Krew bryzgnęła dookoła. Krzyk Modrzewa ucichł.

Dysząc ciężko, Dzik usiadł na drodze. Wszędzie było całkiem ciemno. Gniew i złość odpłynęły, zostawiając po sobie pustkę, którą momentalnie wypełnił żal. — Dlaczego? DLACZEGO TO NIE STAŁO SIĘ WCZEŚNIEJ! — krzyknął Dzik uderzając pięścią w asfalt. Ten wgniótł się, jakby był zrobiony z ciasta. — DLACZEGO! DLACZEGO! DLACZEGO! — krzyczał Dzik, robiąc coraz większą dziurę w ziemi.

Z ciemności wybiegły dwie postacie. Edek razem z Greenem dopadli do niego, próbując powstrzymać przed nadużywaniem błędów. Obaj chwycili go za ręce i próbowali przycisnąć do ziemi, ale strącił ich z siebie, jak dwie szmaciane lalki.

Green doskoczył ponownie, łapiąc go za twarz. — PRZESTAŃ! NADUŻYWASZ BŁĘDÓW, ZARAZ SIĘ ROZMYJESZ! DZIKI, ROZMYJESZ SIĘ! — wykrzyczał.

W tym samym czasie Edek chwycił go od tyłu i spróbował podnieść. — Uspokój się, już po wszystkim...

— Po wszystkim... — wyszeptał niepewnie Dzik i poczuł, jak do oczu nabiegają mu łzy.

Chwycił się za głowę, czując, że zaraz znowu się załamie. Widząc to, Green strzelił go w twarz. — Uspokój się! Janek jest ranny, musimy mu pomóc!

— Janek żyje... — pomyślał Dzik, a w morzu bólu jaki odczuwał, pojawiła się kropla ukojenia. — Czyli Zwiadowca się pomylił! — nie czekając na Greena i Edka, pobiegł w stronę autobusu, czując, że w razie potrzeby po prostu rozerwie blachę na strzępy.

Światła pojazdu i wewnętrzne lampy zaczynały powoli gasnąć. Autobus umierał, tak jak umierali jego mieszkańcy. Otepiały Dzik wbiegł do środka pojazdu, gdzie zobaczył kierowcę siedzącego na fotelu. Spod jego twarzy mokrej od krwi, przebijała się para białych oczu. — Mhm, Dzik, mhm... — wybulgotał zachrypniętym głosem. — Jak dobrze... dobrze, że żyjesz.

Po tych słowach kierowca ponownie stracił przytomność. Dzik przebił się przez resztki połamanego kokpitu i chwycił go za rękę. — Trzymaj się, stary. Zaraz ci pomożemy, jeszcze chwilę.

Nim Dzik zdołał wyciągnąć rannego mężczyznę z fotela, usłyszał za swoimi plecami głos Kuby. — Zabierzmy go do mojej kryjówki...

Dziki poczuł, jak zalewa go fala niepohamowanej wściekłości. Puszczając Janka, doskoczył do byłego lidera i chwycił go za wszarz. — TY SKURWYSYNU! CHOWAŁEŚ SIĘ PRZEZ CAŁY CZAS! TY JEBANA GLIZDO! MYŚLAŁEM, ŻE JEST W TOBIE CHOCIAŻ ODROBINA CZŁOWIEKA! ŻE NA TYCH LUDZIACH ZALEŻY CI CHOCIAŻ TROCHĘ!

Kuba po tym wybuchu był w takim szoku, że przez chwilę zapomniał języka w gębie. — Dziki, ja nie miałbym szans! — zaczął się gorączkowo tłumaczyć, duszony własną kurtką. — Moja Pierwotna Wola jest tak chujowa, że nie mogę walczyć z jej pomocą. Naprawdę, gdybym tylko mógł coś zrobić...

Dziki nie wytrzymał tego bełkotu. Cisnął mężczyzną w jeden z foteli tak mocno, że oparcie pękło, a Kuba przebił się na drugą stronę. — TRZEBA BYŁO UMRZEĆ, PRÓBUJĄC! — ryknął.

Na szczęście dla Kubę, do autobusu wbiegł właśnie Green, powstrzymując Dzikiego przed wykończeniem go. — Dość, Dziki! Musimy myśleć o tych, którym jesteśmy w stanie pomóc. Janek zaraz się wykrwawi! Musimy zabrać go do kryjówek!

Dziki wziął głęboki oddech, ale i tak ledwo powstrzymywał się przed rzuceniem się na Kubę. Green zachował na szczęście zimną krew i szybko dał całej grupie zadanie. Ściągając oparcie z tylnej kanapy, mężczyźni stworzyli we czwórce prowizoryczne nosze, na których ułożyli rannego Janka. Gdy opuścili autobus, znaleźli się w całkowitej ciemności. Dziki, który biegł na przedzie, oświetlał drogę latarką. Chociaż chodzenie nocą po Krańcowie było wyjątkowo niebezpieczne, nie bał się nawet przez chwilę. Wiedział, że we wszystko, co stanie im na drodze, uderzy z całą siłą błędów i nieważne czy się przez to rozmyje. Musiał pomóc Janekowi. Tylko ta myśl trzymała go jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Na szczęście miasto okazało się wyjątkowo puste. Jakby cały Nowy Świat zrozumiał w tym momencie, że nie warto stawiać mu na drodze. Na blokowisko dotarli w pół godziny. Kuba bez trudu odnalazł odpowiednią klatkę, mimo że w mdłym świetle latarek każdy blok wyglądał identycznie. Wbiegając na najwyższe piętro, Dziki rozpoznał mieszkanie, w którym gościł zaraz po przybyciu.

Lider autobusu otworzył im drzwi, po czym wciągnęli Janka do środka.

Wnętrze kryjówki nie zmieniło się wcale od momentu, gdy gościł tu Dziki. Nie licząc może tego, że było jeszcze bardziej zagracone. Plecaki, konserwy, buty, rowery... całe pomieszczenie po prostu tonęło w gratach.

— Ułóżmy go na stole — zarządził Green i wspólnie z kompanami, przeniósł Janka z resztek fotela na blat. — Spokojnie, Janek, spokojnie — szeptał, rozpinając mężczyźnie kurtkę.

— Tam są środki medyczne... — powiedział Kuba, wskazując na stojącą w rogu ogromną szafę.

Green doskoczył do niej i biorąc masę opatrunków, zaczął tamować krwawienie kierowcy.

Edek padł w tym czasie na fotel, chowając twarz w dłoniach. Dziki zobaczył, jak po jego policzkach od razu pociekły łzy. Kuba odsunął się z kolei od Dzikiego na drugi koniec pokoju i z niepokojem obserwował starania Greena.

Gdy Dziki zrozumiał, że zrobił tu już wszystko co mógł, jego umysł zaczęły natychmiast bombardować przerażające myśli. — Dziewczyny... — zaczął, w stronę towarzyszy głosem pełnym goryczki. — Zabrali je...

Kuba popatrzył na niego niepewnie, nic nie mówiąc. Być może bał się, że nieodpowiednim słowem może znowu sprowokować kolejny atak.

Dziki czuł z kolei, że jeśli czegoś nie zrobi to zaraz popadnie w obłęd. — Musimy im pomóc! — zawołał w stronę towarzyszy, jakby ci byli nieświadomi tego, co powiedział wcześniej.

Kuba spojrzał na niego zrezygnowany. — Dziki... Myślisz, że nie chcę ratować Oli? — powiedział, a głos mu się załamał. — Tylko co mogę zrobić? Moja Pierwotna Wola nie pozwala mi walczyć... Gdybym tylko spróbował, natychmiast bym się rozmył! Zwiadowcy z Zarzecza, oni wszyscy znają się na błędach...

— WIĘC ZAMIERZASZ TU SIEDZIEĆ?! — krzyknął Dziki.

— A CO MAM ZROBIĆ! — odparł już całkiem rozgoryczony Kuba, o dziwo nie okazując tym razem strachu. — MYŚLISZ, ŻE TYLKO TOBIE ZALEŻY? PO PROSTU NIE WSZYSCY JESTEŚMY TAK CHORZY NA ŁEB, ŻEBY RZUCAĆ SIĘ TAM, GDZIE NIE MAMY SZANS!

Dla Dzikiego nie było to jednak wytłumaczenie. — Ja idę! — oznajmił i ruszył w stronę drzwi.

— Zabiją cię! — zawołał za nim Kuba.

— Wolę umrzeć próbując je ratować, niż żyć jak tchórz — odwarknął mu i chwycił za klamkę, ale nim wyszedł, Edek wpadł na pomysł. — Poproś Pierwszego o pomoc! Wezwij go przez radio, może akurat słucha!

Dziki popatrzył niepewnie na chłopaka, po czym zawołał w stronę lidera. — Kuba, masz tu radiostację?

— Tak... — odpowiedział mężczyzna i ruszył natychmiast w stronę kuchni. Wrócił po chwili, wręczając Dzikiemu małe czarne radio.

Ten złapał je, wołając natychmiast do mikrofonu. — Pierwszy albo ktokolwiek inny. Mówi Dziki z Autobusu do Wolności. Zostaliśmy zaatakowani przez Michała Modrzewa oraz Zwiadowców z Zarzecza. Większość naszych zginęła, ale te sukinsyny porwały nasze przyjaciółki i chcą zabrać je na Zarzecze. Nie wiem, jak długo będą jeszcze po tej stronie! Nie wiem, ile mamy czasu, ale jeśli ktokolwiek z was może... Proszę, pomóżcie...

Kuba i Green popatrzyli na niego, gdy opuszczał rękę z odbiornikiem. W jego głowie po raz pierwszy zabrzmiało coś, co było jak modlitwa. Nie wiedział, do kogo się zwraca. Nie wiedział, czy ma to sens, ale w środku błagał cały Nowy Świat o pomoc.

— Dziki, gdzie jesteś? — zawołał męski głos z głośnika.

— Będę zaraz przy cmentarzu Nowoprzybyłych! — odpowiedział.

— *Czekaj tam na mnie! Nigdzie się nie ruszaj!* — rozkazał głos.

Wszyscy w pomieszczeniu, z wyjątkiem nieprzytomnego Janka, spojrzeli w tym momencie na Dzikiego.

— Jak myślisz, kto to był? — spytał natychmiast Green.

— Mam nadzieję, że Pierwszy — odparł mu Dzik.

* * *

Czekając przy bramie cmentarza, Dzik musiał zmierzyć się z dziesiątkami obaw i przerażających myśli. Zwiadowcy powiedzieli, że jak tylko skończy się Błysk z tamtej strony, natychmiast ruszają na Zarzecze. Jak długo mógł trwać ten Błysk? Czekali jeszcze w swojej bazie w hufcu? Czy zmierzali już w stronę rzeki? Jeśli tak, to którędy przechodzili? Czy dałoby radę odciąć im drogę?

Z zamyślenia wyrwał go bardzo niecodzienny, jak na Nowy Świat, dźwięk. Odgłos silnika samochodu. Para sporych lamp błysnęła w oddali i zaczęła zbliżać się do cmentarza. Już po chwili ogromna terenówka zatrzymała się tuż przed bramą, a jej lampy oświetliły sylwetkę Dzikiego.

Ten nie czekając, doskoczył do samochodu i zobaczył za kierownicą zamaskowaną postać Pierwszego. — Siadaj z tyłu! — rozkazał mężczyzna.

Dzik otworzył drzwi i zobaczył, że oprócz Pierwszego w środku był ktoś jeszcze. Na siedzeniu pasażera siedziała Zjawa. — Co ty tu robisz? — spytał zaskoczony, ale zamiast dziewczyny odpowiedział Pierwszy.

— Jak zniknąłeś z eteru, na radiu rozpoczęła się wrzawa. Było sporo chętnych do pomocy, ale tylko ją miałem po drodze — wyjaśnił, wycofując autem na drogę. — Czasu mamy niewiele. Zwiadowcy na pewno też słuchają radia, a Błysk po tamtej stronie niedługo się skończy — dodał wciskając gaz w podłogę, a samochód wystrzelił z miejsca.

Dzik musiał złapać się siedzenia, by nie polecieć do tyłu. — Skąd o tym wiesz? — spytał natychmiast.

— Przecież ci mówiłem, że byłem na Zarzeczu — odparł mu Pierwszy. — Miałem kontakt ze Zwiadowcami, z tamtejszymi ludźmi. Wiem co nieco o tym, jak działają. Im nie wolno się spóźnić, bo uznają ich za zdrajców i zabijają. Myślisz, że dlaczego wtedy pod szkołą mówiłem żebyś opuścił autobus i wracał do Dix? Po tamtej stronie aż wrzało od tego, że Modrzew wraca i ma zamiar się zemścić.

Zjawa odwróciła się, żeby spojrzeć na Dzikiego. Jej oczy były pełne współczucia, ale minę miała nadąsaną, jak zawsze. Gdy jednak przyjrzała się chwilę jego twarzy, uderzyła Pierwszego w ramię krzycząc. — MASKOWATY! ON MA PIERWOTNĄ WOLĘ!

Pierwszy przyglądał się jej przez chwilę, jakby nie dotarło do niego co powiedziała. Nagle uderzył w hamulce, zatrzymując auto i popatrzył na Dzikiego. — TY UŻYWAŁEŚ BŁĘDÓW?!

— Ja... chyba tak... — powiedział, przerażony, bo Pierwszy i Zjawa przyglądali mu się zszokowani.

Po chwili prawie wciągnęli go przez siedzenie na przód.

— Sprawdź go! — rozkazał Pierwszy.

Zjawa obmacała Dzikiego po twarzy, przeczesła włosy, obejrzała dłonie zwłaszcza przy paznokciach, ale najwidoczniej nie znalazła nic niepokojącego, bo uniosła kciuk do góry, a mężczyzna odetchnął z ulgą.

— Co się dzieje? — spytał, przestraszony ich zachowaniem Dzik.

— Moment przebudzenia się na błędy jest też momentem, w którym najwięcej osób się rozmywa — wyjaśnił Pierwszy, ponownie ruszając. — Nie znasz jeszcze swojej Pierwotnej Woli. Nie jesteś w stanie wyczuć, że przesadzasz...

— Mojej Pierwotnej Woli? — dopytał Dzik, który dopiero teraz zaczął uświadamiać sobie, co udało mu się zrobić. W jego głowie zrodziła się natychmiast masa kolejnych pytań: — Co to jest? Jaka ona jest? Gdy będę wiedział, będę mógł wam lepiej pomóc!

Pierwszy popatrzył przez chwilę na Dzikiego w odbiciu lusterka. Nagle zatrzymał ponownie samochód, wskazując Zjawie na kierownicę. Ta bez słowa skinęła głową i zajęła jego miejsce, a on sam przeszedł przez tunel na tył auta.

Gdy dziewczyna ruszyła, mężczyzna ściągnął maskę i popatrzył na Dzikiego wyjątkowo zmęczonym wzrokiem. — Co poczułeś, albo czego pragnąłeś, gdy po raz pierwszy zdałeś sobie sprawę, że coś jest nie tak? — spytał spokojnym głosem.

Dzik przeleciał myślami do tamtych wydarzeń i lzy nabiegły mu do oczu. Ukrył twarz w dłoniach, szepcząc: — On zabił Korka. Ja tak bardzo chciałem go powstrzymać, chciałem go uratować.

Pierwszy pokręcił głową. — Wiedziałem, że tak odpowiesz, ale to na pewno nie jest twoja Pierwotna Wola.

Dzik popatrzył na niego zdziwiony. Nie przypominał sobie, by czuł cokolwiek innego. By czuł coś ważniejszego niż chęć pomocy przyjaciółom. Mężczyzna widząc jego niepewność, westchnął i zaczął tłumaczyć. — Na błędy przebudza człowieka najsilniejsza emocja, jaką poculi w całym życiu. Nie jest to jednak takie zwykłe uczucie. Musi łamać twój charakter, twoje jestestwo, to kim jesteś. Dla ciebie ratowanie innych to część twojej natury i osobowości, dlatego wybac mi, ale nie uwierzę, że twoją Pierwotną Wolą było ratowanie kogoś...

Dzik popatrzył na Pierwszego zdziwiony. Przecież to właśnie chciał zrobić! Uratować swoich towarzyszy! Powstrzymać Modrzewę... Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Pierwszy spoglądał przez chwilę na Zjawę. — Mam nadzieję, że nie podzielisz się z nikim tym, co tu usłyszysz — warknął w jej stronę.

Dziewczyna obróciła się przez chwilę. — A po co i komu? Uważasz, że mam aż tylu kumpi we Wspólnocie? A może myślisz, że siedzę sobie z Siwym wieczorem przy herbatce i sprzedaję ploteczki z miasta?

Pierwszy zaciągnął maskę z powrotem na twarz i spojrzał na Dzikiego przez szkła. — Posłuchaj, opiszę ci to na moim przykładzie — stwierdził, zaciągając nerwowo pięści. — Pamiętasz, jak opowiadałem ci o moim życiu w Starym Świecie? Wiesz dobrze, że nie przepadałem za swoją egzystencją. Czasem istnienie bolało mnie do tego stopnia, że kilka razy próbowałem przestać...

Dziki spojrzał zszokowany na swojego towarzysza. Mógł myśleć o Pierwszym różne rzeczy, nigdy jednak nie przypuszczał, że był on niedoświadczonym samobójcą. Myślał po prostu, że miał on dość pesymistyczny charakter. Mężczyzna, ignorując zupełnie wyraz jego twarzy oraz zdziwienie Zjawy, która obróciła się ponownie, kontynuował. — Gdy jednak przeczesywaliśmy zakłady chemiczne, gdy Kamil strzelił do mnie... gdy uciekałem ranny przed Delimerem... poczułem, że chcę żyć. Poczułem, że chcę się ratować. I tak człowiek, który gardził swoim życiem, nigdy go nie cenił i chciał je zakończyć, otworzył się na błędy, gdy po raz pierwszy poczuł chęć do dalszego istnienia. Pytam więc wprost. Jak otworzyłby się na błędy człowiek, który chciał ratować każdą napotkaną osobę?

Dziki zastanowił się przez chwilę. To było tak oczywiste, ale dopiero po słowach Pierwszego dotarło do niego w pełni. — Ja chciałem zabić Modrzewa! Zniszczyć go! Zamordować...

Pierwszy przytaknął. — Rozumiem... w to jestem skłonny uwierzyć, a nawet powiedziałbym, że gdybym miał zgadywać twoją Pierwotną Wolę, postawiłbym właśnie na to.

— Więc, co to znaczy? Muszę kogoś zabić, gdy użyję błędów? Inaczej się rozmyję? — dopytywał Dziki.

Pierwszy oparł się o drzwi. — I tak, i nie. Musisz wiedzieć, że Wolę można trochę naginać i oszukiwać. Ja na przykład mogę celowo narazić się na niebezpieczeństwo, by wywołać poczucie obawy o własne życie. Błędy nie rozróżniają źródła mojego strachu o życie, a ja mogę w ten sposób naginać reguły. Inny przykład. Gdy pomyślę o tym, że nie mam zapasów i mogę umrzeć z głodu Wola znowu się gromadzi. Wtedy używam jej do celów innych niż bezpośrednie ratowanie życia. Na przykład mogę siłą otworzyć drzwi, za którymi wyobrażam sobie, że jest jedzenie. Rozumiesz?

— Cholera! — zawołała Zjava. — Więc, to dlatego twoja Wola tak skacze. Czasem zastanawiałam się jakim cudem ktoś, kogo ledwo czuję, był w stanie wykrzesać z siebie tyle w walce z Dix... — stwierdziła, wspominając starcie pod cegielnią. — Mimo wszystko, to rozczarowanie. Myślałam, że ktoś „twojego” pokroju, kryje w sobie coś ciekawszego niż „chęć zachowania życia” — zakpiła na koniec, odwracając się z powrotem w stronę drogi.

— Ciebie za to wyjątkowo łatwo rozgryźć — odgryzł się Pierwszy, choć głos miał dalej chłodny i opanowany. — Cicha, spokojna dziewczyna z bloków, która przez całe swoje życie pewnie nie była nawet na nikogo zła. Przebudza się na błędy pod wpływem gniewu, gdy jej towarzysz i potencjalny kochanek zostawia ją na śmierć...

— PIEPRZONY SHERLOCK SIĘ ZNALAZŁ! — warknęła natychmiast, szarpiąc gwałtownie samochodem.

Pierwszy czując chyba, że uderzył w czuły punkt, kontynuował. — Zastanawiałem się czasami, dlaczego nie kryjesz tego bardziej. Każdy, kto tylko popatrzy na ciebie, od razu wie, co napędza twoje błędy. Ale teraz rozumiem. Chodzisz cały czas wściekła jak osa, bo boisz się, że jak przestaniesz, wróci ta szara myszka, którą jesteś naprawdę. A ty stracisz dostęp do mocy, która uczyniła cię kimś...

— A ty? — warknęła. — Nie masz już ochoty palnąć sobie w łeb?

— Czasami... — westchnął Pierwszy i skupił się z powrotem na Dzikim. — Posłuchaj, im silniejsze emocje będą tobą targać, tym lepszy dostęp do błędów będziesz posiadał, ale to miecz obosieczny. Człowiek bardzo łatwo przechodzi z gniewu do lęku, ze smutku do radości, z chęci niszczenia, do ratowania. Twoja Pierwotna Wola jest bardzo ukierunkowana. O ile ja mogę jeszcze tłumaczyć, że ratuję kogoś „przy okazji” albo „dla swojego dobra”... tak ty, jeżeli choć raz użyjesz błędu z poczuciem, że chcesz komuś pomóc, natychmiast się rozmyjesz.

Dziki przestraszył się. Nie licząc Modrzewa i kilku Niewykształconych, praktycznie nigdy nie miał chęci uśmiercenia kogoś. Nawet, gdy myślał o Oстрыm, przychodziło mu do głowy co najwyżej ciężkie pobicie.

— Wiem, co cię teraz dręczy... — westchnął Pierwszy. — Kiedy właściwie będziesz mógł użyć błędów bezpiecznie? To dylemat, z którym mierzą się wszyscy umiejący się nimi posługiwać. Każda silna emocja wzbudzi kontrolę nad błędami i chęć sięgnięcia po nie w krytycznej sytuacji. Jednak dla dziesięciu dziesięciu procent z nich, Pierwotna Wola stoi w ścisłej sprzeczności z ich charakterem. Z kolei im emocja będzie bliższa twojej Pierwotnej Woli, tym większa szansa, że przetrwasz to bez szwanku. Jeżeli będziesz chciał na przykład coś zniszczyć, to ta emocja jest bardzo podobna do chęci zabicia. Wtedy nic ci się prawdopodobnie nie stanie. Pod żadnym pozorem jednak nie próbuj niczego ratować, to byłby twój natychmiastowy koniec.

— A gdybym chciał kogoś zabić, by uratować kogoś innego? — spytał natychmiast Dziki.

— Zapytaj wtedy siebie, co będziesz czuł mocniej. Chęć zabicia, czy chęć ratowania? Zabicie w tym wypadku, to cel by kogoś ocalić. Natychmiastowe rozmycie... — wyjaśnił Pierwszy.

Dziki pokręcił głową. To było strasznie skomplikowane, ale wiedział, że przynajmniej teraz nie będzie miał z tym problemu. Zwiadowcy, którzy

pozwolili Modrzewowi dokonać masakry na jego kompanach, zasługiwali na śmierć. Gdy Pierwszy wyjaśnił już Dzikemu podstawy błędów, oparł się o szybę, przyglądając drodze i nie odzywał się więcej.

Do hufca dojechali kilka minut później. Zjawa zatrzymała auto, nim byli w stanie zobaczyć budynek. Światła na drodze pogrążonego w absolutnej ciemności Krańcowo były widoczne tak mocno, że z oddali zaalarmowałyby Zwiadowców.

Pozostawiając wyłączone auto, ruszyli praktycznie na ślepo w dalszą drogę. Po kilku minutach skradania się, dotarli do swojego celu.

Budynek przypominający mikroskopijny blok z płyty nosił na sobie znaki ZHP, a na drzwiach miał mosiężną lilijkę harcerską. Zjawa zbliżyła się do hufca i opierając rękę na murze, zamknęła oczy. Marszcząc czoło, pogrążyła się w skupieniu, najpewniej chcąc wyczuć czy w środku znajdują się jacyś ludzie. Po chwili spojrzała w stronę Dzikiego, kręcąc szybko głową.

— Kurwa! Musieli już odejść — krzyknął Dzik.

— Nie ma na co czekać! Do samochodu! — zarządził Pierwszy.

Wrócili do porzuconego auta biegiem, kierując się potem w stronę rzeki. Pierwszy, który usiadł za kierownicą, wyciskał z silnika, ile tylko się dało.

— Wiesz, w którym miejscu mogą się przeprawiać? — spytał Dzik, w którym gniew raz za razem mieszał się ze strachem o Oli i resztę dziewczyn.

— Mają kilka miejsc, dlatego przyjechałem terenówką. Będziemy jechać wzdłuż brzegu — odpowiedział mężczyzna, zjeżdżając z drogi.

Od hufca do zjazdu nad rzekę, jechało się zaledwie kilka minut. Gdy znaleźli się już przy korycie, Pierwszy nie zwalniając, wpadł na wypaloną łękę. Auto podskakiwało na wybojach, rzucając Zjawę i Dzikim po siedzeniach. Kierujący nie zwalniał jednak nawet na chwilę. Zapalając długie światła, przycisnął się bliżej szyby, starając zauważyć jakikolwiek ruch w oddali.

Z każdą mijającą minutą Dzik coraz bardziej tracił nadzieję. Przeniesienie Janka zajęło im jakieś pół godziny. Oczekiwanie na przyjazd Pierwszego kolejnych kilka minut. Droga do hufca zabrała im bez potrzeby jeszcze więcej czasu. Ale gdy był już na skraju załamania, usłyszał coś, od czego jego nadzieja ponownie odżyła.

— SA! — wykrzyczał Pierwszy, dociskając gaz.

W oddali przy brzegu stała jakaś grupa, wyraźnie poruszona zbliżającymi się światłami. Dzik spodziewał się, że Zwiadowcy natychmiast rzucają się do ucieczki. niespodziewanie stanęli oni jednak, wyraźnie czekając na zbliżające się auto.

Dzik z ulgą zobaczył, że przy mężczyznach wciąż stały dziewczyny z autobusu, ale już po chwili ponownie się przeraził. Było tylko trzech Zwiadowców i trzy dziewczyny!

Pierwszy zatrzymał auto, gdy byli już praktycznie przed Zwiadowcami i ściągając na chwilę swoją maskę, wyszeptał. — Posłuchajcie mnie. Zwiadow-

cy są szkoleni przez Smutnego. Co oznacza, że każdy z nich zna moją Pierwotną Wolę, dlatego o użyciu błędów mogę zapomnieć. Ponieważ jednak Smutny uważa mnie za swojego... druha, żaden ze Zwiadowców nic mi nie zrobi. Po-
czekajcie chwilę, spróbuję z nimi porozmawiać...

— Chcesz wyjść do nich sam? — spytał natychmiast Dzik.

— Nie, chodźcie ze mną — odparł. — Ale powstrzymajcie się przed otwartym atakiem. Może uda mi się z nimi dogadać. Mówiąc to, Pierwszy otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Zjawa i Dzik ruszyli natychmiast zanim.

Trójka mężczyzn z z tyłu Weronika, Beata i Laura, przyglądali się im, gdy szli w świetle szperaczy terenówki.

Zwiadowcy dostrzegając idącego na przedzie Pierwszego, opuścili broń, wyraźnie zdziwieni. — Czarny... — zawołał Marco, wychodząc naprzeciw grupy. — Nie masz nic lepszego do roboty niż straszyć ludzi? Nie powinno cię tu w ogóle być! — dodał natychmiast.

— Tak jak ciebie po tej stronie rzeki — odpowiedział chłodno Pierwszy, a mężczyzna ruszył w jego stronę.

— Ty sukinsynu, wiesz, że żyjesz tylko dlatego, że Smutny poręczył za ciebie! Nikt nie opuszcza Zarzecza, WSZYSCY ALBO NIKT! — wrzasnął, prawie wbijając twarz w maskę Pierwszego.

— Nie jestem Zwiadowcą, nie pojawiłem się na Zarzeczu, a w Starym Świecie nawet tam nie mieszkalem — odparł spokojnie Pierwszy. — Wasza durna zasada mnie nie dotyczy. Co najważniejsze, powiedziałem, że zabiję każdego, kto pomoże Modrzewowi w zemście... — dodał już wyraźnie chłodniejszym głosem.

Marco ścisnął usta. — Fakt, Modrzew nie był zbyt „stabilny”, ale ten koleś z autobusu... Wiesz, co on mu zrobił? — spytał, składając ręce na piersi.

— Wiem — odparł Pierwszy, a w jego głosie przebiło się delikatne drżenie. — I nic mnie nie obchodzi, co o tym myślicie. Sami nie grzeszycie odrobiną moralności — dodał znacznie pewniej. — Boli cię, że Dzik sprzedał Modrzewa jak niewolnika? — spytał ironicznie. — A co chciałeś zrobić z dziewczynami?

— Zarzecze jest solidarne wobec swoich, niezależnie od tego kim są. To nas odróżnia od was, ludzi z „raju” — warknął Marco.

Dzik poczuł, jak zbiera w nim gniew. Czemu Pierwszy po prostu nie zaatakował mężczyzny? Czemu w ogóle z nim rozmawiał? Ten sukinsyn patrzył po prostu bez cienia żalu, jak Modrzew mordował ludzi z autobusu. Zupełnie niewinnych! Do tego teraz nie zaprzeczył, że chciał sprzedać dziewczyny, jakby były jakimiś przedmiotami. Dzik po raz kolejny poczuł żądzę mordu. Wola zaczęła w nim zbierać. Znowu wyczuł otaczające ich błędy: rzekę, Zwiadowców, plecak Pierwszego, w uszach zabrzmiała mu melodia, którą w myślach nuciła Zjawa...

Marco musiał wyczuć, że w Dzikim wzbiera się Wola, bo spojrzał na niego niepewnie. — TY! — krzyknął nagle.

— JA! — odpowiedział wściekle Dzik i wystrzelił jak pocisk w stronę mężczyzny.

Skupił całą swoją żądzę mordy we własnej ręce. Miał zamiar go zabić, zniszczyć, przebić pięścią na wylot...

To, co uroiło się w jego głowie jako myśl stworzona w gniewie, stało się rzeczywistością. Pięść Dzikiego trafiła w tors Marco, zatrzymując się przez chwilę na jego kamizelce, po czym przedarła się, rozrywając materiał, mięśnie i kości, aż wyładowała po drugiej stronie pleców mężczyzny.

Marco zagulgotał krwią, wisząc na przedramieniu Dzikiego. Gdy wyszarpał rękę z trzewi Zwiadowcy, ten natychmiast upadł na ziemię.

— DZIKI! MÓWIŁEM ŻEBYŚ POCZekał! — krzyknął Pierwszy, ale on go nie słuchał.

Błyskawicznie doskoczył do kolejnego ze Zwiadowców i chwytając go za kurtkę, cisnął nim w stronę rzeki, jakby był przerośniętą marzanną. Mężczyzna nie wynurzył się nawet raz, momentalnie ginąc w bulgoczącym kwasie.

Ostatni Zwiadowca wyrzucił natychmiast broń, krzycząc: — Poddaję się, błagam!

— ONI TEŻ BŁAGALI — krzyknął Dzik i cofnął już rękę, by siłą ciosu odebrać mężczyźnie głowę, ale nim zdążył uderzyć, poczuł, że coś odciąga go do tyłu.

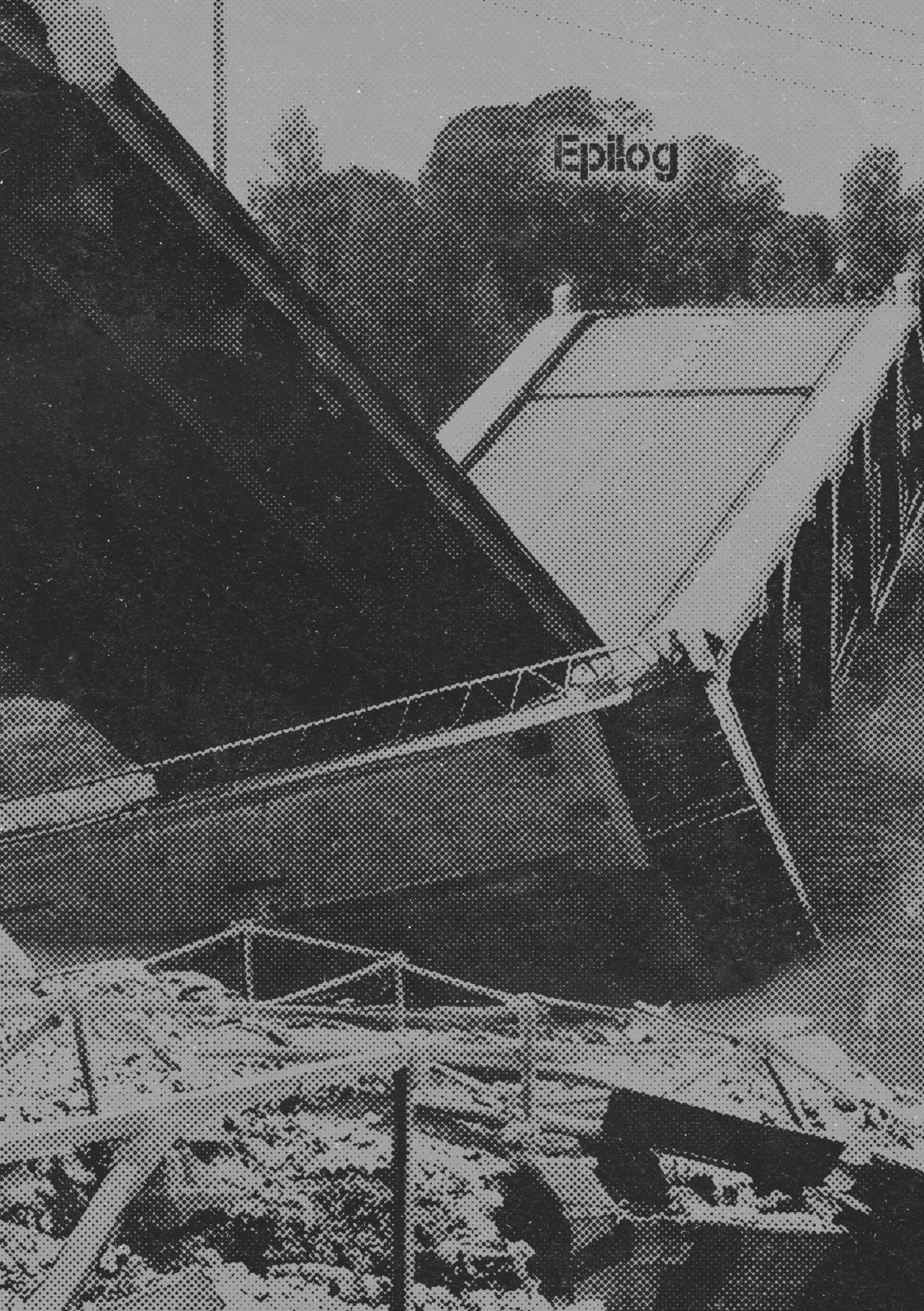
Pierwszy chwycił go pod pachami i szarpnął. — DZIKI, DOŚĆ! ON SIĘ PODDAŁ!

— ONI TEŻ NIE WALCZYLI! BOCIAN, SMALEC, KRYSPIN, KOREK... Oni chcieli po prostu żyć... — Dzik poczuł, jak znowu się załamuje. Z rąk Pierwszego upadł na kolana, zalewając się łzami.

Zjawa w tym czasie podeszła do przerażonego Zwiadowcy. — Gdzie czwarta dziewczyna? W autobusie były cztery!

— Daro przeszedł razem z nią, chwilę przed tym, jak przyjechaliście — wyjaśnił mężczyzna, patrząc z lękiem na Dzikiego.

Ten rozkleił się już całkiem. Więc było za późno... Oli znalazła się po tamtej stronie...



Epilog

Epilog

Pierwszy stał na szczycie muru Wspólnoty, obserwując drogę przed bramą. Strażnicy, którzy mieli w tym momencie swoje warty, spoglądali na niego szepcząc zawzięcie między sobą. Nie byli jedynymi osobami poruszonymi tą niespodziewaną wizytą. Mimo że mieszkający w tym miejscu ludzie starali się wyglądać na zajętych, oczy każdej przechodzącej osoby skupiały się przynajmniej przez chwilę na sylwetce niezwykle gościa.

Nie mniejsze poruszenie wywołało pojawienie się Zjawy, która wchodziła po drabinie, stanęła obok mężczyzny. — Wygląda na to, że twój koleżka nie ma zamiaru odpuścić. Chce udać się na Zarzecze... — oznajmiła, spoglądając w zamaskowaną twarz mężczyzny.

Pierwszy nawet nie drgnął. Szła w jego masce odbijały okolice niczym dwa lustra. Po długiej ciszy odpowiedział jedynie: — Mhm — dając znak, że rozumiał.

Niezrażona wyraźnym zbyciem Zjawa ciągnęła jednak temat dalej. — Masz zamiar iść razem z nim?

Pierwszy westchnął, opuszczając głowę. — Za każdym razem, gdy wpuszczamy kogoś do naszego życia, musimy być świadomi, że odpokutujemy to przymusem oplakiwania jego odejścia, w ten czy w inny sposób. Nie jestem pewien czy jestem już gotów, na oplakiwanie kolejnej osoby.

Zjawa zerknęła zdziwiona na mężczyznę, podnosząc brwi. — Nie spodziewałam się, że jesteś filozofem...

— Raczej marudą... — odparł Pierwszy. — Jeżeli z nim nie pójdę, nie przetrwa na Zarzeczcu nawet minuty, a ja nie chcę się jeszcze z nim żegnać.

Zjawa stuknęła niepewnie nogą o podest. Po jej twarzy widać było, że zbiera się, by powiedzieć coś trudnego. — Powiedz... Nie szukacie może trzeciego do waszej eskapady?

— Wolałbym, żeby nie było nawet „pierwszego”. Poza tym, po co ci to? — spytał, ciągle nie odwracając wzroku od drogi.

Zjawa spojrzała obrażona. — Czy to ważne? Doświadczona najemniczka chce iść z wami, nie biorąc nic w zamian! Korzystaj z okazji, zamiast się dopytywać — warknęła.

Pierwszy milczał przez dłuższy czas. — Dla mnie najważniejsze są motywacje. Jeżeli nie masz powodu, by z nami iść, ja nie widzę powodu, żeby cię zabierać... — mówiąc to, ruszył w kierunku drabiny, zostawiając dziewczynę.

Zjawa stała przez chwilę zszokowana. Na pewno spodziewała się, że padnie pytanie o jej motyw, ale nie tego, że Pierwszy nie pozwoli jej iść. Odskokczyła natychmiast od muru i zjeżdżając po drabinie, dogoniła mężczyznę. — Poczekaj! Czemu to jest takie ważne? Czemu interesują cię motyw? Chcę iść i już!

Pierwszy zatrzymał się. — Dziki chce ratować Oli, a ja jestem mu do tego potrzebny. Wiem, że mnie nie zdradzi, nie oszuka, nie wbije noża w plecy. Związałem się już z nim. Nie chcę, żeby zginął... dlatego idę tam i ja. A ty? Bez motywów jesteś człowiekiem, który porzuca towarzyszy...

— Chciałabym być w końcu częścią czegoś... — powiedziała dziewczyna, opuszczając głowę. W jej głosie nie było śladu wiecznie towarzyszącej złości. — Zawsze zazdrościłam Autobusowi tego, że są tak zjednoczeni. Tego, że mimo iż większość jego członków była bezużytecznym balastem i tak trzymali się razem. Dziki chce iść po Oli na drugą stronę rzeki, mimo że nic z tego nie będzie miał... mimo że... Po mnie nikt by nie wrócił... — stwierdziła.

Pierwszy obrócił się w stronę Zjawy. — Wiesz, że mieszkańcy Zarzeczka mówią na naszą część „raj”? Nie wyobrażasz sobie, jakie niebezpieczeństwa tam czyhają...

— Ty tam byłeś! I wróciłeś! — zaprotestowała dziewczyna.

Zamaskowany mężczyzna słysząc to, pokręcił głową. — Wiesz, jaka jest moja Pierwotna Wola — stwierdził. — Zdajesz sobie więc sprawę, że przetrwanie jest wpisane we mnie...

— To znaczy, że mogę iść czy nie? — spytała.

— A co z Siwym? Z twoją posadą najemniczką? Nie szkoda ci luksusów Wspólnoty? — odparł wciąż nieprzekonany Pierwszy.

Widać było, że Zjawa próbuje ułożyć pośpiesznie odpowiedź. Zmarszczyła czoło i zdjęła swoją półmaskę z twarzy. — Ty kryjesz coś pod maską i ja tak samo. Mam już dość swojej Pierwotnej Woli, oddałabym wszystko, żeby ją zmienić. Ciągłe wymuszanie złości, gniewu, rozdrapywanie ran, by dostawać białej gorączki... Mam po prostu dość. Dla Siwego istnieję, tylko kiedy korzystam z błędów. Gdyby okazało się, że nie mogę już ich używać, straciłabym wszystko. Zresztą, teraz gdy nie ma już Krzaka, nie minie wiele czasu, zanim Sęp wykopie go ze Wspólnoty, a ja już nie chcę narażać się tylko dla pieniędzy. Obrona Bajkolandii na mieście to był koszmar. Wolę spróbować sił z wami...

Pierwszy patrzył na dziewczynę przez dłuższy czas, w końcu jednak odetchnął ciężko. — Skoro tak ci zależy.

* * *

Zjawa, Dziki i Pierwszy stali naprzeciwko rzeki. Zielonkawa ciecz wyglądała tego dnia na szczególnie gęstą, wydając z siebie mnóstwo syczących dźwięków.

— Jesteś gotowy? — spytał Pierwszy. — Wszystkie sprawy załatwione?

Dziki skinął głową. — Green zatrudnił się u Zoidberga, dzięki temu będzie mógł doglądać Klucza. Dziewczyny z autobusu trafiły pod opiekę Mike'a i dawnych strażników Wspólnoty, więc włos im z głowy nie spadnie. Kuba, Janek i Edek poradzą sobie jako trio, nic więcej załatwić tu nie muszę.

Pierwszy skinął głową, spoglądając na rzekę. — Dobra, wytłumaczę wam jak przez nią przejść. Słuchajcie uważnie, bo szansę będziecie mieli tylko jedną...

Dziki i Zjawa spojrzeli skupieni jak nigdy, bo pomyłka oznaczałaby ich śmierć w męczarniach. Pierwszy zbliżył się do rzeki, obracając w ich stronę. — Kiedy odpala się wasza Pierwotna Wola, zaczynacie wyczuwać okoliczne błędy. Część jest już w was, zagnieździła się tam w momencie, gdy się pojawiliście. Część tkwi w samym mieście. Im bardziej rozkręcicie swoje emocje, tym na silniejsze błędy możecie mieć wpływ.

— Dziki — powiedział, zwracając się do niego — ...twoja Wola jest bardzo mało elastyczna, ale silna. Wyobraź sobie, że musisz kogoś zabić po tamtej stronie rzeki. Wzbudź w sobie to szczere pragnienie. Człowiek, który porwał Oli... jest tam i zasługuje na śmierć... Natomiast Ty! — zawołał w stronę Zjawy. — Chyba wiesz, jak działa twoja Wola, rozkręć się aż poczujesz rzekę i kontroluj ją, jak pozostałe swoje błędy...

— A nie mogę po prostu przestrzelić się na drugą stronę? — spytała. — To spory kawałek, ale chyba czułabym się pewniej niż wchodząc do tego...

— Nie — odparł natychmiast Pierwszy. — Krańcowo centralne i Zarzeczce nie zawsze były połączone. Jeszcze jakiś czas temu działało to jak granica miasta. Ślady tego błędu pozostały w połowie rzeki. Jeśli spróbujesz się przebić siłą, prawdopodobnie zatrzymasz się w połowie i wpadniesz nieprzygotowana w kwas.

Zjawa westchnęła i zamknęła na chwilę oczy. — Kurwa, wiedziałam, że nie może po prostu pójść łatwo. Po co mi to w ogóle było? Chyba jestem jakąś idiotką, że też mnie podkusiło... NIE, ZARAZ, PRZECIEŻ SAMA CHCIAŁAM, TAK! BO JESTEM LEPSZA OD CIEBIE, LANCE, BO JA NIE ZOSTAWIŁABYM SWOICH TOWARZYSZY NA ŚMIERĆ!!! PIERDOL SIĘ RAZEM Z CAŁYM SOJUSZEM BŁOKÓW!

Dziewczyna krzyknęła i z impetem wbiegła w rzekę. Dziki patrzył zszokowany, jak przechodzi w kwasie, wstrzymywana jedynie przez nurt.

— I jak? — spytał Pierwszy, zerkając na niego.

Dziki starał się ze wszystkich sił. Wyobrażał sobie Modrzewę, Marco, mężczyznę, który zabrał Oli. Starał się wycisnąć z siebie jakąkolwiek wolę zabicia go, ale ta nie pojawiała się. Zamiast tego czuł coraz większy żal, ale ten

nie był nawet w stanie przebudzić jego Woli. — Ja chyba... ja chyba nie dam rady... — wydukał Dziki.

— Cholerny świat... — westchnął Pierwszy. — Będę musiał cię przenieść...

— Błędami? — spytał Dziki.

— Na plecach... — odparł Pierwszy i pochyliwszy się, wrzucił sobie Dziekiego na barki. — Tylko się nie szarp! Jak się potknę, koniec z tobą...

Mężczyźni ruszyli przez rzekę, znikając po chwili po drugiej stronie.

Drodzy Krańcowicze!

To Wasza miłość do świata Krańcowa sprawiła, że ta książka powstała, a ja mam szansę po raz kolejny stanąć przed niemożliwym do zrealizowania wyzwaniem - wyrażeniem wdzięczności za pomoc w realizacji marzeń.

Jeszcze raz serdecznie dziękuję Wam wszystkim. Bez Was nie byłoby tego wydania, a sama historia zniknęłaby w odmętach internetu, pośród tysięcy innych grafomańskich opowieści.

Artur Łysy
 ..Piotr. z rodu ..Abramik. vel „Sos”,
 pisarz
 Adam Syczewski
 Adrian Fleszar
 Aleksander Kadis
 Alina Kisielowska
 Anna Domańska
 Anna Zetka
 Arkadiusz Budny
 Arkadiusz Wesołowski
 Arkadiusz Wojciechowski
 Artur i Ela Kwiatkowscy
 Bartłomiej Pawlak
 Bartosz Łempicki
 Bartosz Mejza
 Beata Walisiewicz
 Bernard Sosulski
 Cezary Dąbrowski
 Damian Dobrołęcki
 Daria Garbowska
 Dariusz Ciesielski
 Dariusz Krzemiński
 Dariusz Maciuk

Dominik Wrana
 Edward Kowalczyk
 Emilia Grajczak
 Exteriors
 Golec Jan
 Gosia i Sławek Świgut”
 Grabarz Obalek
 z współpracownikami
 Grzegorz Grajczak
 Grzegorz kłopotek
 Grzegorz Rodziewicz - Czarcik
 Grzegorz Rodziewicz - Stolgraf
 Grzegorz Zielinski
 Igor Mróz
 Iwa
 J.L
 Jacek Janaszko
 Jakub Krzemiński
 Jan Sobczyk
 Jarosław Dąbrowa
 Joanna Gołaszewska
 Justyna i Karol Rola
 Kacper Krysiński
 Kamil Szufnara

Wiążę nadzieję, że oprawa tej części Was nie zawiedzie, a każda strona książki będzie niosła tę samą radość, jaką lektura Krańcowa przynosiła Wam za pierwszym razem.

Z najserdeczniejszymi życzeniami dla Wspierających, zarówno tych wymienionych, jak i tych, którzy chcieli pozostać anonimowi.

Jarosław Domański

Karol Owsianka
 Karolina Przepióra
 Karolina Walencik
 Kinga Maciejewska
 Konrad Kasiński
 Kuba „Maksimovič” Maksymiuk
 Łukasz Bukorzycki
 Łukasz Hejnak
 Łukasz Lewandowski
 Łukasz Pielak
 Maciej Haudek
 Maciej Len Wiśniewski
 Maciej Mecmajer
 Malwina Lewandowska
 Małgorzata Rudnicka
 Marcin Hyczko
 Marek Romik
 Maria Tarabula
 Marta Różak
 Martyna i Patryk Grefkowicz
 Mateusz Kaczmarek
 Michał Cichór
 Michał Zagrodzki
 Mikołaj Jagielski

Mirosław Aszkielowicz
 Patrick Pawłowski
 Patrycjusz Grajczak
 Paulina Dziedzic
 Paweł Jakubowski
 Piotr Chomicz
 Piotr Pawłowski
 Radosław Mielke
 Rafał Zaborowski
 Robert Franckowski
 Sebastian Golec
 Sebastian Pietrzak
 Sławomir Świeżyński
 Tomasz Sawicki
 Tomasz Ziętek
 Ula Jagielska
 Wiktor Staszewski
 Zbigniew Wasiukiewicz
 Jakub Szafran
 Grażyna i Andrzej Grajczak
 Małgorzata i Jacek Domańscy
 Wiktoria Grajczak

